



JENNIFER WEINER

MAŁE TRZĘSIENIA ZIEMI

Z angielskiego przełożyła *Ewa Świerżewska*



małe
trzęsienia
ziemi

JENNIFER WEINER

Świat Książki

- Co jest PRAWDZIWE? - zapytał pewnego dnia Królik, gdy leżeli obok siebie na podłodze, nim niania weszła posprzątać pokój. - Czy to znaczy, że coś w tobie gra i masz sterczący uchwyt?
- Prawdziwe nie zależy od tego, jak zostałeś zrobiony - powiedział Łysy Koń. - To coś, co ci się przytrafia. Jeśli dziecko kocha cię przez długi czas, nie tylko po to, by się tobą bawić, ale NAPRAWDĘ cię kocha, stajesz się prawdziwy.
- Czy to sprawia ból? - zapytał Królik.
- Czasami - odparł Łysy Koń, bo zawsze był prawdomówny. - Kiedy jesteś Prawdziwy, nie przeszkadza ci, że ktoś cię rani.

Margery Williams, *Pluszowy króliczek*

KWIECIEŃ

TLR

LIA

Obserwowałam ją przez trzy dni, siedząc samotnie w parku pod wiązem w pobliżu pustej fontanny. Na kolanach położyłam nietknięte kanapki, a z boku torebkę.

Torebka. Tak naprawdę to nie jest torebka. Kiedyś miałam torebki - podróbkę Prady, autentyczną Chanel, którą Sam kupił mi na urodziny. A teraz jest to gigantyczna, różowa torba Very Bradley z kwiatowym nadrukiem, wystarczająco duża, by zmieściła się w niej ludzka głowa. Gdyby torba stała się człowiekiem, byłaby czyjaś niemodną, siwą babcią stryjeczną, pachnącą naftaliną i kajmakowymi cukierkami, nalegająca, byś pozwoliła jej uszczypnąć cię w policzek.

Jest straszna. Ale nikt już jej nie zauważa, tak samo jak nikt nie zauważa mnie.

Dawno, dawno temu mogłam starać się być niewidzialną: zaciągnięta na oczy czapka baseballowa lub bluza z kapturem, chroniące przed pytaniami, zaczynającymi się zawsze tak samo: „Hej, czy nie jesteś...?” i niezmiennie kończącymi się nie moim nazwiskiem. „Nie, zaczekaj, nie mów. Nie widziałem cię w czymś? Nie wiem, kim jesteś?”.

Teraz nikt się nie gapi i nikt nie zadaje pytań. Nikt nie poświęca mi więcej czasu, niż zajmuje przelotne spojrzenie. Równie dobrze mogłabym być meblem. W zeszłym tygodniu po stopie przebiegła mi wiewiórka.

Ale w porządku. Tak jest dobrze. Nie jestem tu po to, by mnie widzieli; jestem, by obserwować. Zazwyczaj pojawia się około trzeciej. Odkładam kanapkę, kurczowo przyciskam do siebie torbę jak poduszkę lub zwierzątko i się gapię. Na początku nie byłam pewna, ale wczoraj zatrzymała się przy mojej fontannie i wypięła brzuch, kładąc dłonie na pośladkach. „Też tak robiłam” - pomyślałam, czując ucisk w gardle. „Tak samo robiłam”.

Uwielbiałam ten park. Dorastałam w północno-wschodniej Filadelfii i ojciec zabierał mnie do miasta trzy razy w roku. W lecie jechaliśmy do zoo, każdej wiosny na wystawę kwiatów, a w grudniu na bożonarodzeniowy pokaz świateł do Wanamaker's. Ojciec kupował mi gorącą czekoladę i lody truskawkowe w rożku. Siadaliśmy na ławce, a on wymyślał historyjki o mijających nas ludziach. Nastolatek z czarnym plecakiem był ukrywającą się gwiazdą rocka, niebieskowłosa kobieta w futrze do ziemi przekazywała tajemnice Rosjanom. Gdy byłam w samolocie, gdzieś nad Wirginią, myślałam o tym parku, smaku truskawek i czekolady, i obejmującym mnie ramieniu ojca. Myślałam, że poczuję się tu bezpiecznie. Myliłam się. Z każdym mrugnięciem powiek, z każdym oddechem czułam drżącą, usuwającą się spod nóg ziemię. Czułam, że wszystko zaczyna się rozpadać.

Było tak od czasu, gdy to się stało. Nic nie mogło sprawić, bym poczuła się bezpieczna. Ani mój mąż, Sam, przytulając mnie, ani terapeutka o smutnym spojrzeniu, która mówiła: „Tylko czas może naprawdę pomóc, musicie jakoś przetrwać kolejne dni”.

Właśnie próbowaliśmy to robić, ale dni mijały niepostrzeżenie, a my jedliśmy bez smakowania, wyrzucając do kosza kolejne styropianowe pojemniki. Myliśmy zęby i ścieliliśmy łóżko. W środowe popołudnie, trzy tygodnie po tym zdarzeniu, Sam zaproponował kino. Przygotował mi ubranie: żółtawozielone rybaczkę, które się wciąż nie dopinały, jedwabną bluzkę w kolorze kości słoniowej z różowym haftem i różowe klapki. Gdy wzięłam stojącą przy drzwiach torbę, przeznaczoną na dziecinne rzeczy, Sam spojrzął na mnie dziwnie, ale nic nie powiedział. Nosiłam ją zamiast torebki przed i nie przestałam po, jakby to był miś, ulubiony kocyk lub coś innego ukochanego, z czym nie mogłam się rozstać.

Czułam się dobrze, wsiadając do samochodu. Dobrze, gdy wjeżdżaliśmy na parking, gdy Sam otwierał mi drzwi i prowadził do wyłożonego czerwonym aksamitem foyer, przesiąkniętego zapachem popcornu i masła. A tam stanęłam i nie mogłam ruszyć się choćby o milimetr.

- Lia? - zapytał Sam.

Potrząsnęłam głową. Przypomniałam sobie poprzedni raz, gdy poszliśmy do kina. Sam kupił mi mleczne kulki, żelkowe dżdżownice i wielką colę, na którą miałam ochotę, mimo że kofeina była zabroniona i po każdym łyku mi się odbijało. Kiedy film się skończył, musiał obiema rękami wyciągać mnie z fotela. „Wtedy miałam wszystko” - pomyślałam. Oczy zaczęły mnie palić, usta drżały i czułam, że trzęsą mi się kolana. Oparłam się ręką o ścianę, by nie stracić równowagi i nie zacząć się kiwać na boki. Przypomniałam sobie, że gdzieś czytałam o rozmowie ekipy wiadomości telewizyjnych z kimś, kto przeżył trzęsienie ziemi w 1994 roku w Northridge. „Jak długo to trwało?” - zapytał beznamiętnie opalony reporter. Kobieta, która straciła dom i męża, spojrzała na niego udręczonym wzrokiem i powiedziała: „To wciąż trwa”.

- Lia? - znów odezwał się Sam. Spojrzałam na niego - w jego wciąż przekrwione oczy, na mocną szczękę i gładką skórę. „Piękny jest ten, kto pięknie czyni” - mawiała moja matka, ale on był dla mnie bardzo kochany od chwili, gdy go poznałam. Od czasu, kiedy to się stało, był już tylko kochany. Sprowadziłam na nas tragedię. Za każdym razem, gdy na mnie patrzył, widział, co straciliśmy; ja również za każdym razem, kiedy na niego patrzyłam, widziałam to samo. Nie mogłam zostać. Nie mogłam zostać i dłużej go ranić.

- Zaraz wrócę - powiedziałam. - Polecę tylko do łazienki. - Przerzuciłam torbę Very Bradley przez ramię, minęłam łazienkę i wymknęłam się frontowymi drzwiami.

Nasze mieszkanie wyglądało tak, jak je zostawiliśmy. W salonie stała kanapa, w sypialni - łóżko. Pokój na końcu korytarza pozostał pusty. Całkowicie pusty. Nie było nawet pyłku kurzu w powietrzu. „Kto to zrobił?” - zastanawiałam się, wchodząc do sypialni i wkładając do torby trochę bielizny i T-shirtów. „Nawet nie zauważyłam” - pomyślałam. „Jak mogłam nie zauważyć?” Jednego dnia pokój wypełniały zabawki i meble, stało łóżeczko i fotel bujany, a już następnego dnia nic. Czy były jakieś służby, które można wezwać, numer, który można wybrać, strona internetowa, na którą można wejść, ludzie, którzy przychodzą z workami na śmieci, odkurzacami i wszystko zabierają?

Sam, przepraszam - napisałam. Nie mogę tu zostać ani chwili dłużej. Nie mogę patrzeć na Ciebie, gdy jesteś taki smutny, a ja wiem, że to moja wina. Nie szukaj mnie, proszę. Zadzwoń, gdy będę gotowa. Przepraszam... Przestałam pisać. Brakowało mi słów. Nic mi nie przychodziło do głowy. *Przepraszam za wszystko* - dopisałam i wybiegłam z domu.

Taksówka czekała na mnie przed drzwiami budynku i chociaż raz Czteryście Pięta nie była zakorkowana. Pół godziny później byłam już na lotnisku, z plikiem sztywnych, nowiutkich banknotów prosto z bankomatu.

- Tylko w jedną stronę? - zapytała dziewczyna w okienku.

- W jedną stronę - odpowiedziałam i zapłaciłam za bilet do rodzinnego domu. Do miejsca, gdzie muszą cię przyjąć. Matka zdawała się niespecjalnie szczęśliwa z mego przybycia, ale ona nigdy nie cieszyła się z mojego powodu, a tak naprawdę to z niczego, od czasu, gdy byłam nastolatką i zostawił nas ojciec. Ale miałam dach nad głową i łóżko do spania. W chłodny dzień w zeszłym tygodniu dała mi nawet płaszcz, żebym nie zmarzła.

Kobieta, którą obserwowałam, szła przez park, rudowłosej złote loki piętrzyły się na jej głowie, w ręce trzymała dużą płócienną torbę. Wychyliłam się w przód, zaciskając palce na brzegu ławki i próbując opanować zawroty głowy. Postawiła torbę na brzegu fontanny i schyliła się, by pogłaskać małego pieska w biało-czarne łatki. „Teraz” - pomyślałam, sięgnęłam do wielkiego worka i wyciągnęłam srebrną grzechotkę. „Może ozdobimy ją monogramem?” - zapytał Sam. Przewróciłam oczami i powiedziałam, że na świecie są dwa typy ludzi - ci, którzy oddają przedmioty do zdobienia monogramami, i ci, którzy tego nie robią, a my zdecydowanie należymy do Typu Drugiego. Jedna srebrna grzechotka od Tiffany'ego, bez monogramu, nigdy nieużywana. Podeszłam ostrożnie do fontanny, nim przypomniałam sobie, że stałam się niewidzialna, i niezależnie od tego, co zrobię, i tak nikt na mnie nie spojrzy. Wsunęłam grzechotkę do torby rudowłosej i uciekłam.

BECKY

Prostowała plecy, gdy zadzwonił telefon. Pies szczeknął głośno i pobiegł, kobieta w niebieskim płaszczu, z długimi blond włosami, przeszła tuż obok, ocierając się o jej ramię. Becky Rothstein-Rabinowitz odgarnęła loki z czoła, wyciągnęła komórkę z kieszeni, spojrzała na wyświetlacz i gdy zobaczyła numer, przerwała połączenie.

-Cholera - mruknęła w reakcji na piąty w ciągu ostatnich dwóch godzin telefon od swojej teściowej, Mimi. Miała z nią znośne stosunki, gdy ta mieszkała w Teksasie z ostatnim z pięciu mężów, ale małżeństwo nie przetrwało. Teraz Mimi przenosiła się do Filadelfii i zdawała się nie zauważać prostego faktu, że jej synowa ma pracę, dziecko w drodze i ważniejsze sprawy na głowie niż „wizytowanie” sklepu poleconego przez zatrudnionego u Mimi dekoratora wnętrz i „rzucanie okiem” na przygotowane na zamówienie zasłony. Becky nie miała też „sekundeczki”, by poświęcić pół godziny na jazdę do Merion i „zerknąć”, jak posuwają się prace budowlane (teściowa była w trakcie budowy małej rezydencji w stylu kolonialnym, która w opinii Becky wyglądała jak dom Scarlett O'Hary - Tara, nieco skurczona w praniu). Wzięła torbę i poszła energicznie przez park do restauracji Mas.

Była trzecia po południu. W małej kuchni unosił się zapach duszonej łopatki wieprzowej w ostrym cynamonowym sosie, czosnkowo-kolendrowej salsy i pieczonej papryki jako pikantny dodatek. Becky odetchnęła głęboko i radośnie wyciągnęła ramiona nad głowę.

- Myślałam, że dzisiaj cię nie ma - powiedziała Sarah Trujillo, jej współpracowniczka i najlepsza przyjaciółka.

- Wpadłam po drodze - odparła Becky. Znów rozległ się dzwonek telefonu.

- Niech zgadnę - odezwała się Sarah.

Becky westchnęła i spojrzała na numer, potem uśmiechnęła się i odebrała.

- Cześć, kochanie - powiedziała. Byli małżeństwem od dwóch lat, a przedtem spotykali się przez trzy lata, jednak dźwięk głosu Andrew wciąż budził w niej emocje.

- Cześć, wszystko dobrze?

Spojrzała po sobie. Torba, piersi, brzuch, stopy - wszystko na swoim miejscu.

- Tak, w porządku. Dlaczego pytasz?

- Cóż, właśnie dzwoniła mama i powiedziała, że próbuje się z tobą skontaktować, ale nie odbierasz telefonu.

„Cholera” - znów pomyślała Becky.

- Posłuchaj, wiem, że potrafi być niezdolna. Musiałem z nią mieszkać, pamiętasz?

- Tak - odparła Becky. „I to, że udało ci się wyrosnąć na normalną osobę, pozostaje niezbadaną tajemnicą” - powstrzymała się przed dodaniem.

- Okaż jej trochę zainteresowania. Zapytaj, jak idzie przeprowadzka.
- To mogę zrobić, ale nie mam czasu na spełnianie jej zachcianek.
- Wiem - odpowiedział Andrew. Becky słyszała w tle szpitalne odgłosy, dźwięk le-
karskiego pagera. - Nie musisz. Nie oczekuję tego od ciebie. Mimi też nie.
„Więc dlaczego wciąż mnie o coś prosi?” - zastanawiała się Becky.
- Po prostu z nią porozmawiaj - powiedział Andrew. - Jest samotna.
„Jest wariatką” - pomyślała.
- Dobrze - odparła. - Kiedy zadzwoni następnym razem, porozmawiam z nią, ale te-
raz muszę wyłączyć telefon. Joga.

Sarah uniosła brwi. „Joga?” - wypowiedziała bezgłośnie.

- Joga - powtórzyła Becky i rozłączyła się. - Nie śmieję się.
- Dlaczego miałabym się śmiać? - zapytała Sarah, uśmiechając się przyjaźnie. Jej
oczy były koloru słodko-gorzkiej czekolady, miała ciemne, lśniące włosy i ciało tan-
cerki, mimo że baletek nie używała od czasu, gdy, mając siedemnaście lat, uszkodziła
sobie oba kolana. To z jej powodu przy barze w Mas goście tłoczyli się w trzech rzę-
dach w tygodniu, a w czterech w piątkowe wieczory; z jej powodu właśnie w Mas, a
nie w innych restauracjach na Rittenhouse Square, trzydzieści sześć krzeseł mogło
być zajętych, i to przez całą noc, mimo dwugodzinnego oczekiwania na stolik. Kiedy
Sarah, z ustami wymalowanymi czerwoną szminką, w pantoflach na wysokich obca-
sach bez pięt, przeciskała się, kołysząc biodrami, przez tłum, z talerzem darmowych
pasztecików uniesionym nad głową, ustawały narzekania i kończyło się spoglądanie
na zegarek.

- To jaka jest ta zupa? - zapytała Sarah.

- Przecier z czosnku i białej fasoli z oliwą truflową - powiedziała Becky, biorąc tor-
bę i przyglądając się wciąż pustej sali, w której na wszystkich dwunastu nakrytych
świeżymi obrusami stolikach stały kieliszki do wina, a na środku małe naczynia z
niebieskiego szkła, wypełnione prażonymi migdałami.

- Dlaczego myślisz, że będę się śmiała z jogi?

- Cóż... - odparła Becky, zakładając torbę na ramię. - Dlatego, że nie ćwiczyłam
od... - Urwała, licząc w myślach miesiące. Lata. - ...pewnego czasu. - Ostatnią stycz-
ność ze zorganizowaną gimnastyką miała w college'u, gdzie przed otrzymaniem dy-
plomu musiała zaliczyć semestr zajęć fizycznych. Dała się namówić Sarah na taniec
terapeutyczny i przez cztery miesiące machała szarfą, udając na przemian drzewo na
wietrze, dziecko alkoholików i rezygnację. Miała nadzieję, że położnik zabroni jej
ćwiczyć i ostatnie dwanaście tygodni ciąży każe spędzić w domu z nogami do góry,
jednak doktor Mendlow zdawał się bardzo entuzjastycznie nastawiony, gdy Becky
zadzwoniła, by uzyskać jego zgodę na ćwiczenia.

- Myślisz pewnie, że joga jest dla mięczaków.

- Nie, nie! - zaprzeczyła Sarah. - Joga jest bardzo wymagająca. Jestem pod wrażeniem, że robisz to dla siebie i, oczywiście, dla kochanego małżeństwa.

Becky spojrzała na przyjaciółkę i zmrużyła oczy.

- Liczysz na coś, tak?

- Mogłabyś zamienić się ze mną sobotami?

- Dobra, dobra - burknęła Becky. Nie miała nic przeciwko pracy w sobotni wieczór. Andrew miał dyżurować przy telefonie, co najpewniej oznaczało, że i tak zostanie sama przed telewizorem, aby jej mąż mógł zająć się czymś zapaleniem wyrostka lub niedrożnym jelitem. Albo, co gorsza, będzie musiała odbierać kolejne telefony od Mimi.

Sarah zsunęła posiekaną jicamę do miseczki, przetarła deskę do krojenia i wrzuciła ściereczkę do stojącego w rogu kosza. Becky wyjęła ją stamtąd.

- Dwie ściereczki na wieczór, pamiętasz? Rachunek z pralni za zeszły miesiąc był zabójczy.

- Po tysiącuroć przepraszam - odrzekła Sarah, oskubując kolbę kukurydzy z ziaren.

Becky weszła po wewnętrznych schodach do małego pomieszczenia na górze - zaadaptowanego na garderobę w starym budynku w zabudowie szeregowej, w którym mieściła się Mas. Opuściła roletę i jeszcze raz wciągnęła w nozdrza mieszające się zapachy kolacji - duszącego się powoli, natartego przyprawami mostka, nutę czosnku, delikatną woń kolendry i limonki. Słyszała odgłosy zbierającej się obsługi - śmiejące się w kuchni kelnerki, pomywaczy, ustawiających radio na rozgłośnię nadającą muzykę latynoską. Postawiła torbę na stole założonym stosami faktur i formularzy zamówień i sięgnęła do szafki po strój do jogi. „Luźne, wygodne ubranie” - przeczytała na ulotce. Ostatnio tylko takie nosiła.

Zdjęła czarne, rozciągliwe w pasie spodnie i założyła niebieskie, także z elastyczną talią. Stroju dopełniał specjalny stanik do ćwiczeń. Znalazła go po czterdziestopięciominiutowym szperaniu w Internecie, na stronach Bigmamas.com. Wciągnęła przez głowę długi T-shirt, na stopy wsunęła tenisówki, kręcone włosy upięła w kok. „Delikatne, rytmiczne rozciąganie” - głosiła ulotka. „Twórcza wizualizacja i medytacja dla przyszłych matek”. Doszła do wniosku, że sobie poradzi. A jeśli nie, powie, że ma zgagę, i wyjdzie.

Gdy wpychała ubrania do torby, pod palcami poczuła coś zimnego. Zanurzyła całą dłoń i wyciągnęła srebrną grzechotkę. Szukała po omacku czegoś więcej, ale niczego nie znalazła - żadnej wizytówki, papieru ozdobnego ani wstążeczki. Tylko ta grzechotka.

Obróciła ją w dłoniach, potrząsnęła i ruszyła po schodach do kuchni, gdzie Sarah

stała w towarzystwie pomywacza, kucharza i cukiernika.

- To od ciebie? - zapytała.
- Nie, ale jest ładna – odpowiedziała.
- Nie wiem, skąd się wzięła.
- Bocian? - podsunęła Sarah.

Becky przewróciła oczami, po czym stanęła przed lustrem obok drzwi sali jadalnej do kolejnej rundy czegoś, co od niedawna było jej ulubioną grą: „Ciężarna czy tylko gruba?”.

„To niesprawiedliwe” - pomyślała, wyginając się, obracając i wciągając policzki. Marzyła o ciąży jako okresie wyrównania, chwili, o której śniła przez całe życie, gdy wszystkie kobiety się powiększają i przez błogich dziewięć miesięcy nikt nie mówi o wadze ani się nią nie przejmuje. Akurat! Chude dziewczyny pozostają chude, prócz tego, że wyrasta im uroczy mały brzuszek jak piłka do koszykówki, za to kobiety postury Becky wyglądają tak, jakby za dużo zjadły na lunch.

A te stroje ciążowe? Straszne. Kobiety normalnych rozmiarów noszą sportowe ubrania z domieszką lycry, i gdyby nie głośiły w koło: „Hej! Jestem w ciąży!”, nikt by się tego nie domyślił. W tej samej sytuacji nieco dorodniejsze kobiety są skazane na ofertę jednej - tak, jednej fabryki odzieży ciążowej, produkującej ogrodniczki i olbrzymie kasaki, które zdają się wołać: „Hej! Jesteśmy z 1987 roku! W tym stroju będziesz się wydawała grubsza, niż jesteś w rzeczywistości!”.

Spojrzała na siebie z boku, wyprostowała się, tak aby brzuch wystawał przed piersi. Potem odwróciła się do Sarah.

- Czy wyglądam...

Sarah potrząsnęła głową, zmierzając w kierunku frytkownicy z tacą wypełnioną przygotowanymi tego poranka ziarnami kukurydzy.

- Nic nie słyszę, nic nie słyszę - zanuciła, gdy olej zaczął skwierczeć.

Becky westchnęła, obróciła się o dziewięćdziesiąt stopni i spojrzała na Juana, pomywacza, który nagle bardzo zaangażował się w układanie talerzy. Rzuciła okiem w stronę grilla, gdzie dwie kelnerki ze spuszczonego wzrokiem pracowicie coś mieszały i siekały. Suzie zachowywała się podobnie. Zagłębiała się w tygodniowy jadłospis, jakby później 'miała odpowiadać na pytania konkursowe.

Becky znów westchnęła, wzięła torbę, egzemplarz jadłospisu i ruszyła w stronę drzwi, by przejść przez park, minąć osiemnaście przecznic na wschód, w stronę rzeki, i dotrzeć na spotkanie ze swoim nowofalowym przeznaczeniem.

- Witam panie. - Instruktor, Theresa, ubrana w luźne, trzymające się na biodrach luźnie spodnie i brązowy podkoszulek bez rękawów eksponując kunsztownie

zarysowane mięśnie ramion i bicepsy, miała niski, senny głos. Doprawdy hipnotyzujący. Becky stłumiła ziewnięcie i rozejrzała się po pomieszczeniu na czwartym piętrze siedziby Stowarzyszenia Theresy. Pokój wydawał się ciepły i przytulny, bez zbędnego umeblowania. Światła były przyćmione, na parapetach wysokich okien - wszystkie skierowane na zachód, na migoczącą linię miejskiego horyzontu - płonęły świece wotywny. W rogu szemrała fontanna, z magnetofonu płynęły dźwięki przypominające szum wiatru, w powietrzu unosił się przyjemny zapach pomarańczy i goździków. W kieszeni Becky zawibrował telefon. Odrzuciła rozmowę bez patrzenia na wyświetlacz i natychmiast ogarnęło ją poczucie winy. Obiecała sobie, że zadzwoni do Mimi zaraz po skończeniu zajęć.

Odłożyła telefon i spojrzała na pozostałe uczestniczki. Było ich siedem i wszystkie wyglądały tak, jakby były w trzecim trymestrze. Po prawej stronie stała drobna dziewczyna z końskim ogonem w kolorze nitek kukurydzy i wystającym małym brzuszkiem. Miała na sobie jeden z tych ciężowych strojów sportowych, występujących w rozmiarach S i XS - dresowe spodnie w białe paski, czarną bluzeczkę bez rękawów z kontrastującym wykończeniem otulającym brzuch. Posłała Becky przyjazne: „Cześć” i spryskała matę płynem Purell.

- Drobnoustroje - szepnęła.

Po lewej stronie Becky stała najpiękniejsza kobieta, jaką kiedykolwiek widziała, nie licząc gwiazd filmowych. Wysoka, o karmelowej karnacji, miała wystające kości policzkowe, oczy w blasku świec wyglądające jak topazy i napięty jak bęben brzuch, wypełniający jasnobrazową kaszmirową bluzę z kapturem. Becky dostrzegła doskonale zrobione paznokcie u rąk i, gdy kobieta zdjęła skarpetki, nieskazitelnie zadbane stopy. Diament na palcu lewej dłoni miał rozmiary kostki cukru. „Znam ją” - pomyślała. Nie mogła natychmiast przypomnieć sobie nazwiska, ale wiedziała, czym się zajmuje. Ta kobieta o egzotycznym imieniu - pomyślała Becky - jest żoną człowieka, którego Sixersi właśnie nabyli jako zawodnika środkowego i obrońcę, supergwiazdy z Teksasu, z jakąś absurdalnie wysoką średnią punktów na mecz, który, jak tłumaczył jej Andrew podczas wspólnie oglądanych rozgrywek, był także jednym z najlepszych zbierających w lidze.

Theresa usiadła na podłodze ze skrzyżowanymi po tu-recku nogami.

- Zacznijmy - powiedziała powoli sennym głosem, który sprawiał, że Becky miała ochotę zwinąć się w kłębek i zdrzemnąć. - Przedstawcie się po kolei, powiedzcie, na jakim jesteście etapie, jak przebiega ciąża, i trochę o sobie.

Joga Barbie miała na imię Kelly! Organizatorka imprez! To jej pierwsza ciąża! Miała dwadzieścia sześć lat i była w dwudziestym siódmym tygodniu! Czuje się świetnie, mimo że na początku bardzo to przeżywała. Musiała leżeć w łóżku! „Fascynujące” -

pomyślała Becky, tłumiąc kolejne ziewnięcie. Teraz nadeszła jej kolej.

- Nazywam się Rebecca Rothstein-Rabinowitz - powiedziała - i mam już za sobą dwadzieścia dziewięć i pół tygodnia. Będę miała dziewczynkę. To moje pierwsze dziecko i czuję się całkiem dobrze, prócz tego, że... - spojrzała żałośnie na swój brzuch - ...jeszcze tego nie widać, co jest przykre. - Theresa pokiwała życzliwie głową. - Co jeszcze? Aha, jestem szefową kuchni i menedżerem w restauracji Mas na Rittenhouse Square.

- Mas? - zachłysnęła się ze zdziwienia Kelly. - O Boże, byłam tam!

- Wspaniale - powiedziała Becky. No, no, jej własna matka nie reagowała tak entuzjastycznie na potrawy podawane w Mas. Restauracja została właśnie opisana w „Philadelphia Magazine” jako jedno z tych „siedmiu miejsc, dla których warto wyrwać się z przedmieścia”. Zamieścili też bardzo ładne zdjęcie Becky i Sarah. Cóż, głównie Sarah, ale jak się dobrze przyjrzeć, na samym skraju można dostrzec twarz Becky i jej włosy.

- Mam na imię Ayinde - odezwała się piękna kobieta po lewej stronie Becky. - Trzydzieści sześć tygodni. To też moja pierwsza ciąża i czuję się dobrze. - Splotła długie palce na brzuchu i powiedziała trochę wyzywająco, trochę przepraszająco: - W tej chwili nie pracuję.

- Co robiłaś przed ciążą? - zapytała Theresa. Becky założyłaby się, że odpowiedź zabrzmiałaby: „Byłam modelką od kostiumów kąpielowych”. Nie kryła więc zaskoczenia, gdy Ayinde wyznała, że pracowała jako reporterka.

- Ale to było w Teksasie. Jesteśmy tu z mężem zaledwie od miesiąca.

Kelly otworzyła szeroko oczy.

- O Boże! - powiedziała. - Jesteś...

Uniosła jedną z doskonale zarysowanych brwi, pospiesznie zamknęła usta, a na jej bladych policzkach wykwitł rumieniec. Theresa wskazała następną kobietę i kontynuowały - była pracownica socjalna, pracownica banku inwestycyjnego, kierowniczka galerii sztuki, producentka radiowa i jedna kobieta z kucykiem, która miała już dwuletnie dziecko i wyznała, że jest mamą pozostającą w domu.

- Zacznijmy - powiedziała Theresa. Usiadły po turecku, z dłońmi opartymi na kolanach. Osiem ciężarnych kobiet na drewnianej, trzeszczącej pod nimi podłodze, w blasku świec, kołyszących się w przód i w tył. - Pozwólcie, by oddech wypływał z podstawy kręgosłupa. Niech rozgrzeje wasze serca - mówiła instruktorka. Becky kołysała się w prawo i w lewo. „Na razie całkiem dobrze” - pomyślała, gdy Theresa prowadziła je przez serie ruchów okrężnych szyją i świadome oddychanie. Nie było ciężiej niż na tańcu terapeutycznym. - A teraz przeniesiemy cały nasz ciężar na ręce, uniesiemy pupy w powietrze i powoooli uniesiemy się do pozycji Psa - zaintonowała Theresa.

Becky oparła się na dłoniach i stopach, czując pod palcami lepką matę, i wypchnęła w górę pośladki. Słyszała, jak Joga Barbie stęknęła, przybierając zadaną pozycję, a piękna kobieta cicho jęknęła. Becky starała się zablokować łokcie, by powstrzymać ramiona przed drzeniem. Zaryzykowała i rozejrzała się w koło. Ayinde krzywiła się i miała zaciśnięte mocno usta.

- Wszystko dobrze? - szepnęła Becky.

- Moje plecy - odpowiedziała cicho Ayinde.

- Poczuuujcie, że jesteeście zjeednoczoonee z ziemią - mówiła powoli Theresa.

„Za chwilę poczuję bliski kontakt z podłożem” - pomyślała Becky. Ręce jej drżały, ale to Ayinde pierwsza opadła na kolana.

Theresa natychmiast uklękła przy niej i położyła dłoń na krzyżu kobiety.

- Pozycja była zbyt trudna? - zapytała.

Ayinde potrząsnęła głową.

-Nie, już wcześniej uprawiałam jogę. Po prostu... - Wzruszyła lekko ramionami. - Nie czuję się dziś najlepiej.

- Posiedź przez chwilę spokojnie - zaproponowała Theresa. - Skup się na oddechu.

Ayinde przytaknęła i przekręciła się na bok. Dziesięć minut później, po Wojowniku, Trójkacie i trudnej pozycji na klęczkach, którą Becky nazwała Umierający Gołąb, a która może byłaby prostsza, gdyby nie miało się biustu, wszystkie dołączyły do niej.

- Pozycja martwego ciała - powiedziała Theresa, nastawiając głośniejszym szum wiatru. - Dotknijcie delikatnie swoich brzuchów, oddychajcie głęboko, napełniając płuca tlenem, i prześlijcie dzieciom poczucie spokoju.

Becky poczuła burczenie w brzuchu. „Spokój” - pomyślała, wiedząc, że nic z tego. Przez pierwszy trymestr była wykończona, w drugim odczuwała mdłości, a teraz ciągle była głodna. Starła się przesłać dziecku spokój, ale skończyło się na myśleniu o tym, co zje na kolację. „Żeberka w czerwonych pomarańczach” - pomyślała i westchnęła radośnie. W tej samej chwili Ayinde z trudem łapała oddech. Becky podparła się na jednym łokciu. Ayinde masowała sobie krzyż, powieki miała zaciśnięte.

- Jakiś skurcz albo coś takiego - szepnęła, nim Becky zdążyła zapytać.

Kiedy Theresa złożyła dłonie na godnym pozazdrosczenia biuście i życzyła im *namaste*, kobiety zeszyły po kręconych schodach. Na zewnątrz panował półmrok. Kelly dołączyła do Becky.

- Uwielbiam twoją restaurację - paplała, gdy szły na południe ulicą Trzecią, w stronę Pine.

-Dzięki - odpowiedziała Becky. - Pamiętasz, co zamówiłaś?

- Kurczaka w sosie mole - odparła dumnie Kelly, z akcentem na drugiej sylabie hiszpańskiego słowa. - Był wspaniały i... o Boże! - Kelly powiedziała to już po raz

trzeci tego wieczoru. Becky spojrzła w stronę, gdzie wskazywała, i ujrzała Ayinde, opierającą się dłońmi o szybę od strony pasażera swojego gigantycznych rozmiarów samochodu. Za wycieraczką trzepotało coś białego.

- O rany! - odezwała się Becky - albo tak źle zniosła mandat za złe parkowanie, albo...

- O Boże! - powtórzyła Kelly i wyrwała się do przodu.

Gdy się zbliżały, Ayinde patrzyła na nie bezradnie.

- Chyba odeszły mi wody - powiedziała i spojrzła wymownie na przemoczone spodnie. - Ale jest za wcześnie. To dopiero trzydziesty szósty tydzień. Mój mąż jest w Kalifornii...

- Od jak dawna masz skurcze? - zapytała Becky. - Położyła dłoń pomiędzy łopatkami kobiety.

- W ogóle nie mam - rzekła Ayinde. - Boli mnie krzyż, to wszystko.

- To mogą być bóle porodowe - stwierdziła Becky. Ayinde spojrzła na nią tępo. - Wiesz coś na ten temat?

- Mieliśmy chodzić do szkoły rodzenia w szpitalu w Teksasie - mówiła Ayinde, zaskakując usta - ale Richard dostał kontrakt, przeprowadziliśmy się i wszystko... - Ze świstem wciągnęła powietrze, nadal opierając się o szybę. - Nie mogę uwierzyć, że to już. A jeśli on nie zdaży przyjechać?

- Nie panikuj - odparła Becky. - Pierwszy poród zazwyczaj chwilę trwa. Wody odeszły, ale to nie oznacza, że za chwilę urodzisz...

- Och! - krzyknęła Ayinde i złapała się za krzyż.

- Wszystko jasne - stwierdziła Becky. - Uważam, że powinniśmy jechać do szpitala.

Ayinde spojrzła na nią, krzywiąc się.

- Zatrzymasz dla mnie taksówkę?

- Nie wygłupiaj się - odrzekła Becky. „Biedactwo” - pomyślała. Rodzić w samotności - bez męża w pobliżu, bez przyjaznej duszy, by pottrzymała za rękę - to najgorszy koszmar, jaki mogła sobie wyobrazić. No, może jeszcze obwód jej talii, opisany w raporcie „Otyłość - narodowa epidemia”.

- Nie zostawimy cię na pastwę losu, wsadzając do taksówki!

- Mam tu samochód - oznajmiła Kelly. Uniosła breloczek z kluczami, nacisnęła guzik i stojący po drugiej stronie ulicy SUV marki Lexus wydał z siebie dźwięk. Becky pomogła Ayinde wsiąść na przednie siedzenie. Sama usiadła z tyłu i zapięła pasy.

- Do kogo zadzwonić?

- Chodzę do doktora Mendlowa.

- To świetnie, bo ja też - odparła Becky. - Mam jego numer w komórce. Ktoś jesz-

cze? Mama, przyjaciółka?

Ayinde potrząsnęła głową.

- Dopiero się tu przeprowadziliśmy - powiedziała, gdy Kelly uruchomiła samochód. Ayinde odwróciła się i chwyciła Becky za rękę. - Proszę, posłuchaj. Mój mąż...

- Zmarszczyła czoło. - Myślisz, że jest tylne wejście do szpitala albo coś takiego? Nie chcę, by ktoś zobaczył mnie w tym stanie.

Becky uniosła brwi.

- Cóż, to przecież szpital - stwierdziła. - Są przyzwyczajeni do ludzi z ranami postrzałowymi. Mokre spodnie ich nie zdziwią.

- Proszę - powtórzyła, ściskając dłoń jeszcze mocniej. - Proszę.

- W porządku. - Becky wyciągnęła z torby wielki czarny sweter i czapkę baseballową. - Kiedy wysiadziemy, możesz się tym owinąć w pasie. Jeśli sądzisz, że dasz radę wejść po schodach, wejdziemy do izby przyjęć z tamtej strony, żeby nie czekać na windę.

- Dziękuję - powiedziała Ayinde. Naciągnęła czapkę na oczy i zadzierając brodę, spojrzała na nie. - Przepraszam, ale nie pamiętam waszych imion.

- Becky - powiedziała Becky.

- Kelly - powiedziała Kelly.

Ayinde zamknęła oczy i Kelly ruszyła.

AYINDE

- Cóż, nie ulega wątpliwości, że pęcherz płodowy pękł.

Młoda lekarka zdjęła energicznie gumowe rękawiczki i po raz setny spojrzała na drzwi, jakby oczekiwała, że zaraz stanie w nich wielki i sławny Richard Towne. „Nie jest to zupełnie nieuzasadnione” - pomyślała Ayinde, gładząc cieniutki materiał koszuli nocnej okrywający jej gołe nogi. W ciągu ostatnich czterdziestu pięciu minut zostawiła kilkanaście wiadomości pod zawrotną liczbą numerów. Dzwoniła na komórkę Richarda i jego pager; zostawiła wiadomość agentowi i trenerowi; w recepcji klubu, u gosposi w ich nowym domu w Gładwyne. Jak dotąd cisza. „Nic dziwnego” - pomyślała ponuro. Właśnie toczyła się pierwsza runda rozgrywek, wszyscy skupiali się na grze, telefony wyłączała. Miała pecha.

-Ma pani tylko centymetr rozwarcia. W takich przypadkach zależy nam, by dziecko przyszło na świat w ciągu dwudziestu czterech godzin, gdyż później bardzo wzrasta ryzyko infekcji. Ma pani kilka możliwości - powiedziała lekarka.

Ayinde pokiwała głową. Kelly i Becky zrobiły to samo. Lekarka, DOKTOR SAN-

CHEZ, jak głosiła plakietka, znów spojrzała na drzwi. Ayinde odwróciła wzrok. Żalowała, że nie może zatkać sobie uszu, by nie słyszeć dochodzącej z sąsiedniego łóżka paplaniny.

- Richard Towne! Z Sixersow! - Łóżko Ayinde było oddzielone od następnego zasłonką. Najwyraźniej jednak sąsiadka Ayinde stwierdziła, że kawałek materiału tłumi dźwięki, podobnie jak ściana, i teatralnym szeptem na cały regulator trajkotała, mimo napisu: PROSIMY O WYŁĄCZENIE TELEFONÓW KOMORKOWYCH. - Tak, tak! Tuż obok mnie! - ściszyła głos, mimo to Becky, Kelly i Ayinde słyszały każde słowo. - Nie wiem. Może jest Mulatką? - kobieta zachichotała. - Używa się jeszcze tego określenia?

Ayinde zamknęła oczy. Becky położyła dłoń na jej ramieniu..

- Dobrze się czujesz?

- W porządku - mruknęła Ayinde. '

Kelly naląła do szklanki wody. Ayinde napiła się i odstawiła naczynie.

- Nie, nie, nie ma - paplała kobieta na sąsiednim łóżku. - Jeszcze go nie widziałam, ale przecież musi gdzieś tu być, prawda?

„Tak by się zdawało” - pomyślała Ayinde. Spuściła nogi z łóżka i szarpnięciem odłączyła ciśnieniomierz. Przenikliwy trzask rzepa sprawił, że sąsiadka wreszcie się zamknęła. Lekarka zdołała oderwać wzrok od drzwi.

- Chyba zaczynam rodzić - powiedziała Ayinde.

- Ayinde, jesteś pewna? - zapytała Becky. - Może pojedziesz do domu, trochę pochodzisz, spróbujesz się przespać i odpocząć we własnym łóżku? Wiesz, badania wykazują, że im dłużej kobieta po rozpoczęciu akcji porodowej jest w domu, tym mniej czasu spędza po porodzie w szpitalu, a do tego zmniejsza się ryzyko ratunkowego cesarskiego cięcia, użycia kleszczy czy vacuum.

- Skąd ty to wiesz? - zdziwiła się Kelly.

- Chodzę na zajęcia przygotowujące do porodu naturalnego - powiedziała Becky nieco defensywnie.

- Nie chcę jechać do domu. Mieszkam pod Gładwyne - odparła Ayinde. - Za dużo zamieszania z jeżdżeniem tam i z powrotem. - „A poza tym” - pomyślała - „nie mam zamiaru - jak to Becky ujęła? - rodzić w domu, na oczach kucharza, gosposi i kierowcy”.

- Czy ktoś by się tobą zajął? - zapytała Becky. - Mogłybyśmy przyjechać i zabrać cię z powrotem do miasta, gdy będziesz już gotowa... albo po prostu pojedziemy na chwilę do mnie.

- Jesteś bardzo miła, ale zostanę tutaj. - Podąła Becky komórkę. - Mogłabyś wyjść na korytarz i zadzwonić do mojego domu? - zapytała. - Poproś Clare. Powiedz, że po-

trzebna mi walizka - ma rączkę obwiązaną żółtą wstążeczką i jest w garderobie. Niech powie Joemu, by przywiózł ją do szpitala.

- Jesteś pewna? - nalegała Becky. - Nie ma powodu, żebyś tu była, póki nie musisz. A to może potrwać kilka godzin.

Lekarka przytaknęła.

- Pierwszy poród zazwyczaj się ślimaczy.

- Chodź ze mną - powiedziała Becky. - Pieszko jest do mnie piętnaście minut, w każdej chwili będziemy mogły cię odwiedzić.

- Nie chciałabym...

- Ja też pojedę - oświadczyła Kelly - To lepsze niż spędzić kolejny wieczór w domu, czytając *Czego oczekiwać, gdy spodziewasz się dziecka*.

- Będiesz bezpieczna. Mój mąż jest lekarzem - przekonywała Becky.

- Jesteś pewna? - spytała Ayinde.

- Nie powinnaś zostawać tu sama - upierała się Becky. - Nawet jeśli to potrwa tylko kilka godzin. Zadzwonimy do twojego męża i może uda ci się rozluźnić.

- Radziłabym to zrobić - odezwała się lekarka. - Jeśli chce pani mojej rady, proszę jechać z przyjaciółkami.

Ayinde nie zadała sobie trudu, by wyprowadzić ją z błędu.

- Dziękuję - wymamrotała. Wzięła swoje ubrania i zniknęła w łazience, cichutko zamykając za sobą drzwi.

„Przyjaciółki” - pomyślała Ayinde, wciągając spodnie i poprawiając włosy drżącymi dłońmi. Nie miała przyjaciółki od drugiej klasy. Przez całe życie czuła, że nie pasuje; pół czarna, pół biała, ani taka, ani taka.

„Bądź dzielna” - powtarzali rodzice. Pamiętała, jak nachylali się nad łóżeczkiem, gdy była mała, ich poważne twarze w ciemności - twarz matki koloru mlecznej czekolady, a ojca biała jak śnieg. „Jesteś pionierką” - tłumaczyli. Z ich oczu biły szczere, dobre chęci. „Jesteś przyszłością. Nie wszyscy to rozumieją, nie wszyscy będą cię kochać tak jak my więc musisz być dzielna.”

Łatwo było wierzyć im nocną porą, w bezpiecznym schronieniu, jakie dawało osłonięte baldachimem łóżko na środku sypialni, znajdującej się na drugim piętrze ośmiopokojowego bliźniaka w Upper East Side. W ciągu dnia nie było już tak prosto. Białe dziewczynki, z którymi chodziła do prywatnej szkoły, przeważnie były miłe, z nielicznymi wyjątkami, ale ich przyjaźń miała coś z litości, jakby Ayinde była bezpańskim psem, którego uratowały przed deszczem. Czarne dziewczynki, znała ich w Dalton niewiele, zdobywczyni stypendiów w Miss Porter, nie chciały mieć z nią wiele do czynienia, gdy odkryły, że w kwestii pochodzenia bliższa była bogatym białym niż im.

Otworzyła drzwi. Becky i Kelly czekały.

- Gotowa? - zapytała Becky. Ayinde skinęła głową i wyszła za nimi.

Wiedziała, że małżeństwo z mężczyzną takim jak Richard niesie ze sobą ryzyko, a jeśli nawet miała jakieś wątpliwości, jej matka, Lolo Mbezi, supermodelka z lat siedemdziesiątych, utwierdziła ją w tym.

- Nie będziesz miała prywatnego życia - ostrzegła Loło. - Gwiazdy sportu są własnością publiczną. Ich żony też. Mam nadzieję, że jesteś na to przygotowana.

- Kocham go - odparła Ayinde.

Lolo pochyliła głowę, jeszcze bardziej eksponując doskonały profil.

- Mam nadzieję, że to wystarczy - powiedziała.

„Do teraz” - pomyślała Ayinde, gdy już jechały - „tak było”. Richard dał jej więcej, niż oczekiwała; jego miłość wynagrodziła wszystko, czego nie miała w dzieciństwie. Spotkała Richarda, gdy jako reporterka oddziału CBS w Fort Worth pojechała zrobić wywiad z jednym z jego kolegów z drużyny, osiemnastoletnim Antoine'em Vaughnem. Poszła prosto do szatni i w tym momencie pojawił się pierwszy gracz, wciąż mokry po wyjściu spod prysznic, przepasany ręcznikiem.

- Nie spuszczaaj wzroku – szepnął Eric, kamerzysta.

Przełknęła głośno i odchrząknęła.

-Przepraszam pana. Jestem Ayinde Walker z KTVT i chciałam spotkać się z Antoine'em Vaughnem.

Odpowiedziała jej cisza. Potem rozległy się chichoty, szepty, których nie była w stanie zrozumieć.

- Seksowne mają reporterki, nie?! - zawołał mężczyzna, który, na szczęście, wciąż miał na sobie strój.

- Zastąpiłaś starego Sama Robertsa?

- Hej, kotku! Nie zajmuj się dzieciakiem. Chodź tutaj, ja ci udzielę wywiadu!

- Grzecznie, chłopaki - odezwał się z obowiązku siedzący w rogu asystent trenera, facet w średnim wieku, w pomiętym garniturze, niesprawiający wrażenia, jakby chciało mu się pilnować porządku.

Znów przełknęła ślinę i niechętnie spojrzała na półnagie męskie ciała.

- Czy ktoś wie, gdzie jest Antoine Vaughn?

-Możesz nazywać mnie Antoine! - zaproponował ten, który wcześniej pytał, czy zastąpiła Sama Robertsa, dziennikarza sportowego stacji. - Możesz nazywać mnie, jak chcesz, skarbie!

Posłała mężczyźnie w rogu rozpaczliwe spojrzenie, ale ten zdawał się go nie dostrzegać.

- Tu jestem.

Odwróciła się... to był Antoine Vaughn. Leżał całkiem goły na ławce. Rozpoznała go na podstawie zdjęcia, przesłanego przez drużynę. Oczywiście na zdjęciu widać było tylko ramiona i głowę. I miał na sobie ubranie.

-Zobacz, to prawda - powiedział, wskazując na dolne partie swego ciała i śmiejąc się. Najwyraźniej miał przygotowaną tę kwestię. - Wszystko jest większe w Teksasie!

Ayinde uniosła jedną brew i usztywniła kolana, by nikt z drużyny nie zauważył, że drżą. Cała ta sytuacja przywołała złe wspomnienia. W bardzo ekskluzywnej prywatnej szkole w Nowym Jorku kilka dziewczyn („białaski” - myślała o nich wtedy) wepchnęło ją do łazienki dla chłopców. Nic się nie stało i tak naprawdę to chłopcy bardziej się zdenerwowali niż ona, ale nigdy nie zapomniała przerażenia, gdy za jej plecami zatrzasnęły się drzwi. Teraz, w szatni, wzięła głęboki oddech, tak jak się uczyła, by głos wydobywał się z przepony.

- Jeśli tak - powiedziała - ty jesteś z innego stanu.

- Frajerka! - zawołał jeden z graczy.

- Hej, Antoine, stary, ale ci dogadała.

Antoine Vaughn spojrzał na Ayinde zmrużonymi oczami i owinał się ręcznikiem.

- To nie było śmieszne - wymamrotał, siadając i pochylając się.

-Hej!

Ayinde odwróciła się i spoglądała wyżej... i wyżej.

- Proszę nie przejmować się dzieckiem - odezwał się Richard Towne. Miał na sobie koszykarski strój. Kasztanowa skóra w rozcięciu koszulki błyszczała od potu. Gdy się uśmiechnął, jego zęby zaśniły. Nie zamierzała jeszcze ustępować... nawet jeśli Richard Towne - jeden z najbardziej znanych obecnie sportowców amerykańskich, który nigdy nikomu nie udzielał wywiadów, a w rzeczywistości był jeszcze bardziej atrakcyjny niż na zdjęciach - rzucił jej, by się nie przejmowała.

- Proszę powiedzieć mu, żeby się ubrał.

- Załóż coś na siebie, stary - zwrócił się Richard do Antoine'a Vaughna, który zeskoczył z ławki tak szybko, jakby sam Pan Bóg rozkazał mu włożyć majtki. Richard odwrócił się znów do Ayinde.

- Wszystko w porządku? - zapytał, ścisząc głos tak, żeby nikt prócz Ayinde nie słyszał.

- Tak - odparła, jednak kolana trzęsły się jej tak bardzo, że dziwiła się, iż nie słychać ich stukania. Richard położył jedną ze sławnych na całym świecie rąk na ramieniu Ayinde i wyprowadził z szatni na tętniące życiem trybuny.

- Żartowali sobie - powiedział.

- To nie było śmieszne. — Zamrugnęła powiekami, wściekła z powodu łez, które na-

pływały do oczu. - Próbuje wykonywać swoją pracę.

-Wiem, wiem. Proszę - powiedział, podając jej kubek z wodą. Wypiła. Trzepotała rzesami, wiedząc, że jeśli choćby jedna łza spadnie, makijaż się rozmaże i będzie tragicznie wyglądała przed kamerą.

Odetchnęła głęboko.

- Myślisz, że porozmawia ze mną?

Richard Towne zastanowił się.

- Jeśli mu każę, porozmawia.

- Zrobisz to?

Znów się uśmiechnął, a ona poczuła, jakby po trzech miesiącach srogiej zimy wyszła na plażę i poczuła tropikalne słońce na skórze.

- Jeśli zjesz ze mną kolację, tak.

Ayinde nie odezwała się. Nie do końca wierzyła w to, że Richard Towne zaprasza ją na randkę.

- Widziałem cię w wiadomościach - powiedział. - Jesteś dobra.

- Ale nie w towarzystwie nagich nastolatków.

- Wygrywałaś tę bitwę - oświadczył. - Ja tylko przyspieszyłem zakończenie. Więc zjesz ze mną kolację?

Ayinde słyszała w głowie słowa matki, mówiącej z niby- -brytyjskim akcentem, nabytym podczas dziesięciodniowego pobytu w Londynie, gdy Ayinde miała jakieś dwanaście lat. „Niech się starają” - instruowała Lolo.

- Nie sądzę - rzekła automatycznie. Powiedziałyby to, nawet gdyby w jej podświadomości nie pojawiła się Lolo i nie szeptała do ucha: „Richard Towne jest sławny”.

Zaśmiał się.

- Więc to tak, co? Masz już kogoś?

- Nie idziesz na mecz? - Jej głos był przepełniony chłodem, ale nie potrafiła powstrzymać uśmiechu. Odwróciła głowę, żeby tego nie widział.

- Grasz niedostępna - powiedział i pogładził wierzch jej dłoni.

- Wcale nie gram - odparła. - Pracuję. - Zbierając się na odwagę, spojrzała mu w twarz. - I, szczerze mówiąc, nie wyobrażam sobie związku z mężczyzną, który do pracy chodzi w szortach.

Przez chwilę patrzył na nią uważnie. Ayinde poczuła, jak jej serce zwalnia. Złękła się, że przesadziła, z kogoś takiego nikt nie śmie sobie żartować, nikt by się nie odważył... Nie powinna była użyć słowa „związek”, gdy on zapraszał ją tylko na kolację. W końcu Richard Towne odchylił głowę i zaśmiał się.

-A jeśli obiecuję, że założę spodnie?

-Do pracy?

- Na kolację.

Spojrzała na niego z ukosa.

- Koszulę też? - Chciała znów usłyszeć jego śmiech.

- Nawet marynarkę i krawat.

-W takim razie... - zamilkła, każąc mu czekać. - W takim razie przypuszczam, że mogę to rozważyć.

Zawołała kamerzystę, który poszedł sfilmować popisy grupy tancerek, dwunastu dziewczyn potrząsających biodrami i włosami, jak w ataku padaczki.

- Jesteś gotowy? Możesz teraz sfilmować Antoine'a?

Erie oderwał się od tancerek i na widok Richarda Towne'a otworzył szeroko oczy.

- Nieźle przyłożyliście Lakersom!

-Dziękuję - powiedział Richard i znów spojrzał na Ayinde. - Piątek wieczór?

„Koszykarz” - pomyślała. W jej życiu nie było żadnego sportowca. Pojawiali się lekarze, prawnicy, biznesmeni i raz, ku radości dyrektora programowego, miała romans z prezenterem stacji NBC. Spotykali się przez trzy miesiące i przez trzy miesiące ich nazwiska nie schodziły z pierwszych stron gazet.

- Słuchaj - powiedziała. - Chcę, żeby wszystko było jasne. Jestem wdzięczna za pomoc, ale jeśli szukasz panienki do towarzystwa, to pomyliłeś adres.

Richard Towne potrząsnął głową. Ayinde poczuła zamęt w głowie na widok pięknego męskiego ciała, wypukłych bicepsów, muskularnych przedramion i ogromnych dłoni.

- Nie martw się - powiedział. - Nie jestem kimś w rodzaju wybawiciela, ale prostym człowiekiem - stwierdził, rozkładając ręce. - Chcę trochę pograć w kosza, może zdobyć kolejny puchar. Korzystać z życia, rozumiesz. Ty jesteś prawdziwą damą. Doceniam to. Ale nawet pracujące kobiety muszą jeść.

- To fakt - odparła, uśmiechając się.

- Zadzwoń do ciebie. - Ukłonił się wytwornie i odszedł. Kiedy wróciła do redakcji, na biurku czekał już na nią ogromny bukiet bzu i lilii. *Właśnie to nazywają pressingiem* - przeczytała na bileciku. Zaśmiała się głośno, nim podniosła słuchawkę, by zadzwonić do Richarda Towne'a i powiedzieć, że piątkowy wieczór jej odpowiada.

Ayinde zamknęła oczy i próbowała przetrwać skurcz.

- Świetnie - powiedziała Becky. - Oddychaj... oddychaj ... dobrze ci idzie, oddychaj...

- Oooo! - westchnęła Ayinde, gdy skurcz minął. Becky posadziła ją na olbrzymiej niebieskiej piłce pośrodku malutkiego salonu. Mieszkała w domu przy wąskiej uliczce

niedaleko Rittenhouse Square. Ayinde kiwała się w przód i w tył, powstrzymując krzyk.

- Sześćdziesiąt sekund - odezwała się Kelly. Siedziała w rogu kanapy, owinięta kocem, z notatnikiem na kolanach i stoperem w dłoni.

- Nie powinnyście jechać już do szpitala, dziewczyny? - zabrzmiał głos na schodach.

- Nie czaj się, mamó - powiedziała Becky, nie odwracając głowy.

- Nie czaję się - odparła Edith Rothstein, mimo że istotnie czaiła się na schodach, widoczna jedynie od pasa w górę. Od pięciu godzin, odkąd trzy kobiety przeszły przez próg mieszkania, nie postawiła stopy w salonie. Zdenerwowana, wciąż wykrecała dłonie. - Po prostu się niepokoję.

- Czaisz się! - powtórzyła Becky.

Edith, zadbana kobieta ze starannie ułożoną fryzurą z ja- snorudych włosów i sznu- rem pereł na szyi, zacisnęła wargi. Przyjechała na północ rzekomo na ślub kuzynki w Ma- maroneck, ale zdaniem Becky prawdziwym powodem była chęć obserwowania jej brzucha i ciągle przemawianie do nienarodzonej wnuczki.

- Nie przeszkadzałyby mi to tak bardzo - stwierdziła Becky - gdyby nie to, że prawie się do mnie nie odzywa. Tak jakby jej pole widzenia kończyło się na mojej szyi.

Ayinde przetarła czoło i rozejrzała się wokół. Salon w domu Becky był wielkości jej garderoby. Była pewna, że w doborze przepelnionych półek, a także leżących na kana- pie i fotelach afganów, nie brał udziału dekorator wnętrz. Mimo wszystko pokój był pełen uroku, ciepły i bezpieczny. Ale niewystarczająco ciepły i bezpieczny dla matki Becky.

- Andrew - szepnęła na tyle głośno, że wszystkie trzy ją usłyszały - czy sądzisz, że to w porządku?

- W porządku, Edith - odparł Andrew z kuchni na dole. - Panie sprawiają wrażenie, że wszystko kontrolują.

- Co oni tam robią? - spytała Ayinde. Szczęściara z tej Becky, nie dość, że ma ta- kiego uroczego męża, to w dodatku, co najważniejsze, był tutaj, a nie pięć tysięcy ki- lometrów stąd. Andrew przypominał trochę jej ojca... albo raczej rolę, jakie odgrywał na Broadwayu lub czasem na dużym ekranie. Znalazł swoje miejsce, wcielając się w troskliwych, dobrodusznych ojców, a ostatnio nawet dziadków.

- Andrew siedzi w Internecie, a mama zapewne ustawia puszki z jedzeniem w po- rządku alfabetycznym - szepnęła Becky. - Dajemy sobie radę, mamó! - zawołała. - Naprawdę. - Edith znów potrząsnęła głową i znikła jak królik w norze. Ayinde już po raz setny, od chwili gdy odeszły wody, sięgnęła po telefon komórkowy, wystukała numer Richarda. Wzięła głęboki wdech, a telefon wciąż dzwonił i dzwonił, kiedy ko-

lejny skurcz przetaczał się przez jej ciało.

- Następny - powiedziała, kuląc się.

Kelly zbladła, gdy Ayinde próbowała oddychać, przewyciężając ból.

- Jak to jest? - zapytała, kiedy skurcz minął.

Ayinde potrząsnęła głową. Ból był straszny, znacznie gorszy od tych, jakie kiedykolwiek odczuwała. Znacznie gorszy niż wtedy, gdy mając czternaście lat, złamała sobie nogę w kostce podczas jazdy konnej. Czuła, jakby w pasie zaciskały się metalowe obręcze, coraz mocniej i mocniej wraz z narastaniem skurczu. Jakby dryfowała po rozległym oceanie, z dala od brzegu i bez łodzi ratunkowej na horyzoncie.

- Źle - wysapała, przyciskając pięści do krzyża. - Źle.

Becky położyła dłonie na ramionach Ayinde i spojrzała jej w oczy.

- Oddychaj ze mną - powiedziała. Wzrok miała równie spokojny jak głos, ręce silne i pewne. - Spójrz na mnie. - Wszystko będzie dobrze. Dostarcz dziecku trochę powietrza. Dalej, Ayinde, oddychaj...

- O Boże! - jęknęła. - Już dłużej nie mogę... Chcę do mamy. - Skurcz w końcu złągodniał. Ayinde rozplakała się. Łzy były oznaką porażki.

Dokładnie wtedy, wreszcie, zadzwonił telefon.

- Kochanie. - Richard zdawał się być przygnębiony i zmieszany. W tle słyszała hałas.

- Gdzie jesteś?

- W drodze na lotnisko. W drodze do domu. Przepraszam, Ayinde, wyłączyłem telefon, gdy zaczął się trening...

- I nikt ci nie powiedział?

Słyszała dźwięk zamykanych drzwi samochodu.

- Dopiero przed chwilą.

„Pewnie po skończonej grze” - pomyślała gorzko. „Pewnie wtedy, gdy już go nie potrzebowali”.

- Pospiesz się - powiedziała, ściskając telefon tak mocno, jakby chciała go zgnieść.

- Będę najszybciej jak się da. Jesteś w szpitalu, tak?

- W tej chwili nie - odparła, czując zbliżający się skurcz. Wiedziała, że nie będzie miała ani czasu, ani siły, by wytłumaczyć mu, gdzie jest i jak się tu znalazła. - Ale tam się spotkamy, pospiesz się - powtórzyła. Rozłączyła rozmowę i zgięła się wpół, jedną dłonią wciąż ściskając telefon, drugą zaś wbijając w plecy, które, miała wrażenie, płonęły.

- Sześćdziesiąt sekund - powiedziała Kelly, zatrzymując stoper.

- W porządku. - Głos Becky był opanowany. Swobodnie mogłaby zastąpić instruktorkę jogi. - Sądzę, że już czas jechać. - Pomogła Ayinde usiąść z powrotem na kanapie. - Chcesz, żebym zadzwoniła do twojej mamy?

Z ust Ayinde wyrwał się krótki śmiech.

- Mama - powtórzyła. - Nigdy tak do niej nie mówiłam. Nie pozwalała mi. Chciała, bym nazywała ją Lolo. Niektórzy myśleli, że jesteśmy siostrami. Nigdy nie wyprowadzała ich z błędu. - Wydała z siebie nagły, zdławiony dźwięk.

- Minęła chwila, nim Becky i Kelly zorientowały się, że to śmiech. - Wiecie, co powiedziała, gdy poinformowałam ją, że jestem w ciąży?

Kelly i Becky potrząsnęły głowami.

- Powiedziała: „Jestem za młoda, by zostać babcią”. Żadnego: „Gratuluję”. Żadnego: „Tak się cieszę”. „Jestem za młoda, by być babcią”. - Ayinde pokiwała głową, złapała się za krzyż i znów się zgięła. - Nie... dzwoń... do niej - wysapała. - I tak by nie przyjechała.

Becky kreśliła dłonią małe kółka na plecach Ayinde.

- Jedziemy do szpitala - zdecydowała.

Edith pojawiła się w pokoju jak diabełek wyskakujący z pudełka, tak szybko, że chyba siedziała na schodach i czekała, aż będą jej potrzebowały. „To nie fair” - pomyślała Ayinde. „Becky ma matkę i męża”. Ayinde poczuła się tak, jakby ona sama nie miała zupełnie nikogo.

- Weź na wszelki wypadek jakieś ubranie, gdyby to trochę potrwało. I kilka butelek wody. - Edith uciekła po schodach na dół. Ayinde jęknęła, gdy Kelly schyliła się, by założyć jej buty, a potem poprowadziła małymi kroczkami przed dom, gdzie w samochodzie czekał już Andrew Rabinowitz. - Kelly, usiądź z przodu - poinstruowała Becky, pomagając Ayinde wgramolić się na tylne siedzenie. Stojący po drugiej stronie ulicy bezdomny przyglądał się im, kiwając się to w przód, to w tył na piętach.

- Może potrzebujecie łyżki do butów! - zachichotał.

- Bardzo śmieszne - wymamrotał Andrew, przytrzymując drzwi żonie. Ayinde zaciśnęła powieki, próbując zapiąć pasy i kurczowo ściskając telefon. Ból przemieszczał się w jej ciele, przeskakując z nóg do krzyża, brzucha, wstrząsając nią jak lew pólżywą gazelą w zaciśniętych morderczo szczękach. Czuła, że jeśli otworzy oczy, rozpadnie się na kawałki. Becky odgarnęła jej włosy z czoła.

- Trzymaj się. Zaraz tam będziemy - powiedziała.

Ayinde skinęła głową. Oddychała głęboko, liczyła od stu do zera i znów od początku. W głowie miała tylko jedną myśl: wytrzymać do chwili, gdy dotrą do szpitala. Tam coś jej dadzą na złagodzenie bólu. Bardziej niż skurcze bolało upokorzenie. „Z brzuchem, bez męża” - tak pomyśli sobie każdy, kto ją zobaczy. „Nosi obrączkę, a gdzie mąż?”

Andrew podjechał pod izbę przyjęć Szpitala Stanu Pensylwania i kobiety wysiadły z samochodu: Ayinde w podkoszulku i pożyczonych od Becky spodniach od piżamy,

Becky w legginsach i bluzie, z lokami upiętymi w kok. Kelly nie skorzystała z propozycji Becky, by się przebrała, i wciąż miała na sobie stylowy strój ciążowy z lycry, w modne paski, kontrastujący z przestraszonym wyrazem bladej twarzy.

- Do izby przyjęć - zarządziła Becky. Wzięły z Kelly Ayinde pod ramiona i poprowadziły do windy. Dotarły na trzecie piętro, gdzie Ayinde, trzymając się krawędzi blatu w okienku rejestracji, próbowała przeliterować swoje imię.

- A-Y-I-N...

- Amy? - zgadywała położna.

- Ayinde! - jęknęła Ayinde. - Ayinde Towne! Żona Richarda Towne'a. - Przestało zależeć jej, by nie wiedzieli, kim jest. Przestała myśleć o tym, że rzecznik prasowy kazał jej zgłosić się pod nazwiskiem panińskim. Przestało zależeć jej na czymkolwiek, oprócz pozbycia się bólu.

- Trzeba było od razu tak mówić, skarbie - powiedziała zadowolona położna, podając Ayinde koszulę. - Zdejmij wszystko od pasa w dół, połóż się na leżance i poczekaj na lekarkę. - Spojrzała ponad głową Ayinde na drzwi. - Mąż parkuje samochód?

Ayinde złapała koszulę i bez słowa poczłapała do szpitalnej łazienki.

- Cóż - pociągnęła nosem pielęgniarka. - Nie ma się za co obrażać! - Odwróciła się do Becky i Kelly: - Przyjdzie?

Kelly wzruszyła ramionami.

- Tak myślimy - odparła Becky. Zmęczona twarz pielęgniarki pojaśniała.

Zostawiły pielęgniarkę ze słuchawką telefoniczną w dłoni. W łazience znalazły kłęczącą Ayinde z koszulą owiniętą wokół ramion. Spodnie od piżamy leżały na podłodze

- Środki przeciwbólowe - powiedziała Ayinde. Oblizwała spieczone usta, złapała się za klamkę, zdołała spuścić wodę i podnieść się z kolan. - Proszę, pomóżcie mi znaleźć lekarza. Chcę dostać znieczulenie.

- Dobrze - powiedziała Kelly. - Chodź, położymy cię do łóżka. - Otworzyła drzwi od łazienki i stanęła oko w oko z trzema osobami w lekarskich kitlach - mężczyzną i dwiema kobietami.

- To ona? - usłyszała Ayinde. Zamknęła oczy i pozwoliła Becky zaprowadzić się do łóżka. Po kilku sekundach pojawił się rozpromieniony lekarz.

- Witam, pani Towne! - zaczął, jakby znał ją całe życie. - Jestem doktor Cole.

- Chciałabym dostać znieczulenie zewnątrzoponowe - powiedziała Ayinde, wkładając nogi w strzemiona i nie przejmując się przy tym, że kopnęła lekarza w klatkę piersiową, nie zważając też, kto co widział.

- Dobrze, niech zobaczą, co tu mamy - powiedział doktor, szybko zabierając się do badania. Ayinde krzyknęła i starała się nie poruszać. - Sześć centymetrów rozwarcia,

może siedem. Zawiadomimy doktora Mendlowa i zaraz przyślemy anestezjologa.

Pielęgniarka o ziemistej cerze pomogła Ayinde usiąść na wózku i zawiozła ją do sali.

- Czas się pożegnać - powiedziała. - Tylko najbliższa rodzina może być przy porodzie, chyba że wcześniej się to zgłosi.

- Jesteśmy jej siostrami - odparła Kelly.

Położna wpatrywała się w nie z coraz szerzej otwartymi ustami: trzy kobiety, dwie białe, jedna czarna, wszystkie trzy w ciąży.

- To bardzo owocny rok dla naszej rodziny - powiedziała Kelly wesoło. Ayinde posłała jej zboląły uśmiech.

- Cóż, myślę, że możemy zrobić wyjątek - zgodziła się położna. - Żadnych komórek, pagerów, jedzenia - dodała.

Ayinde napiła się wody z filizanki, którą podała jej Kelly. Z sąsiedniej sali dochodziły rozzwierające jęki kobiety w ostatniej fazie porodu.

- Dalej, kochanie, przyj, przyj, PRZYJ! - dopingował ją mąż. Ayinde zastanawiała się, czy w weekendy był trenerem Małej Ligi i stojąc przed grupką sześciolatków, pokazywał, jak trzymać kij baseballowy.

- Wszystko dobrze? - szepnęła Kelly. Ayinde skinęła głową. Zagarnęła w dłoń kawałek prześcieradła i zacisnęła. Wyginając się, próbowała przetrwać najsilniejszy dotąd skurcz.

- On... lepiej... niech się pośpieszy - zdołała wykrztusić. Becky kucnęła obok łóżka i ujęła jej rękę. Kelly masowała plecy i wpatrywała się w drzwi.

- Dobra wiadomość - powiedziała. - Przyjechało znieczulenie.

Ayinde otworzyła oczy. Ujrzała małego, rudowłosego mężczyznę, który przedstawił się jako doktor Jacoby, oznajmił, że jest zaszczycony, iż może ją poznać, i w trzydziści sekund zdołał omówić temat nieobecności Richarda Towne'a. Gdy Ayinde oparła się na ramieniu położnej, doktor Jacoby przetaił jej krzyż betadyną i sięgnął po długą igłę, na której widok nawet odporna Becky zbladła. Potem odsunął się, mówiąc, że musi przynieść trochę wody.

- Hej - odezwała się położna, podtrzymująca Ayinde. - Czy kiedy będzie już po wszystkim, dostanę autograf od pani męża?

- Jestem pewna, że nie będzie z tym problemu - odpowiedziała Ayinde, siląc się na uprzejmość. Chciała, by znieczulenie wreszcie zadziało. Właśnie miała skinąć głową, gdy lekarz i położna powiedzieli jednocześnie:

- Niech się pani nie rusza! - Więc nie skinęła, trwała w bezruchu, gdy od biodra zaczęło rozchodzić się ciepło i odrętwienie.

Pozwoliła powiekom opaść, a gdy je otworzyła, była już piąta nad ranem i przez uchylone drzwi wniknęło do pomieszczenia przenikliwe światło.

- Zobacz, kto tu jest! - powiedziała Becky.

Ayinde ujrzała doktora Mendlowa stojącego w nogach łóżka. Szczupły, z rozbajającym uśmiechem i brązowymi, kręconymi lokami upchniętymi pod czepkiem. Podniósł brzeg jej koszuli. Za nim stał Richard, nieogolony i zmęczony ponaddwumetrowy, wciąż w stroju treningowym, uśmiechał się do niej, otoczony wianuszkami pielęgniarzek.

Wziął ją za rękę.

- Cześć, kochanie. - Kurze łapki w kącikach oczu. Takie same jak w telewizorze, gdy reklamował płatki zbożowe, napoje i własną linię tenisówek. Ayinde zamknęła oczy, wtulając twarz w ciepłą skórę jego kurtki, wdychając pokrzepiającą woń mydła, wody toaletowej i delikatną nutę potu. Pachniał zawsze tak samo - niezależnie od tego, czy przed chwilą grał lub trenował.

Ayinde gwałtownie odchyliła głowę.

Doktor Mendlow podniósł wzrok.

- Zabolalo? Przepraszam.

- Ciii, już dobrze. Tatusz tu jest - powiedział Richard, nachylając się nad nią i uśmiechając z własnego żartu. Ayinde odetchnęła głęboko... tak, to było to, lekka nuta czegoś innego, zmieszana z kojącym zapachem jej męża. „Perfumy”. Umysł rozważył tę możliwość i szybko wykluczył. Rozegrał mecz, potem był na konferencji prasowej, następnie na pokładzie samolotu. Reporterki... stewardesy... fanki wokół boiska i hotelu, wyciągające szyje na jego widok i wciskające mu w dłoń wilgotne kawałki papieru... Może położna, która zastąpiła mu drogę na szpitalnym korytarzu. A może była po prostu tak wyczerpana, że miała halucynacje, a ból i strach uruchomiły obsesję.

- Dziewięć centymetrów. Prawie dziesięć. Jeszcze chwilka - powiedział doktor Mendlow i przeniósł wzrok z Ayinde na Richarda. - Jesteście gotowi powitać dziecko?

Położne zaczęły krzątać się po sali, złożyły dolną część łóżka i podniosły w górę stopy Ayinde. Richard trzymał ją za jedną rękę, Becky za drugą.

- Chcesz, żebyśmy poszły? - wyszeptała, gdy Richard zakładał rękawiczki i fartuch. Ayinde ścisnęła mocno palce Becky i pokręciła głową.

- Zostań, proszę - powiedziała. - Ty też - rzuciła do Kelly, obserwującej wszystko z fotela. Kelly wyglądała na bardzo zmęczoną. Ayinde wyobrażała sobie, że sama wygląda znacznie gorzej. Noc ciągnęła się w nieskończoność, a najgorsze miało dopiero nastąpić.

- Dobrze, zaraz będzie skurcz! - zawołał doktor Mendlow. - Gotowa, by zacząć

przeć? - Ayinde skinęła głową.

Salę wypełnił hałas i personel medyczny - anestezjolog, położne, pielęgniarka z długopisem i notesem. Maszyny pikały i brzęczały.

- PRZYJ! PRZYJ! Schył głowę i weź głęboki wdech. Wypuszczaj powietrze powoli, jeszcze, jeszcze, jeszcze, dalej, teraz, Anna... Anya...

- Ay-IN-de! Tak jak się pisze! - wysapała i opadła na poduszkę. Ktoś założył jej na twarz maskę tlenową.

- Moja kochana - powiedział Richard. W jego głosie słyhać było dumę. Becky ścisnęła jej dłoń. Ayinde otworzyła oczy i wbiła wzrok w twarz męża.

- Dobrze ci idzie - powiedział, nachylając się nad nią. - No już, kochanie. Kończmy.

- PRZYJ! - zawołała położna. Ayinde wpatrywała się w męża i parła ze wszystkich sił.

- Widać główkę! - oznajmił doktor Mendlow.

Położne trzymały jej nogi, Richard dłoń. Pielęgniarka znów powtarzała do ucha:

- No dalej, przyj, teraz, jeszcze, PRZYJ! PRZYJ! PRZYJ!

- Wyciągnij rękę! - powiedziała Becky. Ayinde zrobiła to na oślep, przekrzywiając maskę tlenową, zacisnęła oczy i... była tam ciepła, jedwabście gładka główka, dokładnie tam, pod jej palcami, prawdziwsza niż cokolwiek, czego w życiu dotykała lub o czym marzyła. Po omacku szukała dłoni Richarda.

- Richard - powiedziała. - Popatrz. Popatrz, co zrobiliśmy.

Schylił się i przycisnął usta do jej ucha.

- Kocham cię, maleńka - wyszeptał.

Znów parła, teraz niemal siedząc na łóżku, aż świat zaczął wirować.

- O Boże, już nie mogę! - wykrzyknęła.

- Możesz, możesz, właśnie to robisz - usłyszała jakiś głos. - Jeszcze raz, Ayinde, jeszcze raz, już prawie koniec, PRZYJ!

„Perfumy” - szeptał umysł Ayinde głosem podejrzenie podobnym do głosu budzącej respekt Lolo Mbezi (urodzonej jako Lolly Morgan, ale matka zmieniła nazwisko). „Przyszedł do ciebie pachnący perfumami innej kobiety”. Zamknęła oczy, zacisnęła zęby i parła tak mocno, jakby miała przewrócić siebie samą na lewą stronę, żeby uciszyć szepczący w głowie głos, zapomnieć ten zapach na zawsze. Parła tak długo, aż przestała widzieć i słyszeć i opadła z powrotem na poduszkę, wyczerpana, zdyszana i... pewna. „Perfumy”.

Gwar wokół znów narastał.

- Dobrze, skarbie, teraz rozluźnij się... powoli, powoli, delikatnie... są już ramiona.

Czuła, że coś wyslizguje się z niej. Ulga i nagła, zaskakująca pustka przywiodły jej

na myśl, dziwnym trafem, pierwszy orgazm, który całkowicie ją zaskoczył i zaparł dech w piersiach.

-Ayinde, popatrz! - zawołał doktor Mendlow, uśmiechając się promiennie pod niebieską maską chirurgiczną.

Spojrzała w górę. To było jej dziecko, pokryte mazią płodową, z główką porośniętą czarnymi, ulizanymi włoskami, z rozchylonymi, pełnymi ustami, drżącym językiem i trzęsącymi się z oburzenia piąstkami.

- Julian - powiedziała. „Perfumy” - szeptał umysł. „Zamknij się” - rozkazała mu i wyciągnęła ręce, by wziąć synka w ramiona.

TLR

TLR

Maj

KELLY

- Jest Mary, Barry, potem ja, Kelly, dalej Charlie, Maureen i Doreen - bliźniaczki, Michael i Terry. To jeszcze dzieciak - mówiła Kelly. - Maureen jest w San Diego, a Terry w college'u w Vermont. Pozostali są wciąż w New Jersey. Wszyscy, prócz mnie. - Od pół godziny siedziały razem z Becky w domu Ayinde, obsypując komplementami dziesięciodniowego, ważącego trzy i pół kilograma Juliana. W podziękowaniu Ayinde dała im torby Kate Spade. („Och, nie trzeba” - powiedziała Kelly, w duchu była jednak zachwycona; żałowała, że litery nie są większe i bardziej rzucające się w oczy). Później zwiedziły parter domu - salon, jadalnię, kuchnię z granitowymi blatami i zamrażarką, przepastną spiżarnię i oszkloną werandę. W końcu rozmowa zeszała na niecodziennie dużą rodzinę Kelly, której członków potrafiła wyrecytować jednym tchem: „MaryBarryjaKelly- CharlieMaureeniDoreenbliźniaczkiMichaeliTerrytojeszcze- dzieciak” - po czym chętnie wróciła do tematów, dzięki którym mogła stanąć na równi z nowymi koleżankami.

- Mój mąż jest wielkim fanem Sixersów - powiedziała. - Wychował się w Nowym Jorku i kiedyś kibicował Knicksom, ale od kiedy poszedł na studia w Wharton, liczy się tylko Allen Iverson. I, oczywiście, Richard. - Oparła się, zadowolona, że bez trudu udało się jej wpleść Wharton do rozmowy.

- Jak długo jesteście małżeństwem? - zapytała Becky.

- Prawie cztery lata - odparła Kelly.

- Boże, musiałaś być młodziutką panną młodą - stwierdziła Becky.

- Miałam dwadzieścia dwa lata. To chyba rzeczywiście niewiele. Ale wiedziałam, czego chcę. - Kobiety siedziały w salonie Ayinde, przypominającym wielkością salę kinową. Ayinde karmiła Juliana, małe zawiniątko z zaspanymi oczkami i wydętymi usteczkami, w niebieskich śpioszkach i niebieskiej, skrywającej loczki czapeczce. Kelly i Becky siedziały obok siebie na kanapie, popijając herbatę i skubiąc ciasteczka przyniesione przez służącą w biało-czarnym stroju. Kelly nie mogła się nadziwić salonowi. Wszystko, co się w nim znajdowało, począwszy od wzorzystych dywanów po obszyte frędzlami poduszki na kanapie i wiszące nad marmurowym kominkiem lustro w złotej ramie, było doskonałe. Kelly chciałyby zostać w tym pokoju na zawsze lub, jeszcze chętniej, pewnego dnia mieć taki salon.

- Też chcecie mieć dużą rodzinę? - zapytała Becky.

- Nie, broń Boże - zarzekała się Kelly i przeszedł ją dreszcz, którego nie zdołała stłumić. - To znaczy nie było źle. Mieliliśmy dużą furgonetkę, którą otrzymaliśmy od kościoła - jesteśmy katolikami, wiem, to zaskoczenie, był też duży stół w jadalni i... -

Wzruszyła ramionami. - To wszystko.

- Musiało być fajnie - powiedziała Ayinde z rozrzewnieniem, gładząc synka po głowie wolną ręką. - Zawsze miałaś się do kogo odezwać.

Kelly skinęła głową, mimo że nie do końca była to prawda. Tylko z Maureen mogła porozmawiać. Reszta rodzeństwa uważała, że jest apodyktyczna i za bardzo się mądrzy, gdy mówiła im, co mają jeść, w co się ubrać i jak się zachowywać. Boże, gdyby dostawała pięć centów za każde wypowiedziane przez któreś z nich słowa: „Nie jesteś moją matką!”. Tak jakby ich prawdziwa matka, Paula O'Hara, była kimś nadzwyczajnym. Przypomniła sobie, jak odkryła album z wycinkami, który Kelly prowadziła, mając osiem lat. Był to stary album fotograficzny, przeznaczony na zapiski i zdjęcia związane z bliźniaczkami. Jednak matka znudziła się nim, więc zawierał jedynie kilka fotek Maureen i Doreen tuż po urodzeniu. Resztę miejsca Kelly wypełniła zdjęciami wyciętymi z „Ladies' Home Journal”, „Newsweeka” i „Time'a”, które zabrała sprzed gabinetu dentystycznego na końcu ulicy, gdy recepcjonistka położyła je na murku, związane sznurkiem. Kelly nie interesowała się zdjęciami ludzi, ale tymi przedstawiającymi przedmioty. Wycinała fotografie dużych domów w stylu kolonialnym, w których farba z okiennic nie odchodziła wielkimi płatami; zdjęcia lśniących, nowych furgonetek, na których drzwiach nie dało się dojrzeć wymalowanego napisu: MARYJA MATKA POKOJU; zdjęcia niebieskich wazonów wypełnionych żonkilami, butów do stepowania z prawdziwej skóry i różowego roweru z błyszczącym siodełkiem w bananowym kolorze. Zdjęcia sukienek, zdjęcia butów, zdjęcie płaszcza z kołnierzem i mankietami z prawdziwego zajęczego futerka. Matka zaprowadziła Kelly do salonu, gdzie normalnie dzieciom nie wolno było wchodzić, kazała córce usiąść na zakrytej plastikowym pokrowcem zielonozłotej kanapie i potrząsnęła albumem tuż przed jej twarzą, tak mocno, że jedna z fotografii, przedstawiająca myśliwski domek jakiejś księżnej, odczepiła się i sfrunęła na podłogę.

- Co to jest?

Nie było sensu kłamać.

- To zdjęcia rzeczy, które mi się podobają.

Matka zmrużyła oczy. Kelly ukradkiem wciągnęła powietrze, ale nie, to tylko kawa. Na razie.

- Chciwość to grzech.

Kelly spuściła wzrok i mimo że wiedziała, iż nie powinna się odzywać, nie potrafiła powstrzymać się przed zadaniem pytania:

- Co w tym złego, że chciałabym mieć ładne rzeczy?

- Należy troszczyć się o stan duszy, a nie o wysokość rachunku bankowego - powiedziała Paula. Jej brązowe kręcone włosy przycięte były krótko i nie wymagały

układania, a nawet czesania. Do dzinsów nosiła zazwyczaj stare kraciaste koszule swojego męża. - Prędzej wielbłąd przejdzie przez ucho igielne, niż bogaty trafi do nieba.

- Ale dlaczego? Dlaczego źle być bogatym? Dlaczego złem jest mieć ładne rzeczy?

- Dlatego, że Bóg nie zwraca uwagi na ładne rzeczy - odparła matka. Paula starała się mówić łagodnie i zarazem pouczająco, jak nauczycielka w szkółce niedzielnej, ale Kelly wyczuwała, że traci cierpliwość. - Bóg zwraca uwagę na dobre uczynki.

- Ale dlaczego Bóg nie chce, by dobrzy ludzie mieli ładne rzeczy? - zapytała Kelly.

- A jeśli masz ładne rzeczy i robisz dobre uczynki? A jeśli...

- Dosyć - powiedziała matka, wkładając album pod ramię. - Zabieram to, Kelly Marie. Teraz chcę, żebyś poszła do pokoju, a w niedzielę opowiedziała o tym ojcu Frankowi.

Kelly nigdy nie powiedziała nikomu o swoim albumie. W tę niedzielę wyspowiadała się z tego co zwykle zestawu występów: „Pobłogosław mnie, ojcze, bo zgrzeszyłam. Ostatni raz u spowiedzi byłam tydzień temu. Wzywałam imię Boga nadaremnie i kłóciłam się z młodszą siostrą”. Co miała powiedzieć? „Pobłogosław mnie, ojcze, bo zgrzeszyłam. Wycięłam zdjęcia czarno-białej kuchni gwiazdy filmowej ze starego numeru »Life'u«. Matka nie starała się ukryć albumu. Wepchnęła go do szafki, pod oprawioną w sztuczną skórę księgę z napisem: NASZ ŚLUB, wytłoczonym na złotym arkuszu na okładce. Było w niej trochę zdjęć z uroczystości u Świętej Weroniki i przyjęcia w sali Knights of Columbus. Smoking jej ojca miał szerokie klapy z epoki disco; rozkloszowana od karczka suknia matki nie skrywała wypukłości, która po pięciu miesiącach zmieniła się w Mary. Następnego nocy Kelly wykrała album i trzymała go do czasu pójścia do college'u.

Kelly rozsiadła się na skórzanej kanapie Ayinde, ostrożnie odstawiała filiżankę na spodeczek i przyglądała włosy. Wiedziała, że obiektywnie wygląda dobrze, w każdym razie na tyle dobrze, na ile może wyglądać kobieta w ósmym miesiącu ciąży. Przynajmniej włosy układały się porządnie. Doktor Mendlow pomyślał sobie pewnie, że oszalała, bo pierwsze pytanie, jakie zadała mu podczas wstępnej wizyty w gabinecie, nie dotyczyło diety, ćwiczeń ani porodu, lecz odpowiedzi na pytanie: „Czy mogę zrobić sobie pasemka?”. Ale - pomyślała Kelly - doktor Mendlow nie miał pojęcia, że gdyby nie farba, jej włosy miałyby odcień pomysł.

Napiła się herbaty. Zrobiłaby wszystko, by mieć włosy takie jak Becky. Założyłaby się, że to naturalne loki. Mieć włosy jak Becky, dom jak Ayinde i byłaby ustawiona.

- Opowiedz nam o organizowaniu imprez - poprosiła Becky. - Przygotowujesz wesela?

- Niewiele i tylko bardzo ekskluzywne. Panny młode są szalone - powiedziała Kel-

ly, marszcząc nos. - To znaczy, oczywiście, mają prawo, to ich wielki dzień, ale znacznie łatwiej współpracuje się z firmami. Nie traktują tego tak osobiście.

Becky przewróciła oczami.

- Kiedyś powiem wam o moim weselu.

- Dlaczego? Co się stało?

Becky potrząsnęła głową.

- To długa i tragiczna historia. Innym razem.

Kelly miała nadzieję na ten inny raz, że one trzy, tak jak kobiety, które widywała w parku czy na chodnikach, będą sobie swobodnie rozmawiać, pchając wózki z dziećmi. Maureen zawsze była jej najlepszą przyjaciółką, ale wyszła za mąż za bankiera inwestycyjnego i przeniosła się na zachód, a żadna z koleżanek z college'u nie miała jeszcze dzieci. Tylko nieliczne wyszły za mąż.

-A wy macie rodzeństwo? - zapytała. Gładziła palcem złotą lamówkę na spodeczku i zastanawiała się, czy dużym nietaktem byłoby, gdyby odwróciła go i odczytała nazwę producenta. Z żalem stwierdziła, że odpowiedź jest twierdząca. Ona i Steve dostali w prezencie ślubnym zastawę Wedgwood, z takim samym wzorem, jaki według magazynu „In Style” zamówiła jej ulubiona aktorka. Jednak porcelana Ayinde była piękniejsza od wszystkiego, co widziała w sklepach. Prawdopodobnie antyk.

Ayinde potrząsnęła głową.

-Jestem jedynaczką. - Zaciśnęła usta i przesunęła dziecko wyżej. - Myślę, że moja matka nie chciała ryzykować utraty figury.

- Poważnie? - zapytała Kelly.

- O, tak - odparła Ayinde. - Lolo traktuje swój wygląd bardzo poważnie. W latach siedemdziesiątych była modelką, drugą kolorową kobietą na okładce „Vogue'a”. O czym powiedziała ci sama po dziesięciu minutach znajomości.

- A skąd jesteście? - zapytała Kelly. Oj! Zły ruch. Kelly - Kierownik Wycieczki, jak nazywał ją brat Barry. Przy rodzinnych obiadach, po modlitwie dziękczynnej, matka zapadała się w krzesło i wbijała beznamiętny wzrok w talerz, a ojciec wpatrywał się w ich twarze z wściekłością i oszołomieniem na zmianę, jakby nie mógł zrozumieć, skąd wzięły się te wszystkie dzieci. Rodzeństwo w milczeniu wpychało sobie jedzenie do ust i tylko Kelly, ogromnym wysiłkiem, starała się podtrzymać konwersację. „Jak było w szkole?” - pytała. „Doreen, jak tam hokej na trawie?” Siostra odpowiadała: „Zamknij się, Pollyanna, nie jesteś moją matką”. Paula tylko wpatrywała się w Kelly ze swojego krzesła. „Nie, nie jesteś ich matką” - wymamrotała czasami, głosem wściekłym i w pewien sposób zmieszonym, jakby mówiła to głośno, by przekonać samą siebie, że to prawda. „Ale ktoś musiał być ich matką - myślała Kelly. - Ktoś musiał przynajmniej spróbować, a po czwartej po południu Paula się do tego nie nadawa-

ła". Więc Kelly próbowała: „Michael, jak ci poszedł test z fizyki? Terry, pamiętałaś, by dać mamie do podpisu zgodę?”. Po kolei jej rodzeństwo zabierało talerze i szło do dużego pokoju jeść przed telewizorem, zostawiając Kelly z rodzicami przy stole, i w jadalni zapadała cisza, którą zakłócało tylko stukanie sztućców o talerze.

Becky opowiedziała, że wychowała się na Florydzie, a do Filadelfii przyjechała z mężem, który był lekarzem i pracował w szpitalu. Ayinde urodziła się w Nowym Jorku, do liceum Miss Porter's chodziła w Connecticut, potem college w Yale, a wakacje spędzała za granicą. „Zagranica”. Kelly nie sądziła, by mogła użyć tego słowa w zdaniu, mimo że właściwie powinna, bo w podróż poślubną pojechali do Paryża. Trzeba być pięknym, by używać takich słów. Lepiej też, jeśli nie pochodzi się z New Jersey.

Ayinde położyła sobie Juliana na ramieniu, by mu się odbiło, a Becky wyciągnęła się na kanapie, delikatnie poklepując brzuch, jak psa, który ułożył się na kolanach. Dla Kelly cisza stawała się coraz bardziej niezręczna. Chciała zadać Ayinde miliony pytań i to podstawowe: „Jak naprawdę było podczas porodu?”. Jej matka miała tyle dzieci, że Kelly powinna to wiedzieć, ale nie wiedziała. Paula zniknęła w środku nocy lub w ciągu dnia i wracała po jakimś czasie, wyglądając na jeszcze bardziej zmęczoną niż zazwyczaj, z nowym zawiniątkiem w ramionach, które Kelly musiała myć, przewijać i kołysać do snu. Próbowła zadać swojej siostrze Mary, jedynej mającej dzieci, jakieś pytania, ale Mary ją zbyła.

- Poród pójdzie dobrze, a maluch będzie doskonały - powiedziała Mary podczas rozmowy telefonicznej, zagłuszana przez trójkę dzieci przekrzykujących się za jej plecami. - A jeśli nie, oddasz na gwarancji.

- Ha, ha, bardzo śmieszne - zdenerwowała się Kelly.

- Muszę go wykapać - oznajmiła Ayinde. - Wczoraj wieczorem odpadł mu kikut pępowiny...

- Och, powinniśmy się zbierać - stwierdziła Becky, podnosząc się z pluszowej kanapy. Kelly też wstała.

-Bardzo dziękuję za torbę - powiedziała. - Naprawdę nie trzeba było.

- Szczerze mówiąc - zaczęła wolno Ayinde, gładząc synka - myślałam, że mogłybyście zostać i mi pomóc. Położne w szpitalu pokazywały mi, jak to robić... w ich wykonaniu wydawało się to takie proste.

- Oczywiście, że zostaniemy! - ucieszyła się Becky.

-Mogę pomóc - zaoferowała Kelly i zaczerwieniła się, myśląc, że się narzuca. - Kąpałam moje rodzeństwo milion razy. - Pamiętała, jak nad wyszczerbionym zlewem w kuchni śpiewała kołysanki i wyciskała myjkę nad głowami maluchów, by zmyć szampon.

- Cieszę się, że przynajmniej jedna z nas wie, co robić - powiedziała Ayinde. Za-

prowadziła je na górę do łazienki, w której znajdowały się ręczniki z kapturkami, myjki i, Kelly ucieszyła się, taka sama niebieska wanienka z plastiku, jaką ona kupiła cztery tygodnie wcześniej. Becky napełniła wanienkę. Ayinde rozebrała dziecko, potem spojrzała na nie, nagie w jej ramionach, i odetchnęła głęboko. - Chcesz zacząć? - zapytała, zwracając się do Kelly.

- Jasne - odparła Kelly. Wzięła Juliana i ostrożnie zanurzyła w wodzie jego stopki. - Do dzieła, to twoja pierwsza kąpiel. Prawda, że fajnie? Musisz to robić powoli - zwróciła się do Ayinde - żeby się nie przestraszył... Proszę bardzo! - Umieściła dziecko w wanience. Julian wydał z siebie cichy pisk i zaczął uderzać rączkami w wodę.

-Hej, śliczności - powiedziała Kelly, ochlapując wodą brzusek Juliana. - Chyba mu się podoba. - Po kilku minutach dziecko było wykąpane. Rozłożyła ręcznik na swojej klatce piersiowej, wyjęła dziecko z wanienki, zawinęła je jak burrito i oddała matce.

- Dzięki - powiedziała Ayinde. - Bardzo wam dziękuję.

Kelly właśnie wróciła do swojego mieszkania, gdy zadzwonił telefon, przypominając o comiesięcznym połączeniu konferencyjnym wszystkich sióstr.

- Cześć, siostrzyczko - odezwała się Doreen. - Jak tam ciąża?

- Wspaniale! - odparła Kelly. Postawiła siatki z zakupami w pustym korytarzu i wniosła pudło z Pottery Barn Kids przez pusty salon i jadalnię do pokoju dzieciennego, który jako jedyny, w przeciwieństwie do ich sypialni, był umeblowany. Kelly nie chciała kupować tanich rzeczy, które niedługo musieliby zmieniać, więc postanowiła poczekać, aż będą mogli pozwolić sobie dokładnie na to, co wypatrzyła: tapicerowaną kanapę w kolorze seledynu, tiulowe firanki w rustykalnym stylu od Roberta Allena, mahoniowe stoliki i komody, kozetkę Mitchell Gold z zamszu w kolorze podgrzybków, wszystko oznaczone i skatalogowane w folderze „Ulubione” w komputerze Kelly. „Wciąż wycinasz zdjęcia?” - zapytała matka, gdy widziały się ostatnio (matka była wtedy w szpitalu, żółta jak dojrzały banan). „Już nie muszę” - odparła Kelly. Przypomniała sobie moment, w którym po raz pierwszy zobaczyła to mieszkanie i, głównie, czynsz. „Steve, nie powinniśmy” - powiedziała, a on wziął ją za rękę i stwierdził: „Zasłużyliśmy na to. Ty zasłużyłaś”, i od ręki podpisał umowę.

- Co możemy ci kupić? - zapytała Mary. - Czego potrzebujesz?

- Nic, nic - odparła Kelly pospiesznie, nie chcąc sobie nawet wyobrazić, co według pomysłu jej siostry mogło stanowić odpowiedni prezent dla dziecka. - Pokój dziecienny już jest urządzony.

Siostra zaśmiała się.

- Cała Kelly - powiedziała Maureen.

Kelly skrzywiła się, siadając w bujanym fotelu, wyłożonym zrobioną na zamówie-

nie biało-czerwoną poduszką. Lemon, golden retriever, którego kupili w ubiegłym roku od hodowcy, zwinął się w kłębek u jej stóp.

- Po prostu nie chciałam ryzykować. Nawet jeśli coś zamówisz, niektórzy się mylą. Na przykład napiszesz, że chcesz pościel do łóżeczka w czerwoną kratkę, ze strony trzydziestej drugiej w katalogu Pottery Barn Kids...

- Na przykład - rzekła Mary. Jej dudniący śmiech przeszedł w napad kaszlu. Znow próbowała rzucić palenie, ale sądząc po odgłosach, nie udało się jej.

- Więc zamawiasz to - ciągnęła uparcie Kelly - ale ktoś może postanowić kupić ci pościel w czerwoną kratkę w innym sklepie albo dać pościel kupioną na wyprzedazy...

- Broń Boże - powiedziała Doreen.

- Cóż, wtedy nie możesz jej zwrócić! - stwierdziła Kelly - i jesteś na nią skazana.

- Zgroza - oświadczyła Mary, znow zanosząc się śmiechem. Kelly przymknęła oczy, przeklinając w duchu, że cokolwiek powiedziała siostrze. Mary z mężem i trójką dzieci mieszkali w Ocean City w starym domu, gdzie wszystko było obskurne, rozpadające się i przesiąknięte dymem papierosowym. Dla Mary nie miał znaczenia kolor pościeli, byle była czysta. A może i to nie było dla niej ważne.

- No nic - powiedziała Maureen. - Jeśli pokój dziecienny jest urządony, czego potrzebujesz? Może zabawek, torby na dziecięce rzeczy albo czegoś takiego?

- Mam trochę używanych rzeczy - zaoferowała Mary. Kelly skrzywiła się i zmieniła temat. Zapytała o chłopaka Doreen, Anthony'ego, oficera policji, oraz jaki prezent Doreen kupi jego rodzicom, gdy pójdzie ich poznać.

- Najlepiej kwiaty - powiedziała Kelly.

- A może wino?

- Cóż, nie wiesz, czy piją, a przecież nie chcesz, żeby pomyśleli, że ty pijesz.

- Ale ja piję!

- Tak - tłumaczyła cierpliwie Kelly - ale oni nie muszą już teraz o tym wiedzieć. Kup ładny bukiet. Nie wydawaj więcej niż dwadzieścia pięć dolarów, bo będzie wyglądało, że się wysilasz. I nie kupuj goździków.

Po skończonej rozmowie Kelly zapaliła światło i rozejrzała się z dumą po dzieciennym pokoju. Bujany fotel pomalowany na biało, wyłożony poduszką w biało-czerwone paski. Komódkę wypełniały już uprane i poskładane ubranka - skarpetki, pajace, małe czapeczki i szaliki, które kupowała i chomikowała na długo przed zajściem w ciążę, jeszcze zanim poznała Steve'a. Nie tak, jak zwariowana panna Havissham, ale jeden piękny kapelusik przeciwsłoneczny tu, dżinsowy pajacyk Oshkosh tam. Jest przygotowana. Wszystko będzie dobrze.

Kelly zsunęła buty i pogładziła stopą dywanik z królikiem, wzdychając z zadowoleniem, gdy Lemon lizał jej dłoń.

Nowe przyjaciółki. Kelly przymknęła oczy i zaczęła bujać się w fotelu. Pod powiekami wciąż widziała salon Ay- inde. Miała przyjaciółki w szkole i w college'u, ale od kiedy poznała Steve'a, straciła z nimi kontakt. One wciąż żyły młodzieńczą wolnością - kawiarniami i sprośnymi opowieściami o randkach w ciemno, przepuszczały pieniądze na kosmetyki i buty. Kelly była gdzie indziej. W lepszym miejscu. Nie musiała martwić się, czy chłopak zadzwoni, czy spędzi samotnie sobotni wieczór. Bujała się w przód i w tył, odprężona i zadowolona. Myślała o mężu, o tym, czy pozna Richarda Towne'a i czy zrobi z siebie głupka, gdy już do tego dojdzie. Steve'owi czasami zdarzało się stracić panowanie nad sobą i potrząsać czyjąś ręką znacznie dłużej, niż to konieczne, aż wreszcie ten ktoś zaczynał czuć się nieswojo. Niekiedy mówił zbyt długo i zbyt głośno o małżeństwach homoseksualnych lub podatku liniowym, albo o tysiącu innych spraw, na których temat miał zdecydowaną opinię.

Nie lubiła o tym myśleć, ale prawda była taka, że poznała swojego męża po przeżyciu zawodu miłosnego, kiedy chłopak, z którym spotykała się od drugiej klasy, zerwał z nią. Nazywał się Scott Schiff. Była w nim zakochana po uszy i myślała, że on odwzajemnia jej uczucia. Gdy pewnego wieczoru poszła do jego mieszkania i chciała usiąść na łóżku, zerwał się, gdy tylko dotknęła koca. „O Boże” - pomyślała i poczuła ukłucie w sercu. „Niedobrze”.

Przeszedł przez pokój, pocierając dłonią o dłoń, jakby było bardzo zimno, i mimo że nie wypowiedział tego słowami, wiedziała, o co chodzi.

- W porządku! - powiedziała, przerywając jego przemówienie o tym, jak to bardzo mu na niej zależy, ale nie sądzi, by ta znajomość miała przyszłość. Przedstawił ich związek, jakby ona była obligacją, a on nie chciał ryzykować utraty kapitału. - W porządku.

Domyśliła się, że to koniec, po wyrazie jego twarzy, gdy podjechali pod jej dom przed pogrzebem matki. Zauważyła wymowny ruch nozdrzy na widok starej furgonetki na podjeździe, wytartego dywanu na schodach i jedynej łazienki na drugim piętrze, z której korzystała cała ósemka dzieci. Dom jego rodziców obwieszony był oryginalnymi akwarelami; na ścianach domu O'Harów wisiały oprawione w ramki zdjęcia każdego dziecka z rozdania dyplomów na zakończenie liceum i - no nie, wyrzucała sobie, że nie zmusiła Maureen do zdjęcia tego - ogromny krucyfiks z wykonanym ze skóry Chrystusem, w skąpej przepasce na biodrach, z jaskrawymi kroplami krwi wymalowanymi na dłoniach. Scott był starszy od niej o cztery lata i ukończył zarządzanie w Wharton. Nie skłamała, w każdym razie nie całkiem, mówiąc, że wychowała się na wybrzeżu. Formalnie rzecz biorąc, była to prawda, jednak on wyobraził sobie

coś w stylu sześciopokojowego letniego domu, jaki mieli jego rodzice w Newport, a nie obdrapany budynek w zapyziałym miasteczku robotniczym na wybrzeżu Jersey. Pomyślała, że powinna być mu wdzięczna, iż został z nią choć chwilę po złożeniu matki do ziemi.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Scott, gdy zerwała się z jego łóżka.

- W porządku. Wiesz, tak naprawdę to pewna ulga - odrzekła. - To samo myślałam. Nie wyobrażałam sobie nas za jakiś czas. - Zmusiła się, by na niego spojrzeć, i szybko zamrugła oczami, powstrzymując czające się w nich łzy przed spłynięciem po policzkach. - Mam nadzieję, że nie myślałeś o... no wiesz... wspólnej przyszłości, bo ja nie. - Podeszła do niego. Stał ze stopami rozstawionymi na szerokość ramion, złożonymi dłońmi - idealny obraz przyszłego prezesa zarządu, i ujęła jego dłonie. - Przepraszam, jeśli cię zmyliłam. - Te kilka słów sprawiło, że milczał zmieszany. Dokładnie na to liczyła. Szybko wyczyściła mieszkanie ze swoich rzeczy, zabierając szczotkę do włosów, buty do biegania, egzemplarz książki *Mądre kobiety kończą pierwsze*, bo wiedziała, że jego widok z pełnym kartonem w dłoniach wytrąciłby ją z równowagi.

- Hej - powiedział tak czule, iż wiedziała, że jeśli na niego spojrzy, rozpłacie się i zacznie błagać, by pozwolił jej zostać. - Nie musisz robić tego w tej chwili. - Wyglądał na zmartwionego. Odchrząknął. - Wiem, że to był dla ciebie trudny rok. Twoja mama...

- To trwało bardzo długo. Zdążyliśmy się z tym pogodzić. Naprawdę wszystko w porządku - powiedziała. Szczoteczka do zębów. Nitka dentystyczna. Perfumy, które przelała do butelki po wodzie toaletowej, wyrzuconej przez współlokatorkę. Poszła do kuchni po plastikową torebkę. - Do zobaczenia. Trzymaj się!

Dotarła do windy wysokiego budynku i oparła się o ścianę. „Oddychaj” - powiedziała sobie tak, jak cztery miesiące wcześniej, gdy zadzwonił telefon i Mary, dwudziestosześcioletnia, ale wtedy jej głos brzmiał jak osoby znacznie starszej, płakała i zwracała się do niej zdrobnieniem z dzieciństwa: „Kay-Kay, mama odeszła”.

Kelly oderwała się od ściany, na wypadek gdyby Scott postanowił wyrzeć za nią przez drzwi. Wsunęła plastikową torbę pod ramię, zjechała windą na parter, przeszła przez miasteczko uniwersyteckie i znalazła głośny, duszny i zatłoczony bar. Przeciśnęła się przez tłum i zamówiła podwójną wódkę. Wyprostowała się i wypila alkohol jednym haustem, jak dziecko syrop przeciwkaszlowy. Nie miała tego w zwyczaju. Zrobiła to tylko raz od czasu szkoły, w noc poprzedzającą pogrzeb matki, w barze w Ocean City, z siostrami u boku. Jednak wtedy nie była to wódka, lecz maker's mark, ulubiony napój ich matki. Paula O'Hara zapadała się w kanapę przed telewizorem z różową puszką w dłoni i niebieską poświatą na twarzy i oglądała *Dynastię*, *Dallas* i kasety *Dni naszego życia*, podczas gdy cała ósemka jej dzieci przychodziła i wycho-

dziła.

Barman trzymał butelkę w uniesionej dłoni.

- Jeszcze raz to samo - powiedziała Kelly. Głupia, Boże, jaka była głupia, myśląc, że Scott Schiff jest Tym Jedynym, i zbywając zapraszających ją na randki chłopaków. Wszystko postawiła na jedną kartę, a może jednego konia, nieważne, w każdym razie nie powinna była tego robić. Wypiła drugi kieliszek, zamówiła trzeci i sięgnęła do torebki, próbując przypomnieć sobie, ile ma pieniędzy, gdy nagle poczuła dotyk czyjejś ręki na dłoni.

-Ja się tym zajmę.

Kelly podniosła wzrok i zobaczyła mężczyznę w granatowym garniturze. „Nieźle wygląda” - pomyślała. Nieco blade i wychudzony, z głęboko osadzonymi oczami, ale kto na Uniwersytecie Pensylwanii, z wyjątkiem profesorów, nosił garnitur w sobotni wieczór? Garnitur do - spojrzała w dół, czując, że chwieje się na stołku - butów z dziurkowanymi noskami?

Popatrzyła przez zasłonę papierosowego dymu na mężczyznę o bladoniebieskich oczach, wąskich, czerwonych ustach, ze starannie zaczesanymi, nieco już przeredzonymi włosami, i na wydatne jabłko Adama nad niebiesko- -złotym krawatem.

- Po co ci garnitur? - zapytała głośno, starając się przekrzyczeć gwar i płynącą z szafy grającej muzykę Hootie and the Blowfish.

- Lubię garnitury! - odrzyknął mężczyzna. - Jestem Steven Day.

- Gratuluję - odparła i opróżniła kieliszek.

-Au, zwolnij - powiedział. Spojrzała na niego niechętnie. Zaczynało szumieć jej w głowie.

- Nie mów mi, co mam robić. Nie jesteś moim ojcem. „Bo gdybyś nim był” - pomyślała - „miałbyś trzydniowy zarost na twarzy i byłbyś zniewolony przez rodzinę, której nienawidzisz, zarabiałbyś na życie roznoszeniem poczty, a jedyny twój garnitur miałby dwadzieścia lat”.

Steven Day nie wyglądał na zbitego z tropu.

-Wyjdźmy na zewnątrz, Kelly - powiedział i złapał ją mocno za łokieć. - Zaczepniesz świeżego powietrza.

Skrzywiła się, ale pozwoliła wyprowadzić się z baru.

- Skąd znasz moje imię?

- Obserwowałem cię.

Wpatrywała się w niego, starając się przypomnieć go sobie.

- Naprawdę? Dlaczego? - Zorientowała się, że mówi za głośno. W barze panował hałas, a na zewnątrz głos niósł się w jesiennym rześkim powietrzu. - Dlaczego? - spytała jeszcze raz, trochę ciszej.

- Bo uważam, że jesteś piękna - odparł, prowadząc ją wzdłuż chodnika. Czowała jego oddech na policzku, gdy wypowiadał kolejne słowa. - Chodziliśmy razem na seminarium z ekonomii.

Pamiętała, że poznała chłopaka z ostatniego roku ekonomii, ale to był Scott Schiff. Jednak coś nabierało kształtów w jej pamięci - chłopak w garniturze, siedzący na końcu sali, który każde pytanie potrafił przekształcić w pasjonującą obronę wolnego rynku, chłopak, który nosił garnitur, mimo że wszyscy przychodzili na wykłady w dżinsach, bluzach i sportowych butach.

„Naśladowca Aleksa Katona” - pomyślała, chwiejąc się na boki, ledwo unikając zderzenia z wiatą przystanku autobusowego. Steven Day pomógł jej odzyskać równowagę.

- Dobrze się czujesz?

Na usta cisnęło się jej kilka ulubionych odpowiedzi. „Jasne! Wspaniale! Super!” Jednak tylko oparła się o niego i zamknęła oczy.

-Nie. Niezupełnie.

- Obawiasz się egzaminów końcowych?

Potrząsnęła głową.

- Egzaminy są chyba ostatnim problemem, jaki teraz mam.

- Więc o co chodzi?

- Cóż, po pierwsze, nie dałeś mi wypić kolejnego drinka. - Odgarnęła grzywkę z oczu. Przez całą szkołę średnią w Ocean City robiła sobie trwałą. Już pierwszego dnia w Penn zorientowała się, że nikt nie ma takiej fryzury. Rozprostowanie włosów nie wchodziło w grę. Kilka ulic od kampusu znalazła zakład fryzjerski dla mężczyzn West Philadelphia. Usadowiła się na czarnym skórzanym fotelu przed zdumionym fryzjerem i powiedziała: „Proszę jak najkrócej”. Przez cały college była ostrzyżona na zapalkę - to był jej znak rozpoznawczy. Dwanaście dolarów za strzyżenie nie majątek - mogła sobie pozwolić na taki wydatek.

Spojrzała na niego. W ciemnościach twarz Stevena wyglądała jak księżyc.

- Naprawdę uważasz, że jestem piękna?

Przytaknął bardzo poważnie.

- Chodź, pójdziemy do mnie.

Wyprostowała się, mobilizując resztki godności i trzeźwości.

- Nie pójdę do ciebie. Dopiero cię poznałam. - Obliznęła usta, przyglądała zwichrzoną fryzurę i spojrzała na niego zmaconym przez wódkę wzrokiem. - Najpierw musisz postawić mi kolację.

- Usiądź tutaj - poinstruował Steven Day i posadził Kelly na ławce pod wiatą. - Nie ruszaj się stąd.

Zamknęła oczy i siedziała w bezruchu. Pięć minut później Steven Day, w tych swoich eleganckich butach i całym stroju, stał przed nią z pachnącą, poplamioną tłuszczem torbą z McDonalda w dłoni.

- Proszę - powiedział, ciągnąc ją za rękę, by wstała. - Kolacja.

Kelly chwiała się na nogach, gdy mijali grupki uczennic i studentek. Wpychając sobie do ust frytki, opowiadała Stevenowi krótką, ale tragiczną historię miłości do Scotta Schiffa.

- Tak w ogóle to nie był dobrym facetem - wymamrotała z pełnymi ustami. W tej chwili, pod wpływem wódki, czuła, że może opowiedzieć Stevenowi Dayowi o wszystkim i że nikt nie rozumie jej tak jak Steven Day. - Chcesz poznać moje zdanie?

Steven Day westchnął i odciągnął Kelly od kupy zgrabionych liści, na której próbowała się położyć.

-Jasne.

- Wydaje mi się, że chce mieć bogatą dziewczynę. Z dobrym nazwiskiem i dużym posagiem.

- Nie sądzę, by kobiety nadal miały posagi.

- Och, przecież wiesz, o co mi chodzi. Ja jestem z New Jersey, wiesz? Nic w tym pochlebnego. Mój ojciec jest listonoszem. Moja mama... - urwała. Była pijana, ale nie na tyle, by obcemu facetowi opowiadać o swojej matce. - To mało imponujące.

- Myślę, że obecnie w Ameryce panuje merytokracja.

Mrugała powiekami, aż ze straszego mętlika w głowie wyłowiła definicję merytokracji.

- Tak, ale nie trafiła jeszcze do sypialni Scotta Schiffa. - Przełknęła frytkę i rozplakała się. A przecież nigdy nie płakała. Nawet wtedy gdy zadzwoniła Mary, ani na pogrzebie, ani potem, kiedy ojciec, świeżo ogolony i ubrany w garnitur, który Kelly pamiętała z pierwszej komunii młodszej siostry, powiedział, że matka zostawiła testament. Doreen dostała perłowe kolczyki, Terry naszyjnik z pojedynczym diamentem, prezent od ojca z okazji dziesiątej rocznicy ślubu, Maureen złotą bransoletkę po babci, Mary ślubne obrączki. Kelly dostała w spadku różaniec i Biblię. Gdy ojciec podawał jej Biblię, na kolana Kelly wypadła modlitwa świętego Józefa. Karteczka zaznaczała stronę z Księgi Koheleta, a na niej zakreślone żółtym flamastrem wersy, które Paula O'Hara podarowała córce zamiast diamentów i pereł: *Dokonałem wielkich dzieł: zbudowałem sobie domy... A oto: wszystko to marność i pogoń za wiatrem! Z niczego nie ma pożytku pod słońcem**.¹ - Jestem straszną idiotką - szlochała, gdy Steven otwierał drzwi swego mieszkania. Wiedziała, że wyciera nos w marynarkę Stevena Daya, ale nic nie mogła na to poradzić. - Myślałam, że mnie kocha.

¹ *Biblia Tysiąclecia, Koh, 2-4,11, Wydawnictwo Pallottinum, Poznań-Warsza- wa 1982.

- Cii - powiedział Steven, odgarniając włosy z twarzy Kelly. Zdjął jej buty i bluzę i wcisnął przez głowę swój T-shirt. - Pozwól mi - szepnął, a ona spojrzała na niego. Jego oddech pachniał miętową pastą do zębów i przyjemnie chłodził policzek. W tej chwili była taka zmęczona, taka smutna, tak zupełnie pusta - bez Scotta, bez mamy, z niczym - że zgodziłaby się na wszystko, byle tylko nie musiała być sama.

Usiadła w zagraconej sypialni Steve'a, trzymając w dłoniach prześcieradło w niebieską kratkę.

- Na co mam ci pozwolić? - zapytała też szeptem.

Ułożył jej głowę na poduszce i pocałował, najpierw w czoło, potem, delikatnie, w usta.

- Pozwól mi się tobą zaopiekować.

W środku nocy obudziła się sama w obcym łóżku i rozejrzała po pokoju. Zauważyła mężczyznę, który ją tu przyprowadził. Był przykryty kocem po samą szyję, mimo to wciąż miał na sobie garnitur i eleganckie buty. Jego powieki błyszczały w ciemności. Była piąta nad ranem. „Ty” - pomyślała. Wiedziała, że tak mogłaby powiedzieć żona z wieloletnim stażem, wybierając melona w supermarkecie. Nadal była pijana, rozgoryczona i wściekła na samą myśl o Scotcie Schiffie, matce i kpiącym fragmencie Pisma Świętego, ale to się już nie liczyło. Zdecydowała. A gdy Kelly coś postanowiła, musiała to mieć. Tak było, odkąd skończyła sześć lat. „Ty” - pomyślała i to wszystko.

Następnej nocy już się całowali; w weekend spali ze sobą; sześć miesięcy później, tuż przed ukończeniem college'u, zaręczyli się; za kolejnych sześć miesięcy, zaraz po dwudziestych drugich urodzinach Kelly, byli mężem i żoną. Zamieszkali w trzypokojowym mieszkaniu na osiemnastym piętrze nowiutkiego budynku na Market Street, skąd rozciągał się widok na całe miasto, skrzące się światłami. Na czynsz wydawali więcej, niż powinni. W poradniku dla młodych małżeństw przeczytała, że powinno się na ten cel przeznaczać około jednej trzeciej zarobków, a oni wydawali ponad połowę. W mieszkaniu były dwie łazienki, każda z jacuzzi i marmurową posadzką. Nowiutkie wykładziny na podłogach i urządzenia kuchenne prosto z fabryki, ściany pachnące świeżą farbą, a nie zastarzałą wonią cudzych posiłków. To prawda, brak mebli był kłopotliwy - siostry o mało nie pękły ze śmiechu, gdy zobaczyły pusty salon, i bardzo narzekały na konieczność siedzenia na podłodze - ale nie była to wielka niedogodność, która i tak, Kelly była o tym przekonana, nie potrwa długo. Gdyby Steve zarabiał tyle co na początku, w ciągu roku byłaby w stanie kupić wszystko, co chciała. A Oliver miałby nowiutkie i najlepsze rzeczy - żadnych używanych ubranek i zimowych kurtek przesiąkniętych papierosowym dymem, żadnych zabawek zniszczonych przez starszych kuzynów. Miałby wszystko, czego by zapragnął.

Usłyszała chrobot klucza w zamku drzwi wejściowych i wstała. „Oliver James” -

wyszeptała. Pocałowała opuszki swoich palców i postukała nimi w materac łóżeczka. Idealnie. Wszystko będzie idealnie.

LI A

Podczas pierwszego lotu do Los Angeles, gdy miałam osiemnaście lat, siedziałam w środkowym rzędzie. Mężczyzna przy oknie miał pewnie ze trzydzieści lat, kręcone blond włosy, obrączkę na palcu i teczkę pełną cukierków - włożyła je tam córeczka, nim wyszedł z domu. Przez całą trwającą pięć godzin podróż rozmawiałam z nim. Odrzucając świeżo pofarbowane blond włosy na ramiona, paplałam o rolach, które zagrałam w szkolnych musicalach, lekcjach aktorstwa, na które zamierzałam uczęszczać, i agencie, którego nazwisko dostałam od nauczycielki. Przez pięć godzin mężczyzna częstował mnie owocowymi ciagutkami, śmiał się i przytakiwał, był... chyba skonsternowany. Ze źle nałożoną na włosy farbą i złudzeniami na temat Los Angeles musiałam wprawiać w zakłopotanie. Gdy podchodziliśmy do lądowania, zamienił się ze mną miejscami, abym z fotela przy oknie mogła zobaczyć Kalifornię - ziemię obiecaną, jak ją nazwał.

Lot do Filadelfii w jedenaście lat później był inny. Przeszłam przez lotnisko chwiejnym krokiem jak zombi. Wykupiłam dwa miejsca, żeby przypadkiem nie usiadło obok mnie jakieś dziecko. Tydzień wcześniej poszłam do Centrum Beverly, bo nic lepszego nie miałam do roboty, usłyszałam płacz niemowlęcia i z moich piersi popłynął pokarm. Chciałam tam umrzeć, po prostu umrzeć na miejscu. W Filadelfii zapłaciłam gotówką za wynajem samochodu. Położyłam banknoty na ladzie, pracownik firmy oniemiał, w końcu grzecznie zapytał, czy nie wolałabym zapłacić kartą kredytową. O nie! Karta kredytowa ułatwiłaby Samowi odnalezienie mnie, a ja nie byłam na to gotowa. Jeszcze nie.

Bałam się, że nie będę pamiętała drogi do domu, ale pamiętałam. Było tak, jakby czerwona kia, którą wypożyczyłam, prowadziła się sama - na 1-95, koło centrum handlowego Franklin Mills Mail, z jak zwykle zatłoczonym parkingiem, wzdłuż ciągu restauracji i kompleksów tanich mieszkań z banerami: DO WYNAJĘCIA OD ZARAZ, zwisającymi bezwładnie nad wykopami wypełnionymi śmieciem. W lewo w Byberry, na drugą stronę Boulevard, w lewo, w prawo i jeszcze raz w lewo. Koła wynajętego samochodu skręcały w ulice, które wydawały mi się mniejsze i jeszcze słabiej oświetlone niż wtedy, gdy tu mieszkałam. Aluminiowy siding na małych, jedno-piętrowych domkach, a nawet asfalt na mojej ulicy wypływały, a domy wyglądały, jakby skurczyły się w cieniu drzew, teraz rozrośniętych. Ale pewne rzeczy nie zmieni-

ły się. Mój stary klucz, ten sam, który przez cały czas nosiłam na breloczku, przekreślił się w zamku. Postawiłam torbę u podnóża schodów, usiadłam w salonie, nie zapalając światła, i obserwowałam przeskakujące minuty na zegarze magnetowidu.

Mama przyszła do domu o 16.15, dokładnie w pół godziny po ostatnim dzwonku w szkołę. Zawsze wracała właśnie o tej porze. W lecie nieco zmieniała ustalony porządek i o 7.15, zamiast iść do Szkoły Podstawowej Shawcross, szła do baru na śniadanie, na basen popływać, a potem do biblioteki. Stawiała się pod drzwiami dokładnie w chwili otwarcia, o 9.00, i wychodziła punktualnie o 16.00. Około południa robiła sobie przerwę, siadała na frontowych schodach i zjadała kanapkę (na przemian tuńczyk z żytnim chlebem lub kremowy serek i oliwki z białym pieczywem), którą przynosiła z domu, zapakowaną do foliowej torebki.

- Co tam robisz przez cały dzień? - zapytałam raz, gdy miałam jakieś czternaście lat i jeszcze ze sobą rozmawialiśmy. Wzruszyła ramionami.

- Czytam - odparła. Może nie chciała, by zabrzmiało to jak krytyka lub by wyobrażnia podpowiedziała mi nieodłączne: „Nie zabiłoby cię, gdybyś raz na jakiś czas wzięła książkę, zamiast leżeć w ogródku w bikini, wcierając sok cytrynowy we włosy”, ale tak to odebrałam.

Weszła do salonu ze swoją czarną nylonową torbą na książki w jednej ręce i torebką w drugiej. Dwukrotnie mrugnęła na mój widok. Prócz tego jej twarz się nie zmieniła. Tak jakbym wpadała co tydzień, by posiedzieć w jej salonie przy zasłoniętych roletach i wyłączonych światłach.

- W takim razie - powiedziała - mogę rozmrozić jeszcze jedną pierś kurczaka na kolację. Jesz jeszcze kurczaki? - Jej pierwsze słowa do mnie. Jej pierwsze słowa od jedenastu lat. Prawie się zaśmiałam. To, przez co przeszłam, dystans, który przebyłam, wszystko po to, by wrócić do punktu wyjścia, na tę samą starą niebieską kanapę, z moją matką, pytającą, czy jem kurczaki.

- Tak - odparłam. - Jem.

- Pytam - kontynuowała - bo pomyślałam, że może zostałam wegetarianką.

- Dlaczego tak sądzisz? Bo przeprowadziłam się do Kalifornii?

- Myślę, że gdzieś przeczytałam - wymamrotała.

Zastanawiałam się, co jeszcze o mnie przeczytała, co o mnie wie. Uznałam, że niewiele. Nigdy nie interesowała się zbytnio kinem i magazynami filmowymi. „Śmieci” - mówiła. „Zaśmiecają umysł”. To ojciec zabierał mnie do kina, kupował polany masłem popcorn, grzechoczące pudełka cukierków i przed powrotem do domu dokładnie wycierał mi buzię.

Przeszła koło mnie, ściągnęła buty i weszła do kuchni w samych rajstopach. Miała na sobie czarne spodnie, białą bluzkę z kokardką przy szyi, którą chyba jeszcze nosiła

w czasach, nim wyjechałam.

Poszłam za nią na górę i obserwowałam, jak wkłada kurczaka do kuchenki mikrofalowej, potem wyjmując pudełko z bułką tartą, jajko z lodów^Tki i pękniętą białą miskę. Od niepamiętnych czasów, przed położeniem na blachę, moczyła kawałki kurczaka w tej miseczce. Skurczyła się podczas mojej nieobecności, tak jak całe sąsiedztwo. Piaszkowe włosy wyblakły, ramiona pod bluzką z domieszką poliestru pochyliły się, na grzbietach dłoni wykwitły brązowe plamki. Postarzała się i to spostrzeżenie zaskoczyło mnie. Upływ czasu w ogólności to jedno, ale zobaczyć to na przykładzie własnej matki - to zupełnie coś innego. Otworzyłam usta, myśląc, że jakoś muszę zacząć, że muszę wymyślić, w jaki sposób opowiem moją historię. „Pojechałam do Kalifornii ozakochołam się...” Poczułam, że zaciska mi się gardło. Wyobraziłam sobie Sama, stojącego w kinie, trzymającego pudełko popcornu i zastanawiającego się, gdzie się podziałam. Zamrugałam oczami, oblizałam usta, znalazłam w lodówce główkę sałaty lodowej i zaczęłam rwać ją na kawałki. Moja matka spojrzała na szkaradną torbę Very Bradley przy schodach.

- Ładna torebka - powiedziała, podając mi butelkę niskotłuszczowego kremowego sosu do sałatek. - Więc - kontynuowała, gdy kurczak był już w piekarniku, a w kuchence mikrofalowej obracały się na tacy dwa ziemniaki - co sprowadza cię z powrotem do miasta?

Jej ton był starannie obojętny. Wzrok wlepiła w podłogę. Miałam odpowiedź na końcu języka, ale nie umiałam zmusić się do wyduszenia choć jednego słowa. Może się myślę, jednak odniosłam wrażenie, że ona ma ten sam problem. Otworzyła usta, następnie zamknęła je. W pewnym momencie nawet wypowiedziała moje imię, ale gdy się odwróciłam, wzruszyła ramionami, odchrząknęła i znów wpatrywała się w swoje stopy.

Wyciągnęła dwie plastikowe podkładki z szuflady, w której rezydowały od zawsze.

- Twoja babcia umarła - powiedziała. - Kiedy cię nie było. Zadzwoiłabym do ciebie, ale... - Wzruszyła ramionami. Nie miała numeru telefonu i nie знаła mojego nowego nazwiska.

- Wbili jej kołek w serce dla pewności?

Wydęła usta.

- Widzę, że Kalifornia nie stępiła twojego ciętego języka.

Nie odezwałam się. Matka mojego ojca mieszkała w Harrisburgu, w pobliżu swojej córki i trójki moich kuzynów. Nigdy nie miała dla mnie zbyt wiele czasu. Widywałam ją raz w roku, dzień po Święcie Dziękczynienia. Zawsze nosiła bluzę z trzema odciskami dłoni - po jednym od każdego z moich kuzynów. Kiedy miałam osiem lat, zapytałam, dlaczego nie ma tam odcisku mojej dłoni. Zastanowiła się nad tym, wskazała

najmniejszą łapkę i powiedziała, że mogę udawać, iż to moja. Jejku, dzięki.

- Mamo - powiedziałam, nim zdałam sobie sprawę, że nie wiem, jak rozpocząć tę opowieść, że nie mam pojęcia, co powiedzieć. Spojrzałam na talerz i wbiłam widelec w kurczaka.

-Jeśli chcesz, możesz zostać - powiedziała cicho, nie patrząc mi w oczy.

- Mamo - powtórzyłam. „Poznałam mężczyznę, pobraliśmy się i stało się coś strasznego...”

- Jesteś moją córką - mówiła dalej - i zawsze będzie tu dla ciebie miejsce. - Czekalam, żeby mnie dotknęła, choć wiedziałam, że to się nie stanie. Nawet gdy z nią mieszkałam, nigdy mnie nie pogłaskała. Od przytulania był ojciec. - Pamiętasz, gdzie jest twoja sypialnia - oznajmiła, wstając od stołu i zrzucając niemal nieruszone jedzenie z talerza do śmietnika, który, przysięgam, był tam od czasu, gdy wprowadziliśmy się do tego domu ponad dwadzieścia lat temu. - Na łóżku jest czysta pościel. - I powiedziawszy to, wyszła.

Mój pokój wyglądał dokładnie tak, jak go zostawiłam - różowy puszysty dywan na podłodze, na ścianach plakaty z Tomem Cruise'em. Malutkie łóżko, które skrzypiało i przechylało się na lewą stronę, gdy się na nim kładłam. Przykryte było kapą w truskawki, tą samą, której zapragnęłam, mając osiem lat, i długo męczyłam o nią rodziców. Matka powiedziała mi wtedy, że już mam bardzo dobrą narzutę, a za rok ta nowa też mi się znudzi. „Nie” - błagałam. „Proszę! Bardzo, bardzo chcę ją mieć i już nigdy o nic nie poproszę”. W końcu to ojciec ustąpił i kupił mi tę kapę na urodziny. Kiedy odszedł, matka kazała mi używać jej przez całą szkołę średnią. „Narzuty nie rosną na drzewach” - mawiała. Jednak miała wystarczająco pieniędzy, by wydawać je na nowe ubrania dla siebie i dla mnie i, zauważyłam kiedyś, nową kapę dla siebie - beżowobeżową, wypełnioną sztywnym poliestrem, szeleszczącym, gdy się jej dotykało. Nie chodziło o pieniądze. Ta narzuta miała być dla mnie karą, przypomnieniem, co przytrafia się dziewczynkom marudzącym i niedającym spokoju - ojciec, który je porzucił, i rozsypująca się kapa, poplamiona rozlanym kool-aidem, z podobizną dawno zapomnianej twarzy z kreskówki. Pod koniec dziewiątej klasy przestałam już prosić o nową narzutę i przestałam zapraszać koleżanki do pokoju. Zamiast tego, gdy mama była w pracy, siedziałyśmy przed telewizorem w salonie, oglądałyśmy MTV i ukradkiem popijałyśmy baileysa ze stojących w barku zakurzonych butelek.

Wyciągnęłam się na łóżku i zakryłam oczy dłońmi. Była siódma wieczorem, w Kalifornii czwarta. Pomyślałam o moim mężu w naszym mieszkaniu, w którym nie było nic beżowego, o miniaturowych krzewach róż, w skrzynkach na wąskim balkonie, o sypialni z niemal przezroczystymi, złotymi zasłonami w oknach. „Możemy kupić dom” - powiedział Sam, gdy podpisał kontrakt na sitcom. „Może na wzgórzach. Nie-

wielki, ale sympatyczny". Postanowiliśmy zacząć poszukiwania - zadzwoniliśmy do kilku agencji, oglądaliśmy pokazowe domy, jeździliśmy po krętych drogach z pasami opinającymi ściśle mój brzuch. Przypomniałam sobie uśmiech Sama pod daszkiem czapki baseballowej i to, jak rozśmieszał mnie, próbując wymawiać skróty dokładnie tak, jak były zapisane w drobnych ogłoszeniach. Trzy sy-lnie! Dr- -gie p-ro! W-k na kanion!

Wyobrażałam go sobie, jak siedzi samotnie przy naszym stole z gazetą lub mrożoną pizzą - jadał ją, gdy mnie nie było - albo na zewnątrz, przy basenie, w starym kowbojskim kapeluszu na głowie i wylawia z wody każdy listek i martwego owada podbierakiem na długiej ręczce. Zespół budynków miał pracownika, który przychodził codziennie, ale Sam przejął obowiązki oczyszczania wody.

- To mój sposób na medytację - mówił. - Jest tańszy od jogi, prawda?

Nie znajdzie mnie tutaj, tak jak matka nie mogła odszukać mnie na Zachodnim Wybrzeżu. Jak tysiące kobiet przede mną wyjechałam do Los Angeles, by zacząć nowe życie. Zmieniłam nazwisko, aby pasowało do wyszczuplonego ciała, powiększonych ust, zmniejszonego nosa i przefarbowanych włosów, których kolor zmieniałam przynajmniej trzy razy w roku. Lia Frederick - takie nazwisko widniało na kartach kredytowych i prawie jazdy. Frederick to było imię mojego ojca, a Lia moje własne, z tym że z odjętym S. Przyjaciółkom i chłopakom, włączając Sama, podawałam życiorys dziewczyny, z którą mieszkalam w pokoju podczas dwutygodniowego obozu skautek w Poconos. Według tego, co wiedział mój mąż, pochodziłam z Pittsburgha, gdzie ojciec był dyrektorem banku, mama nauczycielką w szkole podstawowej. Miałam młodszego brata, małżeństwo moich rodziców było szczęśliwe. „Było” jest tu słowem kluczowym. Gdy tylko zorientowałam się, że Sam mógłby chcieć, całkiem naturalnie, spotkać się i pobyć z tak zżytą rodziną, zabiłam ich wszystkich w wypadku samochodowym, podczas wiosennej przerwy w ostatniej klasie liceum. „Biedactwo” - zmartwił się.

Powiedziałam mu chociaż kawałek prawdy. Moja mama była nauczycielką w szkole podstawowej i odpowiadała za tę samą salę w ceglany budynku, w której kiedyś przesiadywałam. Mimo cięć w budżecie, zwolnień i sześciu różnych dyrektorów moja matka, Helen, utrzymała posadę i wciąż uczyła - w coraz liczniejszych klasach - dziesięcio- i jedenastolatków wiedzy o społeczeństwie, angielskiego i ortografii. Wzdłuż schodów wieszano oprawione w ramki zdjęcia kolejnych roczników - laminowaną podróż w czasie. Z każdym stopniem w górę matka była coraz starsza, a w klasach przybywało uczniów - od osiemnastorga białych dzieci kiedyś do dwadzieściorga ośmiorga dzieci różnych ras obecnie. Na każdym zdjęciu miała ten sam rodzaj szminki, to samo ubranie i ten sam uśmiech. Moje klasowe zdjęcie, oprawione w ramkę, wi-

siało na samym szczycie schodów. Nie byłam ładną dziewczynką. To przyszło później. W piątej klasie wciąż miałam koślawe zęby w aparacie ortodontycznym i brązowe włosy do pasa. Uczęszczałam do klasy mojej matki, ale wszystkimi siłami starałam się zawsze znajdować jak najdalej od niej. Na zdjęciu jestem ubrana w czerwonozieloną spódnicę w szkocką kratę, białą bluzkę i rajstopy. Ona ma na sobie czarne spodnie i białą bluzkę. Na ustach typowy chłodny uśmiech, w dłoniach trzyma tabliczkę z napisem: KLASA PIĄTA PANI URICK. Ja patrzę w bok, w ogóle się nie uśmiecham, desperacko pragnąc być gdzie indziej, jak najdalej od niej.

W łóżku splotłam ręce na brzuchu. Skóra na nim wdaż była luźna i pomarszczona. Na dole słychać było telewizor. Najpierw *Koło fortuny*, potem *Rzykanci!* Matka wykrzykiwała odpowiedzi, przechadzając się po pokoju w białej bluzce, spodniach i rajstopach. Wyobraziłam sobie stertę gazet na stoliku, na oparciu kanapy wypełniony kawą bezkofeiny i kubek z napisem: NAJWSPANIALSZA NAUCZYCIELKA NA ŚWIECIE i ją, oglądającą wszystko, co pokazywał kanał ABC, aż do wiadomości o jedenastej. W tym domu kanał nigdy się nie zmieniał. Lata temu zniszczyłam pilota (w wypadku, który miał pewnie coś wspólnego z ukradkowymi łykami baileysa), a ona nigdy nie kupiła nowego.

Przekreśliłam się na bok, przyciskając policzek do poduszki. Wciąż pachniała tak samo - płynem zmiękczającym i jajkami sadzonymi. Te same obtarcia na ścianie, powstałe, gdy próbowałam przesunąć łóżko, ten sam obity róg drzwi od szafki, w które kopnęłam, mając osiemnaście lat.

- Nie słuchasz mnie! - wykrzyczałam. - Nigdy mnie nie słuchasz!

Stała w drzwiach, obserwując mnie.

- Nie najgorsze przedstawienie - stwierdziła, gdy przestałam, by złapać oddech. - Skończyłaś już czy będą bisy?

- Pieprz się! - wrzasnęłam. Patrzyła na mnie beznamiętnie. - Pierdol się! - powiedziałam. Skrzywiła się minimalnie, jakby uraziła się w palec. - NIENAWIDZĘ CIĘ! - Nic. - I wiesz co? Ty też mnie nienawidzisz! - Dopiero to spowodowało jakąś reakcję na jej twarzy. Wyglądała na zszokowaną i bardzo smutną. Po chwili rysy jej twarzy wygładziły się i przybrały wyraz obojętnego oczekiwania, jak u teatromana czekającego na opuszczenie kurtyny, by wziąć płaszcz i pójść do domu. - Przeprowadzam się do taty!

- W porządku - powiedziała. - Jeśli myślisz, że cię chce. - To właśnie wtedy kopnęłam w szafkę. Trzy tygodnie później poszłam do lombardu na South Street i sprzedałam złoty zaręczynowy pierśdunek z brylantami, który dostałam w spadku po prababci. Po dwóch dniach byłam już w drodze do Kalifornii, zając się cukierkami od nieznajomego i bez przerwy gadając, zmierzając w stronę nowego wyglądu, nazwiska

i przyszłości, która nieuchronnie wiodła do Sama. A w końcu z powrotem tutaj. Do domu.

Na dole matka wykrzykiwała pytania do telewizora: „Co to jest rtęć? Kim jest madame Bovary? Czym jest Sydney w Australii?”. Zamknęłam oczy. *Aaa, aaa, były sobie kolki dwa...* łóżko przechyliło się gwałtownie na bok i natychmiast się zerwałam.

Na najdalszym końcu, ledwo dotykając pościeli, siedziała moja matka. We wpadającym z korytarza świetle dostrzegłam, że włosy jej się przerzedziły.

- Lisa - powiedziała. - Możesz mi powiedzieć, co się stało?

Zamknęłam oczy i oddychałam spokojnie i nawet gdy wyciągnęła rękę, by dotknąć moich włosów, policzka, nie wiem sama, odwróciłam się. Gdy znów otworzyłam oczy, było już rano i słońce ogrzewało moją twarz. Wstałam z łóżka, ubrałam się i wsiadłam za kierownicę wypożyczonego samochodu. Jechałam bez celu, automatycznie skręcając. W dwie godziny później znów znalazłam się w parku, w którym kiedyś siedziałam z ojcem, i trzęsłam się z zimna, trzymając na kolanach nietkniętą kanapkę. Zamknęłam oczy i wystawiłam twarz do bladego słońca. „Dlaczego” - pomyślałam. „Dlaczego, dlaczego, dlaczego?” Czekałam, ale odpowiedź nie nadeszła. Jedyne kobieta, którą obserwowałam, z jedną ręką na brzuchu, z lokami kołyszącymi się w rytm kroków.

BECKY

- Ta kobieta w parku ciągle mnie obserwuje - powiedziała Becky.

- Co? - zapytał Andrew, który zasnął z jedną ręką zarzuconą na twarz. Nie otwierając oczu, sięgnął w kierunku nocnego stolika po podłużne opakowanie rennie i podał żonie.

- Nie mam zgagi - stwierdziła Becky. Była druga nad ranem, trzydziesty drugi tydzień ciąży, a ona nie spała od trzech godzin. Andrew westchnął i odłożył lekarstwo. - A wiesz co? Właściwie to mam. - Andrew znów westchnął i rzucił w nią tabletkami. - Nie mogę spać. Martwię się - powiedziała Becky. Ssąc pastylkę, przewróciła się z lewego boku na prawy.

- Czym się martwisz? - spytał Andrew, trochę już rozbudzony. - Tą kobietą z parku?

- Nie, nie nią. Niepokoi mnie... - W ciemności Becky zagryzła usta. - Myślisz, że z Mimi wszystko się ułoży? To znaczy... sądzisz, że uspokoi się trochę, gdy już się zdomowi?

- Co masz na myśli? - Andrew całkowicie już się obudził i, stwierdziła Becky, nie był specjalnie zadowolony.

-Cóż, no wiesz... Te telefony. E-maile. Wygląda na bardzo samotną - powiedziała ostrożnie, sądząc, że „samotna” zabrzmie lepiej niż „szurnięta”.

- Ciężko jest opuścić dom i zamieszkać w innej części kraju.

- To prawda, ale przecież Mimi robiła to już w przeszłości. - „Pięć razy”. Teściowa miała więcej mężów niż Becky chłopaków, z którymi umawiała się na randki. Na skutek rozpadu piątego małżeństwa, z agentem nieruchomości z Dallas, spakowała rzeczy, zabrała wszystkie oszczędności i kupiła coś, co niezmiennie nazywała swoim „malutkim kawałkiem raj” w Merion.

-Jesteś jedynym mężczyzną, który nigdy mnie nie zawiedzie - powiedziała, zarzucając w teatralnym geście ramiona na szyję Andrew, informując go, że się przeprowadza. „On jest moim mężczyzną” - pomyślała Becky, gdy Andrew klepał matkę po plecach. „Nie twoim”.

-Jest nakręcona - zapewnił Andrew. - Uspokoi się. Po prostu musimy być cierpliwi.

- Obiecujesz?

Odwrócił się, pocałował ją w policzek i objął.

- Obiecuję - odparł. Znow się odwrócił i natychmiast zasnął, zostawiając Becky rozbudzoną i niepewną.

Poczuła kopnięcie dziecka.

- No nie, ty też zaczynasz - wyszeptała i przewróciła się na drugi bok. Położyła rękę na ramieniu Andrew i tak długo go szturchała, aż ujął jej dłoń.

Poznała Andrew przed ośmioma laty. Miała dwadzieścia pięć lat i mieszkała w Hartwick, New Hampshire, gdzie skończyła college. Zły wybór, ale szczęśliwy - myślała, patrząc w przeszłość. Wybrała Hartwick oślepiona pięknymi fotografiami jesiennego krajobrazu Nowej Anglii, które przyszły razem z dokumentami rekrutacyjnymi. Sądziła, że zmiana klimatu z wiecznego lata Florydy będzie jej odpowiadać. Hartwick, którego nieoficjalne motto brzmiało: „Nie jesteśmy w Ivy League*², ale przynajmniej w pobliżu”, nie był najlepszym wyborem. Okazało się, że śliczny campus zamieszkuje śliczne dziewczyny o blond włosach, wiele z nich wyposażonych w bmw, kupione przez tatusia z okazji matury. Becky zawsze czuła się tam jak z innej bajki. „Och, Floryda!” - mówiła przesadnie chuda dziewczyna, gdy Becky, ubrana w wysmuklającą czerń, starała się nie pamiętać, że jest gruba i że tu nie pasuje. „Jeździmy tam co roku na wakacje!” Dodatkowo nie piła zbyt dużo, a była to główna czynność studentów Hartwick w weekendy zaczynające się w czwartek i trwające aż do wczesnych godzin poniedziałkowego poranka.

Przechodziła koło Poire, jedynej przyjemnej restauracji w miasteczku, chyba z dziesięć razy, nim zebrała się na odwagę, by wejść i zapytać o wiszącą na oknie kartkę:

² Grupa elitarnych uniwersytetów w północno-wschodnich stanach (przypis tłumacza).

POTRZEBNA POMOC. Od dnia, w którym została zatrudniona na okres próbny jako pomocnik kelnera, błyszczące drewniane podłogi, wykrochmalone, białe obrusy, ciastna kuchnia i lśniący dębowy bar stały się jej bliższe niż jakiegokolwiek inne miejsce w kampusie. A Sarah, barmanka w Poire i pólętatowa dyplomantka, została jej pierwszą przyjaciółką w New Hampshire.

Becky najpierw pomagała, potem została hostessą, a w końcu kelnerką. Gdy skończyła college, Darren, kierownik, zatrudnił ją na etacie. Uczyła się gotować już od roku, gdy poznała Andrew. To była wiosna pod znakiem tabletek odchudzających, które były pierwszą, ostatnią i jedyną podjętą przez Becky próbą stosowania specjalnej diety.

- To cudowny środek! - przekonywała Edith Rothstein, przywołując własny sukces w postaci zrzuconych trzech kilogramów, gdy Becky pojechała do domu na Chanukę.

- Umówiłam cię na wizytę u doktora Jankłowa...

Becky przewróciła oczami. Matka nie pozostała dłużna.

- Jeśli nie chcesz, możesz odwołać. To żaden problem.

Becky wzbraniała się, ale w końcu pozwoliła matce zawieźć się następnego ranka do gabinetu doktora Jankłowa, który dał jej receptę i życzył powodzenia. Rok później doktor Jankłow przeszedł pospiesznie na wcześniejszą emeryturę, jak wieść niesie, w wyniku procesu wytoczonego mu przez rodzinę kobiety, która chciała szybko, przed własnym ślubem, zrzucić dziesięć kilogramów, a zamiast tego skończyła życie przy uroczystym obiedzie poprzedzającym zamążpójście.

- Przed deserem czy po? - zastanawiała się Becky, a matka wpatrywała się w nią, sycząc:

- Kto pyta o takie rzeczy?

Pigułki przyspieszały puls i zwiększając pięciokrotnie poziom energii, sprawiały, że była niespokojna i roztrzęsiona. W ustach czuła smak przeżuwanego bawełny. Straciła dziesięć kilo w dwa tygodnie. Pierwszy raz od skończenia gimnazjum mogła kupić sobie ubrania w Gapie. Prawdę mówiąc, ledwo wciskała się w największe rozmiary, ale zawsze! Nabyła džinsową mini, którą nosiła do pracy w Poire, a po powrocie do mieszkania rzucała ją na podłogę, przewróconą na lewą stronę, dla przyjemności oglądania metki.

W wieczory, gdy nie gotowała, do spódniczki zakładała aksamitną bluzkę z dużym dekoltem, w kolorze czerwonego wina, wiszące srebrne kolczyki i czarne buty na wysokich obcasach. Malowała usta różową szminką, rzęsy grubo tuszem i rozpuszczała kręcone włosy. Faceci przystawiali się do niej. I to nie tylko ci pijani. Ale od pierwszego razu, gdy ujrzała Andrew, zwracała uwagę tylko na niego.

Zjawił się w Poire w tętniący życiem czwartek, z obowiązkowo chudą dziewczyną u

boku, tego wieczoru, gdy dwoje kelnerów zgłosiło telefonicznie chorobę, bo - jak stwierdziła później Sarah - nie można zadzwonić i powiedzieć, że się ma kaca. Pozostali kelnerzy mieli swoje rewiry. Becky, która tego dnia witała i usadzała gości, z radością przejęła siódmy stolik.

- Dobry wieczór. Witam w Poire - powiedziała, podając parze karty. - Może przedstawię państwu danie dnia?

- Jasne - odparł mężczyzna. „Och” - pomyślała, patrząc na niego. „Pychota”. Był przystojny, z krótko przyciętymi lokami, szeroko osadzonymi oczami i szerokimi ramionami, ale było coś jeszcze. Coś w sposobie, w jaki przekrzywił głowę i uśmiechał się, gdy opisywała osso bucco na polencie, albo jak patrzył na nią, kiedy mówiła. Wszystko to sprawiało, że Becky zaczęła zastanawiać się, jak by to było czuć jego dotyk i słyszeć ten głos rano. A może działa się tak dlatego, że przez cały czas była cholernie głodna i myślenie o seksie - najpewniej i tak nie będzie go uprawiała - miało zastąpić rozpamiętywanie karty z potrawami, od których próbowała się odzwyczajać.

- O Boże! - jęknęła dziewczyna. - Osso bucco. Pięć milionów kalorii!

- Właściwie sześć, ale warto.

- Spróbuję - powiedział. - Co by pani poleciła na początek?

„Mnie” - pomyślała Becky.

Przez cały czas czuła, że ją obserwuje, gdy serwowała potrawy i sprzątała naczynia, odkorkowywała wino, proponowała nowe sztuczki, więcej chleba, więcej masła, nową serwetkę, gdy swoją upuścił. Kiedy dotarli do deseru (espresso dla dziewczyny, drżący czekoladowo-orzechowy pudding, pływający w creme anglaise, dla mężczyzny, miłości życia Becky, który wziął łyżeczkę, westchnął i powiedział, że nie ma nic podobnego w szpitalnym bufecie), ona już wyszła za niego za mąż, wybrała wzór porcelany i nazwała ich dzieci: Ava i Jake. Gdy skończyli jeść, Becky zrobiła coś, czego nigdy wcześniej nie robiła - napisała swoje imię i numer telefonu na rachunku, po czym położyła go na środku stołu i odeszła, z walącym sercem, modląc się, by Panna Espresso na Deser nie próbowała zapłacić.

Szczęśliwie to Andrew wziął rachunek. Obejrzał go, uśmiechnął się, wsunął kartę kredytową... a gdy wyszedł, Becky znalazła notatkę: **Zadzwoń do Ciebie... Andrew Rabinowitz**, i trzydzieści procent napiwku.

Andrew Rabinowitz! Andrew. Andy. Drew. Pan i pani... nie... doktor i pani Rabinowitz.

- Rebecca Rothstein-Rabinowitz - powiedziała, sprawdzając brzmienie. Sarah uniosła brwi i stwierdziła:

- Ale czy ktoś się zorientuje, że jesteś Żydówką? - Becky uśmiechnęła się do niej nieco rozgniewana, wyszła na parking i pojechała do swojego małego mieszkania, w

którym z pewnością na sekretarce była już wiadomość od Andrew.

Spotykali się przez sześć tygodni - filiżanka kawy; lunche i kolacje; kino, gdzie trzymali się za ręce, całowali i dotykali; obowiązkowe długie spacery wzdłuż rzeki, które wkrótce przekształciły się w długie sesje pocałunków na kocu piknikowym, który Becky przynosiła razem z pieczonym w ziołach kurczakiem i chrupiącymi bagietkami. Nie poszli do łóżka aż do dwudziestych piątych urodzin Sarah.

Przyjęcie zaczęło się po zamknięciu Poire. Była wódka i budweiser na popitkę. Tequila i jeszcze więcej tequili.

W końcu, gdy zostało już tylko sześć osób, Darren, właściciel Poire, otworzył butelkę dwudziestopięcioletniej szkockiej i wypili zdrowie Sarah. Becky i Andrew wytoczyli się na ulicę i wylądowali w jedynej taniej knajpce w Hartwick. Łagodna kwietniowa noc była nietypowa dla tej pory roku. Wszystkie okna lokalu, a także drzwi wejściowe pozostawały otwarte. Na rozgrzanych policzkach Becky czuła wiosenny powiew.

- Lubię cię - powiedziała i odgryzła duży kęs bajecznie pysznego, chrupiącego, ciepłego rogała. - Naprawdę bardzo, bardzo cię lubię.

Andrew sięgnął przez stół i okręcił sobie jeden z jej loków wokół palca.

- Ja też cię lubię - stwierdził.

- Wiem - odparła, uśmiechając się do niego promiennie. - Więc u ciebie czy u mnie?

Żadne z nich nie miało prawa w takim stanie prowadzić, ale po półgodzinie i trzech filiżankach czarnej kawy poszli do samochodu Andrew. Gdy prowadził, Becky wyobrażała sobie, że czuje falującą pod nimi drogę, wijącą się jak powolna rzeka. Chodziła po jego mieszkaniu, przyglądając się wyjątkowo szkaradnej, brązowopomarańczowej wykładzinie dywanowej, ścianom poobijanym od zbyt częstego wnoszenia i wynoszenia mebli, obowiązkowym półkom na książki, ze sklejki i płyty pilśniowej, zastawionym medycznymi podręcznikami i magazynami, oraz najnowocześniejszemu komputerowi na biurku w rogu.

I wersalce, jednemu prawdziwemu meblowi. Obeszła ją powoli, jakby to był pies, mogący w każdej chwili ugryźć.

- Nie lubię wersalek - powiedziała. - Nie mogą się zdecydować. Jestem łóżkiem! Jestem kanapą! Jestem łóżkiem! Jestem kanapą!

- Jestem przymierającym głodem studentem medycyny - odpowiedział Andrew, podając jej butelkę schłodzonego białego wina i klucze, do których przymocowany był korkociąg. Osiem dziewięćdziesiąt dziewięć - głosiła nalepka na butelce. „Nie liczy się z pieniędzmi” - pomyślała Becky, odkorkowując butelkę, nalewając po kieliszku i wypijając jednym haustem połowę wina ze swojego.

Wziął ją za rękę i poprowadził do złożonej wersalki. Przysuwali się do siebie powoli, aż w końcu jej odkryte aksamitem ramię zaczęło naciskać na koszulę z grubej ba-

welny. Trochę wyżej skóra jego szyi była podrapana, jakby golił się tępą maszynką. Zauważyła też, że górne zęby delikatnie na siebie zachodzą. Te wady sprawiły tylko, że poczuła jeszcze większą namiętność.

Westchnęła mu do ucha i zauważyła, że przeszedł go dreszcz. Ośmielona, pocałowała go w to miejsce. Potem polizała i zaczęła ssać płatek ucha - delikatnie, a po chwili coraz mocniej.

- O Boże... - jęknął.

Mruczała mu do ucha i myślała o rzeczach, których nie jadła od czasu, gdy zaczęła dietę z pigułką. Budyń czekoladowy, mus czekoladowy, lody kokosowe z prawdziwą bitą śmietaną. Mandarynki.

- Mandarynki - szepnęła. - Chciałabym karmić cię mandarynkami, a ty zlizywałbyś sok z moich palców.

-Och! - westchnął. Uśmiechnęła się słodko, ujęła jego dłoń i delikatnie lizała, jak kot pijący słodką śmietankę. - Becky - powiedział, przyciskając jej ramiona do wersalki. „Teraz” - pomyślała, wyginając się w łuk, by wyeksponować piersi. Czują, jak ociera się o jej udo przyrodzeniem, rozwiewając obawy, że odraża go, zamiast podniecać. - Becky - powtórzył. Brzmiał jednak bardziej jak nauczyciel niż mężczyzna, którego przed chwilą lizała po dłoni. Westchnął. Nie było to namiętne westchnięcie. Przypominało bardziej dźwięk, który wydał z siebie jej ojciec, gdy przyłapał brata Becky na malowaniu palcami po masce jego sportowego samochodu. - Becky... - powiedział bezradnie. - Chyba nie powinniśmy tego robić.

Usiadła, z niemal obnażonymi piersiami.

- Dlaczego?

- Cóż... - zaczął zmieszany. Opierając się o wersalkę, odchrząknął i splótł ze sobą dłonie. - Hmm, chodzi o to... - Znów zamilkł. - Tak naprawdę to nigdy nie miałem dziewczyny.

- Och - zdziwiła się. „Prawiczek?” - pomyślała. Miał dwadzieścia osiem lat. Kto nie miał dziewczyny w takim wieku? - Chcesz to zrobić dopiero po ślubie?

Zamknął oczy.

-Niezupełnie. Chodzi jednak o to, że...

Poczuła ucisk w skurczonym z głodu żołądku. Wiedziała, że zdania zaczynające się od „Chodzi jednak o to” rzadko prowadziły do czegoś dobrego. Zwłaszcza jeśli wypowiedane były przez mężczyznę, którego dłoń właśnie polizała.

„Nie chcę tego usłyszeć” - pomyślała, ale nie potrafiła się powstrzymać.

- O co chodzi?

Andrew westchnął i wlepił wzrok w swoje nogi. Miał nieszczęśliwy i żaloszny wyraz twarzy.

- Chcę mieć dziewczynę, ale, hmm. - Przygryzł wargi. - Wydaje mi się, że myślałem o kimś nieco innym od ciebie.

- Bo jestem gruba - powiedziała.

Nie przytaknął, ale też nie zaprzeczył.

- Cóż - wykrztusiła, poprawiając bluzeczkę - powodzenia z Cindy Crawford. - Nogi się jej trzęsły, gdy szukała torebki, ale jakoś dotarła do drzwi i zamknęła je z satysfakcjonującym trzaskiem. Wtedy uświadomiła sobie, że nie ma jak wrócić do oddalonego o osiem kilometrów mieszkania. W tej samej chwili przypomniała sobie, że wciąż ma w kieszeni kluczyki od samochodu Andrew. Mogłaby wziąć jego auto, ale jak Andrew dostanie się do kampusu? Wciskając się za kierownicę, stwierdziła, że niewiele ją to obchodzi.

W poniedziałek rano zostawiła kluczyki w skrzynce na listy przy jego gabinecie, dołączając do nich puszkę slim -fastu na wypadek, gdyby nie zrozumiał, i przez następne dwa tygodnie czuła się jak pudełko po prażonej kukurydzy rozjechane przez cofającą się furgonetkę: płaska, pusta, ogólnie rzecz biorąc: nieszczęśliwa.

- Pieprzyć go! - powiedziała Sarah, podając przez bar kawę po irlandzku. - Po pierwsze, nie jest Carrym Grantem. A ty jesteś piękna.

- Tak, tak - odparła Becky.

- Nie krzyw się - Sarah wzdygnęła się. - Nie cierpię tych twoich min. Teraz musisz znaleźć sobie faceta. Natychmiast, albo jeszcze szybciej.

Becky posłuchała rady przyjaciółki i wzięła się do roboty. Pewnego wieczoru, czekając w kolejce do kina, poznała chłopaka, studenta inżynierii, wysokiego, chudego i prawie łysego - niezbyt przystojnego, szczególnie w porównaniu z Andrew, ale za to słodkiego. Był też odrobinę nudny, ale nie miało to dla niej znaczenia. Wziąwszy pod uwagę, że doktor Andrew pił tanie wino, spał na wersalce i gnieździł się w zapuszczonym mieszkaniu, brak atrakcyjności nie był taki znowu najgorszy.

Problem w tym, że opuściła się w pracy. Przypaliła całą porcję nadziewanych przepiórek w tłoczny piątkowy wieczór, wydała na wpół surową i obślizgłą sołę, zapomniała dodać cukru do musu czekoladowo-orzechowego. Kurczak w zaprawie cytrynowej, który powinien być radosnym połączeniem słodkiego z kwaśnym, smakował gorzko, tak jak myśli Becky, a suflety opadły w chwili, gdy wyjęła je z piekarnika.

- Kobieta ze złamanym sercem nie powinna zabierać się do gotowania - stwierdził Eduardo, kucharz, zeskrobując spaleniznę. Wycelował nożem w Becky: - Weź się w garść - powiedział surowo.

Becky starała się. Skupiała się na swoim nowym chłopaku. I w chwili gdy zaczynała wierzyć, że nie jest rozmiarów Plutonu, a przynajmniej jednego z jego księżyców, Andrew znów zjawił się w Poire.

Był czerwiec, dwa tygodnie przed urodzinami Becky. Powietrze było łagodne, przepełnione zapachem bzów, campus i miasteczko tętniły życiem w oczekiwaniu na koniec roku akademickiego. Czuło się, że w każdej chwili wszyscy mogą rzucić książki na ziemię, zedrzeć z siebie ubrania i tarzać się po świeżo skoszonej trawie.

Tego wieczoru padało - delikatna mżawka. Sarah przysłała na zaplecze i powiedziała, że przy barze siedzi Andrew, sam.

- Chcesz, żebym napluła mu do kieliszka?

- Jesteś wspaniałomyślna, ale nie. - „Nie pragnę go” - powiedziała sobie, ale nie mogła powstrzymać się przed zerknięciem w jego stronę. Andrew miał na sobie brązową zamszową marynarkę, a na twarzy minę winowajcy i czerwone worki pod oczami. „Mam chłopaka” - pomyślała Becky. Zaraz pójdzie do domu, poda mu spóźnioną kolację, po której będą mieli udany seks, więc pieprzyć cię, Andrew Rabinowitz. Jednak gdy sprzątnęła swoje stanowisko, zawinęła noże i otworzyła tylne drzwi, przy jej samochodzie stał Andrew z założonymi rękami, w mżawce.

- No, no - powiedziała. - Kogo ja widzę...

- Becky - odezwał się. - Chciałbym z tobą porozmawiać.

- Jestem zajęta.

- Proszę. - W jego głosie słyhać było desperację. Tylko wspomnienie o tym, jak bardzo ją zranił, co powiedział, mogło uchronić ją od ustąpienia.

- Muszę iść. - Zamilkła, by nadać kolejnemu zdaniu pełną siłę. - Mój chłopak na mnie czeka.

- To zajmie tylko chwilkę. - Mówił tak cicho, że ledwie go słyszała. - Chodzi o to...

- wymamrotał coś, czego nie zrozumiała.

- Słucham?

Uniósł głowę.

- Powiedziałem, iż wydaje mi się, że się w tobie zakochałem.

- Och, gadanie. - Udało jej się sprawić, by zabrzmiało to nonszalancko, ale serce biło jej tak mocno, iż była przekonana, że on je usłyszy. - Wiesz co? - Podniosła zapakowaną torbę. - Chyba stać cię na więcej niż zadawanie się z kimś, kto nosi przy sobie noże.

- Becky, jesteś zabawna i bystra...

- ...i gruba - dokończyła. Pochyliła się, otworzyła drzwi samochodu, rzuciła noże na tylne siedzenie i usiadła za kierownicą. Andrew obszedł samochód i położył dłoń na drzwiach od strony pasażera.

- O nie - powiedziała. - Odsuń się od samochodu.

- Ja tak nie powiedziałem - stwierdził. - I tak nie myślę. Uważam, że jesteś piękna, a odepchnąłem cię, bo...

Patrzyła na niego przez krople deszczu.

- Muszę ci coś powiedzieć - dodał i odchrząknął. - Coś osobistego.

- Mów śmiało - zachęciła, rozglądając się po pustym parkingu. - Nie sędzę, by ktoś słuchał.

- Mógłbym...? - zapytał, chwytając za klamkę.

- Nie.

- W porządku. - Andrew odetchnął głęboko i oparł się łokciami o dach samochodu.

- Po pierwsze, przepraszam, że zraniłem twoje uczucia.

- Przepraszam. To nic nadzwyczajnego. Bywało gorzej.

- Becky - powiedział proszącym głosem. - Proszę cię, posłuchaj. Daj mi skończyć.

Zamilkła z zaciekawioną i nie potrafiła nic na to poradzić.

- Posłuchaj. Hmm. - Przeształ z nogi na nogę. - Rzecz w tym, że jestem... nie-
śmiały.

Zaśmiała się z niedowierzaniem.

-I to twoja wielka tajemnica? Tylko tyle potrafiłeś wymyślić? Och, proszę cię. - Za-
trzasnęła drzwi.

-Nie. Zaczekaj! Nie o to chodzi. Rzecz w tym... - Jego głos zagłuszyło skrzypienie
otwieranego okna.

-Co?

Becky nie usłyszała, co powiedział. Pochyliła się i otworzyła okno od strony pasażer-
a.

- To jest związane z seksem! - syknął i rozejrzał się w koło, jakby spodziewał się uj-
rzeć tam publiczność czyhającą na każde jego słowo.

- Och! - Związane z seksem. O Boże! Lubi przebierać się w damskie ciuszki. Jest
impotentem. Jest impotentem noszącym damskie ciuszki, na dodatek w mniejszym
rozmiarze niż ja.

Andrew nachylił się w jej stronę, ale gdy mówił, nie podnosił głowy, by na nią spoj-
rzeć.

- Wiesz, jak to jest, kiedy przyzwyczajasz się do wykonywania jakichś czynności
w określony sposób, a potem tylko tak potrafisz to robić?

„Nie” - pomyślała.

- Tak - powiedziała.

- To właśnie ze mną tak jest. Z... wskazał na swój krok.

- Seksem?

Skinął żałośnie głowię.

- Więc możesz się kochać tylko, na przykład, w pozycji klasycznej?

Westchnął.

- Chciałbym. Tak naprawdę to nigdy.

- Dopiero po chwili dotarło do niej o czym mówi.

-Nigdy?

- Mogę robić to tylko sam. Mam taką bardzo specyficzną metodę i...

- Co? - nalegała, przenosząc ciężar ciała tak, że uda tarły o siebie. Była zaintrygowana i bardzo podniecona. - Opowiedz mi! Chyba że wiąże się to z użyciem pasa elastycznego twojej matki albo czegoś w tym stylu. Wtedy możesz skłamać.

Uderzył zrozpaczony głową w dach samochodu.

- Nie mogę.

Becky dźgnęła go w klatkę piersiową przez otwarte okno.

- Nie możesz mi powiedzieć czy nie możesz tego robić?

- To idiotyczne - powiedział. - Kretyńskie i z nikim o tym nie rozmawiałem.

- Co? - W myślach odhaczała możliwości, jedną bardziej przerażającą od drugiej.

Skóra. Pejczy. Plastikowa peleryna. No nie.

Skrzywił się.

- Nie mogę uwierzyć - powiedział, jakby mówił do siebie. - Nie mogę już o tym mówić.

- Owszem, możesz - odezwała się, nierozważna w czerwcowym deszczu, chcąc zapomnieć na chwilę o poważnym studencie inżynierii, swoim chłopaku, który pewnie czekał już na nią w łóżku, na beżowym prześcieradle z perkalu. - Zabierz mnie do siebie i opowiedz mi. - Otworzyła drzwi od strony pasażera. - Obiecuję, że nie będę się śmiała.

Pół godziny później Andrew i Becky znów siedzieli na jego wersalce. Pokój oświetlały dwie świece, stojące na telewizorze. Andrew trzymał w dłoni dużą szklanekę pełną szkockiej i miał zaciśnięte oczy, jakby bał się nawet na nią spojrzeć.

- Moja matka... - zaczął.

„O Boże!” - pomyślała Becky. „Proszę, nie pozwól, by te nieprzyzwoitości wiązały się z jego matką”.

-Jest bardzo... Hmm. Wścibska. Kiedy byłem dzieckiem, nie pozwalała mi mieć zamka w drzwiach do sypialni. Jedyne miejsce, gdzie mogłem znaleźć odrobinę prywatności, była łazienka. Więc nauczyłem się...

- Robić sobie dobrze - podpowiedziała Becky.

Uśmiechnął się delikatnie, oczy miał wciąż zamknięte.

- Tak. Hmm. Leżąc na brzuchu na macie łazienkowej. I, hmm, poruszając się w przód i w tył.

Odetchnęła głęboko, dopiero w tej chwili zdając sobie sprawę, że przed momentem wstrzymała oddech. Biorąc pod uwagę różne możliwości - wyposażenie pielęgniarki,

worek do lewatywy, wypchane zwierzęta i jeszcze gorsze rzeczy, była przekonana, że da sobie radę z matą łazienkową.

-Nie tak źle. - Spojrzała w kierunku zamkniętych drzwi do łazienki, usiłując przypomnieć sobie, czy kiedykolwiek widziała tam matę łazienkową i czy zazdrość byłaby stosowna.

- Nie jest tak źle do czasu, kiedy próbujesz zrobić to w jakiś inny sposób. - Jego głos złągodniał. - Na przykład z dziewczyną.

-Więc nigdy...

Upił duży łyk szkockiej i potrząsnął głową. Miał zmarszczone czoło i napięte brwi.

- Nie, nigdy. Ani razu.

Boże, współczuła mu... współczuła i była podniecona. Prawiczek. Nigdy nie znalazła się w takiej sytuacji jak on. Ledwo pamiętała, że sama była dziewicą.

- Coś ci powiem - stwierdziła. - Myślę, że możemy zrobić eksperyment.

- Nie uda się - odparł. - Już próbowałem.

W jej umyśle znów zaczęły przewijać się różne możliwości i pytania. Zastanawiała się, co zaszło podczas poprzednich prób. Czy doszedł z dziewczyną do pewnego momentu, potem zniknął w łazience i zakończył akt na łazienkowym dywaniku? A może udawał orgazm? Czy mężczyzna może to zrobić?

- Co jest najgorszą rzeczą, jaka mogłaby cię spotkać? - zapytała.

Na jego twarzy pojawił się cień uśmiechu.

-Nie wiem. Umrzeć jako prawiczek?

Becky skrzywiła się.

- W porządku, to pewnie jest najgorsza rzecz, ale założę że możemy temu zaradzić.

Otworzył oczy.

- Doceniam to. Naprawdę. Niezależnie od tego, co się stanie, nigdy nie zapomnę, że byłaś taka... - głos mu się łamał - ...miła w tej kwestii.

- Nie ma sprawy - odparła. W jej głowie krystalizował się plan. - To jak myślisz, powinniśmy spróbować?

Wstał z wersalki i sięgnął do klamry paska.

- Zaraz, kowboju! Nie tak szybko!

' Opuścił ręce. Wyglądał na zmieszanego. :

Myślałem, że będziemy...

- Och, będziemy. Ale nie dzisiaj. Dzisiaj - szepnęła - tylko będziemy się całować.

Uśmiechnął się i wyglądał na szczerze zadowolonego, po raz pierwszy od chwili, gdy zjawił się w Poire.

- Z tym - powiedział - poradzę sobie.

Trzy godziny później usta Becky były nabrzmiące, policzki i broda obtarte od lek-

kiego zarostu.

- Proszę - jęknął Andrew, przyciskając swoją pobudzoną męskość do ciała dziewczyny. - Proszę, Becky. Wiem, że teraz się uda. Proszę...

Siłą woli, o której istnieniu nie miała pojęcia, Becky wyrwała się z jego ramion. Wiedziała, że jeśli nie przestaną się całować, jeśli wciąż będzie ją przytulał i jeszcze raz dotknie opuszkami palców najczulszego miejsca, nie będzie potrafiła się powstrzymać.

- Piątek - wykrztusiła. - Po pracy. - Będzie musiała wymyślić jakąś wymówkę dla swojego chłopaka. - Przyjedziesz po mnie?

Odpowiedział, że tak. Całowała go, całowała, całowała, układając w głowie menu. Mimo że Becky robiła w Poire karierę i mimo że wyglądała profesjonalnie, zdolności kulinarnych nie wyssała z mlekiem matki. Dobra kuchnia nie była mocną stroną rodziny Rothsteinów. Kiedy Becky była nastolatką, większość posiłków powstawała z proszku zmiksowanego z kostkami lodu, a gdy mama była w formie - z bananami. Ronald Rothstein jadł wszystko, co mu podała. Sprawiał wrażenie, że nie wie, co je, nawet nie patrzył na talerz.

- Pyszne - mówił, niezależnie od tego, czy była to prawda, czy nie.

Babcia Malkie była świetną kucharką. Prowadziła tradycyjną kuchnię. Miała ogromne piersi i szerokie biodra. Gdy szła, wielkie pośladki poruszały się w górę i w dół.

-Jedz, jedz - nuciła łagodnym głosem, wkładając do ust małej Becky ciasteczka z makiem lub dżemem i inne wysokokaloryczne żydowskie potrawy, gdy matka nie patrzyła. Becky uwielbiała zostawać na noc w babcinym domu, gdzie do późna mogła wyciągać się na brzoskwiniowej satynowej narzucie, grać w karty i zajadać się solonymi orzechami. To do babci Malkie przybiegła na skargę, gdy Ross Farber przezywał ją w autobusie, gdy wracali ze szkolnej wycieczki: Tłuscioch, tłuscioch, tłusta kłoda.

- Nie przejmuj się nim - powiedziała babcia, podając Becky czystą chusteczkę. - Wyglądasz tak, jak powinnaś. Tak jak powinna wyglądać twoja matka, gdyby jadała normalne posiłki.

-Nie będę się podobała chłopcom - stwierdziła Becky, wycierając oczy.

- Jesteś jeszcze za mała, żeby myśleć o chłopcach - orzekła babcia Malkie. - Ale zdradzę ci tajemnicę. Wiesz, kto podoba się chłopcom? Kobiety zadowolone z siebie, które nie użalają się nad sobą, oglądając kasety z Jane Fondą, i nie narzekają wciąż, że ta czy inna część ciała jest nie taka, jak być powinna. Wiesz, co jeszcze lubią? - Nachyliła się i wyszeptwała wnuczce do ucha: - Dobre jedzenie.

Becky zaczęła gotować, gdy miała czternaście lat. Na swoją zgubę, jak potem żar-

towała, ale tak naprawdę to na cześć babci. Dzięki Julii Child, autorki *Radości gotowania* (matka dostała tę książkę w prezencie ślubnym, ale nigdy jej nawet nie otworzyła), odkryła tłustą śmietaną, szczypiorek, szalotkę, siekane kotlety jagnięce pieczone na gazowym grillu - kupiła go za pieniądze otrzymane na bar micwę - kisze i suflety, napoleonki i ekierki, gulasz, pasztet i ragout oraz świeże ryby pieczone w pergaminie, z cytryną i oliwą.

Już wcześniej gotowała dla mężczyzny. Na drugim roku miała chłopaka, który zapalał miłością do łososia, kiedy przeczytał gdzieś, że zapobiega rakowi prostaty. Mógł sobie pozwolić tylko na łososia z puszki, za to kupował je w ilościach niemal hurtowych.

-Kotleciki prostatowe - zapowiadała Becky albo, gdy chciała pozbyć się grubej panierki z bułki tartej i trzech jajek: - Pieczeń prostatowa.

Teraz będzie się musiała bardzo postarać - jedzenie jak dla króla. Albo przynajmniej jak dla mężczyzny, który przez ostatnie dziesięć lat kochał się z łazienkową matą.

„Figi” - pomyślała. Figi na przystawkę. Ale czy całe figi to nie było zbyt oczywiste? Przypomniała sobie pizzę z dżemem figowym, którą jadła kiedyś w restauracji w Bostonie. Na kruchym spodzie, z prosciutto i serem asiago. Poradziłyby sobie. A na główne danie jakieś mięso, chrupiące na zewnątrz, w środku soczyste i delikatnie różowe. Ziemniaki tłuczone z tłustą śmietaną. Szparagi, bo podobno są afrodyzjakiem, a na deser coś wystrzałowego. Może danie serowe z naturalnym miodem lawendowym. Baklava! Trufle czekoladowe! Świeże maliny ze śmietaną!

Jej myśli gnały. Do ust napływała ślina. Konto bankowe nie przetrzyma szturmu, który obmyśliła - cena samego wina będzie miała dwa zera na końcu. Becky z radością sięgnęła po ostatnią deskę ratunku - kartę kredytową, nie zaprzatając sobie głowy, co zrobi, gdy dostanie rachunek.

W piątkowy wieczór Andrew czekał na nią przy barze. Był znacznie mniej przybity niż poprzednim razem.

- Znów się przyjaźnicie? - zapytała Sarah.

- Coś w tym stylu - odparła Becky, ale ton głosu musiał ją zdradzić, bo Dave i Eduardo natychmiast zaczęli jej dogadywać i robili to jednocześnie, tyle że jeden po angielsku, a drugi po hiszpańsku. Żartowali, że Becky znów jest zakochana i, nie daj Boże, zrujnuje się, płacąc za przypalone obiady klientów. Wyjęła siatki z zakupami z chłodni, gdzie je wcześniej wstawiła, dołożyła bochenek chleba, dwie butelki wina i pospiesznie wyszła, by spotkać się z Andrew przy barze.

- Co to jest? - zapytał, przyglądając się torbom.

-Jedzenie.

- Zamierzasz gotować? - zdziwił się. Najwyraźniej jego wyobrażenia co do tego wieczoru nie uwzględniały kolacji.

- Zamierzam gotować - odpowiedziała. „Zamierzam zwalić cię z nóg” - pomyślała. „Zamierzam sprawić, byś zapomniał o wszystkich dziewczynach, jakie kiedykolwiek kochałeś. Mam zamiar sprawić, byś kochał mnie do końca życia”.

Już w mieszkaniu Andrew zapalił świece, a Becky zajęła się przygotowaniami do kolacji. Posmarowała kruchy spód pizzy dżemem figowym, ułożyła ser i cieniusieńkie plasterki prosciutto, po czym wstawiła danie do małego piekarnika.

-Co to będzie? - zapytał, obserwując każdy jej ruch w kuchni wielkości szafy. Miała nadzieję, że podoba mu się to, co widzi. Ubrała się w koszulkę Old Faithful i dżinsową mini od Gapa. Poperfumowała się w łazience i teraz martwiła się, że trochę za mocno.

- Przystawki - odparła. Objął ją w pasie, oparł plecami o blat kuchenny, tuląc twarz do jej szyi.

- Ładnie pachniesz.

Dobrze, nie za dużo.

- Kupiłem nam coś - oświadczył, sięgając ponad jej głową do szafki. Uśmiechnęła się na widok puszek mandarynek. Pamiętał. To dobrze.

Wyciągnęła pizzę z piekarnika, nastawiła wodę na szparagi i obtoczyła w mące rozbitą na cienkie plastry cielęcinę. Andrew spróbował wypieku.

- Mniem - powiedział. - To jest pyszne.

- Prawda? - Uznała, że nie będzie się krygować i udawać fałszywie skromnej. Pizza była fantastyczna, ostry ser doskonale komponował się ze słodkim dżemem figowym.

- Chodź tu - poprosił. Założyła fartuch, położyła cielęcinę na rozgrzanym na patelni oleju z dodatkiem masła, i podporządkowała się jego prośbie. - Dobrze mi z tobą - wyszeptał. - Wszystko pachnie tak wspaniale.

- Cierpliwości - powiedziała, uśmiechając się. - Dopiero zaczynamy.

Nalała wina, nastawiła szparagi, oprószyła obsmażoną cielęcinę serem pleśniowym i wstawiła do rozgrzanego piekarnika. Ziemniaki kipiały, sery rozgrzewały się na blacie. Wręczyła Andrew talerze, kieliszki, wino, dwie lniane serwetki i widelce, których i tak nie będą używać zbyt długo, i zaprowadziła do salonu.

- Odpręż się - poradziła. Ze spiętymi ramionami i drżącymi kącikami ust Andrew wyglądał raczej jak pacjent u dentysty, a nie jak ktoś szykujący się na noc degustacji i seksualnej ekstazy. - Obiecuję, że cokolwiek się stanie, nie będzie bolało.

Dwadzieścia minut później kolacja była gotowa. Andrew rozłożył prześcieradło na

ziemi i usiadł ze skrzyżowanymi nogami.

- Och - westchnął. - Smakuje wybornie.

Jedli przez kilka minut w ciszy, patrząc na siebie nieśmiało, próbując wszystkiego.

-Jest pyszne - powiedział, odsuwając talerz - ale nie mogę jeść. - Próbował się uśmiechnąć. - Chyba się denerwuję.

- Zamknij oczy - szepnęła Becky. Wyglądał na zaniepokojonego, ale spełnił prośbę. Uniosła kieliszek wina do jego ust.

- Upij mały łyk - powiedziała. - I nie otwieraj oczu.

Zrobił to i na jego twarzy zagościł uśmiech.

- Rozchyl wargi - poprosiła i włożyła mu do ust kęs cielęciny. Wolno przeżuł.

- Mmm. Chcesz spróbować?

Podał jej kawałek szparaga, kładąc delikatnie na języku. Słyszała jego głośniejszy oddech, gdy musnęła ustami opuszki palców. Potem wziął szczyptę ryżu. Zlizywała ziarenka z jego palców, a gdy ssała je, westchnął.

- Mogę...? - wyszeptał. Spojrzała w bok. Zanurzył palce w kieliszku i podsunął jej do oblizania.

- Jęknął głośno, gdy wzięła jego palec wskazujący pomiędzy wargi. Becky napełniła usta winem, nachyliła się i pocałowała go, pozwalając, by trunek obmywał jego język. Całowali się i całowali, odsuwając talerze, a potem Andrew znalazł się na niej, ich ciała ocierały się o siebie w migotliwym blasku świec, jej głowę wypełniały aromaty wina, sera, świeżego chleba i zapach skóry Andrew.

- Becky - powiedział.

Podciągnęła się na wersalkę. Andrew usadowił się obok niej.

- Czy to znaczy - z trudem łapała oddech - że pominiemy sery?

- Teraz - sapał. - Nie mogę dłużej czekać.

-Jeszcze jedna rzecz. - Poszła do kuchni, obok sera, miodu i szampana, które przyniosła, znalazła małą puszkę mandarynek, zdjęła wieczko i przelała zawartość do miseczki. W salonie Andrew wciąż leżał na wersalce, wpatrując się w nią z takim przejęciem, że zakręciło się jej w głowie.

- Deser - powiedziała, biorąc cząstkę mandarynki w palce i wkładając mu powoli w usta.

Westchnął.

- Becky - wymamrotał.

- Zaczekaj - wyszeptała. Szybko pomodliła się, by nie wybuchnął śmiechem na widok tego, co zaplanowała, jednak potem stwierdziła, że mężczyzna, który opowiedział jej o swoich intymnych chwilach na gumowanym dywaniku, nie będzie śmiał się z niczego. Ściągnęła koszulkę i została jedynie w koronkowym staniku z fiszbinami.

Przechyliła miseczkę, wylewając lepki syrop na szyję i piersi.

- Chodź tu - powiedziała, przyciągając go do siebie. Ciężko pracował językiem na jej szyi. Wrzuciła kolejną śliską cząsteczkę pomiędzy piersi, a on zanurkował, by ją wydobyć. Pomyślała o świniach szukających trufli, pionierach spuszczałających wiadra do studni w nadziei na czystą wodę. Świece migotały, przykrywając tańczącymi cieniami jego twarz.

Gdy wzięła soczysty owoc w usta i, używając języka, włożyła między jego wargi, poczuła pobudzoną męskość, napierającą na jej udo. Sięgnęła do jego rozporka i rozpięła. Spodnie opadły w dół i... O Boże! - Czy to żart? - zapytała, patrząc i niedowierzając własnym oczom.

- Nie - odparł zdławionym głosem, gdy próbowała zdjąć mu spodnie przez buty.

- Jest prawdziwy?

- Prawdziwy - potwierdził.

- Jezu Chryste - powiedziała. - Ileż on ma centymetrów?

- Nie wiem.

- Przestań, oczywiście, że wiesz.

- Nigdy nie mierzyłem.

- Aha - powiedziała, próbując się nie gapić. Pozwoliła mu pokierować swoją dłoń. Myślała o francuskich bagietkach, wciąż ciepłych, w papierowych torebkach. O śliwkach, zawiniętych w papier ryżowy sajgonkach, naleśnikach z dżemem morelowym, miseczkach wypełnionych kawiozem i śmietaną, o wszystkich wspaniałych potrawach, których w życiu spróbowała. Chciała, by był to najlepszy stosunek, jaki kiedykolwiek odbył, ale szybko stało się jasne, że naprawdę był to jego pierwszy stosunek. Wplótł palce w jej włosy i tak energicznie pompował biodrami, że poczuła mdłości.

- Spokojnie - powiedziała.

- Przepraszam - odparł, siadając.

- Nie martw się - uspokoiła go. - Poczekaj, mam pomysł.

Wpadła do kuchni, otworzyła szafki i lodówkę, aż w końcu znalazła to, czego szukała - oliwę z oliwek, której używała do gotowania. Trzymał ją w lodówce, co było dużym błędem, ale pomyślała, że szybko się ogrzeje, a na pouczenia przyjdzie czas później. Wróciła do salonu i ułożyła się na wersalce.

- Chodź do mnie - wyszeptała. Gdy stanął nad nią, wciąż w koszuli i butach, odpięła stanik, wzięła butelkę z oliwą i naląła mu trochę na dłonie.

Usiadł na niej okrakiem, dotykając udami jej boków, i zaczął pocierać swe przyrodzenie naoliwionymi rękami. Obejmował piersi Becky, potem znów dotykał siebie.

- Aha - jęknął, przesuwając się do przodu i do tyłu, w mig pojmując, o co chodzi.

- W porządku? - szepnęła.

- Chyba... - wysapał. - Pragnę...

Nalała oliwy na swoją dłoń i, z trudem łapiąc oddech pod jego ciężarem, włożyła rękę pod niego, pocierając nabrzmiałe, poruszające się rytmicznie ponad nią ciało.

-Ach! - jęknął i wytrysnął na swoje dłonie. Po chwili przywarł do niej, szepcząc jej imię we włosy.

Dziesięć minut później pieścili się na wersalce.

-Wspaniale - powiedział. Pozostałości kolacji były porzrzućane po podłodze - talerze pokryte roztopioną gorgonzolą i ziemniakami, w połowie pełne, pomazane palcami kieliszki obok elektronicznego zegarka.

- Wiem.

- Mogę coś dla ciebie zrobić? - zapytał szeptem. Potrząsnęła głową. Od środka drażyło ją poczucie winy na myśl

o jej chłopaku, prawdopodobnie czekającym na nią z dwoma filećkami miecznika, białego i nieszkodliwego, w lodówce. Przyszło jej do głowy, że kochanie się z Andrew nie jest prawdziwą zdradą, lecz raczej misją humanitarną, działalnością, za którą byli prezydenci otrzymywali Pokojową Nagrodę Nobla.

- Becky - wyszeptał Andrew. - Moja bohaterko!

- Śpij już - odpowiedziała ściszym głosem. Chwilę później, wciąż się uśmiechając, zasnęła.

Spotykali się przez dwa lata, podczas gdy Andrew odbywał czwarty i piąty rok stażu, a potem, gdy wylądował na stypendium w Szpitalu Pensylwanii, przeprowadzili się do Filadelfii. Becky przekonała Sarah, by porzuciła studenta marksizmu i przeniosła się razem z nimi. Wyciągnęły wszystkie oszczędności plus pieniądze zostawione przez ojca Becky i wynajęły miejsce, które w przyszłości miało zostać nazwane Mas. Życie było wspaniałe i Becky wiedziała, co się wydarzy tego wieczoru, gdy Andrew podprowadził ją do kanapy i posadził, trzymając za obie dłonie i patrząc głęboko w oczy.

- Jest coś, o co chciałbym cię prosić - zaczął.

- Dobrze - odparła z nadzieją, że zgadła, co teraz nastąpi.

Andrew uśmiechnął się i przytulił ją do siebie. Zamknęła oczy. „Teraz” - pomyślała, zastanawiając się, czy kupił już pierścioneć, czy też zrobią to razem.

Przysunął usta do jej warg.

- Chciałbym, żebyś...

„Została moją żoną” - dokończyła w myślach.

- ...poznała moją matkę - powiedział Andrew.

Becky natychmiast otworzyła oczy.

- Słucham?

- Cóż, myślę, że powinnaś ją poznać, nim się pobierzemy.

Zmrużyła oczy.

- Andrew Rabinowitz, to było kiepskie.

Jej przyszły mąż przyjął upomnienie.

- Naprawdę?

- Nalegam, byś zrobił to jeszcze raz.

Andrew wzruszył ramionami i uklęknął przed nią.

- Rebecco Maro Rothstein, zawsze będę cię kochał i chcę być z tobą do końca moich dni.

- Lepiej - wymamrotała, gdy wyciągnął czarne aksamitne pudełeczko z kieszeni.

- Czy to znaczy „tak”?

Spojrzała na pierścionek i zapiszczała z radości.

- Tak - odparła. Wsunęła pierścionek na palec i starała się nie myśleć, że nawet podczas oświadczyn matka była na pierwszym miejscu.

- Śpisz? - zapytał Andrew, tuląc się do niej.

- Uhu - powiedziała Becky i jęknęła, patrząc ponad ramieniem męża na zegarek. Już siódma? - Chce mi się spać - stwierdziła, naciągając poduszkę na głowę.

- Chcesz, żebym zadzwonił do Sarah i powiedział, że się rozchorowałaś? Mogłabyś cały dzień spędzić w łóżku.

Becky potrząsnęła głową, znów westchnęła, podniosła się i wstała. Zamierzała pracować nieprzerwanie aż do porodu. Sarah, która zgodziła się uczestniczyć w tym wydarzeniu, usłyszawszy to, uniosła brwi.

- Ty wiesz najlepiej - powiedziała. Jednak później zaczęła chodzić za Becky po małej kuchni z hiszpańskim napisem: MOKRA PODŁOGA i nalegała, by kucharze przestawiali wielki gar z wrzątkiem na tylne palniki „tak na wszelki wypadek”.

Becky połknęła witaminy dla kobiet w ciąży i wyciągnęła ramiona w górę.

- Szybko - powiedziała. - Póki jesteśmy sami. - Andrew odchylił jej głowę i pocałowali się. Becky zamknęła oczy.

Odezwał się dzwonek telefonu. Andrew poderwał się z poczuciem winy wymalowanym na twarzy.

- Tylko odbiorę - szepnął.

Becky westchnęła i potrząsnęła głową. Wiedziała, kto dzwoni, nawet bez patrzenia na identyfikację rozmówcy. Podstawowym sposobem komunikacji Mimi był e-mail, ale gdy nie dostawała odpowiedzi w ciągu godziny, dzwoniła, niezależnie od tego, czy było bardzo wcześnie nad ranem, czy bardzo późno w nocy. A jeśli Andrew nie oddzwaniał natychmiast, używała pagera.

-A co będzie, jeśli kiedyś nie odpowiesz na jej wiadomość? - zapytała pewnego razu Becky.

Andrew zmarszczył brwi.

- Podejrzewam, że zaczniesz wydzwaniać po szpitalach. I kostnicach.

Becky zwinęła się na kanapie.

- Cześć, mamó - powiedział Andrew, robiąc na użytek żony nieszczęśliwą minę. Wiedział, że Becky nie bardzo lubi jego matkę, ale nie miał pojęcia, że w nocy, gdy nie mogła spać, zabawiała się długimi, wyrazistymi fantazjami o teściowej, umierającej na jakąś rzadką chorobę, odbierającą jej mowę, nim ostatecznie przeniesie się do krainy, z której nie można wysłać wiadomości na pager, e-maili, dzwonić ani bombardować syna faksem co piętnaście minut. Starła się nie narzekać na Mimi, bo kiedy to robiła, Andrew patrzył na nią poważnie i wygłaszał mowę niezmiennie zaczynając się od słów: „Becky, ona jest moją matką i robi to z miłości”.

Byłoby znacznie łatwiej, gdyby Andrew nie był jedynym elementem łączącym ją z Mimi. Jednak prócz niego nie miały ze sobą nic wspólnego. Po pierwsze, Mimi nie przywiązywała wielkiej wagi do jedzenia. Była mistrzem wśród niejadków, zawsze zamawiała mniej niż inni. Gdy poprosiło się

o dwa jajka i pełnoziarnisty tost, ona brała jedno jajko i pomidora w plasterkach. Gdy piło się kawę, Mimi zamawiała wodę, a jeśli brało się wodę, ona prosiła bez lodu.

Mimi nienawidziła mieszkania w szeregowcu, który Becky i Andrew kupili przed rokiem.

- Kuchnia jest w piwnicy! - wykrzykiwała, gdy przyleciała z Teksasu w odwiedzinach.

Becky przygryzła wargi w reakcji na to przedstawienie. Jak zwykle, Mimi pojawiła się bez uprzedzenia, a teraz denerwowała się lokalizacją kuchni. Nie przejmując się tym, Becky zwróciła jej uwagę na podłogę, wyłożoną ręcznie malowanymi kafelkami, i wbudowaną szafkę, wystarczająco dużą, by pomieściła wszystkie książki kucharskie. Andrew, ubrany w stary strój roboczy, pomalował każde piętro na inny kolor - kuchnię na intensywnie czerwony, salon na parterze na złotobrazowy, a ostatni poziom - gdzie postawił ścianki, zmieniając jedną dużą sypialnię w średnią sypialnię, mały korytarzyk, garderobę i pokój słoneczny, mały zakątek, gdzie będzie spało dziecko - na niebiesko, jak jajka drozda. Tego wieczoru przyszedł do łóżka z farbą we włosach, a ona powiedziała mu, że dokładnie tego chciała. „I tak było” - pomyślała Becky, gdy Andrew wreszcie pożegnał się z Mimi i podniósł żonę z kanapy, by ją przytulić.

- Jesteś pewna, że nie chcesz zrobić sobie wolnego? - zapytał.

Potrząsnęła głową.

- Czujesz? - Przycisnęła jego dłoń do swojego brzucha. Andrew przytaknął. Becky przymknęła oczy i przytuliła się do męża, podczas gdy dziecko pływało w jej wnętrzu.

trzu.

TLR

TLR

Czerwiec

LIA

- Więc - zapytała matka w dziewiątym tygodniu przebywania ze mną pod jednym dachem - zamierzasz tu zostać? - Stała przed lustrem w łazience, i sprawdzała, czy nie ma śladów szminki na zębach. Kolejny dzień, kolejny zestaw: biała bluzka i czarne spodnie w domu, gdzie czas się zatrzymał.

Siedziałam na kanapie i pochylona nad koszem, składałam uprane rzeczy. Czułam się jeszcze bardziej wytrącona z równowagi niż zazwyczaj. Obudziłam się, myśląc nie o dziecku, lecz o Samie. W Los Angeles, na rogu, w pobliżu wejścia do naszego apartamentowca w Hancock Park, kręciła się bezdomna kobieta, ubrana w trzy brudne płaszcze, naciągnięte jeden na drugi, przy temperaturze dwudziestu kilku stopni. Była tam codziennie, gestykulując

1 mówiąc coś do siebie. Gdy pewnej nocy wracaliśmy z koreańskiego przyjęcia i przejeżdżaliśmy koło niej, szaleńczo wymachiwała rękami w kierunku naszego samochodu. Wtedy to Sam zaplanował, że pozyska jej względy. Powiedział, że to dla mojego dobra.

- Wiem, że na świecie jest mnóstwo obłąkanych ludzi - tłumaczył - ale jeśli ona ma być w pobliżu dziecka, wolałbym, żeby była to życzliwa wariatka.

Pewnego poranka wyszedł wcześniej, ubrany w T-shirt, dzinsy i czapkę z daszkiem. W rękę trzymał jabłko. Po dziesięciu minutach był już z powrotem - bez jabłka, za to z guzem na czole.

- Rzuciła nim we mnie - oświadczył, jednocześnie oburzony i rozbawiony, dodając, że od bardzo dawna jest pierwszą kobietą, która nie uległa jego dobrej prezencji i tekańskiemu urokowi.

- Pomyślałam wtedy, że na tym skończy i zapomni o pomyśle osławiania bezdomnej, jednak on przez dwa tygodnie co rano coś wynosił - jogurt, bajgla, posiłek dietetyczny (bardzo się z tego powodu posprzeczaaliśmy, bo ja uważałam, że bezdomni głodni ludzie nie powinni jeść niskokalorycznych produktów, a Sam twierdził, iż traktowanie naszej bezdomnej inaczej niż wszystkich odchudzających się mieszkańców Los Angeles jest niesprawiedliwe). Nie sądzę, by kiedykolwiek odezwała się do Sama, wiem jednak, że już nigdy niczym w niego nie rzuciła, a gdy urodziło się nasze dziecko i przechodziłam koło niej, pchając wózek, cofała się z szacunkiem, patrząc na nas za-

chwyconym wzrokiem, jakby oglądała paradę.

Matka przyglądała mi się, ubraną w pamiętające szkolne czasy szare spodnie od dre-su i spraną koszulkę Pat Benatar.

- Masz jakieś plany?

Złożyłam ściereczkę do naczyń i umieściłam ją w kuszku.

- Nie jestem pewna.

- Co robiłaś przez cały dzień? - Szukałam w jej głosie krytyki, typowej, zawołowa-nej złości, ale nie znalazłam. Skupiała się na apaszcze, którą właśnie obwiązywała wo-kół szyi, i po prostu była ciekawa.

- Głównie spałam - powiedziałam. Częściowo była to prawda. Spałam tak często, jak mogłam. Długie, mętne godziny na starej kapie, w pokoju z oknami ukrytymi za zakurzonymi roletami. Przebudzałam się z drzemki z walącym sercem, kwaśnym smakiem w ustach i ciałem pokrytym potem, bardziej zmęczona niż przedtem. Wsia-dałam do wypożyczonego samochodu i jechałam do miasta, do parku i do kobiety, którą... co? „Prześladowałam” - było karygodnym słowem, kołaczącym się w mojej głowie. Tydzień temu zostawiłam smoczek w skrzynce na kwiaty w restauracji, gdzie pracowałam, ale przecież nikogo nie krzywdziłam, prawda?

Więc co jeszcze robiłam przez cały dzień? Pomiędzy czterogodzinnymi drzemkami i podrózkami do parku próbowałam sklecić list do mojego męża. Nie wiedziałam do-kładnie, co powinien zawierać. Wiedziałam jedynie, że Hallmark nie produkował kar-tek na takie okazje. *Kochany Samie* - zaczęłam. *Przepraszam*. Tylko tyle udało mi się napisać.

- Dlaczego nie powiesz mi, co się dzieje? - zapytała moja mama.

Potrząsnęłam głową.

- Coś się stało - powiedziałam i świat zaczął wirować. Złapałam się kurczowo kosza z praniem i zamknęłam oczy.

- Liso, tyle to udało mi się zauważyć - odparła. Spodziewałam się, że teraz jej głos przybierze drwiącą intonację. Pamiętałam ją z czasów, gdy byłam nastolatką. Ale tak się nie stało. - Poczulałabyś się lepiej, gdybyś mi o tym opowiedziała - mówiła dalej. Zamrugałam oczami, by sprawdzić, czy to wciąż ta sama stara mama - praktyczne bu-ty i schludne włosy, taki sam jak mój długi, ostry nos i szminka, która bez wątpienia w ciągu dnia znajdzie się na jej zębach.

- Nie mogę - wykrztusiłam. - Jeszcze nie teraz.

- W porządku - powiedziała. - Powiesz, kiedy będziesz gotowa.

- Nie wiem, dlaczego tak ci na tym zależy - odezwałam się, zbierając pranie. - Wca-le cię to nie obchodzi.

- Och, Liso, nie zaczynaj tych dziecinnych bzdur. Jestem twoją matką. Oczywiście,

że mnie obchodzi.

Pomyślałam, co mogłabym jej powiedzieć i jaki skutek by to przyniosło. Wyobraziłam sobie twarz matki wykrzywającą się w grymasie, wyciągnięte w moją stronę ramiona: „Och, Lisa! Och, kochanie!”. A może nie. Może przetarłaby tylko zęby palcem i spojrzała na mnie, jakbym żartowała lub zmyślała („Młoda damo, chcę prawdy, a nie twoich wymysłów!"). Bardzo często patrzyła na mnie w ten sposób, nim odeszłam. Patrzyła tak na mojego ojca, nim odszedł.

Wstałam, przyciskając poskładane rzeczy do piersi.

- Liso - powiedziała. - Zależy mi. - Gdyby mnie dotknęła, gdyby położyła dłoń na moim ramieniu, gdyby przynajmniej spojrzała na mnie, wszystko bym jej opowiedziała.

Ale nie zrobiła tego. Popatrzyła na zegarek i wzięła kluczyki samochodowe ze stolika przy drzwiach. - Proszę - powiedziała. Sięgnęła do szafy i wyjęła wiszący pomiędzy moją dzinsową bluzą z czasów szkoły i kurtką przeciwdeszczową, zostawioną przez mojego ojca, długi płaszcz do łydek, elektryzująco niebieski, z zatrzaskami z przodu, i podała mi go. - Dzisiaj jest zimno.

Gdy poszła, spojrzałam na siebie w lustrze i zobaczyłam sińce pod oczami, zapadnięte policzki i tłuste włosy. Wyglądałam tak, że spokojnie mogłam dołączyć do rzucającej jabłkami żebraczki. Założyłam płaszcz, położyłam się na przechylonym łóżku i wyciągnęłam telefon komórkowy. „Masz dwadzieścia siedem nowych wiadomości” - mówiła poczta głosowa. „Lia, to ja. Lia, gdzie jesteś? Lia, czy mogłabyś”... A potem tylko „Proszę”. Nacisnęłam przycisk „skasuj” dwadzieścia siedem razy, a potem leżałam w ciemnościach, rozmyślając o moim mężu. Wciąż dziwnie było myśleć o Samie w ten sposób. Przed ślubem spotykaliśmy się przez niecały rok, a w chwili, gdy wyjechałam, byliśmy małżeństwem od zaledwie dziesięciu miesięcy.

Poznaliśmy się z Samem w klubie, gdzie oboje pracowaliśmy. Sam był barmanem. Moim zadaniem było otwieranie drzwi podjeżdżających samochodów, kłanianie się na tyle nisko, by pasażerowie mieli dobry widok na mój dekolt, i mówienie: „Witamy w Dane!” z uśmiechem sugerującym możliwość, jeśli nie pewność, gorącego, anonimowego seksu w damskiej toalecie.

- Nie Dane's! - wrzeszczał właściciel lokalu przed piątą z sześciu modelek aktorek, które zatrudnił. - To nie jest Dane's. Po prostu Dane! Witamy w Dane! Chcę usłyszeć, jak to mówicie!

- Witamy w Dane - skandowałyśmy.

-Jesteśmy jak najładniejsze na świecie wyznawczynie Hare Kriszna - stwierdziłam po godzinie, opierając się ukradkiem o bar i zsuwając z nogi jeden z butów na wysokich obcasach, by rozmasować odciski.

Sam zaśmiał się, gdy to powiedziałam... i podał mi koktajl z wódką, nie przyjmując zapłaty.

- Witaj u Sama - powiedział. W jego głosie pobrzmiwał teksański zaśpiew, nawet po sześciu latach zmagania się z losem aktora w Los Angeles. Był przystojny, ale o większości mężczyzn w tym mieście można by tak powiedzieć. Jednak Sam miał w sobie coś więcej. Był miły.

-Jesteś pewien? - zapytałam, gdy wsunął mi na palec zwinięty papierek od słomki w dzień po wykonaniu trzech domowych testów ciążowych, których wynik był pozytywny, pozytywny, no i zgadnijcie, pozytywny. Obracałam ten kawałek papieru i obracałam, szczęśliwa, podekscytowana i przestraszona.

-Jestem - odparł. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej kopertę z biura podróży z dwoma biletami do Las Vegas. - Jestem ciebie pewien.

Las Vegas to doskonały pomysł. Wykluczało ewentualne nieprzyjemności związane z wielkim weselem w obecności jego rodziny i z moją nieobecnością - nieobecnością i martwą. W każdym razie w wersji, którą znał Sam, zginęli przed laty w wypadku.

- Idź na masaż - powiedział Sam, gdy już zameldowaliśmy się w hotelu. - Robią ciężarnym. Sprawdziłem. - Kiedy wróciłam do pokoju, na łóżku leżała zielona torba podróżna na ubrania. - Wiem, że nie masz rodziny, która by to dla ciebie zrobiła - powiedział. Wyciągnęłam z torby suknię i położyłam na łóżku. Miała kremowy kolor, coś pomiędzy kością słoniową i złotem, uszyta była z miękkiego jak płatki kwiatów jedwabiu. - Pozwól mi być twoją rodziną - zaproponował.

Przypomniały mi się ptaki z hotelowego holu - papugi: ary i lory ze szmaragdowo-zielonymi piórami. Ich oczy zdawały się śledzić mnie z bambusowych klatek, kiedy przechodziłam wraz z moim mężem, unosząc przód sukni, i stukając obcasami o marmurową podłogę. Pomyślałam, że w opowieści w stylu braci Grimm ptaki zaskrzeczałyby w tym momencie ostrzeżenie: „Zawróć, zawróć, piękna panno młoda!”. Potem wymazałabym wszystko, co napisałam, cofając się aż do nocy, kiedy się poznaliśmy. Gdyby nie uśmiechnął się do mnie, gdyby nie podobała mi się jego twarz i dłonie, kiedy kładł marynarkę na barze, mówiąc, że wyglądam na zmarzniętą.

Owinęłam się płaszczem matki i wstałam. Torba tkwiła przy schodach - tam gdzie ją zostawiłam. Przerzuciłam ją przez ramię, zdjęłam z palca pierścionełkę zaręczynową i wsunęłam do kieszeni. Zamknęłam za sobą drzwi i wtedy przypomniałam sobie, że list do Sama wciąż leży na moim starym łóżku. Postanowiłam zostawić go tam. Niech spróbuje to rozwikłać. Niech spróbuje dojść, kim jest Sam i co takiego zrobiłam, że muszę go przeproszać.

Czterdzieści pięć minut później byłam w tym samym lombardzie, który po raz

pierwszy odwiedziłam jedenaście lwi temu, trzymając w dłoni inny pierścionek, z diamentami - mi. Facet za ladą przez całą wieczność przyglądał się ozdobie pod lupą, potem zerknął na mnie i z powrotem na diamenty.

- Jest od Tiffany'ego - powiedziałam, by przerwać ciszę.

- Siedem tysięcy - wypowiedział swoje pierwsze słowa. - Jeśli jest kradziony, nie chcę o tym wiedzieć.

Chciałam się kłócić, targować, powiedzieć, że pierścionek jest wart znacznie więcej, jednak zorientowałam się, że nie mam siły. Wyciągnęłam tylko ręce po pieniądze, a on wręczył mi gruby plik studolarówek, które złożyłam, rozłożyłam i w końcu wepchnęłam do jednej z wielu kieszeni torby, plastikowej, zapinanej, przeznaczonej na brudne pieluchy i dziecięce ubranka.

Potem poszłam do kawiarni na South Street, wzięłam jeden z bezpłatnych tygodników i zaczęłam zakreślać ogłoszenia o wynajmie mieszkań. Miałam opuszczoną głowę i starałam się lekceważyć kołaczący się w jej wnętrzu głos Sama, mówiącego w sposób, jakim rozśmieszał mnie, próbując wymawiać: trzy p-je, w-ok na u-cę, i pytającego, dlaczego ogłoszeniodawcy nie mogą płacić trochę więcej, by starczyło na wszystkie litery.

PODNAJME, RITTENHOUSE SQUARE - wzięłam w kółko. JEDNA SYPIALNIA, PARKIET, WIDOK NA PARK, DOSTĘPNE OD ZARAZ. Brzmiało zachęcająco, miałam nadzieję, że czynsz nie nadszarpnie moich zasobów. Wykręciłam numer i zdziwiłam się, gdy odebrała prawdziwa osoba, a nie automatyczna sekretarka. Umówiłam się i skierowałam na zachód - najpierw Pine Street, potem Walnut, gdzie moje stopy zwolniły z własnej woli przed kafejką internetową.

Palce plątały mi się na klawiaturze. Wciąż miałam login, który nadałam sobie w zeszłym roku - LALia. Hasłem było imię naszego dziecka. Miałam sto dziewięćdziesiąt trzy nowe wiadomości, w tym po jednej od Sama każdego dnia, od kiedy wyjechałam. PROSZĘ - czytałam w tytule najświeższych. Nie PROSZĘ, PRZECZYTAJ TO, tylko samo PROSZĘ. Wstrzymałam oddech i otworzyłam wiadomość.

Kochana Lio! Respektuję Twoją wolę i nie próbuję Cię odnaleźć, ale oddałbym wszystko, by dowiedzieć się, jak się masz. Chciałbym znaleźć sposób, by przekonać Cię, że nie ma w tym Twojej winy, po prostu zdarzyła się straszna rzecz. Żałuję, że nie mogę powiedzieć Ci tego osobiście, że nie mogę pomóc...

Mogę?

Nie podpisał się.

Wcisnęłam „odpowiedz”, nim straciłam zimną krew. ***Jestem w domu*** - pisałam do mojego męża. ***Jestem bezpieczna. Napiszę więcej, gdy będę gotowa.***

Nie mogłam pisać, palce drżały mi nad klawiaturą. *Ja też o Tobie myślę* - dodałam, ale nie wysłałam tej wiadomości. Jeszcze nie. Wcisnęłam „delete”, wrzuciłam pięciodolarowy banknot do kubka na ladzie i otworzyłam ciężkie szklane drzwi.

Po czterdziestu pięciu minutach pukałam do mieszkania na szesnastym piętrze Dorchester.

- To podnajem na sześć miesięcy - powiedział gospodarz, mężczyzna w średnim wieku, w spodniach khaki i w krawacie, którego nie przestawał szarpać. Otworzył drzwi pustego, jednopokojowego mieszkania z parkietem, dwiema dużymi szafami, aneksem kuchennym i widokiem na park. - Zmywarka, pojemniki na śmieci i pralka na monety są w piwnicy.

Szłam przez mieszkanie, słysząc w głowie głos Sama. Z-w-ka! Po-nik na śm-ci! W-ok na park! Gospodarz przyglądał mi się uważnie. Owinęłam się szczelnie płaszczem matki i spojrzałam w dół, na moje stopy. Różowe klapki, doskonałe do pokonywania metrowych odcinków chodnika pomiędzy samochodem a dowolnym miejscem w Los Angeles, wyglądały nieco gorzej po tygodniach używania ich w Filadelfii.

- A oto widok - powiedział, podciągając rolety teatralnym gestem.

Dotknęłam szyby i spojrzałam w dół na park, gdzie spędziłam ostatnie tygodnie, siedząc, obserwując i czekając. Szesnaście pięter niżej przez park szedł mężczyzna, trzymając za rękę małego chłopca. Mężczyzna ubrany był w dżinsy i niebieską koszulę, a chłopiec, pewnie miał z sześć lat, pchał srebrną hulajnogę.

- O Boże! - wyszeptałam i przyłożyłam obie dłonie do szyby.

- Dobrze się pani czuje? - zapytał gospodarz.

- Kręci mi się w głowie - zdołałam wykrztusić.

Podszedł szybko i stanął za moimi plecami, wystarczająco blisko, by złapać mnie, gdybym zaczęła się przewracać. Nagle zastygł w bezruchu, niepewny, czy powinien mnie dotykać.

- Chce pani usiąść? - Usłyszałam filadelfijski akcent, o którym dawno zapomniałam.

- Wszystko w porządku. Naprawdę. Tylko trochę zakręciło mi się w głowie. Za dużo kawy. A może za mało. - Usiłowałam przypomnieć sobie, jak ludzie rozmawiają. Wyszłam z wprawy od czasu, gdy wróciłam do domu. - Śmierć zajrzała mi w oczy - palnęłam i natychmiast zagryzłam wargi. Było to jedno z ulubionych powiedzonek mojej matki i po prostu wyrwało się z moich ust jak gołąb wylatujący z kapelusza magika.

- Na pewno dobrze się pani czuje?

- Oczywiście - odparłam. - Tak. Dobrze. - Zacisnęłam mocniej dłoń na torbie i starałam się myśleć o tym, co powiem za chwilę, o tym, jak przebiegałaby rozmowa normalnych ludzi. Zdawało mi się, że minęła wieczność od czasu, gdy z kimś roz-

mawiałam.

- I co pani o tym myśli? - zapytał gospodarz, znów pociągając za krawat.

„Dobra, Lia, potrafisz to zrobić” - pomyślałam.

-Jest ładne. Bardzo ładne.

- A co sprowadza panią do miasta?

„Śmierć” - pomyślałam. „Zajrzała mi w oczy i przyniosła mnie do domu. Tak jak bocian, ale w odwrotną stronę”.

- Chyba tęsknota za domem. Stąd pochodzę. No, niedokładnie stąd, ale z Somerton. Niedaleko. Zupełnie niedaleko. „Boże, Lia, zamknij się” - powiedziałam sobie.

- Będzie pani pracowała w mieście?

Spojrzałam na brudne buty i modliłam się, by odpowiedź sama wyszła mi z ust.

- Tak - powiedziałam. - W końcu. Wkrótce. To znaczy nie mam problemu z pieniędzmi - dodałam pośpiesznie, bo nie chciałam, żeby pomyślał, iż jestem naciągaczką. Zamierzałam zostać w tym mieszkaniu. Miało dobre wibracje, feng shui albo cokolwiek innego. Zdawało się bezpieczne. - Chciałabym je wynająć.

-Dobrze - powiedział, jakbym była pierwszoklasistką, która poradziła sobie z najprostszym dodawaniem. - Dobry wybór. - Wypełniłam aplikację i gdy wręczałam gospodarzowi depozyt, zauważyłam, jak jego gęste brwi unoszą się na widok pliku banknotów w torebce.

-Nie ma pani czeku? Cóż, przynajmniej wypiszę pokwitowanie - oświadczył, przeliczając niepewnie pieniądze.

- Proszę się nie obawiać, nie jestem dealerem narkotyków ani nic takiego - powiedziałam, a potem w myślach skarciłam się, wiedząc, że tylko winni się tłumaczą. - Nie jestem - powtórzyłam nieco ciszej. - Ten numer, który panu podałam, to telefon mojej matki. Jeśli pan chce, może do niej zadzwonić i, no wie pan... zapytać o reputację. - Znów się skarciłam, rozmyślając, co powiedziałyby matka, gdyby naprawdę zadzwonił. - Przepraszam - zakończyłam bezradnie.

- Niech się pani nie martwi - odparł, zapisując numer mojej komórki. - Odezwę się najpóźniej jutro rano. Może pani tu zostać, jak długo zechce, drzwi zamkną się same.

Poszłam do sypialni, potem do garderoby, w której unosił się zapach mydła Murphy i duchy ubrań z przeszłości. Było tam dużo pustych wieszaków, kilka kłębków kurzu i metalowe półki, na których kiedyś stały buty.

Zmęczona. Och, jaka byłam zmęczona! Mis spałam od wielu godzin. Sprawdziłam, czy drzwi na pewno zamknęły się za gospodarzem. Rozłożyłam płaszcz na podłodze w sypialni, zaciągnęłam rolety, zwinęłam się w kłębek na środku pokoju i tkwiłam w bezruchu do czasu, gdy świat przestał wirować, i zasnąłam.

Śnił mi się ten sam sen, co zawsze, odkąd tu przyjechałam, i zawsze zaczynał się w

ten sam sposób - stałam w drzwiach sypialni Caleba. Widziałam kremowy dywan, ściany, które razem z Samem pomalowaliśmy na bladożółto, półki pełne kartonowych książek, plakat przedstawiający Babara ćwiczącego jogę.

Łóżeczko stało tam, gdzie powinno, na środku pokoju. Podeszłam do niego w tych poplamionych różowych butach, które przyniosły mnie z Los Angeles do rodzinnego miasta, wstrzymując oddech. Wiedziałam, co zobaczę, pochylając się nad łóżeczkiem, bo sen zawsze kończył się tak samo. Odchyliłam koc. Na prześcieradle leżała kupka zeschniętych liści zamiast dziecka. Gdy ich dotknęłam, rozsypały się i zniknęły.

AYINDE

- Szkoda, że musisz jechać - powiedziała Ayinde, tuląc w ramionach Juliana i obserwując rysujące się w świetle wypływającym z garderoby ramiona Richarda. Dziecko miało cztery tygodnie i ważyło już cztery kilo, ale wciąż było lekkie jak torba pierza i tak samo delikatne.

-Wolałbym zostać - odpowiedział, wybierając walizkę spośród kilku stojących w równym rzędzie. - Ale obiecałem firmie produkującej sportowe buty ponad rok temu i nie mogę się wycofywać. - Otworzył walizkę i spojrzał do środka, wiedząc jednak, jeszcze nim rozpiął suwak, co tam znajdzie - garnitur pozostający wciąż w folii z pralni chemicznej, sportową marynarkę i dwie pary spodni, koszulki polo, piżamę, skarpetki i bieliznę. Miał sześć takich toreb, spakowanych w zależności od długości pobytu - od jednej nocy po tydzień poza miastem. „Właściwie” - pomyślała Ayinde - „były dwie walizki na tygodniowe wyjazdy” - jedna wyładowana kąpielówkami i plażowymi klapkami, a druga z narciarską kurtką, kaszmirowymi szalikami, swetrami i parą wyłożonych futrem ogromnych butów numer czterdzieści dziewięć. Gdy Richard wracał do domu, zostawiał walizkę przy drzwiach i ktoś, gosposia, kamerdyner, ktoś, rozpakowywał ją, prał bieliznę, oddawał do pralni garnitury, pewnie nawet zmieniał nożyki w maszynce do golenia, potem pakował wszystko z powrotem i wstawiał do garderoby, gdzie czekała gotowa do następnej podróży.

Wyszedł z garderoby radosny. Wiedziała, że w myślach już podróżował, ścisnął dłonie, uśmiechał się. Może myślał o samolocie, szerokim fotelu w pierwszej klasie, drinkach na wyciągnięcie ręki i odcinających od hałasu słuchawkach. Bez płaczących dzieci, bez zmęczonej żony, wyglądającej, jakby dopiero co wstała, i wzdrygającej się przy każdym jego dotyku. Przeszedł energicznie przez pokój i wyjął z szuflady w komódce spinki do mankietów, a ze specjalnie zaprojektowanych przegródek, mieszczących wszystkie typy obuwia, od reprezentacyjnych "butów sportowych po buty do golfa, mokasyny. Potem

spojrzał na żonę i dziecko, siedzących na tapicerowanym fotelu, dostarczonym tego ranka przez dekoratora wnętrz.

- Naprawdę chcesz, żebym został?

„Tak” - pomyślała.

- Nie - powiedziała. - Nie, jedź. Wiem, że to dla ciebie ważne.

- Dla nas obojga - odpowiedział, dokładając najnowsze numery „Sport Illustrated” i „ESPN: The Magazine” do skórzanej torby.

Skinęła niechętnie głową. Rozumiała, że Richard robił wszystko, czego wymagały sponsorujące go firmy - bywał na imprezach, obiadach i partyjkach golfa z kadrą kierowniczą, rozdawał pliki z autografami dzieciom, by podnosić swoją wartość. „To zabawne” - pomyślała, przesuając się w fotelu. Wciąż czuła ból między nogami, mimo że doktor Mendlow zapewniał ją, iż rana pięknie się zagoiła. Myśleli, że robią Richardowi wakacje - tydzień na polu golfowym w Vail - ale Richard traktował podróżę jak pracę, bardzo poważnie. Dowiadywał się o nazwiska i historie ludzi, z którymi miał się spotkać w kolejnych dniach, tak by potem z zadowoleniem obserwować szeroko otwarte ze zdziwienia oczy, gdy wplatał znane im miejsca i imiona w rozmowę. „Jak się mają Nancy i chłopcy? Są już duzi, prawda? Osiem i dziesięć?” lub: „Przykro mi z powodu śmierci twojej matki. Jak to znosisz?”. Zachwycone twarze mężczyzn mówiły: „Uwierzyłbyś? Richard Towne zna imię mojej żony! Wie, ile lat mają moi synowie!”.

Kiedy byli tylko we dwoje w Teksasie, Ayinde nie miała nic przeciwko tym podróżom. Czasami zostawała w dużej, nowoczesnej rezydencji, biorąc weekendowe dyżury w pracy, by odrobić dni, kiedy Richard grał mecz, a ona mu towarzyszyła. A gdy leciał na wschód, zabierała się z nim i odwiedzała rodziców w Nowym Jorku. Z ojcem chodziła do teatru, matka najpierw wyrzucała zawartość walizki Ayinde na łóżko, potem brała w dwa palce spódnicę lub marynarkę i pytała: „To jest teraz modne w Teksasie?”. W końcu zaciągała ją do sklepów Bergdorfa Goodmana czy Barneysa.

Ayinde obserwowała męża i zastanawiała się, kiedy skończą się te wszystkie wyjazdy, weekendy poza domem, nieustanne nadszkakiwanie gwiazdora promującego napoje, trampki i płatki śniadaniowe. Kiedy Richard w końcu pozwoli sobie na odpoczynek na zasłużonej emeryturze. Zabieganie o względy było samo w sobie pracą na cały etat, pracą, której Richard tak naprawdę nie potrzebował. „Ale chodziło o coś więcej niż pieniądze” - pomyślała Ayinde.

O bezpieczeństwo, którego Richard nie zaznał, dorastając, o pewność, że zawsze wystarczy pieniędzy na jedzenie, ubrania, nawet na college.

- Wiesz, nie lubię zostawiać was samych - powiedział. Ayinde pokiwała głową, myśląc, jakie to dziwne, bo w ich życiu słowo „samych” oznaczało towarzystwo gosposi,

kucharza, kierowcy, ogrodnika, instruktora, który przychodził co piątek rano, i dekoratorki z własnym kluczem do ich mieszkania, niemającej oporów przed używaniem go - Ayinde już dwukrotnie wpadła na Corę Schuyler z Main Line Interiors przed ósmą rano. Raz, gdy ta przyniosła talerz, który zamierzała powiesić w kuchni, a drugi raz, gdy podrzuciła ręcznie robione mydła do damskiej toalety.

Był jeszcze menedżer urzędujący w ogromnym biurze nad garażem na sześć samochodów, niepełnoetatowy rzecznik prasowy w biurze obok i ochroniarz, który dostawał przesadnie dużo pieniędzy za jeżdżenie w tę i z powrotem ich ulicą groźnie wyglądającym hummerem i spisywanie numerów rejestracyjnych wszystkich zatrzymujących się w zaułku samochodów. Była też pielęgniarka, którą Richard zatrudnił na trzy tygodnie, ale po pięciu dniach Ayinde z niej zrezygnowała. Pielęgniarka, całkiem miła pięćdziesięciolatka, pani Ziff, napomknęła, że jej kolejną klientką będzie pracująca kobieta z dwuipółletnim dzieckiem i tylko dwunastoma tygodniami urlopu macierzyńskiego. Ayinde odczuwała wyrzuty sumienia, bo Julian był jej jedynym dzieckiem, jedynym obowiązkiem i nie było powodu, by marnować czas tej kobiety, mimo że Richard zapłacił z góry.

- Zadzwoń do przyjaciółek z jogi - zaproponował, dopinając torbę i wystawiając za drzwi. W nocy kierowca zabierze ją i umieści w bagażniku samochodu, który rano zawiezie Richarda na lotnisko. - Zróbcie sobie babski wieczór.

- Przyjaciółki - powtórzyła. Richard spojrzał na nią.

- Są twoimi przyjaciółkami, prawda?

- Skinęła głową, wciąż czując pewne zdziwienie.

- Więc pójdź na masaż - mówił dalej Richard. - Zrelaksuj się.

- Proszę, zostań — szcypnęła, zaskakując siebie i Richarda. Zerwała się z fotela z Julianem w ramionach, przemierzyła pospiesznie doskonały pokój, przechodząc obok ich łóżka z poduszkami, które Clara poprawiała przynajmniej dwa razy dziennie, marmurowego kominka z mahoniowym gzymsem i poustawianymi zdjęciami dziecka, świeżo oprawionymi w ramki.

- Och, dziecinko - powiedział Richard. Ayinde schowała twarz w jego ramionach, czując ciepło skóry przez kaszmirowy sweter.

- Zostań - powtórzyła cicho. - Proszę, zostań.

Richard opuścił ręce, by ją objąć, i Ayinde dostrzegła zmieszanie w jego oczach. Nie była taka. Nie była bezradna, niesamodzielną czy marudną, nie miała żadnej z cech, które charakteryzowały kobiety otaczające Richarda - te, które dla niego nie pracowały. „Nie jestem dziewczycą w potrzebie” - powiedziała mu kiedyś... i wtedy była to prawda.

- Przepraszam - powiedziała, starając się za wszelką cenę odzyskać normalny wy-

gląd. „Broda do góry, ramiona w tył, miej trochę dumy, dziewczyno!” - słyszała szept Lolo.

Przyglądała włosy wolną ręką i żałowała, że od rana wciąż jest w szlafroku i piżamie - cały dzień, a tak naprawdę większą część tygodnia. - Dam sobie radę. - To prawda. Zawsze sama dawała sobie radę. Przypomniało się jej Boże Narodzenie, gdy miała osiem lat. Dzień wcześniej rodzice wyjechali na jedną z greckich wysp. Ayinde została w domu, ponieważ nie chciała opuścić szkolnego przedstawienia, w którym miała wygłosić dwie linijki tekstu jako jeden z Trzech Króli. Umówiła się, że przenocuje u koleżanki, a rodzice wynajęli samochód, który miał ją stamtąd odebrać i zawieźć na lotnisko. Niestety, przez przypadek zabrali ze sobą jej paszport.

- Wrócimy najszybciej, jak to będzie możliwe - powiedziała matka słabym, ale wściekłym głosem podczas trzeszczącego połączenia telefonicznego, jakby całe to zamieszanie powstało z winy Ayinde, a nie jej. - Najpóźniej w poniedziałek.

Ayinde miała klucz do domu. Nosiła go na wstążeczce zawieszanej na szyi.

- Tak szybko? - zapytał portier, gdy życzyła mu wesołych świąt i skierowała się do windy. Wiedziała, że jeśli powie prawdę, będzie się o nią martwił i zepsuje mu święta. Wiedziała, że miał dzieci, bo trzymał ich zdjęcie na biurku. Więc Ayinde odparła, że wszystko w porządku, i pomachała mu, nim drzwi windy zamknęły się, a potem spędziła dwa dni w pustym mieszkaniu. Zawinięta w koc, jadła maślane ciasteczka z puszki, którą gospościa zostawiła jako świąteczny prezent, przyrządzała gorącą czekoladę i rosół z torebki, zalewając proszek wodą z kuchennego kranu, bo nie wolno jej było włączać kuchenki. Czytała książki Nancy Drew, aż jej rodzice (Lolo rozgoryczona, Stuart skruszony, oboje z masą prezentów, którymi mogliby obdarować kilkanaście ośmiolatek) wrócili do domu.

Po dwudziestu pięciu latach od tamtego Bożego Narodzenia Ayinde znów posmutniała. Wiedziała, co ją czeka, wychodząc za męża za Richarda. Teraz było już za późno na zmianę. Stanowiła doskonały przykład nowoczesnej kobiety - silna, inteligentna, samodzielna, potrafiła zapanować nad sobą w szatni pełnej nieprzyjaznych, nagich mężczyzn. A kiedy Richard obiecywał, że coś zrobi, robił to niezależnie od wszystkiego. O tym też wiedziała.

- Nie martw się o nas - powiedziała, zastanawiając się, czy w ogóle przyszło mu do głowy, by się o nich martwić.

- Baw się dobrze - odparł, uśmiechnął się i pocałował ją, potem nachylił się ostrożnie, uginając kolana, i zwrócił się do synka: - Mały mężczyzno, zaopiekuj się mamusią.

„Zaopiekuj się mną” - pomyślała Ayinde i spojrzała w dół na głowę męża. Z zaskoczeniem dostrzegła coś przypominającego początki łysiny. „Zaopiekuj się mną” - po-

myślała ponownie i przytuliła Juliana mocniej do serca.

BECKY

-Przepraszam za spóźnienie - szepnęła Becky. Usiadła na krześle obok Kelly. W szpitalnej auli pięć minut temu rozpoczął się wykład: ***Karmienie piersią -101 wskazówek.*** - Kryzys w restauracji. Dostawca przysłał nam orzeszki piniowe zamiast awokado. Kompletna katastrofa. - Na podwyższeniu stała nauczycielka, emerytowana położna, w ciemnoniebieskich spodniach i bluzce z długim rękawem. W prawej dłoni trzymała wskaźnik laserowy, w lewej zaś większą od naturalnych rozmiarów pierś, zakończoną wystającą brodawką.

-Dobry wieczór paniom - powiedziała położna. - I panom - dodała, machając ręką, w której trzymała sztuczną pierś w kierunku dwóch przyszłych ojców biorących udział w zajęciach. - Gratuluję, zrobiliście bardzo ważny krok, by zapewnić waszym dzieciom jak najlepszy start. Kto z was był karmiony piersią? - Becky zdumiała się, gdy Kelly podniosła rękę.

- Naprawdę? - szepnęła.

- Nic imponującego - odparła Kelly równie cicho. - Moja matka nie była postępową, nic z tych rzeczy. Myślę, że po prostu nie mogli sobie pozwolić na karmienie ośmiorga dzieci odżywkami.

- Mamy dzisiaj pewne rekwizyty - powiedziała położna, oddaliła się na chwilę i powróciła z kartonowym pudłem, wypełnionym plastikowymi lalkami wielkości noworodka. - Weźcie po jednej lalce. - Becky wybrała lalkę o azjatyckich rysach, w jednorazowej pieluszce i szpitalnej koszulce. Kelly sięgnęła do pudła.

- Och, spójrz, mam czarną! - powiedziała. Dwa rzędy przed nimi dwie panie odwróciły się, by się jej przyjrzeć.

- Steve nie będzie zadowolony - szepnęła Becky. Błada cera Kelly zarumieniła się.

- A teraz - powiedziała instruktorka, gdy każda kobieta trzymała już dziecko - czy któraś z was miała operację piersi? Implanty? - Uniosło się kilka rąk.

Kelly wyciągnęła szyję.

- Nie gap się - powiedziała Becky, waląc Kelly w ramię ulotką zatytułowaną ***Najczęściej zadawane pytania na temat karmienia piersią.***

- Zmniejszanie piersi? - Jeszcze kilka kobiet podniosło ręce. Kelly spuściła oczy i wlepiała wzrok w zeszyt, który ze sobą przyniosła. - Ilu waszych lekarzy pytało, czy będziecie karmiły?

Wszystkie podniosły dłonie.

- Ilu z waszych lekarzy obejrzało wam sutki?

Tym razem zgłosiła się tylko jedna kobieta z pierwszego rzędu.

- Dobrze. Ile z was wie, jak wygląda wciągnięta brodawka? - zapytała położna.

Zapadła całkowita cisza. Kobieta potrząsnęła głową i skrzywiła się. Uniosła sztuczną pierś w górę i nacisnęła sutek.

- Auu - syknęła Becky.

- To jest płaski sutek - wyjaśniła. - A to jest - teraz wcisnęła sutek do środka - wciągnięta brodawka. W obu wypadkach karmienie piersią może stać się dużym wyzwaniem, ale da się temu zaradzić.

- Możemy cię przebudować - szepnęła Becky. - Udoskonalić.

- W czasie przerwy w łazience będą położne, więc jeśli któraś z was chce, mogą sprawdzić wasze sutki - powiedziała prowadząca.

- Pójdiesz? - zapytała Kelly.

Becky potrząsnęła głową.

- Moje piersi są w porządku - odparła. - A szczerze mówiąc, robi mi się niedobrze, gdy ktoś na mnie patrzy. - Zacisnęła usta, przypominając sobie nieszczęsne USG w piątym miesiącu. Leżała na kozetce, gdy jakaś sadystka wysmarowała jej brzuch ciepłą galareta i zaczęła przyciskać głowicę aparatu tak mocno, że Becky aż jknęła.

- Czy mogłaby pani być trochę delikatniejsza? - poprosiła.

Kobieta wzruszyła ramionami i odezwała się, nie odrywając wzroku od monitora:

- Z powodu pani otyłości trudno mi zobaczyć dziecko.

„Otyłość”. Becky myślała, że umrze. Zacisnęła powieki, czując, jak duma i ekscytacja, ustępują miejsca wstydom. Cieszyła się, że Andrew akurat operował i nie był świadkiem, jak usiadła na leżance, owinęła się prześcieradłem i oświadczyła lekarce wykonującej badanie, że chce rozmawiać z jej przełożonym.

Na podwyższeniu prowadząca, używając lalki i sztucznej piersi, demonstrowała różne pozycje - krzyżowa, spod pachy, „sprawdza się najlepiej u matek z dużym biustem”.

- A tu są ulotki, które mogą się wam przydać - powiedziała. Becky wyciągnęła jedną ze stosu i skrzywiła się.

- Smoczki: diabelskie cycki - przeczytała.

- Naprawdę? - zdziwiła się Kelly.

- No nie, tak nie napisali, ale do tego się to streszcza - odpowiedziała Becky. Spojrzała na zegarek i wstała. - Chodź. Idziemy.

Dziesięć minut później spotkały się z Ayinde w kawiarni na South Street, gdzie zamówiły napoje bezkofeinowe, po- gruchały czule do malutkiego Juliana i opowie-

działy sobie, jak zaszły w ciążę.

- To było jak zły żart - powiedziała Kelly, patrząc spode łba na filiżankę miętowej herbaty, zamówioną zamiast espresso, na które, jak im zdradziła, naprawdę miała ochotę. - Mama zachodziła w ciążę za każdym razem, gdy spojrzała na mojego tatę. Mary, moja siostra, jest płodna, a my potrzebowaliśmy sześciu miesięcy i clomidu.

- Średnio trwa to pół roku - stwierdziła Becky. Dzwoneczki nad wejściem zadzwoniły krótko, gdy drzwi otworzyły się i zamknęły. Do lady podeszła kobieta w jaskrawoniebieskim płaszczu.

- Tak, cóż, dla mnie to była wieczność. Okazało się, że nie każdego miesiąca dochodzi do owulacji, więc brałam clomid i pomogło. Ale i tak mój plan wziął w łeb.

- Plan? - zainteresowała się Becky.

- Tak, planowałam zajść w ciążę, gdy będę miała dwadzieścia pięć lat, a nie dwadzieścia sześć. W ten sposób pierwsze dziecko urodzę w wieku dwudziestu sześciu, a drugie - dwudziestu ośmiu...

- Zaczekaj, zaczekaj. Drugie dziecko? - zapytała Ayinde.

- Zgadza się. Steve i ja chcemy mieć dwoje.

- Ja staram się przetrwać przy tym jednym - powiedziała Ayinde, spoglądając z czułością na Juliana. - Nie mogę uwierzyć, że już planujesz kolejne.

Kelly wyłożyła paczuszki cukru oraz słodzika na stół i układała je kolorami.

- Lubię mieć plan - powiedziała. - Jeśli chcecie wiedzieć, idealnym rozwiązaniem dla mnie byłyby bliźniaki.

- Jesteś szalona - stwierdziła Becky. - Masz pojęcie, jak dużo pracy to wymaga. Ayinde, powiedz jej!

- Jest ciężko - przyznała Ayinde, uśmiechając się ze znużeniem. - W ogóle nie powinno was tu teraz być. Lepiej poszłybyście do domu i wyspały się, póki możecie.

- Wiem, że przez kilka miesięcy byłoby strasznie trudno, ale później miałabym dwoje dzieci i nie musiałam ponawiać prób zajścia w ciążę... Można karmić piersią dwoje naraz, pamiętasz? - powiedziała Kelly.

- Instruktorka potrafi pokazać to na dwóch lalkach, co nie oznacza, że jest to możliwe w praktyce - stwierdziła Becky.

- A ty? - zapytała Kelly. - Udało się wam z Andrew za pierwszym razem?

- Och, to może teraz Ayinde - zaproponowała Becky. - Moja opowieść jest dość krótka.

- Wydaje mi się, że u nas trwało to przeciętnie - zaczęła Ayinde. - Próbowaliśmy przez blisko sześć miesięcy. Może troszkę dłużej. - Zdjęła Julianowi czapkę i schowała do torebki. - Myślę, że Pjchard sądził, iż uda mu się trafić w dziesiątkę za

pierwszym razem... - Wzruszyła ramionami. - Jest przyzwyczajony, że zawsze osiąga to, czego chce. - Napila się mleka. - Wiem, że mam szczęście - stwierdziła. - Jego koledzy mają dzieci z przygodnymi kobietami i ciągle poddają się badaniu w celu ustalenia ojcostwa...

- To tak samo jak z lekarzami - powiedziała Becky. - Fanki są nieobliczalne. - Zakręciła sobie lok wokół palca. - Andrew tak bardzo się nie śpieszyło. Powtarzał, że dobrze nam we dwoje, a dziecko skomplikuje życie. Co, oczywiście, jest prawdą, ale dziecko komplikuje życie w dobry sposób. W każdym razie taką mam nadzieję.

- Udało ci się zajść w ciążę od razu? - zapytała Kelly.

- To było całkowite zaskoczenie - zaczęła Becky. - Chcieliśmy poczekać, aż Andrew skończy staż i będzie mógł trochę więcej czasu spędzać w domu, tymczasem zaszłam w ciążę w pierwszym miesiącu po odstawieniu pigułki. Zanim rozpoczęliśmy próby, byłam pewna, że nigdy mi się nie uda.

- Dlaczego? - spytała Kelly.

- No, czytałam w Internecie te wszystkie teksty na temat, hmm, otyłych kobiet i ciąży. Miałam naprawdę długie cykle menstruacyjne... - Becky napila się wody i dała sobie chwilę, by rozważyć dziwność rozmawiania o cyklu menstruacyjnym z wciąż nowymi przyjaciółkami, stwierdziła jednak, że co to komu szkodzi. - W każdym razie myślałam, że mam wielotorbielowatość jajników - kiedy masz okres, ale nie jajeczkujeś, nie możesz zajść w ciążę. Dużo, hmm, puszystych kobiet ma ten problem.

Dzwoniłam nawet do poradni leczenia niepłodności, nim odstawiłam pigułkę, żeby umówić się na kontrolę. Pierwszy wolny termin był za sześć tygodni, a kiedy już tam dotarłam... - Wzruszyła ramionami. Nie potrafiła powstrzymać uśmiechu, gdy przypominała sobie, jaka była przejęta, kiedy lekarz podał jej dłoń i pogratulował. Kazał iść do domu i dbać o siebie. Po raz pierwszy od czasu, gdy miała dwanaście lat, czuła w gabinecie lekarskim coś innego niż wstyd. Dotąd wszystkie wizyty zaczynały się od ważenia i kończyły wykładem o problemach zdrowotnych wynikających z nadwagi. - To było trzydzieści siedem cudownych tygodni temu.

- Cudownych? - zdziwiła się Kelly i zmarszczyła brwi.

- Cóż, zadowolających. Na początku ciągle byłam zmęczona, miałam mdłości. Przez tydzień nie jadłam nic z wyjątkiem angielskich babeczek, poza tym to normalna, nudna ciąża. - Znów się uśmiechnęła, gdy przypominała sobie, jak w dziewiętnastym tygodniu poczuła delikatne ruchy. „Gazy” - powiedział Andrew. „Gazy” - zawyrokowała teściowa, Mimi, władczy tonem, jakby sama urodziła więcej dzieci niż jedno. Niech sobie mówią, co chcą, Becky wiedziała, że to nie są gazy. To było jej dziecko.

Kelly znów napila się herbaty i skrzywiła się.

- Moja ciąża jest straszna. Miałam tyle kłopotów, że gdybym mogła zażądać pieniędzy jako rekompensaty, byłabym bogata. Cały pierwszy trymestr plamiłam, więc musiałam leżeć i odpoczywać, potem miałam złe wyniki, zrobili mi amniopunkcję i znów wylądowałam w łóżku. I jest mi tak niewygodnie! - Spojrzała w dół i położyła dłonie na wystającym brzuchu. - Nigdy w życiu nie byłam taka gruba!

- Wciąż jesteś szczuplejsza niż ja przed ciążą - stwierdziła Becky. - Pociesz się.

-Wymiotowałam codziennie aż do szóstego miesiąca - kontynuowała Kelly - i mam straszliwą zgagę...

- Fúj, zgaga. Ja też mam - powiedziała Becky. Zapomniała o zgodzie. Może ciąża nie jest błogosławionym stanem, jak sobie wmówiła.

- Musiałam brać leki na receptę - dodała Kelly. - Te dostępne bez recepty nie działały. - Spojrzała na Ayinde. - A jak było z tobą?

- W porządku - odparła Ayinde, kładąc jedną dłoń na foteliku samochodowym. Gdy głaskała Juliana, światło odbijało się w ogromnym brylancie na jej palcu. - Aż do zaskakującego rozwiązania.

- No, daj spokój - nalegała Kelly. - Możesz nam powiedzieć.

Ayinde milczała.

- Miałas straszną zgagę? - zapytała Kelly. - Poranne mdłości? Popuszczalas, gdy się zaśmiałas?

Na twarzy Ayinde pojawił się delikatny uśmiech.

- Moje stopy - powiedziała, wzruszając ramionami w geście poddania. - Moje stopy powiększyły się. Łydki też. Mam takie buty, które zapinają się na suwak...

- Łe! - wzdrygnęła się Kelly. - Nic nie mów.

- Miałam też spuchnięte dłonie - kontynuowała Ayinde, spoglądając z żalem na swoje ręce. - Szczerze mówiąc, to wciąż są nabrzmiałe. Powinam zdjąć pierścionki.

- Zimna woda z mydłem jest niezastapiona.

- Nie, myślę, że udałoby mi się je jakoś ściągnąć - stwierdziła Ayinde. - Ale nie zrobię tego.

- Dlaczego? - zapytała Becky.

- Bo wtedy będę kolejną samotną matką. - Ayinde przeciągała samogłoski, co jest charakterystyczne dla ludzi z południa. - Nie chcę, by wszyscy patrzyli na mnie w ten sposób.

Jej wyznanie sprawiło, że Kelly i Becky zamilkły.

-Naprawdę sądzisz, że ludzie... - zaczęła Kelly.

- O tak - odparła Ayinde z szerokim, drwiącym uśmiechem. - Owszem. Czarna dziewczyna, bez obrączki, wnioski oczywiste.

-Mimo że jesteś... - Kelly nie dokończyła.

Ayinde uniosła brwi.

- Mulatką z jasną skórą?

- Bogata, zamierzałam powiedzieć. - Policzki Kelly były tak czerwone, że niemal płonęły. - Nie wiedziałam, że jesteś Mulatką.

Ayinde położyła dłoń na przedramieniu Kelly.

- Przepraszam - powiedziała. - Nie powinnam była robić takiego założenia. Ojciec jest biały, matka czarna. No, ona powiedziałaaby: Afroamerykanka, w jednej czwartej Czirokezka. Ale nie to widzą ci, którzy na mnie patrzą.

- Dziewczyny - powiedziała Becky ściszym głosem, spoglądając ponad ramieniem Kelly. - Nie odwracajcie się, ale ta kobieta w rogu nas obserwuje.

Kelly obróciła się tak gwałtownie, że Becky usłyszała chrzęst jej kręgow szyjnych.

- Nie gap się! - szepnęła ostro Becky. Pomyślała, że kobieta wygląda na wytraconą z równowagi i każde spojrzenie może spowodować, iż rzuci się do ucieczki.

Ayinde dyskretnie rzuciła okiem w prawo, gdzie siedziała kobieta w niebieskim płaszczu z rzadkimi, prostymi blond włosami opadającymi na ramiona, dłońmi oplatającymi kubek, przy stoliku, na którym leżała gazeta.

- Znać ją? - zapytała szeptem Ayinde.

-Stale ją widuję - odparła równie cicho Becky. - Nie wiem, kim jest, ale wszędzie się na nią natykam.

- Jest w ciąży? - spytała Kelly.

- Nie sędzę. Dlaczego pytasz? - zdziwiła się Becky.

- Cóż, odkąd spodziewam się dziecka, wszędzie widzę ciężarne kobiety. Wy też? Becky skinęła głową.

- Ale ona raczej nie jest w ciąży. Po prostu jest wszędzie. Wiem, że widziałam ją w parku... na ulicy...

Kelly znów odwróciła głowę.

- Nie gap się! - upomniała ją Becky. - Albo znów walnę cię ulotką o karmieniu piersią!

-Wygląda... - Kelly zmarszczyła brwi. - Na zagubioną.

-Jakby się zgubiła czy...

- Nie - powiedziała Kelly. Starła się znaleźć jakieś lepsze określenie, ale tylko pierwsze słowo oddawało ten stan. - Zagubioną, zagubioną.

Kobieta uniosła głowę i spojrzała na nie. „Zagubiona” - pomyślała Becky. Kelly dobrze to ujęła. Kobieta wyglądała na zagubioną, smutną i udreconą. Gdy się odezwała, jej głos brzmiał chrapliwie.

- Chłopczyk?

Trzy kobiety wymieniły szybkie, zaniepokojone spojrzenia.

- Przepraszam - powiedziała nieznajoma. Niezdecydowanie, z jakim mówiła, sprawiło, iż Becky zaczęła zastanawiać się, czy angielski jest jej ojczystym językiem, czy też tłumaczy w głowie słowa. - Czy pani dziecko to chłopiec?

- Tak - odparła ostrożnie Ayinde. - Tak.

Kobieta pokiwała głową. Wyglądała, jakby chciała coś jeszcze powiedzieć lub wstać i podejść do nich, ale gdy się podniosła, zmieniła plany, posłała im jeszcze jedno zrozpaczone spojrzenie i wybiegła z kawiarni.

KELLY

Kelly Day siedziała przy biurku w swoim drogim mieszkaniu, spoglądając przez sięgające od podłogi do sufitu okno na czubki liściastych drzew rosnących wzdłuż ulicy. Na uszach miała zestaw słuchawkowy, przed sobą świecący ekran komputera, obok leżały w gotowości palmtop i notebook.

Lemon zwinął się radośnie w kłębek i leniwie mył intymne części swego ciała. Nigdy nie czuła się bardziej wydajna, bardziej zorganizowana i szczęśliwa niż w tej chwili, z jedną dłonią spoczywającą na brzuchu. Dana Evans, dyrektor do spraw programów specjalnych filadelfijskiego zoo, wyliczała prośby do jej ucha.

- W porządku - powiedziała Kelly, zabierając się do podsumowania rozmowy. - Więc żadnej cebuli, czosnku, curry, żółtych potraw...

- Żadnych żółtych warzyw - poprawiła Dana Evans. - Myślę, że ryż z szafranem mógłby być, ale nie żółta papryka.

- Żadnych żółtych warzyw - powtórzyła Kelly, notując uwagę i myśląc sobie, że wizyta księcia Andresa Philipe'a, głowy małego, bogatego państwa europejskiego, znanego z doskonałej czekolady i liberalnego prawa rozwodowego, jest poważną operacją. - Żadnej kawy, czekolady, alkoholu, aromatów alkoholowych do deserów...

- Szkoda - powiedziała Dana. - Ten mus Grand Marnier, który zaserwowaliście ostatnio, był niezmierny.

- Bardzo się cieszę, że smakował - odparła Kelly, notując ten komplement w dossier Dany Evans dla osoby, która przejmie po niej obsługę zoo. - Wracając do imprezy, studenci z wydziału sztuki dramatycznej zaśpiewają nasz hymn narodowy, a następnie ten drugi...

- A orkiestra dęta?

- Fanfary, gdy będzie wchodził - powiedziała Kelly. - Podczas posiłku zagra kwartet smyczkowy. O szóstej rozpocznie się serwowanie przystawek i potrwa czterdzieści pięć minut, gdy goście będą się zjeżdżać. Po obu stronach namiotu staną otwarte bufety.

ty. O osiemnastej trzydzieści pięć księżę przy- jedzie tylną bramą. Poproszę ochronę, by zajęła miejsce parkingowe tuż przy drzwiach i wprowadziła go do środka.

O osiemnastej czterdzieści poprosimy gości, by usiedli na swoich miejscach. O dziewiętnastej szef działu imprez powita księcia. Powie kilka słów, dziękując zgromadzonym za hojność dla zoo - ma na to cztery minuty. Kolacja rozpocznie się o dziewiętnastej dziesięć - francuska zastawa, jak ustaliłyśmy, a desery będą w formie szwedzkiego stołu. Prócz filiżanek do kawy podamy małe kwadratowe talerzyki. Dancing zacznie się o dwudziestą piętnaście, a odjazd księcia zaplanowałam na dwudziestą trzydzieści.

- Jeszcze jedna rzecz - powiedziała Dana. - Księżę woli kelnerów od kelnerek.

Kelly potrząsnęła głową i zapisała.

- Czy ma coś przeciwko kontaktowi wzrokowemu?

- Nic o tym nie wiem - odparła Dana. - A czy w hotelu wiedzą, że smoking ma być wyprany i wyprasowany?

- Może zostawić go w recepcji, gdy będzie się meldował, lub zadzwonić tam, by ktoś odebrał ubranie z pokoju - powiedziała Kelly.

- Jesteś aniołem - stwierdziła Dana. - Zobaczymy się podczas imprezy?

- Nie - odpowiedziała Kelly, uśmiechając się. - Dzisiaj rozpoczynam urlop macierzyński. Cały rok!

- Nie zatrzymuję cię. Powodzenia!

- Dzięki - odparła Kelly. Rozłączyła się i położyła bose stopy na ciepłym boku Lemona, przygotowując dla szefowej ostateczne postanowienia dotyczące wizyty księcia. Zamknęła laptop i spojrzała na ekran palmtopa. Ktoś ze sklepu z materiałami miał przyjść następnego dnia o dziesiątej i zmierzyć okna. Wciąż nie było ich stać na skórzaną kanapę, którą miała na oku, nie wspominając o telewizorze plazmowym, goszczącym w jej myślach od czasu, gdy zobaczyła reklamę, ale zasłony były jakimś początkiem i...

- Cześć - usłyszała przytłumiony głos. Krzyknęła cicho i podskoczyła na krześle, rozlewając kawę (bezkofeinową i na jej szczęście letnią) na biurko (z IKEA, przeznaczone do wymiany - w sklepie na Pine Street upatrzyła stylowy sekretarzyk w pięknym złotozielonym odcieniu, z wygiętymi nóżkami) i psa. Lemon zaskowyczał i wybiegł z gabinetu z podkulonym ogonem.

- Steve! Przestraszyłeś mnie! - Podniosła komputer i zaczęła wycierać kawę rękawem. - Co robisz w domu?

Jej mąż stał w bezruchu na środku pustego salonu. Garnitur, który dobrze na nim leżał, gdy wychodził rano do pracy, teraz zdawał się za obszerny. Marynarka zwisała luźno na ramionach, spodnie opadły w pasie, nogawki zwijały się na butach. Spojrzał

na beżowy dywan i wymamrotał coś pod nosem tak, że Kelly nie usłyszała.

- Co się stało? - zapytała. W swoim tonie rozpoznała głos własnej matki, łajającej dzieci lub wypominającej coś mężowi („Gdzie byłeś? Kto to zepsuł? Co robiłeś wczoraj do drugiej nad ranem?”), i wyprowadziło ją to z równowagi. - Przepraszam, Steve. Nie usłyszałam cię - powiedziała łagodnym głosem.

Włosy Steve'a wiły się tuż nad kołnierzykiem. „Strzyżenie” - pomyślała Kelly, sięgając automatycznie po palmtop, po czym spojrzała na Steve'a.

- O co chodzi? - ponowiła pytanie, czując strach, skradający się wzdłuż kręgosłupa i oplatający brzuch. Steve nigdy tak nie wyglądał. Zawsze był... nie, raczej nie zarzucał jak Scott Schiff, który pewnie od urodzenia wyglądał jak osiagający sukcesy bankier inwestycyjny, ale pewny siebie, przekonany, że inteligencja doprowadzi go do sukcesu. Jednak teraz, ze zwieszoną głową i rękami wyciągniętymi wzdłuż ciała, Steve Day nie wyglądał jak dyrektor działu e-biznesu w jednej z większych firm farmaceutycznych w kraju. Wyglądał jak przestraszony chłopiec.

- Wywalili mnie - oznajmił Steve, jabłko Adama poruszało się gwałtownie przy każdym słowie. - Spieprzyłem coś i... - Przerwał. - Postanowili dokonać cięć w e-biznesie.

Wpatrywała się w niego, potrzebując czasu na zrozumienie, o co chodzi.

- Zwolnili cię? - wykrztusiła z siebie.

- Wywalili.

Czuła, jakby ktoś postrzelił ją w serce.

-Żartujesz sobie?

- Nie, nie żartuję - powiedział Steve, kuląc się. - Mnie, philipa, połowę programistów, trzy recepcjonistki...

Kelly przycisnęła dłonie do zamkniętego laptopa i uświadomiła sobie, że nie obchodzi ją niedola programistów, recepcjonistek ani przyjaciela Steve'a - Philipa. Poczowała ogromny gniew, który ją przeraził. „Te dupki” - pomyślała, oddychając niepewnie. „Będę miała dziecko. Jak mogli nam to zrobić?”

- Wiedzą, że jestem w ciąży? - zapytała, zła na siebie za ostry ton.

- Tak - odparł Steve. - Z tego powodu dali mi trzymiesięczną odprawę, a nie dwumiesięczną.

Trzy miesiące. Kelly zaczęła liczyć. Trzymiesięczne wynagrodzenie minus czynsz, spłacenie kart kredytowych, opłaty za samochód, media, ubezpieczenie zdrowotne...

-Mamy jeszcze nasze ubezpieczenie zdrowotne? - zapytała słabnącym głosem.

- Mogę je opłacić - powiedział Steve. - Będziemy mieli ubezpieczenie po stawkach dla firm. Wszystko będzie dobrze, Kelly. Nie martw się.

Wzięła głęboki wdech.

- Co się stało? - Nie zastanawiając się, dotknęła telefonu komórkowego, palmtopa i ułożonego starannie pliku banknotów, którymi zamierzała wieczorem zapłacić za program do podatków. „Co teraz?” - pomyślała, czując zawroty głowy. - Dlaczego to zrobili?

- Zawaliłem sprawę, jasne?! - wrzasnął. - Wcale nie chciałem tego zrobić. Po prostu tak wyszło. - Przeczesał nerwowo włosy palcami. - Czuję się jak idiota - wykrztusił. Kelly poszła do salonu i zaczęła przekładać rzeczy - miarkę, którą zostawiła na podłodze, egzemplarze magazynów „Forbes”, „Money”, „Power” i *Czego oczekiwać, gdy spodziewasz się dziecka*, ułożone na kupkę w miejscu, gdzie miał stanąć stolik. Było tam też zdjęcie wyrwane z „Traditional Homes”, przedstawiające dekoracje okienne, takie jakie chciała mieć. Złożyła je w małą kosteczkę i wrzuciła do kieszeni ciężowych dżinsów.

- Co zrobimy? - zapytała, myśląc o planach, jakie sobie ułożyli: ona wzięła rok urlopu, by być w domu z dzieckiem, a on miał pracować na utrzymanie.

Steve odepchnął się od stołu i przeszedł obok niej, nie patrząc jej w oczy.

- Idę pobiegać - oświadczył.

- Idziesz pobiegać - powtórzyła, przekonana, że to jego dziwaczne poczucie humoru i że zaraz powie jej, iż to wszystko jest żartem. Bieganie. I utrata pracy.

Poszła do kuchni, trzymając jedną dłoń na brzuchu, który wydawał się jej znacznie cięższy niż dotychczas, i zaczęła wyciągać rzeczy z lodówki - kurze piersi, brokuły, wywar do gotowania ryżu. Pięć minut później Steve wyszedł z sypialni w szortach, podkoszulku i sportowych butach.

- Niedługo wracam. - I już go nie było.

Kelly stała przez chwilę w cichej kuchni. Może Steve zaraz wróci i powie, że żartował, wszystko będzie dobrze, dotrzyma obietnicy, złożonej pierwszej nocy, i zaopiekuje się nią. Kiedy się nie pojawiał, wstawiła kurczaka do piekarnika i nastawiła wodę na brokuły. Potem poszła do sypialni, gdzie na łóżku leżały garnitur, krawat i koszula jej męża. Położyła się na nich, opierając czoło o wilgotny, pachnący kawą rękaw. On schrzanił, a ona ma problem. W głowie miała już dawno wszystko ułożone. Czekala ich świetlana przyszłość - wielkie wesele, piękne mieszkanie, dzieci, wszystko oparte na karierze Steve'a, na pensji, która na to pozwoli. „Znów się pomyliłaś, głupia” - jakiś głos szeptał w jej głowie. I co teraz będzie? Mężowie nie byli objęci gwarancją, tak jak samochody. Nie mogła odstawić go na przegląd ani zadzwonić do szefa i naprawić błąd, za który zapłacił utratą pracy.

Kiedy godzinę później Kelly usłyszała szcęk klucza w zamku, rozebrała się, założyła szlafrok i weszła do salonu. Steve leżał na podłodze, w miejscu, gdzie powinna stać kanapa. Zrzucił buty. Mokra od potu klatka piersiowa z przyklejonym do niej T-

shirtem unosila się i opadała rytmicznie.

Kelly spojrzała na niego, z całych sił starając się zdobyć na odpowiedni żoniny ton. Życzliwy. Empatyczny. Jakiś.

- Posłuchaj - powiedziała w końcu. - Takie rzeczy się zdarzają. Każdy może popełnić błąd...

- Trafne użycie formy bezosobowej - powiedział Steve.

- Co chcesz, żebym powiedziała? - zapytała Kelly. Steve wzdrygnął się, jakby go spoliczkowała. To jej nie powstrzymało. - Chcesz, żebym powiedziała, że wszystko jest w porządku? Że będę miała dziecko, a mój mąż nie ma pracy, ale jest świetnie?

Steve w końcu podniósł głowę.

- Coś się przypala. - Włączył się alarm pożarowy. Lemon zaczął wściekle ujadać.

- Cholera - syknęła Kelly. Poszła do kuchni i zauważyła, że woda na brokuły się wygotowała. Wyłączyła gaz, wrzuciła garnek do zlewu i puściła na niego zimną wodę. Buchnęła para. Alarm pożarowy zawył jeszcze głośniej.

Kelly pobiegła do łazienki, wyciągnęła z szafki pod umywalką kilka świec zapachowych - cynamon, wanilia, Wiosenny Deszcz, Słodkie Ciasteczka. Zniosła je do kuchni i zapaliła. Słyszała, jak Steve tłumaczy przez telefon gospodarzowi domu, że nic się nie stało.

- Mały wypadek przy gotowaniu. „I małe bezrobocie” - pomyślała Kelly. Ustawiła świece na kuchence, pobiegła do drugiej łazienki po odświeżacz powietrza i zaczęła psi-kać. Lemon zawył i uciekł.

Steve złapał ją za rękę.

- Co ty robisz?

Otworzyła usta, by opowiedzieć mu, jak wyglądała kuchnia jej matki w Ocean City. Naczynia stale piętzące się w zlewie, zmywarka wiecznie do połowy zapełniona i zapach, przede wszystkim zapach, jakby ściany wchłaniały woń każdego posiłku, jaki kiedykolwiek został tam ugotowany, wszystkich patelni z bekonem i garnków wypełnionych brukselką, każdego wypalonego papierosa, otwartego piwa (i puszek burbona z dietetyczną colą).

Nie chcę po prostu, by śmierdziało tu dymem. - Tylko tyle udało się jej powiedzieć. Sięgnęła po odświeżacz powietrza i zobaczyła, że drży jej ręka.

Steve wyjął pojemnik z dłoni Kelly i odstawił na blat.

- Idę spać - oznajmiła. Była siódma wieczorem i jeszcze nie jadła kolacji, ale Steve tylko skinął głową i powiedział:

- Okay!

Kelly zacisnęła dłonie w pięści i ledwo powstrzymała się od sięgnięcia po zapachowy spray.

- Posłuchaj - odezwała się. - Przykro mi z powodu tego, co się stało. Wszystko będzie dobrze. - Słowa zawisły w kuchni wraz z dymem.

Steve nie spojrział na nią.

- No, to dobranoc - powiedziała i przeszła obok niego przez pusty salon, korytarzem obok gabinetu, pokoju dzieciennego, aż w końcu dotarła do sypialni. Przypomniła sobie, jak po raz pierwszy zobaczyła to mieszkanie, i już wtedy wiedziała, że właśnie taki dom zawsze chciała mieć. Wysoki, z oknami od podłogi do sufitu, przylegającą do sypialni łazienką z wanną, jacuzzi i kabiną prysznicową, porcelanowymi blatami i ręcznie malowaną armaturą. Wanną, której nikt wcześniej nie używał, dwiema umywalkami dla nich dwojga. „Zasługujemy na to. Ty na to zasługujesz” - powtarzał Steve, rezerwując stolik w najdroższych restauracjach w mieście, zaskakując złotą bransoletką, iPodem, podróżą na Jamajkę. „Czemu nie?” - myślała. Dobrze zarabiała, a pensja Steve'a razem z premiami była tak wysoka, że sami się dziwili. Wszystko dobrze się toczyło, więc czemu nie? - Czemu nie? - szepnęła, chowając twarz w dłoniach.

TLR

Lipiec

AYINDE

Książka, która miała odmienić życie jej dziecka, przyszła w pierwszym tygodniu lipca, gdy Julian miał jedenaście tygodni. Na stronie tytułowej widniały przysadziste bązgroły Lolo. *Pomyślałam, że może Ci się przydać* - napisała. „Przydać” z „c” na końcu. No cóż. Ortografia nigdy nie była mocną stroną Lolo. Ayinde pokazałaby wpis Richardowi i pośmiałyby się razem, ale Richarda znów nie było. Golf, potem lunch z kierownictwem firmy produkującej gry wideo, w której powstawała właśnie gra wykorzystująca sylwetkę Richarda i jego sposób poruszania się na boisku.

- Przepraszam - powiedział, stając w nogach łóżka, w zamszowej marynarce i z kijami golfowymi w dłoni. - Wrócę na kolację.

Ayinde spuściła wzrok. Za każdym razem, gdy wychodził, myślała o perfumach, które czuła, kiedy spóźniony przyjechał do szpitala, ale za każdym razem, gdy chciała go

o to zapytać, coś ją powstrzymywało przed wypowiedzeniem tych słów. Może obecna w podświadomości matka. Nie chciała być żaloszna, śledząc mężczyznę, który już się z nią ożenił, szukając śladów szminki na kołnierzyku i grzebiąc w portfelu w poszukiwaniu rachunków. Więc tylko podniosła pulchną rączkę Juliana.

-Pomachaj tatusiowi - powiedziała. Richard pocałował oboje i Ayinde opatulila się kołdrą, przytulając do siebie Juliana. Gdy otworzyła oczy, męża już nie było i w niewyjaśniony sposób minęły dwie godziny poranka.

Sukces dziecka według Priscilli Prewitt! - głosiła okładka książki, którą przysłała Lolo. Pod tytułem znajdowało się zdjęcie kobiety o ciepłych, brązowych oczach i srebrnych włosach, obciętych bardzo praktycznie na pazia, trzymającej w ramionach uśmiechnięte dziecko. *ZAPEWNIJ SWOJEMU DZIECKU NAJLEPSZY START* - można było przeczytać poniżej. *PRISCILLA PREWITT POKAZUJE MŁODYM MATKOM, JAK TO ZROBIĆ!*

Julian wyciągnął rączki. Ayinde podała mu palec wskazujący, by mógł go złapać, i wolną ręką przewróciła stronę. *Priscilla Prewitt* - czytała - *zawodowo zajmuje się dziećmi od ponad trzydziestu lat, zarówno w swojej rodzinnej Alabamie, jak i w Los Angeles, gdzie opracowała autorski, prosty do wdrożenia, pięciopunktowy plan na Sukces dziecka! Opierając się na wypróbowanych metodach, popartych badaniami naukowymi, Priscilla Prewitt uczy matki, jak zapewnić dzieciom pomyślny start, gwarantujący sukcesy w przedszkolu i później, a także spokój i harmonię całej rodzinie!*

„Pięciopunktowy plan” - zamyśliła się Ayinde, przerzucając kartki do spisu treści i rozdziałów: *Spij, kochanie, śpij/ Planowanie i dzienny rytm* i *Nie poddawaj się*. Była już jedenasta, a ona jeszcze nie wstała. Poprzedniego dnia ubrała się dopiero o trzeciej, a pierwszym posiłkiem była kolacja. Kucharz przygotował na lunch piękną sałatkę nicejską, która stała w kuchni na blacie, a tuńczyk zbrązowiał i poskręcał się na brzegach, bo Ayinde pozostała w łóżku przez czas drzemki Juliana, patrząc ze zdumieniem na jego długie paluszki i wydęte usteczka, a potem poruszała się po sypialni jak we mgle, co było spowodowane, tak się przynajmniej domyślała, faktem, że poprzedniej nocy budziła się o pierwszej, czwartej i piątej trzydzieści, bo Julian był głodny, bo Julian miał mokro, bo Julian był po prostu niemowlakiem i potrzebował jej bliskości. Czy przynajmniej umyła zęby? Przejechała językiem po siekaczach i stwierdziła, że odpowiedź brzmi: nie. Planowanie działań brzmiało całkiem dobrze.

Julian uderzał rączką w warkoczyki, które zaplotła tydzień wcześniej, bo jak stwierdziła, były łatwiejsze do pielęgnacji, tak że bez problemu da sobie z nimi radę, a w najbliższym czasie nie musi obawiać się konserwatywnych, szybko gorszących się telewizorów z Filadelfii. Zanuciła synkowi kołysankę bez słów, którą śpiewała jej niania, otworzyła książkę na przypadkowej stronie i zaczęła czytać: *Dziecko żyjące zgodnie z planem, mające stały dzienny rytm, to dziecko szczęśliwe. Pomyśl o swoim życiu, Moja Droga. Jak byś się czuła, budząc się rano i nie wiedząc, czy jest szósta, czy dziesiąta? Nie wiedząc, czy następny posiłek będzie za piętnaście minut, czy za dwie godziny? Nie wiedząc, co przyniesie dzień? Byłabyś marudna. Isłusznie! Dzieci pragną ustalonego porządku i regularności. Chcą wiedzieć, co będzie za chwilę - drzemka czy karmienie, kąpiel czy spanie... a im szybciej wprowadzisz przyjemny, przewidywalny i łatwy do przestrzegania porządek, tym szczęśliwsza będzie Twoja Kluseczka i Ty.*

- Kluseczka - powiedziała eksperymentalnie Ayinde. Julian pociągnął ją za warkoczek i zapiszczał. Kartkowała książkę, dochodząc do wniosku, że przestrzeganie planu wraz z prowadzeniem dziennika, wykresami i rejestrowaniem różnych danych może być czasochłonne... Ale co miała do roboty? Nie chodziła do pracy. Nie mogła jeździć z Richardem na wyjazdowe rozgrywki ani w podróże służbowe, nawet gdyby chciała. Obijała się o ściany wielkiego domu, na którego kupno tak nalegała, i nie robiła nic prócz zajmowania się dzieckiem.

Ayinde wpatrywała się w ciepłe, brązowe oczy Priscilli Prewitt, zastanawiając się, jak jej własna matka wykorzystałaby *Sukces dziecka*. Dotychczas Lolo zaangażowała się w rolę babci, tak jak kiedyś w rolę matki. Wynajęła ze Stuartem kierowcę, który ich przywiózł z Nowego Jorku. Rodzice Ayinde spędzili z Julianem trzy godziny od czasu narodzin, z czego ponad dwie dziecko spało. Siedzieli sztywno na kanapie, ra-

mię w ramię, pięknie i zbyt elegancko ubrani, jakby przyszli na casting do roli kochających, a przede wszystkim bardzo bogatych dziadków. Ojciec huśtał Juliana na kolanie (trochę zbyt energicznie, jak na gust Ayinde, ale się nie odzywała). Potem zaśpiewał swoim dźwięczącym barytonem *Danny Boy*. To najwyraźniej wyczerpało jego pomysły na zabawianie dzieci. Oddalił się do domku gościnnego, gdzie znalazła go po godzinie, grającego w bilard z rzecznikiem prasowym.

Lolo nie była lepsza. Raz, dość niepewnie, pottrzymała dziecko, udając, że nic się nie stało, gdy Julian obślinił jej garsonkę od Jil Sander, ale Ayinde zauważyła, jak ukradkiem ściera plamę z kremowego rękawa. Przywieźli pluszowego misia, co najmniej pięć razy większego od Juliana, i kompletną wyprawkę ubranek Petit Bateau, którą kupili w sklepie bezcłowym podczas ostatniej podróży do St. Barth's. To, jak dotąd, było całe zaangażowanie Mbezi/Walkerów w wychowanie małego Juliana.

Przez całą noc - brzmiał tytuł szóstego rozdziału. Julian otworzył oczy i zaczął płakać. Ayinde westchnęła. W przypadku Juliana tytuł powinien brzmieć: *Przez trzy godziny*. Wzięła synka i, podtrzymując go prawą ręką, zaczęła karmić, podczas gdy lewą przerzucała kartki książki.

Następnego ranka Ayinde miała już pod ręką wszystkie przyrządy - elektroniczny zegarek, by dokładnie sprawdzić, jak długo Julian je, nosidełka, wózek, wanienkę, dziecięce mydło i dziecięcy szampon, polecane przez Priscillę Prewitt. (*Chcę, żebyście wszystkie wiedziały, iż nie dostaję od tych firm złamanego grosza. To są po prostu produkty, które od lat najlepiej się sprawdzają*).

Po dziesięciu minutach stosowania programu Ayinde napotkała pierwszy problem. *Nowo narodzone dzieci powinny pozostawać przy piersi maksymalnie półgodziny podczas jednego karmienia* - pisała Priscilla Prewitt. *Jeśli ssą dłużej, używają cię jak smoczka*. Jednak po trzydziestu minutach Julian wciąż mocno ssał. Ayinde rzuciła okiem do książki w poszukiwaniu dalszych wskazówek. *Jeśli Kluseczka nie ma ochoty rozstać się z cy-cusiem, powiedz jej miło, ale stanowczo, że jedzenie skończone i że później dostanie jeszcze. Potem odsuń dziecko od piersi i daj smoczek, a jeśli go nie stosujesz, to palec, by mogło sobie possać*.

-Julian! - powiedziała Ayinde głosem miłym, lecz stanowczym. - Jedzenie skończone!

Zlekceważył ją, powieki miał zaciśnięte, szczęki pracowały. Ayinde pozwoliła mu jeść przez kolejną minutę, która przerodziła się w następne dwie, a potem pięć, kiedy to zaczęła sobie wyobrażać, że jej synek przybiega do domu z przedszkola i samodzielnie odpina bluzkę mamy.

- Dobra! - powiedziała stanowczym, ale pogodnym głosem. Delikatnie starała się

odsunąć go od piersi. Dziecko szarpnęło główką do tyłu, niestety razem z jej piersią. - Au! - syknęła. Wystraszony Julian otworzył oczy i zaczął kwilić. Dokładnie w tym momencie zadzwonił telefon. To Kelly - pomyślała, sięgając po słuchawkę, nie spojrzawszy nawet na wyświetlacz pokazujący numer. Może to Kelly albo Becky, a ta powie jej, co robić...

Niestety, była to Lolo.

-Słyszę słodkiego chłopaczka! - ogłosiła. Ayinde wyobraziła sobie matkę stojącą w nieskazitelnie białej kuchni, w której nigdy nie przygotowano nic bardziej skomplikowanego od herbaty, spryskującą wodą swoje orchidee i ubraną, jak zwykle, w ekskluzywną kolekcję - długą, wąską spódnicę lub obcisłą sukienkę, buty na obcasach i jeden z tych teatralnych kapeluszy, które stały się jej wizytówką.

- Cześć, mammo!

- Cześć, kochanie. Jak sobie radzisz?

- W porządku - odparła Ayinde, przekrzykując płacz Juliana.

W głosie Lolo słychać było wątpliwości. ^ .

- Chyba nie jest zbyt zadowolony.

- Trochę marudzi - powiedziała Ayinde. Julian płakał coraz mocniej. Posadziła go w zatwierdzonym przez Priscillę Prewitt leżaczku, przytrzymała słuchawkę brodą i zaczęła zapinać stanik. - O tej porze zawsze jest marudny.

- Korzystasz z tej książki, którą ci przesłałam? Stała się bardzo zalecana. Moja masażystka święcie jej ufa!

- Dobra rekomendacja - wymamrotała Ayinde.

Lolo podniosła głos, by przekrzyczeć płacz dziecka.

- Cóż, Ayinde. W tej książce chodzi o to, że jeśli raz uda ci się wprowadzić dziecko w pewien rytm, zniknie pora, w której marudzi!

- Rozumiem - odparła Ayinde, wpychając wkładkę laktacyjną do stanika. - Pracujemy nad tym.

- Wiesz - odezwała się znowu Lolo. - Jak byłaś w wieku Juliana, nigdy tak nie płakałaś.

-Jesteś pewna?

Zaśmiała się ostro.

- Wydaje mi się, że pamiętam, jaka była moja córka.

Biorąc pod uwagę plotki, głoszące, że Lolo w latach siedemdziesiątych brała narkotyki, Ayinde nie była tego pewna.

- Muszę kończyć.

- Oczywiście, kochanie. Dbaj o to najdroższe dzieciątko!

Ayinda odłożyła telefon, zapięła w końcu stanik i na ręce małego Juliana, którego

placz przerodził się w kwilenie.

-Hej, maluszk! - szepnęła. Oczy chłopca zaczęły się przymykać. O Boże!

Wzięła książkę. *Nie pozwalaj Kluseczce spać po jedzeniu!* - przestrzegala Priscilla Prewitt. *Chciałabyś uciąć sobie drzemkę po ciężkim posiłku?*

- Tak - powiedziała Ayinde. *Nie!* - napisała Priscilla Prewitt. *Najlepszy rytm dla rozwoju dziecka to posiłek, potem aktywność, a po niej krótka wizyta w Krainie Snów.*

- Julian, Kluseczko. - Pocałowała go w policzek i połaskotała w paluszki u nóg. Otworzył buzię i znów zaczął płakać. - Czas się pobawić! - Pomachała kosmatym motylem przed twarzą dziecka. Richard nie cierpiał kosmatego motyla, niebieskiego misia i pluszowych owadów.

- To dla dziewczyn - stwierdził.

- Co ty powiesz - odparła i wyjaśniła, że wśród zabawek dla noworodków raczej nie ma ciężarówek i wywrotek, nawet jeśli dobrze by poszukać, czego nie zrobiła. - A ty czym się bawiłeś w dzieciństwie? - zapytała. Spochmurniał i Ayinde pożałowała, że zadała to pytanie! Richard wychował się w Atlancie, w wielu domach - to u babci, to znów u ciotki i kuzynów - w miejscach, które Ayinde знаła tylko z telewizji i z notki biograficznej, wydrukowanej kilka lat temu w „Sports Illustrated”. Nie było tam zabawek. Co gorsza, nie było tam również matki. To jedna z rzeczy, która ich do siebie zbliżyła. Mimo że Ayinde była zostawiana sama sobie w luksusowym mieszkaniu i zapisano ją do szkoły z internatem, gdy tylko skończyła czternaście lat, a Richard porzucany w osiedlach dla najuboższych, sprowadzało się to do tego samego - nieobecność rodziców, którzy mieli lepsze rzeczy do roboty. Ale Ayinde miała przynajmniej stałą dorosłą osobę przy sobie - nianię Serenę, która opiekowała się nią od czasu, gdy Ayinde miała sześć tygodni, aż do ósmych urodzin. Miała zabawki i ubrania, wspaniałe przyjęcia urodzinowe, dach nad głową i zagwarantowane trzy posiłki. Życie Richarda nie było takie.

- Chcesz wiedzieć, czym się bawiłem? - zapytał krótko i uśmiechnął się, by złagodzić ton słów. - Piłką do koszykówki, dziecinko. - Oczywiście Julian miał już piłki - jedną normalną, z autografami wszystkich Sbcersów, i miniaturkę, którą Richard trzymał w jego łóżeczku.

- Do roboty! - powiedziała do synka, który obserwował ją przez szparki w powiekach, gdy wycierała mu buzię pieluszką, zmieniała zabrudzoną koszulkę, zapięła wokół szyi niebiesko-biały śliniaczek i wyniosła na zewnątrz, gdzie powietrze było parne.

- Musisz być po prostu cierpliwa - mówiła Becky, gdy wraz z Kelly, obie z okazałymi

brzuchami, siedziały ramie w ramie na ławce w Rittenhouse Aquare Park, ubrane w bluzki z krótkimi rękawkami i tenisówki, sprzecząc się na temat najlepszej formy porodu. „Jakby to od nich zależało” - pomyślała Ayinde z uśmiechem.

- Jestem cierpliwa - odparła Kelly. Schyliła się do stóp i uniosła ramiona nad głowę, złapała lewy łokieć prawą dłonią i pociągnęła w dół. - Jestem, ale to już trzydziesty ósmy tydzień, więc dlaczego nie mogą mi wywołać porodu? - Odetchnęła z niezadowolaniem i zmieniła łokcie, potem zaczęła rozciągać nogi.

Ayinde podjechała z wózkiem do ławki. Pomyślała, że Kelly z rachitycznym blond kucykiem i przezroczystą skórą wyglądała mniej rześko niż ona na pierwszych zajęciach jogi. Miała spierzchnięte usta, niebieskie oczy były zapadnięte, a w czarnobiałym stroju ciążowym wyglądała, jakby cała była brzuchem. Jej ramiona z chudych stały się wychudzone, a na twarzy królowały podkrążone oczy.

- Dzieci wiedzą, kiedy chcą się urodzić - powiedziała Becky. - Po co ten pośpiech? - Wygląd Becky także zmienił się w ciągu kilku ostatnich tygodni. Te same pełne policzki i burza loków, ten sam strój legginsy i za duży T-shirt. Jej różnicą, że teraz już było widać. Co, jak mówiła Becky, było dobrą wiadomością, bo w końcu wyglądała jak ciężarna, a złą, bo ludzie pytali, czy będzie miała bliźniaki. Albo trojaczki. I czy zażywała leki na bezpłodność. - Musisz się odprężyć - mówiła dalej Becky, odkręcając butelkę z wodą i popijając. Kelly burknęła coś pod nosem i zaczęła ćwiczyć skręty tułowia. Jeśli chodzi o plany związane z porodem, skrajnie się od siebie różniły. Becky chciała rodzić całkiem naturalnie - żadnych lekarstw, interwencji medycznej i jak najdłużej w domu, w towarzystwie męża i przyjaciółki Sarah. Uczestniczyła w zajęciach z Metody Bradleya i uwielbiała powtarzać wyrażenia instruktorki, takie jak „Dzieci wiedzą, kiedy chcą się urodzić” i „Kobiety miały dzieci na długo przedtem, nim włączyli się w to lekarze”, albo „Musisz pozwolić, by poród przebiegał własnym rytmem”.

Za to Kelly już dawno podzieliła się zamiarem wzięcia znieczulenia natychmiast, nawet na parkingu przed szpitalem, i żadne argumenty Becky i propozycja pożyczania jej kasety wideo, na której kobiety w Belize rodzą dzieci bez żadnych medykamentów, kucając w uplecionych przez siebie sznurowych hamakach, nie zmieniły jej decyzji. Kelly opowiedziała im, jak to jej matka zniknęła pięć razy w środku nocy i po dniu lub dwóch wracała z płaskim brzuchem i całkiem nową pociechą w ramionach. Bez zamieszania, bez bólu, i Kelly też tak chciała.

- Skończmy już - rzekła Becky i powoli wstała. Zaczęły przechadzać się po parku. Kelly wyciągnęła energicznie ramiona w górę i podniosła wysoko kolano. Becky szła powoli, co kilka minut zatrzymując się, by poprawić włosy. Ayinde wpatrywała się w Juliana, śpiącego w swoim wózku, przez co dwa razy niemal się przewróciła.

- Już dłużej tego nie zniosę - jęknęła Kelly. - Wiecie, jestem taka nieszczęśliwa, że nawet pomyślałam o seksie, żeby może przyspieszyć sprawę.

- O nie - powiedziała Becky. - Żadnego seksu!

Kelly spojrzała na nią.

- A ty kochasz się z mężem?

- No, czasami - odparła Becky. - Wiesz, jak nie ma nic ciekawego w telewizji.

- Nie rozumiem, dlaczego nie mogą mi wywołać porodu. Albo zrobić cesarskiego cięcia. To byłoby najlepsze - stwierdziła Kelly, jeszcze bardziej wyciągając ręce w górę, gdy skręciły w ulicę Dziewiętnastą i przeszły obok trójki studentów sztuk pięknych, niosących portfolia. Odgoniła od siebie dym papierosowy. - Nienawidzę czekać.

- Według statystyk pierwsza ciąża trwa średnio około siedmiu, dziesięciu dni dłużej niż ustalone przez autorytety medyczne czterdzieści tygodni - mówiła Becky. - Jutro zaczyna się czterdziesty pierwszy tydzień, a nie narzekam. Cesarskie cięcie to poważna operacja, która niesie z sobą ryzyko - dodała, wyglądając na zadowoloną, że udało się jej wpleść do rozmowy kolejną sentencję z zajęć naturalnego rodzenia. Spojrzała na dwoje biegaczy, którzy przemknęli zbyt blisko jej ramion, robiąc już kolejne okrążenie. - Kończymy?

Kelly potrząsnęła głową.

- Jeszcze jedna rundka wokół parku - zaproponowała. - A jak tam Julian?

- Świetnie - odpowiedziała Ayinde odruchowo. Zrobiła kilka krążeń ramionami, złapała miękką rączkę wózka i pomyślała, że właśnie taką odpowiedź wszyscy chcieliby usłyszeć od młodej matki. A tak naprawdę opiekowanie się niemowlakiem było znacznie trudniejsze, niż się wydawało. Dziecko potrzebowało jej przez cały czas i gdy próbowała cokolwiek zrobić - sprawdzić e-mail, wziąć prysznic, przejrzeć czasopisma lub zdrzemnąć się - wzywał ją płacz, bo Julianowi trzeba było zmienić pieluszkę albo go nakarmić, co odbywało się w odstępach trzydziestu minut.

Richard patrzył na to wszystko z narastającym sceptycyzmem.

- Nie musisz tak ciężko pracować - powiedział, gdy zostawiła na stole ledwo tknięty obiad, by nakarmić dziecko na kanapie w salonie. - Możemy z powrotem zatrudnić opiekunkę.

Ayinde odmówiła. Według niej jedynie matki pracujące były uprawnione do płacenia komuś za opiekę nad własnym dzieckiem. Ona, oprócz zajmowania się dzieckiem, nie miała innej pracy, i zawsze świetnie sobie radziła z każdym wykonywanym zajęciem. Bolało ją, że miałyby się przyznać do tego, że nie radzi sobie sama z Julianem. „Wszystko jest w porządku” - odparła Richardowi.

- Wszystko dobrze - zapewniła przyjaciółki, gdy skończyły kolejną rundkę. Sięgnęła do wózka, by poprawić Julianowi grzechotkę w kształcie misia. - Słyszałyście kiedyś

oksiążce *Sukces dziecka*?

- Och, oczywiście! - odparła Kelly.

- To ta, która mówi, że powinno się ustalić dziecku ścisły rytm, tak? - zapytała Becky. Skrzywiła się, przystanęła i wykonała skręt tułowiem. - Skurcz - wyjaśniła, gdy Kelly robiła wymachy nogami.

- Tak, to ta. Matka mi ją przysłała - powiedziała Ayinde.

-Przeglądałam ją w księgarni. Wydała mi się bardzo skostniała - stwierdziła Becky. - To znaczy generalnie zgadzam się z koniecznością wprowadzenia rytmu, ale bardziej przekonuje mnie poranna i popołudniowa drzemka, a nie drzemka o dziewiątej piętnaście i piętnastej trzydzieści dwie. A doszłaś już do rozdziału o pracujących matkach?

Ayinde doszła. *Powrót do pracy?* - tak zatytułowany był ten rozdział, z doskonale wpasowanym znakiem zapytania. Priscilla Prewitt, co nie było dużym zaskoczeniem, preferowała inne rozwiązania. *Zanim wrócisz do pracy, przemyśl konsekwencje tego kroku* - pisała. *Dzieci kochają swoje mamy i pragną, by one się nimi opiekowały - to podstawowa biologia, moje drogie, i ani feminizm, ani dobre zamiary taty tego nie zmieniają. Pracuj, jeśli musisz, ale nie oszukuj się. Pamiętaj, że kobieta, którą wprowadzisz do domu, by kochała twoją Kluseczkę, otrzyma uściski i uśmiechy, słodkie chichoty i część miłości, którymi dziecko powinno raczej obdarzać swoją mamę.*

- Brzmi to tak, jakbyś była straszną matką, gdy zostawiasz na wieczór dziecko z opiekunką, a zatrudniona niania może się okazać psychopatycznym zabójcą. Ale niektóre kobiety muszą pracować - powiedziała Becky, gdy znów ruszyły. - Na przykład ja.

- Naprawdę musisz? - zapytała Kelly.

- Cóż, nie sądzę, byśmy przymierali głodem, gdybym nie pracowała. Ale kocham to, co robię. Nie wiem, jak będzie po urodzeniu dziecka, ale teraz praca trzy dni w tygodniu wydaje się dobrym rozwiązaniem.

- Co zrobisz z dzieckiem? - zaciekawiała się Kelly.

- Żłobek - odparła Becky. - W szpitalu u Andre w jest żłobek, z którego korzysta wielu lekarzy. Będę z dzieckiem rano, w południe podrzucę do żłobka, a Andrew zabierze ją do domu, jeśli skończy pracę przede mną - ha, ha, jakby to się kiedykolwiek zdarzyło. Więc pewnie to ja będę ją odbierała po pracy. Ale on będzie w pobliżu, co mnie uspokaja. - Spojrzała na Ayinde i Kelly. - Wy będziecie w domu, tak?

Ayinde skinęła głową. Kelly nie.

- Ja zamierzałam - powiedziała.

-Jak to?

- Cóż. - Spojrzała w dół na swoje tenisówki z idealnie zawiązanymi sznurowadłami.

- Steve postanowił zmienić pracę. Weźmie urlop, przysługujący z racji narodzin

dziecka, a ja pewnie wrócę do pracy, nim czegoś nie znajdzie. Jestem pewna, że nie potrwa to długo - powiedziała Kelly. Zarzuciła kucykiem i otarła z policzka struzkę potu.

- Dobrze się czujesz? - zapytała Becky.

- Jasne, bardzo dobrze! - odparła Kelly.

Ayinde odetchnęła głęboko. Nie chciała ich straszyć ani mówić, jak to naprawdę jest z noworodkiem, ale właśnie przypomniała sobie coś, co Lolo opowiadała o jej dzieciństwie, i anegdotę, którą matka serwowała na przyjęciach. „To dziecko płakało i płakało przez pierwszy tydzień w domu, i przysięgam, że gdyby przed moimi drzwiami pojawił się ktoś wyglądający na przyzwoitą osobę i obiecał, że da jej dobry dom, oddałabym ją bez wahania!” Goście śmiali się, jakby Lolo żartowała. Ayinde nie była pewna. Po prawie trzech miesiącach z Julianem, jej słodkim, ukochanym syneczkiem, który zdawał się z natury niezdolny do spania ponad dwie godziny i nieplakania dłużej niż jedną, zaczynała rozumieć, co jej matka miała na myśli i dlaczego oddała sześciotygodniową córeczkę pod opiekę Serenie. To Serena śpiewała Ayinde kołysanki, odkrawała skórki z chleba, kąpała i uspokajała tego dnia, gdy podle dziewczyny wepchnęły ją do chłopięcej toalety. Taką matką chciałaby być (z wyjątkiem cowniczych powrotów pociągiem do Queens, do własnych dzieci, tak jak robiła to Serena).

- Obie będziecie wspaniałymi matkami.

- Mam nadzieję - mruknęła pod nosem Kelly, pocierając brzuch dłońmi. - Wyłaż, wyłaż, nie leń się! - Znów spojrzała na zegarek, później na Becky, która otarła czoło i stwierdziła, że przyszedł czas na włoskie lody.

BECKY

Becky spoglądała ponad swoim brzuchem na doktora Mendlowa, gdy badał ją następnego ranka.

- Coś się dzieje? - Była już w połowie czterdziestego drugiego tygodnia ciąży i, mimo że sama opowiadała wszystkim, iż dziecko urodzi się, kiedy będzie gotowe, i że najważniejsza jest cierpliwość, tak naprawdę zaczynała popadać w rozpacz. „Musi się już coś dziać” - pomyślała. „Nie można być w ciąży w nieskończoność”.

Doktor Mendlow ściągnął rękawiczki i potrząsnął głową.

- Przykro mi, Becky, ale główka wciąż jest wysoko. Nie ma rozwarcia, a wody pło-

dowe nie sączą się.

Zacisnęła oczy, by się nie rozplakać, nim zejdzie z fotela.

- To zła wiadomość - powiedział lekarz. - Dobra jest taka, że na porannym KTG tętno wciąż było regularne, a wody płodowe wyglądają dobrze.

- Więc nie mogę po prostu poczekać?

Podciągnął do siebie stołek na kółkach i usiadł, gdy ona podniosła się, owinięta szlafrokiem.

- Biorąc pod uwagę wszystko, co przeczytałaś o ciąży, jestem pewien, że zdajesz sobie sprawę, iż ryzyko powikłań przy porodzie lub problemów z dzieckiem wzrasta po czterdziestym drugim tygodniu.

Przytaknęła. Nawet w holistycznych książkach, hołdujących naturalnemu porodowi w domu lub na pobliskim polu, autorzy przyznawali, że to prawda. Jednak wtedy nie zwracała na to uwagi. Założyła, że nie będzie miała tego typu problemów, że w wyniku dobrych chęci i dzięki doskonałemu przygotowaniu jej dziecko urodzi się nie tylko

o czasie, ale dokładnie w taki sposób, jak sobie zaplanowała i wymarzyła.

- Więc co teraz zrobimy?

Doktor Mendlow przerzucił kilka stron w jej karcie.

- Biorąc po uwagę, że to już trwa tak długo, oraz wielkość główki dziecka zmierzoną na ostatnim USG, zalecałbym cesarskie cięcie.

Becky skryła twarz w dłoniach. Doktor Mendlow dotknął delikatnie jej ramienia.

-Wiem, że nie tego chciałaś - powiedział. Wysłuchiwał opowieści Becky o naturalnym porodzie niemal od pierwszej chwili, gdy się u niego pojawiła, i wspierał ją w tym. - Jednak ciąża jest kompromisem pomiędzy życzeniami rodziców, a dokładniej mówiąc - matki, i tym, co będzie najbezpieczniejsze dla dziecka. - Podjechał na stołku do ściany i spojrzął na małe kalendarz. - Co byś powiedziała na poród jutro?

- Mogę to przemyśleć?

- Jasne. Pomyśl - zgodził się doktor Mendlow, wstając. - Tylko nie za długo. Zapiśzę cię ołówkiem. Daj znać przed piątą.

- Dobrze - powiedziała Becky, ocierając łzy z policzków. - Dobrze.

Zadzwoiła do Andrew na komórkę i spotkali się w kawiarni na lunchu.

- Wiem, że jesteś rozczarowana - powiedział, podając jej garść chusteczek, by mogła wytrzeć oczy. - Jednak doktor Mendlow wie, jak bardzo chciałaś rodzić naturalnie, i gdyby nie miał poważnych powodów, na pewno by nie zalecał operacji.

- Czuję się jak nieudacznik - łkała Becky.

- Nie powinnaś - stwierdził Andrew. - To kwestia tego, że wiedza wyprzedza ewolucję. Wiemy więcej na temat zdrowego odżywiania, zalet niepalenia papierosów i

niepi- cia alkoholu niż jakakolwiek poprzednia generacja. Więc dzieci rosą coraz większe, a mamy nie.

- W porządku. - Becky pociągnęła nosem. Wiedziała, że on rozumie, jak bardzo marzyła o porodzie. Ze czytała książkę mówiącą o tym, iż kobiety muszą być odważne i silne, by być wojowniczkami dla swoich dzieci. Ze pragnęła być wojowniczką dla swojej córeczki, urodzić w wodzie, na rękach i kolanach, kuląc się i rozciągając, robiąc wszystko w harmonii z dzieckiem. A teraz musiała zgodzić się na poród, jakiego nie chciała - zimna, sterylna sala operacyjna, jasne światła i chirurgiczne narzędzia, nic delikatnego, spokojnego ani wymownego.

Wracała do domu, powoli stąpając po lepkiem od upału chodniku. Zadzwoiła do mamy, która natychmiast oświadczyła, że już jedzie na lotnisko i najpóźniej następnego ranka będzie na miejscu. Zadzwoiła do Kelly, która starała się, z miernym skutkiem, ukryć zazdrość, i do Ayinde, która w ciągu pięciominutowej rozmowy dwa razy upuściła telefon, bo nie chciała pozostawić Juliana samego nawet na chwileczkę.

- W Gwatemali kobiety noszą swoje dzieci bez przerwy - powiedziała. - Wynika z tego wiele korzyści. Powstawanie więzi uczuciowych i różne takie.

- Skoro tak twierdzisz - odparła Becky i Ayinde zaśmiała się.

- To nie ja tak twierdzę, lecz autorka *Sukcesu dziecka*. Zadzwoń do nas, jak tylko będziesz mogła.

Becky obiecała, że zadzwoni. Potem zatelefonowała do Sarah, by powiedzieć, że jej obecność w pierwszej fazie porodu nie będzie konieczna, a następnie do ulubionej restauracji serwującej sushi i zarezerwowała stolik na wczesną kolację. Przez całą ciążę nie jadła sushi, ale jakie to miało teraz znaczenie? Dziecko jutro będzie już na świecie i kilka plasterków surowego tuńczyka mu nie zaszkodzi.

Au! Przekreśliła się na bok, skrzywiła i spojrzała na zegarek. Była trzecia nad ranem, żołądek nie dawał jej spokoju. Zamknęła oczy. Za dziewięć godzin przyjedzie matka. Jej córka będzie miała cesarskie cięcie... nie - pomyślała, formułując to zdanie tak, jak uczyły książki. Za mniej niż dwanaście godzin urodzi dziecko. Starła się oddychać głęboko, wsłuchując się w głośny oddech Andrew i skupiając na dziecku. Au!

„Dobrze” - pomyślała, wpychając sobie poduszkę pod głowę. Było dziesięć po trzeciej w nocy i najwyraźniej su- shi jej nie posłużyło.

- Andrew - szepnęła.

Nie otwierając oczu, sprawiając wrażenie, że wciąż śpi, mąż Becky sięgnął po fiolkę z tabletkami na zgagę i rzucił nią przez łóżko. Becky wzięła dwie pastylki i znów zamknęła oczy. Podczas USG poprzedniego dnia powiedziano jej, że dziecko waży w granicach czterech i pół, pięciu kilogramów, co oznaczało, że duszki dla noworod-

ków, które kupiła i dała na przechowanie Sarah, raczej się nie przydadzą. Zastanawiała się, czy uda się je oddać do sklepu. Kelly będzie wiedziała. A może nawet sama je tam zanieś. Miałyby coś do zrobienia w czasie oczekiwania i... Au!

Znowu spojrzała na zegarek - trzecia dzwadsześcia.

- Andrew - wyszeptała jeszcze raz. Spod kołdry wychylnęła dłoń jej męża i skierowała się w stronę nocnego stolika.

- Nie, nie, obudź się - powiedziała. - Chyba zaczynam rodzić!

Spojrzał na nią, zamrugał oczami i włożył okulary.

- Poważnie?

- Miałam trzy skurcze co dziesięć minut.

- He? - powiedział i ziewnął.

- He? Tylko tyle masz do powiedzenia? - Podniosła się, sięgnęła ponad mężem po słuchawkę i zadzwoniła do doktora Mendlowa. *By umówić się na wizytę, wciśnij jeden; jeśli potrzebujesz skierowania lub recepty, wciśnij dwa; jeśli zaczęłaś rodzić... - W końcu wciśnę trzy! - oznajmiła.*

- Co?

Potrząsnęła głową i zostawiła swoje imię i numer telefonu. Wstała z łóżka i położyła na nim walizkę.

- Koszule nocne, piżamy, książka - wyliczała na głos.

- Nie sądzę, by udało ci się wiele przeczytać - stwierdził Andrew.

Zadzwonił telefon. Andrew podał jej słuchawkę.

- Doktor Mendlow? - zapytała Becky. Jednak nie był to doktor Mendlow, lecz doktor Fisher, jego starszy, naburmuszony kolega po fachu. Becky była u niego na wizycie tylko raz, w trzecim miesiącu ciąży, gdyż doktor Mendlow został wezwany do porodu. Doktor Fisher całkowicie zepsuł jej dzień, z odrazą obmacując brzuch.

- Próbowała pani kiedyś produktów i diet Weight Watchers?* - zapytał wówczas, gdy położyła się na fotelu z nogami w górze. A gdy Becky zamrugała oczami i zapytała, co to takiego, uśmiechnął się szyderczo.

- Mam regularne skurcze - powiedziała teraz Becky.

- Z notatek doktora Mendlowa wynika, że zdecydowaliśmy się na cesarskie cięcie - odparł doktor Fisher.

- Cóż, to była moja decyzja - pospieszyła z odpowiedzią Becky, kładąc wyraźny akcent na słowa „była” i „moja”. - Ale teraz, gdy poród już się rozpoczął, chciałabym powrócić do pierwotnego planu i urodzić naturalnie.

- Jeśli chce pani spróbować, w porządku - powiedział tonem niewróżącym nic dobrego. - Proszę przyjechać, gdy skurcze będą co cztery minuty...

- ...i będą trwały po minucie, przynajmniej przez godzinę.

- Zgadza się - potwierdził i rozłączył się.

Matka Becky, ubrana w błękitny welurowy kostium i nieskazitelnie białe tenisówki, z zaskoczeniem wpatrywała się w stojących przy taśmie bagażowej córkę i zięcia.

- Co tu robisz? - zapytała, puszczając walizkę i biorąc córkę za rękę. - Dlaczego nie jesteś w szpitalu?

- Rodzę - oznajmiła Becky.

Matka Becky rozejrzała się na wszystkie strony, mierząc wzrokiem tłumy podróżnych ciągnących swoje walizki i ubranych w mundury kierowców, trzymających w dłoniach tabliczki z nazwiskami.

- Rodzisz? Tutaj? - Spojrzała na Andrew. - Czy to bezpieczne?

- To pierwsza faza porodu. Nic się nie stanie - poinformowała Becky, prowadząc matkę do samochodu, do którego zapakowała już olejki eteryczne, kasety z muzyką relaksacyjną, zniszczony egzemplarz *Narodzin od środka* i *Przekonania* Naomi Wolf dla inspiracji. - Nie ma powodu, bym siedziała już w szpitalu.

- Ale... ale... - Kobieta spojrzała na Andrew. - A co z cesarskim cięciem?

- Spróbujemy urodzić w sposób naturalny - powiedział Andrew. Edith Rothstein wzdrygnęła się i Becky nie była pewna, czy przyczyną tej reakcji była paradująca publicznie rodząca córka, czy też zięć, który przed chwilą powiedział coś nieprzyzwoitego.

- Wszystko jest dobrze - zapewniła ją Becky, gdy Andrew ruszył z parkingu. - Naprawdę. Wczoraj słyszałam bicie serduszka i wszystko jest w porządku. Auu, auu, skurcz. - Zamknęła oczy i, kołysząc się delikatnie w przód i tył, oddychała, wyobrażając sobie gorący piasek na plaży i przewalające się z hukiem fale, byle tylko nie słyszeć matki, mamroczącej pod nosem coś w stylu „To jakieś szaleństwo”.

- Chcesz tu zostać? - spytała Edith z niedowierzaniem, gdy dotarli do domu i Becky usadowiła się na dmuchanej gumowej piłce. Bładoniebieskie oczy matki były szeroko otwarte ze zdziwienia. - Chyba nie zamierzasz tu rodzić, prawda?

- Nie, mamó - odparła cierpliwie Becky. - Ale jeszcze nie wybieram się do szpitala.

Matka potrząsnęła głową, weszła po schodach i udała się do kuchni, gdzie prawdopodobnie miała zamiar zrobić porządek w pojemniczkach na przyprawę.

Andrew wstawił walizkę Edith do garderoby, później ukląkł i rozmasował Becky ramiona.

- Jestem dumny, że chcesz rodzić w ten sposób - powiedział. - Dobrze się czujesz?

- Czuję się świetnie - odparła Becky, opierając głowę o jego tors. - Jednak wiem, że to dopiero początek. - Ścisnęła dłoń męża. - Zostań ze mną, dobrze?

- Za nic bym cię nie opuścił - powiedział.

Dwie długie kąpiele, jedna płyta CD ze śpiewem wielorybów i dwanaście godzin z pojawiającymi się i zanikającymi skurczami, i wreszcie zadzwonił doktor Mendlow.

-Może przyjedzie pani, to sprawdzimy, jak idzie - powiedział tak zwyczajnie, jakby sugerował, by napiła się z nim kawy.

Piętnaście minut później, tuż przed dziesiątą wieczór, byli w izbie przyjęć.

- Hmm - powiedziała położna, przenosząc wzrok z Becky na wąską leżankę w rogu i z powrotem na Becky.

- Potrzebne są wam ŁÓŻKA DLA DUŻYCH KOBIET! - oświadczyła Becky i wgramoliła się na kozetkę. W tym jednym jedynym dniu nie zamierzała wstydić się własnej tuszy.

Położna podrapała się po brodzie i odeszła. Becky zamknęła oczy i odetchnęła.

- Dobrze ci idzie - powiedział Andrew.

-Jestem zmęczona - odparła Becky, gdy pielęgniarka znów się pojawiła, próbując wcisnąć zbyt mały rękaw ciśnieniomierza na przedramię Becky.

Przyszła też lekarka, by ją zbadać. >

- Trzy centymetry rozwarcia - oświadczyła.

Becky spojrzała na Andrew.

- Trzy? TRZY?!? To niemożliwe - stwierdziła, patrząc ponad wielkim jak bęben brzuchem na znudzoną lekarkę. - Może pani jeszcze raz sprawdzić? Poród zaczął się o trzeciej nad ranem.

Kobieta wydeła usta i jeszcze raz włożyła rękę.

- Trzy - powiedziała.

„Cholera” - pomyślała Becky. Po tych wszystkich godzinach miała cichą nadzieję, że będzie miała rozwarcie na osiem, dziewięć centymetrów i zacznie przeć.

- Chcesz wrócić do domu? - zapytał Andrew.

Becky potrząsnęła przecząco głową.

- Nie mogę - powiedziała. - Moja matka jest bliska załamania nerwowego. Weźmy już salę.

- Mam zadzwonić do Sarah, żeby przyszła?

- Pod warunkiem, że przyjedzie autobusem pełnym morfiny - odpowiedziała Becky i próbowała się uśmiechnąć. - Jasne, idź i zadzwoń do niej. - Podniosła głos i zawołała położną: - Hej, ja i moja gówniana, rozwarta na trzy centymetry szyjka macicy chciałybyśmy zostać przyjęte do szpitala!

- Zawiadomię media! - odkrzyknęła pielęgniarka.

Po godzinie, czyli o czterdzieści pięć minut dłużej, niż zajęło to Ayinde, Becky i Andrew byli już w sali.

- Myślałeś kiedykolwiek, by zostać koszykarzem? Zauważyłam, że to zdecydowa-

nie wpływa na poprawę obsługi - powiedziała Becky i usiadła w fotelu na biegunach. Kiwając się w przód i w tył w oczekiwaniu na kolejny skurcz, starała się nie zwracać uwagi na to, że mebel wbija się jej w biodra.

Andrew potrząsnął głową.

- Zadzwoń do twojej mamy?

- Powiedz jej, że zostaliśmy przyjęci, ale żeby jeszcze nie przyjeżdżała - poinstruowała Becky. - Nie chcę, by spędziła całą noc w poczekalni. Naprawdę się załamie. W domu przynajmniej może sobie poukładać rzeczy.

Skinął głową i odchrząknął.

- - A mogę zadzwonić do mojej mamy?

- Wie, że rodzę, tak?

Andrew przytaknął. Z jego milczenia wyczytała opinię Mimi na temat upierania się Becky przy porodzie naturalnym, zamiast zdecydować się na cesarskie cięcie.

- Zadzwońmy do niej, kiedy dziecko się już urodzi, dobrze?

Andrew się skrzywił.

- Och, nie nadymaj się - powiedziała Becky. - Taki był plan, prawda?

- Ale to przecież radosne chwile - stwierdził. - Jest mi przykro, że nie pozwalamy mojej mamie brać w nich udziału.

- Gdyby potrafiła zachowywać się jak normalna istota ludzka - zaczęła Becky, nim nadszedł skurcz i odebrał jej głos. To dobrze. Za każdym razem, gdy Becky narzekała na jego matkę, co, musiała przyznać, zdarzało się zawsze, kiedy pojawiał się temat Mimi, Andre w wyglądał na nieszczęśliwego. - Posłuchaj - kontynuowała, gdy skurcz minął. - Jak wiesz, nieco się niepokoi i myślę, że będzie lepiej dla mnie, dla przebiegu porodu i dla dziecka, jeśli nie będę musiała się martwić, że tu jest. Jak tylko dziecko się urodzi, możesz dzwonić, ale teraz chcę, byśmy byli tylko we dwoje. To znaczy my dwoje i Sarah. No i dziecko. - Spojrzała posepnie na swój brzuch. - Już niedługo, mam nadzieję.

Andrew skinął głową i wyszedł do holu, by zadzwonić do Edith. Wrócił, trąc oczy.

- Połóż się - powiedziała Beck⁷, mając jednak nadzieję, że nie skorzysta z tej propozycji. Andrew najkrótszą drogą podszedł do łóżka.

- Tylko na minutkę - powiedział. Po jakichś dziesięciu sekundach zasnął, zostawiając Becky samą w ciemnościach.

- Cholera - szepnęła. Zapomniała, że po siedmiu latach pracy w szpitalu, po czterech godzinach na dobę, Andrew posiadał niezwykłą umiejętność zasypiania natychmiast na czymkolwiek, co choć trochę przypominało łóżko.

Przyszedł kolejny skurcz.

- Wiesz - jęknęła - to boli znacznie bardziej, niż sugerowała Naomi Wolf. - Andrew

chrapał. Becky objęła brzuch i, jęcząc, próbowała oddychać przeponą, tak jak ćwiczyła. Wstydziła się. Kiedy była na sali na końcu korytarza z Ayinde, podświadomie wierzyła, że będzie silniejsza od przyjaciółki, że niezależnie od bólu nie będzie krzyczała, skręcała się ani wzywała Jezusa. Cóż, przeliczyła się. Siedziała, krzycząc i wijąc się jak wąż, i nie wzywała jeszcze Jezusa tylko dlatego, że była żydówką. Teraz Becky miała już pewność, biorąc pod uwagę siłę bólu, że za kolejną godzinę przyjmie wszelką boską interwencję.

Do sali zajrzała położna i wzięła stojącą koło łóżka tabliczkę, w której dokładnie został opisany plan porodu Becky.

- Dobrze, więc będziemy rodzić naturalnie - powiedziała z uśmiechem.

„Nie!” - chciała zawołać Becky. „Nie, nie! Byłam wstawiona, kiedy to pisałam! Nie wiedziałam, o czym mówię! Proszę o leki uśmierzające!” Ale nie otworzyła ust i starała się zachować spokój, gdy położna szukała rytmu serca dziecka za pomocą podręcznego USG.

- Au, au, au! - jęczała Becky, przenosząc ciężar ciała z jednej stopy na drugą, gdy skurcz rozdzierał jej ciało. Zadzwoił telefon Andrew. - Chyba sobie żartujesz - stęknęła Becky, wiedząc, kim jest tajemniczy rozmówca. - Tutaj nie wolno używać komórek.

- Zaraz wracam - powiedział, odsuwając się od niej. Becky słyszała każde słowo Mimi.

- ANDREW? Co się dzieje? Nie mam od ciebie wiadomości od kilku godzin! Dzwoniłam do was, ale ktoś... - Becky skrzywiła się: z powodów, których nigdy nie zrozumie, Mimi od pierwszej chwili poczuła antypatię do matki Becky i nawet nie wymawiała jej imienia - powiedział, że was nie ma. Gdzie jesteście?

- Andrew - szepnęła Becky - jest środek nocy, a ja rodzę. A ona sobie wyobraża, że gdzie jesteśmy? W Key West?

- Wiesz, mam, jesteśmy trochę zajęci.

„Nie!” - Becky mówiła bezgłośnie w zapamiętaniu. „Nie!”

- Cii - szepnął Andrew i odwrócił się do okna, zostawiając Becky, uderzającą bezowocnie w okryte koszulą w kratę ramiona.

- O BOŻE! - wrzasnęła Mimi! - Czy dziecko już się rodzi? Czy o to chodzi? Och, ANDREW! Będę BABCIA! - Nagle rozległ się trzask i cisza. Andrew zamknął oczy i uderzył czołem w ścianę.

- Musisz zatrzymać ją w poczekalni - oświadczyła Becky. - Proszę. Mówię serio. Jeśli mnie kochasz, zatrzymaj ją w poczekalni.

Schylił się i uściskał jej dłonie.

- Obiecuję - powiedział.

- Mam nadzieję - odparła. - Bo więcej już tu nie zniosę.

Rozległo się pukanie do drzwi i weszła Sarah, ubrana w bluzę i dzinsy, z włosami związanymi w kucyk. Uśmiechała się do nich promiennie, na ramieniu taszcząc ciężką torbę.

- Cześć wam! - powiedziała. Samo patrzenie na nią poprawiło Becky humor. Pozwoliła Sarah zaprowadzić się z powrotem do bujanego fotela, by Andrew mógł się jeszcze położyć.

- Zdrzemnij się - nalegała Sarah. - Będziemy potrzebowały cię później.

Po dziesięciu minutach Andrew znów chrapał, z wyciągniętymi ramionami i przekrzywionymi okularami na nosie. Becky siedziała na piłce, za nią kucnęła Sarah, wbijając palce w krzyż Becky.

- Trochę ci lepiej?

- Tak. Nie. Cały czas jest strasznie - odparła Becky. Czula się sflaczała jak ścierka do naczyń i bardziej zmęczona niż kiedykolwiek wcześniej. - Boli, boli, boli - jęczała, potrząsając głową w przód i w tył. Spoczone włosy przyklejały się do policzków. - Zrób coś, zrób coś, zrób coś, żeby przestało.

Sarah objęła ramionami Becky i zaczęła kiwać się razem z nią.

- Dobrze ci idzie - powiedziała, ale Becky nie była tego pewna. Może to był właśnie wielki moment zrównania, na który Becky tak liczyła - nie ciąża, ale poród, który wszystkie kobiety, małe i duże, czarne i białe, bogate i biedne, a także te pośrodku, zrównywał - wszystkie zgnębione strachem, błagające o znieczulenie, nieoczekujące nic, prócz tego, że ból ustanie, a dziecko w końcu się urodzi. - Cii - uspokajała ją Sarah, gdy skurcz przybierał na sile, a potem słabł, by wkrótce znów stać się silniejszym. Otworzyła *Poród od wewnątrz* na zaznaczonej przez Becky stronie. - Wyobraź sobie szyjkę macicy otwierającą się jak kwiat. - Sarah odłożyła książkę. - Nie wierzę, że wypowiedziałam to na głos.

- PIEPRZYC moją szyjkę macicy - szlochała Becky, opierając się o ramiona Sarah.

- Jak kobiety to znoszą?

- Z tego, co wiem, kurewsko - odpowiedziała przyjaciółka. - Mam zawołać położną?

Becky potrząsnęła głową, czując przyklejające się do twarzy mokre kosmyki. Sarah pomogła jej wstać i oprzeć się o ścianę.

- Już gorzej być nie może.

Drzwi do sali otworzyły się i w ciemność wdarł się klin światła, a za nim znajomy głos.

- Czeeść! - Co oznaczało „cześć” w wykonaniu Mimi.

- Cholera! - Becky szepnęła w ramię Sarah. - Znów problem.
Mimi zmrużyła oczy i spojrzała na położną, która właśnie pojawiła się w^T drzwiach.
-Co ONA tutaj robi? - Mimi zażądała wyjaśnień jak zwykle o dwa, trzy decybele za głośno. - Powiedziano mi, że nikt nie może tutaj wchodzić!
Becky zagryzła usta. Może to kłamstwo było błędem.
Położna spojrzała na kartę, później na Sarah.
- Towarzyszy Becky przy porodzie - powiedziała.
- A to jest mój syn, który pracuje jako chirurg w tym szpitalu, a to - powiedziała, wskazując na brzuch Becky - moja wnuczka.
„A ja czym jestem?” - pomyślała Becky. „Pojemnikiem?”
Mimi wyciągnęła drżący palec w kierunku Sarah.
- Jeśli ONA zostaje, to ja też!
Andrew usiadł na łóżku.
- Mama?
-Mimi - szepnęła Becky - chcieliśmy z Andrew mieć odrobinę prywatności.
-Och, nie martw się! Nawet nie zauważycie, że tu jestem! - Kopnęła wielką piłkę w kąt, usiadła na bujanym fotelu i wyciągnęła z torebki kamerę.
„Niewiarygodne” - pomyślała Becky.
- Uśmiechnij się ładnie - powiedziała Mimi, zapalając wszystkie światła i kierując obiektyw na synową. - Och, moja droga, mogłabyś nałożyć trochę szminki.
-Mimi, nie chcę szminki! Proszę cię, wyłącz światło i...
O Boże - jęknęła Becky, gdy zaczął się kolejny skurcz.
- No wiesz, nie ma co dramatyzować - orzekła Mimi i podeszła bliżej z kamerą, mówiąc do mikrofonu: - Hej tam, to ja, Mimi, twoja babcia. Jesteśmy w szpitalu, w sobotę rano...
- MiMIIIIIIII!
- Dobra, mamó - powiedział Andrew. Jedną ręką złapał Mimi za łokieć, drugą jej torebkę i zaczął popychać do drzwi. - Posiedź sobie w poczekalni.
- Co?! - wrzasnęła Mimi. - Dlaczego? Mam wszelkie prawo tu być, Andrew. To MOJA wnuczka i nie rozumiem, dlaczego chcesz, by jakaś... jakaś dziewczyna była tu z wami, a matkę wyrzucasz na zimno...
Na szczęście drzwi się już za nimi zamknęły. Sarah uniosła brwi.
- Nawet nie pytaj - wysapała Becky. Skurcze powtarzały się przez kolejne godziny. Andrew i Sarah na zmianę chodzili z nią, masowali stopy i krzyż, aż wzeszło słońce, a skurcze stawały się coraz rzadsze, najpierw co pięć... co siedem... a potem co dziesięć minut.
Zazwyczaj radosna twarz doktora Mendlowa była kamienna, a gdy skończył bada-

nie, na jego wysokim czole pojawiły się głębokie bruzdy.

- Wciąż trzy centymetry - powiedział. Andrew trzymał ją za jedną dłoń, Sarah wzięła drugą. Becky zaczęła płakać. - To zła wiadomość - kontynuował lekarz. - Dobra jest taka, że serduszko wciąż bije mocno i regularnie. Ale z jakiegoś powodu - może być to wielkość dziecka - główka nie schodzi na tyle nisko, by powodować rozszerzenie się szyjki macicy. - Usiadł na brzegu łóżka Becky. - Możemy podać pani oksytocynę i zobaczyć, czy skurcze znów się zaczną.

- Albo? - zapytała Becky.

- Albo możemy zrobić cesarskie cięcie. Biorąc pod uwagę, że to połowa czterdziestego drugiego tygodnia, i przypuszczalną wielkość główki dziecka, to właśnie bym zalecał.

- Dobrze - odparła Becky natychmiast. Andrew spojrział na nią wstrząśnięty.

- Becky, jesteś pewna?

- Nie chcę oksytocyny - powiedziała. Odgarnęła mokre loki z policzków. - Bo potem skurcze staną się zabójcze i będę potrzebowała znieczulenia, a na koniec może się okazać, że i tak muszę mieć cesarkę, więc wolę już teraz. Zróbmy to.

-Może porozmawiacie przez chwilę? - zaproponował doktor Mendlow.

- Nie ma takiej potrzeby - odparła Becky. - Chcę cesarskie cięcie. No już!

Wszystko trwało jeszcze dwie godziny. Ponieważ wcześniej Becky odmówiła podłączenia kroplówki, musieli to zrobić teraz, by ją nawodnić. Przyjazd anestezjologa nie polepszył sytuacji. Przedstawił się jako doktor Bergeron, a wyglądał jak rozwiązły francuski poeta, wychudzony i blady, z długimi włosami i hiszpańską bródką. Rodzaj mężczyzny, który w weekendy pędzi pioletówkę, a w piwnicy trzyma ukryte zwłoki. Na mankiecie kitla miał plamy krwi.

- Myślisz, że bierze heroinę? - szepnęła Becky do Andrew, który najpierw dokładnie przyjrzał się lekarzowi, a potem potrząsnął głową.

Nagle trafiła na salę operacyjną, gdzie wokół kręciło się wiele nowych, przedstawiających się osób: doktor Marcus, jeden z rezydentów, Carrie - pielęgniarka anestezjologiczna... Jestem Janet, będę pomagała doktorowi Mendlowowi. „Dlaczego lekarze podają nazwiska, a pielęgniarki imiona?” - zastanawiała się Becky. Jedna z położnych pomogła jej się podnieść i oprzeć o ramiona Carrie, podczas gdy wyglądający na barbarzyńcę anestezjolog przetarł jej kręgosłup czymś zimnym.

-Poczujecie pani lekkie ukłucie, a potem pieczenie - powiedział. Dobiegł do niej zapach alkoholu, sala nagle stała się zbyt jasna, zbyt zimna, a jej ciało zaczęło drżeć.

- Nigdy wcześniej nie miałam operacji - próbowała powiedzieć do Carrie. - Nawet złamanej ręki! - Carrie położyła ją na stół.

- Cześć, Becky! - W końcu pojawił się Andrew, ubrany w sterylny strój, w czapce i masce założonej na lewą stronę. Becky zaczęła się z niego śmiać. „Chyba jest bardzo zdenerwowany” - pomyślała - „skoro tego nie zauważył”. Położna ustawiła zasłonkę na wysokości pasa Becky.

- No, moja droga - powiedział doktor Mendlow. Na twarzy miał maskę. Becky widziała jedynie jego ciepłe, dodające otuchy oczy.

- Dobrze się czujesz? - szeptem zapytał Andrew.

Skinęła głową, świadoma łez spływających z kątek oczu na skronie.

- Trochę się boję - odparła cicho. - Jeśli będę czuła, że tną, przerwiesz im, dobrze?

- Czas cięcia, dziesiąta czterdzieści osiem. ,

Cięcie?

- Już zaczęli? - zapytała Becky a Andrew przytaknął. W jego okularach odbijało się to, co robią. Było dużo czerwonego. Zamknęła oczy.

-Czy dziecko jest już na zewnątrz?

Śmiech.

-Jeszcze nie - odezwał się doktor Mendlow. - Poczujecie pani mocny napór.

Zacisnęła oczy. „Dzieciaczku” - pomyślała - „trzymaj się, dzieciaczku”.

- Ssanie! - zawołał doktor Mendlow. - Och, ale się zaklinowała.

I wtedy usłyszała, jak ktoś powiedział:

- O, już jest! - Rozległ się krzyk. Nie cichy, żalony płacz dziecka, ale silny, wściekły wrzask, jakby jej córka chciała powiedzieć: Co mi ROBICIE?

- Proszę popatrzeć - powiedział doktor Mendlow. - To pani dziecko!

To ona. Skóra różowa jak wnętrze muszli, pokryta krwią i białą mazią płodową, oczy zaciśnięte, całkowicie łysa główka i j^zyk drżący w rytm płaczu.

- Jak ma na imię, mamó? - zapytała jedna z położnych.

„Mama” - pomyślała Becky ze zdziwieniem.

- Ava - odparła. - Ava Rae.

-Tato, chcesz podejść?

Andrew oddalił się od niej. Obserwowała, jak podszedł do wagi i stołu, gdzie wytarli młócające powietrze rączki i nóżki Avey, zważyli ją, zawinęli w kocyk i wsunęli na główkę pasiastą czapkę.

-Jest doskonała, Becky - powiedział, płacząc. - Doskonała. ..

Kolejne kilka godzin pozostawiło tylko mgliste wspomnienia. Becky przypominała sobie, jak doktor Mendlow pytał Andrew, czy chciałby zobaczyć macicę i jajniki: „Popatrz tutaj, zdrowe!”. Pomyślała, że brzmi to, jakby sprzedawca starych samocho-

dów namawiał klienta na zakup. Pamiętała, jak Andrew powiedział, że położna zawiozła Awę, by pokazać ją czekającym babciom. Przypominała sobie także, że przewieziono ją na łóżku do sali pooperacyjnej. Wielkie słowa! W rzeczywistości była to oddzielona zasłonką część oddziału położniczego. Została przełożona na zbyt wąskie łóżko, drżąca na całym ciele, od stóp do głów. Za każdym razem, gdy sięgała do brzucha, zamiast twardej wypukłości czuła coś, co przypominało ciepłą, sflaczałą dętkę. A palce u nóg... zobaczyła je po raz pierwszy od kilku tygodni.

- Cześć wam! - powiedziała, próbując nimi poruszyć. Nie udało się. Becky zastanawiała się, czy jest się czym przejmować.

Do oddzielonego zasłonkami boksu weszła kolejna położna, niosąc zawinięty w niebiesko-różowy koczek pakuneczek.

- Przyniosłam dziecko - oznajmiła. To była Ava, z okrągłą, różową buźką i jednym uszkiem wystającym zabawnie spod czapeczki.

-Cześć - powiedziała Becky, gładząc palcem policzek dziecka. - Cześć, kochanie!

Pozwolili jej potrzymać dziecko przez minutę. Becky przytuliła je do piersi.

- Tak się cieszę, że jesteś - powiedziała. Dała dziewczynce pierś, ale Ava nie była zainteresowana... mrugnęła tylko oczami, wyglądając na po trosze zamyśloną, po trosze niezadowoloną, i rozejrzała się w koło jak ktoś, kto zasnął podczas wspaniałej lektury i wciąż starał się dojść, w jakim jest świecie - prawdziwym czy wyobrażonym. - Kochanie - szepnęła Becky, nim położna zabrała dziecko.

Andrew usiadł na jeżdżącym stołku i nachylił się nad głową Becky.

- Jesteś niesamowita - powiedział i pocałował ją w czoło.

-Wiem! - odparła Becky. - Ale nie mogę przestać się trząść!

- To po znieczuleniu. Przejdzie. Podać ci koc?

- Nie. Nie. Zostań ze mną. - Becky zamknęła oczy, wyobrażając sobie, że gdzieś w pobliżu słyszy wrzeszczącą Mi- mi, przepychającą się obok matki Becky: „Dajcie mi ją! Dajcie mi ją potrzymać! To moja wnuczka! Moja! MOJA!“. Westchnęła, myśląc, że jej ojciec nie pozwoliłby Mimi na takie zachowanie, gdyby znalazł się w pobliżu. Byłby taki szczęśliwy...

Przetarła oczy.

- Dobrze się czujesz? - spytał Andrew.

Becky skinęła głową.

- Powinieneś być przy dziecku - powiedziała.

-Jesteś pewna? Nasze'mamy tam są, a Sarah śpi w poczekalni.

- Więc zdecydowanie powinieneś tam iść - powiedziała Becky, nie mogąc odpędzić od siebie widoku Mimi, chwytającej zawiniątko i uciekającej z nim.

Andrew pocałował ją jeszcze raz i wyszedł z boksu. Becky została zupełnie sama, nie

towarzyszyły jej nawet odgłosy aparatury.

- Jestem mamą - wyszeptała. Nie do końca wierzyła, że to prawda. Wyczekiwała uczuć, które sobie wyobrażała - niebiańskiego szczęścia i bezgranicznej miłości do wszystkich na świecie. Wyglądało jednak na to, że jeszcze ich nie doświadczyła. Dlaczego Ava tak strasznie krzyczała, kiedy ją wyjmowali? Dlaczego nie chciała ssać piersi? Dlaczego ważyła cztery kilo, mimo że lekarze przewidywali, iż będzie bliżej czterech i pół? Czy z Avą jest coś nie tak? O czymś jej nie powiedzieli?

Zjawiała się pielęgniarka, pchając przed sobą stojak z kroplówką.

- Morfina! - oznajmiła.

- Hurra! - powiedziała Becky. Jeszcze nic ją nie bolało, ale nie miała zamiaru czekać, aż zacznie boleć.

Pielęgniarka podała Becky przełącznik i wyjaśniła, że co dziesięć minut może wstrzykiwać sobie dodatkową dawkę.

- Ma pani stoper? - zapytała Becky. Pielęgniarka zaśmiała się, dała jej pokruszony lód i wyszła, zaciągając za sobą zasłonkę.

- Jestem mamą - powtórzyła Becky. Oczekiwała, że ten fakt ją odmieni, stanie się jakby kim innym. Nic takiego nie nastąpiło. Przywołała obraz złośliwej ciotki Joan, która, zjawiwszy się na jej dziesiątych urodzinach, przed tortem i prezentami odciągnęła ją na stronę i syknęła, że może zamiast ogromnego kawałka ciasta zjadłaby jabłko. Spodziewała się, że macierzyństwo zatrze ten psychiczny uraz, ale nie. Wciąż nienawidziła ciotki Joan... co oznaczało, że narodziny córeczki nie sprawiły, że stała się inną osobą. W zasadzie zmieniło się tylko to, że teraz nie będzie się już mogła wysypiać jak dawniej, no i ma bliznę na brzuchu, której przedtem nie miała. O nie! Becky nacisnęła przycisk dozujący morfinę. Skoro nie może osiągnąć spokoju emocjonalnego, przynajmniej się odurzy.

Pojawiła się położna, jakby przywołana westchnięciem Becky.

- Sala zaraz będzie gotowa - powiedziała. - Chce pani jeszcze trochę morfiny? Doktor Mendlow powiedział, że może pani dostać więcej.

- Jasne - stwierdziła. Nie ma powodu, żeby nie skorzystać. Nie będzie bolało. Znów nacisnęła przycisk, gdy pielęgniarka wstrzyknęła coś do kroplówki. Już się nie trzęsła. Czuła miłe ciepło, jakby leżała na plaży. I w końcu mogła poruszać palcami u nóg!

- Proszę mnie wypisać - powiedziała do położnej, wskazując na stopy. - Jestem mamą!

- Owszem - odparła pielęgniarka, klepiąc ją po ramieniu. Becky zamknęła oczy, a gdy je otworzyła, jechała na łóżku szpitalnym korytarzem, chichocząc, a nad nią pochylał się Andrew z zatroskaną miną.

- Ile ci dali morfiny? - zapytał.

- Naciśnij guzik, naciśnij guzik! - powiedziała Becky.

Zamiast to zrobić spojrział ponad jej głową na położną.

- Ile dostała morfiny?

Becky zaczęła śmiać się jeszcze głośniejsze, mimo że czuła słaby, ale nieprzyjemny ból w dole brzucha. Gdzie jest jej dziecko?

- Hej, mam dziecko!

- Zgadza się - powiedział Andrew, uśmiechając się z troską.

- Ava - powiedziała Becky do pielęgniarki, gdy dojechali już do sali i położyli ją wciąż chichoczącą na łóżku. - Ma na imię Ava. Czy to nie piękne imię?

- Oto ona! - oznajmiła położna, pchając przed sobą stelaż na kółkach, z plastikowym prostokątnym pojemnikiem. A w tym prostokącie, owinięta w czyste kocyki, w malutkiej czapeczce w niebiesko-różowe paski, z elektroniczną opaską na przegubie malutkiej rączki, leżała Ava. Już nie płakała, tylko mrugała oczami i rozglądała się.

Becky wyciągnęła rękę, do której wciąż podłączona była kroplówka.

- Dziecko - powiedziała. Andrew wyjął dziewczynkę z jej malutkiego gniazdka i podał Becky. - Dzieciątko - szepnęła Becky do Avy.

- Dzieciątko - szepnął Andrew do żony.

- Naciśnij przycisk - powiedziała Becky półgłosem.

- Myślę, że dostałaś już wystarczająco dużo morfiny.

- Staram się kontrolować ból - wytłumaczyła Becky. - Naciśnij, naciśnij!

- W porządku, już - powiedział, gdy do sali weszła Edith z zaczerwienionymi oczami.

- Och... och, Becky! - szepnęła i gdy ujrzała córkę z dzieckiem w ramionach, rozpłakała się. - Och, Becky... jest taka piękna... Szkoda, że twój tata...

- Wiem - odparła Becky, czując łzy napływające do oczu. - Mnie też go brakuje.

Edith wydmuchała nos, a Ava otworzyła buzię i zaczęła płakać. Andrew i Becky spojrzeli na siebie.

- O cholera! - krzyknęła Becky. - Zabierz dziecko, zabierz dziecko!

- Ty ją trzymaj - powiedział w sposób, który chyba miał dodać jej odwagi.

-Jestem na haju! - zaprotestowała Becky. - Nie mogę opiekować się dzieckiem! Weź ją! O Boże, ona płacze. Zawołaj pielęgniarkę!

- Wszystko w porządku - powiedział, cicho się śmiejąc. - W porządku. - Z powrotem przysunął dziecko do jej piersi. - Cii, cii - szepnął. Ava przestała płakać i spojrziała na nich.

- Cześć, śliczna - szepnęła Becky. Ava zatrzepotała rzęsami i ziewnęła. Becky wpatrywała się w nią, aż w końcu obie zasnęły.

-Hej, hej!

Becky z trudem uniosła jedną powiekę. Widziała szpitalną salę jak przez mgłę - przypuszczała, że to przez morfinę.

Wokół panowałyby cisza, gdyby nie chrapanie Andrew i ten potworny hałas, robiony przez jej teściową.

-Hej, hej!

Była tam jej teściowa, Mimi Breslow Levy Rabinowitz Anderson Klein, w towarzystwie dwóch przyjaciółek, malutkich kobiet w kaszmirowych sweterkach i džinsach opinających ich ponad sześćdziesięcioletnie biodra. „Baran ubrany jak jagnię” - pomyślała Becky, patrząc na pomarszczony pępek teściowej. Wszystkie trzy nachylały się nad łóżeczkiem Avy. Głowa Mimi była tuż przy twarzy dziecka, tak blisko, że ich nosy niemal się stykały.

- Hej, Anna Śliczna Panna! - powiedziała Mimi, przysuwając twarz jeszcze bliżej.

„O” - pomyślała Becky. „O nie”. Matka Mimi miała na imię Anna.

Andrew przyznał się Becky, że powiedział matce, iż planują dać dziecku imię po niej. Ale musiał jej też powiedzieć, że dali córeczce na imię Ava, nie Anna. A nawet jeśli tego nie zrobił, imię Ava wypisane było na różowej karteczce przyklepionej do łóżeczka.

-Słodziutka, malutka Anna - nuciła Mimi do swoich przyjaciółek. - Zobaczcie, co jej kupiłam! - Sięgnęła do torebki i wyciągnęła z niej miniaturową koszulkę na ramiączkach ze słowem SEXY wypisanym cekinami na przodzie. - Prawda, że śliczna? - zapytała, a kobiety mruknęły twierdząco. Becky zastanawiała się, czy do kompletu są jeszcze stringi. I alfons.

- Zobaczmy, jak będzie w tym wyglądała - zaproponowała jedna z przyjaciółek Mimi.

Mimi wyjęła dziecko z łóżeczka, nie zauważając nawet, że głowa dziewczynki poleciała do przodu, i zaczęła naciągać na nią koszulkę.

- Hej - chciała powiedzieć Becky, ale miała tak zaschnięte gardło, że z ust wydobył się tylko szept. Popatrzyła na Andrew. Pragnęła, by się obudził i przerwał to przedstawienie. W tej samej chwili Mimi sięgnęła pod łóżeczko i ukradkiem wyciągnęła jedną z butelek z mlekiem, zostawionych tam przez pielęgniarkę z nocnej zmiany.

Becky poczekała, aż Mimi była bliska włożenia smoczka do ust jej dziecka. Podciągnęła się do góry, prawie do pionu, zaciskając zęby z bólu. Nie zauważyła nawet, że prześcieradło, którym przykryła ją położna, zsunęło się na podłogę.

- Co robisz? - zapytała. Mimi podskoczyła na dźwięk zachrypniętego głosu synowej.

- O Boże, ona jest zupełnie naga pod tą koszulą - powiedziała jedna z przyjaciółek Mimi.

- Co robisz? - spytała znów Becky, wskazując na łóżeczko dłonią, w której nie miała kroplówki.

-Ja... ona...

Andrew obrócił się na łóżku.

- Przepraszam... Była głodna - odpowiedziała Mimi piskliwie. - Chciałam tylko...

- Karmię piersią - powiedziała Becky, wskazując na kartę informacyjną, gdzie było wielkimi literami napisane, że AVA ROTHSTEIN-RABINOWITZ JEST DZIECKIEM KARMIONYM PIERSIĄ! - Jeśli jest głodna, daj mi ją.

Mimi złapała dziecko pod paszki, z mniejszą uwagą, niż gdyby przenosiła worek mąki, i podała je matce.

- Poza tym ma na imię Ava - dodała Becky. Mimi zmarszczyła brwi i zacisnęła świeżo pomalowane usta. Odwróciła się do syna, który wciąż leżał na łóżku.

- Co? DLACZEGO? Miała się nazywać po mojej matce! Na jej cześć!

- Nazywa się po twojej matce - powiedział łagodnie Andrew. - Ma na imię Ava.

- Moja matka nie miała na imię AVA. Imię mojej mamy...

- Zaczynało się na A. Tak samo jak Avy - wpadła jej w słowo Becky. Spojrzała na Mimi wyzywająco, jakby chciała do kłótni sprowokować teściową. Wiedziała, co jej powie: „Nazwałaś swojego syna tak, jak chciałaś. Mamy to samo prawo”.

Mimi otworzyła usta, zamknęła je, znów otworzyła i zamknęła. Becky rozchyliła koszulę nocną. Mimi wzdygnęła się.

- Porozmawiamy o tym później - powiedziała, wycofując się z sali tak szybko, że niemal potknęła się o własne nogi. Przyjaciółki wybiegły za nią. Becky ułożyła Avę przy piersi i spojrzała na Andrew, wpatrującego się w koszulkę córeczki.

Przetarł oczy.

- Czy teraz tak ubierają w szpitalu dziewczynki?

- Nie, takie rzeczy daje małym dziewczynkom twoja matka. Dlaczego chciała nakarmić dziecko?

- Nie wiem - mruknął, zbierając butelki z mlekiem i chowając je do torby - ale to już się nie powtórzy. Porozmawiam z nią.

„Dobrze nam to zrobi” - pomyślała Becky.

- A SEXY? - zapytała, wskazując na koszulkę. - Wiem, że nie rozmawialiśmy jeszcze o tym, ale moim zdaniem powinniśmy trochę poczekać, nim pozwolimy naszej córeczce nosić ubrania z takim napisem. Przynajmniej do szóstego miesiąca. - Zachichotała. - Widziałeś, jak szybko Mimi stąd wyszła? Moje sutki działają na nią odstraszająco!

Andrew zagryzł wargi. Becky mogłaby się założyć, że stara się ukryć uśmiech.

- Becky, to moja matka - powiedział bez przekonania.

Ava skończyła ssać i otworzyła oczy.

- Nie martw się - szepnęła Becky do córeczki. - Nie pozwolimy, by cię niepokoiła.

KELLY

- W porządku! - zawołała Kelly, wchodząc do mieszkania z malutkim Oliverem w ramionach, w towarzystwie męża, psa i trzech sióstr. - Terry, w zamrażalniku jest lasagne. Rozgrzej piekarnik do stu osiemdziesięciu stopni i piecz przez godzinę. Mary, mogłabyś przynieść mi do sypialni laptop?

Chcę rozesłać komunikat... o, i aparat, to dołączę zdjęcia. Steve, jak wejdiesz do folderu „Moje dokumenty” na pulpicie, jest tam arkusz „Pierwszy Tydzień Olivera”. Możesz wprowadzić jedną moką pieluszkę o dziesiątej czterdzieści pięć? Doreen, pójdziesz z Lemonem na spacer?

Siostry i mąż znikli, zostawiając Kelly samą ze śpiącym w ramionach dzieckiem. Chłopiec miał zaciśnięte oczy i otwartą buzię. Uszy i podbródek odziedziczył po tacie, ale usta i oczy zdecydowanie po Kelly.

- Cześć, Oliver! - szepnęła. - Witaj w domu. - Włożyła go delikatnie do łóżeczka i uklękła przy półce z książkami. Szwy ją bolały, ale udało się jej wyciągnąć *Czego oczekiwać, gdy spodziewasz się dziecka*, a w to miejsce wstawić *Czego oczekiwać w pierwszym roku*. Gdy spojrzała w górę, zobaczyła Steve'a stojącego w drzwiach i przestępującego z nogi na nogę.

- Mokra pieluszka wprowadzona, a smoczek wyparzony.

- Mógłbyś zdjąć buty? - zapytała Kelly. Chciała prosić go, by wziął prysznic i przebrał się, bo była pewna, że ma na sobie pełno szpitalnych zarazków, ale nie wiedziała, jak zareaguje.

Postawił tenisówki obok drzwi.

- Hej, przykro mi z powodu tych zdjęć - powiedział.

Kelly wstała i powoli podeszła do bujanego fotela, słysząc siostry buszujące w jej garderobie.

- Dobrze mi w tym kolorze? - pytała Terry.

-Terry, nic tam nie ruszaj! - krzyknęła w stronę sypialni. - Wszystko w porządku - powiedziała do Steve'a, siadając w fotelu. - Położne zrobiły kilka ładnych ujęć, kiedy już cię ocuciły.

-Nie wiem, co się stało - powiedział Steve. - Po prostu... - Przełknął ślinę. - Było

strasznie dużo krwi.

„Tak jakby nie było tam twojej krwi” - pomyślała Kelly.

Poród był straszny. Nastąpiło pęknięcie krocza. Straciła tak dużo krwi, że potrzebna była transfuzja. Oliver miał gorączkę i pierwsze dwa dni życia spędził na noworodkowym oddziale intensywnej terapii, a Steve, zamiast wspierać ją i podtrzymywać na duchu, zemdlął podczas porodu i rozciął sobie czoło o kant stołu. Oboje wrócili ze szpitala ze szwami.

Terry i Doreen pojawiły się w drzwiach dzieciennego pokoju. Pierwsza z nich trzymała w dłoniach bladoniebieską jedwabną bluzkę, a druga złoty łańcuszek.

- Mogę pożyczyć na dzisiejszy wieczór? - zapytała Terry przymilnie.

- A ja to? - Doreen wyciągnęła dłoń z biżuterią. - Idziemy z Anthonym na kolację.

- Dobrze, dobrze - powiedziała ze znużeniem Kelly, doskonale wiedząc, że mało prawdopodobne, by jeszcze kiedykolwiek ujrzała bluzkę i łańcuszek, a jeśli nawet, to bluzka będzie poplamiona, podarta albo zniszczona. Oliver ziewnął w swoim łóżeczku.

- Już dobrze - powiedziała Kelly. - Steve, teraz mógłbyś zgrać zdjęcia, wybrać najlepsze, wejść na tę stronę, którą zaznaczyłam, i zamówilibyśmy notatkę o narodzinach.

- Hej, masz tu podłączenie do sieci? - zapytała Mary, która pojawiła się tuż po opuszczeniu pokoju przez zaopatrzone w bluzkę i naszyjnik Terry i Doreen. - Mogę szybko sprawdzić maila?

- Jasne - powiedziała Kelly. Mary wyszła. Steve westchnął i oparł się o ścianę. Bandaż na czole przesiąkł krwią. Kelly zastanawiała się, czy mogłaby go zmienić.

- Jestem wykończony.

Kelly starała się być życzliwa. Ona też była wykończona. Musiała znosić szpitalne hałasy i położne, które budziły ją i dziecko co cztery godziny, by sprawdzić parametry życiowe.

- Może napijemy się kawy? - zapytała i wychyliła głowę za drzwi. - Hej, Terry, zrobisz kawę?

- Nie powinnaś pić kawy - powiedziała Terry, idąc w kierunku pokoju dzieciennego. Najmłodsza siostra Kelly ubrana była w obcisłe, znoszone dżinsy i niebieską koszulę z długimi rękawami zakrywającymi dłonie. Na stopach miała ręcznie robione mokasy, a w uszach kolczyki z piórkami. - Bardzo źle wpływa na żołądek. W Vermoncie poddałam się oczyszczaniu. Nie uwierzycie, co się ze mnie wylewało.

- Terry, nikt nie jest ciekawy, co się z ciebie wylewało po zaaplikowaniu lewatyw - powiedziała Doreen. Ona też miała na sobie dżinsy, ale jej były nowe, różową bluzę, tenisówki i... złoty naszyjnik Kelly.

- Naprawdę, nie chcemy tego słuchać - stwierdziła Mary. Ubrana była w koszulkę i szorty w kolorze khaki, z wypchanymi kieszeniami. Kelly zastanawiała się, co w nich jest. Może kosmetyki. Ostatnia wizyta Mary zbiegła się ze zniknięciem ulubionej kredki do oczu Kelly.

- Dziewczyny! - powiedziała Kelly. Siostry spojrzały na nią. - Mary, idź i zrób Steve'owi kawę. Doreen, mogłabyś przynieść moją walizkę do sypialni? Brudne rzeczy są w plastikowej torbie, pozostałe połóż na łóżku. Terry... - Nie dokończyła. Jej najmłodsza siostra, najładniejsza i, niestety, iLdj- bardziej bezmyślna, gapiała się na nią z otwartymi ustami. - Co robisz z tym sterylizatorem?

- Och, a więc to do tego służy? - powiedziała Terry, wyciągając palec z urządzenia. - Chyba nie będę musiała przez jakiś czas myć rąk.

Wszystkie trzy znikły za drzwiami.

Oliver zaczął płakać. Kelly spojrzała na zegarek. Była czwarta, godzina po wypisaniu ze szpitala, a Oliver ostatnio jadł o... Wyciągnęła elektroniczny notes. Mokra pieluszka o dziewiątej, o dziesiątej piętnaście minut karmienie, następne o jedenastej dwadzieścia, kupka w południe, czterdziestopięciominutowa drzemka...

-Myślę, że jest głodny - powiedziała. Podeszła do łóżeczka Olivera, ale Steve ją ubiegł.

- Hej, chłopaczku - powiedział, podnosząc synka do góry. Szyja Olivera wygięła się. Kelly krzyknęła:

- Steve, ostrożnie!

- Co? - spytał Steve. Miał na sobie stary podkoszulek z logo uniwersytetu i dzinsy, a na twarzy trzydniowy zarost.

Odkąd przestał pracować, golił się nieregularnie. Kelly próbowała, czasami skutecznie, powstrzymać się przed męceniem go o to, a także o porozrzucane na podłodze ubrania, buty i pisma.

- Główka! Uważaj!

Steve spojrzał na nią jak na wariatkę, wzruszył ramionami i podał jej chłopca. Kelly ułożyła Olivera w zgięciu łokcia i usiadła w bujanym fotelu. Podciągnęła bluzkę i przez chwilę walczyła z zapięciem stanika.

- Pomóc ci? - zaoferował Steve.

Potrząsnęła głową i przystawiła Olivera do piersi. Nic się jednak nie stało.

-No dalej - szepnęła Kelly, kołysząc chłopca na kolanach. - No dalej, dalej! - Usiłowała przypomnieć sobie wszystko, czego nauczyła się na zajęciach z karmienia piersią i co ćwiczyła w szpitalu. Podtrzymuj główkę. Ściśnij brodawkę i ustaw w jednej linii z ustami dziecka. Poczekaj, aż dziecko otworzy szeroko buzię i włóż mu ją do ust. Ustawiła. Czekala. Przyłożyła. Nic. Oliver odwrócił główkę i zaczął płakać.

- Wszystko w porządku? - zapytał Steve.

- Tak! - odchrzyknęła Kelly, mając nadzieję, że niedługo pójdzie pobiegać. Chciała, żeby wyszedł z domu i nie sterczał jej nad głową, żeby znalazł się z dala od jej sióstr, które zaczynały zadawać zbyt wiele pytań na temat jego pracy. Nawet Terry, światowej klasy roztrzępaniec, mogłaby się domyślić, że Steve nie mówi o pracy, bo już jej po prostu nie ma. A co z przyjaciółkami? Mąż Becky był lekarzem, a mąż Ayinde to sławny Richard Towne. Jak długo uda jej się podtrzymać bajkę o „urlopie ojcowskim” i „poszukiwaniu pracy”, nim stanie się jasne, że jej mąż nie robi nic? - No dalej, kochanie! - szepnęła do Olivera, kwilącego z odwróconą główką. W szpitalu jadł jak złoto, ale tam były położne i doradca laktacyjny przy telefonie. W domu mogła liczyć tylko na Steve'a, który przysypiał, gdy ona karmiła, Doreen i Terry, ale one nie miały dzieci. Kelly nie przypominała sobie, żeby Mary karmiła swoje dzieci piersią. Kiedy się urodziły, sama była jeszcze dzieckiem, chodziła do liceum. Tak czy inaczej nie miała kogo zapytać. To ona zawsze wszystkim pomagała. Pożyczała ubrania i pieniądze, dawała rady dotyczące fryzur i chłopaków, zakupu samochodów i poszukiwania pracy. Gdyby powiedziała, że czegoś potrzebuje, pewnie spojrzwałyby na nią, jakby wypowiadała słowa na wspak. Będzie musiała poradzić sobie sama. - No dalej - powiedziała jeszcze raz cichutko. Karmienie piersią jest łatwe w teorii - włóż wypukłość A do otworu B i czekaj, aż natura i głód wezmą górę. Ale co zrobić, jeśli otwór B wierci się i płacze, i potrzebujesz przynajmniej jednej ręki, by włożyć wypukłość A na miejsce? - *Był sobie król, był sobie paż...* - Dziecko nie przestawało płakać. - *I była też Baba-Jaga...* - Nie. No jak to szło? Przecież nie Baba-Jaga. Ale kto?

Steve znów zajrzał do pokoju.

- *Królowna.*

„Dziękuję, panie Rogers” - pomyślała Kelly.

- Chcesz, żebym go wziął na chwilę? W szpitalu dali nam kilka butelek.

- Nie, nie możemy karmić go butelką - powiedziała Kelly. Odgarnęła grzywkę z oczu i wzięła głęboki oddech. - Musimy to jakoś rozwiązać.

- Mam zawołać twoje siostry?

Kelly zamknęła oczy, pragnąc, by pojawiła się Maureen, jej ulubiona siostra, teraz przebywająca w dalekiej Kalifornii, albo... matka. Mimo że ostatnie lata życia spędziła, mrużąc coś do siebie, lub półprzytomna oglądała telenowele, Paula O'Hara wiedziałaby, jak nakarmić dziecko. Z salonu dobiegały głosy sióstr. Najwyraźniej bawiły się z Lemonem.

- Złapał sterylizator! - oznajmiła Terry.

- Dobry piesek - odparła Mary, śmiejąc się głośno. Weszła do kuchni. Drzwi od piekarnika otworzyły się i zamknęły.

Lasagne - narzekała Doreen - to doskonale jedzenie na trzydziestostopniowy upał. Kelly wierciła się w bujanym fotelu, niezadowolona z tego, że obwisły brzuch napiera na elastyczny pas spodni ciężowych, które nosiła po domu, i z biustu wielkości dwóch piłek, jakby lekarz o złośliwym poczuciu humoru przykleił je klejem szybko schnącym.

- Powiedz im, żeby zrobiły kawę. I podaj mi torebkę, dobrze? - Wyciągnęła portfel i wizytówkę z numerem do poradni laktacyjnej. - Możesz zadzwonić i zostawić wiadomość?

Steve wziął wizytówkę w dwa palce.

- I co mam im powiedzieć?

- Ze nie chce ssać!

Steve sięgnął po telefon. Kelly wciąż próbowała przystawić synka do piersi. Pod drzwiami słyszała głosy siostr. Oliver potrząsał główką to w przód, to w tył, jakby celowo unikał jej brodawki.

- Co mogę zrobić? - zapytał Steve, spoglądając przez jej ramię na czerwone na twarzy, wijące się jak piskorz dziecko.

- Zadzwoń do Becky - powiedziała. - Jej numer jest w notesie na lodówce po prawej stronie.

Po dwóch minutach Steve był z powrotem.

- Nie było jej w domu, ale zostawiłem wiadomość.

Kelly położyła sobie Olivera na ramieniu, gdzie leżała przygotowana wcześniej pieluszka, którą umieściła tam z nadzieją, że niedługo może się przydać. Kołysała się w fotelu, głaszcząc synka po kędzierzawej główce, pokrytej małutkimi niebieskimi żyłkami, modląc się, by przestał płakać.

- Możesz zadzwonić do Ayinde?

W oczach Steve'a pojawił się błysk.

- Masz domowy numer Richarda Towne'a?

- Proszę cię, po prostu zadzwoń, dobrze? I nie męcz Richarda, jeśli odbierze!

Steve pokiwał głową i wrócił po chwili ze słuchawką.

- Ayinde - szepnął.

-Ayinde? Tu Kelly. Hmm, mogłabyś... - Głos jej się łamał. Dwadzieścia minut w domu z dzieckiem i już potrzebuje wsparcia. Zaciśnęła pięści. - Oliver nie chce ssać, nie je już od kilku godzin. - Kelly skinęła głową. - Och, nie, nie musisz... jesteś pewna? Uhm, hm. Dziękuję. Tak bardzo ci dziękuję. - Podyktowała adres, rozłączyła się i oddała słuchawkę Steve'owi. - Już jedzie.

Zadzwoił telefon. Steve wręczył go Kelly.

- Becky.

-Becky? Posłuchaj. Oliver nie chce ssać. Nie mogę go przystawić do piersi, a próbuję już całą wieczność i... - Rzuciła wzrokiem na zegarek. - Nie jadł ze trzy godziny.

-Już dobrze, już dobrze, ciii, cii, nie zagłodzi się w jedno popołudnie - powiedziała Becky.

- Mówisz do mnie jak do dziecka? - zapytała zdziwiona Kelly.

- Tak. Przepraszam - odparła Becky. - To się zdarza. Sama się przekonasz. Zeszłej nocy Andrew przytulił mnie, a ja objęłam go i zaczęłam klepać po plecach. Ava właśnie się obudziła. Ruszamy, jak tylko ją przewinę.

- Dziękuję - powiedziała Kelly. Wytarła nos w leżącą na ramieniu pieluszkę i spojrzała na Olivera, który zasnął z zaciśniętymi piąstkami.

Po półgodzinie przyjechały Becky i Ayinde ze swoimi dziećmi. Julian zapadł się w foteliku samochodowym i był tak mocno opatulony, że widać było tylko pokrytą loczkami główkę i duże, brązowe oczy. Dziesięciodniowa Ava wygodnie spoczywała w nosidełku na piersiach Becky.

- Jest śliczna - powiedziała Kelly.

- Jest łyśa - poprawiła Becky. - Au! Ozdabiane monogramem pieluszki! - zachwycała się Becky, oglądając dywanik Olivera z motywami z bajki o króliczku, nocną lampkę w kształcie tegoż zwierzątka, osłonkę łóżka z jego podobizną, edukacyjny czerwono-czarny telefon komórkowy i półki ze stosami DVD *Mały Einstein*. - Ten pokój ma motyw przewodni. Wiesz, co jest motywem przewodnim w pokoju Avy? Suszące się pranie. - Włożyła Ave, która miała szare oczy, różowe policzki i łyśą główkę, do łóżeczka Olivera. - Dobrze. Pokaż, co się dzieje.

Kelly wzięła dziecko, mając dziwną nadzieję, że przed publicznością zacznie jeść, tak jakby robił to przez całe życie. Nie było mowy - ułóż główkę, otwórz usta, włóż brodawkę, nie udało się, spróbuj jeszcze raz, a potem przygotuj się na krzyk Olivera.

Becky spojrzała na Ayinde, potem znów na Kelly.

- Hmm. Wygląda na to, że nie może złapać brodawki. - Zwinęła loki w kok i podciągnęła rękawy. - Tylko umyję ręce. Nie masz nic przeciwko temu, bym cię dotykała?

-Jasne! Dotykaj! Rób zdjęcia! Pokaż je w Internecie! Tylko proszę, spowoduj, żeby jadł!

- Bez obaw. Damy sobie z tym radę. Kelly, potrzyмай mu główkę. - Kelly wzięła spoconą główkę dziecka w dłoń, patrząc na jego wykrzywioną buzię. Becky włożyła jedną dłoń pod pierś Kelly i ścisnęła brodawkę pod innym kątem, niż do tej pory robiła to Kelly. - Zaczekaj... zaczekaj...

Gdy Oliver otworzył usta, Kelly skierowała go na pierś, ale znów nie wcelował.

- Prawie się udało - powiedziała Ayinde.

- Tak, ale tym „prawie” się nie naje - stwierdziła Kelly, wycierając oczy ramieniem.

- Masz jakieś sztuczne mleko? - zapytała Becky.

- Nie chcę dawać mu butelki!

- Nie, nie po to, by go karmić, ale żeby spróbował. Pomyślałam, że mogłybyśmy nalać kilka kropelek na twoją pierś, żeby skojarzył z jedzeniem.

Steve, który czekał przy drzwiach, wręczył Ayinde butelkę.

- Dobrze, Ayinde, kap.

Kelly nie mogła powstrzymać śmiechu, widząc, że jej piersi to trzyręczna maszyna do karmienia.

- Dobra, teraz!

Becky ścisnęła brodawkę, Ayinde nalała mleka. Kelly przystawiła dziecko do piersi. Zamknęła oczy i modliła się, mimo że, ściślej rzecz biorąc, nie wierzyła w Boga od czasu, gdy matka znalazła jej album z wycinkami i zabrała go razem z miesięcznym kieszonkowym dokładnie wtedy, gdy Kelly niemal uzbierała na dzinsy od Calvina Kleina. I nagle z ogromnym zdziwieniem poczuła ciągnięcie w piersi. Oliver zaczął ssać.

- Robi to - powiedziała Kelly, a Steve zaczął cicho bić brawo w drzwiach. - Och, dzięki Bogu.

Kolejna godzina upłynęła na ćwiczeniach - przystawianie Olivera do piersi, odstawianie go, znów przystawianie, najpierw z pomocą Ayinde i Becky („Potrzebna cała wioska, by nakarmić moje dziecko” - śmiała się Kelly), potem już tylko Kelly i Becky, a na koniec robiła to sama Kelly. Oliver zasnął przy piersi, gdy jej siostry, prześlągnięte dymem z papierosów Mary, wypełniły dziecinny pokój.

- Terry chce jeszcze raz wysterylizować sobie rękę - powiedziała Doreen, chichocząc.

- Proszę bardzo - zgodziła się Kelly. Bała się na nie spojrzeć. Obawiała się, że będą gapiły się na Ayinde, jakby była gazelą, która zawędrowała do ich domu, albo, co gorsza, poproszą o autograf Richarda.

Gdy siostry odjechały wreszcie do New Jersey, a Steve poszedł do sypialni przespać się, Kelly, Ayinde i Becky wraz z dziećmi zasiadły na podłodze w salonie.

- Obiecujcie, że nie będziecie się śmiały, kiedy o coś zapytam - zwróciła się do nich Becky.

Kelly i Ayinde obiecały. Becky podniosła córeczkę, rozpięła jej ubranko i podciągnęła do góry.

- Dobra - powiedziała. Wzięła głęboki wdech i wskazała palcem na plamkę tuż pod paszką Avy. - Czy to trzecia brodawka?

Ayinde uniosła brwi. Kelly wpatrywała się w dziecko.

- Pytasz poważnie?

- Obiecałyście, że nie będziecie się śmiać!

Ayinde wzięła Avę i przyjrzała się bliżej.

- Myślę, że to pieg albo znamię. Czy lekarz mówił coś po badaniu?

Becky potrząsnęła smętnie głową.

- Nie. Ale co mieli powiedzieć? „Przykro nam, mamó, ale twoja córka to dziwoląg”. - Westchnęła. - Może myśleli, że nie zauważę trzeciej brodawki.

- To nie jest trzecia brodawka! - powiedziała Kelly.

- Biedna Ava - stwierdziła Becky, ubierając dziewczynkę. - Może będziemy podróżować po kraju i pokazywać ją: „Zobaczcie dziewczynkę z trzema sutkami”.

- Nie sądzę, by ludzie chcieli oglądać tylko jeden akt - zażartowała Ayinde.

- Dziewczynka z trzema sutkami i niesłuchanie krzykliwa teściowa - odparła Becky.

- Ja też mogę występować. Kiedyś umiałam trochę żonglować. Chcecie zobaczyć jeszcze coś dziwnego?

- Czy to druga głowa? - zapytała Ayinde.

Becky zaprzeczyła milcząco, sięgnęła do torby i wyjęła biało-niebieski śliniaczek.

- Znalazłam go w torbie kilka dni temu.

- Ładny - stwierdziła Kelly, dotykając jedwabnego wykończenia. Po chwili odwróciła ślimak, by obejrzeć metkę. - Ooo, Neiman-Marcus. Bardzo ładny.

- Tak - odparła Becky - tylko nie wiem, skąd się wziął w mojej torbie. A dziś rano ktoś wrzucił mi do skrzynki na listy srebrną łyżeczkę.

- No cóż - powiedziała Ayinde - przecież masz dziecko. - Drzemiący do tej pory Julian otworzył oczy i ziewnął z zaciśniętymi w pięstki dłońmi.

- Wiem, ale nie była zapakowana ani nie było dołączonej żadnej kartki. - Becky wzruszyła ramionami. - Może to od kogoś ze szpitala. Andrew pracuje z sześcioma osobami, ale wśród nich jest tylko jedna z jaką taką oglądą, niestety podczas przyjęć zawsze trafiam na kogoś z pozostałej piątki. - Wstała i włożyła Avę do nosidełka. - Macie ochotę na poranny spacer?

Umówiły się, że jeśli nie nastąpią żadne nieoczekiwane komplikacje w rodzaju dodatkowego spania lub karmienia, spotkają się w pobliżu rzeźby kozy w Rittenhouse Square Park. Gdy wyszły, Kelly ułożyła śpiącego Olivera w łóżeczku, a sama położyła się na podłodze dzieciennego pokoju, z rękami wzdłuż ciała, by nie narażać ich na spotkanie ze zwiotczalym brzuchem. Zamknęła oczy i zaczęła wyobrażać sobie, jak to będzie - rzeczy, które kupi, i gdzie potem je wstawi; kanapę i lakierowaną ratanową szafę, inkrustowany stolik kawowy, telewizor plazmowy. Wszystko czyste, wszystko nowe, wszystko doskonałe, takie, na jakie zasługiwał jej chłopczyk. Nie otworzyła

oczu, słysząc Steve'a wchodzącego do pokoju.

- Cześć - powiedział jej mąż. - Słuchaj, jeśli chcesz chwilę odpocząć, zajmę się dzieckiem. - Kelly wciąż miała zamknięte oczy i skupiała się na wyglądzie salonu, w którym wszystko zdawało się być tak blisko, że niemal mogła tego dotknąć - ciężkie krzesła z wysokimi oparciami od Vladi- mira Kagana, turecki dywan, który widziała w Material Culture, antyczny klonowy kredens, oprawione profesjonalnie w ramki zdjęcia ich syna na ścianie...

-Kelly?

Wydała z siebie senny odgłos i przewróciła się na bok. Chwilę później Steve wyszedł cichutko z pokoju, zostawiając ją i synka w krainie marzeń i snów.

AYINDE

-Kochanie...

Ayinde uchyliła lewą powiekę. Leżała na boku, tuląc Juliana, a Richarda tulił się do niej. Julian miał czternaście tygodni i do tej pory nie spędził w swoim ślicznym łóżeczku ani minuty. W ciągu dnia spał w wózku, ale najczęściej w ramionach mamy. W nocy leżał koło niej, przytulony do jej piersi, a ona wdychała jego zapach i gładziła jego twarzyczkę.

-Ayinde - szepnął Richard nieco głośniejszym głosem.

- Cii - odszepnęła. Było piętnaście po drugiej w nocy, a Julian spał dopiero od niecałej godziny. Zrzuciła dłoń Richarda ze swego biodra. - Co? - spytała cichutko.

-Mogłabyś tylko... - zaczął przeproszającym głosem. - ...Może przesuniesz się kawałek?

Ayinde potrząsnęła głową, ale zdała sobie sprawę, że w ciemnościach mąż tego nie widzi.

- Nie ma miejsca - szepnęła. - Chcesz, żeby dziecko spadło z łóżka?

Usłyszała westchnienie Richarda.

- Wy tłumacz mi jeszcze raz, dlaczego on nie może spać w swoim łóżeczku.

W Ayinde obudziło się poczucie winy. Nie było żadnego powodu, dla którego dziecko nie powinno pozostawać w swoim łóżeczku, prócz tego, że ona nie wyobrażała sobie, by mogło być aż tak daleko.

- Tutaj jest szczęśliwy – wyjaśniła.

- Tak - odparł Richard ze zrozumieniem - ale ja nie jestem. Zaraz wyląduję na podłodze.

- Nie zdołasz tego przetrzymać? - zapytała Ayinde. - To dziecko!

Spojrzała na swojego ukochanego synka. Wyglądał tak słodko w niebieskiej piżamce. Dotknęła jego usteczek i pocałowała w policzek.

- Jest taki śliczny.

- Jak długo on będzie spał z nami? - zapytał Richard.

- Nie wiem - odparła Ayinde. „Zawsze” - pomyślała, przytulając Juliana ramieniem i gładząc go za uchem. Na szczęście w kwestii spania z dzieckiem zgadzała się z Priscillą Prewitt. *Przez tysiące lat było to na porządku dziennym - pisała. I gdy teraz się nad tym zastanowić, wciąż jest to najrozsądniejsze rozwiązanie. Gdzie dziecko będzie czuło się najbezpieczniej? Co jest najwygodniejsze dla mam karmiących piersią?* Ayinde szybko spostrzegła, że w świecie Priscilli Prewitt wszystkie mamy karmią piersią. *Odżywki były dopuszczalne tylko w sytuacjach awaryjnych i nie rozumiem przez to twojego zmęczenia, zapracowania lub chęci odpoczynku; myślę o sytuacjach, gdy jesteś w szpitalu albo gdy ktoś bliski umiera.*

Richard westchnął.

- Może kupimy większe łóżko - zaproponowała Ayinde.

- To było robione na zamówienie - odparł Richard. Nie zdawało się jej. W jego głosie słychać było zniecierpliwienie. - Posłuchaj, Ayinde, dzieci śpią w swoich łóżeczkach. Właśnie tak robią! Ty i ja też spaliśmy w łóżeczkach i wyszliśmy na ludzi.

- Tak, spaliśmy w swoich łóżeczkach - szepnęła w odpowiedzi. - Moja matka piła, odchudzała się i wdychała Bóg raczy wiedzieć co, kiedy była ze mną w dąży, a twoja... - Ayinde ugryzła się w język. Wiedziała, że przesadziła. Richard bardzo rzadko mówił o swojej matce, która miała szesnaście lat, gdy go urodziła, bez męża ani stałego chłopaka w zasięgu wzroku, i jeden Bóg wiedział, co robiła, kiedy była w ciąży. Legenda rodzinna głosiła, że Doris Towne nie wiedziała nawet, iż jest w ciąży, a bóle porodowe wzięła za niestrawność i urodziła Richarda na szpitalnym parkingu, na tylnym siedzeniu samochodu swojej koleżanki. Ayinde odchrząknęła i wzięła męża za rękę. - Teraz jest inaczej. To wszystko. Jest dużo badań na temat korzyści płynących ze wspólnego spania.

- Wspólnego spania? - zakpił Richard. - Boję się przekręcić na bok, żeby nie przynieść dziecka. Boję się odchrząknąć, żeby go nie obudzić...

- Przykro mi - powiedziała Ayinde. Richard przyciągnął jej biodra do siebie i przycisnął pośladki do swego przyrodzenia.

- Chodź tutaj - szepnął. Palcami musnął piersi.

- Auu!

- Przepraszam - powiedział, zabierając gwałtownie ręce i odsuwając się.

- Och, Richard, to boli! - Do oczu napłynęły jej łzy.

Ayinde była przekonana do karmienia piersią, mimo iż żony innych graczy szeptały

jej na stronie, że to psuje figurę.

Sylwetka nie miała dla niej znaczenia, żałowała jednak, że nikt nie uświadomił jej, jakie to jest bolesne. Nikt nie powiedział, że piersi staną się nabrzmiałe i obolałe. Brodawki już były wymęczone, a przecież Julian nie miał jeszcze zębów. Co będzie, gdy mu wyrosną? Amerykańskie Stowarzyszenie Lekarzy Pediatrów zalecało karmienie piersią przez pierwszy rok, a Priscilla Prewitt, co za zaskoczenie, twierdziła, że *lepiej dla Kluseczki i dla mamy*, by karmienie piersią zakończyć dopiero, *jeśli to możliwe, tuż przed pójściem dziecka do żłobka!*

- Przepraszam - powiedział znowu, a w jego głosie słychać było skruchę i zniecierpliwienie. Po chwili ciszy odwrócił się i westchnął. - Czy to musi być takie trudne?

- Co? Karmienie piersią?

- Nie - odparł ze smutkiem. - Wszystko. - Zaszleściło prześcieradło, chłodne powietrze owiało jej stopy. Richard wstał z łóżka. - Będę spał w pokoju.

Schylił się i pocałował żonę w czoło. Suchy, niewinny pocałunek, jaki daje szesnastoletniej bratanicy starszy wujek. - Dobranoc. - Nachylił się nad Julianem.

- Nie budź go! - szepnęła ostro Ayinde, znacznie ostrzej, niż zamierzała. „Proszę” - pomyślała, tuląc jeszcze bliżej synka. „Proszę, wyjdź i pozwól nam spać”.

- Nie bój się. - Poglądził synka po policzku i bezgłośnie zamknął za sobą drzwi. Ayinde zaciągnęła kołdrę pod brodę i wtuliła twarz w loczki dziecka.

TLR

SIERPIEŃ

BECKY

-Posłuchaj! - wołała Becky do telefonu, starając się przekrzyczeć płacz Avy. - Jaki to twoim zdaniem rodzaj płaczu?

-Jaki rodzaj płaczu? - powtórzył Andrew. Becky podsunęła słuchawkę tak, że mógł usłyszeć szlochanie. Była piąta nad ranem, Ava miała cztery tygodnie. W środku nocy Andrew został wezwany do szpitala, by zająć się obrażeniami wewnętrznymi sześciorga nastolatków, którzy postanowili się zabawić. Upili się brandy, wsiedli do samochodu i pędzili autostradą. Kierowca stracił panowanie nad kierownicą i uderzył w budkę telefoniczną.

Becky przycisnęła słuchawkę brodą do ramienia i drugą ręką kartkowała poradnik dla rodziców noworodków autorstwa T. Berry Brazelton, który stał się podręcznym, acz niedokładnym przewodnikiem, służącym do rozszyfrowywania Avy.

- Czy to przenikliwy, narastający płacz, czy raczej głęboki i rytmiczny?

- Daj mi przez chwilę posłuchać.

Becky przewróciła oczami, kołysząc dziecko w ramionach. Przez ostatnie dwa dni, starając się poprawić nastrój Avy i ułatwić jej sen, dawała jej ziołowe lekarstwo na kolkę - Gripe Water, ekstrakt kminu i kopru ogrodowego. Choć wiele nie działo, nadało niemowlęciu miły zapach bochenka świeżego żytniego chleba.

- Poddaję się - powiedział Andrew.

- I co teraz?

- Ma mokro?

Becky powąchała pieluchę Avy. Jeszcze kilka tygodni temu nie wyobrażała sobie, że kiedykolwiek wykona taki gest.

Dziecko wyglądało nie najlepiej. Różowy śpiworek w pszczołki i kwiatki zwinął się aż pod paszki, dziewczynka miała na twarzy białe, ropne krostki - trądzik niemowlęcy. Becky z trudem powstrzymywała się przed wyciśnięciem wyprysków. Po czterech tygodniach Ava wciąż była łysa, i mimo że Becky nigdy by o tym nikomu nie powiedziała, uważała, że jej córeczka wygląda jak najmniejszy na świecie wścikły starzec. Zwłaszcza gdy płakała.

- Nie. Ma sucho.

- Jest głodna?

- Karmiłam ją pół godziny temu.

- Aha - powiedział Andrew. „Istotnie, aha” - pomyślała Becky. Karmienie Avy okazało się tysiąc razy bardziej skomplikowane, niż się spodziewała. Pokarm łatwo wypływał, co oznaczało, że gdy tylko dziecko znalazło się przy piersi, wylewał się jak woda z odkręconego kranu. W związku z tym, żeby dziecko nie zakrztusiło się w czasie posiłku, musiała nosić specjalne silikonowe nakładki na brodawki - małe, przezroczyste sombrero, które miały fatalny zwyczaj wypadania na podłogę dokładnie w chwili, gdy przystawiała Avę do piersi.

- Spróbuj położyć ją w leżaczku - poradził Andrew.

- Próbowałam - odparła Becky. - Nie pomaga.

- To może zaśpiewaj jej.

Becky zaczerpnęła powietrza i spojrzała na córeczkę.

- *Ach śpij, kochanie* - zaśpiewała - *jeśli gwiazdkę z nieba chcesz...*

Ava płakała jeszcze głośniej.

- *Był sobie król?* - zaproponowała Becky. Dziewczynka zamilkła z szeroko otwartymi ustami. Becky wiedziała, co nastąpi za chwilę - Nuklearny Krzyk Śmierci Avy Rae. Sprawa patentu w toku.

- Przykro mi, kochanie - powiedział Andrew prosto do jej ucha, gdy Ava wydała z siebie przeraźliwy szloch. - Przepraszam, że nie mogę być z tobą i ci pomóc.

Becky walczyła z płaczącym dzieckiem i telefonem.

- Dlaczego Bóg mnie nienawidzi? - spytała. Przytuliła Avę do piersi i kołysała ją w przód i w tył. Dziewczynka płakała już od trzydziestu minut i nic nie wskazywało na to, by miała przestać. „Nie możecie mi pomóc?” - zdawała się pytać za każdym szlochem. „Niech mi ktoś pomoże, proszę”. Becky zaczynała popadać w rozpacz. Żałowała, że matka już wyjechała. Edith Rothstein jakimś cudem przetrwała okres niemowlęcy dwójki dzieci. Może miała tajemny sposób, magiczną kołysankę, którą ułożyła w czasie wolnym od wy- skubywania niewidzialnych drobinek z kanapy. Niestety, Edith musiała wrócić na Florydę, do pracy. Spakowała się i wyjechała po tygodniu, podczas którego nosiła, przewijała i kąpała dziecko, a także prała i składała ma- lutkie ubranka, wycierała z kurzu przedmioty w kuchni Becky, a nawet cztery żar- odporne naczynia, schowane w kącie szafki. Było za wcześnie, by do niej zadzwonić. Zbyt wcześnie, żeby zadzwonić do koleżanek, których dzieci, w przeciwieństwie do Avy, pewnie spały. - Może wyjdę z nią na dwór - powiedziała Becky. - Nie wiem, ale może zmiana otoczenia zadziała.

- Weź telefon - przypomniał Andrew.

- Mam - odparła Becky.

Pożegnali się. Owinęła wciąż płaczącą Avę w kocyk, na ramiona zarzuciła szlafrok Andrew, włożyła pierwsze z brzegu buty (ponieważ lewy uciskał, a prawy był za du-

ży, domyśliła się, że jeden to jej but z czasów ciąży, a drugi to tenisówka męża), zwinęła włosy w kok i zeszła po schodkach.

-*Noc jest tuż, noc jest tuż* - śpiewała, otwierając frontowe drzwi. Kobieta, ta sama, którą widziała w parku i w kawiarni, z tłustymi blond włosami i w długim, niebieskim płaszczu, siedziała na schodkach domu po drugiej stronie ulicy, koło latarni, i wpatrywała się w drzwi Becky. - O! - powiedziała nieco wystraszona Becky.

Kobieta zerwała się i szybkim krokiem ruszyła na wschód, w stronę parku. Oddalała się z włosami powiewającymi na wietrze i dużą różową torbą przewieszoną przez ramię.

- Hej! - zawołała Becky. Przecięła chodnik, przecisnęła się między dwoma dużymi samochodami, i po chwili była już na ulicy. Ciekawość przewyciężyła strach. Kobieta nie wyglądała groźnie. Becky pomyślała, że brak snu spowodował, iż straciła instynkt samozachowawczy. - Hej, proszę zaczekać! - krzyknęła. Kobieta w niebieskim płaszczu nie zwolniła kroku. Zmierzała w stronę ulicy Osiemnastej ze spuszczoną głową, szła szybko. Becky postanowiła ją dogonić. - Proszę zaczekać! - zawołała. Mama mówiła, że „proszę” jest magicznym słowem.

Kobieta zatrzymała się. Stała tyłem do Becky, z głową schowaną w ramionach, jakby spodziewała się ciosu.

- Czego pani chce?! - zawołała Becky, przyciskając Awę do piersi. Wolną rękę włożyła do kieszeni szlafroka i wyczuła uspokajający ciężar telefonu.

Kobieta odwróciła się do niej twarzą. Becky stwierdziła, że jest piękna i... płacze. Ubrana była w długi niebieski płaszcz, ten sam, co wcześniej, brudne różowe buty i niebieskie dzinsy. Miała długie włosy, jasne na końcach, ciemne u nasady. Była chyba w wieku Becky - jakoś tuż po trzydziestce. „Tragedia w Hollywood” - pomyślała Becky i ruszyła w jej stronę, nie zastanawiając się, dlaczego właśnie taka myśl zaświtała jej w głowie.

- Przepraszam - powiedziała nieszczęsna kobieta. - Bardzo przepraszam.

Becky poprawiła sobie na ramieniu Awę, która, o dziwo, przestała płakać i z zainteresowaniem obserwowała sytuację.

- Co pani robiła przed moim domem? - zapytała Becky. Przyszło jej na myśl, że może ta kobieta jest bezdomna. To miałoby sens. Bezdomni to codzienny obrazek w Filadelfii. Na przykład taka jedna, która upatrzyła sobie śmietnik na tyłach Mas. Becky i Sarah codziennie zostawiały jej lunch przy tylnych drzwiach. Zaczęła zastanawiać się, co ma w kuchni. Jabłka, resztkę chleba, sałatkę z pomidorów... - Jesteś głodna? - zapytała.

- Czy jestem głodna? - powtórzyła kobieta. Zdawała się rozważać to pytanie, patrząc na swoje zniszczone buty. - Nie, dziękuję - odparła uprzejmie. - Wszystko w porządku.

- Może w takim razie napiłaby się pani herbaty? - zaproponowała Becky. „To bardzo dziwne” - pomyślała. „Ja chyba śnię. Dziecko w końcu przestało płakać i zasnęłam. Tymczasem kobieta zaczęła się zbliżać. Szła powoli i ostrożnie, gotowa do ucieczki, gdyby Becky wyciągnęła z kieszeni szlafroka telefon, by zadzwonić na policję. Becky spojrzała na wielką różową torbę przewieszoną przez ramię nieznanym. W końcu zorientowała się, co to jest. Torba od wózka dziecięcego. Kobieta spojrzała na Becky.

- Usłyszałam płacz dziecka - powiedziała.

Becky przyjrzała się jej. Miała szeroko osadzone oczy, pełne, różowe usta, wystające kości policzkowe i twarz w kształcie serca, z ostrym podbródkiem, który nie do końca pasował do niej, aie na ekranie...

- Hej - powiedziała. - Hej, znam cię! Grałaś w tym filmie o cheerleaderkach.

Kobieta potrząsnęła głową.

- Nie. Przykro mi. To była Kirsten Dunst.

- Ale gdzieś cię widziałam.

Kobieta wyciągnęła rękę, jakby chciała dotknąć gołej stopy Avy.

- Jest taka śliczna - powiedziała. - Jest pani bardzo szczęśliwa.

-Szczęśliwa. Jasne, kiedy śpi... - Becky nie dokończyła. Lia Frederick. Tak się nazywała - Lia Frederick. A po mężu Lia Lane. Becky by tego nie wiedziała, gdyby nie była wierną czytelniczką „Entertainment Weekly” i „People”, gdyby nie oglądała wieczornych programów rozrywkowych, których Lia Frederick była częstym gościem. Lia Frederick zagrała kilka drugoplanowych ról w wielkich produkcjach, a także naukowca, specjalistkę od broni jądrowej, mającą rzadką chorobę krwi i prześladowaną przez byłego męża w filmie, który Becky widziała już dwa razy w ciągu ostatnich czterech tygodni, spędzonych w czterech ścianach z wrzeszczącym dzieckiem.

Lia sięgnęła do torby i wyciągnęła tetrową pieluszkę, fantazyjną, z biało-niebieskim nadrukiem, pasującą do śliniaczka, który Becky znalazła w swojej torbie.

- Proszę - powiedziała, próbując wetknąć pieluszkę w dłoń Becky. - To dla ciebie.

„A więc to stąd te prezenty dla dziecka” - pomyślała Becky. To ona włożyła łyżeczkę do skrzynki pocztowej, grzechotkę do torby i zostawiła smoczek w Mas.

- Proszę - powtórzyła Lia, wkładając podarunek do kieszeni szlafroka Becky. - Proszę ją wziąć. Nie jest mi już potrzebna.

Becky szukała w pamięci. „Tragedia w Hollywood” - pomyślała znowu i już wiedziała. Zazwyczaj radosne twarze miały nagle ponury wyraz. Wyrazy *współczucia dla*

Sama i Lii Lane z powodu śmierci dziesięcioletniego synka.

- O Boże!

- Proszę - powiedziała jeszcze raz Lia z narastającą desperacją i smutkiem i rzuciła pieluszką w Becky. - Przepraszam. Przepraszam, że cię wystraszyłam. Przepraszam, że siedziałam przed domem. Nie mogłam spać, więc wyszłam na spacer, chciałam tylko chwilę odpocząć, gdy usłyszałam płacz dziecka. Proszę. Proszę to wziąć. Proszę.

Becky włożyła pieluszkę do kieszeni i wzięła Lię pod ramię.

- Wejźmy do domu - powiedziała.

Dziesięć minut później Lia siedziała przy stole, lecz wciąż sprawiała wrażenie, jakby zaraz miała zerwać się do ucieczki. Becky zajęła bujany fotel w rogu kuchni. Ava, jak się okazało, zgłodniała i jadła z zadowoleniem, jedną piastką uderzając w pierś Becky, co sprawiało, iż wyglądała jak wściekły starzec, próbujący odzyskać drobne wrzucione do zepsutej maszyny ze słodyczami. „Batonik Twix! Batonik Twix! Cholera jasna, chciałam Twiksa!” Becky uśmiechnęła się, pottrzymała dziecko, by mu się odbiło, i położyła w stojącym na stole koszu.

- Jajecznicca. Zrobię jajecznicę - oświadczyła, nim Lia zdążyła coś powiedzieć.

Wbiła cztery jajka do miseczki i sięgnęła po sól morską, młynek do pieprzu i trzepaczkę.

- Kiedy ja albo mój brat chorowaliśmy, mama robiła nam jajecznicę. Nie mam pojęcia dlaczego, ale...

- Tylko że ja nie jestem chora - powiedziała Lia, blado się uśmiechając. Powoli głęboko odetchnęła. - Mieszkałam tu kiedyś. To znaczy nie tutaj, w centrum, ale w Filadelfii. W Great Northeast.

Becky położyła na patelni kawałek masła i podkręciła gaz.

- Herbaty? - zaproponowała. Lia skinęła głową, więc Becky postawiła czajnik z wodą na kuchence i podpaliła gaz. - Wróciłaś do domu po... - Zamilkła.

- Po - odparła Lia. Spojrzała ze smutkiem na zbyt dużą torbę. - Wsiadłam do samolotu tylko z tą torbą. Nawet nie myślałam. Nosłam ze sobą wszędzie wszystkie te dziecinne rzeczy. W kwietniu zobaczyłam ciebie.

- Widać było, że jestem w ciąży? - wypaliła Becky i potrząsnęła głową. Teraz nie było już wątpliwości, a ona wciąż bawiła się w grę: ciężarna czy tylko gruba?

-Tak - powiedziała Lia. - I pomyślałam sobie... och, nie wiem. Nie wiem, co wtedy myślałam. Chyba oszalałam.

-Rozumiem - odparła Becky. Wlała jajka na patelnię i zmniejszyła gaz. - To znaczy mogę sobie wyobrazić... no, tak naprawdę to nie mogę. To najgorsza rzecz, jaka może

się zdarzyć. - Poruszyła patelnię, wymieszała jajka i włożyła dwie kromki do tosterka.

- Obserwowałam cię przez jakiś czas - wyznała Lia. - Ciebie i twoje dwie przyjaciółki, ale nie wiem, jak się nazywają. - Uśmiechnęła się. - Wiesz, nawet nie wiedziałam, że twoja córeczka ma na imię Ava. Nigdy nie mówisz do niej po imieniu. Ma tysiące imion. Kuciuputek, Buczek, Księżniczka Kupciulińska...

- Chyba masz rację - powiedziała Becky. - W każdym razie blondynka ma na imię Kelly, a jej synek - Oliver. Zapisuje wszystko w palmtopie, jej ulubioną rozrywką jest zwracanie rzeczy do sklepów, ale jest miła. A ta czarna to Ayinde, ma synka Juliana. Jej mąż gra w Sixersach. Mieszkają w rezydencji w Gładwyne. Nie sądzę, że bym wcześniej miała szansę je poznać. - Wzruszyła ramionami. - Dzięki dzieciom nawiązuje się dziwne znajomości.

Ava zaczęła kręcić się w koszyku, unosząc w górę jedną zaciśniętą piąstkę.

- Demonstracja władzy dziecka - powiedziała Becky.

- Caleb też to robił - odparła Lia. - Tak miał na imię mój synek, Caleb. - Chciała coś jeszcze powiedzieć, ale rozmyśliła się. Zamknęła usta i spojrzała na Ave.

- Gdzie jest twój mąż? - zapytała Becky, starając się przypomnieć jego imię. - Sam, tak?

Lia kiwnęła głową.

- W Los Angeles. Zostawiłam go. Chciałam mu powiedzieć... to nie jego wina, ale... - Potrząsnęła głową. - Po prostu nie mogłam tam zostać - dodała łagodnie.

Becky zakręciła gaz i sięgnęła po talerze i serwetki. Ava młóciła rączkami powietrze.

- Możesz ją wziąć? - zapytała Becky.

- Och - westchnęła Lia. - Chyba nie...

- Nie gryzie - powiedziała Becky. - A jeśli nawet, to nic by się nie stało, bo wciąż nie ma zębów.

Lia uśmiechnęła się. Zrzuciła płaszcz, schyliła się i wzięła Ave w ramiona. Trochę niezdarnie przytuliła dziecko do siebie i zaczęła kołysać się w przód i w tył, śpiewając wysokim, jedwabistym i słodkim głosem:

Z popielnika na Wojtusia Iskiereczka mruga:

Chodź, opowiem ci bajeczkę,

Bajka będzie długa.

Była sobie raz królowna,

Pokochała grajka,

Król wyprawił im wesele

I skończona bajka.

Becky wstrzymała oddech. Ava wyciągnęła rączkę i wplotła malutkie paluszki we włosy Lii.

KELLY

-Jak tam wizyta u lekarza? - zapytał Steve, kładąc prawą dłoń na jej kolanie.

Kelly odetchnęła głęboko, próbując się obudzić. Wiedziała, że to pytanie kiedyś padnie, a z jego brzmienia wyczytała, że nie ma ono nic wspólnego z troską Steve'a o jej zdrowie. „Jak tam wizyta u lekarza?” - w wolnym tłumaczeniu oznaczało: „Możemy się kochać?”.

- W porządku - odparła wolno. Wiedziała, co zaraz nastąpi. Wiedziała i wcale tego nie chciała.

Prawda była taka, że już mogła.

-Wszystko jest dobrze - powiedział doktor Mendlow, wciąż dotykając tego, co kiedyś wydawało się jej intymną częścią ciała. Badanie odbyło się w obecności lekarzy asystentów, studentów medycyny i, mogłaby przysiąc, wycieczki licealistów, choć Steve twierdził, że ta część była halucynacją. - Jak będzie już pani gotowa, może pani odbywać stosunki. - Kelly śmiała się dłużej niż pół minuty, ale wiedziała, że lekarz jest zajęty, a ona musi jak najszybciej wrócić do domu, by nakarmić Olivera. A do tego nie potrafiła znaleźć uprzejmego sposobu, jak powiedzieć, że nigdy w życiu nie miała mniejszej ochoty na seks niż teraz i że widok ubranego w szorty, przyrośniętego do kanapy męża, który wciąż powtarza, że robi sobie upragnioną przerwę, nim zabierze się do poszukiwania pracy, nie wpływał dobrze na jej libido.

Była jeszcze sprawa kanapy. Pewnego popołudnia wróciła ze spaceru z Lemonem i Oliverem i ujrzała na środku pustego jeszcze chwilę wcześniej salonu trzymiejscową kanapę w pomarańczowo-brązową kratę. Zamknęła oczy z nadzieją, że gdy je otworzy, najbrzydszy w historii mebel zniknie. Jednak nie. Kanapa wciąż stała.

- Steve.

Jej mąż, w tych samych bokserkach, w których spał, wszedł do pokoju.

- Co to jest?

- O - powiedział, patrząc na kanapę tak, jakby i on widział ją po raz pierwszy. - Co-novanowie chcieli ją wyrzucić, więc powiedziałem, że weźmiemy.

-Ale... - Z trudem znalazła właściwe słowa. - Ale ona jest ohydna!

- To kanapa - stwierdził. - Służy do siedzenia. - Opadł wyzywająco na mebel.

Kelly skrzywiła się, czując unoszący się w powietrzu zapach pleśni i starych ludzi. Sofa śmierdziała, jakby ktoś na niej umarł. Kelly przystanąła. Mebel wyglądał jak... Boże, z trudem przełknęła ślinę. Przyjrzała się dokładniej i stwierdziła, że gdzieś go już widziała - w domu, gdzie dorastała.

- Steve, proszę. Jest obrzydliwa.

- Mnie się podoba - powiedział. I już. Kanapa została.

Doktor Mendlow spojrział na Kelly, przecierającą oczy mankietem różowej sukienki.

- Może wstąpi pani do mojego gabinetu? - zaproponował. W niebieskich spodniach i białym kitlu wyglądał jak zwykle chłopięco, ale zobaczyła wystający spod kołnierzyka krawat. Zastanawiała się, dokąd się wybiera i czy zabierze ze sobą żonę.

- Nie - odparła, wciąż pociągając nosem - nie, naprawdę. Wszystko w porządku. Jestem trochę wykończona. - To było oględnie powiedziane i spowodowało kolejny wybuch śmiechu. Karmiła Olivera o jedenastej w nocy, o wpół do drugiej, o trzeciej nad ranem, o piątej i dosłownie była zmuszona wyrwać mu pierś z buzi, by zdążyć na wizytę o ósmej trzydzieści.

- Zapraszam do gabinetu - powiedział, myjąc ręce.

Kelly wstała, wciągnęła majtki, spodnie od dresu i T-shirt (dopiero teraz zauważyła plamy na obu rękawkach - zaschnięte mleko, które ułało się z buzi Olivera) i usadowiła się na skórzanym krześle w gabinecie doktora Mendlowa.

- Proszę posłuchać - powiedział pięć minut później, siadając za biurkiem i wyrывая Kelly z lekkiej drzemki, w którą zapadła. - Cokolwiek chce pani powiedzieć mężowi, poprę to.

Opadła jej szczęka.

- Jeśli chce pani powiedzieć, że zaleciłem, iż przez pół roku nic, poza trzymaniem się za ręce, proszę bardzo.

-Ja... naprawdę?

- Karmi pani piersią?

Kelly skinęła głową.

- W takim razie dużo pani nie śpi. I przyzwyczajają się pani do ogromnych zmian w życiu. Seks pewnie nie znajduje się teraz wysoko na liście.

-Mój mąż... - powiedziała Kelly i urwała. Prawda była taka, że te sześć tygodni od urodzenia Olivera to coś jak wakacje od seksu.

- Nic do pochwy - powiedział wcześniej doktor Mendlow. - Żadnych stosunków, tamponów, irygacji - poinformował ich. - Możecie uprawiać seks oralny - dodał. Kelly myślała, że Steve przeskoczy przez szpitalne łóżko, by go objąć, ale do czasu. - Oznacza to, że możecie sobie siedzieć i rozmawiać o seksie, którego nie uprawiacie. - Steve'owi zrzędła mina. - Proszę przyjść za sześć tygodni i zobaczymy, jak będzie. - Potem lekarz poklepał lekko Steve'a po ramieniu kartą Olivera i poprowadził do drzwi.

Ale teraz wakacje się skończyły i ręka Steve'a wędrowała w górę po jej udzie.

- Możemy? - zapytał. Kelly rozpatrzyła wszystkie możliwości. Nie było ich zbyt

wiele. Mogła powiedzieć „nie” i zwyczajnie odłożyć w czasie nieuniknione albo powiedzieć „tak”, zacisnąć zęby i liczyć na szybkie zakończenie.

- Dziecko śpi? - spytała. Steve spojrział w stronę, gdzie Oliver leżał w swoim składanym łóżeczku (już podczas pierwszej nocy spędzonej w domu Kelly szybko doszła do wniosku, że piękny, cudownie urządzonej malutki pokój dziecięcy pozostanie niewykorzystany do czasu, aż synek przestanie budzić się trzy czy cztery razy w nocy). Steve przytaknął, cmoknął ustami i zabrał się do roboty.

Zaczął od całowania szyi, skubiąc delikatnie. Ummm. Zamknęła oczy i starała się powstrzymać ziewnięcie, gdy przywarł do niej. Całował jej obojczyki... podciągał koszulę nocną... potrząsał za ramiona.

- Co? Jak? - zamrugła oczami.

-Zasnęłaś?

- Nie! - odparła. Zasnęła? Chyba tak.

Kelly uszczypnęła się mocno w udo i przyrzekła sobie, że postara się nie zasnąć podczas stosunku. Przynajmniej tyle była winna mężowi.

-Na czym skończyliśmy? - zapytała. Pocałowała go w ucho i skubnęła szyję. Jęknął i objął jej piersi, gładząc kciukami brodawki.

- Au! - syknęła.

- Co się stało?

Kelly pomyślała, że znowu zasnęła, ale to chyba niemożliwe.

Steve podniósł ręce do jej twarzy i potrząsał nimi z takim obrzydzeniem, iż spodziewała się, że ujrzy krew spływającą mu po palcach. Zamiast krwi zobaczyła kilka niewinnych białych kropelek. Mleko.

- Kochanie, to nic takiego.

Potrząsał głową, wciąż blady i zdekoncentrowany, i powrócił do działania. Zdjął jej koszulę. Pozbawił wielkich, babcynych majtek z plamami w kolorze wyblakłego ketchupu w kroku (miała nadzieję, że nie zauważy w migającym niebieskim świetle monitora). W ruch poszedł KY-żel, który subtelnie umieścił na nocnym stoliku, gdy skończyli kolację. Założył prezerwatywę. *Prądkowana dla przyjemności* - głosił napis na pudełku. Ha!

-Au!

- Przepraszam - wysapał. - Au! - Co, u diabła, działo się tam na dole? Czy lekarz z dwunastoletnim stażem, który zszywał jej krocze, przez przypadek znów zrobił z niej dziewicę? Kelly zamknęła oczy i starała się odprężyć.

- O Boże! - dyszał jej do ucha. - O Boże, Kelly, tak mi z tobą dobrze.

- Mhmm - mruknęła i pomyślała, że jej wcale nie jest dobrze. Brzuch wciąż był obwisły i sflaczały, w pasie miała jakby niedopompowaną dętkę, a skóra wyglądała

tak, jakby ktoś przejechał po niej grabiami zanurzonymi w czerwonej farbie. Wiedziała, że rozstępy zbledną, ale na razie nie mogła na nie patrzeć. Jednak Steve'owi najwidoczniej to nie przeszkadzało.

- Na co masz ochotę? - wysapał i złapał ją za kostkę, ciągnąc prawą nogę w kierunku swojego ramienia. Kelly krzyknęła z bólu i odchyliła do tyłu głowę, mając nadzieję, że weźmie to za namiętność. - Co mam zrobić?

Zamiast sprośnej odpowiedzi, jakiejś wersji „Wejź we mnie głębiej”, która była stałym refrenem w ciąży, jego pytanie odbiło się echem w głowie Kelly i usłyszała fragment książeczki, którą czytała Oliverowi przed snem: *Pan Brown umie ryczeć, a ty?*

-Kelly.

Ach, jakie piękne dźwięki wydaje pan Brown. Może wydać taki ryk jak byk...

- Muu! - powiedziała.

Steve zastygł na chwilę i wpatrywał się w nią.

-Co?

- To znaczy, mmm - mruknęła. Tym razem głośniejsz. „Cholera, doktor Seuss zniszczy moje życie intymne”.

- Kelly.

Bum, bum, bum, pan Brown jest cudowny, po prostu... ot!

- Kelly.

*Bum, bum, bum, pan Brown wznieca grzmot*³.*

- O Boże! - powiedziała. Ogólnie, ale do zaakceptowania. Przynajmniej się nie rymuje.

Ścisnęła ramiona Steve'a, gdy jego oddech przyspieszył. „Dziękuję, Boże” - pomyślała, gdy jęknął, a Oliver zaczął płakać.

- Och! - westchnął jej mąż.

- Uuu! - płakało dziecko.

Krowa robi muu, owca robi bee - toczyło się w jej głowie. Jej myśli najwyraźniej porzuciły doktora Seussa i przeniosły się do tekturowych książeczek Sandry Boynton. „Już nigdy nie zasnę” - pomyślała Kelly, wydostając się spod męża i biorąc dziecko w ramiona.

AYINDE

Ayinde wygładziła zakiet w miejscu, gdzie kiedyś była jej talia, i starała się nie kręcić

³ *Przełożyła Ludmiła Majjańska.

nerwowo, kiedy dyrektor działu informacji oglądał taśmę.

-Niezła rzecz, niezła rzecz - mruzczał, podczas gdy na ekranie Ayinde opowiadała o pożarach domów i wypadkach samochodowych, sprawach związanych z obligacjami i zyskami. W tym samym czasie siedząca obok Ayinde zorientowała się, czując wilgoć, że przed wyjściem zapomniała

owłóżeniu do stanika wkładek laktacyjnych. Paul Davis, dyrektor działu informacji w WCAU, nie zwracał na nią większej uwagi. Kilka miesięcy temu, gdy Richard został zakupiony do drużyny, agent Ayinde wysłał nagrania do stacji - tej, a także wszystkich innych w mieście, włącznie z drugim publicznym nadawcą, mieszczącym się w Roxborough, okolicy, do której Richard nigdy by jej samej nie puścił. Ale to było kilka miesięcy temu i odczuwała umiarkowane zainteresowanie swoją osobą, aż do poprzedniego wieczoru, kiedy to sam Davis zadzwonił i zapytał, czy nie miałaby chwili, żeby wpaść do stacji następnego dnia. Ayinde wiedziała, że zapowiada się szalony dzień - kiedy skończy rozmowę, będzie musiała wrócić do domu, wziąć dziecko i jechać aż do Nowego Jorku, by spotkać się z matką. Jeśli jednak zaproponują jej pracę, wysiłek się opłaci.

Paul Davis - siwy, przystojny pięćdziesięciolatek z hiszpańską bródką, w tweedowym garniturze - wyłączył telewizor i spojrzał na leżący na stole życiorys.

- Yale, tak? I dyplom na Columbia?

- Proszę nie mieć mi tego za złe - powiedziała Ayinde i obuje się zaśmiali.

- Dziesięć miesięcy w Wirginii Zachodniej...

- O jakieś osiem za długo - odparła Ayinde. Znów śmiech. Odprężyła się nieco, zaciągając żakiet na piersiach.

- Sześć lat w Fort Worth.

- Zaczynałam od przygotowywania zleconych materiałów i reportaży i, jak sam pan zobaczy, awansowałam na weekendowego wydawcę, potem na gospodarza wiadomości o piątej, które odnotowały dwunastoprocentowy wzrost oglądalności w ciągu pierwszego roku, gdy je prowadziłam.

- Bardzo ładnie, bardzo ładnie - powiedział, zapisując coś na kartce z jej życiorysem. - Proszę posłuchać, Ayinde. Będę z panią szczerzy.

Uśmiechnęła się do niego. Za pierwszym razem udało mu się bezbłędnie wypowiedzieć jej imię. To dobry znak.

- Ma pani odpowiednie kwalifikacje, by odnieść sukces na tym rynku. Ma pani prewencję - cóż, tego chyba nie muszę mówić.

Przytaknęła, serce biło jej coraz szybciej.

- W Teksasie kilkakrotnie poddawali moją fryzurę ocenie widzów...

-Nie chodzi o pani włosy - powiedział Paul Davis. - Chodzi o pani męża.

- O mojego męża - powtórzyła Ayinde.

- Jest pani inteligentna, ciepła, bystra, ale nie przemądrzała. - Paul Davis znów spojrział na ekran przedstawiający zatrzymaną w stopklatce twarz Ayinde z rozchyłonymi ustami i przymkniętymi oczami. - Jest pani pociągająca, ale nie w oczywisty sposób. Obawiam się, że na tym rynku nie będzie pani mogła pracować jako prezenterka. Widzowie nie będą skupiać się na czytanych przez panią wiadomościach.

- Nie będą?

Davis potrząsnął głową.

- Będą skupiać się na obserwowaniu, jaką kobietę poślubił Richard Towne. Ważny będzie dla nich pani ubiór, jaką nosi pani obrączkę i jak się czesze. Nie sądzę, by zaakceptowali panią w roli osoby mówiącej im o protestach czy wypadkach samochodowych.

Ayinde wyprostowała się.

- Uważam, że moje przygotowanie reporterskie mówi samo za siebie. Może pan zapytać kogoś z moich kolegów w Fort Worth. Poślubienie Richarda Towne'a nie zmniejszyło o pięćdziesiąt punktów mojego IQ. Jestem profesjonalistką, angażuję się w to, co robię, ciężko pracuję, potrafię być częścią zespołu i nie oczekuję specjalnego traktowania.

Paul Davis pokiwał głową. Na jego twarzy pojawił się wyraz współczucia.

- Jestem przekonany, że to wszystko prawda - powiedział. - I przykro mi z powodu pozycji, w jakiej ustawiło panią to małżeństwo. Nie sądzę jednak, by był w mieście dyrektor działu informacji lub prezes stacji, który powie pani coś innego. Pani status - pani sława odwracałyby uwagę widzów.

- Ale ja nie jestem sławna! To Richard jest gwiazdą!

Paul Davis nacisnął przycisk „eject” i oddał Ayinde kasetę.

- Przedstawiłem tylko nasze stanowisko - podsumował.

Piętnaście minut później Ayinde weszła na parking, czując się tak, jakby przeżyła tornado. „Korespondent specjalny” - pomyślała, otwierając samochód i rzucając na siedzenie pasażera kasetę, która odbiła się od karmelowej skóry i wylądowała na podłodze. Yale i Columbia, targanie na własnych barkach kamery przez dziesięć miesięcy w Wirginii Zachodniej, cztery lata pracy jako reporter i dwa jako prowadzącej wiadomości, a teraz chcą, by była, tu cytat: „specjalnym korespondentem”? By jeździła na mecze Sixersów i - jak to ujął ten wstrętny Paul Davis? - „wykorzystywała swoje wejścia, by pokazać widzom drużynę od kuchni”. Sylwetki graczy. Sylwetki trenerów. Sylwetki tancerki, na litość boską!

Zapięła nerwowo pas.

- Bzdury - szepnęła, ruszając w stronę domu, by zabrać Juliana, który smacznie spał w swoim wiklinowym łóżeczku, strzeżony przez gosposię.

- Dzwonił Richard - oznajmiła Clara. Ayinde westchnęła, załadowała dziecko oraz wszystkie potrzebne rzeczy do samochodu i zadzwoniła na komórkę męża. Rano Richard obserwował, jak się szykowała, i pomagał jej w wyborze pomiędzy szarym garniturem a śliwkowym. Pocałował ją i powiedział, że na jej widok padną trupem z wrażenia.

- Jak poszło? - zapytał wyczekująco.

- Nie najlepiej - odparła. Wjechała na autostradę Schuylkill. Pomyślała, że może na dobre jej to wyjdzie, gdy tymczasem Richard oburzał się i pytał, czy nie chciałaby zmienić agenta i czy jest coś, co mógłby dla niej zrobić. Może w ten sposób Bóg chciał jej powiedzieć, że powinna siedzieć w domu i spędzać ten czas z dzieckiem.

- Gdzie jest mój najdroższy chłopiec? - ćwierkała Lolo dwie godziny później, bardziej na użytek zgromadzonych fotografów, wizażystów i stylistów niż na cześć Juliana. Tego Ayinde była pewna.

- Tutaj - odpowiedziała w podobnym tonie Ayinde, stawiając fotelik samochodowy i przepełnioną torbę na stole zastawionym półmiskami z kanapkami i ciastami i odsuwając się, by matka mogła zobaczyć Juliana w dopuszczanym przez *Sukces dziecka* nosidełku. Sesja fotograficzna odbywała się w studiu Chelsea, długim, prostokątnym pomieszczeniu z betonową podłogą i zwisającymi z sufitu zwojami czarnego papieru, służącymi za tło. Było tam wydzielone miejsce na garderobę i do nakładania makijażu, a z przymocowanych na dużej wysokości głośników płynęła muzyka techno.

- To moja córka - powiedziała Lolo uroczyście. - Jest prezenterką.

- Już nie - odparła Ayinde, myśląc o minionym poranku. - Teraz jestem po prostu mamą. - Spojrzała na Juliana i stwierdziła, że te słowa nie brzmiały lepiej na głos niż w jej głowie, gdy szła na parking WCAU. Będzie musiała nad tym popracować. *Moja droga, teraz jesteś dumną posiadaczką najwspanialszego tytułu zawodowego, jaki istnieje!* - głosił *Sukces dziecka*.

Matka spojrzała na Ayinde.

- Znów zrucasz kilogramy? - zapytała.

- Coś w tym stylu - odparła Ayinde z postanowieniem, że nie da się sprowokować Lolo. Zgodziła się na tę sesję dla magazynu „More” - nazwali to „Pokolenia piękna” lub równie absurdalnie - by oddać przysługę Lolo i pomimo sprzeciwów męża.

- Nie chcę, by nasze dziecko było w magazynie - powiedział Richard i Ayinde z tym się zgodziła. Zazwyczaj była przeciwna sposobowi, w jaki media przekształcają żony i dzieci sportowców w zbędne dodatki, których jedynym zadaniem jest uśmiechanie się na trybunach. Jednak Lolo nalegała. Nawet więcej. Lolo błagała.

- Przecież wiesz, jak ciężko o jakąś pracę w moim wieku - powiedziała. - A jeśli dobrze wypadnę, Estee Lauder może rozważyć moją kandydaturę do swojej „Twarzy po pięćdziesiątce”. Z obliczeń Ayinde wynikało, że Lolo raczej kwalifikowała się do „Twarzy po sześćdziesiątce”, ale im mniej się o tym mówiło, tym lepiej. Odezwała się ta jej część, którą zazwyczaj udawało się zagłuszać i ukrywać. Część, która pragnęła aprobaty ze strony Lolo, a nawet uznania, i to właśnie była przyczyna, dla której zgodziła się przywieźć Juliana, by wykonać rodzinną fotografię na Manhattanie, mimo że racjonalna część mówiła: „Nie ma mowy”.

-Ale śliczny! - Trzy dziewczyny ubrane na czarno, w spodniach biodrówkach i butach z zadartymi czubkami, otoczyły Juliana wianuszkami. Ayinde przytuliła mocno synka, napawając się zapachem jego włosów i rozgrzanej skóry.

Ponad zachwyty dziewczyn rozległ się głos Lolo. Właśnie robiono jej makijaż. Miedziana cera i zielonożółte oczy wyglądały teraz wspaniale. Tak jak soczyste usta, wystające kości policzkowe i grubo posmarowane tuszem rzęsy, i czarne jak skrzydła ptaka brwi.

- Już są gotowe, by zająć się tobą, moja droga. - Spojrzała na dziecko, jakby nagle zmieniło się w wielki guz na piersiach jej córki. - Gdzie jest niania?

Ayinde znów odetchnęła głęboko i, nim odpowiedziała, pogładziła loczki synka.

- Mamo, nie mam niani.

- No to opiekunka.

- Też nie mam.

Lolo uniosła nieskazitelną w kształcie brew.

- Au pair? - zapytała bez większej nadziei w głosie.

Ayinde zmusiła się do uśmiechu.

- Tylko ja. - Pozwoliła asystentce zaprowadzić się do krzesła. Ułożyła sobie Juliana na kolanach, a mężczyzna o imieniu Corey nakładał jej na policzki róż, miedziane cienie na powieki i układał zwinięte warkoczki na karku. - Karmię piersią - powiedziała ze skruchą, gdy trzecia sukienka okazała się za ciasna w biuście. Z dziesięciu metrów usłyszała syczącą matkę. Lolo Mbezi - mistrzyni syków. Nadrabiała w ten sposób to, że nigdy się nie krzywiła.

-Zmarszczki, moja droga - mówiła za każdym razem, gdy przyłapała na tym Ayinde.

- Hmm - powiedział garderobiany, pomagając jej założyć suknię od Very Wang, skrzącą się kolumnę bladoszarego jedwabiu. Guziki się nie dopinały, ale powiedział, żeby się nie przejmowała. - Kilka szpilek, trochę taśmy klejącej i będzie dobrze. - Spojrzał ponad głowę Ayinde. - O Boże! - jęknął.

Ayinde odwróciła się i zobaczyła swoją matkę lśniąca w falbaniastym, plisowanym

szyfonie w kilkunastu odcieniach, od rumianego po purpuroworóżowy. Stanik bez ramiączek ukazywał ramiona i obojczyki, nieskazitelną skórę w kolorze mokki i długą, szczupłą szyję. Dolna część sukni miała kształć dzwonka i była szaleństwem poruszających się z wdziękiem warstw, gdy Lolo sunęła po pomieszczeniu, unosząc dół sukni. Ayinde poczuła się nagle bezbarwna jak gołąb.

- A oto nasza gwiazda!

Dziewczyna w szpiczastych butach podała Juliana matce. Dziecko było zupełnie nagie.

-To chyba nie jest najlepszy pomysł... - zaproponowała Ayinde.

- Och, nie martw się tak ciągle! - odparła Lolo, uśmiechając się promiennie do córki i wnuka. - Kochanie, wyglądasz ślicznie. Bardzo szykownie. Okręć się. - Ayinde wykonała polecenie. - Cudownie. Bobby, jesteś cudotwórcą... Szpilki świetnie dobrane do koloru suwaka.

Ayinde zamknęła oczy i modliła się o cierpliwość. W tym samym czasie fotograf je ustawiał - Lolo stała na czterdziestocentymetrowym podwyższeniu, a Ayinde siedziała poniżej z nagim dzieckiem na kolanach.

- Cudownie, Lolo, patrz na mnie! - zawołał fotograf. Ayinde z trudem powstrzymywała ziewanie. Julian zaczął się kręcić. - Unieś brodę, Ayinde... nie, nie tak wysoko... przechyl lekko głowę, nie, nie, w drugą stronę...

Ayinde spociała się w świetle lamp, mięśnie nóg i kręgosłupa lekko drżały z wysiłku, by trzymać się prosto. Julian wiercił się coraz bardziej i sięgał rączką do wiszących srebrnych kolczyków.

- Uważam, że powinniśmy zrobić sobie przerwę - powiedziała, gdy synkowi udało się złapać kolczyk i mocno pociągnąć. - Muszę go nakarmić.

- Jedna z dziewczyn może dać mu butelkę - stwierdziła Lolo, wygładzając sukienkę.

- Nie daję mu butelki, mamó. Karmię piersią... - „Tak jak każą mi to robić w książce, którą mi przysłałaś” - pomyślała Ayinde.

- W porządku, prawie skończyliśmy. Proszę, spójrz w tę stronę. Doskonale, Ayinde, spróbujmy jeszcze z dzieckiem po drugiej stronie.

Gdy Ayinde przekładała Juliana z prawego ramienia na lewe, obsusiał przód jej sukienki. Lolo syknęła przerażona. Ayinde zamknęła oczy na dźwięk tłumionego śmiechu dziewczyn w szpiczastych butach.

- Dziękuję bardzo, moje panie, to wszystko - powiedział fotograf.

- Nie rozumiem, dlaczego nie masz niani - powiedziała Lolo godzinę później, podczas lunchu w La Goulue.

Ayinde przebrała się w legginsy i bluzę Richarda. Lolo, jak zwykle nienaganna,

miała na sobie garnitur od Donny Karan. Jadła z apetytem, podczas gdy jedzenie na talerzu Ayinde pozostało nietknięte, bo Julian właśnie był przy piersi i obie ręce miała zajęte, ku nieuzasadnionej, ale widocznej irytacji matki.

- Chcę go wychowywać sama - wyjaśniła Ayinde.

-Cóż, to rzeczywiście wspaniale. Ale nie chciałabyś mieć własnego życia?

- To jest teraz moje życie.

-Cała ta droga edukacja... - mruzczała Lolo.

- Czego ode mnie chcesz? - wypaliła Ayinde.

Matka spojrzała na nią chłodno.

-Chcę tego, czego wszystkie matki pragną dla swoich dzieci, moja droga. Chcę, żebyś była szczęśliwa.

- Nie, tak naprawdę - powiedziała Ayinde. - Wiem, że czegoś chcesz, ale nie mogę zgadnąć, co to jest. Przysłałaś mi tę książkę... - Julian zaczął kwilić. Przełożyła go do drugiej piersi, najdyskretniej jak potrafiła, pogładziła po główce i mówiła dalej: - Przysłałaś mi tę książkę, w której jest napisane, że najczystszą więzią na świecie jest więź pomiędzy matką i dzieckiem, że powinnam karmić piersią do trzeciego roku życia i pozwalać spać w moim łóżku, a zostawianie go z nianią jest równoznaczne z wykorzystywaniem dziecka...

Lolo wyglądała na zmieszaną.

- Tak napisali w tej książce?

Ayinde zaśmiała się histerycznie. Nie wierzyła, że Lolo nawet nie spojrzała na okładkę *Sukcesu dziecka*, który stał się jej biblią.

-Posłuchaj. Zajmuję się teraz wychowywaniem Juliana. To moja praca. I to bardzo ważna praca.

- Oczywiście - przyznała Lolo bez przekonania. - Ale to nie oznacza, że nie powinnaś mieć czasu dla siebie...

- ...kiedy jest to dla ciebie wygodne - dokończyła Ayinde.

Lolo przechyliła głowę.

- Och, moja droga, nie kłóćmy się. - Nabiła kawałek kurczaka na widelec i wyciągnęła w kierunku córki. - Proszę bardzo. Otwórz buzię.

- Mamo...

- Musisz być głodna. Proszę. - Machnęła widelcem koło ust córki i Ayinde niechętnie je otworzyła. - Proszę bardzo! - powiedziała Lolo. Uśmiechnęła się z zadowoleniem i oparła o krzesło. Pod makijażem jej twarz błyszczała. (Ayinde zmyła makijaż po sesji zdjęciowej, wiedząc, że ruchliwe rączki Juliana stanowią zagrożenie i wcześniej czy później tusz i puder w kremie znajdą się na ubraniu). - Chcę tylko powiedzieć - kontynuowała Lolo - że nie ma nic złego w tym, że ktoś ci pomoże. Musisz

raz na jakiś czas odpocząć, nawet jeśli jesteś najlepszą matką na świecie.

- Cóż, może po prostu powinnam zapisać go do szkoły z internatem - stwierdziła Ayinde, starając się utrzymać lekki ton. Wspominała dzieciństwo, gdy Lolo to pojawiała się, to znów znikwała z jej życia. Wpadała do pokoju Ayinde, wyszykowana na kolację i tańce, by pocałować córkę w czoło, i zazwyczaj budząc ją przy tym. „Śpij dobrze!” - ćwierkała, stukając obcasami o marmurową posadzkę w holu. Potem słychać było ciężki krok ojca i cichy odgłos zamykających się za nimi drzwi. W porze śniadania drzwi sypialni rodziców były zamknięte, rolety w salonie spuszczone. Sere-na nalewała mleko do płatków, Ayinde zjadała szybko, wstawiała naczynia do zlewu i wymykała się z domu.

- Uważam, że wspaniale sobie radzisz - powiedziała Lolo. - Ale nie powinnaś podchodzić do tego tak serio! To tylko wózki i pieluchy, a nie technika kosmiczna!

Ayinde spojrzała na wtulonego w jej ramiona Juliana, poruszające się w rytm ssania policzki, na swojego doskonałego, pięknego synka o ustach dokładnie takich jak Richarda i długich palcach jak jej i matki.

- Chcę robić to jak najlepiej.

- Postępujesz najlepiej, jak potrafisz. Wszystkie matki tak robią. Proszę - powiedziała Lolo, podtykając córce kolejną porcję kurczaka. Ayinde westchnęła bezradnie. Otworzyła usta i dała się nakarmić matce.

TLR

WRZESIEŃ

BECKY

- Czeeeść!

Becky skrzywiła się, odsuwając słuchawkę od ucha. Była siódma rano i w końcu udało się jej uśpić Avę po karmieniu o szóstej i następującym po nim przewijaniu. Wyglądało jednak na to, że według Mimi siódma rano była doskonałą porą na telefon.

- Cześć, Mimi - powiedziała, nie siląc się na udawanie bardziej rozbudzonej, niż była.

- Obudziłam was?

- Uhm — mruknęła Becky, ziewając ostentacyjnie w nadziei, że Mimi się zorientuje, iż zadzwoniła nie w porę.

Płonne nadzieje.

- W takim razie do rzeczy. Chcę rozmawiać z synem.

Becky przewróciła oczami i postukała Andrew słuchawką.

- Twoja mama - szepnęła.

Andrew wziął słuchawkę i odwrócił się plecami.

- Cześć, mammo! - Cisza. Niepokojąco długa cisza. - W porządku - powiedział Andrew. - Dobrze. Na jak długo? - Znów cisza. - Nie, nie, oczywiście, że nie! Uspokój się, mammo. W porządku. Nie. Nie! Jeśli tak, to przepraszam. Jasne. Nie. Oczywiście, że tak! Dobrze. Do zobaczenia. Ja ciebie też. Cześć. - Rozłączył się, przekreślił na wznak i zamknął oczy, układając się do snu.

- O co chodzi? - spytała Becky.

Andrew milczał.

- Lepiej powiedz, bo będę się domyślała najgorszego - naciskała.

Znów cisza.

- Ponownie wyszła za męża?

Andrew naciągnął sobie poduszkę na twarz tak, że Becky ledwo mogła zrozumieć jego słowa:

- Coś jest nie tak z klimatyzacją w jej domu.

Becky przełknęła głośno ślinę.

- Przecież nie jest już gorąco.

- Tylko na kilka dni - powiedział Andrew.

Becky milczała. Andrew chciał ją objąć.

- Becky, ona jest...

- Twoją matką. Wiem. Podkreślasz to za każdym razem. Ale my nie mamy pokoju gościnnego! Nie byłoby jej wygodniej w hotelu?

- Nie chce wydawać pieniędzy. - Skrył twarz jeszcze głębiej w poduszce. - Wciąż narzeka na wydatki, jakie poniosła na nasze wesele.

- Och, proszę cię - mruknęła Becky, wstając z łóżka. - Pamiętaj, że to nie ja zaprosiłam trzystu gości. I nie ja zamówiłam lodowe rzeźby młodej pary. Jak długo Pani u nas zabawi?

Podniósł się, unikając jej spojrzenia.

- Jeszcze dokładnie nie wie.

- A gdzie będzie spała?

Andrew milczał.

- Och, daj spokój! - powiedziała Becky. - Andrew, chyba nie oczekuje, że użyjemy jej naszej sypialni! Ava tu śpi, a ja muszę być blisko niej... - Zajrzała do córeczki, by upewnić się, że nadal śpi, potem zeszła po schodach. Andrew założył szlafrok i poszedł za nią. - To wszystko bzdety - powiedziała Becky, nalewając kawę.

Andrew zacisnął usta. Becky nie była pewna, czy to z powodu narastającej złości, czy chęci ukrycia uśmiechu. Postawiła przed nim kubek.

- Pozwól, że cię o coś spytam. Powiedz mi prawdę. Czy ona kiedykolwiek usłyszała od ciebie „nie”? Choć raz? Czyste „Nie, mam, przepraszam, to niemożliwe”?

Mąż wpatrywał się w kubek. Becky straciła nadzieję, że się odezwie. A więc o to chodzi, co zawsze - Mimi rozkazywała, Mimi żądała, Mimi awanturowała się tak długo, aż uzyskała to, czego chciała, a Andrew, cierpliwy, dobrotliwy Andrew, był bezsilny wobec jej napadów złości.

- To nie potrwa zbyt długo - powiedział. - I jest dla mnie ważne.

- W porządku, w porządku - odparła Becky, wzdychając.

Godzinę później, gdy Andrew wyszedł do szpitala, a Ava była już nakarmiona, przewinięta i przebrana, rozległ się dzwonek u drzwi. Na najwyższym schodku stała Mimi, ubrana w obcisłe dzinsy, granatową kurtkę i bluzkę bez pleców i rękawów, a na chodniku za nią ustawione w rzędzie cztery pakunki z kolekcji Vuitton, w tym kufer.

- Cześć, kochanie! - powiedziała, wpadając do domu i wyrывая z ramion matki sześciokilowe, przestraszone, łyse dziecko i zostawiając Becky wniesienie bagaży po schodach. - Ooo, czyżbym czuła kawę? - Popędziła do kuchni, upiła łyżeczek z filiżanką Becky. — Bezkofeinowa? — upewniła się.

Becky zastanawiała się, czy nie skłamać. .

- Nie - odparła. - Mogę zrobić...

- Och, kochanie, mogłabyś? - Oczy Mimi nie przestawały myszkować, przeskakując z kuchennych ścian na podłogę, z podłogi na kuchenkę, z kuchenki na zlewozmywak, potem na półkę z książkami kucharskimi. Becky nie była pewna, czego poszukują. Prawdopodobnie dowodów, że kuchnia służyła również jako laboratorium do produk-

cji narkotyków, co udowodniałoby podejrzenia Mimi, że Becky jest w każdym calu plebejską królową dzielniczy baraków. - Nie sądzę, żebyś miała coś, co mogłabym przekąsić. - Odmówiła białego pieczywa („trzymam się z dala od przetworzonej mąki”), chleba razowego („nie smakuje mi”) i melona („jakoś nigdy ich nie lubiłam”). - A może ja popilnuję mojej wnuczki, a ty skoczysz do sklepu?

„Jasne” - pomyślała Becky. „A może odrąbię sobie dłoń i rzucę ją na pożarcie rotweilerowi z naprzeciwka?” Czy wypowiedzenie imienia Avy zabiłoby Mimi? Możliwe. Od tego ranka w szpitalu Mimi nie mówiła o dziecku inaczej niż „moja wnuczka”. Ani razu imię Ava nie wyszło z jej ust. Może wciąż żyła nadzieją, że jeszcze zmienią zdanie i nazwą ją Anna.

„Niech jej będzie” - powiedziała sobie Becky.

- - Dobrze, ale najpierw wezmę prysznic...

- Mimi machnęła ręką.

- Damy sobie radę! Tylko zostaw mi butelkę!

„No i się zaczyna”.

- Karmię piersią, zapomniałaś?

Mimi spojrzała na nią szeroko otwartymi oczami. - Jeszcze?

- Jeszcze - odparła Becky.

- I lekarz uważa, że to dobrze?

- To dla niej najlepsze - powiedziała Becky. - Mleko matki wzmacnia układ odpornościowy dziecka i...

— Och, tak, teraz mówią — przerwała Mimi. — Za moich czasów najlepsze były odżywki. I najwyraźniej posłużyły Andrew! - Rzuciła okiem na Becky. - Czytałam, że dzieci karmione piersią mogą mieć problemy. - Ściszyła głos. - Z otyłością. - Wesoły chichot. - Mój Andrew oczywiście nigdy nie miał z tym kłopotów!

„Zabiję ją” - pomyślała Becky. „Naprawdę ją zabiję”.

- Za dziesięć minut będę gotowa - powiedziała, wbiegając po schodach. Stała pod prysznicem z zamkniętymi oczami, nucąc refren piosenki *I Will Survive (Przetrwam)*, aż skończyła się ciepła woda.

Na dole w kuchni Mimi siedziała przy stole z dzieckiem w ramionach, z do połowy zjedzoną babeczką.

- Zjadła prawie całą górę babeczek! - oznajmiła.

- Co?! - krzyknęła Becky.

- Ładnie je - powiedziała z zadowoleniem. - Dokładnie tak jak jej tatuś.

- Mimi! Ona nie może jeszcze jeść takich rzeczy!

- Jak to?

Becky zacisnęła pięści.

- Nie może dostawać zwykłych pokarmów co najmniej do czterech miesięcy, a potem tylko płatki ryżowe!

Mimi zamachała rękami.

- Och, jestem pewna, że nic jej nie będzie. Karmiłam tym Andrew, gdy miał sześć tygodni, i jak wyrósł! To tylko moda - paplała. - Karmić dzieci, nie karmić, mleko matki, odżywka... chociaż pewnie ty wiesz więcej. Działasz w usługach żywieniowych i takie tam.

Becky zacisnęła zęby, wzięła słuchawkę, zamknęła się w łazience i zadzwoniła do gabinetu pediatry, gdzie bardzo miła pielęgniarka zapewniła ją, że nawet jeśli babeczka jagodowa spowoduje u Avy bóle brzuszka, nie powinna wywołać trwałych uszkodzeń. Wróciła na dół.

- Cześć, malutka - powiedziała. Ava spojrzała na nią z ramion Mimi i odchyliła głowę do tyłu. Skóra pod brodą rozprostowała się jak harmonia. Mimi patrzyła z obrzydzeniem.

- O Boże:

Becky spojrzała ponad ramieniem teściowej na brązowo-szary brud na szyi córeczki.

- Nie kąpiemy jej? - zapytała teściowa.

- Oczywiście, że kąpiemy, tylko... - Becky potrząsnęła głową. Próbowwała umyć szyję Avy, ale dziecko nie ułatwiało jej zadania. Nie była nawet pewna, czy córeczka ma szyję. Głowa zdawała się wyrastać wprost z ramion i kto mógł wiedzieć, co się tam zbiera? Cóż, teraz już wiedziała. Wzięła z torby moką chusteczkę i wręczyła ją Mimi.

- Nie mam pojęcia, skąd to się wzięło.

Mimi fuknęła.

- Pójdę teraz do sklepu - powiedziała Becky. - Proszę, nie karm jej niczym podczas mojej nieobecności.

Kolejne fuknięcie. Becky złapała klucze i wyszła. Gdy wróciła, niosąc dwie torby dopuszczanych przez Mimi produktów, teściowa z dzieckiem siedziały w salonie na kanapie.

- Kto jest moją księżniczką? Kto? Kto? - Ava mrugnęła i posłała jej bezzębny uśmiech. Becky westchnęła i poszła na dół do kuchni. Pięć minut później była już na górze, zaniepokojona dochodzącymi stamtąd odgłosami. - A teraz brzuszki! Raz! Dwa! Raz! Dwa! Musisz dobrze wyglądać, żeby chłopcy się oglądali!

„Słucham?” - Becky wbiegła do salonu.

-Mimi, posłuchaj. Wiem, że nie masz złych intencji, ale Andrew i ja nie chcemy, by Ava dorastała, przejmując się swoim ciałem.

Mimi wpatrywała się w nią, jakby Becky wysiadła właśnie ze statku kosmicznego,

by po raz pierwszy odwiedzić Ziemię.

- O czym ty mówisz?

- Brzuski. Chłopcy. Nie chcemy, by Ava tym się przejmowała. - Becky próbowała się uśmiechnąć. - Przynajmniej do pierwszych urodzin.

Na ustach Mimi pojawił się grymas.

- I Andrew zgadza się z... z tymi... - Becky niemal słyszała, jak mówi „nonsensami”.
— Z tą filozofią? — dokończyła.

- W stu procentach - odparła Becky i skierowała się do drzwi, by nie ulec chęci wyrwania Avey z ramion teściowej i wykopania Mimi wraz z jej modnymi torbami na ulicę.

Ulubioną częścią domu Becky był miniogródek wielkości stołu bilardowego, wypełniony gazonami i doniczkami, w których rosły niecierpki, petunie, miniaturowe gerbery, a także zioła i warzywa używane w kuchni - pomidory, ogórki, mięta, bazylija, szalwia, dwie odmiany pietruszki, nawet arbuzy. Troszcząc się o rośliny, mruzczała do siebie, usuwała martwe liście, wyrywała chwasty.

Pięć minut później Mimi z dzieckiem na ręku wtargnęła do jej schronienia.

- Zobaczmy, co robi mamusia! - zanuciła, podrzucając Awę do góry, a potem nurkując z nią w dół w sposób, który niemal stuprocentowo gwarantował ulanie się pokarmu.

„Przynajmniej pozbędzie się tej babeczki” - pomyślała Becky.

- Podlewamy roślinki! - powiedziała Mimi, lejąc wodę i patrząc, jak Ava próbuje ją złapać i krzywi się, gdy krople przelatują jej między palcami. Nagle dziewczynka uniosła mokrą rączkę i próbowała włożyć kciuk do ust. Mimi pacnęła ją w rączkę. - Nie, nie wolno ssać palca! Brzydka dziewczynka!

Becky zakręciła wodę i zaczęła się modlić: „Boże, daj mi spokój, bym przyjmowała spokojnie rzeczy, których nie mogę zmienić; odwagę, bym zmieniała to, co mogę, i cierpliwość, bym nie udusiła mojej teściowej, nie poćwiartowała jej ciała i nie wrzuciła go do kanalizacji”.

- Szczerze mówiąc, Mimi, ssanie kciuka nie jest złe.

- Słucham? To nie może być dobre na zgryz!

- To teorie starych matek - powiedziała Becky, czując się winna z powodu radości, jaką sprawiła jej reakcja Mimi na słowo „starych”.

Mimi wydeła wargi.

- Jeśli tak uważasz - powiedziała w końcu.

- Tak, jestem przekonana - odparła Becky, wyciągając ramiona. - Przewinę ją.

Becky zaniósła Awę na górę. Pieluszką była sucha, ale wiedziała, że jeszcze minuta przebywania z Mimi, a stanie się coś, czego jej córka nie powinna oglądać.

Ubrała Avę, usiadła w bujanym fotelu i podciągnęła bluzkę. Ava przyssała się z ochotą. Nie minęła jeszcze godzina od chwili, gdy jadła, ale zdawało się, że zgłodniała. A może tylko chciała się wyciszyć. Mimi umiała zdenerwować każdego, dlatego niemowlak miałby być wyjątkiem? Becky przymknęła oczy i kołysząc się powoli w fotelu, z Avą przy piersi, przysnęła.

- Karmisz?

Becky przechyliła się gwałtownie do przodu, wyrwana z drzemki. Oczy Avy otworzyły się szeroko. Puściła pierś i zaczęła płakać.

- Karmiłam - odparła dobitnie, obciągając bluzkę i poklepując Avę po plecach, żeby się jej odbiło.

- Och, przepraszam - powiedziała wyzywająco Mimi.

Becky otarła zaciśnięte, różowe usteczka dziecka różkiem pieluszki i przytuliła je do siebie. „To najwspanialsze uczucie na świecie” - powiedziała jej matka, gdy po raz pierwszy wzięła malutką w ramiona. Wtedy Becky nie wierzyła jej. Była tak przerażona, że skrzywdzi dziecko, które zdawało się kruchą, wiotką istotą, iż pocila się przed każdą zmianą pieluszki. Ale teraz, gdy Ava pewniej trzymała główkę, rozglądając się w koło i zauważając przedmioty, gdy przeszła już przez niemowlęcy trądzik, Becky uwielbiała ją nosić. Miękka skóra dziecka słodko pachniała, a otoczone długimi rzęsami szaroniebieskie oczy i pełne różowe usteczka były czymś najpiękniejszym, co kiedykolwiek widziała. Mogła godzinami całować córeczkę, gładzić ją po głowie, wciąż łysej, pokrytej tak cienką i bladą skórą, że widać było przebiegające pod nią żyłki.

-Zdrzemniemy się - powiedziała Becky do Mimi. Nie czekając na odpowiedź, włożyła dziecko do łóżeczka i poszła do sypialni, gdzie zdjęła kapcie, opuściła rolety i wpatrywała się w świetlik, który zainstalowali z Andrew w beztrudnych czasach, nim Mimi przeprowadziła się do miasta. Zadzwoiła do gabinetu Andrew, potem na komórkę, a gdy nie odebrał żadnego telefonu, zrobiła coś, przed czym długo się wzbierała, coś, za co złościła się na Mimi. Wysłała mu wiadomość na pager: *Tak, proszę, jeśli może, niech zadzwoni do domu. Nie, to nie jest nagły przypadek. To tylko jego żona.* Po trzydziestu sekundach odezwał się dzwonek telefonu. Becky sięgnęła po słuchawkę. Była szybka, ale Mimi uprzedziła ją.

- Andrew! Co za miła niespodzianka!

- Cześć, mamó. Jest Becky?

- Tak sądzę - warknęła Mimi. - Nie mógłbyś przez chwilę porozmawiać ze starą matką?

Becky odłożyła słuchawkę i zacisnęła pięści. „Boże, daj mi spokój, abym przyjmowała spokojnie rzeczy, których nie mogę zmienić...” Dziesięć minut później Mimi

wrzeszczała na cały głos:

- Beckyyyyy! Mój syn chce z tobą rozmawiać!

Dziecko zaczęło płakać.

- Powiedz mu, że oddzwonię! - zawołała Becky i poszła do pokoju Avy, by pomóc jej znów zasnąć. Gdy zadzwoniła po chwili na komórkę Andrew, odebrał ją sam.

- Jak leci?

- Niedobrze - powiedziała Becky.

- Jest niemożliwa?

-Jak dotąd nakarmiła naszą córkę babeczką jagodową, obudziła ją, wyrwała kciuk z buzi...

- Co? - W głosie Andrew słychać było niedowierzanie. Becky położyła się na poduszce. „Jest po naszej stronie” - myślała. „Po mojej stronie. Nie po jej”.

- Uczyła ją robić brzuszki, by chłopcy się za nią oglądali...

- Tak powiedziała do dziecka?

- No, chyba nie do mnie.

Andrew westchnął.

- Chcesz, żebym przyjechał do dumu? Mam... - Becky słyszała, jak sięga po rozkład zabiegów. - O trzeciej staję do operacji wymiany stawu biodrowego, ale mogę poprosić Mirę, by mnie zastąpiła.

- Nie, nie, wymieniaj to biodro. Musiałam się tylko wyładować.

- Przykro mi, Becky - powiedział Andrew. - Trzymaj się.

- Spróbuję - odpowiedziała i odłożyła słuchawkę. W pokoju dzieciennym Ava leżała na boku, a Mimi nachylała się nad łóżeczkiem, tak jak pierwszego ranka w szpitalu. Jej czarne włosy opadały na pościel, nosem niemal dotykała twarzy dziecka. Becky nie widziała jej miny, ale poza Mimi przywodziła na myśl koty wysysające oddech śpiących dzieci. Zacisnęła pięści, wbijając krótkie paznokcie w dłonie. „Odsuń się” - chciała krzyknąć. „Odsuń się od mojego dziecka, wariatko!”

-Jest idealna - szepnęła Mimi.

Becky rozluźniła dłonie. Niezależnie od tego, jakim Mimi była potworem, przynajmniej nie myliła się co do Avy.

- Prawda? - powiedziała szeptem.

- Zawsze chciałam mieć córeczkę - stwierdziła Mimi. - Jednak po urodzeniu Andrew dwa razy poroniłam i lekarze zabronili mi ponownie próbować.

Becky poczuła, że mięknie jej serce. Powieki Avy drżały we śnie.

- Ma takie jasne rzęsy - szepnęła Mimi. - Ciekawe, jak by wyglądały z odrobiną tuszu.

Serce Becky wróciło do poprzedniej postaci.

-Pozwólmy jej pospać - powiedziała stanowczo. Wymownie trzymała otwarte drzwi, aż Mimi poddała się i zeszła za nią po schodach.

Gdy znalazły się w salonie, Becky wykorzystała swą ukrytą broń.

- Masz ochotę napić się wina?

Mimi miała. Dwa kieliszki chablis, a później pilot od telewizora, i Becky była wolna.

- Idziemy się przejść! - zawołała, niosąc wózek po schodach i wiedząc, że Mimi się nie przyłączy. Jej dziesięciocentymetrowe obcasy wykluczały jakiekolwiek spacer. Becky postanowiła sprawdzić, czy Lia jest w domu. Lia pomogłaby jej zachować dystans. Nawet wrzeszcząca Mimi nie wydawała się taka zła, gdy pomyślało się, co straciła Lia.

Poznała Lię tydzień wcześniej. Poszły raz na kawę w parku, by lepiej się poznać, i prowadziły rozmowę, która przebiegała jak podczas nietrafionej randki w ciemno, aż do czasu, gdy Becky naprowadziła Lię na jej skryte uzależnienie - hollywoodzkie plotki. Już po godzinie wiedziała więcej o tym, kto w Hollywood jest gejem, a kto scjentologiem, niż po latach śledzenia kolorowej prasy. Wypytywała o gwiazdy filmowe, a Lia o jej przyjaciółki i ich dzieci. „Uczciwa wymiana” - pomyślała Becky.

Teraz pchała wózek po obrzeżach parku, aż dotarła do holu budynku, w którym mieszkała Lia. Portier zadzwonił do jej mieszkania.

- Może chcesz iść ze mną na spacer? - zapytała Becky.

Lia wysiadła z windy ubrana w dżinsy od Glorii Venderbilt, które musiały pamiętać czasy liceum. Dwukolorowe włosy ukryła pod czapką z daszkiem. Widać było, że poczuła się nieswojo, gdy spojrzała na wózek, i szybko odwróciła wzrok. Becky sięgnęła po telefon.

- Sprawdźmy, czy Kelly i Ayinde są gdzieś w pobliżu. - Przerwała, sama też czując się niezręcznie. - To znaczy... - Przygryzając usta, spojrzała na Lię. - Może nie chcesz być otoczona innymi dziećmi?

-Nie, w porządku - powiedziała Lia. Wcisnęła dłonie w kieszenie i lekko wzruszyła ramionami. - Świat jest przecież pełen dzieci. Specjalnie mi to nie przeszkadza. Zwłaszcza jeśli są to dzieci ludzi, których znam. Tylko czasem... - Dotknęła policzka Avy. - Czasem jest ciężko - mówiła cicho. - Kiedy czujesz, że wszyscy prócz ciebie mają dzieci, które nie umrą.

Becky przełknęła ciężko.

- Możemy po prostu pochodzić po parku - zaproponowała. - Napić się kawy.

- Nie, nie. - Lia potrząsnęła głową. - Chcę poznać twoje przyjaciółki.

Pół godziny później Ava spała w swoim wózku, a Becky, Ayinde i Lia siedziały na strasznej kanapie w pomarańczowo-brązową kratę, stojącej w pustym dotąd salonie Kelly. Oliver, który wyglądał na dwa razy większego niż tuż po urodzeniu, leżał na macie, ssąc obślinioną piąstkę. Kelly, ubrana w coś, co przypominało treningowy strój ciężowy, w słuchawkach na uszach rozmawiała przez telefon, spoglądając to na dziecko, to na monitor.

- Paul, muszę upewnić się, że dobrze zrozumiałam - powiedziała. Uśmiechnęła się do Becky i Ayinde, do dzieci, i skinęła głową Lii, która wyszeptała swoje imię. - Przeszedł tajfun? I dlatego świece wdąż są w Tajlandii? Jaki mamy plan awaryjny? - Słuchała, krzywiąc się i stukając długopisem w biurko. - Więc nie mamy planu awaryjnego. I nie ma takich świec w naszym regionie, które byłyby do przyjęcia. Jasne. Tak, tak, zaczekam. - Przyłożyła dłoń do słuchawki i zrobiła minę. - Właśnie dlatego nie urządzałam wesel - szepnęła, gdy ktoś - pewnie Paul, zaczął wrzeszczeć po drugiej stronie. - Paul. Paul. PAUL! Posłuchaj mnie! Rozmawiamy o ozdobach na stół, a nie szczepionce na AIDS. Nie sądzę, żeby telefon do konsulatu w czymkolwiek pomógł. Moim zdaniem powinieneś zacząć obdzwaniać dostawców w Nowym Jorku. Mogę przesłać ci faksem listę z gwiazdkami przy najlepszych. Wybierz sześć świec w tej samej tonacji. Wpadnę rano i razem porozmawiamy z panną młodą. W porządku. Tak. Dziesiąta. Zgadza się. Dobrze, do zobaczenia. - Rozłączyła się i usiadła po turecku na podłodze obok synka i śpiącego psa. - O Boże! - powiedziała, wpatrując się w Lię. - Jesteś sławna!

- Cóż niezupełnie - odparła Lia z uśmiechem. Wskazała na telefon. - To brzmiało ciekawie.

- Pracujesz? - zapytała Becky.

- Hmm. Niezupełnie - powiedziała Kelly. - Moja była szefowa jest w sytuacji podbramkowej i obiecałam, że jej pomogę. Panna młoda zakochała się w tych świecach z Tajlandii. Niestety, trzysta sztuk utknęło na statku w porcie z powodu tajfunu. Nie dotrą tu na czas.

- I co teraz będzie? - zapytała Becky.

- Nic dobrego - odparła Kelly. Wzięła Olivera na ręce, przekreśliła się na plecy i zaczęła unosić dziecko ponad głowę. Tłuste nóżki Olivera zwisały, a dłonie otwierały się i zamykały w rytm unoszenia i opuszczania go przez mamę: *Raz rybki w morzu brały ślub,*

Chlupała woda chlup, chlup, chlup...

Ayinde spojrzała na zegarek.

- Mogę skorzystać z twojego łóżeczka? - zapytała.

-No... jasne... - powiedziała Kelly w przerwie pomiędzy poszczególnymi ruchami.

- Nie wygląda ani trochę na śpiącego! - stwierdziła Becky.

Ayinde wzruszyła przepaszająco ramionami, wzięła Juliana i zaniósła go do dzieciennego pokoju.

- Nie przejmuj się nią. Dołączyła do sekty - szepnęła Becky do Lii. - Priscilla Prewitt. Słyszałaś kiedyś o niej? Jest guru Ayinde. Ayinde ma rozpisane całe życie Juliana na pięciominutowe odcinki i... - Spojrzała na Kelly. - Ćwiczysz? - zapytała, gdy Kelly nie przestawała unosić Olivera w powietrze.

- Tricepsy - wysapała Kelly i położyła sobie dziecko na piersiach.

-Jesteś lepsza ode mnie - uznała Becky. Lemon obwąchał główkę Olivera. Do pokoju weszła na palcach Ayinde.

- Jeśli nie schudnę pięć kilo, nie zmieszczę się w żadne ubrania - powiedziała Kelly.

- A nie stać mnie na nową garderobę.

Do pokoju wszedł Steve, w szortach i koszulce, z gołymi stopami.

- Mogę przynieść którejs z pań lunch?

„Kelly to szczęściara” - pomyślała Becky. Wiele dałaby za to, żeby Andrew choć jeden dzień spędził w domu. Mógłby podać jej lunch, wziąć dziecko na spacer i pomóc uporać się z pięcioma koszami prania, które, zdawało się, wypełniały się w ciągu jednej nocy. Gdy Steve przyjmował zamówienia na sałatki, Kelly odłożyła Olivera na matę i zaczęła chodzić po bieżni z dwuipółkilogramowymi ciężarkami w dłoniach.

- Ale masz szczęście, że Steve tu jest - powiedziała Becky. - Jak mu idzie poszukiwanie pracy?

Coś przemknęło po twarzy Kelly na dźwięk słowa „szczęście”, ale znikło, nim Becky zdołała zorientować się, co mogło oznaczać.

-Dobrze! - odparła, przyspieszając. - Wiele... interesujących... możliwości!

Becky położyła Avę na plecach na podłodze i wyciągnęła się.

- Mogę zostać tu do końca życia? - zapytała.

- Czy twoja teściowa jest... naprawdę taka... straszna? - chciała wiedzieć Kelly.

-Ha. Naprawdę taka straszna to jeszcze zbyt łagodne określenie - odparła Becky.

- Więc co zrobiła? - zapytała Lia.

- Nie uwierzyłybyście, gdybym wam opowiedziała.

- Przekonajmy się - zaproponowała Ayinde.

- Dobrze - zgodziła się Becky. Odchrząknęła. - Na moim ślubie ubrana była w suknię ślubną i podczas przyjęcia zaśpiewała *The Greatest Love of All*.

Lia i Ayinde spojrzały na siebie.

- Jest śpiewaczką? - zapytała ostrożnie Lia.

Becky przekręciła się i pogładziła Avę po brzuszku.

- Nie, nie jest!

- Więc śpiewała to wam obojgu?

- Nie. Tylko Andrew.

- I ta suknia ślubna – Lia zamilkła.

- Prawdziwa suknia ślubna - potwierdziła Becky. - Versace, jak sądzę. Obcisła. Biała. Z dużym dekoltem. Dużym rozcięciem. Obnażony sześćdziesięcioletni dekolt, który, wierzcie mi, nie był tym, co chciałam ujrzeć, idąc między rzędami ławek. Sądzę, że pozostała jej po którymś z własnych związków.

- Wiem... że... sobie... żartujesz... - wydyszała Kelly. Jej kucyk unosił się i opadał z każdym krokiem.

Becky wyprostowała się, pogrzebała w torbie i wyciągnęła portfel.

- Proszę - powiedziała, pokazując koleżankom zdjęcie. - Gdybyście miały wątpliwości, noszę to jako dowód, a nie sentymentalną pamiątkę.

Kelly zwolniła i zeskoczyła z bieżni. Razem z Lią i Ayinde nachyliły się nad zdjęciem.

- Och - powiedziała Lia. - O Boże! Czy ta spódnica to krynolina?

- Właśnie - odparła Becky. - Jej hołd dla własnego południowego dziedzictwa. Z parasolką w kolorze mięty. - Zachichotała. - Wyglądaliśmy jak wymarłe plemię komediantów.

- Nie mogę uwierzyć, że się z tego śmiejesz! - powiedziała Kelly, ocierając czoło bluzką.

Becky wzruszyła ramionami.

-Wierzcie, wtedy nie wydawało mi się to śmieszne - stwierdziła. - Ale to było cztery lata temu. Musicie też przyznać, że to dość komiczne.

Ayinde wpatrywała się w zdjęcie.

-To chyba najgorsza opowieść weselna, jaką kiedykolwiek słyszałam.

Ava przekręciła się na bok i puściła głośnego bączka.

-Nieży! - powiedziała Becky, klepiąc córeczkę po pupie. - Wiecie, jak zrobiła to po raz pierwszy w szpitalu, byłam tak wstrząśnięta, że zawołałam pielęgniarkę, żeby zobaczyła, czy to kupka. - Potrząsnęła głową. - Jeszcze jeden drobiazg, o którym nie piszą w książkach o dzieciach.

Kelly uśmiechnęła się promiennie.

- U mnie w domu nazywamy je pupciowymi bańkami!

Becky przewróciła oczami.

-Au mnie - dziecinne przykniecia! - Rozsiadła się na brązowo-żółtej kanapie. - Chciałabym wiedzieć, w jaki sposób ktoś staje się taki jak Mimi. Mam na myśli tych

wszystkich mężów! I te ciągle przedstawienia!

Lia wzruszyła ramionami i dalej bawiła się czapką z daszkiem. Becky zastanawiała się, czy nie popełniła błędu, przyprowadzając ją tu, i czy troje malutkich dzieci, w tym dwóch chłopców, nie stanowiło przeżycia ponad jej siły.

-Mnie nie pytaj. Nie potrafię zrozumieć własnej matki, a co dopiero czyjejs - powiedziała Lia - ale sądzę...

- Powiedz - prosiła Becky. - Proszę, pomóż mi.

- Ludzie tacy jak Mimi - zaczęła Lia. - Myślę, że są tacy, gdyż zostali skrzywdzeni.

- Sama chętnie zrobiłabym jej krzywdę - mruknęła Becky.

Lia potrząsnęła głową.

- Daj spokój - powiedziała. - Przemoc nie jest dobrym rozwiązaniem. A Becky...

-...Jest matką - wyrecytowały Kelly i Ayinde. Lia zaśmiała się. Odezwał się telefon Becky.

- Kochanie - to był Andrew. - Nie ma cię w domu.

- A mówią, że mężczyźni nie są spostrzegawczy. Poszliśmy na spacer - odparła Becky.

- Zostawiłaś mamę samą?

Becky poczuła ciężar na sercu.

- Przecież znasz Mimi. Kiepski z niej piechur, a dziecko potrzebuje świeżego powietrza.

- Przez dwie godziny?

To już tak długo?

- Posłuchaj, Andrew. Twoja matka jest dorosłą kobietą...

- Chce spędzić trochę czasu ze swoją wnuczką - powiedział Andrew. - Becky...

- Tak, tak, jasne, wiem — odparła. — Nawet tego nie mów. Już wychodzę. - Rozłączyła się i wzięła dziecko. - Hej, nie miałaś przefaksować czegoś człowiekowi od świec? - zapytała.

Kelly pacnęła się dłonią w usta.

- O Boże - jęknęła i pobiegła do komputera.

- Szaleńcy nie zaznają spokoju - powiedziała Becky, wyprowadzając wózek z córeczką przed drzwi.

LIA

„Znaleźć pracę” było na mojej liście tuż za „zdobyć pieniądze” i „znaleźć miejsce do

mieszkania", jednak gdy Becky zaproponowała mi zajęcie w Mas, gdy wracałyśmy do domu, odrzuciłam je.

- Nie jestem dobrą kucharką - odparłam, kiedy szłyśmy ramię w ramię, pchając wózek z Avą po Walnut Street. - Zawsze zamawiałam coś z dowozem. Nawet ani razu nie użyłam kuchenki w starym mieszkaniu.

- Nie ma się czym martwić. To nie jest skomplikowana wiedza. - Becky wepchnęła wózek do kawiarni i schyliła się, by poprawić Avie różowy kapelusik przeciwsłoneczny, pasujący doskonale do różowego pajaca i koszulki w różowo-białe paski. - Wiesz, wczoraj ktoś zatrzymał mnie na ulicy i powiedział: „Jaki śliczny chłopiec”.

- Nie powinnaś iść do domu? - zapytałam.

- Pójdę! - powiedziała Becky radośnie. - Jak tylko napiję się kawy. I nakarmię dziecko. Za jakieś pół godziny. W każdym razie - kontynuowała, sadowiac się przy stoliku - praca, o której mówię, obejmuje proste czynności: mycie szpinaku, łuskanie krewetek... - Spojrzała na mnie badawczo. - Nie jesteś wegetarianką ani nic takiego? Nie masz nic przeciwko gotowaniu żywych stworzeń?

Potrząsnęłam głową, przypominając sobie, jak matka wypytywała mnie o to samo.

- Nie jest dobrze płatna - mówiła Becky dalej. - I nie w blasku reflektorów. No i będziesz musiała być na nogach wiele godzin...

- Mam wprawę - odparłam. - Podczas grania też bardzo dużo się stoi.

- Tak, ale w towarzystwie Brada Pitta, a nie Dasha pomywacza - stwierdziła Becky. Spojrzała przez lewe ramię, potem prawe, jak szpieg w filmie. - Zasłoń mnie - szepnęła kącikiem ust. Ułożyła na ramieniu różowy koc piknikowy, wzięła dziecko i podciągnęła bluzkę. - Dobrze. Widzisz coś? - Spojrzałam. Widziałam Becky, koc i tobołek przypominający nieco Avę.

- W porządku.

- To dobrze - powiedziała Becky. - Obserwuj ją. Jest przebiegła. Wczoraj ściągnęła koc i siedziałam z cykiem na wierzchu w Cosi na Lombard Street. Weźmiesz tę pracę?

- Jeśli mówisz poważnie. I jeśli nie przeszkadza ci, że nigdy wcześniej tego nie robiłam.

Potrząsnęła głową.

- Wierz mi, wszyscy z radością dę przyjmą. Zwłaszcza Dash, pomywacz.

- Dziękuję - powiedziałam.

- Nie ma za co - odparła po hiszpańsku. Avie odbiło się i Becky wytarła jej buzię, potem spędziła dziesięć minut w toalecie, przewijając ją, i w końcu, z wielkim żalem, bardzo powoli, ruszyła w kierunku domu.

Zacząłam pracę następnego dnia po południu, stojąc przy zlewie w zaparowanej kuchni w Mas i skrobiąc marchewki, aż zdrętwiały mi palce.

-Jak ci idzie? - pytała bezustannie Becky. - Wszystko w porządku? Chcesz zrobić sobie przerwę? Napijesz się czegoś?

-Wszystko w porządku - odpowiedziałam. Wyprostowałam się i wygięłam palce. Praca była ciężka fizycznie, nudna i monotonna, ale wszyscy w kuchni byli sympatyczni (zwłaszcza, zgodnie z przewidywaniami Becky, Dash, pomywacz, który miał na oko dziewiętnaście lat i był fanem moich wczesnych ról). Po raz pierwszy od dnia opuszczenia Los Angeles byłam spokojna. Sarah zamierzała nauczyć mnie robić winogret. Układało się dobrze.

W najbliższy poniedziałek, pierwszy wolny dzień, wyciągnęłam listę, którą sobie przygotowałam. Wszystkie punkty były już wykreślone, prócz ostatniego - „Znajdź pomoc”. Wpychając włosy pod czapkę i wychodząc w mrok, pomyślałam, że nie mogę odkładać tego w nieskończoność.

Przejrzałam spis grup wsparcia „Rodzice razem” w tej samej gazecie, która zaprowadziła mnie do nowego mieszkania, ale już po trzech minutach spotkania zaczęłam przypuszczać, że grupa ta nie jest tak trafnym wyborem jak podnajem.

To, czego chciałam, czego potrzebowałam, to dowiedzieć się, kiedy przestanę budzić się co rano z bólem, kiedy skończy się smutek tak głęboki i ogromny, że nawet nie sądziłam, iż zdołam się z niego otrząsnąć. Jak długo będzie bolało? Kiedy wspomnienie Caleba przestanie być pierwszą myślą, która dociera do mnie rano, i ostatnią każdego wieczoru? Kiedy przestanę widzieć jego twarz przy każdym zamknięciu oczu? Nie przypuszczałam, że znajdę odpowiedź na te pytania w Pennsylvania Hospital, w znajdującej się na piątym piętrze sali konferencyjnej, gdzie unosił się ledwo wyczuwalny zapach choroby i środka czyszczącego. Ściany były beżowe, dywan szary, a długi stół otoczony ludźmi sączącymi herbatę i kawę ze styropianowych kubeczków.

Pierwsza odezwała się kobieta o imieniu Merrill, z mocno skręconymi, matowymi włosami. Nosiła okulary w rogowych oprawkach, zbyt duże w stosunku do twarzy, złotą, zbyt luźną obrączkę na palcu. Merrill miała czterdzieści lat. Jej syn nazywał się Daniel. Umarł na białaczkę, w wieku jedenastu lat. Było to cztery lata temu, ale Merrill wciąż zdawała się oszołomiona i zrozpaczona, jakby dowiedziała się o tym tego ranka. „To wciąż się dzieje” - pomyślałam, łapiąc się stołu i czując, że podłoga gwałtownie chwieje mi się pod nogami.

- A ci ludzie z fundacji „Spełniamy marzenia” tylko marnowali nasz czas - powiedziała Merrill. Trzymała w dłoni postrzępioną chusteczkę i co chwilę przykładła ją do policzka, ale wyglądała na zbyt wściekłą, by płakać. - Każą wypowiedzieć życze-

nie, tak, niekoniecznie życzenie poprawne, wydające się dobre uszczęśliwiczowi, który nigdy nie miał chorego dziecka. Ostatnim życzeniem Danny'ego było spotkanie z Jessą Blake, więc kim oni są, by odpowiedzieć, że nie pracują z gwiazdami porno?

Siedzący obok niej mężczyzna, prawdopodobnie mąż, położył niepewnie dłoń na jej ramieniu. Merrill odsunęła się gwałtownie.

- Znał ją z teledysków. Nie pozwalaliśmy mu oglądać pornosów - powiedziała. - A potem chcieli podesłać mu Ada ma Sandlera, który, wiem o tym, i tak przyjeżdżał do Filadelfii, by spotkać się z dziewczynką cierpiącą na niewydolność nerek...

Próbowałam ukryć parsknięcie pod postacią kaszlu. Prowadząca spojrzała na mnie.

- Chciałaby pani być następna?

- O, nie - powiedziałam, potrząsając głową.

- Może poznamy pani imię?

- Lisa. - Wyrwało się to z moich ust w zupełnie naturalny sposób, choć od lat byłam Lią. Kilka miesięcy w Filadelfii i ni stąd, ni zowąd znów stałam się Lisą. - Ale narazie nie chcę mówić o tym, co mnie tu sprowadziło. Nie jestem pewna, czy tu pasuję.

-Jessa była jego ulubienicą - powtórzyła Merrill. Podniosła chusteczkę do policzka. - Ulubienicą.

- Dobrze, Merrill. Już dobrze - powiedziała łagodnie prowadząca, a Merrill położyła głowę na ramieniu męża i zaczęła płakać.

Nagle poczułam nienawiść do Merrill. Jej syn miał jedenaście lat. Przez jedenaście lat urządzała mu przyjęcia urodzinowe, dawała prezenty świąteczne, opatrywała zdarłe kolana. Mogła obserwować, jak raczkuje i chodzi, i biega, gra w piłkę, i jeździ na rowerze. Może nawet zdążyła przekazać mu opowieść o pszczołkach i kwiatkach: „Są rzeczy, o których powinieneś wiedzieć”. Co ja miałam? Nieprzespane noce, brudne pieluchy, kosz za koszem z praniem. Wrzeszczący kłębek złości, który nigdy się nie uśmiechnął. Zamknęłam oczy, świat zawirował, i zacisnęłam dłonie w pięści na głupich dżinsach Glorii Vanderbilt.

- Liso? - zwróciła się do mnie prowadząca.

Potrząsnęłam głową. Myślałam o Becky, karmiącej piersią córeczkę pod różowym kocem. Gdy Caleb był przy piersi, jego rączki nigdy nie spoczywały. Dotykały mojej piersi, jego główki, poznając fakturę skóry. Machał nimi w powietrzu. Czasami dotykały mojej brody i policzków, delikatnie, jak spadające liście.

- Przepraszam - powiedziałam z nadzieją, że dobre maniery zatuszują moje niestosowne zachowanie: wstałam tak gwałtownie, że krzesło na kółkach uderzyło w ścianę.

- Liso! - zawołała prowadząca. Jednak nie przystanęłam do chwili, gdy wyszłam za drzwi, z windy, ze szpitala, gdzie oparłam się o rozgrzaną słońcem ceglana ścianę, wdychając powietrze z głową zwisającą między kolanami. Niebo pociemniało. Mu-

siałam gdzieś pójść, a Mas wydało mi się dobrym miejscem.

- Hej! - zawołała Becky, gdy weszłam do środka. - Co tu robisz?

- Ja... myślałam, że... - Rozejrzałam się i przypomniałam sobie, że jest poniedziałek, restauracja nieczynna. Jadalnia była pusta, zamieciona, wszystkie stoliki posprzątane z wyjątkiem jednego, zastawionego zakąskami i otoczonego trzema krzesłami. Ayinde siedziała naprzeciwko talerza z pasztecikami. Należąca do Kelly torba Kate Spade była przewieszona przez oparcie kolejnego krzesła, a Kelly stała w kącie i rozmawiała przez telefon.

Odwrociłam się w kierunku drzwi.

- Przepraszam, coś mi się chyba pomieszało.

- Zrobiliśmy sobie mamuśkowy wieczór - wyjaśniła Becky. Przyciągnęła jeszcze jedno krzesło i wskazała mi miejsce.

Potrząsnęłam głową.

-Nie, naprawdę, nie powinnam, ja...

Becky doprowadziła mnie do krzesła i wręczyła kieliszek. Rozejrzałam się w koło.

- Gdzie są dzieci?

- Ava została z Mimi - powiedziała - która pojawiła się z zestawem do manicure i nie wierzyła mi, póki nie zadzwoniłam po potwierdzenie do Andrew, że nie można malować paznokci niemowlakom. Julian jest z... - spojrzała na Ayinde.

- Clarą - powiedziała Ayinde. - Pracuje dla Richarda i dla mnie.

-Jest służącą - drażniła ją Becky.

- Pomocą domową - odparła Ayinde. - I uwielbia dziecko.

- Steve zajął się Oliverem - dokończyła Becky, wskazując brodą Kelly, która wciąż rozmawiała przez telefon.

- Kochanie, musisz delikatnie zsunąć napletek - nie zrań go! - a potem lekko myjką... dobrze, dobrze, nie wpadaj w panikę, nie odpadnie. - Kelly skończyła, potrząsając głową. - Kiedy to zostałam światowym ekspertem do spraw mycia penisów? - zapytała.

- Ciesz się, że nie masz dziewczynki - powiedziała Becky. - Kiedy Andrew po raz pierwszy kąpał Ave, zadzwonił do mnie w połowie kolacji, by zapytać, jak to zrobić, a ja zacytowałam: „Pomiń te okolice”. A można by pomyśleć, że uczyli się tego w szkole medycznej. - Spojrzała na Ayinde. - A jak Richard radzi sobie z kąpielami?

- Och, Richard nigdy nie kąpie - powiedziała, pijąc coś, co wyglądało jak sangria. - Tylko ja to robię.

-W twojej zaaprobowanej przez Priscillę Prewitt wannie — dodała Becky.

- Tak naprawdę to biorę go do wanny ze sobą - powiedziała Ayinde. - To jest cudowne.

- Też tak robiłam - odezwałam się. Schyliłam głowę. Pewnego razu Sam wszedł do łazienki, by zrobić nam zdjęcie razem w wannie, a ja byłam tak zakłopotana rozstępaniami, że wylałam mu na głowę butelkę szamponu. Ale było cudownie. Pamiętam, jak obejmowałam śliskie ciało Caleba, czułam jego mokrą skórę na swoim ciele, trzymałam go pod paszki, a on wierzgał nóżkami i rozchlapывał wodę. Co się stało z tymi zdjęciami?

Becky podała mi serwetkę.

- Dobrze się czujesz?

Skinęłam głową, mrugając szybko powiekami, żeby się nie rozplakać i nie zepsuć im wieczoru.

- Jesteś pewna, że nie ma dla mnie nic do roboty? - zapytałam. - Zdaje się, że...

- Nie wygłupiaj się - przerwała mi. - Co się dzieje?

Napiłam się sangrii, czując rozchodzące się w całym ciele miłe ciepło.

- Poszłam do tej grupy. Do grupy wsparcia. I... - Kolejny łyk. - Dość nagle wyszłam.

- Dlaczego? - zapytała Kelly.

- Bo to gromada smutnych ludzi siedzących w koło i opowiadających swoje smutne historie, a ja nie... nie chcę...

Becky siedziała cicho, patrząc na mnie.

- Myślisz, że mówienie o tym pomoże? Moim zdaniem to dobry pomysł. To znaczy... - Zaśmiała się nerwowo. - Oczywiście nie wiem, co czujesz, nie potrafię sobie nawet wyobrazić, ale sądzę, że przebywanie z ludźmi, którzy przeszli przez to samo...

- Ale oni nie przeszli przez to samo. Na tym polega różnica. - Znów napiłam się sangrii. - Rzecz w tym... - Odetchnęłam głęboko i spojrzałam na swoje dłonie. - Po pierwsze, nawet nie chciałam zająć w ciążę. - Splotłam dłonie na kieliszku i mówiłam, nie patrząc na nie. - Prezerwatywa pękła. Wiem, że brzmi to głupio. To rozrodcza wersja szkolnej wymówki „pies zjadł moją pracę domową”. Nie byliśmy małżeństwem. Nawet nie byliśmy zaręczeni. - Przypomniałam sobie szybki oddech Sama, moje westchnięcie, gdy wychodził ze mnie jeszcze twardy, i prezerwatywę, której nigdzie nie mogliśmy znaleźć. Udało mi się później wyciągnąć ją palcami, gdy liczyłam dni od ostatniego okresu. „Możemy mieć kłopot” - pomyślałam.

Brałam pigułkę jeszcze przed przeprowadzką do Los Angeles. Miałam wtedy osiemnaście lat, w kieszeni dyplom ukończenia liceum George'a Washingtona z wyróżnieniem. Zostałam uznana za najładniejszą, najbardziej uzdolnioną teatralnie absolwentkę i wrócono mi sławę. Oprócz dyplomu miałam jeszcze trzy tysiące dolarów ze sprzedaży odziedziczonego pierścionka. Gdy zaczęłam chodzić na castingi, przesłuchania, i zauważyłam, że wszystkie kobiety wokół mają jaśniejsze włosy, większe

biusty i siedem kilo mniej, przestałam brać pigułkę w nadziei, że szybciej schudnę.

- Już masz niedowagę - powiedziała pielęgniarka w ośrodku Świadome Macierzyństwo, gdy napychałam sobie kieszenie darmowymi prezerwatywami, wyłożonymi w kryształowej miseczce jak miętówki.

- Nie w tym mieście - odparłam. Uśmiechnęłam się i powiedziałam, żeby się nie martwiła, bo i tak nie mam stałego chłopaka. I nie miałam przez wiele lat. Byłam tylko ja i zmieniający się współlokatorzy w jednopokojowym mieszkaniu w Studio City. Zapisalam się na lekcje gry aktorskiej. Przyłączyłam się do trupy improwizatorów. Krótka pracowałam w biurze agencji nieruchomości, nocami w telemarketingu, aż w końcu, po dziesięciu latach harówki, poznałam Sama i dostałam rolę w filmie kanału Lifetime, Sam wystąpił w reklamie maszynek do golenia, a potem zagrał sześciotygodniowy epizod w *Przyjaciolach*. Nagle mieliśmy dużo pieniędzy. I spodziewaliśmy się dziecka.

Fatalny brak wycucia czasu - dodałam. - Spotykaliśmy się z Samem dopiero od ośmiu miesięcy. Oboje bardzo staraliśmy się coś osiągnąć i dobrze nam szło, tak mi się wydaje. W trzecim roku ciągłego odgrywania dwudziestoseściolatki w końcu osiągnęłam tyle, że kilka razy rozpoznano mnie, Lię, i nie pomyłono z jakąś inną, bardziej znaną aktorką. Zdarzyło się też, że jakiś turysta uśmiechał się na mój widok, przekonany, że powinien wiedzieć, kim jestem, ale nie wiedział. To był naprawdę dobry czas. Przedtem grałam tylko w produkcjach niskobudżetowych. Dużo sequelei, filmów dla telewizji kablowych.

Te wszystkie możliwości pojawiły się nagle. I miałam Sama. Byłam taka szczęśliwa.

Ayinde obracała kieliszek w palcach.

- Ile miałaś lat? - zapytała. Spojrzałam na nią ponad stołem, pochyloną do przodu, ze skrzyżowanymi ramionami, i mignął mi przed oczami obraz z jej wcześniejszego życia, gdy z takim samym spokojem przekazywała wiadomości widzom Fort Worth. Kelly przygryzała wargę, blond włosy zakrywały jej większą część twarzy. Ręce Becky były w ciągłym ruchu, gdy nalewała sangrię i częstowała salsą.

- Dwadzieścia dziewięć - odparłam. - Ale według mojej agentki dwadzieścia sześć. Tam zawsze jest ktoś młodszy i ładniejszy i prawdopodobnie bardziej utalentowany. Byłoby lepiej, rozsądniej z punktu widzenia kariery, gdybyśmy mogli poczekać. - „Może jakieś pięć lat” - pomyślałam - „kiedy mielibyśmy wyrobioną pozycję zawodową, a Sam byłby już wystarczająco stary, by obsadzić go w roli zatroskanego, ale kochającego ojca w reklamie firmy sprzedającej ubezpieczenia komunikacyjne. Ja mogłabym zarobić trochę, grając gościnnie surową prokurator okręgową, która w życiu prywatnym jest cizią”.

Nie liczyłam na zachwyt Sama, gdy ogłosiłam mu nowinę, ani na łatwość, z jaką ją przyjął.

-Jasne, miejmy to dziecko - powiedział, podnosząc mnie do góry i kręcąc się w kółko, co tylko wzmogło nudności. - Całą gromadkę. - Kiedy zaczęłam narzekać i mówić o przerwie w pracy, uspokajał mnie, tłumacząc, że to *tylko* rok, a dziecko to nie wyrok dożywotniego więzienia, że mamy pieniądze i kochamy się, i że wszystko będzie dobrze.

Bawiłam się chipsem kukurydzianym, pochylając głowę nad stołem. Za wysokimi oknami ulica była spokojna, a niebo ciemne i nieruchome. Słoneczne ściany restauracji i złote lampy sprawiały, że wypełniła się ona łagodnym światłem jak skrzynia ze skarbami. Przypominałam sobie dzień, kiedy poszliśmy na USG i dowiedzieliśmy się, że będziemy mieli syna. Sam zaśpiewał *Mój synek Bill* tak głośno, że słyszeli to wszyscy w poczekalni. Jego radość była zaraźliwa, porwała i mnie. Potem dziecko przyszło na świat.

- Było tak ciężko po jego narodzinach. Nie przypuszczałam.

- Ha - powiedziała Becky, nachylając się, by dopełnić kieliszki. - Myślisz, że którakolwiek z nas to sobie wyobrażała? Myślisz, że ktokolwiek decydowałby się na dziecko, gdyby wiedział?

- Amen - mruknęła Kelly ze złożonymi rękami i zamkniętymi oczami. Jasne rzęsy kładły się cieniem na policzkach.

Odłożyłam chipsa i zastanawiałam się, czy byłoby inaczej, gdybym tam miała przyjaciółki, młode matki przechodzące przez to samo. Ale nie miałam.

- Byłam zupełnie sama. Mąż musiał wrócić do pracy - wybrali go do roli mężczyzny borykającego się z problemem przedwczesnego wytrysku w filmie *Seks w wielkim mieście*.

Becky zaśmiała się.

- Widziałam! - powiedziała.

- Zagrał tam dla rozgłosu. - Spojrzałam na swoje ciało, przypominając sobie, jaka się czułam wtedy brzydka - na- puchnięta i spocona, z nabrzmiałymi dłońmi i stopami, wychodzącymi garściami włosami. Całymi dniami chodziłam w tej samej bieliźnie i koszulce, w których spałam, bo po co się ubierać? W przeciwieństwie do mojego męża nie miałam dokąd chodzić. Czułam, jakby świat się na mnie walił, kurczył się i kurczył, aż był rozmiarów pokoju Caleba, jego łóżeczka, W książkach było napisane, że noworodki jedzą co trzy godziny. Caleb jadł co pół. Książki obiecywały, że noworodki śpią coś około osiemnastu godzin na dobę. Caleb tylko drzemał. Po dziesięciu minutach od zamknięcia oczu już się budził i płakał. Rozpakowanie walizki, którą miałam ze sobą w szpitalu, kiedy się rodził, zajęło mi cztery tygodnie. - Czułam, że

zaraz zwariuję. Miewałam te sny... - Wypiłam do dna. - Myślałam, by zameldować się w miłym hotelu, zaszyć się w dużym, czystym pokoju z ogromnym łóżkiem i zamówić obsługę kelnerską, czytać książkę i po prostu pobyć sama. Choćby jedno popołudnie. Czuję się tak, jakbym już nigdy nie miała mieć choć chwili czasu czy szansy na moment samotności.

- A Sam? - zapytała Becky. Rozejrzałam się w koło, spodziewając się, iż dojrzę w ich oczach osąd, ale zauważyłam zainteresowanie i życzliwość.

- Próbował pomóc, ale bardzo dużo pracował. - Złożyłam ręce na udach i opowiedziałam im historię o praniu, będącą jednocześnie historią ostatniego dnia Caleba. - Żadne z nas nie spało poprzedniej nocy. Caleb zaczął kwilić o północy, pół godziny później nakarmiłam go, opatuliłam i położyłam do łóżeczka. Kwilenie przerodziło się w łkanie, łkanie we wrzask i od dwunastej do drugiej Caleb płakał bez przerwy z zacisniętymi oczami, czerwoną buzią i żyłą w kształcie litery V pulsującą na środku czółka. Przesławał tylko, by nabrać powietrza, i znów zaczynał od początku. Razem z Samem próbowaliśmy wszystkich sposobów - nosiliśmy go, huściliśmy, klepaliśmy po plecach, wkładaliśmy do wózka, leżaczki i huścawki. Próbowałam przystawić go do piersi. Caleb sapał, zanosił się płaczem i uderzał mnie zacisniętymi piąstkami. Odbiło mu się. Przewinęliśmy go. Nic nie pomagało, aż w końcu, niewytłumaczalnie, płacz ustał tak szybko, jak się zaczął. Caleb leżał na plecach pośrodku naszego łóżka. Miał smoczek pod brodą, ale bałam się go ruszyć.

Nachyliliśmy się z Samem nad dzieckiem, mój mąż w bokserkach i zaplutej koszulce, z niespotykanym dwudniowym zarostem na kwadratowej szczęce, ja w koszuli nocnej bez niczego pod spodem.

- Co się stało? - szepnął Sam.

- Nic nie mów - odpowiedziałam równie cicho i wyłączyłam światło. Spaliśmy we trójkę, aż Caleb obudził nas o ósmej, gruchając radośnie jak dziecko z reklamy pieluszek.

- Zawsze tak robią - powiedziała Ayinde. Dotknęła swych ust serwetką. - Jakby dokładnie wiedziały, jakie piekło ci zgotować, nim w zamian coś dadzą - uśmiech albo kilka godzin snu.

Skinęłam głową.

- Gdy się obudziłam, czuję się znacznie lepiej - powiedziałam. - Była sobota, więc Sam miał zostać w domu. - O dziesiątej poprosiłam go, by poskładał pranie. Poprzedniej nocy wrzuciłam do pralki kolorowe ubrania.

- Nie ma sprawy - odparł radośnie. Słyszałam, jak gwizdże przy goleniu - był w łazience na górze, a ja siedziałam na dole z dzieckiem w ramionach, patrząc przez okno na napis Hollywood i starając się policzyć, ile czasu minęło od chwili, gdy ostatni raz

jechałam samochodem. - Zrobię sobie tylko krótką przebieżkę.

Zacisnęłam zęby i nic nie powiedziałam, ale w środku czułam złość. Krótki jogging. Dałabym wszystko, żeby wyjść z domu na krótką przebieżkę, krótki spacer, krótkie cokolwiek. Piętnaście po jedenastej mój mąż był z powrotem w domu, błyszcząc potem i dobrym zdrowiem. Dał mi wielkiego, głośnego buziaka w policzek i nachylił się, żeby pocałować Caleba, który właśnie jadł.

- Wezmę prysznic - powiedział.

- Pranie - przypomniałam, niezadowolona ze swego kłótliwego tonu, że zrzędzę jak moja matka, jak każda matka. - Proszę, nie chcę ciągle przypominać, ale nie mogę... - Wzruszyłam ramionami, nie dokończywszy zdania. Chciałam powiedzieć, że nie mam dodatkowych czterech rąk.

Och powiedział Sam, mrugając oczami. — W porządku, przepraszam. - Poszedł na górę. Słyszałam, jak otwierają się drzwiczki suszarki, potem zamykają, i poczułam się odprężona.

- Składam! - zawołał Sam.

- Moje gratulacje! - odpowiedziałam.

Minęło kilka minut.

- Wciąż składam! - krzyknął Sam.

Zagryzłam wargi i spojrzałam na Caleba - ciepłe, pachnące mlekiem stworzonko w moich ramionach, z taką samą kwadratową szczęką i dziurką w brodzie jak u jego taty, zła na kołaczące się w mojej głowie myśli. „Jakby zasłużył sobie na nagrodę, składając pranie”.

- Nigdy wcześniej nie byłam na niego taka wściekła - powiedziałam. Tym razem to Kelly zaśmiała się i skinęła głową - wiedziała, o czym mówię.

- Składam! - zawołał znowu Sam. Jeszcze mocniej zagryzłam wargi, zamknęłam oczy i zaczęłam liczyć do dwudziestu. „Kocham mego męża” - przypomniałam sobie. Byłam zmęczona. Oboje byliśmy. „Kocham moje dziecko.

Kocham mego męża. Kocham moje dziecko” - szeptałam jak mantrę z zaciśniętymi powiekami.

Po dwudziestu minutach Sam był już na dole, wciąż różowy po prysznicu.

- Będę przed trzecią - powiedział. Skinęłam głową, nie otwierając oczu. Wezmę prysznic, gdy dziecko zaśnie, pomyślałam, ale Caleb jak dotąd nie wykazywał chęci spania - jadł, płakał i przysypiał na jakieś dziesięć minut, ale gdy tylko próbowałam go odłożyć, natychmiast budził się i znowu zaczynał płakać. Ale kiedyś zaśnie. Dzieci nie mogą w ogóle nie spać. Po prostu nie mogą.

Sam ukląkł i wziął mnie za ręce.

- Hej - powiedział. - Jak wrócę, może wyrwiesz się gdzieś na chwilę? Pójdiesz na

masaż, kawę albo coś innego.

Potrząsnęłam głową i znów usłyszałam złośliwość w swoim głosie.

- Nie mogę, nigdzie nie mogę pójść. Przecież wiesz, że nie mogę. A co będzie, jeśli zachce mu się jeść?

Mrugnął powiekami skonsternowany. Nie byłam pewna: pytaniem czy tonem mojego głosu.

- Mogłabyś się przespać.

-Przespać się - powtórzyłam. „Nierealne marzenia” - pomyślałam.

Sam wyszedł dziarsko na lunch ze swoim agentem, wysokim, łysym mężczyzną, który do wszystkich mówił „kotku”, bo, byłam o tym przekonana, nigdy nie zadał sobie trudu, by zapamiętać imiona. Przytuliłam dziecko do spoconych piersi i wdrapałam się na górę do naszej sypialni.

- Złożył pranie - powiedziałam. Poczułam sztywny język w ustach. - Całe. Leżało na łóżku w małych kupkach, a na nich mokry ręcznik.

Ayinde westchnęła. Becky potrząsnęła głową. Kelly odgarnęła blond włosy z policzków i szepnęła:

- Skądś to znam.

Położyłam się na łóżku, na mokrym ręczniku Sama. Było to jak jakiś kiepski żart, jak niewesoła puenta - „złożył pranie, ale go nie schował!”. Ujrzałam moje życie przewijające się przed oczami - kolejne dni, kolejne tygodnie, kolejnych osiemnaście lat, niekończącą się smugę karmienia, spania, chodzenia w koło z płaczącym dzieckiem w ramionach, sprzątania po Calebie, po Samie.

- Nie - powiedziałam głośno. Położyłam Caleba na środku łóżka, między stertą bokserów i skarpetek od pary. Założyłam stanik do karmienia, wkładki laktacyjne, majtki, T-shirt Sama i elastyczne w pasie legginsy. Usiadłam i czekałam, aż Caleb się obudzi. Obudził się i znów zaczął płakać.

- Byłam po prostu bardzo zmęczona - mówiłam, unosząc dłonie i pozwalając opaść im na stół. Wciąż pamiętałam to napięcie i pieczenie oczu, spowodowane ciągłym niedospaniem. Poczułam na ramieniu dłoń Becky. Przypomniałam sobie tę kobietę, Merrill, w sali konferencyjnej szpitala, strącającą rękę męża. - Myślałam, że jeżeli włożę go do wózka i powożę to zaśnie. Pojechaliśmy do Tracy, naszej sąsiadki. Miała może pięćdziesiąt lat i jej mieszkanie znajdowało się na drugim końcu korytarza. Robiła fryzury i makijaż do programu nagrywanego w Burbank. Znałam ją tylko z codziennego „dzień dobry” i tego, że gdy zdjęcie Sama znalazło się w „People”, przyszła po autograf. Zazwyczaj machałyśmy do siebie na przywitanie, gdy przejeżdżałam z płaczącym dzieckiem koło jej drzwi. Tym razem zatrzymała mnie.

- Może zaopiekuję się Calebem przez godzinę? - zaproponowała. - Wychowałam

trzech synów. Mam siedmioro wnuków, ale mieszkają na wschodzie. - Spojrzała rzewnie na mojego rozwrzeszczanego synka. - Byłabym szczęśliwa, mogąc potrzymać dziecko przez chwilę.

- Proszę go wziąć - powiedziałam. Podałam go jej i obserwowałam, z jaką łatwością Tracy położyła sobie Caleba w zgięciu łokcia, jak jego napięte ciało rozluźniło się w zetknięciu z nią, jak była tysiącrotnie w tym lepsza ode mnie. A potem wyszłam. To znaczy nie pozbyłam się go tak po prostu...

- Oczywiście, że nie - mruknęła Becky, poklepując mnie po ramieniu. - Oczywiście, że nigdy byś tego nie zrobiła.

Schyliłam głowę i najchętniej położyłabym ją na złożonych na stole ramionach i zasnęła. Opowiedziałam im, jak zaprogramowałam numer mojej komórki i komórki Sama w telefonie Tracy. Zostawiłam numer do naszego pediatry, chusteczki i maść na pieluchowe zapalenie skóry, mimo że Caleb go nie miał. Przyniosłam zapasowe ubranko, tańczącą poduszkę i matę edukacyjną, położyłam zabawki na łóżku Tracy, przykrytym patchworkową kapą.

- Idź już - powiedziała, śmiejąc się i przeganiając mnie za drzwi, trzymając mocno przytulone do niej dziecko, patrzące na mnie dużymi, ciemnoszarymi oczami.

I poszłam. Pocałowałam synka i poszłam. Zjechałam windą do garażu, odszukałam mały kabriolet i pojechałam Sunset, a wiatr rozwiewał mi włosy. Poszłam do mojego bardzo hollywoodzkiego salonu fryzjerskiego z wodospadem koło drzwi, gdzie dziewczyny od mycia przynoszą wodę z cytryną, latte albo najnowsze brukowce z zakreślonymi gwiazdami, które się u nich czesały. Zażyczyłam sobie manicure i pedicure, i przyznaję się przed Bogiem i wszystkimi aniołami, że czułam się fantastycznie, a gdy kobieta malująca mi paznokcie spojrzała na moją obrączkę i zapytała, czy mam męża i dzieci, skłamałam i odpowiedziałam: „nie”.

- Mówi się, że matki szóstym zmysłem wiedzą, gdy coś złego dzieje się z ich dziećmi - powiedziałam im - ale ja nie wiedziałam. - Rozplakałam się. - Było trzęsienie ziemi...

- Czujesz? - zapytała dziewczyna malująca mi paznokcie, a ja potrząsnęłam głową. - Małe trzęsienie ziemi - powiedziała i nachyliła się nad moimi stopami. - Ciągłe się powtarzają. Już ich prawie nie odczuwam.

- To był pierwszy znak, ale zlekceważyłam go. Drugim była otwarta na oścież brama przy podjeździe i dwa policyjne samochody zaparkowane przed budynkiem. Dwa radiowozy i karetka. Przeszłam obok nich. Przyspieszyłam, gdy ujrzałam grupę mężczyzn i kobiet w niebieskich mundurach przed drzwiami Tracy i ją samą, stojącą między nimi w wysokim holu i zanoszącą się płaczem. Wtedy zaczęłam biec.

Pamiętam chwytającego mnie za ramię i zatrzymującego policjanta. Pamiętam twarz

Tracy, która nagle postarzała się o dwadzieścia lat, poszarzała jak gazeta zostawiona na słońcu. Wydawała z siebie nieludzkie krzyki, jak zwierzę potrącone na szosie.

- O Boże! - powtarzała. - O Boże, och, nie, nie, o BOŻE!

- Proszę pani - powiedział policjant, trzymając mnie za rękę. - Jest pani matką tego dziecka?

Patrzyłam na niego z otwartymi ustami.

- Co się stało? - zapytałam. - Gdzie jest Caleb?

Policjant kiwnął na kogoś, patrząc ponad moją głowę, i zjawiła się policjantka. Oboje wprowadzili mnie do salonu Tracy, gdzie stał stolik ze szklanym blatem i kremowa składana kanapa. Pamiętam, pomyślałam wtedy, że dziwne, ale dotychczas nie byłam w mieszkaniu Tracy ani razu przez cały czas, odkąd tu mieszkamy, a tego dnia odwiedziłam je już po raz drugi. Przypominam sobie, że stwierdziłam wtedy, iż nigdy w życiu nie będzie mnie stać na taki mebel, a w każdym razie na pewno w ciągu następnych kilku lat. Pamiętam, że spojrzałam na paznokcie u nóg i zauważyłam, że lakier nie rozmazał się, gdy biegłam.

- Czy z Calebem wszystko dobrze? - zapytałam. Właśnie wtedy policjant, który trzymał mnie za ramię, wyszedł i pojawiła się policjantka, około czterdziestki, z szerokimi biodrami, mocno opalona. Ujęła moje dłonie i powiedziała, że nie jest dobrze i że jeszcze nie wiedzą, co się stało, ale Caleb umarł.

- Umarł?! - Mój głos był zdecydowanie zbyt głośny.

Na zewnątrz wciąż słychać było krzyk Tracy. Nie wypowiadała już słów, tylko wydawała z siebie ten przeraźliwy lament. „Ucisz się” - pomyślałam. „Ucisz się i pozwól mi słuchać”.

- Umarł?

- Przykro mi - powiedziała trzymająca mnie za rękę policjantka.

Nie pamiętam, co było potem. Nie pamiętam, co mówiłam. Domagałam się chyba szczegółów, pytać, jak to się stało, bo miła policjantka powiedziała delikatnym, kojącym głosem, że przypuszczają, iż był to zespół nagłej śmierci niemowlęcia. Caleb nic nie czuł, po prostu zasnął i przestał oddychać. Zasnął i nigdy już się nie obudzi.

- Przeprowadzimy sekcję zwłok - powiedziała, a ja pomyślałam sobie: „Sekcja zwłok? Ale to się robi ze zmarłymi. A mój synek nie mógł umrzeć, przecież nawet nie jest jeszcze osobą, nie je zwykłego jedzenia, nie nauczył się siadać i trzymać przedmiotów, nawet się do mnie nie uśmiechnął...”

Miła policjantka patrzyła na mnie i coś mówiła. „Pytanie” - pomyślałam. Zadała mi pytanie i czeka na odpowiedź.

- Przepraszam - odezwałam się grzecznie, jak uczyła mnie mama, gdy byłam jeszcze Lisą i mieszkałam w niewielkim domu w północno-wschodniej Filadelfii. „Dobre

wychowanie nic nie kosztuje" - wciąż powtarzała. „Dobre wychowanie jest darmowe". - Przepraszam. Nie usłyszałam pytania.

- Do kogo możemy zadzwonić?

Podaliśmy numer telefonu męża. Potem jego nazwisko. Patrzyłam, jak coraz szerzej otwiera oczy.

- Tak mi przykro - powiedziała znów i poklepała mnie po przedramieniu.

Zastanawiałam się, czy jego sława sprawiała, że było jej bardziej przykro, niż gdybyśmy byli zwykłymi ludźmi, gdyby Caleb był czymkolwiek dzieckiem.

„Powinnam poprosić, żeby mnie do niego zaprowadzili" - pomyślałam. Tak zrobiłaby pogrążona w żalu matka. Przez dziesięć tygodni jego życia często czułam, jakbym nie była prawdziwą matką, jakbym tylko wcielała się w jej rolę. Teraz musiałam wcielić się w rolę matki pogrążonej w żalu.

Poprowadziła mnie pod hiszpańskimi łukami, wyłożonym płytkami korytarzem, wzdłuż półek z manekinami o twarzach i oczach bez wyrazu, w rozmaitych perukach na głowach. W sypialni kłębili się sanitariusze z pogotowia i policjanci, ale rozstąpili się bez słowa, gdy przechodziłam między nimi. *Odwróć się, odwróć się, ty piękna panno młoda...* Caleb leżał na patchworkowej narzucie, ubrany w białą-niebieską koszulkę z kaczuszką na środku i niebieskie spodenki dresowe, które założyłam mu tego ranka. Miał zamknięte oczy i ściągnięte brwi, jakby myślał o czymś smutnym, usteczka zaciśnięte jak pączek róży. Wyglądał doskonale. Doskonale, pięknie i spokojnie, jak nigdy w ciągu swego dziesięcioletniego życia.

Gdy szłam do niego, czułam, że powietrze staje się coraz cięższe, zmienia się w coś gęstszego i zimnego. Moje stopy chciały się zatrzymać, zastygnąć na środku beżowego dywanu Trący. Moje powieki chciały się zamknąć. Chciałam tego nie widzieć, nie być tam. Chciałam cofnąć zegar, zacząć dzień od nowa, tydzień, miesiąc, rok. Chciałam, by to nie była prawda.

„Gdybym była lepszą matką" - pomyślałam. „Gdybym bardziej go chciała. Gdyby tak mi się nie śpieszyło do wyjścia.

- Nie powiedziałam – powiedziałam łagodnie. – Nie – powtórzyłam głośniejszym głosem. Przypomniał mi się Sam w poczekalni oddziału położniczego, obejmujący mnie, gdy śmiałam się, szczęśliwa i skrępowana. „Nauczę go zapasów! I nurkowania w falach, kiedy będziemy chodzili na poranne pływanie! Jego mama może nauczyć go, jak się zachowywać, ale nie zrobi z niego maminsynka. Nie z niego!" Caleb leżał tam taki cichy, z nieruchomą twarzą. Jedną rączkę miał wyciągniętą wzdłuż ciała, druga leżała na piersiach. Chciałam go podnieść i przytulić, ale policjantki powiedziały, że nie mogę.

- Pamiętam, że miał długie paznokcie - powiedziałam koleżankom.

Becky skryła twarz w chusteczce. Ayinde ocierała oczy.

- Przykro mi - szepnęła Kelly. - Tak mi przykro.

Wypiłam kolejnego drinka. Słyszałam zlewające się ze sobą słowa, ale nie obchodziło mnie to. Wreszcie dotarłam do końca.

- Miałam zamiar je obciąć, ale w książkach pisali, by zrobić to, gdy będzie spał, a on prawie w ogóle nie spał. Wciąż machał rączkami, a wtedy...

Wyprostowałam się i próbowałam przybrać spokojny wyraz twarzy.

- Później wróciłam do domu - powiedziałam, nie podnosząc wzroku. - I przyjechałam tutaj.

W ciszy słyszałam ich oddechy.

- To nie twoja wina - powiedziała w końcu Becky. - To mogło się zdarzyć, nawet gdyby spał w domu. Nawet gdybyś go przytulała.

- Wiem. - Odetchnęłam głęboko. - Mój rozum wie, ale tutaj... - Położyłam dłoń na sercu. Jeszcze nie mogłam opowiedzieć im tej historii do końca. Telefon wciąż dzwonił i dzwonił, gdy stałam w pokoju z Calebem na środku patchworkowej kapy, głos Sama w słuchawce, wysoki i spięty, gdy mówił, że dzwoniła do niego policja i czy nic mi się nie stało. Czy z dzieckiem wszystko dobrze? Co się dzieje? Otworzyłam usta, by mu powiedzieć, ale nie wydobyły się z nich żadne słowa. Nie byłam w stanie wydobyć z siebie głosu ani tej nocy, ani przez następne dwadzieścia cztery godziny, aż do pogrzebu. Po ceremonii stałam sztywno jak manekin, gdy ludzie obejmowali mnie i ściskali moje dłonie, wypowiadali słowa, które brzmiały w moich uszach jak zakłócenia fal radiowych.

Później, po kilku filiżankach mocnej kawy z mlekiem i ciasteczkach migdałowych, wyszłam z Mas i ruszyłam wolno wzdłuż Walnut Street. Było już po jedenastej, ale znów zrobiło się głośno. Na chodnikach kłębili się ludzie: starsze pary wracające do domu po wystawnych kolacjach, dziewczyny w obcisłych džinsach i szpiczastych butach na szpilkach. Kawiarenka internetowa była wciąż otwarta, wszystkie sześć komputerów wolnych. Wśliznęłam się przed jeden z monitorów i wstukałam imię mojego męża i adres e-mailu. *Jestem tutaj* - napisałam. Pomyślałam, że powinnam napisać: „Wszystko dobrze”, ale to jeszcze nie była prawda, więc dodałam: *Jestem w domu*.

TLR

PAŹDZIERNIK

KELLY

„Szczęściara”. Gdyby Kelly usłyszała to słowo jeszcze raz, musiałaby kogoś zamordować. Najpewniej swojego męża.

Weszła do mieszkania i zdjęła buty, nim jeszcze drzwi zdążyły się za nią zatrzasnąć. Lamy w salonie były zgaszone, ale nawet w słabym świetle sączącym się przez rolety dostrzegła bałagan - trampki Steve'a pod stołem, koszula rzucona na stertę gazet z poprzedniej niedzieli.

- Co powiedzieli? - Głos Steve'a wydobywał się z ciemności. Kelly zerknęła w mrok. Siedział dokładnie tam, gdzie go zostawiła w porze lunchu ~ ze skrzyżowanymi nogami, na ziemi, przed stojącym na stoliku laptopem. Nigdzie nie zauważyła Olivera. Śpi. Prawdopodobnie. Miała nadzieję.

- Powiedzieli, że super. Mogę zacząć w przyszłym tygodniu - odparła. W sypialni zdjęła rajstopy i rzuciła je na nie-pościelone łóżko. Obejrzała spódnice i żakiet i stwierdziła, że nie musi ich jeszcze zanościć do pralni chemicznej. Powiesiła je na wieszaku. Rozpięła stanik z fiszbinami, które wpijały się jej w ciało przez całe popołudnie. Założyła spodnie dresowe i T-shirt, spięła włosy w kucyk i wstrzymała oddech, podchodząc na palcach do łóżeczka Olivera. Wciąż nie mogła uwierzyć, że spędziła popołudnie na rozmowie o pracę, do której planowała wrócić, gdy Oliver skończy rok, jeśli w ogóle. Kiedy po raz pierwszy poruszyła w rozmowie ze Steve'em możliwość powrotu do pracy, spodziewała się, że spojrzy na nią jak na wariatkę i powie: „Absolutnie nie!”. Myślała, że będzie oburzony i wściekły na samą myśl o tym, że ona musi pracować, gdyż on nie jest w stanie zapewnić bytu rodzinie. I myślała, marzyła, że to oburzenie i wściekłość spowodowane jej chęcią powrotu do pracy i przynoszenia wypłaty, bo on nie mógł albo nie potrafił, rozpali w nim ogień i sprawi, że ruszy tyłek, podniesie się z kanapy i w ciągu tygodnia znajdzie sobie robotę.

Tak się nie stało.

-Jeśli tego chcesz - powiedział, wzruszając ramionami. - Wiesz, że nie musisz, ale jeśli będziesz z tego powodu szczęśliwa, powinnaś to zrobić.

„Szczęśliwa” - pomyślała. To słowo sprawiało jej taki sam ból jak słowo „szczęściara”. Ale wszelkie nadzieje, jakie żywiła, że na jej widok szefowa powie, iż chyba musiała oszaleć, by wracać do pracy, mając niemowlę w domu, zostały rozwiane w momencie, gdy weszła do biura.

- Och, wspaniale, dzięki Bogu! - wykrzyknęła Elizabeth, jej szefowa w Eventives,

podnosząc ramiona ku niebu. Elizabeth była filadelfijską odmianą pracownika Manhattanu, z chłopakiem w Nowym Jorku, który przyjeżdżał do niej pociągiem – „by jak mawiała – moje życie było ciekawe.”

Miała ciemne, lśniące włosy ostrzyżone na pazia i używała mocno różowej szminki. Kelly nigdy nie widziała jej w innych butach niż szpilki i bez pasującej do nich torebki. - Jesteśmy zawałeni pracą. Toniemy! Mamy więcej przyjąć, niż jesteśmy w stanie obsłużyć. Z radością przyjmujemy cię z powrotem.

- Wspaniale! - rzekła Kelly, starając się ze wszystkich sił, by zabrzmiało to entuzjastycznie.

- Rzecz w tym - powiedziała Elizabeth, oparta jednym biodrem o róg biurka, ze skrzyżowanymi okazałymi nogami, kiwając zielonym czółenkiem ze skóry węża, zawieszonym na jednym palcu stopy. - Muszę na tobie polegać. Żadnych pieluszkowych sytuacji nadzwyczajnych, żadnych „moje dziecko zachorowało”.

- W porządku! - odparła Kelly.

Elizabeth nie miała dzieci. Żartowała, że ledwie potrafi obchodzić się z kubkiem, więc nie ma co nawet myśleć o dziecku. Nie miała też pojęcia, na czym polega macierzyństwo.

Kelly nie była pewna, czy ona sama to wie, jednak doświadczenie wskazywało, że wiąże się z tym niewiele snu, a w domu zawsze jest bałagan.

- Zaczynam w przyszłym tygodniu - mówiła Kelly, chodząc po salonie i zbierając porozrzucane gazety i magazyny, trampki i kurtkę Steve'a oraz egzemplarz książki *Jakiego koloru jest twój spadochron?* - Będziemy musieli kogoś zatrudnić.

- Po co?

- By zajął się dzieckiem.

- A co, ja nie jestem wystarczająco dobry? - zapytał Steve. Mówił lekkim tonem, ale zabrzmiało poważnie. Kelly poczuła ucisk w żołądku.

- Oczywiście, że jesteś, ale musisz poświęcić czas na poszukiwanie pracy! - „Nie wyszłam za pana Mamę” - dodała w myślach. - Jutro zadzwonię do agencji.

- Dobrze, już dobrze — powiedział Steve, gdy Kelly układała magazyny, wrzucała gazety do pojemnika i zabrała się do zmywania naczyń po lunchu jej męża.

Elizabeth zgodziła się, by Kelly pracowała w domu - „dopóki będziesz wykonywała swoją pracę, a nie oglądała *Barney a* i inne programy dla dzieci”. Tak więc przynajmniej na razie nie będzie musiała martwić się kupowaniem ubrań w nowym rozmiarze. Prawda była taka, że nie mogła pracować w domu. Oddała Steve'owi swój gabinet, by miał komputer, linię telefoniczną i szybki dostęp do Internetu, niezbędne w poszukiwaniu pracy, którą obiecał znaleźć w ciągu kilku tygodni. Będzie zabierała do kawiarni laptop z bezprzewodowym dostępem do Internetu. To i komórka w zupełności

wystarczą. Miała szczęście, że w domu był drugi komputer. „Szczęściara” - pomyślała i powstrzymała szloch, który chciał wyrwać się z jej ust, gdy wkładała książki, buty i magazyny do szafki. „Ha, ale ze mnie szczęściara”.

Oliver zaczął płakać.

- Mam się nim zająć?! - zawołał Steve.

- Nie! - odkrzyknęła Kelly, pobiegła do pokoju dzieciennego i wzięła Olivera na ręce.

Telefon zadzwonił raz, drugi, trzeci. Kelly podniosła słuchawkę, oparła sobie dziecko na biodrze, przytrzymała czystą pieluszkę brodą i poszła do sypialni.

- Słucham?

Dzwoniła jej babcia.

- Jesteś szczęściarą, kochanie, że masz w domu Steve'a do pomocy! Za moich czasów, wiesz, nie było czegoś takiego jak urlop ojcowski. - „No jasne” - pomyślała gorzko. Ten urlop był fikcją, na której stworzenie sama nalegała.

- Nie, nie będziemy nikomu mówić, że cię zwolnili! - powiedziała Steve'owi. - Jak by to zabrzmiało?

- Że mnie zwolnili. - Steve wzruszył ramionami. - To się zdarza, Kelly - dodał z krzywym uśmiechem. - Z tego powodu świat się nie zawali.

Odetchnęła głęboko.

- Zwolnili brzmi jak wywalili. Uważam po prostu, że powinniśmy stworzyć bardziej pozytywne wrażenie. Możemy zwyczajnie mówić, że postanowiłeś zmienić pracę, że teraz jesteś na urlopie ojcowskim i rozglądasz się za nowymi możliwościami.

- Jak uważasz - powiedział, znów wzruszając ramionami. Powtarzała to kłamstwo od czerwca. - Urlop ojcowski - mruknęła z cikliwym uśmiechem przyklejonym do twarzy, jakby to była najpiękniejsza rzecz, o jakiej marzą wszystkie kobiety. - Steve zajmuje się teraz dzieckiem, a potem zacznie rozglądać się za nowymi możliwościami. - Właśnie to wmawiała siostrze i babci, a nawet Becky, Ayinde i Lii. Urlop ojcowski.

Słowa w jej ustach zaczynały smakować jak zepsute mięso, ale kłamstwo było dziwne, a nawet pokrzepiająco swojskie. Kiedy była dziewczynką, podrabiała podpis matki na wykazie ocen Terry i odbierała telefon, gdy dzwonił dyrektor. „Mama nie może podejść teraz do telefonu” - mówiła. - „Słucham? Przykro mi, nie ma jej w tej chwili” albo „Nie czuje się dobrze”. Jednak prawda była inna: „O trzeciej zaczyna dolewać sobie burbona do puszek taba i gadać do telewizora”, ale nie mogła tego powiedzieć dyrektorowi ani trenerowi piłki nożnej Terry, który dzwonił i pytał, dlaczego ich mama nie pojawiła się w stroju klubowym na ostatnim meczu. „Przykro mi” - mówiła Kelly. Jednak nie było jej za grosz przykro. Czowała dziwny dreszczyk, rodzaj ekscy-

tacji. Czowała się ważna. Miała dziesięć lat, potem jedenaście i dwanaście, a jej bracia i siostry traktowali dom jak stację przesiadkową, jakby był czymś nieprzyjemnym, co musieli znosić tylko do czasu, gdy będą mogli uciec. Kelly starała się dbać o dom. Podłoga w kuchni była zawsze zamieciona, a poduszki na kanapie ułożone, podczas gdy Mary, Doreen i Michael, a nawet Maureen, wchodzili i wychodzili, brali coś z lodówki do jedzenia, pili mleko i soki prosto z kartonów, wyciągali szkolne mundurki prosto z suszarki, zawsze w pośpiechu.

To ona odbierała telefony, podrabiała podpisy, ściągała w nocy z matki zrobiony na drutach przez ciotkę Kathleen brązowopomarańczowy sweter i wyjmowała z jej dłoni ostatnią puszkę taba. Zmywała naczynia po kolacji i porządkowała salon, gdy matka chrapała na kanapie, uciszając wchodzące rodzeństwo:

- Cii, mama śpi.

- Mama jest wstawiona - mówiła Terry z wypiekami na twarzy, śmierdząca dymem papierosowym i kipiąca typowym dla czternastolatki buntem.

- Cicho bądź - powtarzała Kelly. - Idź spać.

Była więc przyzwyczajona do przekładania prawdy na strawne kłamstwo. Przez całe dzieciństwo magicznie zmieniała słowa: „wstawiona” na „zajęta” albo „chora”, lub też „śpi”. I gdy się postarała, umiała „zwolnili” przerobić na „urlop ojcowski”.

- A ty jak się czujesz? - zapytała babcia. - Mary mówiła, że wracasz do pracy - Kelly wiedziała, co myśli o tym babcia Pat. Prawdopodobnie cała jej rodzina tak myślała. Jaka kobieta wraca do pracy po dwunastu tygodniach od urodzenia dziecka? „Kobieta, która musi zapłacić za mieszkanie, właśnie taka” - chciała krzyknąć.

- Wszystko dobrze - powiedziała. - Wszystko dobrze.

Steve pojawił się w pokoju, gdy Kelly i jej babcia rozmawiały o rzeczach mało istotnych. Miał na sobie podkoszulek i te same poplamione spodnie od tygodnia, z rozporkiem zapinającym się tylko do połowy. Garnitury i krawaty Steve'a miały najwyraźniej ciąglą przerwę. Gdy już szósty wieczór z rzędu była zmuszona patrzeć na jego bokserki, nie wytrzymała.

- Starasz się o rolę Ala Bundy'ego? - zapytała stanowczo.

Wyprostował się, gdyż wcześniej leżał rozwalony na kanapie i ćwiczył palce na pi-locie od telewizora, drugą ręką bawiąc się suwakiem. Spojrzał na Kelly i zamrugał oczami.

- Dlaczego jesteś taka wściekła? - zapytał.

„Żartujesz sobie? — chciała odpowiedzieć. I jeszcze; „Za dużo masz czasu?”.

- Wyglądasz niechlujnie - powiedziała. I wróciła do swoich zajęć. Mycia naczyń. Składania prania. Karmienia dziecka. Płacenia rachunków.

- A jak tam twoje dziecko? - gruchała babcia.

- Oliver jest wspaniały - wyrecytowała Kelly.

- A przystojny mąż?

-Bardzo zajęty - odparła, żalując, że to nieprawda. - Rozważa wszystkie możliwości. - Steve unikał jej wzroku. Można było powiedzieć o nim wszystko prócz tego, że jest zajęty, i Kelly wiedziała, że zrzędzi jak matka, wkładając ogromny wysiłek w to, by skłonić go do działania i, miała nadzieję, znalezienia pracy. „Z kim dziś rozmawiałeś? Wysłałeś CV? Dzwoniłeś gdzieś? Zajrzałeś na stronę internetową, o której ci mówiłam?”

A skoro ona zmieniła się w zrzędzącą matkę, Steve siłą rzeczy wcielił się w urażonego nastolatka, odburkującego i używającego monosylab. „Tak. Nie. Dobrze. W porządku”. Pewnego szczególnie wyczerpującego sierpniowego dnia, kiedy oboje ślinali się na nogach, bo Oliver nie spał przez pół nocy, wrzasnął na nią:

- Nikt nie przyjmuje do pracy! Jest lato i nikt nie przyjmuje! Odczepisz się ode mnie na dziesięć minut? Proszę.

Ale nie mogła. Nie mogła się odczepić, nie potrafiła rozluźnić się i nie umiała powiedzieć mu o czymś, co przerażało ją i prześladowało w snach - że wyszła za nieudacznika. Nieudacznika jak jej ojciec. Człowieka, którego nie obchodziło, że jego dzieci nie wyjeżdżają na wakacje, noszą używane rzeczy i jeżdżą furgonetką podarowaną przez kościół. Jednak zamiast to powiedzieć, mruknęła pod nosem przeprosiny i poszła wykapać dziecko.

- U nas wszystko dobrze - powiedziała babci. Niemal zderzyła się z mężem, idąc do łazienki ze słuchawką pod brodą, Oliverem na rękach, schylając się, by zebrać z podłogi brudne skarpetki i bieliznę Steve'a i wrzucić je do kosza na pranie. — Niedługo zadzwonimy.

Odłożyła słuchawkę, przewinęła Olivera, a gdy pocałowała go w brzusek i policzki, chłopiec zaczął machać rączkami i się śmiać. W salonie Steve rozsiadł się z rozpiętym do połowy rozporkiem przed monitorem laptopa, na którym toczył się mecz koszykówki. Wspaniale. Gdy usłyszał zbliżającą się Kelly, z poczuciem winy przeszedł na mon-ster.com i zgarbił się, jakby obawiał się, że go uderzy.

- Jak się czuje twoja babcia? - zapytał, nawet się nie odwracając.

- Dobrze - odpowiedziała, otwierając lodówkę, która powitała ją ponurym widokiem dwutygodniowego soku pomarańczowego, dwoma gnijącymi jabłkami i chlebem wyglądającym na eksperyment naukowy, gdyż każda kromka pokryta była niebieskozielonym meszkiem.

- Zamówić chińszczyznę?! - zawołał Steve. Kelly przymknęła oczy. Chińskie jedzenie kosztowało trzydzieści dolarów, co nie było wielką sumą, gdy Steve pracował, ale teraz, kiedy nie miał dochodów, dania z przywozem stały się luksusem. Ale na myśl o

rozmrażaniu jednego ze zdrowych, pełnowartościowych posiłków, które przygotowała, będąc jeszcze w ciąży, kiedy Steve miał pracę, chciało się jej płakać.

- Jasne - powiedziała. - Weź dla mnie kurczaka z brokułami, dobrze?

Jedli, jak co wieczór, niewiele rozmawiając. „Poproszę sos” - mówiła Kelly. „Mogę jeszcze trochę wody?” - pytał Steve. Bolesnie przypominało to posiłki w jej domu, usilne próby prowadzenia rozmowy, nie wspominając o najgorszym: o matce kiwającej się na krześle w jednym końcu stołu i ojcu gapiącym się na nich wszystkich z drugiego końca.

Siedzący w bujającym się leżaczku Oliver zatrzepotał do nich długimi rzęsami. Pod stołem Lemon odwrócił się na grzbiet. Steve ziewnął i wyciągnął ramiona w górę.

- Ooo, wielkie ziewnięcie! Tatusz jest taaaki zmęczony - powiedziała Kelly do Olivera. „Po kolejnym długim dniu nic nierobienia!” - z trudem powstrzymała się od dodania. Oliver mlasnął, śledząc każdy kęs ich jedzenia.

- Jesteś głodny, wielkoludzie? - zapytał Steve, uśmiechając się radośnie, i wziął synka na kolana. Pozwolił mu bawić się pałeczkami, co wzbudzało w Kelly wielkie obawy, że wsadzi sobie jedną z nich do nosa albo do oka. Wstała, by pozmywać.

- Mogę jakoś pomóc? - zapytał Steve.

- Nie, nie, dam sobie radę. - Zawsze odbywało się to w ten sam sposób i kiedyś to lubiła. Steve pracował cały dzień, Kelly dbała o dom. Nie czuła się przeciążona obowiązkami, gdy musiała wyjąć uprane rzeczy z suszarki i zrobić zakupy. Tak było sprawiedliwie, gdyż on zarabiał więcej niż ona. „I znów będzie” - pomyślała.

- Jesteś pewna? - zapytał.

- W porządku - zapewniła go.

Zamknęła zmywarkę, wytarła dłonie i zaniósła dziecko do jego pokoju, by je nakarmić i wykapać. O wpół do dziewiątej zaczęła chodzić w tę i z powrotem po korytarzu z synkiem w ramionach, śpiewając mu do snu. Potem sprzątnęła stół, wyrzucając papierowe chusteczki i pałeczki i spoglądając złowrogo na kanapę, która wciąż tkwiła w salonie.

- Wezmę prysznic - powiedziała. Steve pokiwał głową.

Poszła cicho wzdłuż korytarza do pokoju Olivera. Dziecko z zaciśniętymi usteczkami i oczami leżało na pleckach, z nogami i rękami rozrzuconymi na boki. Zamknęła oczy, położyła mu dłoń na piersi i czekała w milczeniu, póki nie wyczuła delikatnego wznoszenia się i opadania. Zastanawiała się, ile będzie miał lat, nim ona przestanie wślizgiwać się do jego pokoju i sprawdzać, czy oddycha. Rok? Dwa? Osiemnaście? Na palcach opuściła pokój, poszła do gabinetu, by zanotować uwagi na temat mokrych pieluszek i drzemki Olivera, a następnie napisała radosnego e-maila do firmy cateringowej, florystów i muzyków, których znała, **Drodzy koledzy!** — układała w

głowie. — *Jestem pewna, że nie spodziewaliście się wieści ode mnie, ale jestem już w pracy, nieco szybciej, niż planowałam...* Stojący na biurku komputer ożył po jednym kliknięciu myszy.

UCZ DLA AMERYKI - przeczytała na ekranie. Hmm? Zjechała na dół strony, sądząc, że to jakaś pomyłka albo reklama. *Zwracamy się do wybitnych absolwentów college'ów, by poświęcili dwa lata, ucząc w biednych wiejskich i miejskich społecznościach, dając w ten sposób szansę żyjącym tam dzieciom.*

O Boże! Czy Steve poważnie myślał o przeprowadzce do jakichś slumsów z żoną i dzieckiem? Kelly przełknęła ciężko. Oszołomiona i zaniepokojona, przejrzała pięć innych okien, których mąż nie zamknął. ZOSTAŃ ASYSTENTEM NAUCZYCIELA W SZKOŁACH FILADELFII - zachęcało jedno z nich. Była też strona ze wskazówkami dotyczącymi rocznego programu dla nauczycieli na Uniwersytecie Tempie.

Nauczanie. Dobry Boże! Przypomniała sobie dzień ich ślubu, jak walczył z księdzem o zwrot „na dobre i na złe”. Nie chciał nawet wymówić słowa „złe”.

- To nie jest możliwe - tłumaczył spokojnie ojcu Frankowi, który spoglądał to na niego, to na Kelly, a jego krzaczaste brwi uniosły się, jakby chciał zapytać: „Czy on sobie żartuje?”

Kelly usiadła przed komputerem, czując serce objające się o żebra. Nie mógł myśleć o tym poważnie... a może mógł? Przypomniała sobie pana Dubeo, który całe rodzeństwo O'Harów uczył historii Ameryki i jeździł tym samym chevroletem Nova przez czternaście lat, gdy byli w szkole. Pan Dubeo nosił grube plastikowe okulary i krawaty z poliestru. Miał ich pięć i każdego dnia zakładał inny. I tak przez czternaście lat. Przynosił w teczce zawinięte w folię kanapki i zjadał je przy swoim biurku na czwartej przerwie. Steve nie mógł rozważać możliwości zostania nauczycielem. Nie mógł.

Oliver zaczął marudzić w łóżeczku, więc powlokła się do jego pokoju i wzięła dziecko na ręce. Jej mały cudowny, słodki chłopiec. Pocałowała synka w brzuszek, przewinęła, zaniósła do salonu i usiadła na wstrętnej kanapie, by go nakarmić. Trzymając prawą dłońią główkę Olivera, próbowała zlekceważyć unoszący się w powietrzu kurz i nową stertę gazet na podłodze. Zamiast zwalniać przychodzącą co tydzień kobietę do sprzątania, ze względu na oszczędności, powinna była wymówić telewizję kablową. Mogłaby się założyć, że Steve zaczęłby intensywniej szukać pracy, gdyby nie miał w zasięgu palców trzystu kanałów. Założyłaby się o wszystkie pieniądze, że garnitury nie poszłyby w odstawkę, a na kanapie nie odcisnęłyby się jego tyłek.

Kiedy dziecko znów zasnęło, zdjęła z siebie ubrania i rzuciła na podłogę obok łóżka, a potem, w samych majtkach i staniku, wślizgnęła się pod kołdrę. Lemon oddychał jej prosto w twarz psim oddechem. Pięć minut później Steve też był w łóżku i

dobierał się do niej. „Chyba sobie żartujesz” - pomyślała, zaciskając oczy, nim się zorientowała, że nie próbuje dotknąć jej piersi ani nogi, ale chce wziąć ją za rękę.

- Kelly.

Oddychała powoli i głęboko.

- Kelly, porozmawiamy o tym?

Zlekceważyła go. „Nie, nie porozmawiamy o tym. Nie ma o czym rozmawiać. Znajdziesz taką pracę, jaką miałeś, gdy się pobieraliśmy, a ja będę w domu z naszym dzieckiem, tak jak ustaliliśmy”.

Steve westchnął i przekręcił się na plecy.

- Nie musisz wracać do pracy, jeśli nie chcesz - powiedział.

Kelly odwróciła się, by spojrzeć mu w twarz.

- Znalazłeś pracę? - spytała pośpiesznie.

Steve odsunął się.

- Jezu, przestraszyłaś mnie!

- Dostałeś pracę? - spytała ponownie.

- Nie, Kelly, nie znalazłem pracy w ciągu ostatnich dziesięciu minut, ale nie ma powodów do paniki. Mamy oszczędności.

„To prawda” - pomyślała Kelly. Steve sprzedał za przyzwoitą sumę udziały w internetowej firmie inwestycyjnej, której pomógł wyjść na prostą zaraz po skończeniu studiów - nie były to miliony, na które zasługiwali on i jego partnerzy, ale mimo wszystko mieli w banku więcej niż inne małżeństwa w ich wieku. Jednak nie chciała ruszać oszczędności, bo co by było, gdyby się skończyły?

- Nie chcę ruszać oszczędności - powiedziała.

- No tak... - Widziała w ciemnościach, że wzruszył ramionami. - Okoliczności się zmieniły. Możemy wykorzystać te odłożone pieniądze, gdy będę szukał pracy.

- Ale ja nie chcę - powtórzyła. - Nie czułabym się z tym dobrze. Praca mi nie przeszkadza. - „Kłamczucha” - pomyślała. - Jednak chcę, żebyś ty też pracował. Nie chcę wydawać pieniędzy, które powinniśmy zainwestować.

- A ja chcę znaleźć pracę, którą będę lubił, a to wymaga czasu - oświadczył Steve głosem marudzącego dziecka. Kapryśnego. Słabego. - Nie byłem szczęśliwy w dużej firmie, Kelly.

- Cóż, czy ktoś kiedykolwiek powiedział, że praca powinna uszczęśliwiać? - zapytała. - Właśnie dlatego nazywa się to pracą, wiesz? Myślisz, że ja jestem szczęśliwa w mojej? Dorastając, nie marzyłam o organizowaniu przyjęć bożonarodzeniowych i letnich pikników dla stad czterdziestoletnich facetów w garniturach. Ale robię to, bo pozwala opłacać rachunki.

Jej mąż odetchnął głośno, okazując w ten sposób frustrację.

- Idę spać - powiedziała Kelly. Jednak nie mogła. Gdy Steve zaczął chrapać, wysłiznęła się z łóżka i poszła do gabinetu, gdzie otworzyła folder „Ulubione”. Była tam owalna toaletka i kubistyczne stołki barowe, a także łóżko Don-ghia. Siedziała tak wpatrzona w oświetlający jej twarz na niebiesko ekran przez trzy godziny, aż do chwili, gdy płacz synka wezwał ją na karmienie.

BECKY

-Oj! Oj! Kolejne ulanie! - szczebiotała Mimi.

Becky modliła się, już chyba milionowy raz w ciągu ostatnich trzech tygodni, o siłę, by nie zamordować swojej teściowej. Spojrzała na Avę, której zupełnie nic nie dolegało.

-Myślę, że gdybyś ją po prostu wytarła...

- Och, zaraz założę jej czyste ubranko. - „Które będzie już czwartym ubrankiem Avy tego dnia - nieźle” - pomyślała Becky. Gdy Mimi przyjechała pierwszy raz, przebrała dziecko siedem razy, nim nadeszła pora lunchu. Becky nie miałyby nic przeciwko temu, gdyby nie to, że to ona prała, a Mimi nalegała, by ubierać Avę w rzeczy, które zdaniem Becky były odpowiednie dla dziecka dziwki. W tej chwili dziewczynka miała na sobie miniaturowe postrzępione džinsy z łańcuchem zwisającym z kieszeni i różowe body z napisem ANIOŁEK BABCI. Elementem wykończenia była różowobiała, wyszywana cekinami koronkowa opaska, założona na wciąż łysą główkę Avy.

- Myślisz, że włosy niedługo jej urosną? - zapytała Mimi, tak jak codziennie niosąc dziecko po schodach. Jej własny łańcuch dyndał, a różowe szpilki stuknęły o drewno.

- Nie wiem - odpowiedziała Becky. „Nie obchodzi mnie to” - pomyślała.

- Niedługo będziesz miała włosy - poinformowała Mimi Avę. - Staniesz się wtedy taka śliczna! Wszyscy chłopcy będą chcieli mieć twój numer telefonu!

-Już jest śliczna! - zawołała Becky. - I mądra! I miła! A chłopcy nas jeszcze nie obchodzą! I... chrzanić to - mruknęła i zapadła się w kanapę. To było okropne. Niewiarogodne. Nieznośne. Niedopuszczalne. Jednak po dwudziestu szczęściu dniach pobytu Niimi nic dawszy żadnych znaków że niedługo ich opuści. Co gorsza, Andrew nie wykazywał chęci, by ją do tego zmusić.

- Ona jest samotna, Becky. Lubi tu być. Przecież ci pomaga.

Becky nic nie odparła. Nie wiedziała, jak powiedzieć Andrew, że jest głęboko zaniepokojona, gdy zostawia Avę z Mimi, idąc do pracy. Mimo że nie mogła tego udowodnić, była przekonana, że Mimi lekceważy wszystkie prośby, sugestie i polecenia dotyczące opieki nad Avą i karmienia. „Żadnego normalnego jedzenia” - poinstruowała po raz kolejny Mimi, a gdy wróciła do domu o jedenastej w nocy, język jej córki był fioletowy, a w kuchni znalazła rozdartą folię po opakowaniu jagód. „Żadnych butelek” - powiedziała, ale była całkowicie pewna, że Mimi ukradkiem podawała Avie odżywkę. „Żadnego oglądania telewizji” - prosiła, ale poprzedniego dnia Mimi rozpoczęła rozmowę przy śniadaniu od słów: „Gdy razem z Avą oglądałyśmy Ophrę...” W kwestii ubrań dała za wygraną. Nim zjawiała się Mimi, Becky zgromadziła w komodzie Avy ładne, w rozsądnej cenie, stosowne ubranka z Old Navy i Baby Gap. To się nie liczyło. Kiedy tylko się odwróciła, Mimi przebierała dziecko w coś bardziej dziwaczniejszego. Poprzedniego wieczoru Ava miała na sobie malutką różową spódniczkę baletnicę.

- Do spania! - szepnęła Becky do Andrew, gdy leżeli na niewygodnej, rozkładanej wersalce. - To się musi skończyć!

- Ubrana! - ogłosiła Mimi, niosąc Avę wystrojoną w faldaniastą żółtą sukieneczkę plażową i... „Nie” - pomyślała Becky, mrugając oczami. „No nie”. Jednak tam była. Malutka żółta kokardka w jakiś sposób przyczepiona do główki Avy.

- Mimi, jak...

- Skrobias kukurydziana! - odparła jej teściowa. - Czyni cuda. Teraz już nikt nie pomyśli, że jesteś chłopcem - zagruchała do Avy. — Prawda? Jesteśmy gotowe do zabawy — te słowa skierowała do Becky, nie patrząc na nią.

„Skrobias kukurydziana” - pomyślała Becky, potrząsając głową. Idąc do kuchni, wykrzykiwała w stronę schodów różne propozycje. „Owoce nanercza?” Zbyt wzdymające. „Krakersy z serem?” Czy Andrew nie mówił ci, że mam alergię na pszenicę? Nie? „Jabłko?” Niepryskane? Możesz je pokroić? I obrać? No może gdybyś miała troszkę sera i kilka tych nanerczy i jeszcze kieliszek wina.

Gdy talerz Mimi był już gotowy, a Ava po raz drugi zasnęła, Becky zaczęła przygotowywać kolację. Obcięła trochę rozmarynu ze stojącej na parapecie doniczki, nastawiła w radiu stację nadającą muzykę klasyczną i, by się uspokoić, przeczytała kilka przepisów na clafouti.

Wpół do szóstej Ava zaczęła płakać.

- Idę do niej! - wrzasnęła Mimi. - Łe, śmierdzi!

Becky westchnęła, umyła ręce i poszła przewinać Avę, odliczając minuty do powrotu Andrew. To takie niesprawiedliwe. Miała już plany na nadchodzącą noc. Jakims

cudem, między pracą przez trzy wieczory w tygodniu, prowadzeniem domu, targaniem Avy na muzykę, do grupy dzieci, na jogę i spacerami w parku, udało się jej znaleźć dziesięć minut, by posurfować po sieci i zamówić trzy DVD z filmami dla dorosłych, przy których miała zamiar świętować triumfalny - choć jak dotąd nieplanowany - powrót do małżeńskiego łóża.

Zadzwoił telefon i oczywiście odebrała go Mimi.

- Haloo! Och! - Trzymała telefon w wyciągniętych palcach, jakby był zdechłą rybą.
- Do ciebie.

Becky spojrzała na wyświetlacz i poszła w kierunku dzieciennego pokoju.

- Cześć, mamó - powiedziała.

- Nie mogłaby się ze mną przywitać? - zapytała matka z oburzeniem. - Poza tym dlaczego wciąż jest u was? Jak długo to już trwa?

- Nawet nie pytaj - odparła Becky.

- A wy jak się macie? — zapytała Edith. — Dajesz sobie radę?

Becky ugryzła się w język, by nie powiedzieć tego, co chciała. „Zabierz mnie stąd! Albo pozwól wrócić do domu! Mieszkam z szaloną kobietą i już dłużej tego nie zniosę!”

- Wszystko dobrze - powiedziała jednak. - Trzymamy się.

- Och, kochanie. Szkoda, że nie mogę być z tobą i ci pomóc.

- Wszystko w porządku - powtórzyła Becky. - Zadzwonię później. Muszę kończyć.

Gdy Becky nakrywała stół, a Ava gruchała w swoim leżaczku, Mimi skakała po kanałach i pytała, czy Becky ma pilniczek do paznokci (nie), dietetyczną colę (jak wyżej) i czy mogłaby potrzymać dziecko („Mimi, zostaw ją choć na chwilę w spokoju”).

O siódmej Becky usłyszała wreszcie chrobot przekręcanej klucza w zamku w drzwiach i musiała powstrzymać się, by nie rzucić się razem z dzieckiem na Andrew z błaganem, aby zabrał je do hotelu. Najchętniej w innym kraju.

- Ha, aniołku! - powiedziała Mimi, szturchnięciem usuwając Becky z drogi i nadstawiając policzek.

- Cześć, mamó! - rzucił Andrew, pospiesznie ją całując. - Cześć, kochanie! - powiedział, obejmując Becky i całując ją już w zupełnie inny sposób. Z ukłuciem żalu pomyślała o trzech płytach wyjętych z pudełek i wetkniętych pomiędzy książki kucharskie.

- Mamy dziś jagnięcinę - oznajmiła Mimi, jakby Andrew sam nie zauważył. - Nigdy tego nie jadaliśmy, gdy Andrew dorastał - powiedziała, patrząc na Becky. - Nie wiem dlaczego. Zawsze mi się zdawało, no, nie wiem, że jagnięcinę kupują ci, których nie stać na steki.

„Cóż, to właśnie mnie i moją rodzinę z nizin społecznych nie stać na steki” - pomy-

ślała Becky. Przeciągała posiłek, najdłużej jak się dało, jednym uchem słuchając, jak Mimi robi przegląd listy uczniów z klasy w liceum Andrew („A ten miły Mark Ascowitz wynajął swojej matce willę na Jamajce. Utrzymujesz z nim kontakt?“). Przez pół godziny kąpała Avę, ubierała w piżamkę, śpiewała jej, aż dziewczynka zasnęła. Gdy wreszcie na palcach wychodziła z pokoju Avy, na korytarzu Mimi dudniła swoimi obcasami, w najmniejszym stopniu nie starając się zachować ciszy.

- Śpijcie dobrze! - miała czelność zawołać przez ramię, znikając w sypialni Andrew i Becky.

Gdy drzwi pokoju się zamknęły, Becky wyciągnęła jedno DVD z książki kucharskiej i schowała do kieszeni. W salonie Andrew mocował się z rozkładaną wersalką.

- Dzięki za wyrozumiałość - powiedział.

- Kupiłam nam prezent - szepnęła Becky, gasząc światło i włączając telewizor.

Gdy pokazała mu płytę, jego wzrok się rozjaśnił.

- Przyjemne!

- Szczerze mówiąc, frywolne - zachichotała. Czekali, trzymając się za ręce i całując.

Gdy od strony schodów zaczął dobiegać chrapliwy oddech Mimi, przyszedł czas na zabawę.

- Kocham cię - szepnął Andrew dwadzieścia minut później, gdy już oboje normalnie oddychali.

- Powinieneś - odparła Becky. Zamknęła oczy i powoli zapadała w sen w rytm chrapania teściowej.

Poranek rozpoczął się od pojawienia się Mimi w kuchni w zamszowych spodniach i ozdobionym futrem swetrze, z wymalowaną twarzą i codziennym gradem życzeń. Czy Becky ma świeży sok z pomarańczy? „Nie”. Aromatyzowaną kawę bezkofeiny? „Nie”. Chleb orkiszowy? „Mimi, nawet nie wiem, co to jest. Przykro mi”.

I właśnie w sekundzie, gdy Becky usiadła, Ava zaczęła płakać.

- Nic się nie martw! - zanuciła Mimi, wrywając dziewczynkę z ramion Becky. - Pooglądamy kasetę, którą przyniosłam.

- Nie puszczaamy jej kaset! - zawołał Andrew.

Mimi zignorowała go.

- Zaraz babcia znajdzie pilota. - Becky usłyszała włączający się telewizor, a za chwilę ruszający odtwarzacz DVD. Andrew i Becky spojrzeli na siebie z niedowierzaniem. „O cholera” - powiedział bezgłośnie Andrew. Oboje popędzili do drzwi. Becky poślizgnęła się i upadła. Andrew przeskoczył przez nią i pogalopował po schodach. Za późno. Nawet ze swojej obecnej pozycji - na podłodze, z twarzą o centymetry od lodówki - słyszała pomruki i jęki i, co gorsza, o Boże, nie, nie, odgłosy miło-

snych zapasów.

„Dobrze ci, kochanie?” - dopytywał się ciepły baryton. Jeszcze ta prosta muzyka, **bomp-chicka-bomp-bomp**. I, jak można się było spodziewać, wrzask Mimi.

- Co to jest?!

„Byłoby to zabawne, gdyby przytrafiło się komuś innemu” - pomyślała Becky, podnosząc się powoli z podłogi. Andrew wyłączył odtwarzacz i zapadła krótka cisza. W gruncie rzeczy i tak było dość zabawnie.

- Co to, na litość boską...

Uf. W końcu wstała, z nadzieją, że Ava nie zobaczyła czegoś, co wywołałoby u niej trwały uraz, i ruszyła po schodach na górę, gdzie Andrew wyjąkał wyjaśnienie, które można było podsumować następująco: „Nie mam pojęcia, skąd to się wzięło”.

- Nie tak cię wychowałam! - wrzasnęła Mimi, stojąc naprzeciwko telewizora, z dłońmi opartymi na biodrach. Becky zacisnęła wargi, wzbraniając się przed wybuchem wstrząsającego całym ciałem śmiechu.

-Jeszcze nic w ŻYCIU nie wzbudziło we mnie takiego obrzydzenia!

„Dobrze, że nie trafiła na tę scenę z seksem analnym” - pomyślała Becky. Stało się. Zgięła się wpół, a po jej policzkach płynęły łzy, gdy Andrew nie przestawał się tłumaczyć.

- Powinieneś się wstydzić – Krzyczała Mimi z oczami błyszczącymi gniewem pod grubą warstwą tuszu.

Becky otarła łzy, postanawiając sobie, że niezależnie od wszystkiego ta kobieta już nigdy nie wpędzi jej męża, a swojego syna, w poczucie winy z powodu seksu. Wyprostowała ramiona, odgarnęła włosy, podniosła porzuconą na kanapie Awę i powiedziała jedyną rzecz, jaka mogła uratować tyłek Andrew:

- Prawdę powiedziawszy, Mimi, to jest moje.

-Ty... Ty... - Przerzedzone czarne włosy Mimi stanęły dęba. Nawet futro na jej swetrze zdawało się drzeć.

- Moje - powtórzyła Becky. Wysunęła płytę z odtwarzacza i wetknęła ją do tylnej kieszeni. - Szczególnie lubię Jessę Blake. Wyjątkowo podobała mi się we **Wzwodzie w smokingu IV**.

-Ja... ty... och! - wykrzyknęła Mimi. Rzuciła Becky jadowite spojrzenie i wbiegła po schodach, zatraskując za sobą drzwi ich sypialni. Becky spojrzała na Andrew, który w odpowiedzi popatrzył na nią, z czającym się w kącikach ust uśmiechem.

- **Wzwód w smokingu IV?**

- Kiedyś to wypożyczę. Nie martw się. Nie trzeba oglądać trzech pierwszych części, żeby docenić walory ostatniej.

Ujął od tyłu jej głowę i przyciągnął do swojej twarzy.

- Niezły z ciebie numer, wiesz o tym?
- W dobrym tego słowa znaczeniu czy złym?
- Niesamowitym - powiedział i pocałował ją w usta. Potem wziął teczkę i wyszedł z domu. Becky zabrała Avę na bardzo długi spacer, a kolejne dwie godziny przesiedziała w kawiarni, nie zwracając uwagi na wrogie spojrzenia obsługi. O czwartej w domu panował spokój, drzwi sypialni nadal były zamknięte. „Mimi wciąż się dąsa” - pomyślała Becky. „Albo dochodzi do siebie po przeżytych szoku”. Właśnie położyła Avę na przewijaku, gdy zadzwonił telefon.

Słucham?

To była Ayinde. Płakała.

- Becky?

-Co ci jest?

Coś się stało - powiedziała. - Możesz przyjechać?

Becky zrobiło się ciężko na sercu.

- Coś z Julianem? Czy coś stało się Julianowi?

- Z Julianem wszystko dobrze - rzekła Ayinde - ale proszę cię, przyjedź.

Znów zaczęła płakać.

- Zaraz będę - odparła Becky, myśląc pośpiesznie: w torbie na rzeczy są chusteczki, czyste ubranka i sześć pieluch, z którymi Ava mogła uporać się w jedno popołudnie.

- Jak będziesz jechała, nie słuchaj radia - powiedziała Ayinde. - Proszę, proszę, obiecaj, że nie będziesz. - Becky obiecała. Przewinęła Avę i wzięła fotelik samochodowy. Zajrzała do torebki, by sprawdzić, czy ma portfel i kluczyki, i wyszła. Dopiero w drodze do Gladwyne zorientowała się, że nie pożegnała się z teściową.

AYINDE

W jej edukacji szczególny nacisk kładło się na klasyków - dużo Szekspira, Milтона, Donne'a, no i Biblia. Ayinde przeczytała wszystko o nieżyjących białych ludziach, opasłe tomy pełne symboli i znaków. Patrząc w przeszłość, sama powinna oczekiwać jakiegoś znaku: pioruna, błyskawicy, gradu lub plagi robactwa. Przynajmniej zalanej piwnicy. A tu nic. Dzień, w którym runął jej świat, był jak każdy inny, a nawet lepszy.

Spała z Julianem w przepastnym łóżku, bez Richarda. Dziecko obudziło się o szóstej rano. Ayinde odsłoniła rolety i usiadła po turecku, opierając się o ścianę i wsłuchując w szum miksera, w którym kucharz przygotowywał koktajl białkowy dla Richarda; szelest przerzucanych stron gazet, leżących na stoliku w jadalni; dźwięk zajeżdżającego na podjazd samochodu florystki.

Rozległo się delikatne pukanie do drzwi.

- Dzień dobry! - zawołała Ayinde. Do pokoju wślizgnęła się Clara, skinęła głową na powitanie, postawiła tacę z herbatą, tostem, miodem i poranną prasą na stoliku w nogach łóżka i wymknęła się. Ayinde zamknęła oczy. Była pewna, że pracownicy gadają o niej. Wiedziała, że żony graczy też. Podczas ostatniego nieoficjalnego spotkania drużyny, w czerwcu, na grillu w letnim domu sędziego w Jersey Shore, zasypały Juliana prezentami: ręcznie robionym sweterkiem z numerem ojca, miniaturowymi Nike'ami, kurteczką z dżinsu i skóry, nylonowym dresikiem Sixersów w rozmiarze dla niemowlaka.

Potem zaczęły się pytania. Tak naprawdę to jedno pytanie: czy znalazł nianię. Wszystkie żony miały stałą pomoc, w większości przypadków z zamieszkaniem. I żadna z nich nie pracowała. Ayinde przypuszczała, że spędzały dni na zakupach, lunchach, w klubach fitness, zawsze gotowe wyjechać z mężem na mecz do innego miasta, wspierać go i uprawiać z nim seks. Nie mogły uwierzyć, że nie chciała mieć opiekunki. Ayinde milczała, cytując sobie w myślach fragment *Sukcesu dziecka: Jeśli Twoja praca ma służyć jedynie poczuciu celu, poczuciu, że coś znaczysz w świecie, chcę, byś podeszła do swojego małżeństwa (jeśli oczywiście nie śpi!) i wzięła Kluczek na ręce. Całe znaczenie, cały sens, wszystko, o czym kiedykolwiek marzyłeś i czego chciałeś, jest w Twoich ramionach. Już masz pracę. Twój zawód to Matka. Nie ma na świecie ważniejszego zajęcia niż to.*

Dawniej Ayinde odrzuciłaby retorykę poradnika Priscilli jako reakcyjne, antyfeministyczne bzdury i może nawet cisnęła książką o ścianę. Ayinde po urodzeniu dziecka, Ayinde z Julianem w ramionach, prześladowana wspomnieniami z dzieciństwa, zdecydowana wychować swoje dziecko w sposób doskonały, a przynajmniej bliski doskonałości, i jeśli miała być szczerą, postanowienie wynikało z trudności ze znalezie-

niem pracy, łyknęła to. Zakładając, że ktoś by ją, matkę z maleńkim dzieckiem zatrudnił, co takiego mogła dać jej praca, czego nie mogło dać dziecko? „Mój zawód to Matka” - powtarzała. Mówiła to tylko do siebie. Raz popełniła błąd i wypowiedziała te słowa głośno przy przyjaciółkach i Becky o mało nie zakrztusiła się ze śmiechu, popijając latte.

Znów rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju wszedł Richard, pachnący wodą po goleniu i mydłem. Luźne nylonowe spodenki do kolan opinały się na jego biodrach. Koszulka bez rękawów ukazywała umięśnione ramiona. „Świetnie wygląda” - pomyślała Ayinde, ale był to podziw podobny do tego, jakim obdarzała rzeźby w muzeum.

- Cześć, kochanie - powiedział, całując ją w czoło. Cześć, człowieczku - dodał i pogładził Juliana po głowie. Przedstawił swój plan dnia - cały dzień spędzi w Tempie, gdzie prowadzi krótki kurs dla graczy ze szkół średnich. Po kolacji spotka się z menedżerem i rzecznikiem prasowym, by omówić szczegóły warunków nowej karty kredytowej. Ujął podbródek Ayinde i delikatnie ją pocałował. Poszedł do kuchni, gdzie czekały na niego gazety i koktajl, potem zapewne na zewnątrz, do samochodu z kierowcą, który miał go zawieźć do Tempie, gdzie kilkudziesięciu uczniów oczekiwało na niego, podekscytowanych na samą myśl

o tym, że będą oddychać tym samym powietrzem co wielki Towne.

Był piękny jesienny poranek, niebo jasne i niebieskie, liście klonów zaczęły zmieniać barwę. Ayinde prowadziła wózek z Julianem wzdłuż długiego podjazdu. Zastanawiała się, czy w Halloween przyjdzie do nich dużo przebierańców. Czy dzieciaki z sąsiedztwa odważą się podejść do drzwi, czy też Richard po prostu umieści ochroniarza w hummerze przy bramie ze skrzynką na listy z torbą cukierków.

O dziesiątej położyła dziecko na zalecaną przez Priscillę Prewitt drzemkę, wzięła prysznic, umyła zęby i ubrała się.

O drugiej pojechała do miasta na lunch z Kelly. Zjadły kurczaka z grilla i sałatkę z arugula we Fresh Fields. Dzieci w tym czasie siedziały w wózkach, nie zwracając na siebie uwagi.

-Jak praca? - zapytała.

- Dobrze! - odparła Kelly, przyglądając rzadkie, proste blond włosy. - Wciąż szukamy opiekunki, na razie Steve siedzi w domu z dzieckiem, ale jest dobrze!

Oliver zaczął się wiercić. Kelly podniosła go, powąchała pupę, skrzywiła się i sięgnęła po torbę.

- O Boże! O nie! Masz pieluszkę? I chusteczki? Steve zawsze tak robi. Wszystko zużywa i nie wkłada nowych. Jak mogłam wyjść z domu bez sprawdzenia?

Ayinde nie mogła powstrzymać uczucia zadowolenia, gdy podawała Kelly paczkę ekologicznych chusteczek z odzyskanej bawełny i pieluszkę z tetry (*najlepsze dla*

środowiska i *delikatnej pupki Kluseczki* - pisała Priscilla Prewitt). Po lunchu przypięła fotelik z dzieckiem na tylnym siedzeniu samochodu i sprawnie schowała wózek do bagażnika. „Mój zawód to Matka” - szepnęła, jadąc do domu. „I jestem w tym dobra” - pomyślała, mimo że czasami nudziło ją to i nużyło, czas ciągnął się jak guma i łapała się na tym, że ciągle spogląda na zegarek, licząc godziny, a nawet minuty do kolejnej drzemki Juliana lub wieczornego spania, gdy mogła w końcu chwilę odpocząć. Z zawodu była matką i całkiem dobrze jej szło.

Gdy dojechała do domu, na podjeździe stało sześć zaparkowanych pośpiesznie samochodów, jakby ich właściciele chcieli podjechać jak najbliżej drzwi wejściowych, nim wbiegli do środka. Ayinde zaparkowała obok ostatniego pojazdu, czując pierwsze ukłucie niepokoju. Cztery obce samochody i dwa, które rozpoznała: czarny lincoln, lśniący i anonimowy, wożący Richarda tam, gdzie musiał dojechać, i audi z napisem na tablicy rejestracyjnej: TRENER - pojazd w charakterystycznym srebrnym kolorze jak włosy jego właściciela. „Nie ma karetki” - stwierdziła, myśląc o Lii.

Przerzuciła torebkę przez ramię, wyciągnęła fotelik z Julianem z samochodu i weszła do domu. Kucharz powoli przecierał blat, który wyglądał na zupełnie czysty, a stojący w pobliżu drzwi menedżer skinął na przywitanie głową, nie patrząc Ayinde w oczy.

Richard siedział w jadalni, zgarbiony, sam jeden u szczytu stołu, przy którym mogło zmieścić się osiemnaście osób. Jego mahoniowa cera miała szary odcień, a usta były sine w kącikach.

- Richard. - Postawiła fotelik z Julianem na stole. - Co się stało?

Uniósł wzrok, by na nią spojrzeć. Na widok malującej się na jego twarzy udręki Ayinde zaczęła się cofać i niemal przewróciła się, zahaczając obcasem o skraj perskiego dywanu.

- Co się stało?

- Muszę ci coś powiedzieć - odparł Richard. Miał przekrwione oczy. „Chory” - pomyślała Ayinde. „Jest chory i potrzebuje pomocy lekarskiej. Powinien być w szpitalu, a nie tutaj...” Rozejrzała się w koło. W jadalni zaczęli pojawiać się obcy ludzie. Mężczyzna w spodniach khaki i wymiętej koszuli w kratę, z dużą kopertą FedExu w ręce, za nim kobieta w granatowym kostiumie, z włosami upiętymi w kok. Żadne z nich nie miało stetoskopu ani lekarskiego fartucha.

- Co się dzieje?

- Może usiadzimy - zaproponował trener. Emanujący łagodnością ton głosu przypominał Ayinde jej ojca - nie tego z prawdziwego życia, oczywiście, ale bohatera, w którego wcielił się na Broadwayu w sztuce *Księżyc o północy*, wtedy gdy mówił swojej scenicznej córce, że jej matka zmarła. Dostał za to nagrodę Tony, pamiętała jak

przez mgłę.

Julian zasnął w foteliku. Mimo to wzięła synka na ręce, przytulając go do siebie. Richard wstał powoli z krzesła i podszedł do niej, poruszając się, jakby nagle postarzał się o dziesięć lat lub zerwał ścięgno, co było największą obawą każdego koszykarza.

- Coś wydarzyło się w Phoenix- powiedział głosem tak cichym, że Ayinde ledwo słyszała.

Phoenix. Phoenix. Richard często tam bywał - tam mieścił się zarząd reklamowanej przez niego firmy produkującej napoje. Ostatni raz był tam trzy tygodnie temu.

- Co się stało? - Wpatrywała się w Richarda, starając się czegoś domyślić. Nabawił się kontuzji, ćwicząc na nieodpowiednim sprzęcie w hotelu?

- Była tam dziewczyna - mruknął.

Ayinde poczuła lód w środku. „Perfумы” - podszepnął umysł i usłużnie podsunął trzy słowa, wypowiedziane głosem, który bezsprzecznie należał do Lolo: „A nie mówiłam?”.

- Ona... - Głos Richarda załamał się. Odchrząknął. – Jest w ciąży.

„Nie” - pomyślała Ayinde. „Nie, Richard, tylko nie to”.

- A ty jesteś ojcem?

- To ustali sąd - powiedziała kobieta w granatowym kostiumie.

- Kim pani jest? - zapytała Ayinde chłodno.

- Christina Crossley - przedstawił trener. - Doradza w sytuacjach kryzysowych. - Przechylił głowę. - Zatrudniłszy ją na... na czas trwania tej sprawy. Dopóki tego jakoś nie rozwiążemy.

Christina Crossley Kryzys! - zanucił umysł Ayinde.

- Ta kobieta wysunęła oskarżenia - powiedziała Christina Crossley. - Richard leci jutro do Phoenix, gdzie pobiorą od niego próbki DNA. Potem... - Uniosła ramiona. - Zobaczymy. - Christina Crossley zacisnęła usta. - Problem w tym, że od razu pobiegła do prasy, do brukowców. „National Examiner” planuje przedstawić tę historię w środę, co oznacza, że inne media potraktują to jako czystą grę.

„Czysta gra” - Ayinde próbowała rozwikłać to stwierdzenie, rozpatrywać każde słowo oddzielnie, ale nie potrafiła odnaleźć sensu. To nie była gra, a już z pewnością nie czysta. Nie dla niej. Nie dla Juliana.

- Zaplanowaliśmy konferencję prasową — kontynuowała Christina Crossley. - Jutro o piątej po południu, żeby informacja ukazała się w wieczornych wiadomościach. - Posłała Ayinde profesjonalny, współczujący uśmiech. - Dzisiejsze popołudnie możemy poświęcić na wypracowanie pani stanowiska.

Ayinde wpatrywała się w kobietę przez chwilę, nim stwierdziła, że jest tylko jedno możliwe stanowisko.

- Wynoście się - powiedziała.

Christina Crossley spojrzała na trenera, potem na Ayinde. Profesjonalny uśmiech stał się chłodniejszy o kilka stopni.

- Pani Towne, nie jestem pewna, czy zdaje sobie pani sprawę z powagi sytuacji. W bardzo dosłownym znaczeniu źródło dochodów Richarda, jego przyszłość zależą od tego, w jaki sposób uda nam się wybrnąć z tej historii...

-WYNOCHA!

Ruszali się szybko - trener, Christina Crossley, błądy jak ściana facet, którego nazwiska nie poznała, w pośpiechu opuścili jadalnię, przemierzając przestrzeń dzielącą ich od drzwi po wypastowanej podłodze i ręcznie tkanym perskim dywanem. Kryształowy żyrandol zatrzęsł się od tupotu ich stóp. Richard i Ayinde, nie licząc dziecka, zostali sami przy stole. Richard odchrząknął. Ayinde wpatrywała się w niego bez słowa, jak sparaliżowana.

- Przepraszam - mruknął.

- Jak mogłeś - powiedziała. Nie było to pytanie, lecz raczej stwierdzenie: „Jak mogłeś”.

- Przepraszam - powtórzył. - Ale, Ayinde, to nic nie znaczy. To tylko jedna noc. Nawet nie znam jej nazwiska!

- Myślisz, że w to uwierzę? - zapytała stanowczo. - Tej nocy, gdy rodził się nasz syn, pachniałeś perfumami innej kobiety...

- Co? - Spojrzał na nią oszołomiony. - Kochanie, o czym ty mówisz?

- Ile?! - wrzasnęła mu w twarz. - Ile kobiet, Richard? Od jak dawna mnie zdradzasz?

- Nie mam pojęcia, o jakich perfumach mówisz. To zdarzyło się tylko ten jeden raz, Ayinde, przysięgam.

- Rozumiem, że mam się czuć z tego powodu lepiej, och, przecież zdradziłeś mnie tylko raz - ironizowała. - Jak mogłeś! Jak mogłeś... - Słowa utknęły jej w gardle. - Dlaczego się nie zabezpieczyłeś?

- Powiedziała, że nie muszę.

- Och, Richard - jęknęła Ayinde. Przez wszystkie lata, gdy go znała, myślała o nim: bystry, życzliwy, nieco próżny, ale nigdy nie pomyślała, że jest głupi. Aż do teraz.

- To był błąd - mówił, wpatrując się w nią udręczonymi oczami. - Przysięgam.

- Już raz przysięgałeś - powiedziała Ayinde. Czuła się, jakby opuściła swoje ciało i przyglądała się wszystkiemu z pewnego dystansu. - Przysięgałeś kochać i szanować mnie. Porzucić wszystkie inne, czy tak? A może coś źle zapamiętałam?

Spojrzał na nią.

- Ty przysięgałeś to samo, a potem wyrzuciłaś mnie z łóżka.

Oszłomienie zaparło jej dech w piersiach.

- Więc to moja wina?

Wlepił wzrok w stół i nic nie odpowiedział.

-Richard, ja urodziłam dziecko...

- Urodziłaś dziecko - powiedział. - A ja się nie liczę? Potrzebowałem cię, a ty mnie odtrąciłaś.

- Więc to moja wina - powtórzyła, myśląc, że to kolejna prawda w życiu Richarda: zawsze jest ktoś, na kogo można zrzucić winę. Za przegraną obwinąć można kolegów z drużyny - obrońcę, który nie przyblokował centry przeciwników, rozgrywającego, który nie wykorzystał rzutu za trzy punkty. Za osobiste niepowodzenia odpowiadali ci, którzy go wychowali - nastoletnia matka, kochająca babcia, obie niewykształcone, za to chętne do rozpieszczania Księcia Richarda. A później NBA - wszystkiego za dużo, za szybko: samochodów, domów, pieniędzy. W razie jakiejś wpadki, skandalu w towarzyskim świątku, Christina Crossley załagodzi każdą nieprzyjemność.

-Przepraszam - powiedział. - Gdybym mógł cofnąć czas... - Zamilkł.

-Musisz zrobić testy na choroby przenoszone drogą płciową. I AIDS - powiedziała. Przez chwilę patrzył na nią ponuro, potem potrząsnął głową. Ayinde jeszcze raz pomyślała o swojej matce. Lolo nie znosiła Richarda, odkąd usłyszała jego nazwisko.

„Sportsmen” - nazywała go ksywką dilerów narkotyków z *Porgy i Bess*. „Jak tam Sportsmen?” - pytała. „Nie wychodzi się za kogoś takiego” - pouczała, gdy Ayinde poprosiła ją o radę. „Nie, w żadnym wypadku! Zabaw się z nim, córeczko. Bądź na zdjęciu w gazecie. A potem znajdź sobie kandydata na męża”.

- Kocham go - powiedziała wtedy Ayinde.

Lolo wzruszyła ramionami i zabrała się znowu do mozolnego mocowania sztucznych rżęs, tych, które nosiła codziennie, nawet gdy schodziła tylko do holu wyjąć ze skrzynki pocztę, gdzie nie było publiczności, z wyjątkiem znużonego portiera.

- W takim razie zginęłaś - zawyrokowała.

Ayinde zmrużyła oczy i spojrzała na Richarda. „Cały świat będzie się z nas śmiał” - pomyślała i ta brutalna myśl sprawiła, że powróciła do swego ciała, do jadalni, do rzeczywistości i czynu męża. „Będą śmiali się ze mnie. I z Juliana”. Uniosła podbródek jeszcze wyżej.

- Wynoś się - powiedziała.

- Będą chcieli z tobą porozmawiać - stwierdził Richard. – O tym, co teraz zrobimy.

- Wynoś się - powtórzyła, ledwo rozpoznając swój głos. Wstał zgarbiony i wyszedł z pokoju, zostawiając ją samą, z Julianem w ramionach. Przyłożyła nos do jego szyi, napawając się zapachem mleka, ciepła, słodkiego oddechu. Pri- scilla Prewitt poświę-

ciła rozdział rozwodom. *Małżeństwo w rozsypce? Skup się na tym, co najważniejsze. Pamiętaj, co jest naprawdę ważne. Pamiętaj, kto jest na pierwszym miejscu. Badania socjologiczne, każde bez wyjątku i zwykły rozsądek mówią to, co przecież wiemy w głębi duszy: dzieci chowają się lepiej, gdy rodzice są razem.*

Ayinde zacisnęła powieki. W domu wciąż byli ludzie, mimo że kazała im wyjść. Gdyby się dobrze wsłuchała, usłyszałyby wszystkich - kucharza, pokojówki, rzecznika prasowego, menedżera, trenera, masażystkę, ogrodnika, projektanta terenów zielonych, zaopatrzeniowca, asystentki, praktykantów i sekretarki, wchodzących do domu i wychodzących, tak jak Richard wszedł i wyszedł z ich małżeństwa. Zastanawiała się, czy wszyscy oni wiedzą, co się stało, czy Richard kiedykolwiek przyprowadził tę kobietę do domu, gdy ona przebywała u rodziców w Nowym Jorku lub gdy spędzała popołudnie poza domem. Zastanawiała się, czy pokojówka słała dla nich łóżko, a kucharz przygotowywał śniadanie dla dwojga.

Opadła na kanapę i sięgnęła po telefon komórkowy. Właśnie wtedy zadzwoniła do przyjaciółek i poprosiła, by spotkały się z nią w domku gościnnym i po drodze nie słuchały radia.

Ayinde zorientowała się, że Richard nie opuścił domu, ale zamknął się w pokoju gościnnym. Kilka razy przechodziła koło tych drzwi z naręczem ubrań swoich i Juliana. Znosiła je po schodach, mijała kuchnię, w której kucharz i Clara stali z opuszczonymi głowami, ostentacyjnie nie patrząc na nią, jadalnię, gdzie siedzieli trener, prawnicy i Christina Crossley. Zamknęła na klucz drzwi domku gościnnego, stanęła na podjeździe z dzieckiem na rękach i czekała.

Pierwszy podjechał samochód Kelly.

- Co się stało? - zapytała przez okno. Wzdłuż bladych policzków zwieszały się mokre kosmyki włosów. Pachniała mydłem. - Nic ci nie jest?

- Chcę poczekać na Becky - odparła Ayinde.

Kelly skinęła głową i wysiadła z samochodu. Od strony pasażera pojawiła się Lia.

- Zajmowałam się Oliverem - wyjaśniła. - Mam nadzieję, że moja obecność ci nie przeszkadza... Chodź - powiedziała, wyciągając ramiona.

Ayinde spostrzegła się, że trzyma Juliana, jakby był workiem ziemniaków, niedbale, jedną ręką w pasie. Zgubił skarpetkę i płakał. „Jak długo płacze?” - zastanawiała się, podając go Lii.

- Cii, cii - szeptała, przytulając go.

Julian włożył kciuk do buzi i gdy mała honda Becky pojawiła się na podjeździe, już nie płakał.

Ayinde wprowadziła je do domku gościnnego, który, zgodnie ze wskazówkami jej

męża, został przekształcony w ekskluzywny klub, z ciężkimi skórzanymi meblami, szerokoekranowym telewizorem, doskonale zaopatrzonym barem na tyłach salonu, gdzie na specjalnie skonstruowanych szklanych półkach stały trofea Richarda. „Wszystko, z wyjątkiem tabliczki: NIE DLA DZIEWCZĄT” - pomyślała Ayinde. Powinna była zamówić taką tabliczkę i przymocować mężowi do spodni na wysokości kroczka.

Usiadły na kanapie, z dziećmi na kolanach. Nie można było już dłużej zwlekać.

- Richard - powiedziała Ayinde. Głos jej drżał. - Pojechał do Phoenix w sprawach służbowych. Poznał... tam była... - Zorientowała się, że nie ma pojęcia, jak to powiedzieć. - Kobieta z Phoenix mówi, że będzie miała jego dziecko. - Tak. Prosto i rzeczowo.

Wszystkie trzy wlepiły w nią oczy.

- Och, nie wierzę - odezwała się w końcu Kelly. - Richard by tego nie zrobił.

- Skąd wiesz? - spytała ostro Ayinde. Kelly spuściła wzrok. - Zrobił to - powiedziała Ayinde. - Przyznał się. A ja mu tak ufałam. - Nagle Ayinde zgięła się w pół i skuliła, przeszywający ból brzucha utrudniał oddychanie. Bolało tysiąc razy bardziej niż podczas porodu.

Becky objęła ją ciepłymi ramionami. Pomogła Ayinde wyprostować się i doprowadziła do kanapy.

- Robił to już wcześniej?

„Perfumy” - szepnęła umysł Ayinde.

- Nie wiem - powiedziała. „Czyżby?” - usłyszała kpiący głos Lolo. „Nie wiesz czy nie chcesz wiedzieć?” - Czy to ma jakiegokolwiek znaczenie? - Przed jej oczami przesuwwały się fragmenty tekstu Priscilli Prewitt. ***Pamiętaj, co się liczy... najważniejszą pracą na świecie... mama i tata pod jednym dachem.*** - Nie mogę go zostawić. Nie z dzieckiem. Nie zrobię tego.

- Więc co zamierzasz? - zapytała Becky.

Ayinde mogła zgadywać, co będzie potem. Gdy pracowała jako reporterka, spuszczała zasłonę milczenia na dziesiątki takich skandali, a o setkach innych czytała. Będzie jak wierny pies trwać przy swoim mężu. Na zdjęciach wpatrywać się w niego z charakterystycznym dla Nancy Regan wyrazem idiotycznego podziwu na twarzy. Jej zadaniem będzie trzymanie go za rękę. Zadaniem świata będzie śmianie się z niej. Stanie się puentą, bohaterką opowieści ku przestrodze, kiepskich dowcipów. I dlaczego? Przez jakąś fankę, cheerleaderkę jednorazowego użytku jak papierowe kubki napełnione napojami energetycznymi, które gracze opróżniają i wyrzucają w czasie meczu? Jakąś kolekcjonerkę nocy z gwiazdami, która triumfalnie przybiegała do swoich koleżanek, chwając się rzuconym jej przez Richarda gadżetem - czapką z autogra-

fem, koszulką, dzieckiem? Znow się skuliła, dysząc, gdy ból przeszywał jej wnętrzności.

Ayinde zawsze marzyła, by głos jej matki był taki jak głos Becky w tej chwili.

- Może powinnaś z nim porozmawiać.

Julian zaczął pojękiwać, co oznaczało, że za chwilę wybuchnie płaczem.

- Cii, kochanie - szepnęła Lia, kołysząc go. Daszek jej czapki rzucał cień na buzię chłopca.

Ayinde czuła, że jej ciało porusza się bez jej woli, ręce przyglądają włosy, a stopy zaczynają iść.

Drzwi pokoju gościnnego były zamknięte, ale nie na klucz. Klamka ugięła się pod jej dłonią. Richard leżał na łóżku po ciemku, w ubraniu i butach, z ramionami przyciśniętymi do boków. „Pozycja martwego ciała” - pomyślała. W jodze nazywa się to pozycją martwego ciała. Otworzyła usta, ale okazało się, że nie ma nic do powiedzenia swojemu mężowi. Zupełnie nic.

TLR

LISTOPAD

LIA

- *Pa pa, pa pa, pa pa, dzieci* - śpiewała entuzjastycznie Kelly, nieco fałszując. Spięte w kucyk włosy kiwały się, gdy pchała wózek z Oliverem po ścieżce. Kelly, Becky, Ayinde i ja umówiliśmy się na kawę po zajęciach muzycznych, na które wszystkie trzy uczęszczały i, z tego, co zdążyłam się zorientować, piosenka *Pa pa* kończyła wszystkie zajęcia. - *Pa pa, pa pa, pa pa, mamusie...*

- Boże, przestań wreszcie - błagała Becky. - Teraz już zawsze bądźcie za mną chodzić. Jest gorsza od Ricka Astleya.

- Wszystkie mają na imię Emma - mruknęła Ayinde i żadnej Ayinde. - Uśmiech na jej twarzy ograniczył się do ust, nie dotknął oczu.

Zastanawiałam się, jak radzi sobie z lekcjami muzyki od czasu wybuchu miniskandalu z Richardem Towne'em w roli głównej. Byłam ciekawa, czy inne mamy gapiły się na nią, czy też starały się tego nie robić. Pomyślałam, że to jest najgorsze. Gdy miałam Caleba, chodziłam do małego parku, gdzie znałam z widzenia kilka kobiet z dziećmi. Pewnego razu, kiedy poszłam tam po tym, co się stało, czułam bijący od nich wysiłek, jak ciepło unoszące się z ziemi w czerwcu, gdy usilnie próbowały nie patrzeć na mnie i nie sypać frazesami, których, mogłam się założyć, musiała wysłuchiwać teraz Ayinde: „Tak nam przykro” i „Jaka szkoda”, i „Czas leczy rany”.

Dołączyłam do nich - trzy mamy, troje dzieci, wszystko tak samo. Jednak moja obecność nie wprawiała ich w zakłopotanie. Może dlatego, że wciąż wszystkie czułyśmy się dziwnie w towarzystwie Ayinde.

- Bardzo mi się podoba sweterek Juliana - powiedziałam.

Twarz Ayinde rozjaśniła się nieco.

- Dziękuję.

Z przodu granatowego sweterka z czerwonymi ściągaczami pasły się wiejskie zwierzątka. Do tego Julian miał na sobie niebieskie dzinsy, dopasowaną czapkę z dzianiny

i miniaturowe najki. Byłam niemal pewna, że jego strój kosztował znacznie więcej niż moje ubrania, które w końcu sobie kupiłam. Nic nadzwyczajnego, zwykłe dzinsy, spodnie khaki i podkoszulki, by uzupełnić moją licealną szafę. Z niebieskim płaszczem matki nie potrafiłam się rozstać.

- Więc posłuchajcie - zaczęła Kelly - Oliver obudził się tej nocy tylko dwa razy. O pierwszej i wpół do piątej. - Spojrzała na nas z nadzieją. Miała podkrążone oczy, skó-

ra pod nimi zdawała się cienka i delikatna. - Chyba można traktować to jako przespaną noc, prawda?

Oczywiście - odparła Beck)' - Tak trzymaj.

Spacerowałyśmy, a ja próbowałam nie czuć się nieswojo bez wózka. Kelly miała oczywiście najnowszy, bardzo drogi bugaboo, taki jak w „In Style” czy *Seksie w wielkim mieście*. Ayinde bez wysiłku przebijając ją wózkiem Silver Cross, który jej matka przywiozła z Londynu. Becky przypięła Avę szelkami w używanym wózku Snap'n Go, jak twierdziła, kupionym na wyprzedaży garażowej. Gdy Kelly spytała, czy spełnia współczesne normy bezpieczeństwa, Becky spojrzała na nią bez wyrazu i odparła:

- Mniej więcej. - I zaczęła się śmiać.

Po dwie wniosłyśmy wózki do przedpokoju mieszkania Becky. Jej dom był ciepły i pachniał szalwią, chlebem kukurydzianym i dyniowym plackiem.

-Będziesz miała u siebie obiad w Święto Dziękczynienia? - zapytałam.

- Nie. U Mimi. Zadzwoń, by zaprosić nas na świąteczny obiad, i powiedziała, że- byśmy przynieśli... - Zawahała się. - Świąteczny obiad.

- Żartujesz sobie?

- Chciałabym. Jednak nie narzekam, przynajmniej się wyprowadziła. - Przewróciła oczami. - Mówiłam wam, że podczas pobytu u nas dostała siedemnaście mandatów? Wracając do Merion, wepchnęła wszystkie pod drzwi. - Skrzywiła się. - Zgadnijcie, kto musiał zapłacić.

- Myślałam, że jest bogata - powiedziała Kelly.

- Pewnie dzięki temu bogaci pozostają bogaci - odparła Becky. - Zmuszają tych, którzy mają mniej szczęścia, do płacenia swoich mandatów. - Becky posadziła Avę na kocu na kuchennej podłodze, pomiędzy Julianem i Oliverem. - Chcecie zagrać? - zapytała. - Razem z Lią wymyśliłyśmy nową zabawę.

Sięgnęłam do szuflady, wyciągnęłam jarmułki i jedną z nich wręczyłam Kelly.

- Spróbuj zarzucić ją Oliverowi na głowę.

Kelly siedziała w bujanym fotelu Becky z pledem zarzuconym na ramiona i przy- mkniętymi oczami. Zmarszczyła nos, patrząc na jarmułkę, którą trzymała w dwóch palcach.

- No nie wiem - powiedziała. - Czy to nie jest obraźliwe?

- To jarmułka, a nie krew Zbawiciela - stwierdziła Becky.

Obserwowałam, jak Kelly obraca nakrycie głowy w dłoniach i wodzi palcem po wyszytym złotą nitką napisie: ANDREW I REBECCA. Do niedawna myślałam, że jest najpogodniejszą osobą, jaką kiedykolwiek znałam. Za każdym razem, gdy się spotykałyśmy, u niej wszystko było dobrze! Świetnie! Wspaniale! Oczywiście, opo-

wiała, że Oliver ciągle nie śpi w nocy dłużej niż trzy-cztery godziny, a ona codziennie pracuje i dodatkowo dwa-trzy razy w tygodniu wychodzi wieczorem na służbowe przyjęcia, przedtem ułożywszy dziecko do snu. Zastanawiałam się, w jaki sposób poradziłaby sobie w sytuacji kryzysowej. Uśmiechnęłam się, wyobrażając sobie rozmowę z nią: „Cześć, mówi Kelly! Noga utknęła mi we wnykach na niedźwiedzie! Mogłabyś przyjechać mi pomóc? Nie? No trudno, w porządku! To całkiem ładna ozdoba!”.

- Dzieciom to nie przeszkadza - powiedziała Becky. Na dowód wzięła od Kelly jarmułkę, ostrożnie wycelowała i zarzuciła ją Avie na głowę. - A tak poważnie, znasz lepszą rozrywkę?

Kelly zacisnęła usta.

- Uważam, że nie powinniśmy rzucać przedmiotami związanymi z kultem religijnym w głowy naszych dzieci.

- Christina Crossley nosi krzyż - odezwała się Ayinde z kąta kuchni, gdzie bez przekonania kartkowała „Saveur”. - Dobre do ćwiczenia dykcji, prawda?

Milczałyśmy przez chwilę - Becky i ja w kącie kuchni, gdzie dzieci leżały na kocu, Kelly w bujanym fotelu, z przymkniętymi oczami.

-Jest... bardzo religijna? - zapytałam.

- Nie wiem - odparła Ayinde, odkładając magazyn. - Może. W przyszłym tygodniu wystąpimy w programie *Sześćdziesiąt minut*, więc może i ma jakieś układy z Bogiem. Albo konszachty z diabłem. Tak czy owak, dostaliśmy z Richardem dwanaście minut w czasie największej oglądalności, by trzymać się za ręce i patrzeć sobie w oczy. Chcecie usłyszeć moje oświadczenie? - Nie czekając na odpowiedź, wyciągnęła z torby kartkę papieru, wyprostowała się i zaczęła czytać: - Proszę wszystkich, by uszanowali naszą prywatność i prywatność naszego synka, gdy razem z mężem staramy się przetrwać ten trudny dla nas czas. - Złożyła kartkę i uśmiechnęła się do nas efektownie, siedząc na barowym stołku w kuchni Becky. - I jak myślicie? Dajecie mi pięć gwiazdek? Dobrze wypadłam? Można do tego tańczyć?

- Och, Ayinde - szepnęła Kelly delikatnie.

Odwróciłam się. Myślałam o moim mężu, jaki potrafił być kochany i troskliwy w czasie naszego krótkiego małżeństwa, gdy byłam w zaawansowanej ciąży i źle się czułam. Nie przypuszczam, by kiedykolwiek nawet spojrzął na inną kobietę, mimo że na co dzień otaczały go piękności.

- Chcesz to zrobić? - zapytała Becky, ale zawstydzona się i zajęła dzbankiem z kawą.

Ayinde schowała oświadczenie do torby.

- Nie chcę, by życie Richarda legło w gruzach - powiedziała, odwracając się do nas tyłem. - Bo to oznaczałoby, że życie Juliana także zostanie zrujnowane. A jeśli nie zrujnowane, to naznaczone. Na zawsze. - Włożyła ręce do kieszeni. - Gdyby nie to, nie wiem. - Odetchnęła gwałtownie, sfrustrowana, zagarniając warkoczyki na twarz. - Przygotowania to szaleństwo. Christina Crossley przez trzy godziny prowadziła wczoraj wideokonferencję z jakimś specjalistą od wizerunku z Dallas, starając się podjąć decyzję co do mojego stroju. Gdybyście były ciekawe, będę ubrana w ciemnoszary kostium Donny Karan, który ma świadczyć o powadze chwili, do tego włożę różową bluzkę z długim rękawem, symbolizującą moje serce.

- Mogłaś pożyczyć ode mnie podkoszulek z napisem JESTEM Z GŁUPCEM - powiedziała Becky, czym zasłużyła sobie na błady uśmiech.

- Oświadczenie jest bardzo dobre! - stwierdziła Kelly żwawo jak zwykle, choć wyglądała, jakby chciała naciągnąć sobie pled na głowę i przespać kilka dni. - Bardzo naturalne. I zwięzłe. - Spojrzała spod nakrycia. - Mogę dostać kawę?

- Ta dziewczyna była w „Dateline” - powiedziała Ayinde.

Żadna z nas się nie odezwała. Już widziałyśmy. Ta dziewczyna, Tiffany Jakaśtam, przelotna znajomość Richarda, była w „Dateline”, u „Rickiego i Montel” i na okładkach kilku innych pism, z brzuchem na pierwszym planie i tytułami stanowiącymi różne odmiany słów KOCHANE DZIECKO. Zdawało się, że jest to niekończące się zainteresowanie nieprzyjemnymi szczegółami tego, co brukowce okrzyknęły *Nocą namiętności z seksownym sixersem Richardem Towne'em*, który przez długi czas był wspaniałym przykładem najbardziej rodzinnego spośród graczy NBA. A ponieważ brukowce ujawniły już wszystkie nazwiska i zdjęcia, tak zwane właściwe gazety czuły się upoważnione do zrobienia tego samego. „Philadelphia Examiner” sfotografował Ayinde z Julianem w nosidełku, gdy szła przez park. Becky i Kelly były wściekłe, ale Ayinde wzruszyła tylko ze znużeniem ramionami i powiedziała, że zasada, by grzechy ojców nie przechodziły na synów, nie dotarła jeszcze do Filadelfii.

- Najgorsze jest to, że ona jest biała - powiedziała Ayinde. Zaczęła kartkować *Poznawanie francuskiej sztuki gotowania*. - Bo teraz to nie tylko kwestia zdrady, ale także wkurzonych rasistów. Tych, którzy bardzo serio biorą do siebie każde spojrzenie czarnego mężczyzny na białą kobietę.

- A co czuli, gdy zenił się z tobą? - zapytałam.

- Och, dla nich jestem wystarczająco czarna - odparła z krzywym uśmiechem. - Małżeństwo Richarda ze mną im nie przeszkadzało. Ale teraz... - potrząsnęła głową. - W drużynie mówi się już o zatrudnieniu dodatkowej osobistej ochrony dla niego podczas meczów - gdy będzie wchodził na boisko i schodził z niego. W Madison Square

Garden jakieś kobiety rzucały w niego prezerwatywami. - Zamknęła książkę i odsta-
wiła na półkę. — Szkoda, że ja nie pomyślałam, by rzucić w niego kilka prezerwa-
tywami.

Jakby to coś zmieniało. Przeszła na środek kuchni, gdzie dzieci leżały w rzędzie pod
ścianą, i rzuciła jarmułką w Juliana. Czapeczka trafiła go w ramię i spadła na kocyk.

- Pięć punktów - powiedziała i usiadła.

Kelly spojrzała na nią szeroko otwartymi oczami.

- Gracie na punkty?

- Dokładniej rzecz biorąc, na pieniądze - odparła Becky. - Pierwsza, która zdobędzie
sto punktów, wygrywa dziesięć dolarów. Jeśli trafisz w głowę i jarmułka utrzyma się
na niej, dostajesz dwadzieścia punktów; jeśli spadnie, dziesięć, pięć punktów za każdą
inną część ciała. A jeśli pierwsze słowa dziecka brzmią: szabat szalom, wy-
grywasz od razu.

-No dobrze - powiedziała Kelly. Obróciła jarmułkę w dłoni i obejrzała się przez ra-
mie, jakby spodziewała się, że ujrzy tam Jezusa, kiwającego groźnie palcem. Zamie-
rzyła się i wyrzuciła jarmułkę w powietrze. Wylądowała na głowie Olivera, zsunięta
na jego czoło. - O nie! - krzyknęła, pośpiesznie wstając, by zdjąć czapeczkę z twarzy
synka. - Będzie cała zaśliniona!

- Nie martw się. Mam ich jeszcze z pięćset - powiedziała Becky. - Mimi jak zwykle
przesadziła. - Przewróciła oczami. - Wczoraj poszliśmy do niej na lunch i Ava ścią-
gnęła jej perukę.

- Mimi nosi perukę? - zdziwiłam się. Nigdy nie widziałam Mimi, ale Becky opo-
wiadała o niej tak dużo, że miałam pewne wyobrażenie... do którego teraz dodałam
perukę.

- Tak. Dla mnie to też było odkrycie - odparła Becky. - Ma problem z rzadziejącymi
włosami, co spowodowane jest poziomem estrogenów. Później opowiedziała mi
wszystko. Wszyyyystko.

- Przynajmniej dzwoni. Przynajmniej zajmuje się dzieckiem - powiedziała Ayinde.

Znów spojrzałyśmy na siebie.

Matka Ayinde, czarująca Lolo Mbezi, tylko raz wybrała się w dwugodzinną podróż
z Nowego Jorku do Filadelfii, a matka Richarda wpadła w drodze do Atlantic City z
ładnie zapakowanym trzykołowym rowerkiem w bagażniku escalade - prezent od Ri-
charda. Nadąsała się, gdy Ayinde wyjaśniła jej, że Julian jeszcze nie umie sam trzy-
mać główki, nie mówiąc o siedzeniu na rowerze.

- Czy matka dzwoniła do ciebie od czasu... - Kelly złożyła jarmułkę na pół, potem
na cztery. - Dzwoniła ostatnio?

- Tak, dzwoni - powiedziała Ayinde. - Oferuje mi wsparcie. Nie powiedziała jesz-

cze: „A nie mówiłam”, ale wiem, że tak myśli. I, jeśli mam być szczerą, sądzę, że się z tego cieszy.

- Dlaczego tak sądzisz? - zapytała Becky.

- Ma dużo pracy od... Wszystkie gazety publikują to głupie zdjęcie, które zrobiliśmy, i jedno z lat siedemdziesiątych.

Wiedziałam, o jakim zdjęciu mówi. Przedstawiało Lolo z profilu w czasach Studia 54, w afrykańskiej koszuli, ze złotymi bransoletkami i pięćdziesięciocentymetrowym afro.

Ayinde westchnęła i objęła długimi palcami kubek z kawą.

- Chciałabym tu zostać.

- W mieście? - zapytała Becky.

- Nie. W twojej kuchni. - Rozejrzała się w koło, spoglądając na czerwone ściany, zagracony stół w jadalni, półki pełne poplamionych sosami książek kucharskich, karmazynowo- -niebieski koc, na którym leżały dzieci.

- Ja też chcę zostać - stwierdziła Kelly, kiwając się w przód i w tył. Wciąż składała jarmułkę, teraz na osiem, na szesnaście części, jakby miała nadzieję, że czapeczka zniknie. Z włosami związanymi w kucyk wyglądała na dwanaście lat.

- Masz jakiś problem? - zapytała Becky.

- Mój mąż - odparła. - Mój mąż jest moim problemem.

- Czeka, czeka, nie mów - odezwała się Ayinde. - Ma romans z dwudziestolatką?

Kelly gładziła koński ogon.

- Zwolnili go. - Wstała, wzięła Olivera pod paszki i przytuliła do siebie. - Wiem, że powiedziałam wam, iż bada nowe możliwości i że jest na urlopie ojcowskim, ale to nieprawda. Stracił pracę i nie bada niczego, prócz programu telewizyjnego. - Zaciśnęła mocno drżące usta.

- Kiedy to się stało? - zapytała Becky.

- W czerwcu. Sześć tygodni przed narodzinami Olivera - odparła Kelly. Całowała pyzatą buźkę synka, a my liczyliśmy w myślach miesiące.

-Nie masz problemów finansowych? - odezwała się w końcu Ayinde.

Kelly zaśmiała się.

- Teraz, kiedy wróciłam do pracy, nie. To znaczy ciągle mówi, że możemy naruszyć nasze oszczędności - tuż po skończeniu studiów uratował z kolegami z opresji internetową firmę inwestycyjną i był jedną z trzech osób w naszym wieku, której udało się zarobić, jednak nie chcę korzystać z tych pieniędzy. Więc sama płacę rachunki. - Bujała się energicznie, klepiąc Olivera po pupie. Wyglądała, jakby

miała się złamać pod ciężarem pyzatego synka. - Nie chciałam wracać do pracy. Zawsze myślałam, że przez rok będę z dzieckiem w domu, ale teraz... - Kiwała się jeszcze szybciej. - Czuję, że nie mam wyboru. I... - Zaczerwieniła się. - Lubię pracować. I to jest w tym wszystkim najgorsze.

- Dlaczego to jest złe? - spytała Becky. - Nie ma nic złego w robieniu tego, co się lubi.

Kelly oparła dziecko na biodrze i zaczęła przechadzać się po kuchni.

- Może nie chodzi o to, że lubię pracować. Lubię wychodzić z domu, by nie przebywać ze Steve'em dwadzieścia cztery godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu, ale wtedy muszę też zostawić dziecko i czuję się winna, bo wiem, że on nie robi nic, co przyczyniałoby się do rozwoju Olivera. Nie chodzi z nim na spacer, nie czyta mu książeczek ani nie ogląda wraz z nim programu *Mały Einstein*. Leży tylko na kanapie i gapi się w *SportsCenter*.

- Och, Kelly - mruknęła Becky.

- A Steve... - Kelly opuściła wzrok, przyciskając twarz Olivera do swojej szyi. - Nie wiem, co się z nim dzieje. Myślę, że nawet nie próbuje.

- Co masz na myśli? - zapytałam.

- Jedyne, co robi, to spotyka się z tym doradcą zawodowym. Jakimś dupkiem - parsknęła Kelly. Mrugnęłam oczami, zastanawiając się, czy kiedykolwiek przedtem słyszałam, jak klnie. - Spotykają się trzy razy w tygodniu i rozwiązują quizy osobowościowe. „Jesteś introwertykiem czy ekstrawertykiem? Jaki jest twój profil emocjonalny? Jaka praca byłaby dla ciebie najlepsza?” - Poruszyła energicznie głową. - Chciałam potrząsnąć nim i powiedzieć: „Kogo obchodzi najlepsza praca! Po prostu coś rób!”. Ale on tylko siedzi całymi dniami, jakby od kilku miesięcy trwał weekend. Żadnych spotkań, nic. Ja pracuję, a Steve nie robi nic. Nic - powtórzyła i zerwała się z fotela. - Muszę już iść.

- Kelly - powiedziała Becky, wyciągając rękę.

- Nie, nie, muszę zadzwonić w kilka miejsc - stwierdziła, podnosząc torbę. - Kwaciarnia, catering, firma oświetleniowa, muszę też pojechać do apteki, no i zatkała się toaleta, więc muszę wezwać hydraulika. Zadzwonię do was - mówiąc to, wbiegła po schodach na górę.

Becky i Ayinde spojrzwały na schody, potem na dzieci.

- Ja pójdę - powiedziałam i pobiegłam za nią. - Kelly! Hej!

Włożyła Olivera do wózka i usiłowała go podnieść, siłując się przy tym z drzwiami.

- Pomogę ci. - Otworzyłam drzwi i razem zniosłyśmy wózek na chodnik. - Odprowadzić cię do domu?

- Nieee - powiedziała rozwlekle. - Nie mogę cię o to prosić.

- Chcesz, żebym zajęła się Oliverem?

Wstrzymałam oddech, spodziewając się, że zareaguje śmiechem lub zbędzie mnie: „Nie, nie, wszystko w porządku”. Jednak nie powiedziała tego. Zatrzymała się w pół kroku.

- Mogłabyś? - zapytała. - Mogłabyś to zrobić?

- Jasne. Wieczorem pracuję w restauracji, ale popołudnia mam wolne.

-O Boże! Ratujesz mi życie. Steve mógłby... - Potarła oczy, a ja zaczęłam zastanawiać się, od jak dawna nie miała okazji wyspać się porządnie. - Mogłabym poprosić go, by coś zrobił, zadzwonił gdzieś albo coś takiego. Oczywiście zapłacimy ci.

-Tym się nie przejmuj. Poczekaj, wezmę rzeczy.

- Dziękuję - powiedziała. Wzięła mnie za rękę. Oczy jej błyszczały. - Bardzo ci dziękuję.

- No nie. Nie, nie, nie, nie - jęczała Becky, zsuwając do tyłu żółtą chustkę, zakrywającą rozczochrane loki.

Oderwałam wzrok od tartego właśnie do sałatki sera manchego i spojrzałam na nią.

-Co się stało?

Była ósma wieczorem. Całe popołudnie spędziłam na zabawie z Oliverem, podczas gdy Steve siedział zamknięty w gabinecie. Od szóstej pracowałam w kuchni. Przedtem podskoczyłam do mieszkania, wziąć prysznic i zmienić spodnie Glorii Vanderbilts na pamiętające jeszcze liceum Sassonsy. Moje mieszkanie nie było już puste. Tydzień wcześniej Ayinde zapytała, czy nie przydałoby mi się kilka rzeczy.

- Zmieniam wystrój - powiedziała. Następnego ranka zjawiała się ciężarówka wypełniona po brzegi. Zdawało mi się, że pomieściła całą zawartość gościnnego domku. Zadzwoniłam do Ayinde i powiedziałam, że w żadnym razie nie mogę przyjąć tego wszystkiego, ale nalegała. - Wyświadczysz mi przysługę - odparła. Więc teraz miałam za duże skórzane kanapy i fotele, lampy, stół, telewizor z szerokim ekranem i kilka oprawionych dyplomów, które, jak sądziłam, kiedyś jej zwrócę.

Becky poprawiła chustkę.

- Mam dwudziestu pięciu głodnych biznesmenów, którzy czekają na chilijskiego okonia morskiego z grzybami leśnymi i sosem z owoców tamaryndowca, a ja... - teatralnym gestem otworzyła chłodnię - nie mam leśnych grzybów. Nie mam żadnych innych grzybów.

Spojrzałam dyskretnie w stronę sali, gdzie siedzący biznesmeni rozkoszowali się sangrią i tuńczykiem na placuszkach kukurydzianych, a obok nich skakała Sarah w lakierowanych szpilkach i ciągle napełniała kieliszki.

- Może zaserwujesz im dodatkowe arepas - zaproponowałam.

W kuchni rozległ się dzwonek telefonu.

- Becky! - zawołał Dash, pomywacz, wymachując słuchawką. - Do ciebie.

Odebrała.

- Tak. Co? Nie. Nie. Nie mogę. Nie, ja... - Znów przesunęła chustkę. - No nie. - Potrząsnęła głową, zbliżając się do frytkownicy, w której skwierczały arepas. - O dziewiątej zamykają żłobek, ja za żadne skarby nie zdołam do tej pory stąd wyjść, a Andrew asystuje przy nagłej resekcji trzustki i dwunastnicy - nie pytaj mnie, co to znaczy, sama też nie chcę tego wiedzieć... - Jęknęła, zrećnie wyrzuciła arepas z koszyka i jeszcze raz zajrzała do chłodni, jak gdyby grzyby mogły pojawić się tam w czasie, gdy rozmawiała. - Będę musiała zadzwonić do Mimi - powiedziała, spoglądając w sufit. - Dlaczego, Boże, dlaczego?

- Mogłabym przynieść grzyby - zaproponowałam.

- Nie, nie, w porządku. Sarah zaserwuje im jeszcze więcej alkoholu. Nie wyglądają na ludzi, którzy mieliby się zdenerwować z powodu braku grzybów.

- A może odbiorę Avę?

Becky położyła palec wskazujący na ustach i udawała, że rozważa tę propozycję.

-Hmm, grzyby czy moja córka? Cóż, bierz córkę. Zadzwonię do żłobka, żeby nie myśleli, że chcesz ją porwać. Poczekaj, dam ci klucze. - Sięgnęła do kieszeni. - Weź mój samochód, fotelik jest na tylnym siedzeniu. Któreś z nas powinno być w domu przed północą. Masz, poczekaj, dam ci pieniądze...

- Na co?

Becky spojrzała na mnie i podrapała się w głowę.

- Nieprzewidziane wydatki?

- Nie trzeba - powiedziałam. - Gdzie zaparkowałaś?

- Na rogu Dwudziestej i Sansom. Ratujesz mi życie, wiesz o tym? Nie zapomnę ci tego. Nazwę twoim imieniem moje drugie dziecko. - Wręczyła mi kluczyki i wskazała na drzwi. - A teraz pędź jak wiatr!

Przyszpitalny żłobek mieścił się na trzecim piętrze budynku, a Ava była ostatnim nieodebrany dzieckiem, skulonym w łóżeczku w sali ze słabym oświetleniem.

-Jej ojciec był tu jakąś godzinę temu - szepnęła pielęgniarka po przestudiowaniu mojego prawa jazdy z Los Angeles i odrzuceniu propozycji, byśmy zadzwoniły do Becky i potwierdziły, że mogę odebrać dziecko. Wręczyła mi torbę Avey, w której były butelka, koczek i ubranko na zmianę. - Śpi już od czterdziestu pięciu minut, a doktor Rabinowitz mówił, że czasami przesypia całą drogę do domu.

- Cześć, malutka - szepnęłam.

Ava westchnęła przez sen. Wzięłam ją delikatnie na ręce, włożyłam do wózka i poszłam do samochodu.

- *Aaa, aaa, były sobie kotki dwa* - śpiewałam, pchając wózek po chodniku, a potem przekładając Avę do fotelika samochodowego i zakładając różową czapeczkę na jej łysą główkę.

Otworzyła oczy i spojrzała na mnie z zaciekawieniem.

- Cześć, Ava. Pamiętasz mnie? Jestem przyjaciółką twojej mamy. Zabiorę cię do domu i położę spać.

Ava mrugnęła, jakby ta informacja była dla niej zrozumiała.

- Pojedziemy do twojego domku i dostaniemy wspaniałą buteleczkę... hmm właściwie to ty dostaniesz butelkę. A potem przewinę cię i położę do łóżeczka.

Ava ziewnęła i zamknęła oczy. Rozejrzałam się w koło, a gdy usiadłam za kierownicą, spojrzałam przez ramię, wypatrując bezdomnych, szaleńców i hałaśliwych imprezowiczów. Jednak Walnut Street była spokojna.

- Jesteś słodka, wiesz o tym? - szepnęłam w stronę tylnego siedzenia.

W domu Becky wyjęłam śpiące dziecko, wzięłam w ramiona i cichutko weszłam na piętro. Pokój Avy był malutki, ledwo starczyło miejsca na łóżeczko, bujany fotel i ruszającą się krowę, skaczącą ponad księżycem. Pachniało kremem na odparzenia i kojącym żelazem do kąpieli Johnsona, który dla mnie był bezużyteczny

-Jeśli naprawdę byłoby coś, co uspokoiłoby dziecko - stwierdził Sam - kosztowałoby chyba znacznie więcej niż trzy dziewięćdziesiąt dziewięć.

Dałam Avie butelkę z naklejką MLEKO MATKI, z malutką czaszką i skrzyżowanymi pieszczelami narysowanymi poniżej, jak przypuszczałam, na użytek Mimi. Ava wypila sto dwadzieścia mililitrów z zamkniętymi oczami, posapując z rozkoszy. Poklepałam ją po plecach, żeby się jej odbiło. Przewinęłam, pocałowałam w stopkę, z powrotem owinęłam w kocyk i przytuliłam do piersi. Wyobraziłam sobie, że czuję wypływające mleko, uczucie mrowienia, które towarzyszyło mi zawsze, nim Caleb zaczął ssać. „Jaki byłby Caleb w jej wieku?” - zastanawiałam się. „Czy byłby spokojny i miał takie duże, rozumne oczy jak Ava? Czy śledziłby moje palce, kiedy robiłabym *Sroczka kaszkę warzyła?* Czy uśmiechałby się do mnie?” Usiadłam w bujanym fotelu, trzymając Avę w ramionach, wdychając jej zapach, wsłuchując się w jej oddech. Wspominałam mojego synka. Byłam smutna, ale w jakiś sposób spokojna.

- Gotowa do snu? - zapytałam.

Ciałko dziecka przywierało do mnie coraz mocniej, mała główka oparta o mój policzek, brzuszek o ramię. Czułam na twarzy jej oddech, gdy kładłam ją do łóżeczka.

Zeszłam na dół i dom spowiła cisza. Mój umysł bezwiednie wykonał obliczenie. Jeśli tu była dziesiąta, w Los Angeles dopiero siódma. Wyciągnęłam z kieszeni komórkę. Mogłabym do niego zadzwonić, ale co bym mu powiedziała? Że trzymałam w ramionach dwoje różnych dzieci i nic się nie stało? Że za nim tęsknię? Że myślę o nim

w każdej chwili, gdy nie myślę o Calebie?

Zdjęłam buty i po cichu znów weszłam na górę. Ava spała. Przekręciła się na brzuszku, główkę oparła na ramionach i wypięła pupę. Nie mogłam powstrzymać uśmiechu, gdy to zobaczyłam, idąc do łazienki. Twarz w łazienkowym lustrze wyglądała inaczej... a może raczej podobnie. Jeszcze nigdy w życiu nie przypominałam bardziej własnej matki niż teraz. Pomyślałam, że to jest w oczach, i uniosłam kosmyk włosów. Zafarbowałam je kiedyś na brązowo do reklamy pasty do zębów i Sam spojrział wtedy na mnie, pytając:

- To twój naturalny kolor?
- Kto to może pamiętać - odparłam.
- Moim zdaniem wyglądasz bardzo ładnie - powiedział.

Zastanawiałam się, jak wyglądałabym znów jako brunetka. Stwierdziłam, że coś muszę zrobić, gdyż moda na dwukolorowe włosy odeszła razem z Madonną z roku 85. W brązie mogłabym wyglądać całkiem dobrze - pomyślałam, spoglądając na elektroniczną nianię, w razie gdyby Ava się obudziła i mnie potrzebowała. To było jak powrót do domu.

TLR

GRUDZIEŃ

KELLY

Oszóstej rano, tydzień po wyjawieniu przyjaciółkom prawdy o mężu, Kelly leżała w łóżku, słuchając gruchającego i gaworzącego Olivera, i jak każdego ranka czekała, aż Steve się obudzi. Spojrzała na męża. Leżał na plecach z otwartymi ustami i chrapał.

- Wezmę go - mówił co rano przez pierwsze dwa tygodnie, gdy wróciła z dzieckiem do domu. Nie pozwalała mu. Bo po co? Nie nakarmi synka, a wkrótce miał wrócić do pracy, więc potrzebował odpoczynku.

„Głupia” - pomyślała. Minęło już prawie pięć miesięcy, on wciąż nie pracował, a Oliver przyzwyczaił się, że to ją widzi pierwszą.

Kelly podniosła się z ciepłego łóżka i poszła po dziecko, które na jej widok przestało ssać róg kocyka i tylko wpatrywało się w nią, po czym uśmiechnęło się szeroko, ukazując dołeczki w policzkach.

- Dzień dobry, aniołku - powiedziała, czując radość w sercu, gdy niosła go na przewijak i gładziła z dnia na dzień gęstniejące, brązowe włosy.

Oliver nie był najpiękniejszym noworodkiem - po tacie odziedziczył nos, który lepiej pasował do dorosłego niż do dzidziusia, a przy drobnych kończynach jego głowa wyglądała jak napompowany balon. Jednak przeistoczył się w ślicznego niemowlaka, tłuściutkiego i spokojnego, prawie nigdy nie płakał. Kelly uwielbiała jego uda. Były cudownie pulchne i miękkie jak dwa bochenki świeżego chleba i nie mogła powstrzymać się od całowania ich, gdy zdejmowała mu piżamkę i zakładała śpioszki i koszulę w czerwono-białe paski.

Śliczny, ale, mogła przyznać to tylko przed sobą w ciche poranki, trochę nudny. Kochała go, oddałaby za niego życie, nie potrafiła wyobrazić sobie dnia bez niego, jednak prawda była taka, że po piętnastu minutach zabawy z nim na macie czy czytania jednej z twardych książeczek Sandry Boynton dłonie zaczynały ją świerzbic w poszukiwaniu klawiatury komputera lub palmtopa, telefonu, atrybutów życia, dzięki którym miała miejsca do odwiedzania, ważne sprawy do załatwienia, a od czasu do czasu czterdzieści pięć minut, które mogła spędzić zwinięta w kłębek na łóżku, czytając „Metropolitan Home”.

Steve podszedł do niej od tyłu i poczuła jego nieświeży, poranny oddech na szyi. Otarł się nieogoloną twarzą o jej policzek, aż się odsunęła. Kiedy pracował, nieraz golił się dwa razy dziennie, a teraz zdarzało się, że chodził z dwu-, trzydniowym zarostem.

- Zajmę się nim. Odpocznij sobie.

- W porządku, nie musisz - odparła, nie odwracając się do niego. „Coś ze mną jest

nie tak" - pomyślała. Chciała, żeby Steve pomógł jej, a gdy się pojawiał, irytowała się, że nie przyszedł wcześniej. Tak bardzo pragnęła tego dziecka - doskonałego dziecka, by dopełniło ich doskonałą rodzinę, a teraz, gdy je miała... Zapięła Oliverowi śpioszki. Steve wzruszył ramionami i wrócił do sypialni. Naprawdę chciała mieć to dziecko, bez względu na to, czy sprawy ułożą się dobrze, czy źle. Usiadła po turecku na łóżku, rozpięła koszulę nocną i przystawiła dziecko do piersi. Była najszczęśliwsza, gdy tak siedziała w ciepłym półmroku z Oliverem w ramionach, a gdy skończył ssać, odkładała go na łóżko i kładła się obok, wślizgując pod kołdrę, by zapaść w marzenia, jak potoczyłoby się jej życie, gdyby wyszła za kogoś innego niż Steve.

„Za Bretta" - pomyślała. Brett flirtował z nią przez miesiąc na pierwszym roku w college'u i uważała, że był miły i zabawny, ale na jej gust wyglądał zbyt poważnie - miał dwa metry wzrostu, był chudy jak tyczka, nosił niemodną fryzurę i dziwnie się śmiał. Powiedziała mu, że chciałaby, żeby zostali przyjaciółmi, a on tylko westchnął i stwierdził: „Wszystkie tak mówią”. W magazynie informującym o absolwentach przeczytała, że Brett przeniósł się do Doliny Krzemowej, gdzie założył firmę internetową i tuż przed krachem sprzedał ją za grube miliony. Artykuł zajmował pół strony, łącznie ze zdjęciem legitymacyjnym. Zmienił uczesanie, ożenił się, miał troje dzieci. W artykule nie wspomniano o dziwnym śmiechu.

Mogła też być z Glenem, chłopakiem z czasów szkolnych, przewodniczącym kółka dyskusyjnego. Mary natknęła się w drogerii na jego matkę i dowiedziała się, że jest partnerem w firmie prawniczej w D.C. Jednak Glen nie był najbardziej namiętnym facetem na świecie - Kelly wciąż pamiętała noc przed egzaminami na studia, gdy odmówił pójścia z nią do łóżka, tłumacząc, że jutro czeka ich ciężki dzień i powinni zachować energię na test. Gdyby za niego wyszła, nie musiałaby teraz tak harować.

O ósmej Lemon trącił nosem dłoń Kelly, a Oliver otworzył oczy. Kelly przewinęła go, potem położyła do łóżeczka. Płakał, gdy nakładała na siebie rzeczy, które poprzedniego wieczoru zostawiła na podłodze. Przez dziesięć sekund myła zęby i ochłapywała twarz zimną wodą. Później wsadziła synka do wózka, wzięła psa na smycz, związała włosy w kucyk. Steve wciąż spał. Podeszła do windy, uważając, by smycz nie wplątała się w kółka wózka.

Lemon skowyczał, gdy zjeżdżali windą do holu. Nim pojawiło się dziecko, był całkiem dobrze ułożonym psem, ale w chwili narodzin Olivera stracił pozycję najważniejszego, najukochańszego stworzenia w domu. Nim pojawiło się dziecko, Kelly zabierała Lemona na długie spacerunki, kupowała mu fantazyjne obroże i smycze do kompletu, roztkliwiała się nad nim i drapała po brzuchu. Po narodzinach Olivera Lemon miał szczęście, jeśli dostał miskę świeżej wody, a ktoś, przechodząc, poklepał go po łebku. Nie był zadowolony ze swego statusu domownika drugiej kategorii.

- Lemon, ciii! - syknęła, gdy pies zaczął wyć, potem szczekać, a dziecko przestraszyło się i rozplakało. Wetknęła Oliverowi smoczek do buzi, Lemonowi rzuciła psi przysmak i wyszła na chodnik, pchając wózek i ciągnąc psa.

Zaczął się codzienny rytuał. Zrobiła pięć kroków, potem dziesięć, w końcu Lemon rozłożył się na środku chodnika i odmówił ruszenia się z miejsca.

- Lemon, chodź! - powiedziała. Mężczyzna w garniturze i kobieta na szpilkach minęli ją szerokim łukiem. - Lemon, CHODŹ! - powtórzyła, ciągnąc smycz z nadzieją, że nikt jej nie obserwuje i nie zadzwoni do Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami, donosząc, że znęca się nad psem.

Skręciła w najbliższą przecznicę do Promised Land, kawiarni w sąsiedztwie. Przywiązała smycz do parkomatu, pchnęła wózek jedną ręką, a drugą otworzyła drzwi.

- Potrójne espresso - zanuciła barmanka, gdy Kelly podeszła do baru.

-Zgadza się - powiedziała. Przypuszczała, że nie powinna pić tyle kawy, gdy jeszcze karmi - biedny Oliver będzie uzależniony od kawy, nim zdąży pójść do żłobka - ale nie przetrwałyby dnia bez kofeiny. Wlała do kubka odtłuszczone mleko i wrzuciła słodzik. Napiła się i wyszła, by zabrać psa. Wózek Olivera wyposażony był w uchwyty na kubek, z wyraźnym ostrzeżeniem: NIE WSTAWIAĆ GORĄCYCH NAPÓJÓW! NIEBEZPIECZEŃSTWO DLA DZIECKA! W ciągu ostatnich kilku miesięcy Kelly osiągnęła doskonałość w pchaniu wózka jedną ręką, ze smyczą owiniętą wokół nadgarstka i z kubkiem kawy w drugiej dłoni. Najczęściej system ten funkcjonował bez zarzutu. Tego ranka Lemon wyrwał się radośnie w stronę chłopaka na deskorolce. Kelly szarpnęła smycz i wrzająca kawa rozlała się jej na nadgarstek i dłoń.

W końcu, po powrocie do domu, Kelly zostawiła drzemiącego Olivera w wózku, wrzuciła jedzenie psu i nalała świeżej wody do jego misek, włączyła laptop i, popijając kawę, tak szybko, jak tylko potrafiła, sprawdziła pocztę. Właśnie skończyła otwierać nieprzeczytane wiadomości, gdy dziecko zaczęło się wiercić.

Spojrzała w stronę sypialni. Drzwi wciąż były zamknięte.

- Steve.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem i pojawił się w nich Steve, nadal ubrany w T-shirt i bokserki, przez otwarty rozporek widać było zwiotczały różowy penis.

- Dlaczego mnie nie obudziłaś? Mogłem wyjść z psem.

- Zajmij się przez chwilę dzieckiem - powiedziała.

- Nie ma sprawy - odparł, wyjmując Olivera z wózka.

- Musi mu się odbić! - zawołała Kelly przez ramię, wiedząc, że to i tak przegrana sprawa. Steve poklepie kilka razy synka bez przekonania, potem stwierdzi, że nie musi się mu odbić. Rzecz w tym, że to nie było tak, iż Oliver tego nie potrzebował. Po

prostu Steve zbyt szybko się poddawał. „Zaczął się to stawać pewnym zwyczajem” - pomyślała, przełączając komputer na tryb oszczędnościowy, po czym usiadła w bujanym fotelu i rozpięła stanik.

„Proszę” - szepnęła do siebie, umieszczając na sutkach plastikowe nakładki i włączając laktator. „Proszę, niech to się już skończy”.

- Proszę - mruknęła, spoglądając na plastikowe butelki przyłączone do nakładek na sutkach, kiedyś różowych, teraz pożółkłych, popękanych i szorstkich jak skóra słonia. W prawej butelce było może z pół centymetra mleka, w lewej zaledwie kilka kropli. Pompowanie było nużące i niewygodne. Gdy działał laktator, nie istniała możliwość wykonywania jakichkolwiek czynności. Potrzebowała dwóch rąk i doskonałej koordynacji, by utrzymać nakładki na miejscu, a produkcja mleka wymaga rozluźnienia. - Proszę - powiedziała znowu i zamknęła oczy. Bujała się w fotelu w przód i w tył, aż zadzwonił budzik, oznajmiając, że upłynęło piętnaście minut. Odłączyła się od maszyny i spojrzała na butelki pod światło. Dziewięćdziesiąt mililitrów. Nie wystarczy na jedną butelkę. Znow będzie musiała przygotować odżywkę.

Kiedy poprawiała bluzkę, rozległ się dzwonek u drzwi. Kelly zgarnęła butelki i pobiegła do przedpokoju, jakby liczyła, że to Święty Mikołaj albo Ed McMahon z ogromnym czekiem. Wiedziała, że za drzwiami stoi Lia. Jeśli o nią chodziło, Lia, która zgodziła się opiekować Oliverem trzy dni w tygodniu, była lepsza niż Mikołaj i Ed łącznie.

- Cześć! - powiedziała Lia, wchodząc do mieszkania, z włosami (świeżo zafarbowanymi na kasztanowo) związanymi w lśniący kucyk, w białej koszuli (świeżo upranej i niepoplamionej) wetkniętej w spodnie khaki (wyprasowane, modne w tym sezonie). Kelly poczuła odprężenie, gdy Lia schyliła się i wyjęła Olivera z hopsera, w którym zostawił go Steve. Tak miło było mieć żywą, gotową do pomocy istotę w domu.

W chwili gdy Lia pocierała nosem o nosek Olivera, Kelly kątem oka dostrzegła skrawek majtek Steve'a i usłyszała huk zatraskujących się drzwi.

- Cześć, Oliverku-rowerku! - Kelly obserwowała, jak Lia trzyma dziecko. Oboje - Oliver rozpromieniony, a Lia taka piękna - wyglądali jak na reklamach w pismach dla rodziców, które czytała, gdy miała jeszcze na to czas. Ona za to wyglądała jak zdjęcia opatrzone informacją „przed” w tekstach o zmianie wizerunku. „Powinnam była wyjść za Lię” - pomyślała. Lii nie trzeba było dwa razy prosić o potrzymanie dziecka do odbicia. Lia wiedziała instynktownie albo z własnego doświadczenia, że mokra pielucha może zdawać się sucha, i nigdy nie stosowała jednej z ulubionych sztuczek Steve'a, polegającej na wsunięciu palca w pieluszkę z samego brzegu i obwieszczeniu: „Nie, ma sucho” - podczas gdy rzeczona pielucha była już na pierwszy rzut oka nasiąknięta i nie dało się nie wyczuć intensywnego zapachu amoniaku. Lia nigdy by się

nie rozsiadła na kanapie z dzieckiem na rękach, oglądając *SportsCenter*, ani też nie surfowała po Internecie, trzymając dziecko przewieszona w pół w zgięciu łokcia. Razem z Kelly mogłyby gotować niskotłuszczowe potrawy, zabierać Olivera na spacer, do zoo, do muzeum, gdzie dzieci mogły dotykać eksponatów. Oczywiście nie uprawiałyby seksu. Jednak Kelly nie sądziła, że bardzo by jej tego brakowało. Pakując laptop, komórkę, klucze, palmtop i portfel, złożyła Lii raport - o której Oliver wstał, gdzie spacerowali, co jadł. Steve wrócił powoli do stołu, ubrany mniej więcej, z gołymi stopami, w starym wytartym podkoszulku i dżinsach.

- Dzisiaj popracuję w domu - oznajmił, a w jego głosie przekora przeplatała się ze skruchą. To krótkie oświadczenie wydane zostało na użytek Lii, nie Kelly, bo gdzie indziej mógłby, tu cytat, pracować?

- W porządku - odparła Kelly, starając się dla dobra dziecka wykrzesać radość w głosie. Zebrała swoje rzeczy i poszła znowu do kawiarni.

- Tak szybko z powrotem?! - zawołała barmanka.

- To znów ja - odpowiedziała Kelly.

Zamówiła kolejne potrójne espresso, podłączyła laptop do prądu i zastanawiała się, co myśla o niej pracownicy tego lokalu, gdy codziennie, przez cały tydzień, siedzi tam, sącząc kawę i stukając w klawiaturę. Zastanawiała się, czy nie cierpią jej przypadkiem za to, że zajmuje najlepsze miejsce przy oknie. Może przypuszczają, że kończy studia albo jest poetką, kimś wielkim, romantycznym, a przynajmniej interesującym. Nacisnęła przycisk „włącz” i usiadła, popijając espresso małymi łykami. Stukała rytmicznie palcami u stóp o podłogę, czekając, aż jej powolny, kapryśny stary laptop się uruchomi. Zadzwoił telefon.

- Kelly Day! - zaćwierkała i zamknęła oczy. Oparła głowę na dłoni i zaczęła zapisywać szczegóły wesela Margoliesów, świątecznego przyjęcia Drexela, a także obchodów dnia różnorodności etnicznej i narodowej Pfizera, na które miała za zadanie przygotować żelkową podobiznę dr. Martina Luthera Kinga. Stukała w klawiaturę, notowała i zadawała odpowiednie pytania, starając się tak celować z rozmowami telefonicznymi, by nikt w tym czasie nie zamawiał frappuccino, dzięki czemu rozmówcy nie słyszeli w tle warczącego miksera.

To żart. Pozory. Czula się jak Czarnoksiężnik z Krainy Oz, oszustka za zielonymi markizami kawiarni, zaharowująca się, podczas gdy jej mąż oglądał w domu mydlane opery - żarliwie zaprzeczał, gdy o tym mówiła, ale lista programów do nagrania wciąż zawierała codzienne odcinki *Świat się kręci*. Pracowała, wykonując telefony, robiąc notatki, spoglądając na zegarek, myśląc o Oliverze i zastanawiając się, czy śpi; myśląc o Stevie i zastanawiając się, czy też śpi

Opiątej ruszyła pędem do domu. Lia bawiła się z Oliverem na podłodze w salonie, grzechocząc wypchanymi zwierzątkami. Steve'a nigdzie nie było widać. „Pewnie znów spotyka się z konsultantem” - pomyślała, idąc do sypialni, gdzie na wdechu wciągnęła wyszczuplające majtki i specjalne rajstopy i, najlepiej jak potrafiła, zapięła długą czarną spódnicę z aksamitu.

- Popatrz, jaka śliczna! - powiedziała Lia do Olivera, gdy Kelly usiadła na starej kanapie, by założyć wyjściowe szpilki. - Naprawdę dobrze wyglądasz.

- Może być... - Przystanąła na pięć sekund przed lustrem w holu, malując usta i usiłując przyglądzić zmierzwione włosy. - Mam nadzieję, że wszystko pójdzie zgodnie z planem. Dziękuję. Bardzo ci dziękuję.

Usiadła na kanapie i podrzucała dziecko na kolanach. Nie ma Steve'a. Wystukała jego numer na komórce.

- Gdzie jesteś? Miałeś być w domu o szóstej, pamiętasz? Lia musi iść do Mas, a ja mam imprezę...

Słyszała hałas samochodów - silniki i klaksony.

- Koło Aramingo był karambol, zderzyło się pięć samochodów - powiedział Steve. - Stoję tu już czterdzieści pięć minut. Nic się nie ruszyło.

- Nie możesz objechać karambolu bocznymi drogami?

- Jak tylko uda mi się dotrzeć do zjazdu, zrobię to, ale nie mogę jechać po innych samochodach.

- Co ja zrobię? - jęknęła.

Lia już poszła, a przecież nie uda się znaleźć opiekunki w tak krótkim czasie. Sąsiadów nie znała na tyle dobrze, by zostawić im Olivera. Jeśli jednak zaraz nie wyjdzie, spóźni się na przyjęcie, za które odpowiada.

- Czy możesz go wziąć ze sobą? To nie powinno potrwać zbyt długo. Jak tylko wydobędę się z autostrady, podjadę na przyjęcie i zabiorę go do domu.

-Dobrze, dobrze - powiedziała. Złapała torbę dziecka i torebkę, podała Steve'owi adres, rozłączyła się i wybiegła z domu.

Gospodyni przyjęcia nazywała się - Kelly sprawdziła w notatniku, wysiadając z taksówki - Dolores Wartz i wyprawiała świąteczne przyjęcie dla stowarzyszenia absol-

wentek w świetlicy apartamentowca. Dolores Wartz była przysadzistą, buldogowatą kobietą po czterdziestce, z grubą warstwą makijażu podkreślającego zmarszczki biegnące od kącików ust do brody, i ustami pomalowanymi szminką w kolorze i o konsystencji dżemu truskawkowego.

- Kelly Day? - zapytała, uśmiechając się promiennie. Jej uśmiech wyparował, gdy dostrzegła dziecko. - Co to jest?

- To mój syn, Oliver - wyjaśniła Kelly. „I nie jest co, tylko kto”. - Bardzo przepraszam. Mój mąż miał być w domu, ale zdaje się, że na Dziewięćdziesiątej Piątej był poważny wypadek... - Oliver zaczął się wiercić w jej objęciach i wydobył się niedwuznaczny dźwięk, nie mówiąc już o zapachu dziecka brudzącego pieluszkę. „Cholera” - pomyślała Kelly. - Szybko pobiegnę do łazienki. Mój mąż powinien być tu za chwilę.

- Mam nadzieję - powiedziała Dolores Wartz, obracając w palcach ciężki, wpięty w klapę złoty znaczek stowarzyszenia absolwentów. „Cudownie” - pomyślała Kelly. Poszła do łazienki, w której oczywiście nie było przewijaka. Zamknęła się w kabinie i, starając się nie myśleć o zaraskach, położyła dziecko na podłodze, uklękła i przewinęła chłopca, najszybciej jak potrafiła. Umyła ręce i wróciła do foyer, gdzie Dolores Wartz przeszywała piorunującym wzrokiem ją i Marnie Kravitz, asystentkę Elizabeth, przestępującą z nogi na nogę jak małe dziecko, które musi iść do toalety, ale boi się poprosić o pozwolenie.

- Kelly - powiedziała Marnie.

- Tak? - Kelly zauważyła, że Marnie poważnie potraktowała wskazówki szefowej dotyczące „świętecznego stroju”. Była ubrana w zieloną spódnicę, czerwone rajstopy z białymi płatkami śniegu i czerwony sweter z puszystym, brykającym reniferem na przodzie.

- Jest problem - powiedziała, kładąc rękę na piersi, by podkreślić powagę sytuacji. - Nie mamy serwetek!

Kelly oderwała wzrok od hipnotyzującego renifera Marnie.

- Słucham?

- Przyjechały obrusy i alkohol, firma obsługująca przyjęcia już wszystko rozstawia, ale myśleli, że florystka przywiezie lniane serwetki, a ona mówi, że kazałaś jej wziąć tylko obrusy...

Onie. Kelly chwyciła palmtop i zobaczyła mrugającą czerwoną lampkę. Wyczerpana bateria. Ona to ma szczęście. Marnie wykręcała sobie palce. Kelly zauważyła, że miała paznokcie pomalowane w czerwono-zielone paski.

- Co teraz zrobimy? - jęknęła Marnie.

Kelly sięgnęła do torebki i podała Marnie pięćdziesiąt dolarów, które nosiła na wszelki wypadek.

- Poleć do Seven-Eleven lub JFK i kup coś.

Marnie wybałuszyła oczy.

- Ale tam mają tylko papierowe! Kelly, nie możemy użyć papierowych serwetek!

- Świat się nie zawali - stwierdziła Kelly. Starła się utrzymać lekki ton, ale Dolores Wartz patrzyła na nią, jakby z jej ust wychodziły robaki. Oliver wykorzystał okazję, machnął rączką i uderzył ją w ucho. „Steve” - pomyślała - „do cholery jasnej, gdzie jesteś?”

- Nie mogła pani wynająć opiekunki? - zapytała chłodno Dolores Wartz.

Kelly odetchnęła głęboko.

- Jak już wspominałam, mój mąż przyjedzie tak szybko, jak to będzie możliwe.

- Mam dwoje dzieci. Mają dwanaście i czternaście lat - powiedziała Dolores Wartz. Nie dodała nic więcej. „Jednak” - pomyślała Kelly - „nie musiała”. Podtekst był zupełnie czytelny. „Miałam dwoje dzieci i nigdy nie musiałam zabierać ich ze sobą do pracy. Miałam dwoje dzieci i radziłam sobie znacznie lepiej od pani”.

- Pójdę sprawdzić, jak radzi sobie firma cateringowa - powiedziała Kelly. Posadziła sobie Olivera na biodrze i, mijając pierwszych gości oraz rozstawiony w rogu bar, weszła do kuchni, gdzie oparła się o piecyk i zamknęła oczy.

- Jaki słodki! - stwierdziła jedna z kelnerek.

- Chcesz go? - zapytała Kelly. - Nie żartuję. Bierz go. Jest twój. - Rozejrzała się. Koktajl z krewetek, ciasteczka z krabów, serowe pałeczki. „Naprawdę ciekawe” - pomyślała, gdy kelnerki wzięły srebrne półmiski i wyszły.

Złapała serową pałeczkę z tacy i szybko ją zjadła, uświadamiając sobie, że przez cały dzień nie miała nic w ustach prócz espresso. Kończyła właśnie ciasteczko krabowe, gdy do kuchni zajrzała uśmiechnięta kobieta w lawendowej garsonce.

-Przepraszam, że przeszkadzam, ale może wie pani, gdzie znajdę serwetki? - Spojrzała żałośnie na kroplę sosu na kłapie i posłała szeroki uśmiech Oliverowi. - Jaki słodki!

Kelly uśmiechnęła się z wdziękiem i sięgnęła do torby po paczkę nawilżanych chusteczek.

- To powinno pomóc.

- Doskonale! - odparła kobieta. Zmyła sos, ścisnęła stopkę Olivera i, dokładnie w chwili, gdy wróciły kelnerki, wyszła.

- Hej - powiedziała jedna z nich, wpatrując się w głowę Kelly. - Masz... - Sięgnęła dwoma palcami zakończonymi długimi paznokciami i wyłowiła coś z włosów Kelly. Kelly zamrużyła oczami. Cheerio. Dzień wcześniej dała kilka Oliverowi. Czyżby przez dwadzieścia cztery godziny chodziła z płatkami kukurydzianym we włosach?

- Nowa moda - powiedziała Kelly energicznie.

- Przepraszam. - W drzwiach pojawiła się Dolores Wartz. - Kelly, pani mąż już jest.

„Dziękuję, Boże” - zdobyła się na uśmiech i wyszła w pośpiechu, by przekazać Olivera w ramiona ojca.

- Idź już! - syknęła.

- Dlaczego? - zapytał Steve. - Pali się?

- Po prostu idź! - prosiła, próbując wetknąć torbę Sieve'owi pod ramię. - Jestem w pracy!

Steve spojrział w górę

- Hej - powiedział. Także podniosła wzrok. Jemioła. Pomyślała, że widocznie została po poprzednim przyjęciu.

- Steve, mam milion spraw do załatwienia...

Pochylił się i unióśł jej podbródek.

- Idź - powiedział. - Zobaczymy się później.

Wytarła dłonie w spódnicę i odwróciła się w kierunku tłumu sześćdziesięciu kobiet, prawie każda z kieliszkiem w dłoni, pogryzających serowe pałeczki i kiwających się w rytm kołęd.

Przy barze panował duży ruch. Marnie rozdała część serwetek kelnerkom, resztę rozłożyła na koktajlowych stolikach. „Wszystko pod kontrolą” - pomyślała Kelly i odprężyła się.

O jedenastej pracownicy firmy cateringowej już odjechali, goście wyszli, ostatnie serwetki zostały wyrzucone, ostatnie naczynia zebrane. Kelly pożegnała się z Dolores Wartz, która burknęła coś pod nosem. W windzie zdjęła buty i pokuśtykała na ulicę. W końcu udało się jej znaleźć taksówkę i usadowiła się na przesiąkniętej zapachem truskawkowym tylnej kanapie. W tym momencie zadzwonił telefon.

- Kelly? - głos Elizabeth był chłodniejszy niż kiedykolwiek. - Właśnie przeprowadziłam bardzo niepokojącą rozmowę z Dolores Wartz. Zechcesz wyjaśnić mi, co się stało?

- Szybka jest - stwierdziła Kelly. Wyglądało na to, że stara dobra Dolores nie zmarowała ani chwili, by powiedzieć dobranoc swoim dzieciom. Natychmiast dorwała się do telefonu i naskarżyła na nią. - Posłuchaj - zaczęła. - Na Dziewięćdziesiątej Piątej był wypadek. Steve się spóźnił, więc musiałam wziąć Olivera ze sobą, ale był tam tylko z pół godziny i nikomu nie przeszkadzał.

- Dolores powiedziała, że płakał i wszystkich denerwował.

- Nie płakał - odparła Kelly. - Może trochę hałasował, ale nie płakał. Poza tym, Elizabeth, to dziecko, a nie śmieć!

- Była bardzo zawiedziona - mówiła dalej Elizabeth. - Powiedziała, że większą wagę przywiązywałaś do dziecka niż do jej przyjęcia.

„Cóż, przyjęcia nie trzeba przewijać” - chciała powiedzieć Kelly, ale ugryzła się w język.

- Domaga się zwrotu pieniędzy.

Kelly zacisnęła pięści. Chwilę jej zajęło, nim nazwała nieznane sobie uczucie, powodujące, że powieki szczypały od łez. Nie czuła się tak od piątej klasy, kiedy dyrektor wezwał ją do gabinetu i powiedział, że mimo iż docenia w Kelly ducha przedsiębiorczości, pobieranie opłat za wejście do sali zabaw jest nieuczciwe. Miała kłopoty. Nie. Znacznie gorzej. Schrzała coś.

- Świetnie - powiedziała. - Możesz jej przesłać moje wynagrodzenie. Powiedz też, że bardzo mi przykro, iż tak ją rozczarowałam.

- W porządku. - Elizabeth zamilkła na chwilę. - Kelly, rozmawialiśmy o tym, gdy wróciłaś do pracy. Musisz się nauczyć oddzielać życie osobiste od zawodowego.

- Przykro mi, Elizabeth - powiedziała Kelly, gdzieś pomiędzy głębokim wstydem i furją. - Nie mogę kontrolować ruchu ulicznego!

-Zawsze powinnaś mieć plan awaryjny w razie...

-Cóż, szczerze... - Kelly zmusiła się do zamilknięcia. Odetchnęła głęboko. - Przykro mi - powtórzyła. I rzeczywiście było jej przykro, ale nie z powodu, o którym prawdopodobnie myślała Elizabeth. Było jej przykro z powodu Olivera, że naraziła go na spędzenie choćby minuty w towarzystwie toksycznych źdźwir, które nie umiały zdobyć się na odrobinę wyrozumiałości lub przynajmniej uprzejmości. - Wyślij jej moje pieniądze - powiedziała.

- W porządku - odparła Elizabeth. Jej głos był minimalnie cieplejszy. - Spróbujmy puścić to w niepamięć, Kelly. Wiesz, że jesteś jednym z moich najwartościowszych pracowników.

Kelly potarła oczy i starała się nie rozplakać.

- Przykro mi - powtórzyła znowu. - Zadzwońię do ciebie rano. - Zamknęła telefon, przycisnęła policzek do popękanego czarnego siedzenia z winylu i szłochała przez całą drogę do domu.

BECKY

Początek wojny był całkiem niewinny, a przyczyniła się do niej paczka zaadresowana gryzmołami Mimi do A. RABI- NOWITZ. Mimi wciąż nie dawała za wygraną i uważała, że jej wnuczka powinna nazywać się Anna Rabinowitz. „Jakby napisanie Rothstein miało ją zabić” - pomyślała Becky, wkładając pakunek pod ramię. Rzuciła go na

kuchenny blat i na dwa dni zapomniała o przesyłce. Gdy w końcu odpakowała ją, nie była pewna, co widzi, gdy z pudełka wysunęło się coś atłasowego. Coś uszytego z czerwonych i zielonych rombów, z imieniem Avy wyhaftowanym na przodzie.

- Czy to jest to, o czym myślę? - zapytała Andrew, trzymając niechciany przedmiot w dwóch palcach wyciągniętej ręki.

Andrew spojrzał szybko.

- To bożonarodzeniowa szalik na prezenty - stwierdził.

- Andrew. - Jej mąż spojrzał ponad filiżanką kawy. - Może to zaskoczenie, ale tak się składa, że jesteśmy Żydami.

- No cóż, tak, ale... - Wzruszył ramionami i napił się. - Mimi obchodzi Boże Narodzenie. A teraz, gdy mieszka niedaleko, chciałaby pewnie obchodzić je razem z nami.

- Co masz na myśli, mówiąc, że Mimi obchodzi Boże Narodzenie? - Becky odwróciła pudełko i jęknęła, gdy na podłogę wypadł śliniaczek z napisem: PIERWSZE BOŻE NARODZENIE DZIECKA!

Andrew nalał sobie jeszcze trochę kawy.

- Doszła do wniosku, że to, iż jesteśmy Żydami, nie jest powodem, by pozbawiać nas radości świąt Bożego Narodzenia.

- Nie wierzymy w Jezusa. To całkiem dobry powód. ,

- Becky, proszę cię, nie kłóćmy się.

Złożyła szalik i schowała do pudełeczka.

Więc mieliście choinkę?

Andrew skinął głową.

- Wieszaliście szaliki?

Kolejne skinięcie.

- Śpiewaliście kolędy?

- Czasami. - Dolał mleka do kawy. - Ona uważa, że Boże Narodzenie jest bardziej świeckim świętem narodowym niż uroczystością religijną.

- Ale... - Miała mętlik w głowie. - Więc teraz uważa, że Ava będzie świętować Boże Narodzenie.

Wzruszył ramionami, przekręcając się w fotelu.

- Nigdy z nią o tym nie rozmawiałem.

- Sądzę, że powinniśmy. Przecież nawet nie będzie nas tutaj dwudziestego piątego, pamiętasz? Mamy bilety i jedziemy zobaczyć się z moją mamą.

- Powiem jej - odparł Andrew. - Nie ma sprawy. Naprawdę. Zadzwoń do niej jutro wieczorem.

Jednak pierwszą rzeczą, jaka zdarzyła się następnego poranka, było pukanie do

drzwi. W ślad za nim na progu pojawiła się ponad dwumetrowa jodła.

- Dziękuję, nie potrzebujemy choinki - powiedziała Becky do niskiego mężczyzny w dżinsach i kurtce Eagles, ledwo widocznego przez gałęzie.

- Dostawa - burknął, potrząsając drzewkiem. Na podłogę wokół jej stóp posypały się igły. - Już zapłacone. Proszę o podpis.

- Proszę zostawić ją przy krawężniku - powiedziała Becky po pokwitowaniu odbioru.

- Poważnie? - zapytał mężczyzna.

- Jeśli pan chce, może ją pan zabrać.

Mężczyzna spojrzał na Becky, potem na drzewko, potrząsnął głową, splunął na chodnik i zostawił choinkę opartą o schody.

- Wesółych świąt Bożego Narodzenia - powiedział.

- Radosnego Święta Świec*⁴! - zawołała Becky i zamknęła drzwi. Przyrzekła sobie, że jak tylko Andrew wróci z pracy, odbędą poważną rozmowę na temat znaczenia Bożego Narodzenia w odniesieniu do rodziny Rothstein-Rabinowicz.

Dwadzieścia minut później rozległ się dzwonek telefonu.

- Och, jesteś w domu! - zaćwierkała Mimi. - Czy przywieźli już drzewko?

Becky wyprostowała się i napięła wszystkie mięśnie, szykując się na nieuchronną kłótnię.

-Tak, Mimi. Właśnie, jeśli chodzi o drzewko...

- Czyż nie jest boskie? - zapytała teściowa. - Uwielbiam zapach świeżych jodeł!

- Posłuchaj, Mimi, jeśli chodzi o drzewko... nie jesteśmy chrześcijanami.

- Przecież wiem, głuptasku! - zachichotała Mimi.

-Więc... - Becky zaczynała czuć się trochę tak, jakby wślizgnęła się do Krainy Czarów, gdzie góra była na dole, a dół na górze i wszystko, nawet najprostsze sprawy, wymagało szczegółowego wyjaśnienia. - Nie będziemy obchodzili Bożego Narodzenia. Nie będzie nas tu w czasie świąt. Jedziemy na Florydę, więc naprawdę nie chcemy tej choinki.

Gdy Mimi znów się odezwała, jej głos był zimny jak grudniowe powietrze.

- Nie będziecie obchodzili Bożego Narodzenia? - zapytała z naciskiem.

Becky ścisnęła słuchawkę w dłoni.

- Rozmawialiśmy o tym z Andrew i to nasze wspólne odczucia. Oczywiście możesz w swoim domu robić z Avą, co chcesz, ale tutaj żadnego świętowania. Przykro mi.

- Lekceważycie pierwsze Boże Narodzenie mojej wnuczki? - zaskrzeczała Mimi.

„Boże, pomóż mi” - pomyślała Becky.

⁴ *Chanuka.

- Nie, oczywiście, że nie. Jak powiedziałam, cokolwiek robisz w swoim domu, w porządku, ale...

- A co ze świątecznym obiadem? Kto zrobi SZYNKĘ?

„Szynka. Szynka. Czy Andrew wspominał coś o szynce?”

- Już zaplanowałam - jęczała Mimi. - Zaprosiłam krewnych. Jak spojrzę im w oczy, jeśli was nie będzie? Już jest wystarczająco źle, że nie daliście waszej córce na imię Anna - piękne, klasyczne imię, imię mojej matki, jeśli nie pamiętasz...

Becky zagryzła wargi. Znów do tego wraca.

-A teraz lekceważysz pierwsze BOŻE NARODZENIE mojej wnuczki! Wybrałam już wszystkie przepisy i kupiłam prezenty dla mojej wnuczki, żeby położyć je pod choinką, a ty... ty... ŻDZIRO!

Becky czuła, że zaraz dostanie ataku śmiechu.

- W porządku, Mimi, nie trać nad sobą panowania.

- Musicie świętować Boże Narodzenie - powiedziała.

-Jedyne, co muszę, to umrzeć! - odparła Becky.

To zdanie odebrało Mimi mowę. Na całe dziesięć sekund.

-JAK TY SIĘ DO MNIE ODZYWASZ? - wrzasnęła.

- Kto dał ci prawo mówić nam, co mamy robić? - zapytała Becky. - Czy ja dzwonię do ciebie i mówię, kogo przyprowadzę do ciebie, jakie święta masz obchodzić i co gotować?

-Nie odzywaj się do mnie w ten sposób! Przesadziłaś! Zdecydowanie przesadziłaś!

- Ja przesadziłam? - zapytała Becky. Straciła już ochotę na śmiech, tak jak resztki cierpliwości. - To nasz dom i razem z Andrew mamy prawo decydować, co w nim robimy. Możemy nazwać nasze dziecko tak, jak się nam podoba, świętować to, co chcemy, i zapraszać tych, których chcemy.

- Założę się, że to wszystko pomyśl twojej matki - grzmiała Mimi. - Założę się, że to twoja MATKA chciała, byście zlekceważyli pierwsze Boże Narodzenie Avy. Dostaje wszystko, czego chce, a ja jestem odrzucona! Nic mi się nie należy! To jest niesprawiedliwe!

Becky odetchnęła głęboko i postanowiła nie dać się sprowokować ani też nie rzucać więcej cytatami z filmów.

-Jeśli chcesz świętować Boże Narodzenie, twoja sprawa. To, co robimy z Andrew i naszą córką w domu, to nasza sprawa.

Głos Mimi był lodowaty.

-Jeśli upierasz się przy wyjeździe do swojej matki, moja stopa nigdy więcej nie stanie w waszym domu.

„Alleluja” - pomyślała Becky.

- Cóż, przykro mi, że tak to odbierasz - odparła spokojnie. - Rozmawialiśmy już o tym z Andrew i nasza decyzja jest ostateczna.

-Ty... ty... - Słysząc było tylko bezsłowny pisk oburzenia, a potem rozległ się sygnał. Mimi się rozłączyła.

Becky wpatrywała się w telefon. Pomyślała sobie, że nikt nie rozłączył się podczas rozmowy z nią od czasów szóstej klasy, gdy pokłóciła się z Lisą Yoseloff o to, która z nich tym razem miała siedzieć w szkolnym autobusie obok Robbiego Marksa. Zaciśnęła drżące dłonie w pięści i spojrzała na Awę, siedzącą na kuchennej podłodze i radośnie stukającą plastikowymi pojemniczkami.

- Z przykrością to mówię, ale twoja babcia jest obłąkana.

- Ehgah? - powiedziała Ava.

- Jeśli w języku niemowlaków oznacza to obłąkana, to tak. Ale nie martw się. - Podniosła słuchawkę. - Zadzwonimy do tatusia i on wszystko wyjaśni.

- Możemy przebukować bilety? - zapytał Andrew.

Becky przycisnęła słuchawkę do ucha. Musiała źle usłyszeć. Opowiedziała mu całą historię, od pojawienia się doręczyciela z choinką aż do gróźb Mimi, i taka była jego odpowiedź?

- Andrew. Twoja matka nazwała mnie ździżą, rozłączyła się, a poza tym ma jakieś psychotyczne fantazje, że przygotowuję jej świąteczną szynkę. Nie panuje nad sobą. Uważam, że ulotnienie się z miasta jest najmądrzejszą rzeczą, jaką możemy zrobić.

Usłyszała westchnięcie.

- Mimi właśnie do mnie dzwoniła. Jest bardzo zdenerwowana. - Kolejne westchnięcie.

- Tak, domyśliłam się, kiedy się rozłączyła. Posłuchaj, Andrew, ona ma po prostu napad złości.

- Możesz to tak nazywać - przyzwolił Andrew.

- Wiesz, co się robi, kiedy małe dziecko ma napad złości? Nie dajesz mu tego, czego chce. Oddalasz się. Mówisz mu, że musi się uspokoić i że nie będziesz się do niego odzywać, póki tego nie zrobi.

-Uważam po prostu, że byłoby prościej, gdybyśmy...

- ...dali jej to, co chce. Wiem. Spójrz jednak wstecz! Zawsze dajemy jej to, co chce, a ona i tak nigdy nie jest zadowolona. W każdym razie nie na dłużej. A tak naprawdę nawet nie przez chwilę. Nie możemy wciąż i wciąż robić tego samego, dawać jej i dawać to, co chce, bo ona i tak zawsze się dąsa. To nie działa. Nie dostrzegasz tego?

Zapanowała cisza.

-Becky... - zaczął Andrew.

„...ona jest moją matką” - dokończyła Becky w myślach. Czowała, że grunt pali się jej pod nogami. Jak mogła tego nie zauważyć? Jej mąż, wspaniały, przystojny, pociąga-

jący Andrew, był przede wszystkim maminsynkiem. Tak naprawdę nawet się z nią nie ożenił. Ożenił się z Mimi. To żądania Mimi były na pierwszym miejscu, a krzykiem potrafiła osiągnąć swój cel. Becky była tylko na doczepkę.

- Możemy zadzwonić i sprawdzić, czy dałoby się wyjechać dzień po, zamiast dzień przed Bożym Narodzeniem - powiedział Andrew. - To nic takiego. Nadal będziemy mogli spędzić cały tydzień z twoją mamą. Damy Mimi jej dzień, pozwolimy, by miała to swoje Boże Narodzenie.

Becky potrząsnęła głową.

- Nie - powiedziała cichym, ale stanowczym głosem. Nie zamierzała zachowywać się jak Mimi. Nie zamierzała krzyczeć, grozić ani rzucać słuchawką. Nie miała jednak zamiaru zmieniać zdania. - Nie.

- Nie chcesz nawet tego zrobić? - zapytał Andrew. - Dać jej jednego dnia?

- Tu nie chodzi o dzień, lecz o żelazną zasadę. Kiedyś musimy się temu przeciwstawić, bo w przeciwnym razie przez resztę życia Mimi będzie nami rządziła.

W jego głosie powoli pojawiało się oburzenie.

- To nie tak.

Becky pomyślała o wszystkich przykładach, które mogła mu podać. Dziesiątkach drobnych zachowań wykorzystywanych przez Mimi do manipulowania nimi i osłabiania ich pozycji. Babeczce jagodowej, którą wepchnęła Avie do gardła; kokardce przyklejonej na skrobię kukurydzianą; mandatach za złe parkowanie, wrzuconych przez otwór pocztowy w ich drzwiach. O tym, że w jej domu nie ma ani jednego zdjęcia Becky z Avą; tylko zdjęcia Mimi z Avą i Andrew z Avą, jakby to oni dwoje wychodowali dziecko w laboratorium lub zerwali z drzewa. O sukni ślubnej, którą Mimi założyła na ich wesele.

Jednak powiedziała tylko:

- Pomyśl o Avie. Zastanów się, czego to ją uczy. Ten, kto krzyczy, wyzywa i rzuca słuchawką w trakcie rozmowy, dostaje to, co chce? Że to w porządku mówić dzieciom, jak mają żyć? Nie pozwalać im decydować o sobie? Nie pozwalać im dorosnąć?

- Mimi już nie jest młoda - powiedział. - Nie jest młoda, za to zupełnie sama. Jestem wszystkim, co ma.

-I niech tak będzie - odparła Becky. - Jest twoją matką, a ty jesteś jej synem. Rozumiem to, jednak ja jestem twoją żoną, a Ava córką. Powinniśmy być najważniejsze, nie sądzisz? Przynajmniej czasami.

Zapadła cisza.

-Naprawdę powiedziałaś jej, że jedyne, co musisz, to umrzeć? - zapytał Andrew.

Becky owineęła sobie lok na palcu.

- Wyrwało mi się. Przepraszam.

Słyszała jego westchnięcie, jakby stał tuż koło niej w pokoju.

- Porozmawiam z nią - powiedział cicho, jakby mówił do siebie. - Będzie dobrze.

Andrew wrócił do domu dopiero o dziesiątej wieczorem, a gdy wszedł do pokoju, miał bladą twarz i czerwone oczy. Becky spojrzała na niego z podłogi, gdzie bawiła się z Avą, która już dawno powinna być w łóżeczku, by tata mógł ją zobaczyć przed snem.

- Domyślam się, że sprawy z Mimi nie poszły zbyt dobrze.

Andrew potrząsnął głową.

- Twierdzi, że nigdy nie mówiliśmy jej, iż jedziemy na Florydę.

Becky poczuła napływający gniew.

- Czy za każdym razem, gdy chcemy gdzieś jechać, musimy dostać od niej pozwolenie? Dwa razy sprawdzałam w umowie ślubnej i jestem pewna, że nie ma tam mowy o tym, iż potrzebuję zgody teściowej na wyjazd.

- Jest zawiedziona, że nie spędzi Bożego Narodzenia z wnuczką.

- To ty jesteś lekarzem i powinieneś wiedzieć, że z rozczarowania nikt jeszcze nie umarł - powiedziała Becky, wyciągając Avie z buzi drewniany klocek, gryziony jednym zębem, który pojawił się tydzień wcześniej. - Spokojnie, Kielku.

- Khiii! - powiedziała Ava i przekreśliła się na bok, w poszukiwaniu czegoś innego do gryzienia.

- Ale obstawałeś przy swoim? - zapytała Becky.

Andrew pokiwał głową.

- Płakała.

- Przykro mi to słyszeć - odparła. - Dojdzie do siebie, prawda?

Andrew opadł na fotel. Podniósł klocek z kocyka obok Avy i obracał go w palcach.

- Nie jestem pewien.

- Och, daj spokój. To jej nie zabije. Musi się nauczyć sztuki kompromisu. Teraz jesteś żonaty. Nie możesz być na każde jej zawołanie i robić wszystkiego, co chce. I, tak jak jej powiedziałam, może robić, co chce, w sprawie świąt, religii, czegokolwiek, w swoim własnym domu, ale niech nie mówi nam, jak mamy postępować.

Andrew schował twarz w dłoniach. Becky wstała i objęła go mocno.

- Przetrywamy to. Pojedziemy na Florydę. Słońce i zabawa! Piasek i surfing! Ubierzemy Avę w ten malutki kostium kąpielowy z homarem i niech sobie pobędzie w wodzie na płyciźnie. Prawda, Ava?

- Ish! - odpowiedziała Ava i wsadziła sobie do buzi następny klocek.

- Dziewczynko, co ci mówiłam na temat jedzenia drewna? - zapytała Becky. - Będzie dobrze - stwierdziła. Zamieniła klocek na gryzaczek i pocałowała Andrew w

ucho. - Będzie dobrze - powtórzyła. - Znajdzie kogoś, kto upiecze jej szynkę, a pewnego dnia znów wyjdzie za mąż, a do naszego powrotu z Florydy o wszystkim zapomni.

Andrew patrzył na nią posepnie.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz.

AYINDE

- Przepraszam za spóźnienie - powiedziała doktor Melendez, wchodząc pospiesznie do gabinetu. Zatrzymała się przy leżance i uśmiechnęła promiennie do Juliana, który w odpowiedzi wyszczerzył bezzębne dziąsła. - Jaki aniołek!

Ayinde poczuła odprężenie i posłała synkowi szeroki uśmiech. Może i małżeństwo było w rozkładzie, ale przynajmniej udawało się jej dobrze wypełniać obowiązki matki. Cóż, mniej więcej.

- Opuściliście wizytę w szóstym miesiącu, tak? - stwierdziła karcąco lekarka.

Ayinde spojrzała w dół na swoje buty.

- Byliśmy zajęci - odpowiedziała. Doktor Melendez jedynie pokiwała głową. Czy to możliwe, by nie wiedziała, co się działo w życiu Ayinde i Juliana, czy tylko starała się być uprzejma? - Bardzo przepraszam. Pewnie mamy zaległości w szczepieniach.

- To żaden problem - powiedziała lekarka, zaglądając Julianowi do uszu. - Nie chciałabym tylko, aby stało się to regułą. Proszę mi opowiedzieć o jego postępach - zaproponowała, przesuwając sprawnie obiema dłońmi po ciele Juliana. Zza jej pleców dwóch studentów obserwowało badanie. Poruszała stopą chłopca, ścisnęła kolanka, aż się spotkały, potem puściła. - Zaczął się przemieszczać?

- Jeszcze nie raczkuje, ale pewnie siedzi i sięga po przedmioty. Dużo gaworzy i próbuje podciągać się przy kanapie. - Ayinde przerwała, by zaczerpnąć powietrza.

- Brzmi dobrze - stwierdziła lekarka, biorąc stetoskop. Posłuchała, spojrzała w kartę Juliana, potem przyłożyła słuchawki w inne miejsce na piersiach chłopca i skrzywiła się. - Hmm.

Ayinde nie mogła złapać oddechu.

- Wszystko dobrze?

Doktor Melendez przyłożyła palec do ust, prosząc o ciszę. Ayinde obserwowała zegarek na drugiej ręce lekarki. Dziesięć sekund, piętnaście, dwadzieścia. Zamknęła oczy.

- Czy wszystko w porządku? - zapytała ponownie.

Doktor Melendez zdjęła słuchawki i znów spojrzała w kartę Juliana.

- Czy Julian miał kiedykolwiek problemy z oddychaniem? Czy zauważyła pani, by

miął przyspieszony oddech?

- Nie - odparła Ayinde, kręcąc przecząco głową. - Nie, nigdy.

- Czy ktoś mówił już pani, że Julian ma szmer w sercu?

Ayinde usiadła na obrotowym stołku tuż przy leżance.

- Nie - powiedziała. - Wszystko było dobrze. Urodził się kilka tygodni wcześniej, ale poza tym nic mu nie dolegało.

- Jednak teraz ma niewielki szmer i chciałabym, żeby zbadał go kardiolog.

Ayinde nachyliła się i wzięła Juliana, wciąż w samej pieluszce, na ręce.

- Co się stało? - zapytała, podnosząc głos i czując własne serce walące w piersi. - Czy szmer w sercu jest groźny?

- W wielu przypadkach to nic poważnego - odparła doktor Melendez, siadając. - Same szmery wiele nam nie mówią. Występują powszechnie i często są objawem, który po pewnym czasie sam znika. Jak sama pani przyznała, Julian jest zdrowy i pełen energii, prawidłowo rośnie, więc tutaj nie widzę problemu.

Ayinde kiwnęła szybko głową. Od urodzenia Julian był w dziewięćdziesiątym piątym centylnu pod względem wzrostu i w osiemdziesiątym pod względem wagi. „Mój duży człowieczek” - mawiał o nim Richard, gdy jeszcze rozmawiali.

- Jest duże prawdopodobieństwo, że w jego przypadku poprzestaniemy na obserwacji albo zastosujemy proste leczenie.

- A jeśli nie?

- Wtedy konieczna będzie operacja - powiedziała doktor Melendez. - Ale nie wychodźmy przed orkiestrę. Najpierw musimy dowiedzieć się, z czym mamy do czynienia. - Sięgnęła po recepty i zaczęła pisać. - Chciałabym, aby umówiła się pani z moim kolegą, doktorem Myersonem.

Ayinde poczuła zawroty głowy. Mocniej chwyciła Juliana.

- Mamy się zapisać na wizytę?

- Tak - odparła doktor Melendez, wręczając Ayinde kartkę z nazwiskiem, numerem telefonu i adresem. - Prawdopodobnie przyjmie was w przyszłym tygodniu. Proszę obserwować Juliana, a jeśli zauważy pani, że ma problemy z oddychaniem, sapie lub sinieją mu usta, proszę natychmiast do nas zadzwonić albo zawieźć go na ostry dyżur. Nie sądzę jednak, by to było konieczne - kontynuowała, kładąc rękę na ramieniu Ayinde. - Gdyby coś miało się wydarzyć, już by się wydarzyło. Prawdopodobnie wszystko jest w porządku, jednak chcę się upewnić.

Ayinde kiwnęła głową i podziękowała. Ubrała Juliana i wsadziła do wózka. Schowawszy skierowanie do kieszeni, poszła na parking, w samochodzie przypięła Juliana w foteliku na tylnym siedzeniu, usiadła za kierownicą i zadzwoniła do Becky.

- Czy twój mąż zna jakiegoś kardiologa dziecięcego?

- Co się stało? - zapytała natychmiast Becky.
- Julian ma szmer w sercu.
- Ach, nie wpadaj w panikę. Dużo dzieci to ma.
- Wiem, ale ma go zobaczyć doktor Myerson, tylko że on prawdopodobnie wyzna-
czy nam wizytę dopiero w przyszłym tygodniu. Richarda nie ma - mają mecze, a ja
tak długo nie wytrzymam.

- Ayinde - powiedziała Becky. - Dziecko się nie rozpadnie. Dowiem się, co Andrew
może zrobić.

- Dziękuję - odpowiedziała Ayinde. - Przez długą chwilę wpatrywała się w trzyma-
ny w dłoni telefon. Myślała o kobiecie z Phoenix. Ayinde miała zakaz oglądania tele-
wizji i czytania magazynów.

-Nieświadomość jest niebiańskim szczęściem - powiedziała jej jakiś czas temu
Christina Crossley. - Wierz mi, długo w tym siedzę i jestem przekonana, że im mniej
wiesz, tym lepiej.

Jednak Ayinde widziała twarz tamtej kobiety, spoglądającą ze stojaków z prasą, ku-
piła nawet egzemplarz „National Examinera”. Przeczytała, gdy Julian drzemał w
swoim foteliku, ta kobieta ma na imię Tiffany i nim romans z Richardem Towne'em
uczynił z niej obiekt narodowej obserwacji, była dwudziestojednolatką z nieukoń-
czonym colle- ge'em, pracującą dorywczo jako tancerka. Serce dziecka Tiffany bę-
dzie zdrowe.

Ayinde włożyła drżące dłonie do kieszeni, pragnąc, by znieruchomiały. „Richard jest
w Bostonie” - pomyślała; ostatnio nie śledziła dokładnie, dokąd jechał i z kim grał.
Wykreśliła numer, pod który nie dzwoniła od dziewięciu miesięcy, od chwili gdy sa-
ma była w szpitalu. „Lepiej, żeby tym razem odebrał” - pomyślała i poczuła ulgę, gdy
połączyła się po pierwszym sygnale.

- Słucham?

Nie był to Richard, lecz Christina Crossley, która zarządzała telefonami rodziny.

- Christina, tu Ayinde. Jestem z Julianem u lekarza. Muszę natychmiast rozmawiać
z Richardem.

- Dlaczego? Co się stało?

Ayinde niemal słyszała tryby przeskakujące w głowie kobiety, analizującej możliwe
problemy, oceniającej ich wpływ na kampanię, którą prowadziła w celu uratowania
wizerunku Richarda i, tym samym, podpisanych kontraktów.

- Muszę rozmawiać z Richardem - powiedziała stanowczo Ayinde. - Teraz.

- Zaraz go poszukam - odparła Christina Crossley.

Chwilę później Richard był już przy telefonie.

- Ayinde? To ty?

- Musisz przyjechać do domu - wykrztusiła. - Z dzieckiem dzieje się coś złego.

Panie doktorze, nie rozumiem - powiedziała Ayinde do doktora Myersona, gdy już zważył i zmierzył Juliana. Andrew pociągnął za tylko Bogu wiadome sznurki i umówił ich na pierwszą wizytę następnego ranka. Richard przyleciał z Bostonu i większą część nocy spędzili, wpatrując się w Juliana, leżącego spokojnie na łóżku między nimi. Wsłuchiwali się w każdy oddech, przyglądali się usteczkom, czy przypadkiem nie sinieją. O drugiej nad ranem Richard zarzucił koc na ramiona żony i powiedział:

- Śpij już. Zajmę się nim. - Tej nocy pierwszy raz od kilku miesięcy dzieliła łóżko z mężem.

- Wszystko było w porządku, gdy się urodził, zawsze był zdrowy, dobrze je, rozwija się prawidłowo... - Sięgnęła po dziennik z *Sukcesu dziecka*, w którym skrupulatnie zapisywała codziennie, jak długo był przy piersi, co jadł, mokre pieluszki, brudne pieluszki, czas i długość snu.

- Te choroby czasami nie objawiają się od razu - powiedział lekarz.

Doktor Myerson był po pięćdziesiątce, łysiał, miał fircykowate buty z dziurkowanymi czubkami i krótkie, grube palce. Ayinde stwierdziła, że nie chce widzieć ich w pobliżu serca swojego dziecka, mimo zapewnień Andrew, że Myerson jest najlepszy. Najlepszy czy nie, brakowało mu dobrego podejścia doktor Melendez. Ayinde modliła się, by był to objaw zawodowego profesjonalizmu.

- Wielu chirurgów jest aroganckich - powiedziała jej kiedyś Becky.

- A Andrew? - zapytała Ayinde. Becky wzruszyła ramionami i wyraziła nadzieję, że jej mąż jest wyjątkiem potwierdzającym regułę.

Doktor Myerson przez dwadzieścia sekund wsłuchiwał się w bicie serca Juliana, po czym zdjął słuchawki i wręczył ubrane w samą pieluszkę dziecko Ayinde, odwracając się do niej i Richarda. Richard wyciągnął dłoń w kierunku jej ręki i po raz pierwszy od wieczoru spod znaku Panny Phoenix ich palce się zetknęły.

- Dobrze - powiedział lekarz. Miał wysoki, szorstki głos jak postać z kreskówki. - Na podstawie osłuchania mogę stwierdzić, że Julian ma ubytek w przegrodzie międzykomorowej - dziurę między prawą a lewą częścią serca.

Świat zatańczył jej przed oczami.

- Co to oznacza? - zapytała Ayinde.

- Dlaczego nikt nie zauważył tego wcześniej? - chciał wiedzieć Richard. - Przecież co miesiąc był na kontroli, prawda?

- Co miesiąc przez pierwsze trzy miesiące, a potem raz na kwartał - odparła, pomi-

jając milczeniem opóźnienie wizyty po ukończeniu pół roku. - Wszystko było dobrze.

- Jak już mówiłem, taka wada nie zawsze objawia się przy urodzeniu. Teraz, żeby odpowiedzieć na pani pytanie, pani Towne, proszę spojrzeć. - Podniósł z blatu czerwono-niebieski model dziecięcego serca. „Takie małe” - pomyślała Ayinde. - A więc - zaczął - serce podzielone jest na cztery części - prawą i lewą komorę i prawy i lewy przedsionek. Normalnie prawy i lewy przedsionek oddzielone są przegrodą międzyprzedsionkową... - pokazał - a prawa i lewa komora przegrodą międzykomorową.

-I Julian ma tam otwór... - Ayinde mocniej przytuliła dziecko, myśląc, tak jak przez całą poprzednią noc, że wygląda na zupełnie zdrowego. Długi, z bystrymi brązowymi oczami i gładką kasztanową skórą ojca. Nigdy się nie przeziębiał, nawet nie pociągał nosem. A teraz to.

Lekarz znów wskazał na model.

- W tym miejscu. Pomiędzy dwiema komorami. Nie jest to rzadka wada.

- Da się to stwierdzić, tylko osłuchując? - zapytał Richard.

Lekarz przygładził włosy i przytaknął.

- Czy... - Ayinde nie mogła złapać oddechu. - Czy to go boli?

Lekarz potrząsnął przecząco głową.

- Nie czuje żadnego bólu.

- Co z tym zrobimy? - zapytał Richard. - Potrzebna jest operacja?

- Jeszcze za wcześnie, by cokolwiek powiedzieć - odparł lekarz. - Może się zdarzyć, że wada będzie wymagała jedynie obserwacji, a otwór sam się zamknie. Nie ma co panikować.

Richard odchrząknął.

- Będzie mógł biegać? Uprawiać sport?

Ayinde spojrzała na męża z niedowierzaniem. Richard mocniej uścisnął jej dłoń.

- Chcę się tylko upewnić, że wszystko będzie dobrze - wyjaśnił Richard.

Lekarz gryzmołił coś na kartce papieru,

- Najbardziej optymistyczny scenariusz jest taki, że chłopiec będzie zupełnie zdrowy, a otwór sam się zamknie. Jak już mówiłem, taka nieprawidłowość jest dość częsta i będziemy to obserwować. Na początku będę osłuchiwał go co tydzień. Jeśli nadal nie pojawią się żadne objawy, zmniejszymy częstotliwość badań. Jedynie będzie musiał brać antybiotyki przed wizytą u dentysty. Poza tym czeka go długie i szczęśliwe życie. Są oczywiście możliwe inne scenariusze, jednak nim je omówię, chciałbym przeprowadzić jeszcze kilka badań diagnostycznych.

Ayinde schyliła głowę.

- Kiedy to się stało? - zapytała.

- Chciałbym, aby medycyna знаła odpowiedź, ale niestety nie wiadomo. - Szorstki głos lekarza stawał się coraz łagodniejszy. - To popularna wada wrodzona. Jedno na sto dzieci ma kłopoty z sercem. Czasami wynika to ze złego odżywiania ciężarnej lub zaniedbywania się. Kobiety, które w ciąży zażywają narkotyki... - Spojrzał na Ayinde.

Potrząsnęła głową, nim zdążył zapytać.

- Nic. Może wypiałam kieliszek albo dwa wina, nim się dowiedzieliśmy... nim byliśmy pewni... ale...

- Proszę się nie obwiniać - powiedział. - Żadnemu z rodziców nie podoba się, gdy to mówię, ale to jest... - wzruszył ramionami w wykrochmalonym fartuchu - ...jedna z przyczyn.

Ayinde się rozplakała. Richard wziął jej dłonie w swoje ręce.

- Wszystko będzie dobrze - powiedział.

Czuła, jak serce wali jej w piersiach. Zawroty głowy stawały się coraz silniejsze. „Zrobiłam coś” - pomyślała... ale co to mogło być? Co takiego zrobiła, że sprowadziła nieszczęście na siebie, na swoje dziecko?

Próbowała mu się wyrwać.

- Muszę zadzwonić.

Richard ścisnął mocniej jej dłonie.

-Zostawię was na chwilę samych - powiedział lekarz i zniknął za drzwiami.

Ayinde zastanawiała się, dlaczego wybrał pracę polegającą na przekazywaniu złych wieści rodzinom i jak sobie z tym radził. Czy wieczorem, gdy wracał do domu, chciało mu się płakać?

Uniosła twarz i spojrzała na Richarda.

- Chcę zadzwonić do przyjaciółek. Chcę, żeby były przy mnie. Mąż Becky jest lekarzem, a jej przyjaciółka, Lia... - Ścisnęło ją w gardle. - Miała dziecko... - Odebrało jej mowę. Trzymając Juliana w ramionach, wtuliła twarz w pierś Richarda i szlochała.

Wziął w dłonie jej głowę.

- Cii, cii, Ayinde, cichutko, wystraszysz dziecko. - Objął ją i dziecko i tulił mocno w szerokich ramionach. - Wszystko będzie dobrze - powiedział.

- Skąd wiesz? - zapytała.

Uśmiechnął się krzywo.

- Bo Bóg nie jest okrutny. Wystarczająco dużo przeszłaś.

Zastanawiała się, co powiedziałyby na to Lia. Ona tego doświadczyła. Czasami Bóg bywa okrutny.

- Pozwól mi coś dla ciebie zrobić - poprosił Richard. - Pozwól mi się tobą zająć. Wiem, że cię zawiodłem, ale chcę to naprawić, Ayinde. Jeśli pozwolisz...

Skinęła głową.

- Zostań tu z dzieckiem. - Wyciągnął dłoń po jej komórkę. - Zadzwoń do twoich przyjaciółek.

Jeszcze raz kiwnęła głową i wytarła oczy.

- Mają na imię...

- Becky - powiedział Richard. - Kelly to ta drobna, której mąż nie pracuje, tak? A trzecia?

- Lia - odparła Ayinde. Czuła się skołowana i zaskoczona. Jak to się stało, że Richard zna imiona jej przyjaciółek? Raz przedstawiła go Becky i Kelly w szpitalu, w zamieszaniu po narodzinach Juliana, a Lii nigdy nie poznał. - Becky będzie wiedziała, jak ją zawiadomić.

Richard zatrzymał się.

- Chcesz, żebym zadzwonił do twojej matki?

Ayinde potrząsnęła przecząco głową. Lolo uważała, że córka zniszczyła sobie życie, wychodząc za mąż za nieodpowiedniego człowieka, że ten związek przyniesie jej tylko smutek, i Ayinde nie zamierzała dać jej najmniejszego dowodu na to, że miała rację.

- Zaraz wrócę. Proszę. - Znalazł papierowy kubek, nalał wody i podał Ayinde. Później wyszedł. Wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna poruszający się z lekkością sportowca, przyciągał wzrok pielęgniarek, przestraszonych matek, a nawet dzieci. Ayinde posadziła Juliana na leżance i powoli, ostrożnie, delikatnie, zaczęła go ubierać.

- Cześć! - Becky przyjechała do domu Ayinde prosto z Mas. Ubrana w białe-czarne kraciaste spodnie, bluzkę z długimi rękawami i zielonkawy fartuch, trzymała w dłoniach dwie plastikowe torby. Włosy miała upięte na czubku głowy. Tuż za nią stała Kelly w dżinsach i bluzie z kapturem, z włosami opadającymi na ramiona, podkrążonymi oczami i Oliverem w ramionach. Ostatnia do kuchni weszła Lia w obcisłych czarnych spodniach i czarnym swetrze. Od czasu, gdy Ayinde ją widziała, przefarbowała włosy. Niegdyś miała ciemne odrosty i jasne końce, teraz jej włosy były jednolicie kasztanowe i spływały falami na ramiona. „Właśnie tak musiała wyglądać” - pomyślała Ayinde - „w prawdziwym życiu. Przed...”

-Przyniosłam kolację - powiedziała Becky, stawiając pachnące torby na blacie. - Są już jakieś wieści? - zapytała.

- Jeszcze nie wiemy. Elektrokardiogram i prześwietlenia nie są jednoznaczne - cytowała Ayinde. - Jutro rano musi mieć badanie, które nazywa się echokardiogram przezprzełykowy. - Richard opowiedział im ogólnie, że Julian ma otwór w sercu i lekarze przeprowadzają kolejne badania. Dziura w sercu. To niemal poetyckie. Przez

ostatnie tygodnie czuła, jakby ktoś wyrwał dziurę w jej własnym sercu. - To zabieg ambulatoryjny, ale przeprowadzają go w znieczuleniu ogólnym i lekarz zrobi to z samego rana. Gdzie jest Ava?

- W żłobku - odparła Becky, rozpakowując przywiezione przez siebie jedzenie, otwierając kolejne styropianowe parujące pudełka, układając serwetki i sztuce. - A gdzie jest Julian?

- W pokoju. Ze swoim ojcem. Przepraszam, że oderwałam cię od pracy...

- Nie wygłupiaj się - powiedziała Becky. - Chociaż może będziesz musiała przeprosić Sarah. O mało nie zemdląca, gdy zadzwonił Richard. Tak jakby dzwonił Bóg i pytał, czy może zarezerwować stół na wpół do ósmej. - Podała Ayinde talerz z przyrumienioną wieprzowiną, czarną fasolą i szafranowym ryżem. Ayinde odsunęła go od siebie.

- Nie mogę jeść. Ani jeść, ani spać... Ciągle zastanawiam się, wiesz, co by było, gdyby coś się stało, gdyby przestał oddychać... - Skryła twarz w dłoniach.

- Och, Ayinde - próbowała wesprzeć ją Becky. Kelly zakryła oczy palcami. To Lia usiadła obok Ayinde i wzięła ją za rękę. To Lia siedziała spokojnie i pozwoliła się jej wypłakać.

-

- Hej, maluszk... - powiedział Richard.

Siedział w bujanym fotelu w szpitalnej poczekalni ze skrzyżowanymi niewygodnie długimi nogami i Julianem na kolanach. Ayinde wstrzymała oddech i przystanąła w połowie korytarza. Poszła do łazienki, by obmyć twarz, i zostawiła Richarda z dzieckiem.

- ...teraz na chwilę zaśniesz - mówił dalej Richard. Julian znów wyglądał niemal jak noworodek, z główką ułożoną w zgięciu łokcia Richarda. - A jak się obudzisz, może cię troszkę boleć gardło, jednak będziemy wiedzieli, co z twoim serduszkem. - Popukał pierś dziecka jednym palcem. - Może okaże się, że nic ci nie jest i musisz tylko dużo odpoczywać. Pójdiesz na ławkę rezerwową. Albo będziesz musiał mieć małą operację, podczas której zreperują twoje serduszko. Wszystko będzie dobrze. Mamusia cię kocha i tatuś też cię kocha. Wszystko będzie dobrze, maluszk. Wszystko będzie dobrze.

Przytulił dziecko i kołysał się z nim w fotelu.

-Więc nie martw się - powiedział. Ayinde dostrzegła w jego oczach łzy. - Nie musisz grać w koszykówkę. Nie musisz nic, bylebyś tylko z tego wyszedł. Niezależnie od tego, co się stanie, zawsze będziemy cię kochać.

Odchrząknęła. Jej mąż podniósł wzrok.

- Cześć, kochanie - powiedział i przetarł oczy.

- Wezmę go - zaproponowała i wyciągnęła ręce po dziecko.
- Może to ja potrzynam go trochę, dobrze? - zapytał Richard.
- W porządku - odparła. Teraz to ona ujęła dłoń Richarda. - W porządku.

Pielęgniarka przyszła po Juliana punktualnie o dziewiątej.

- To zajmie pół godziny - oznajmiła, biorąc chłopca na ręce. Ayinde była przygotowana, że dziecko zacznie płakać, ale Julian rozejrzał się w koło, a potem otworzył i zamknął dłoń, demonstrując dziecinną wersję machania. - Proszę spróbować się nie martwić.

Ayinde chodziła po korytarzach utrzymanych w kolorze beżu i znała już na pamięć każdy fragment wykładziny, każde nazwisko na drzwiach. Czasami Richard szedł obok, nie dotykał jej, nie odzywał się, ale był wystarczająco blisko, by czuć ciepło jego ciała. Potem usiadł, a Ayinde otoczyły przyjaciółki. Becky i Kelly po jednej stronie, Lia po drugiej. Becky milczała. Kelly mruzczała pod nosem:

- Zdrowaś Mario, łaskiś pełna, Pan z Tobą, błogosławio- naś Ty między niewiastami i błogosławiony owoc żywota Twojego Jezus. Święta Mario, Matko Boża, módl się za nami, grzesznymi, teraz i w godzinę śmierci naszej. Amen. Zdrowaś Mario, łaskiś pełna...

Ayinde odmawiała własną modlitwę - jedno słowo, dwie sylaby: „Proszę, proszę, proszę, proszę, proszę” - powtarzała w myślach, chodząc tam i z powrotem. Mogła znieść wszystko: niewierność męża, odnoszącą się do niej pogardliwie matkę i publiczne upokorzenia. Gotowa była to przełknąć, jeśli tylko jej syn będzie zdrowy.

- Proszę - powiedziała głośno. Co by zrobiła, gdyby straciła dziecko? Byłaby pewnie jak Lia, jak bezpański pies, szukający miejsca, w którym będzie mu lepiej, miejsca, które będzie mógł uznać za dom. Ale teraz jej domem była Filadelfia - rozważała, zawracając na końcu korytarza. Tu było jej życie, niezależnie od wszystkich komplikacji. W tym szpitalu urodziła dziecko, chodziła na spacer po tych chodnikach, siedziała z wózkiem pod wierzwą płaczącą w parku. Jej przyjaciółki tu były i ich dzieci, i Julian mógłby z nimi dorastać. Jeśli dane mu będzie dorastać. „Proszę” - modliła się, idąc z opuszczoną głową, ledwie zauważając, że Lia wzięła ją za rękę. „Proszę, proszę, proszę...”

Usłyszała Richarda, jeszcze zanim go zobaczyła. Znajomy odgłos kroków, gdy szedł wąskim korytarzem. Oderwała wzrok od wykładziny, podniosła oczy i zobaczyła męża w ruchu: biegnącego tak, jak tysiące razy widziała go na parkiecie. Richarda zbierającego piłkę z tablicy, rozpoczynającego dwutakt i wyskakującego w górę, jakby chciał się wzbić w powietrze; podającego precyzyjnie piłkę kolegom z drużyny,

przy aplauzie tłumów.

- Kochanie.

Odwróciła się i stwierdziła, że nie może oddychać ani się ruszyć.

- Jest dobrze - powiedział Richard, uśmiechając się promiennie. W jednej chwili znalazła się w jego ramionach, wtulona mocno w męża. - Jest dziurka, ale mała i sama się zrośnie. Musimy go obserwować, wszystko będzie dobrze.

- Dobrze - powtórzyła. Nogi się pod nią ugięły, ale tym razem Richard był przy niej i uchronił ją przed zderzeniem ze ścianą.

- Cii, cii - szepnął i pocałował ją w policzek. Potem poprowadził ostatni raz wzdłuż korytarza, do miejsca, gdzie stały sofy i stoliki, leżały nieaktualne magazyny i siedzieli rodzice o spiętych, pełnych strachu twarzach. Tam też czekały na nią przyjaciółki, siedzące ramię w ramię na kanapie - Becky w kuchennych spodniach w białą-czarną kratkę, Kelly obracająca paciorki różańca w palcach, Lia z profilem tak surowym i ślicznym jak z obrazu lub monety. Patrzyły na nią z twarzami zwróconymi ku górze jak kwiaty ku słońcu, trzymając się za ręce jak siostry.

- Wszystko będzie dobrze.

TLR

STYCZEŃ

LI A

- Witam - powiedziałam, podchodząc do dwuosobowego stolika na brzegu sali, zajętego przez starszą, siwą parę. Babcia i dziadek spędzają miły wieczór w mieście. - Mam na imię Lia i będę dziś państwa obsługiwała. Czy przedstawić państwu danie dnia?

- Tylko jeśli poda nam pani jego cenę - powiedziała kobieta, mrużąc oczy, jakbym chciała uciec wraz z jej torebką. - Nie znoszę, gdy obsługa poleca dania dnia i nie mówi, ile kosztuje. A potem zaskoczenie, gdy dostaje się rachunek. *Zazwyczaj* niemiłe.

Usilnie starałam się, by uśmiech wciąż pozostawał na mojej twarzy.

- Oczywiście. Dziś wieczorem serwujemy ceviche - surową rybę marynowaną w soku z limonki...

- Wiem, co to jest ceviche - stwierdziła kobieta, wymachując nożem. - Nie traktuj mnie protekcyjnie, moja droga.

„Och! Złośliwa babunia”.

- Nasze ceviche jest dziś przyrządzone z łososia w marynacie z limonki i czerwonego grejpfruta, a kosztuje dwanaście dolarów. Serwujemy też kotlet cielęcy z anchois, podany z pikantnym kremem budyniowym za osiemnaście dolarów. Rybą dnia jest dorada, podawana w całości, natarta oliwą z oliwek, kosztowną solą i pieprzem. - Przerwałam. Starsza kobieta uniosła brwi. - Dorada ma zbite, łagodne mięso...

- Wiem.

-Przepraszam. Do ryby są plantany i kosztuje dwadzieścia dwa dolary.

- Weźmiemy wieprzowe empanadas - odezwał się mężczyzna.

- Mam nadzieję, że nie są tłuste - powiedziała kobieta.

- Smażymy je w głębokim tłuszczu - poinformowałam.

Obok mnie przemknęła Sarah z tacą. Spojrzałam za nią i zauważyłam siedzących przy stoliku obok ludzi. Nie mogłam oddychać i nieświadomie zrobiłam dwa kroki do tyłu.

- Przepraszam - wymamrotałam.

- Słucham? - powiedziała starsza kobieta. - Jeszcze nie skończyliśmy!

- Zaraz wracam - powiedziałam i przeszłam obok stolika numer osiem, przy którym odbywała się pierwsza randka, koło trzech dziewczyn plotkujących przy dziewiątce i wpadłam do kuchni, gdzie złapałam się stalowego blatu, próbując zaczerpnąć powietrza.

-Hej, coś się stało? - zapytała Becky, przechodząc pośpiesznie z miską ubitych jajek.

Pokręciłam głową i uniosłam w górę kciuk.

- Zobaczyłaś ducha? - spytała.

„Coś w tym rodzaju" - pomyślałam. i .

- Hej - zwróciłam się do Dasha, pomywacza - mogę napić się trochę twojej wody?
- Jasne! - odparł nieco oszołomiony, podając mi butelkę. - Możesz wypić wszystko!
Wzięłam duży łyk. Potem nalałam odrobinę na chusteczkę i położyłam sobie na karku. Matka robiła tak w upalne letnie dni. „I co, lepiej?" - pytała z dłonią pomiędzy moimi ramionami.

Wyprostowałam się, poprawiłam białą koszulę wyłożoną na czarne spodnie z czerwonymi lamówkami - „spodnie torreadora" - pomyślałam, gdy je kupiłam specjalnie do pracy w Mas, i wyjrzałam przez drzwi. Nie myliłam się. To była Merrill z „Rodzice razem", która wciąż powtarzała, jak ludzie ze „Spełniamy marzenia" nie dotrzyмали obietnicy i nie zorganizowali dla jej umierającego synka spotkania z gwiazdą porno. Była z mężem, człowiekiem, który bezskutecznie klepał ją wtedy po ramieniu. Merrill z mężem i małym chłopcem. Rzuciłam plotkującym dziewczynom rachunek i wróciłam do Zrządzającej Babci.

- No proszę! - powiedziała starsza kobieta. - Popatrz, kto wrócił! - Kątem oka obserwowałam stolik Merrill, patrzyłam, jak kobieta nachyla się do chłopca, śmiejąc się z tego, co powiedział.

- Przepraszam - powiedziałam. - Mają państwo jeszcze jakieś pytania co do menu? Mężczyzna pokręcił przecząco głową.

- Wezmę grillowane krewetki.

Kobieta wskazała na jedną z przystawek.

- Czy jagnięcina panierowana w chili jest bardzo ostra?

-Tak.

- A mogliby ją przyrządzić bez chili?

Chłopiec Merrill mógł mieć dwa albo trzy lata. Wydostał się z wysokiego krzeselka i ojciec pomógł mu założyć wełniany czerwony płaszcz.

- Mogę poprosić - powiedziałam, wiedząc, jak zareaguje Sarah: „Jeśli chcą zwykajne mięso, niech idą do Smitha i Wolensky'ego na końcu ulicy".

- Zrób to dla mnie, moja droga - odparła kobieta.

Merrill wstała, odkładając rachunek na stół, i poprowadziła chłopca do drzwi. „W »Rodzice razem« miała na sobie džinsy i bluzę - międzynarodowy mundurek zrozpaczonych" - myślałam czasami. Tego wieczoru była ubrana w czarne spodnie z paskiem ze złotych ogniwek, białą bluzkę i czerwono-złote chińskie pantofle. Miała błyszczące, uczesane włosy, pomalowane usta i oczy. Patrząc na nią, nikt by nie przypuszczał, że coś było nie tak. Wyglądała jak każda inna młoda matka w restauracji. Ugięły się pode mną kolana i musiałam złapać się krzesła, by nie klapnąć w nowych spodniach torreadora na podłodze.

- Coś nie tak? - zapytała surowo Babcia.

- Przepraszam - powiedziałam. Merrill, jej synek i mąż byli już za drzwiami. Nie zastanawiając się ani chwili, pobiegłam do kuchni. - Możesz mnie zastąpić? - zapytałam Becky.

-Co?

- Zastąp mnie - powiedziałam, ściągając fartuch i podając jej rachunki. - Mam siódemkę, ósemkę i dziewiątkę. Ludzie przy siódemce są okropni. Zaraz wracam. - Wybiegłam z kuchni przez restaurację i dogoniłam rodzinę Merrill na ulicy.

- Hej! - zawołałam. - Merrill!

Odwróciła się i spojrzała na mnie.

-Och, zostawiłam kartę kredytową? Ciągle to robię... - Zamilkła.

-Jestem Lisa. Z „Rodzice razem”. - Było strasznie zimno. Żałowałam, że nie złapałam z wieszaka niebieskiego płaszcza matki. - Przepraszam, że przeszkadzam, ale...

- Kochanie. - Mąż wziął ją za rękę. - Film się zaraz zacznie.

-Idźcie sami - powiedziała do męża, nie spuszczając wzroku z mojej twarzy. - My z Lisą pójdziemy na kawę.

-Nie chciałabym cię zatrzymywać i psuć wam wieczoru...

- W porządku - powiedziała. Z każdym oddechem wypuszczała kłęby pary. Otworzyła drzwi kawiarni przy ulicy Dziewiętnastej. Weszłam za nią.

-Czy ten... - przełknęłam ciężko. - Ten mały chłopiec. Czy to...

- Mój synek - powiedziała. - Ma na imię Jared.

- I urodziłaś go po...

Przytaknęła, siadając przy stoliku.

- Po. - Obie wiedziałyśmy, co oznacza to słowo.

- Jak? O to chciałam cię spytać. Powiedz mi, jak.

Skinęła głową i w tym geście dojrzałam szaloną kobietę, którą widziałam w grupie wsparcia, kobietę, która nie mogła zaznać spokoju i która wciąż bardzo cierpiała.

- Sądziłam, że nie będziemy już mieli dzieci. Że nie będziemy potrafili. Myślałam, że będziemy jednym z tych małżeństw, o których wszyscy wiedzą i mówią: och, stracili syna i ich małżeństwo się rozpadło. Ale Ted, mój mąż, był taki dobry w czasie choroby Daniela, że czasami... - Schyliła głowę i jej głos stał się ledwo słyszalny. - Doszło do tego, że zaczęłam postrzegać śmierć Daniela jako dar niebios, bo dzięki temu mój mąż pokazał, jak bardzo mnie kocha. Że nie mogę mieć wątpliwości. Wiem, jak to brzmi, ale...

Przycisnęłam dłonie do stołu, by się nie trzęsły. Przypomniałam sobie Sama - kielišek podany przez bar, papierek od słomki owinięty wokół mojego palca, suknię ślubną na hotelowym łóżku. „Teraz ja będę twoją rodziną”.

- Sześć miesięcy po śmierci Daniela Ted spytał, czy chciałabym spróbować - powiedziała Merrill. - Nie byłam jeszcze gotowa. Myślałam, że jeśli będę miała kolejne dziecko, kolejnego synka, będę się trzęsła przez całe życie, oczekując że leukemia znów przyjdzie dokończyć dzieła, zniszczyć moją rodzinę. Zabierze wszystko, co mam, nie tylko Daniela. Myślałam, że za każdym razem, gdy kichnie lub nabije sobie siniaka, będę ciągnęła go do lekarza... że nie będę umiała pozwolić mu być normalnym dzieckiem. Za bardzo się bałam.

- I tak rzeczywiście było?

- Trochę. Szczególnie na początku. Sądzę, że matki takie jak my, matki, które straciły dziecko, zawsze będą nadopiekuńcze i będą trzęsły się nad kolejnym dzieckiem. Jednak niezależnie od tego, jak bardzo uważasz, dzieci i tak dorastają, chcą być dziećmi i robić to, co ich rówieśnicy. Jeździć na rowerze, grać w piłkę, biegać po deszczu... - Potarła dłonią o dłoń. - Mam dobrego męża - powiedziała. - To trzy czwarte sukcesu. Reszta zależała ode mnie. Zdecydowałam, że to może być rozwiązanie. Znasz takich ludzi, którzy uważają, że szczęście zależy od nich samych?

Skinęłam głową. W Kalifornii było ich mnóstwo.

- Nadzieja to też twój wybór. Wiem, że brzmi to głupio...

Zaprzeczyłam.

- Pamiętam, jak leżałam w łóżku dwie noce po śmierci Daniela. Razem z Tedem musieliśmy wszystko ustalić, co oznaczało, iż trzeba wybrać trumnę. Była z nami moja matka, która wciąż powtarzała, że „to nie jest zgodne z planem Boga, by rodzice chowali dziecko”. A ja wtedy myślałam, że nigdy nie przyszłoby mi do głowy, iż mogą być takie małe trumny. Byłam pewna, że żadna z nich nie spodobałaby się Danielowi. W jego pokoju całe ściany obwieszane były plakatami i naklejkami wyścigów samochodowych NASCAR. Nie znośli ubierać się do kościoła, a wszystkie trumny były... - Potrząsnęła głową. - Takie niewłaściwe dla jedenastoletniego chłopca. Wróciłam tego dnia do domu i leżałam w łóżku. Nawet nie zdjęłam butów. Leżałam tak w ciemności i mówiłam sama do siebie: „Możesz żyć albo umrzeć”.

- Wybrałaś życie.

Merrill przytaknęła.

-Wybrałam nadzieję. Była to najtrudniejsza decyzja w moim życiu. Przez pierwszy rok wstawanie z łóżka i ubieranie się było niemal ponad moje siły... a zdarzały się dni, kiedy nawet tego nie byłam w stanie zrobić. A Ted był taki dobry, taki cierpliwy. Nawet moja matka okazała się nie taka straszna. W końcu doszło do tego, że śmierć Daniela przestała być pierwszą rzeczą, o której myślałam po obudzeniu się, i wreszcie mogłam patrzeć na inne dzieci, innych chłopców, nie czując zazdrości ani smutku. Byli po prostu częścią krajobrazu, a to, co stało się z Danielem - częścią mojej prze-

szłości. Ważną, potworną, ale czymś, co nie zaprzętało moich myśli w każdej minucie. Zmieniło się w coś, co się stało, a nie to, co się wciąż działo. - Przechyliła głowę.

- Czy zabrzmiało to sensownie?

Nie mogłam nic powiedzieć, więc tylko skinęłam głową.

-Powiedziałabym ci to podczas spotkania, ale wyszłaś. Wystraszyłam cię?

- Och, nie. To nie twoja wina - odparłam. - Chyba nie byłam jeszcze gotowa. - Spojrzałam na zegarek. Dwadzieścia

TLR

minut. Cholera. - Muszę już iść. Praca... Muszę wrócić do moich stolików. Dziękuję - powiedziałam. Gdy wstałam, drżały mi nogi. - Bardzo ci dziękuję.

- Zadzwoń do mnie - zaproponowała Merrill, zapisując na serwetce numer telefonu.

- Proszę, jeśli będziesz czegoś potrzebowała albo tylko zechcesz pogadać.

Złożyłam serwetkę i pobiegłam do Mas. Za barem stała Sarah.

- Hej, wszystko w porządku? Becky zajęła się parą przy siódmym stoliku. Nie zapisałaś zamówionych przystawek. Podałam bezpłatne zakąski...

Cholera.

- Przepraszam - odpowiedziałam. Wzięłam rachunki i fartuch i podeszłam do stolika.

- No proszę - powiedziała Babcia. - Zobacz, kto się objawił.

- Bardzo, bardzo przepraszam - powiedziałam. Dotknęłam kieszeni, do której włożyłam serwetkę z numerem telefonu Merrill, licząc, że doda mi sił. Kobieta parsknęła z dezaprobatą.

- Dość tego, Judith - upomniał ją starszy mężczyzna.

Kobieta otworzyła szeroko usta.

- Słucham?

- Chciałaby jeszcze prosić o wodę - wyjaśnił mężczyzna.

Kiwnęłam głową. Podeszłam do baru, nalałam wodę i podałam, a potem wróciłam do kuchni.

- Jeśli masz zamiar płakać, nie używaj ręcznika - powiedział Dash ponad moim ramieniem. - Becky wścieka się na mnie za ręczniki. Proszę. - Podał mi papier toaletowy. - Dasz sobie radę? Chcesz iść do domu?

Pokręciłam głową, wydmuchałam nos, przetarłam twarz pod oczami zgodnie ze wskazówkami, których w moim poprzednim życiu udzielił mi pewien wizażysta. Odświeżyłam pomadkę, rozczesałam niedawno przefarbowane włosy i odliczyłam wyjęte z kieszeni pomięte banknoty, by zapłacić za jagnięcinę Zrzedliwej Babcia. „Nadzieja” - pomyślałam, przypominając sobie twarz Ayinde, gdy mówiła, że z Julianem wszystko dobrze. W kuchni Becky układała paseczki pora na steku.

- Cześć - powiedziałam.

Spojrzała na mnie, uśmiechając się promiennie.

- Wszystko w porządku?

- Tak - odparłam. Wygładziłam fartuch. - Wyjdę na chwilę. Nie odchodzę ani nic takiego. Muszę tylko zadzwonić.

KELLY

Grupa uczestnicząca w lekcjach muzyki dla najmłodszych spotykała się w dużym, za-
bytkowym kościele na Pine Street, w którym na ołtarzu widniała podobizna Chrystu-
sa, wykonana z barwionego szkła, a ściany piwnicy, gdzie odbywały się zajęcia, były
obwieszane plakatami Anonimowych Alkoholików. We wtorkowy poranek Kelly, z
mężem u boku, zdjęła Oliverowi zimowy kombinezon, czapkę i szalik i posadziła go
na zniszczonej wykładzinie. Steve pomachał do Becky i Ayinde, a Galina, prowadzą-
ca zajęcia, uderzyła w klawisze starego pianina, rozpoczynając powitalną piosenkę.

- *Witaj, dzień dobry, dzień dobry, Nick. Witaj, dzień dobry, dzień dobry, Oliver.* -
Tak samo zostali powitani Cody, Dylan, Emma i Emma, Nicolette, Ava, Julian i Jack-
son. - *Witajcie, dzień dobry, dzień dobry, mamusie. Witajcie, dzień dobry, dzień do-
bry, nianie* - śpiewała Galina, uderzając w klawisze. - *Witaj, dzień dobry, dzień do-
bry, tatusiu...*

Steve podrzucił Olivera na kolanie, stukając rytmicznie marakasem, a grupa za-
śpiewała:

- *Jeśli jesteś szczęśliwy i o tym wiesz, klaśnij w dłonie!* - Kelly ledwo powstrzyma-
wała się przed wyciągnięciem palm- topa. - *Jeśli jesteś szczęśliwy i o tym wiesz, kla-
śnij w dłonie!* - Zdawała sobie sprawę, iż Elizabeth wciąż jest zła za to przyjęcie u
pani Wartz. - *Jeśli jesteś szczęśliwy i o tym wiesz, to wszystkim nam to dziś poka-
żesz...* - Oparła się o ścianę, czując się nie na miejscu, rozdarta i zmęczona. Przed
wszystkim zmęczona.

-Hej! - szepnął Steve. - Jeśli musisz, to leć, daję sobie świetnie radę z Wielkim O.

- Nie, zostanę - szepnęła. Zdarzało się, że ojcowie przychodzili ze swoimi córecz-
kami i synkami na zajęcia, między innymi pięćdziesięciokilkulatek z trzyletnim
chłopcem (Kelly nie wiedziała, czy to jego syn, czy wnuk). Andrew przyprowadził
Awę niejedynym razem. Nawet Richard Towne, z czapką baseballową zaciągniętą głęboko
na oczy, pokazał się pewnego ranka, niezłomnie lekceważąc przeszywające spojrzenia
innych rodziców i jedną z mam z aparatem cyfrowym, która ukradkiem zrobiła mu
zdjęcie, gdy z dzieckiem na rękach śpiewał *Kaczor Donald farmę miał*. Jednak ci ta-
tusiowie nieli pracę, do kt órej wracali, a nie tylko poszukiwanie pracy. „Tak zwane
poszukiwanie pracy” - pomyślała ze smutkiem Kelly, gdy Steve ułożył palce Olivera
wokół malutkiego tamburynu i pomógł mu potrząsnąć instrumentem.

Kelly spojrzała na plakat i zastanowiła się nad Pierwszym Krokiem z Dwunastu
Kroków: „Przyznaliśmy, że nasze życie wymknęło się spod kontroli i przestaliśmy
nad nim panować”. Jej życie wymknęło się spod kontroli, ale gdzie grupa wsparcia
dla przemęczonych matek zameężnych z bezrobotnymi mężczyznami?

- Pobawmy się! - powiedziała Galina, otwierając dużą torbę, z której wysypało się kilkanaście gumowych piłeczek. Duże dzieci - dwu- i trzylatki, te umiejące chodzić - zapiszczały z radości i podreptały w kierunku piłeczek. Oliver czknał i zaczął płakać, gdy Steve położył mu na kolanach czerwoną kulkę.

- Cii, cii, już dobrze - mówił, pokazując Oliverowi piłeczkę.

Kelly poprawiła synkowi sweter i pomyślała o rozmowie telefonicznej z siostrą, która zadzwoniła poprzedniego wieczoru.

-Jak tam pan Doskonały? - zapytała Doreen.

- Świetnie! - odparła Kelly. - Wszystko dobrze! - Po odłożeniu słuchawki usiadła przy kuchennym stole i zaczęła wypisywać czek. Przyszedł Steve i ze zmieszaniem wręczył jej rozliczenie karty kredytowej. Tysiąc sto dolarów. - Na co? - zapytała nieco ostrzej, niż zamierzała.

Steve wzruszył ramionami.

- Kolacja. Ubrania. No i urodziny mamy.

Kelly spojrzała na rachunek. Steve wydał trzysta dolarów prawdopodobnie na coś bezużytecznego, do postawienia na etażerze jej teściowej. Odczuwała mdłości, wypisując czek na pokrycie tych wydatków.

- Dlaczego nie chcesz, bym sprzedał część obligacji? - zapytał.

Wzruszyła ramionami. Co by było, gdyby po wydaniu wszystkich oszczędności Steve wciąż nie miał pracy? Co by się stało, gdyby nie mogli opłacić ubezpieczenia zdrowotnego, a jedno z nich by zachorowało? Wiedziała, jak kończą się takie historie - telefony od komornika o siódmej rano. Używane samochody i ubrania. Zbyt ciężko pracowała, by narażać Olivera na takie życie.

-Kaczor Donald farmę miał, na tej farmie... - śpiewała Galina. Kelly też śpiewała. Wszystkie mamy śpiewały. I nianie też. Steve także śpiewał, na tyle głośno, że Kelly go słyszała. - Kto zna jakieś inne zwierzątko?

- Krowa! - zawołała jedna z niań.

- A jak robi krowa?

Jak na rozkaz niania stanęła na czworakach, a jej podopieczna - jedna z Emm - zachichotała, wiedząc, co się zaraz stanie.

- **Muuuuuuuu!** - zaryczała.

Dzieci śmiały się, klaskały i muczały.

- Czy tatuś zna jakieś zwierzę? - zapytała Galina, patrząc na Steve'a.

- Hmm - zastanowił się, spoglądając na Olivera. - Pies?

- Pies! Tak, piesek! A jaki dźwięk wydaje piesek?

Steve uśmiechnął się dzielnie.

- Hau, hau?

- Szczekaj głośniej, głośniej, tatusiu! - zachęcała Galina.
- Hau, hau! - szczeknął Steve.
- A co piesek robi?
- Merda ogonem! - krzyknęli chórem Emma Pierwsza i Druga, Cody, Nicolette i Dylan.
- Zobaczmy, jak tatuś merda ogonem!

Po drugiej stronie kręgu Ayinde wpatrywała się uważnie w czubek głowy Juliana, a Becky zagryzała wargi. „Nie jest głupia, żeby znów się śmiać” - pomyślała Kelly. Becky miała przechłapanie u Galiny od czasu, gdy trzy tygodnie wcześniej wystukała na jednym z miniaturowych ksylofonów solówkę basową utworu ***Smoke on the Water***.

- Merdaj, tatusiu! - poleciała Galina. Rosyjski akcent sprawiał, że jej głos brzmiał jak u czarnych charakterów z filmów o Bondzie. – Merdaj!

Steve zaśmiał się i potrząsnął pośladkami. Oliver roześmiał się i próbował klaskać.

- Dalej, Steve! - zawołała Becky.

- Bardzo ładnie, tatusiu. No dobrze, odłóżmy piłeczki!

„Wydaje mi się, że już wcześniej to robił” - pomyślała Kelly, gdy rozpoczęła się pożegnalna piosenka. ***Pa pa, pa pa, pa pa, mamusie... pa pa, pa pa, pa pa, dzieci...*** Ubrała zasypiającego Olivera w kombinezon, założyła mu czapkę na uszy i razem ze Steve'em przeszli, pchając wózek, przez tłum uczestników grupy Anonimowych Alkoholików, spowitych chmurą dymu papierosowego. W przedśionku Kelly spojrzała w stronę kaplicy, na witrażową Marię wyglądającą błogo w białych szatach i z aureolą. „Pewnie dlatego, że Józef miał pracę”.

Gdy wrócili do domu, Kelly przewinęła Olivera, pocałowała go w brzuszek i policzki i tęsknie spojrzała na łóżko. „Tylko na minutkę” - pomyślała, zdejmując buty.

Obudziła się, gdy ktoś nią potrząsał. Nie otwierała oczu. Wciąż trwał wspaniały sen o Colinie Reynoldsie, obiekcje jej westchnień w ósmej klasie, z którym całowała się w gimnazjum. We śnie Colin Reynolds był całkiem dorosły i robili coś znacznie poważniejszego niż pocałunek, a w polu widzenia nie było dziecka ani męża.

Steve jeszcze raz nią potrząsnął.

- Kelly, telefon.

- Śpię.

- Och - powiedział. - Nie wiedziałem. - Kelly schowała twarz w poduszce, a w jej głowie zrodził się złośliwy komentarz w stylu Becky: „Jasne, to, że leżałam po ciemku z zamkniętymi oczami, musiało cię zmylić”.

- Zapisz wiadomość - powiedziała, gdy dziecko zaczęło płakać. Cholera! Podniosła się i spojrzała na zegarek. Piąta trzy. Musi się śpieszyć. - Przespałam całe popołudnie? – zapytała podnosząc Olivera z łóżeczka i kładom go na przewijaku. Steve szedł za nią z telefonem.

- Pewnie byłaś zmęczona - powiedział. „Piąta” - pomyślała Kelly. Nic nie zrobiła, pies musiał wyjść na spacer, a ona nawet nie sprawdziła wiadomości. Elizabeth już pewnie kipi ze złości.

Przytrzymała słuchawkę brodą.

- Słucham.

-Kelly Day?

-Tak.

- Dzień dobry. Nazywam się Amy Mayhew. Jestem dziennikarką z magazynu „Power” i liczę na pani pomoc w przygotowaniu materiału, nad którym właśnie pracuję.

- O czym?

- O godzeniu wszystkiego - powiedziała. - O kobietach, które odniosły sukces zawodowy, wychowując jednocześnie dziecko i dbając o rodzinę.

„Sukces”. Samo słowo wystarczyło, by Kelly dostała ataku śmiechu. Albo napadu płaczu. Jednak gdyby udało się jej to wykorzystać, pokazać się publicznie jako kobieta odnosząca sukces w pracy i w tym samym czasie wychowująca dziecko, mogłaby w ten sposób odzyskać względy Elizabeth.

- Zebrałam trochę informacji na pani temat. - Kelly słyszała w tle dźwięki klawiatury. - Pracuje pani dla Eventives, tak?

- Zgadza się - odparła. - Doradzałam funduszom wysokiego ryzyka, inwestującym w firmy sektora informatycznego, i jakoś przez przypadek zajęłam się organizacją imprez. Aktualnie pracuję w firmie Eventives, uważanej za najbardziej liczącą się w Filadelfii. Zamierzamy otworzyć oddziały w New Jersey i Nowym Jorku. Ale teraz pracuję tylko na pół etatu.

Kelly znów słyszała stukot klawiszy.

- Niedawno urodziła pani dziecko, tak?

-Trzynastego lipca - powiedziała, odpinając Oliverowi spodnie i jedną ręką zdejmując pieluchę. - Dlatego pracuję tylko dwadzieścia godzin tygodniowo. Teoretycznie, sama pani wie, jak to jest.

- Niezupełnie - rzekła Amy Mayhew. - Jeszcze nie mam dzieci.

Słuchając poważnego tonu i dźwięcznego śmiechu, Kelly wyobraziła sobie Amy Mayhew - elegancki, granatowy kostium i dopasowane szpilki, leżącą na biurku ma-lutką, szykowną torebkę, mogącą pomieścić klucze, portfel, szminkę, kilka prezerwatyw i będącą jedną szesnastą wielkości torby, którą Kelly ostatnio wszędzie ze sobą

nosiła. Amy Mayhew na pewno nie męczyła się z za długą, wpadającą do oczu grzywką, której nie mogła obciąć, bo od czterech miesięcy nie miała czasu pójść do fryzjera. Jej paznokcie były zadbane i pachniała subtelnymi perfumami, a nie mlekiem, potem i desperacją jak Kelly.

- Halo?

-Jestem - mówiła z trudem Kelly, zapinając dziecku spodenki.

-Proszę posłuchać - odezwała się Amy. - Chciałabym umówić się z panią na wywiad. Jak wygląda pani kalendarz?

- Cóż, jestem dość elastyczna. - Kelly poszła szybko do sypialni, posadziła Olivera na środku pustego, niepościelonego łóżka, złapała leżący na nocnym stoliku długopis, przewróciła kartkę w niewypełnianym od miesięcy dzienniku Olivera i zaczęła notować. *Włosy, manicure. Nowy kostium (?)*. Wciąż nie mieściła się w ubrania sprzed ciąży. Jeszcze nowe buty. Będzie musiała znaleźć teczkę. Miała kiedyś piękny neseser. Z cielecej skórki, ze złotą rączką. Pomyślała, że widziała go w garderobie, przywalony fotelikiem samochodowym, z którego Oliver zdążył już wyrosnąć.

- Może przyszły piątek? Mogłybyśmy zjeść lunch.

Lunch, piątek - zapisała Kelly. Kiedyś często chodziła na lunche. Zabierała klientów na dwugodzinne posiłki na koszt firmy do Capital Grille i Striped Bass. Zamawiała kieliszek wina, sałatkę, grillowaną rybę lub pieczonego kurczaka. W tamtych czasach lunch nie składał się z masła orzechowego, zjadanego w czasie krótkich drzemek Olivera prosto ze słoika, zlizywanego nieelegancko z palca z braku czystych noży, bo ani ona, ani Steve nie włączyli zmywarki.

- Chcielibyśmy zrobić pani kilka zdjęć w miejscu pracy, a potem w domu, z dzieckiem...

Cholera. Cholera. Cholera. Będzie musiała posprzątać. Podłoga w kuchni była brudna jak święta ziemia. Steve rozlał butelkę mleka przed lodówką i nie sprzątnął zbyt dokładnie. Będzie musiała odkurzyć, kupić świeże kwiaty, zmusić Steve'a, by uporządkował gabinet, i upchnąć gdzieś torby z ubrankami od zera do trzech miesięcy, które zamierzała oddać do sklepu, gdzie zaopatrywali się ubodzy... Meble. W tej sprawie też będzie musiała coś zrobić. A może powie im, że meble są w czyszczeniu albo że musieli je wynieść, bo zmieniali dywan...

- ...i mężem.

- Mężem? - powtórzyła Kelly.

- Tak - odparła Amy, cichutko chichocząc. - Wie pani, taki portret rodzinny.

- Hmm, mój mąż dużo podróżuje służbowo.

- Proszę przypomnieć mi, czym się zajmuje.

- Doradza przy zakładaniu firm internetowych. - Słowa wyleciały jej z ust jak stado złośliwych ptaków. „O Boże” - pomyślała - „a jeśli Amy Mayhew sprawdziła Steve'a w Google'ach?” - Dopiero zaczyna... to jeszcze nic oficjalnego, bez biura i strony internetowej, ale dużo czasu spędza poza domem. Pracuje z kolegami ze szkoły. „Zamknij się” - upomniała samą siebie. Właśnie po tym zawsze rozpoznawała, że jej siostry kłamią. Zamiast prostej odpowiedzi iście hamletowski monolog. - Więc może nie móc uczestniczyć w zdjęciach.

- No trudno. To jak z najbliższym piątkiem?

- Doskonale! - odparła Kelly. Ustaliły godzinę. Amy Mayhew powiedziała, że cieszy się, iż się spotkają. Kelly stwierdziła, że też nie może się doczekać. Potem odłożyła telefon i zniosła dziecko do kuchni. Steve leżał na kanapie.

- Kto to był?

-Przeprowadzają jakąś ankietę - odparła Kelly. - Idę z psem na spacer. Mógłbyś dać Oliverowi kaszkę ryżową?

- Jasne - odpowiedział Steve.

- A może byś się trochę ubrał?

Steve spojrzał na siebie, jakby był zaskoczony, że jest ubrany tylko w bokserki i koszulkę.

- Po co? Przecież nigdzie nie wychodzę.

Zagryzła wargi, by powstrzymać cisnące się jej na usta przekleństwa.

- Wiem, że nigdzie nie wychodzisz, ale jest czwarta trzydzieści po południu w zwykły dzień... - Urwała.

- W porządku - powiedział, podnosząc z podłogi dzinsy. - Spodnie - mamrotał pod nosem. - Twoja mama się czepia! - zawołał do Olivera. Kelly potarła skronie. Czula, że stały już wieczorny ból głowy przyszedł tym razem wcześniej. Połknęła dwa tylenole, włączyła pranie, związała włosy w kucyk i wbiegła do salonu.

Lemon siedział przy drzwiach wejściowych i merdał ogonem, a Oliver, tkwiący w wysokim krzeselku, miał buzię obklejoną kaszką ryżową. Steve był z nim w kuchni i karmił chłopca.

-Dawno, dawno temu - powiedział Steve - był sobie dzielny książę, który mieszkał w zamku. - Oliver pomachał rączkami i radośnie gaworzył. - Książę był tak odważny, że potrafił przepłynąć przez fosę pełną rekinów, aligatorów i fanów Dallas Cowboys - opowiadał Steve. - Potrafił zabić smoka jednym pchnięciem swego miecza i parkować równolegle w największym miejscu parkingowym. Umiał też odczarować piękną księżniczkę. - Steve westchnął. - Jednak później wylali go z pracy i piękna księżniczka nie chciała z nim więcej rozmawiać.

Kelly poczuła ucisk w sercu. „Przykro mi” - pomyślała - „ale czy on naprawdę nie rozumie?” Przecież nie dlatego popsulo się między nimi, że go wylali z pracy. Już mu to kiedyś wyjaśniała, ale i tak nic się nie zmieniło. Czy dlatego czuł się tak okropnie? Cóż nie czułby się tak, gdyby znalazł pracę. Kelly powtarzała mu to w kółko. Gdyby znalazł pracę, wszystko by się ułożyło, a ona mogłaby przestać zastanawiać się nad tym, w jaki sposób go zabić, by wyglądało to na wypadek przy goleniu, bo wtedy dostałaby jego ubezpieczenie.

Odchrząknęła.

Steve podniósł wzrok.

- Hej - powiedział.

- Hej - odparła, przypinając Lemonowi smycz. - Jak poszło?

- Połowa kaszki i dwie łyżeczki przecieru ze śliwek - oznajmił Steve, odpinając taczkę od krzeselka i wkładając do zlewu.

- To dobrze - odparła. - Pójdę... - Serce jej zamarło, gdy Oliver przechylił się do przodu. - Steve! - krzyknęła i ruszyła w stronę dziecka. Jednak zbyt wolno. Chłopiec runął głową w dół. Rozległ się głuchy łomot, a potem na sekundę zapadła cisza. Kelly wzięła synka na ręce, przytuliła go, ale i tak Oliver zaniósł się płaczem. - O Boże, o Boże! - powtarzała Kelly.

- Nic mu się nie stało? - zapytał przerażony Steve.

- Nie wiem! - Kelly starała się przekrzyczeć płaczące dziecko. - Dlaczego nie był przypięty?

- Zapomniałem! - powiedział Steve. - Nic mu nie jest?

Kelly spojrzała na męża z pogardą i minęła go, podążając z dzieckiem do telefonu. Po drodze zauważyła, że Lemon znów się zsiakał na podłogę. Wykręciła wiszący na lodówce numer lekarza i wciskała kolejne jedyńki, aż połączyła się z pielęgniarką.

- Dobry wieczór, tu Kelly Day. Mój pięciomiesięczny synek Oliver właśnie spadł na podłogę z wysokiego krzeselka...

Steve postukał ją w ramię.

- Co mógłbym zrobić? - szepnął. - Potrzebuje lodu? Mam zadzwonić po karetkę?

Kelly odepchnęła go. Wiedziała, że jeśli będzie widziała jego twarz choć o sekundę dłużej, ktoś naprawdę będzie potrzebował karetki - i zdecydowanie nie będzie to Oliver.

- Proszę się uspokoić - powiedziała pielęgniarka. - Jeśli dziecko tak głośno krzyczy, raczej nic poważnego mu się nie stało. Czy uderzył w drewnianą podłogę?

- Nie - odpowiedziała Kelly.

- Nie stracił przytomności i nie przestał oddychać? Krwawi?

- Nie - powiedziała Kelly. Kolana zaczęły jej drżeć. Oparła się o ścianę. Łkający

Oliver wtulił się w nią. - Po prostu spadł. Mój mąż nie zapiął szelek.

- To się zdarza - stwierdziła pielęgniarka. - I w większości przypadków dzieciom nic się nie dzieje. Skoro tak głośno płacze, nie stracił przytomności i nie wymiotuje, można mieć nadzieję, że nic mu nie będzie. Niech się pani przesadnie nie obwinia. Męża też. Proszę obserwować synka przez kilka najbliższych godzin, a gdyby coś się zmieniło, zadzwonić do nas.

- Dobrze - powiedziała Kelly. - Dziękuję. - Odłożyła słuchawkę, przytuliła mocniej Olivera i kołysała go, przemawiając uspokajająco: - Cii, cii. Biedactwo, biedactwo. - Podeszła do fotela bujanego, podciągnęła bluzkę i przystawiła pierś do buzi synka. Oliver wpatrywał się w nią, a jego rzęsy wciąż były mokre od łez. Wyglądał żałośnie. Westchnął z rezygnacją i zaczął ssać.

W pokoju pojawił się Steve.

- Dobrze wygląda - powiedział.

Kelly zlekceważyła go.

- Jednak powinniśmy zawieźć go do lekarza, prawda?

Kelly nie odpowiedziała.

-Naprawdę bardzo mi przykro...

- Przykro ci - powtórzyła. - Dlaczego nie był przypięty?

- Mówiłem ci już, że zapomniałem!

- Jasne - syknęła szyderczo. Pękła tama i wylała się trucizna, którą Kelly skrywała w sobie od dłuższego czasu. - Tak samo jak zapominasz o dotrzymywaniu terminów. Tak samo jak zapominasz o włączaniu zmywarki. Tak samo jak zapominasz o założeniu tych cholernych spodni, póki ci nie przypomnę.

Kelly zsunęła bluzkę, wstała i przemknęła obok męża, który stał jak wryty w drzwiach.

- Muszę wyprowadzić psa.

-Ja pójdę.

- Bez łaski! - odparła, wkładając płaczącego znów Olivera do wózka, zapinając szelki teatralnym gestem, przypinając psu smycz i wprowadzając całe towarzystwo do windy, a później na ulicę.

Była w połowie drogi do następnej przecznicy, gdy dogonił ją Steve. Był zmieszany i wystraszony.

- Odejdź - powiedziała, przyspieszając kroku.

- Pomyślałem tylko, że możesz tego potrzebować - odparł Steve. Podał jej torbę, o której zapomniała. - Włożyłem do środka butelkę. Tak na wszelki wypadek.

- Dzięki - rzuciła. Doszła do przejścia i zatrzymała się na czerwonym świetle.

- Mogę z tobą iść? Proszę. Czuję się podle.

Kelly nie powiedziała, że nie może, przesunęła się tylko, by stanął koło niej. Steve włożył torbę pod wózek i chwycił rączkę. Ruszyli na zielonym świetle i przez trzy przecznice szli w milczeniu.

- Czego dotyczyła ta ankieta?

Kłamstwo wróciło do niej.

- Och, niczego istotnego - stwierdziła Kelly z nadzieją, iż w ciemnościach nie dojrzy rumieńców na jej twarzy. - No wiesz, na przykład, jakie towary są dla mnie atrakcyjne i czy w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy kupiłam nowy samochód.

-Przepraszam, że cię obudziłem z tego powodu - powiedział Steve. - Posłuchaj, jeśli masz coś do zrobienia, możesz wrócić do domu, a ja się z nim przejdę. Gdy wrócimy do domu, będę go obserwował.

„I znów pozwolisz mu spać? Albo pozwolisz, by przejechała go ciężarówka?” - pomyślała Kelly. Nie ma mowy. Będzie musiała wymyślić jakieś wytłumaczenie, dlaczego opuściła połączenie konferencyjne z Elizabeth i nowym klientem. Grypa, skręcona kostka, kobiece dolegliwości. Coś związanego z nią, a nie z dzieckiem, gdyż Elizabeth bardzo jasno określiła swoje zdanie na ten temat.

- Nie, dam sobie radę.

- Kelly, jesteś wykończona. Pomogę ci - powiedział Steve.

Ze znużeniem, bez słowa pokręciła głową i szła za Steve'em, który pchał wózek do samego domu.

LIA

Moja matka dotarła do Mas przede mną, i gdy przyjechałam, siedziała już przy stoliku z twarzą zwróconą w stronę drzwi. Czarną, dużą torebkę kopertową, mogącą pomieścić testy całej klasy, ustawiła przed sobą, pomiędzy widelcem i nożem, w miejscu, gdzie powinien znajdować się talerz. Trzymała kurczowo ucha torby, jakby w każdej chwili miała ochotę ją podnieść i rzucić we mnie. Albo w kogoś innego. I uciec.

- Liso. - Była nieufna i zatroskana. Odchrząknęła. - Wyglądasz... - W ciszy, która zapadła, słyszałam nasze dawne kłótnie: „Nie wychodzi się w ten sposób z domu. Zmyj tę szminkę. Załóż płaszcz”. Zwilżyłam usta, przypominając sobie dwutygodniowe milczenie, jakie między nami nastąpiło, kiedy, mając trzynaście lat, przefarbowałam włosy na blond - zakopałam butelkę po rozjaśniaczu głęboko w koszu na śmieci w garażu i powiedziałam, że to za sprawą soku z cytryny i słońca. Chowałam tam też rachunki za wszystkie kosmetyki, kiedy matka, natknąwszy się na buteleczkę z podkładem Chanel, powiedziała, że musi być przyjemnie wyrzucać pieniądze na bzdury. - Dobrze wyglądasz - powiedziała w końcu, bawiąc się rączkami torby. Jak się czujesz?

- W porządku.

Rozejrzała się po sali: szesnaście stolików, połowa zajętych.

- To tutaj pracujesz?

- Tak - odparłam i usiadłam. Wiedziałam, co będziemy jadły. W niedzielne popołudnia w Mas serwowano obfity posiłek, składający się z babeczek z ostrą papryką, cynamonowych lub czekoladowych oraz długich kanapek z krewetkami w sosie curry, sałatki jajecznej, ogórka i masła. Sama przygotowałam naszą tacę i zaparzyłam w dzbanku herbatę imbirowo-śliwkową. - Głównie w kuchni. Okazało się, że nie jestem najlepszą kelnerką.

Zacisnęła dłonie na torebce. Nalałam jej herbatę do filiżanki. Zlekceważyła to.

- Rozmawiałam z twoim mężem - powiedziała.

O mało nie upuściłam dzbanka.

-Z Samem?

Przytaknęła.

-Rozmawiamy już od kilku tygodni.

- Co... - Przełknęłam ślinę i zwilżyłam zaschnięte usta. - Co mówił?

Jej twarz pozbawiona była wyrazu.

- Cóż, na początku był bardzo zaskoczony, że ja żyję.

O Boże!

- Chce wiedzieć, czy wracasz do domu - mówiła dalej. Upiła trochę herbaty i znów chwyciła torebkę. - Sympatyczny człowiek.

„Czy to moja wyobraźnia, czy rzeczywiście w jej głosie słychać rozrzewnienie?” Odstawiłam ostrożnie dzbanek i wytarłam dłonie w serwetkę.

- Co mu powiedziałaś?

- Co mogłam mu powiedzieć? Co ja wiem? - zapytała. Była wyprostowana, słowa wypowiadała jasno i precyzyjnie. Tak mogła mówić do uczniów piątej klasy, ale nie do mnie. - Nie sądzę, żebyś się dobrze czuła. Nie wiem, czy wracasz do domu.

-Ale... - Potrząsnęłam głową. To ja umówiłam to spotkanie. Zaplanowałam wszystko, co chciałam jej powiedzieć, a teraz piłka była po jej stronie. - Wiedziałaś, że wyszłam za męża?

- Liso, jestem twoją matką. I nie jestem głupia. Przecież wiesz, że nie byłaś całkiem niewidzialna.

Wpatrywałam się w talerz. Myślałam, że dla niej byłam niewidzialna. Nigdy nie chodziła do kina, a ja nigdy nie występowałam w niczym, co puszczała na ABC, więc skąd wiedziała? Widziała któryś z moich pierwszych filmów? A może program reklamowy, pokazywany tylko we wczesnych godzinach porannych, promujący, cytując, „rewolucyjny system usuwania zbędnego owłosienia”? Byłam dziewczyną z wą-

sami. Sztucznymi, oczywiście, ale Sam nigdy mi tego nie zapomniał.

- Więc wiedziałaś, że wyszłam za męża.

- Lia Lane - powiedziała. Wykrzywiła usta pokryte szminką wychodzącą poza ich obrys. - Pasuje do superbohaterki. Znacznie bardziej niż Lia Frederic.

- Wiesz też o Calebie.

Westchnęła ciężko. Raz. Drugi. Gdy znów się odezwała, jej głos był kruchy i łamiący się jak antyczne lustro.

- Nie znałam jego imienia.

Sięgnęłam do torebki. Na sali noworodkowej robili zdjęcia wszystkim dzieciom i gdy wychodziliśmy ze szpitala, pielęgniarka wręczyła mi zdjęcie Caleba, które wtknęłam wtedy do torby i zapomniałam o nim. Znalazłam je przypadkiem, już po przyjeździe do Filadelfii. Albo ono mnie znalazło. Było jedyną rzeczą, której nigdy nie zamierzałam oddać. Jedyną rzeczą, której bym się nie pozbyła. Przedstawiało pomidorowoczerwoną, pomarszczoną buzię Caleba. Wyglądał, jakby się złościł. Był zawinięty w szpitalny koczek, a na główce miał czapeczkę w różowo-niebieskie paski.

Wyciągnęłam fotografię, wygładziłam rogi i podałam przez stół mojej matce.

Wzięła zdjęcie i nagle cała zaczęła drżeć - drżały dłonie, usta, obwisła skóra na szyi.

- Och! - szepnęła. - Och!

Schyliłam głowę. Łzy napłynęły mi do oczu. Wydawało mi się, że byłam przygotowana na wszystko - wściekłość, pogardę, chłodne lekceważenie, pytanie, któremu towarzyszyło wywracanie oczami: „W co się tym razem wdałaś?” - ale nie na te ciche piski, przypominające kwilenie zranionego ptaka.

- Mamo. Hej, mamo, uspokój się! Już dobrze.

Coraz mocniej zaciskała palce na fotografii. Słyszałam dźwięk zgniatanego papieru.

- Mamo!

Sięgnęłam przez stół, ale była szybsza. Uniosła zdjęcie w górę i zaczęła płakać. Siedzący przy sąsiednim stoliku ludzie zwrócili na nas oczy. Pojawił się kelner i spojrzał na mnie pytająco. „Chusteczki” - wypowiedziałam bezgłośnie. Skinął głową i szybko przyniósł kilka.

Matka wytarła oczy. Ramiona wciąż jej drżały, gdy płakała bezgłośnie. Rozluźniła nieco uścisk, tak że wyjęłam zdjęcie z jej dłoni i schowałam do torby.

Spojrzała na mnie. Miała załzawione czerwone oczy, usta jej drżały. Zastanawiałam się, czy kiedykolwiek próbowała do mnie zadzwonić i co bym jej powiedziała, gdyby zadzwoniła.

- Chciałabym wiedzieć - powiedziała. Jej słowa ginęły w szlochu.

- Co wiedzieć?

- Chciałabym wiedzieć, co zrobiłam, że tak bardzo mnie nienawidzisz.

Poczułam uchodzące ze mnie powietrze.

- Ty pierwsza mnie znienawidziłaś - odparłam. „Bo kochał mnie bardziej niż ciebie”
- pomyślałam.

Mrugnęła.

- Naprawdę tak myślisz?

Wzruszyłam ramionami, czując się nagle niepewnie. Wierzyłam w to, tak jak... tak jak dziecko wierzy w Świętego Mikołaja i wróżkę, która w zamian za mleczny ząb zostawiony pod poduszką przynosi pieniążek. To była historia, którą sobie opowiedziałam, którą wymyśliłam jako nastolatka i której nie podawałam w wątpliwość przez te wszystkie lata spędzone poza domem. Teraz zadzwoniłam do niej i zaprosiłam ją tutaj, zdecydowana wybaczyć, wyciągnąć dłoń na zgodę, zrobić pierwszy krok. Ale... jak liść w powietrznym wirze, w głowie zawirowała mi inna możliwość. A jeśli się myliłam? Jeśli nie miałam czego wybaczać? Jesliby się okazało, że nasza wina jest jednakowa?

Matka mówiła powoli, przez zaciśnięte usta, jakby każde słowo bardzo ją bolało.

- Pamiętam, jak byłaś dzieckiem. To ja cię karmiłam, przewijałam, kołysałam i śpiewałam do snu. Jednak gdy w drzwiach stawał ojciec... - Zamknęła oczy, potrząsając delikatnie głową. - Twoja twarz się rozjaśniała. Było to dla mnie trudne, trochę. Tak bardzo cię kochałam, ale zdawało mi się, że tylko do niego się uśmiechasz.

„Nie” - pomyślałam. „O nie”. Nie chcę tego słuchać. Nie chcę o tym myśleć. Nie chcę sobie przypominać... Ale nie mogłam nic zrobić. Przed moimi oczami, bez zaproszenia, przewijały się obrazy - ja w bujanym fotelu, ubrana w poplamioną koszulę nocną, kołysząca się do przodu i do tyłu z płaczącym Calebem w ramionach. Ja w dresowych spodniach Sama, bo wszystko sprzed ciąży było za ciasne, a nie potrafiłam zmusić się do założenia ubrań ciążowych, ja chodząca przez ciągnące się nocne godziny w tę i z po-, wrotem po krótkim korytarzu, jak więzień w celi. Ja trzymająca wrzeszczącego Caleba w wannie, ja przebijająca wrzeszczącego Caleba na przewijaku... i Sam biorący Caleba na ręce na ostatnie pięć minut nocy, podnoszący go do góry i śpiewający *Panie Janie*. Wtedy Caleb nie płakał.

- Wiele mu wybaczałam, bo tak bardzo go kochałaś.

- Co mu wybaczałaś?

Znów westchnęła, nie patrząc mi w oczy.

- To przebrzmiała sprawa - powiedziała. - Stare dzieje. Nie ma o czym mówić.

Przywołałam wszystkie wspomnienia związane z ojcem - zoo i wystawy kwiatów, lunche w restauracjach i lody na ławce w parku. Nie podobało mi się to, co widziałam na drugim planie. Kiedy miałam osiem, dziewięć i dziesięć lat, niekiedy po powrocie ze szkoły zastawałam go w domu. Wymykaliśmy się na popołudniowe seanse, zajada-

liśmy cukierkami lukrecjowymi i hamburgerami.

- Nie mów mamie - powtarzał zawsze z konspiracyjnym uśmiechem, wyciągając z jej portfela dwudziestodolarowy banknot i chowając do swojego. - To nasza tajemnica. - Wtedy nie przyszło mi nawet do głowy, by zastanawiać się, dlaczego jest przez cały czas w domu. Teraz ciekawiło mnie to.

Było jeszcze coś. Czasami w kinie, McDonalddie lub innych fastfoodach przyłączała się do nas kobieta.

- To jest Susan - mówił. Albo Jean, albo Vicky, albo Raquel. Jego dłoń spoczywała na jej małym tyłeczku. - Moja koleżanka z pracy. - Susan, Jean, Vicky albo Raquel były zawsze młodsze i ładniejsze od mojej mamy. Jean miała platynowoblond włosy i matowy chichot. Vicky dała mi szminkę w złotym, prążkowanym opakowaniu. Czy wiedziałam, co robili potem? Czy wszystko wiedziałam? A ona?

- Miał kochanki - powiedziałam. Czekałam, że zaprzeczy, ale nie odezwała się.

Jej spojrzenie było jak lodowaty wiatr.

-Miałam nadzieję, że nie wiedziałas - odezwała się. - Miałam nadzieję, że ci nie powiedział.

- Więc dlaczego z nim byłaś? Dlaczego byłaś z nim, choć wiedziałas?

Zacisnęła palce na uchach torebki.

- Jest zupełnie inaczej, gdy ma się dziecko. - Pomyślałam o Ayinde i Richardzie i stwierdziłam, że to może być prawda. Że dziecko sprawia, iż jesteś w stanie wybaczyć najgorszy występki. - Nie chciałam się z nim rozwodzić, bo wiedziałam, że jeśli to zrobię, już nigdy go nie zobaczysz. Spakowałby się i zamieszkał w innym miejscu, z inną kobietą i mówiłby, że będzie cię odwiedzał, aleby tego me robił. Znałam go na tyle dobrze, że wiedziałam to.

- Ale właśnie tak się stało.

- Jedna z tych kobiet postawiła mu ultimatum - powiedziała niskim i bezbarwnym głosem. - Albo ja, albo twoja żona. On... - Zwilżyła usta i napiła się herbaty. - Cóż, wiesz, co wybrał.

„Nie mnie” - pomyślałam. Nie wybrał mnie. Przypomniałam sobie, rumieniąc się ze wstydu, jak już po naszym ślubie poszłam do luksusowego sklepu z artykułami papierniczymi na Rodeo Drive, słynącego z kaligrafowanych ręcznie zaproszeń ślubnych i zawiadomień. Zrobili mi próbny wzór, ale nigdy nie wróciłam tam, by złożyć zamówienie. To jedno mi wystarczyło. Była tylko jedna osoba, której chciałam wysłać kawałek kremowego papieru, informujący, że Lia i Sam stali się mężem i żoną. Wysłałam go pod ostatni jego adres, jaki miałam: zespół apartamentów w Arizonie. Trzy tygodnie później otrzymałam list, a tak naprawdę to krótką notatkę na wyrwanej z zeszytu kartce. **Gratuluję** - napisał znanymi mi, pochylonymi w prawo literami.

Może teraz, gdy „odniosłaś sukces” w Hollywood, pomyślisz o swoim „Staruszkę”
Nigdy nie powiedziałam o tym Samowi. Nikomu nie powiedziałam. „To wszystko” - pomyślałam i schowałam list. „Koniec”.

- Kochał cię na swój sposób. Pewnie bardziej niż kogokolwiek innego. - Uśmiechnęła się do mnie blado. - Byłaś jego dziewczynką. Pamiętasz, w jaki sposób to mówił? Przychodził do domu...

- ...z pracy i kołysał mnie w powietrzu - powiedziałam. Mój głos brzmiał, jakby dobiegał z końca tunelu. - Jesteś moją dziewczynką.

- Cóż, z pracy - odezwała się matka. - Czasami to była praca, a czasami... - Zamilkła. Zamachała rękami. - Przykro mi - powiedziała. - Przykro mi, że musiałaś się tego o nim dowiedzieć. Przykro mi z powodu twojego... - Słowa się jej plątały. - Twojego synka.

- A co z tą narzutą?

Spojrzała na mnie zmieszana. Tu było najmniej ważne z pytań, nieistotny szczegół, ale nie potrafiłam wymyślić nic innego.

- Z tą narzutą, której nie chciałaś mi kupić. On ją kupił, a potem odszedł i już nigdy nie dostałam nowej. Mówiłaś, że cię na to nie stać.

Spojrzała w dół na swoje dłonie. Patrząc na jej twarz, widziałam, jak będzie wyglądała na starość. Ja pewnie też taka będę.

- Narzuta była jedyną rzeczą, jaką kiedykolwiek ci podarował - powiedziała. - Chciałam, byś dzięki niej pamiętała o ojcu.

-To nieprawda. Dał mi dużo rzeczy. Lalki Barbie... serwis do herbaty... wrotki...

Matka pokręciła głową.

- Ale... ale... - To bolało.

Przypominałam sobie ojca, który nachylał się nade mną, gdy leżałam w łóżku, stawał koło poduszki pudełko albo torebkę i szeptał: - Popatrz, co tatuś kupił swojej dziewczynce!

- Przykro mi - powiedziała. - Chciałam, żeby był lepszym ojcem, lepszym człowiekiem. Naprawdę. Ale że nie umiał, nie widziałam nic złego w udawaniu. Kupowałam więc rzeczy, które on później ci dawał, pakowałam je i byłam szczęśliwa, że ci się podobały. Chciałam dać ci wszystko, czego pragnęłaś. Myślę, że każda matka tego chce. - Przetarła oczy chusteczką. - Głównie pragnęłam dać ci lepszego ojca, ale że nie potrafiłam tego zrobić...

Nie wiedziałam, co jej odpowiedzieć. Nie wiedziałam, czy w ogóle powinnam coś mówić.

- Wszystkie te przedstawienia - odezwała się w końcu. - Wszystkie przedstawienia w liceum. *Żegnaj, ptaszku, Mame* i *Cyganka*. Nigdy nie przyszłaś...

- Nie chciałaś, żebym przychodziła - powiedziała. Uśmiechnęła się blado. - Dokładnie brzmiało to tak, że zabijesz się, jeśli zobaczysz moją twarz na widowni.

Wzruszyłam ramionami i sama zdobyłam się na uśmiech.

- Cóż, byłam aktorką. - Przypomniałam sobie te kłótnie. - Nie przychodź - mówiłam, trzaskając rachitycznymi drzwiami mojego pokoju. - Nie przychodź, nie chcę cię tam widzieć!

- No i nigdy mnie nie widziałaś, jednak byłam tam. - Matka na krótką chwilę puściła trzymaną kurczowo torebkę i sięgnęła do środka. Wyjęła brązową teczkę, założyłabym się, że ukradzioną z szafki z zapasami w szkole, i podała mi ją przez stół. Zajrzałam do środka i znalazłam pomietą ulotkę, reklamówkę pierwszej trupy teatralnej, z którą występowałam. Świstek papieru miał już dziesięć lat i wielokrotne składanie i rozkładanie go sprawiło, że był mocno zużyty. Czułam, jakbym trzymała w dłoniach kawałek materiału.

- Gdzie to znalazłaś?

- Na eBayu - odparła. Pod ulotką leżała strona wyrwana z programu telewizyjnego *TV Guide*. Był tam tekst o serialu, którego akcja rozgrywała się w liceum, nadawanym przez pół roku siedem lat wcześniej. Dostałam specjalną rolę, co oznaczało, że występowałam w każdym odcinku. Na zdjęciu widać było tylko mój policzek. - To nie jest z eBaya - powiedziała. - Zamówiłam prenumeratę „Entertainment Weekly” i „People”. I kilku brukowców. - Na jej twarzy znów zagościł cień uśmiechu. - Gdy je przejrzę, zanoszę do pokoju nauczycielskiego. Dzięki temu jestem w centrum uwagi.

Ponadto w teczce była reklama nakręconego dla telewizji filmu, puszczanego na kanale, którego matka nawet nie miała, moje zdjęcia w sukienkach, dzinsach, minispódniczkach i bikini, a także jedno w sukni ślubnej z Las Vegas. *Mężczyzna z reklamy maszynek do golenia, Sam Lane, i panna młoda, Lia Frederick*. Moje hollywoodzkie blond włosy upięte były na czubku głowy w kok, na który namówiła mnie hotelowa fryzjerka. Brzuch wciąż miałam płaski, a w tle widać było wspaniałe butelkowozielone pióra ptaków, siedzących w klatkach w holu.

- Spójrz - powiedziała. Ręce mi się trzęsły. - Tutaj. - Wskazała cienki plik pożółkłych programów. Rozłożyła je przede mną w wachlarz. Na okładce było moje imię i nazwisko. Te stare, jeszcze ze szkolnych czasów. Lisa Urick. - Wszystkie. Z każdego wieczoru.

Złapałam się kurczowo krawędzi stołu.

- Nie chciałaś, żebym jechała do Los Angeles.

- Nie chciałam, żebyś jechała tam, mając osiemnaście lat - powiedziała. - Chciałam, byś najpierw skończyła college. Nie wiedziałam, jak z tobą rozmawiać. Byłaś na mnie taka wściekła, przez cały czas...

Nie odezwałam się. Byłam rzeczywiście wtedy wściekła. Może dlatego, że zawsze miałam ją przy sobie, a na ojca nie mogłam się denerwować, bo jego nie było.

- Jednak wszystko wiedziałam na bieżąco - powiedziała moja matka. - Miałam trochę problemów na początku, gdy zmieniłaś nazwisko, ale wydaje mi się, że widziałam każdą rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłaś. Gdy występowałaś w programie *The Price is Right...*

- O Boże! - jęknęłam, przypominając sobie pięciodniowy okres, gdy zastępowałam niedomagającą Barker's Beauty. - Aktualna wartość rynkowa tego...

- Przypuszczam, że ty przegapiłaś mój debiut telewizyjny - powiedziała z szelmowskim uśmiechem.

-Co? Nie...

Skinęła głową.

- *Rzykanci!*

- Och, mammo! Twoje marzenie się spełniło! Wygrałaś?

- Trzy dni z rzędu. Szesnaście tysięcy dolarów. Za mało, by dostać się do Turnieju Mistrzów, ale naprawiłam dach. - Pochyliła głowę. „To typowe” - pomyślałam. Daj jakiegokolwiek kobiecie w Ameryce szesnaście tysięcy dolarów, a przepuści je na biżuterię albo wakacje w uzdrowisku. Daj je mojej matce, naprawi dach. - Ciężko mi było później wracać do domu - przyznała. - Wiedząc, że nie będę miała już czego wyczekiwać. i zastanawiałam się... czy może zobaczyłaś mnie i będziesz chciała się skontaktować.

Do oczu znów napłynęły mi łzy. Przypomniałam sobie, jak pewnego razu Sam przełączył kanał na *Rzykantów!* - było to podczas miesiąca miodowego, w gigantycznym hotelu w Las Vegas. Zagroziłam mu, że wrzucę pilota do toalety, jeśli kiedykolwiek narazi mnie na oglądanie teleturniejów.

- Bóg mi świadkiem - powiedziałam - że musiałam oglądać *Rzykantów!* Pięć wieczorów w tygodniu przez osiemnaście lat i nie zrobię tego ani razu więcej. - Zgodził się pośpiesznie, chociaż sądzę, że mogło mieć to coś wspólnego z faktem, iż miałam na sobie gorset z białej koronki z wycięciami na sutki, podarowany mi przez koleżanki dla żartu.

- Poznałaś Aleksa Trebeka?

Zachichotała - naprawdę zachichotała i spłonila się rumieńcem jak zakochana nastolatka. W jej twarzy dojrzałam całą historię - bystra, mądra, ładna dziewczyna wyszła za Freda Uricka, marząc o miłości do końca życia, jednak wylądowała w szkole, ucząc piątą klasy, mąż zdradzał ją na prawo i lewo, a córka znikła.

- Mammo - powiedziałam. - Przepraszam. Przepraszam za wszystko.

Kiwnęła głową.

- Wiem - odparła. - Ja też przepraszam.

„Jakoś trzeba zacząć” - pomyślałam. Może pewnego dnia będę mogła pokazać jej inne zdjęcia Caleba, odcisk stopki w atramencie wykonany w szpitalu, fotografie, które Sam zrobił nam w wannie, małą czapkę, którą sama wydziergałam na drutach. „Jakoś trzeba zacząć” - pomyślałam znowu, biorąc w dłonie rękę matki.

BECKY

Becky usiadła na łóżku, jednak fala zawrotów głowy obaliła ją na materac. „Zatrucie pokarmowe” - pomyślała, obserwując wirującą sypialnię. Ryzyko zawodowe. Maszynistki mają nawracające kontuzje stawów, dyrektorzy wrzody żołądka, a kucharze czterdziestoosmiodzinne wymioty, drgawki i biegunkę. „Przysłużyły mi się te ostrygi” - pomyślała i jęcząc, zamknęła oczy. Co za pech, żeby się rozchorować. A wszystko układało się tak dobrze. Od czasu tragedii ze świąteczną szynką Mimi nie nękała jej. Ani Andrew. Nawet jednego telefonu, e-maila, żadnego wyuzdanego ubranka w paczuszce zaadresowanej do A. Rabinowitz. Czasem Becky czuła, jakby żyła pod radioaktywną chmurą, która w każdej chwili może pęknąć i zalać wszystko trucizną, ale na ogół panował błogi spokój.

Andrew wyszedł z dziecinnego pokoju, niosąc na rękach Avę, wciąż w różowej piżamce.

- Źle się czujesz?

- Uhu - westchnęła, gdy przetoczyła się przez nią kolejna fala mdłości. - Chyba jestem chora - powiedziała i znów opadła na materac. Andrew dotknął jej czoła i pomacał węzły chłonne na szyi.

- Nie masz gorączki, ale to może być grypa żołądkowa. Chcesz wezwać lekarza?

„Jasne” - pomyślała Becky. I wysłuchać wykładu o pięciu, nie, siedmiu i pół kilogramach, których nie udało się jej zrzucić od urodzenia Avy?

- Nic mi nie będzie - powiedziała. - Mamy piwo imbirowe?

Andrew poszedł z Avą do kuchni i wrócił po pięciu minutach z bezalkoholowym piwem imbirowym i talerzem krakersów. Becky napiła się i zjadła kilka ciasteczek.

-Znacznie lepiej - powiedziała. - Pycha. Wiesz, chyba nie jadłam krakersów od czasu, gdy byłam... - Urwała. Spojrzała na Andrew. - O cholera!

Andrew miał czelność wyglądać na zadowolonego, wnosząc Avę do pokoju.

- Chyba przejdę się z Bubuliną na spacer - powiedział.

- Cholera - powtórzyła Becky.

- Nie udawajmy lepszych, niż jesteśmy - stwierdził Andrew. Uśmiechał się, wycho-

dząc z Avą na rękach z pokoju. Becky usłyszała, jak mówił: - Chciałabyś malutkiego braciszka albo siostrzyczkę?

- Cholera - powiedziała raz jeszcze i naciągnęła kołdrę na głowę.

Andrew i Ava wrócili po piętnastu minutach, niosąc siatkę z apteki.

- Co to dziecko ma na sobie? - burknęła Becky, spoglądając na Avę, ubraną w sztruksowe spodnie w czerwono- żółtą kratkę, żółtawozielone body, różowy sweter i niebieską czapkę narciarską. Andrew był kochanym, cudownym mężem, ale był też daltonistą. Dobrze, że nie założył dziecku mocno różowych, wykończonych sztucznym futerkiem legginsów, które Mimi przysłała razem z kapciuskami z puchu marabuta.

- Nie zmieniaj tematu - powiedział Andrew, pomógł jej podnieść się z łóżka i poprowadził do łazienki.

- To jakieś szaleństwo - stwierdziła Becky. - Mam grype żołądkową albo coś takiego. Nie sądzisz, że wiedziałabym, gdybym była w ciąży?

- Zrób to dla mnie - powtórzył. - Wykluczmy proste rozwiązania, nim sięgniemy po drastyczne.

-Nie - mruknęła, wchodząc do łazienki, gdzie „Nie” zmieniło się w jasnoniebieskie „Tak”.

-Jak to się mogło stać? - zapytała stanowczo pięć minut później, machając testem w powietrzu.

- Cóż, Becky - powiedział Andrew z zadowoleniem na twarzy i Avą w ramionach - wydaje mi się, że wiem, jak to się stało.

- Ale ja karmię piersią! Używam krążków dopochwowych! - „Zazwyczaj” - pomyślała, przypominając sobie dwadzieścia sześć nocy zesłania na rozkładaną kanapę, gdy nie zawsze miała ochotę skradać się po schodach i ryzykować spotkanie z idącą do łazienki Mimi.

-Jak widać, nie ma niezawodnych zabezpieczeń - powiedział Andrew.

- Nie mogę w to uwierzyć. Jak ja temu podołam? Ledwo daję sobie radę z jednym dzieckiem, a teraz będę miała dwoje? Z piętnastomiesięczną przerwą?

- Co masz na myśli, mówiąc, że ledwo radzisz sobie z jednym dzieckiem? - Andrew wyglądał na skonsternowanego. - Moim zdaniem świetnie ci idzie.

-Nie wiesz tego... - Becky rzuciła się na łóżko i naciągnęła kołdrę na głowę. - Raz na nią krzyknęłam. Szłyśmy od South Street. Musiałam iść do sklepu Chef's Market, bo w restauracji skończył się nam szafran. Zaczęła płakać na rogu Czwartej i Pine i nie chciała się uspokoić. Wrzeszczała wniebogłosy przez osiem przecznic. Robiłam wszystko, co przyszło mi do głowy - wyjęłam ją z wózka, próbowałam nakarmić w

kawiarni, ale nie przestawała. Krzyknęłam na nią. Wetknęłam głowę do wózka i powiedziałam: „Czego ode mnie oczekujesz?”. Ludzie się gapili.

- Nikt się nie patrzył.

- Strasznie się gapili. - Becky przekręciła się na bok, owijając się szczelniej kołdrą.

-I przez jakiś czas nie będę mogła pracować. Andrew... - Spojrzała na niego i przetarła oczy. - Lubię pracować. Kocham Avę... to znaczy zawsze bardzo ją kocham, chyba że płacze przez osiem przecznic, ale czuję się taka szczęśliwa, gdy podrzucam ją tobie do szpitala i idę do pracy. To tak jakbym czasami wychodziła na zwolnienie warunkowe. Jakbym była Syzyfem, który w końcu przestaje pchać kamień. - Okręciła sobie na palcu kosmyk włosów. - Jestem okropną matką.

- Aha - zaświergotała Ava, jakby na potwierdzenie.

- Nie słuchaj jej - poradził Andrew. - Nie jesteś okropną nićuką.

Znów westchnęła i pociągnęła nosem.

- Kocham restaurację, ale z dwójką dzieci na pewno nie będę mogła jej prowadzić. Dowiem się, czy Sarah wykupi moje udziały.

- Nie wygłupiaj się - powiedział Andrew. - To nie jest wyrok śmierci. Są sprawy, które da się rozwiązać.

Becky wytarła oczy rękawem.

- Chyba powinnam to jak najszybciej załatwić - oznajmiła. - A co przede mną? Kolejne dwa albo trzy lata pieluch i karmienia piersią. To wszystko. Koniec. Bez odbioru!

- O ile nie będziemy mieli kolejnego.

-Co to, to nie! Podwiążesz sobie nasieniowody.

- Słucham?

- Podwiążesz nasieniowody! - powtórzyła. - Nie zamierzam dopuścić, by to się kiedykolwiek powtórzyło.

Posadził Avę na łóżku i nachylił głowę nad brzuchem Becky.

- Cześć, dzieciątko - szepnął.

Łzy napłynęły Becky do oczu. Zamiast dreszczyku emocji, jaki towarzyszył wiadomości, że jest w ciąży z Avą, czu

ła się smutna, zagubiona i w jakiś sposób nielojalna. Ava była niemowlakiem, a teraz, mając zaledwie piętnaście miesięcy, zostanie starszą siostrą. Becky nie chciała, by tak było. Zaplanowała, że kilka lat spędzą tylko we trójkę z ich małą gwiazdką, Avą, w centrum zainteresowania. Teraz będzie ich czworo, a ona będzie wykończona.

- Masz najwspanialszą starszą siostrzyczkę - powiedział Andrew, jedną dłonią głaszcząc Becky po głowie, a drugą pukając w jej brzuch. Becky położyła mu rękę na głowie i też go pogłaskała. Czy pokocha kolejne dziecko tak bardzo jak Avę? Czy da sobie radę z kolejnym dzieckiem? „Boże” - pomyślała. Będzie jedną z tych matek z podwójnymi wózkami, obładowaną jak Szerpa plecakami i torbami, miskami z cheerios, z kieszeniami pełnymi smoczków, grzechotek

i kuponów zniżkowych na pampersy. - Masz najpiękniejszą mamusię - stwierdził Andrew. Becky zamknęła oczy, czując atak zawrotów głowy mdłości, a co najgorsze deja-vu. Już wcześniej to wszystko robili. Andrew wolnymi, kolistymi ruchami rąk wcierał w jej skórę masło kakaowe, a w dziewiątym miesiącu czytał brzuchowi książeczkę o księżycu. To było takie wyjątkowe, zupełnie nowe. Jak będzie teraz? - Becky - powiedział i objął ją.

- Zdajesz sobie sprawę, że znów będę musiała nosić te okropne ubrania ciążowe? - zapytała. Oparła czoło o jego policzek. - Obiecuj, że wszystko będzie dobrze - poprosiła. - Obiecuj.

-Zatrudnimy nianię, jeśli stwierdzimy, że jest potrzebna - zaproponował Andrew. - Albo sprzątaczkę dwa razy w tygodniu. Wiem, że nie są to doskonałe rozwiązania, ale, zastanów się, tak naprawdę jesteśmy szczęśliwi.

„Szczęśliwi”. Poruszyła bezgłośnie ustami wtulonymi w jego rozgrzaną szyję, wiedząc, że to prawda. Jeśli było coś, co wyniosła z wczesnego macierzyństwa i z nowych przyjaźni, to pogląd, że każde najmniejsze powodzenie musi być traktowane jak szczęście... i że zawsze, zawsze jest ktoś, kto ma gorzej.

KELLY

W piątkowy poranek, dokładnie o dziesiątej, pół godziny po wyjściu męża z domu, kiedy to Kelly nareszcie zrzuciła z siebie spodnie od dresu i T-shirt i ubrała się w idealnie wyprasowany, dzień wcześniej odebrany z pralni kostium, rozległ się dzwonek u drzwi. Kelly włożyła szpilki, przerzuciła przez ramię czysty kocyk i położyła na nim Olivera w śpioszkach od Oshkosh i body w biało-czerwone paski. Sprawdziła makijaż

i otworzyła drzwi.

- Dzień dobry, Kelly!

Amy Mayhew była młodsza, niż zdawało się przez telefon. „Najwyżej dwadzieścia cztery lata” - pomyślała Kelly. Miała na sobie spódnicę do kolan, granatowy sweter i wysokie buty na niskich obcasach. Fotograf był misiowatym mężczyzną około pięćdziesiątki, w spodniach khaki i czapce z daszkiem. Miał ciepłe dłonie, gdy się z nią witał, i połaskotał Olivera pod brodą.

- Przystojniaczek!

-Dziękuję - powiedziała Kelly i poprowadziła ich do środka przez niemal pusty salon, który udało jej się uporządkować, bo wstała o szóstej rano. - Może zrobię kawę?

Amy i fotograf, który miał na imię David, powiedzieli, że z przyjemnością się napiją. Włożyła do hopsera najedzonego i przewiniętego Olivera, któremu czterdzieści pięć minut wcześniej podała cały zakraplacz tylenolu dla dzieci, co miało zapewnić dobre zachowanie dziecka. Teraz poszła do lśniącej kuchni i tam, nucąc pod nosem, naląła kawę i ustawiła filiżanki na tacy, przygotowanej tego poranka przez Becky. Była na niej miseczka z kostkami cukru, dzbanuszek ze śmietanką, talerzyk wypełniony ciasteczkami w kształcie księżyców, pokrytymi cukrem pudrem. „Doskonale” - pomyślała Kelly, niosąc tacę do salonu i podziwiając oświetlaną przez słońce, dopiero co wymytą podłogę, powietrze wciąż pachnące delikatnie świecami o zapachu gruszkowym, które zapaliła poprzedniego wieczoru. Okropna kanapa była niemal niedostrzegalna pod ogromną kremową narzutą z kaszmiru, pożyczoną od Ayinde, a kartonowe pudełka, przykryte staroświeckim koronkowym obrusem, wspaniale zastępowały stolik, którego jeszcze nie miała.

Usiadła na kanapie i uśmiechnęła się do dziennikarki.

- Cóż - powiedziała. - Co mogę opowiedzieć o swoim życiu?

W śmiechu Amy Mayhew dał się słyszeć podziw. Kelly zastanawiała się, co sądziłaby o tej miłej, domowej scenie, gdyby sama była na jej miejscu.

- Przedstawię zarys artykułu, który ma opowiadać o nowym pokoleniu kobiet nieakceptujących przeciwstawiania modelu kobiety pracującej i siedzącej w domu mamy, które odnalazły innowacyjne sposoby na godzenie życia rodzinnego z karierą zawodową. Może zaczniemy OG życiorysu?

Kelly uśmiechała się, recytując imiona rodzeństwa, nazwę miejscowości, gdzie się urodziła, rok ukończenia Uniwersytetu Penn, nazwę firmy konsultingowej, w której pracowała dwa lata i w tym czasie dwieście dni spędziła w podróży. Oliver podskakiwał w hopserze, od czasu do czasu pokrzykując w swoim języku, a ona opowiadała o dorastaniu w Ocean City i o tym, jak rozpoczęła w swojej szkole szaleństwo na myszokoczki. Amy Mayhew śmiała się z uznaniem. Kelly przyniosła do klasy swo-

jego myszoscieczka, narobiła wokół niego dużo hałasu, a gdy zrodził się popyt, kupiła za grosze zwierzątka w sklepie zoologicznym i sprzedawała koleżankom i kolegom po pięć dolarów za sztukę. Później miała szczęście, bo nabyła ciężarną samiczkę i - nim matka stwierdziła, że chyba oszalała, otaczając się klatkami pełnymi włochatych szczurów, i położyła kres hodowli gryzoni - zarobiła ponad sto dolarów.

Opowiedziała Amy, jak od piątego roku życia urządzała przyjęcia urodzinowe dla siebie i dla rodzeństwa, nie wspominając, że głównie wynikało to z tego, że matka była pijana lub niezainteresowana tematem. Swoją rodzinę przedstawiła najszybciej, jak potrafiła, zatrzymując się na dłużej przy Maureen, która robiła doktorat, i pomijając wyrzuconą ze szkoły Doreen.

- A rodzice? - zapytała Amy.

- Mój ojciec pracuje na poczcie, matka umarła - powiedziała Kelly. Dziennikarka wydała z siebie dźwięk, który miał oznaczać współczucie, i nie zapytała: „Na co?“, co uwolniło Kelly od wymówienia w odpowiedni sposób słów „na marskość wątroby“, niewskazując na to, że śmierć matki była wybawieniem.

- La la la, ga ga ga, da da da - goworzył Oliver, wymachując nad głową misiem.

- Dada? - zapytał fotograf z uśmiechem.

Kelly nachyliła się nad Oliverem, uśmiechając się do niego. Poczowała ogromną radość, gdy dziecko odwzajemniło uśmiech, a David pstryknął w odpowiednim momencie, by to uchwycić.

- Dada jest w podróży służbowej! - powiedziała pogodnie. Tak naprawdę został wysłany do Klubu u Sama z listą zakupów długą jak jego ręka, po wyjaśnieniu, że całodzienne szaleństwo porządkowe wynika z tego, że zaprosiła na lunch przyjaciółki. Jednak ludzie z magazynu „Power“ nie musieli o tym wiedzieć.

Oliver zagrychał, odsłaniając dziąsła i dwa zębki. Wyciągnął rączki do Kelly, a mi-gawka otworzyła się dokładnie w chwili, gdy podniosła go w górę.

- Wspaniale - mruknął David, gdy Kelly podrzuciła synka nad głowę. W tym samym momencie rozległ się złowróżbny odgłos. Z buzi Olivera wylały się wodniste, różo- wawe wymiociny prosto na kostium Kelly.

- O Boże! - powiedziała Amy Mayhew, cofając się gwałtownie. Omal nie wpadła na kartony udające stolik.

- O matko! - jęknęła Kelly, kładąc sobie płaczącego Olivera na ramieniu. - Dajcie mi chwilkę. Zaraz wracamy.

„Cholera” - pomyślała, idąc szybkim krokiem. To z powodu tylenolu. Wbiegła do dziecięcego pokoju, zdjęła Oliverowi ubranko i rozejrzała się za czymś na zmianę.

„Jasne, włączę pranie” - powtarzał Steve przez ostatnie trzy dni. Otworzyła suszarkę. Była pusta. Zajrzała do pralki i jęknęła na widok wszystkich, wciąż mokrych ubrań

Olivera. Jedną ręką trzymała zanoszące się płaczem dziecko, leżące na przewijaku, drugą po kolei otwierała szuflady. Z narastającą furią odkryła, że nie ma w nich nic prócz wdzianka od chrztu i piżamek. Zdecydowała się na czystą granatową piżamkę. Gdy próbowała ją założyć, Oliver zaczął kopać i jeszcze głośniej zawodzić.

- Wszystko w porządku?! - zawołała Amy Mayhew, przekrzykując płacz dziecka.

- Oczywiście! - odkrzyknęła Kelly. Zapięła zatraski, znalazła czysty kocyk, poszła do sypialni i położyła Olivera na łóżku. Zdjęła przemoczony, lepiący się kostium i przejrzała wieszaki w garderobie, przesuwając nieużywane garnitury Steve'a, aż wreszcie dotarła do spódnicy, w którą miała szansę się zmieścić. Oliver kwilił. Przetarła mu policzki i brodę chusteczką, wolną ręką wykręcając numer telefonu. - Dzień dobry, mówi Kelly Day. Dzwonię w sprawie mojego synka, Olivera... - Zdjęła buty i pociągnęła mocno za suwak w spódnicy. Nie chciał się zapiąć. Schyliła się i głową przytrzymała dziecko, by nie sturlało się z łóżka. - Jakaś godzinę temu podałam mu tylenol, a przed chwilą z wymiotował...

- Chciała pani obniżyć gorączkę? - „Dzięki Bogu” - pomyślała Kelly - „że to inna pielęgniarka, a nie ta, która odebrała telefon, kiedy Oliver wypadł z krzeselka”.

- Słucham?

- Tylenol - powiedziała pielęgniarka. - Mówiła pani, że podała mu tylenol.

- Hmm, cóż, ząbkuje... - Kłamstwo, ale co miała powiedzieć? „Podaję mojemu dziecku leki, żeby dobrze się zachowywało podczas wywiadu, którego będę udzielała dla kolorowego magazynu?” Po tym zdarzeniu, a także wypadku z krzeselkiem straciła szansę na zdjęcie w rubryce Matka Roku. - Wie pani co, chyba poczuł się lepiej. Spróbuję go nakarmić i później zadzwonię.

Odłożyła słuchawkę, nim pielęgniarka zdążyła cokolwiek powiedzieć, i zaczęła przetrząsać szafę. Ulubiony sweter, cały w psiej sierści, leżał na kupce rzeczy przygotowanych do pralni chemicznej. Drugi ulubiony sweter był taki obcisły, że wyglądała jak dziewczyna z lat sześćdziesiątych po długim weekendzie spędzonym w restauracji, gdzie po uiszczeniu opłaty można jeść bez ograniczeń. Przejechała prawą ręką po zakurzonej górnej półce, natrafiając w końcu na pudełko z Lord & Taylor, które Doreen przysłała jej na Gwiazdkę. Złapała je i rzuciła na łóżko. W środku znajdował się lawendowy sweter - z dużym dekoltem, zrobiony z włochatej angory, ale przynajmniej czysty. Wciągnęła go przez głowę i szybko wróciła do salonu z Oliyerem na rękach.

-Przepraszam! - powiedziała, uśmiechając się pogodnie. - Teraz już wszystko jest pod kontrolą.

Dziennikarka i fotograf spojrzeli na siebie z powątpiewaniem. Kelly kichnęła, gdy włoski swetra połaskotały ją po nosie.

- Ile dokładnie tygodni miało dziecko, gdy wróciłaś do pracy?

- Szesnaście - skłamała. Tak naprawdę to dwanaście, ale pomyślała, że szesnaście zabrzmi lepiej. - Na początku pracowałam dwa-trzy dni w tygodniu po kilka godzin. Moja szefowa umożliwiła mi łagodny powrót. - Kolejne kłamstwo. Zaczęła pełną parą, wykonując w dwadzieścia godzin tygodniowo pracę wymagającą czterdziestu. Zgodziła się na te mordercze warunki, by nie naruszyć oszczędności, ale także dlatego, żeby choć na chwilę oderwać się od widoku męża, snującego się cały dzień po domu z rozpiętym rozporkiem, i odpocząć od dziecka.

- Kiedy jesteś w pracy, do małego przychodzi niania?

- Przez jakiś czas pomagali mi krewni, teraz Oliverem zajmuje się moja przyjaciółka - powiedziała Kelly. - Zdaję sobie sprawę, jakie to szczęście, że ją mam. - Przynajmniej to była prawda, jeśli uznać Steve'a za krewnego. I rzeczywiście, w porównaniu z większością kobiet w kraju miała szczęście: dostała sześć tygodni urlopu i nie musiała oddawać dziecka do żłobka ani prosić o pomoc odpowiedzialnego i chętnego krewnego, mieszkającego w odległości kilkudziesięciu kilometrów. Miała szczęście, gdyż wciąż objęci byli świadczeniami (co prawda jeszcze tylko przez sześć miesięcy, póki nie wygaśnie ubezpieczenie medyczne Steve'a, ale lepsze to niż nic). Miała szczęście, że w sytuacji awaryjnej mogła liczyć na przyjaciółki, które chętnie zajmowały się Oliverem. - Poza tym szefowa pozwala mi pracować w domu, więc zazwyczaj sama opiekuję się dzieckiem - dokończyła, odwracając Olivera na sekundę przed zaprezentowaniem przez synka ostatniej sztuczki, polegającej na zaciskaniu rączek na sweterku Kelly i próbach podciągnięcia się do góry, co w konsekwencji powodowało obnażenie jej coraz większych piersi. To było kłamstwo numer trzy, ale przecież nie mogła powiedzieć, że pracuje na laptopie w kawiarni, bo mąż zajął jej biuro, z którego zarządza wymyślonymi, z dnia na dzień coraz liczniejszymi drużynami baseballowymi.

- Opowiedz, jak zareagowali klienci - poprosiła Amy. - Przeszkadza im, że nie jesteś do ich dyspozycji przez osiem godzin dziennie?

- W gruncie rzeczy to mogą kontaktować się ze mną tak, jakbym była w biurze. Oczywiście noszę przy sobie komórkę i w razie sytuacji nadzwyczajnych mam pager.

-A co się dzieje, gdy musisz koniecznie coś załatwić, a twojej przyjaciółki akurat nie ma? Co robisz z... - Amy zerknęła szybko do notesu. - Oliverem?

Kelly przygryzła wargę. W takich przypadkach przekazywała dziecko Steve'owi wraz z masą kartonowych książeczek i zabawek.

- Biorę go na spacer! - powiedziała triumfalnie. - W wózku zawsze jest szczęśliwy, a ja, rozmawiając przez zestaw słuchawkowy, mam wolne ręce i mogę go pchać...

Amy patrzyła na nią sceptycznie.

- A jeśli musisz sprawdzić jakiś dokument? Albo notatkę? Nie jest trudno pracować,

gdy nie masz przed sobą komputera?

-Wszystko, co jest mi potrzebne, mogę wydrukować i, hmm... korzystać z tego w czasie spaceru... - No jasne. Wyobraziła sobie, jak idzie Walnut Street z Oliyerem w wózku, słuchawką w uchu i próbuje czytać wymięty wydruk, przyciśnięty do rączki wózka. - Albo gdy siedzimy w parku. Mogę też poczekać, aż przyśnie, poza tym... mam przyjaciółki, które też są matkami, i zastępujemy się, gdy któraś musi coś zrobić. Proszę wtedy jedną z nich, by się nim zajęła. W przypadku, gdy jest coś niezwykle pilnego... - No proszę. Zabrzmiało całkiem miło. Nawet przyjemnie młode mamuśie przekazujące sobie dzieci i domowe ciasto przez białe płotki. Ukradkiem wytarła spocone dłonie w spódnicę, dokładnie w tej samej chwili strzeliła migawka. Serce jej waliło. Skoro udawanie, że potrafi spokojnie godzić karierę zawodową z życiem rodzinnym było takie trudne, to robienie tego naprawdę musiało być niemożliwe. - Poza tym wiele imprez odbywa się wieczorami, gdy dziecko śpi, a w domu jest mój mąż, więc nie muszę się martwić.

- To niesamowite - powiedziała Amy. - Opiekowanie się małą istotą... często sama nie radzę sobie ze sobą!

„Nic nie wiesz, siostrzo” - pomyślała Kelly.

- Korzystaj z życia teraz - powiedziała. - Niedługo do nas dołączysz.

Amy Mayhew uśmiechnęła się, ale Kelly wiedziała, że nie wierzy w prawdziwość jej opowieści. A może myślała, że do czasu, gdy ona będzie gotowa do macierzyństwa, świat zmieni się, a nauki ścisłe i socjologia przyniosą doskonałe rozwiązanie, pozwalające dzieciom i ich pracującym matkom współistnieć w idealnej harmonii.

- Opowiedz mi o swoim dniu - poprosiła Amy.

-Cóż, wstaję o szóstej albo jakoś tak... - zaczęła Kelly, przedstawiając cały poranek, nie wspominając jednak o ciągnięciu na smyczy niezadowolonego golden retrievera.

David zaczął rozpakowywać pudła ze sprzętem. W rogu pokoju ustawił lampę.

- Czy twoje życie wygląda tak, jak je sobie wyobrażałaś?

-Hmm. No cóż...

Kelly próbowała przypomnieć sobie, jakie były jej marzenia. Po pierwsze, mąż, który będzie zarabiał przynajmniej tyle co ona. Przewidywała kilka lat pracy po czternaście godzin na dobę, podróże służbowe, całonocne ślęczenie nad projektami, zawalone weekendy, by osiągnąć pozycję. Oczywiście wyobrażała sobie ślub, mieszkanie dokładnie takie jak to, ale pięknie umeblowane, cudownie urządzone pokój dziecienny z doskonałym, spokojnym dzieckiem w ślicznej pościeli, grzecznie leżącym w łóżeczku. Widziała siebie pchającą wózek, z lśniącymi włosami, pomalowanymi paznokciami, w dzinsach wciąż w tym samym rozmiarze, co w czasach licealnych. Siebie robiącą to, na co nie mają czasu kobiety pracujące - sączącą latte, wpadającą do

księgarń i butików, spotykającą się z przyjaciółmi na lunchach, podczas gdy dziecko leży spokojnie w wózku lub siedzi na jej kolanach, by znajomi mogli je podziwiać. Wyobrażała sobie, że będzie przyrządzała jedzenie w kuchni, gdy dzidzius zaśnie. Marzyła o salonie tonącym w blasku świec, mężu, z którym wciąż będzie chciała uprawiać rozwiązły, wymyślny seks. Widziała wszystkie dobre strony macierzyństwa - osłonki w łóżeczku, pościel, wózek, który będzie pchała, ale nie jego prawdziwe oblicze. Niewiele wspólnego z rzeczywistością miały jej wyobrażenia o dziecku, jawiącym się jako szykowny dodatek, modny w danym sezonie, a także o mężu, który nie był taki, jakim go postrzegała, składając przysięgę małżeńską.

-Kelly?

„Myliłam się” - pomyślała. Tak bardzo.

- Jest znacznie ciężiej - odparła bezbarwnym głosem. Amy Mayhew wpatrywała się w nią. Kelly odchrząknęła, pozbywając się kolejnego puszku z angorowego sweterka drapiącego w gardle. - Jest znacznie trudniej, niż kiedykolwiek przypuszczałam. - Znów odchrząknęła. - Rzecz w tym, że pracujesz na pół etatu, ale szef oczekuje, że zrobisz tyle, co w pełnym wymiarze godzin. Taka jest natura świata pracy - zadania muszą zostać wykonane - czy to z dzieckiem, czy bez niego. A jeśli jesteś kimś takim jak ja - kobietą, której dobrze szło w szkole i w pracy - nie chcesz rozczarować szefa i jednocześnie pragniesz dobrze zajmować się dzieckiem. - Podciągnęła rękawy. - Nie jest tak, jak sobie wyobrażałam.

Amy Mayhew spojrzała na nią z życzliwym współczuciem.

- Czym rzeczywistość różni się od wyobrażeń?

- Dziecko potrzebuje obecności matki. Potrzebuje przez cały czas, chyba że śpi. Będziesz szczęściarą, jeśli drzemka potrwa godzinę. Wtedy musisz podjąć decyzję, na co przeznaczyć ten czas. Czy chcesz popracować, odsłuchać rozmowy i oddzwonić, rozładować zmywarę, wziąć prysznic, czy odciągnąć mleko na czas, gdy wyjdiesz z domu. Zazwyczaj kończy się tak, że robisz pięć rzeczy naraz.

- Wielozadaniowość - powiedziała Amy Mayhew, kiwając głową.

- Tak, wielozadaniowość - przytaknęła Kelly. - Więc oddzwoniasz do klientów przyssana do laktatora, nie możesz jednak notować, bo jedną ręką trzymasz słuchawkę, a drugą nakładkę, żeby nie spadła z piersi. Albo sadzasz sobie dziecko na kolanach i czytasz mu harmonogram imprezy tak, jakbyś czytała *Pan kotek był chory*, mając nadzieję, że nie zauważy różnicy. Ciągłe jesz gotowe dania. I mało śpisz.

Kelly urwała, by złapać oddech. Nie bardzo podobał się jej wyraz twarzy Amy Mayhew, przypominający litość.

- A mąż? - zapytała Amy Mayhew. - Pomaga ci?

Słowo „mąż” sprowadziło Kelly z powrotem do rzeczywistości... albo raczej do rze-

czywistości życzeniowej, jaką starała się ukazać nic niepodejrzewającym czytelnikom magazynu „Power”.

- Cóż, jest bardzo zajęty - zaczęła. - Podróżuje...

- Mogę schować to tam? Żeby nie przeszkadzało przy robieniu zdjęć? - Fotograf trzymał kurtkę i wskazywał na szafę, do której Kelly upchnęła walające się po domu od sześciu miesięcy gazety, magazyny, pół paczki za małych na Olivera pieluch, kije golfowe Steve'a, sandały, w których od miesięcy nie chodziła, torby z dziecięcymi ubrankami i z psim jedzeniem, gumowe zabawki Lemona, pudełko po butach wypełnione zdjęciami, jeden żaloszny sflaczały balonik z napisem: TO CHŁOPIEC!...

- Och, chwileczkę! - Kelly widziała w zwolnionym tempie, jak fotograf chwyta za klamkę. Posadziła Olivera na podłodze, zerwała się na równe nogi, jednak wszystko zbyt wolno. Gdy drzwi szafki otworzyły się, coś zadudniło i w mgnieniu oka jej życie runęło jak lawina na świeżo odkurzoną podłogę.

- Oj! - jęknął fotograf, a kaskada rzeczy wciąż spływała (płyta z testową wersją programu na sześć miesięcy, związany gumką plik niezapłaconych rachunków, połamane okulary słoneczne, *Rozwiąż kłopoty ze snem swojego dziecka* doktora Farbera, *Sen bez płaczu* doktora Searsa i *Przespać noc* doktora Mindella). - Boże, strasznie przepraszam - powiedział David.

- Nic się nie stało! To nic! - Kelly zaczęła wpychać rzeczy z powrotem do szafy, ale im więcej starała się upchnąć, tym więcej wypadało (kolejne książki, obrzydliwy dywanik od Mary, którego nie miała serca oddać lub wyrzucić, paczka wkładek laktacyjnych, puszka odżywki). Schyliła się, oddychając ciężko, popychając stopami, zgarbiając rękami. Nic nie pomagało. Na miejsce każdej rzeczy, którą udało się jej położyć na półce lub przycisnąć do ziemi, pojawiały się kolejne trzy. Albo wyobraziła sobie dźwięk migawki, albo rzeczywiście cała scena, łącznie z jej wypiętym tyłkiem w spódnicy z niedomykającym się suwakiem, została uwieczniona dla potomności. W końcu wyprostowała się i zdmuchnęła kosmyki włosów ze spoconej twarzy. - Niech tak zostanie.

„Pryszcz” - powiedziała sobie, oddalając się od śmietnika rzeczy niepotrzebnych, nagromadzonych w ostatnich sześciu miesiącach jej życia.

- To pryszcz - powiedziała głośno, myśląc o swoich przyjaciółkach. Dziecko, które umarło, chore dziecko, zdradzający mąż - to są problemy. Bałagan w szafie i pozbawiony motywacji mąż? Małe piwo.

Potem Oliver znów zaczął płakać. Lemon zaszczekał, otworzyły się drzwi i stanął w nich Steve - w bluzie, z trzydniowym zarostem na twarzy, włosami opadającymi na szyję i z torbami pełnymi pieluch z przeceny. Wyglądał na zmieszanego.

- Kelly?

„Nie. No nie”.

- Pewnie jesteś Steve! - powiedziała radośnie Amy Mayhew.

Skinał głową, gapiąc się na obcych.

- A gdzie twoje dziecko? - zapytał.

Amy zaśmiała się lekceważąco.

- Och nie, ja nie mam dziecka!

Steve spojrział na Kelly i zmarszczył brwi.

- Co tu się dzieje?

„Skłam, skłam. Wymyśl jakieś kłamstwo”.

- Szybko wróciłeś!

- Tak, u Sama nie było połowy rzeczy, które wypisałaś na liście, więc pomyślałem, że wpadnę do domu i się przywitam.

- Myśleliśmy, że jesteś poza miastem! - powiedziała Amy.

- Co? - zdziwił się Steve i spojrział na żonę.

Kelly przełknęła głośno ślinę.

- To Amy Mayhew i David Winters z magazynu „Power”.

Steve wpatrywał się w nich, marszcząc czoło.

- Przyszli ze mną porozmawiać - poinformowała Kelly.

- O czym? - zapytał.

Stała z przyklejonym do twarzy uśmiechem grzecznej dziewczynki i modliła się z całego serca: „Kryj mnie” - błagała. „Jeśli mnie kiedykolwiek kochałeś, kryj mnie”.

- O pracy i rodzinie - powiedziała. - O radzeniu sobie ze wszystkim.

- Och! - westchnął i powtórzył powoli: - O radzeniu sobie ze wszystkim.

- Mówiłam ci, pamiętasz? - powiedziała w desperacji. - Wiem, że wspominałam. Musiałeś zapomnieć. Jest taki zapracowany - wyjaśniła Amy i Davidowi.

- Oczywiście - stwierdziła Amy Mayhew. - Konsulting to ciężka praca.

Steve wlepił wzrok w żonę. „Konsulting?” - niemal słyszała jego myśli. „Proszę” - błagała telepatycznie. „Proszę, wyjdź”.

- Będę w gabinecie - powiedział. Odwrócił się na pięcie, przeskoczył przez wywalone z szafy rzeczy, jakby ich nie zauważył, i wyszedł z pokoju.

- Steve, zaczekaj! - musnęła go opuszkami palców, gdy ją mijał. - Przepraszam na chwilę - powiedziała do Davida i Amy, po czym pobiegła do dzieciennego pokoju, włożyła Olivera do łóżeczka i poszła do sypialni.

Steve stał przed szafą. Na łóżku leżała otwarta walizka.

- Co robisz?

- Jezu, nie wiem. Zdaje się, że doradzam. Jeśli właśnie to mówisz ludziom - burknął.

- A co miałam powiedzieć? - syknęła. - Że jesteś bezrobotny? Jak by to wyglądało w druku?

- Wiesz co? Naprawdę mnie to nie obchodzi. To ty starasz się pokazywać, że jesteś kimś, kim nie jesteś - odparł, zbierając z podłogi koszule i dzinsy, które tam zostawił.

- Steve...

Spojrzał na nią, podszedł do komódki i wyjął bieliznę, a także podkoszulki, które Kelly zbierała z podłogi lub wyciągała spod prześcieradła, które prała, prasowała, składała i umieszczała w szufladach. „Co on sobie myśli” - przypomniała sobie, jak pytała o to Becky. „Że jest wróżka bieliźniarka, która lata i w cudowny sposób przynosi mu codziennie czystą bieliznę?”

- W porządku, wiesz co? Idź sobie - powiedziała. - Zadzwoń, jak będziesz miał nowy numer. A lepiej, jak dostaniesz pracę. Nie będę wstrzymywać oddechu.

- Wracaj udzielać wywiadu - odparł, wyrzucając jeszcze więcej ubrań na podłogę. - Dlaczego nie powiesz im, że jesteś samotną matką?

- Równie dobrze mogłabym nią być! - wrzasnęła, przeciskając się między nim a łóżkiem. - Biorąc pod uwagę twoją pomoc, mogłabym być samotną matką! Myślisz, że chciałam wracać do pracy dwanaście tygodni po urodzeniu dziecka?

- Powtarzam to po raz setny, Kelly, nie musiałaś. Wróciłaś, bo chciałaś. A gdybyś pozwalała mi pomagać...

-Raz pozwoliłam, to upuściłeś dziecko! - krzyknęła. - Sprawdzasz pieluchę i mówisz, że jest sucha, choć jest mokra. Twierdzisz, że odbiło mu się już, choć się nie odbiło, a do pracy musiałam wrócić!

- Nie - powiedział irytującym tonem, jakby zwracał się do głupiego dziecka. - Nie musiałaś.

-Musiałam, bo nie chciałam, żebyśmy przejedli wszystkie oszczędności! - krzyczała. - Bo, w przeciwieństwie do ciebie nie umiem przez cały dzień siedzieć na dupie! Wiesz co? - powiedziała. - Wołałabym być samotną matką! Bo samotne matki nie muszą zbierać po swoich mężach brudnych naczyń i pustych butelek od piwa. Samotne matki nie muszą pracować niczyich brudów ani sprzątać czyjś bałaganu, ani, ani... opuszczać deski klozetowej, bo mąż o tym nie pamięta...

- Ciszej - syknął.

- ...bo jest zbyt zajęty oglądaniem oper mydlanych!

Poruszył się gwałtownie, jakby go spoliczkowała.

- Tak, tak, wszystko wiem. Myślisz, że nie zauważyłam, iż nagrywa się każdy odcinek *Świat się kręci*?

- To nie ja! - wrzasnął. - Oglądałem to tylko raz, a ta głupia maszyna sama zaczęła nagrywać!

- Oczywiście - powiedziała Kelly. - Pracuję poza domem, robię zakupy, piore, gotuję, sprzątam, robię wszystko...

- ...nie dlatego, że musisz.

Zlekceważyła go.

- Wychowuję sama naszego synka z wyjątkiem tych dziesięciu minut, kiedy przestajesz surfować po Internecie, by przeczytać mu jedną marną książeczkę, a ja... ROBIĘ... WSZYSTKO! I jestem zmęczona! - Szarpnęła mocno ściągacz podjeżdżającego do góry swetra. - Jestem taka zmęczona.

- Więc odpocznij! - krzyknął. - Zrób sobie przerwę! Prześpij się! Rzuć pracę! Albo nie! - Uniósł ramiona w górę. - Chcesz radzić sobie ze wszystkim, proszę bardzo.

- Nie mogę odpocząć - powiedziała i rozplakała się. - Nie rozumiesz. Nie mogę. Bo co potem? A jeśli nigdy nie wrócisz do pracy? Co będzie, gdy skończą się nam pieniądze? Co się z nami stanie?

-Kelly... - Patrzył na nią. Na jego twarzy zmieszanie łączyło się z... Co to było? Wiedziała w jednej chwili. To samo spojrzenie, jakie posłał jej Scott Schiff, były chłopak, gdy podjechali pod dom w Ocean City. Litość. - Nic się z nami nie stanie. - Złapał ją za rękę i przyciągnął do siebie. Poddała się i zamknęła oczy. - O czym ty mówisz? Mamy dużo pieniędzy. Powtarzałem ci to setki razy...

-Nie dość... - powiedziała i wytarła twarz w jego bluzkę. - Nigdy nie jest dość.

- Naprawdę dużo.

- Nie rozumiesz. - Odepchnęła go i otarła twarz podkoszulkiem leżącym na łóżku. - W ogóle mnie nie rozumiesz.

- Więc mi pomóż. - Wyciągnął ręce w jej stronę. - Powiedz mi. Rozmawiaj ze mną.

Potrząsnęła głową. W szkole cała ósemka O'Harów była uprawniona do dotowanych mundurków i darmowych obiadów. Jednak by dostać darmowy obiad, trzeba było w stołówce dać żółtą karteczkę zamiast czerwonej, którą miały inne dzieci. Pierwszego dnia w dziewiątej klasie Mary zabrała jej żółtą karteczkę, podarła ją i podała puszkę dietetycznej coli.

- Wypij - powiedziała. - Nie potrzebujemy jałmużny.

Odtąd zawsze postępowała według tego kodeksu - radziła sobie sama i płaciła za siebie. „Nie potrzebujemy jałmużny” ... i wyszła za męża za człowieka, który pobierał zasiłek dla bezrobotnych, całe dni spędzał na kanapie i proponował, by żyli z oszczędności.

- Pomyliłam się - szepnęła, znów wycierając oczy. - Pomyliłam się co do ciebie.

- Nie - powiedział i potrząsnął głową - nie, Kelly, nie pomyliłaś się...

- Pomyliłam się - powtórzyła. - Idź już, proszę. - Znów wytarła oczy i wyszła z sypialni, w stronę wspaniałego salonu i doskonałego pokoju dzieciennego, gdzie czekało

na nią jej cudowne dziecko. Z powrotem do życia, które chciała, żeby wyglądało tak, jak je przedstawiała, ale było zupełnie inne.

Weszła do salonu z Oliverem w ramionach. Na podstawie beznamiętnego wyrazu twarzy Amy i Davida nie potrafiła ocenić, co sądzili, poza tym nie obchodziło ją to, czy słyszeli każde słowo, czy nie.

TLR

TLR

LUTY

LIA

Sam powiedział, że nie muszę odbierać go z lotniska.

- Żaden problem. Mogę wziąć taksówkę.

- Nie - odparłam, czując narastający w gardle szloch na dźwięk znajomego głosu z lekko teksańskim zaśpiewem. Chciałam przycisnąć słuchawkę do ucha i słuchać go całą wieczność. Zależało mi bardzo, by uczynić jakiś gest, dać mu znak. Chciałam być tam, gdy wyląduje w Filadelfii. Poszłam na dworzec przy ulicy Trzydziestej, wsiadłam w pociąg i po godzinie byłam już na lotnisku. Chodziłam w tę i powrotem przed taśmą bagażową, wspominając rzewnie czasy sprzed jedenastego września, kiedy można było podejść do samej bramki, by przywitać ukochaną osobę.

Czas strasznie się włókł. Obserwowałam mijających mnie ludzi, staruszki na wózkach inwalidzkich, studentów z plecakami, zmęczone rodziny pchające metalowe wózki z piętzącymi się bagażami. Przeszła koło mnie jedna rodzina z bliźniakami w wózku i dzieckiem, noworodkiem, w nosidełku na brzuchu ojca. Matka zauważyła, że ich obserwuję, więc uśmiechnęłam się do niej.

- Udanej podróży - powiedziałam.

Zauważyłam worki pod jej oczami, włosy spięte niestarannie w kucyk i sztywne ruchy, jakby bolały ją wszystkie mięśnie. „Pamiętam to” - pomyślałam.

- Mam nadzieję, że taka będzie - odparła.

Poczułam, że ktoś klepie mnie po ramieniu. To był Sam.

- Cześć! - Na dźwięk jego głosu podskoczyło mi ciśnienie i zrobiło się gorąco, mimo że na lotnisku zmarzłam i żałowałam, że wcześniej nie założyłam swetra.

-Sam!

-Cii - powiedział, uśmiechając się zawadiacko. - Nie chcesz chyba wywołać zamieszek. - Ściszył głos. Wyciągnął ramiona, przyglądając mi się uważnie. - Więc jesteś - szepnął.

- Jestem.

I on też był - wyższy, niż pamiętałam, z szerokimi ramionami w wełnianej kurtce na podszewce, dzierganej czapce opuszczonej nisko na czoło, z blizną w kształcie gwiazdy na środku brody, będącą pamiątką po upadku z roweru, gdy miał pięć lat. Spojrzałam na jego czoło ugodzone niegdyś jabłkiem rzuconym przez bezdomną kobietę, potem na dłonie, które pomogły przyjść na świat naszemu synkowi. „Gratulacje, tatusiu” - powiedziały pielęgniarki, a Sam nachylił się i pocałował mnie w czoło, bez słowa przyciskając usta do mojej spoconej skóry.

Nogi miałam jak z waty, gdy ujął kosmyk moich włosów w palce i przyglądał mu się w jasnych światłach lotniska.

- Zmieniłaś kolor.

Wzruszyłam ramionami.

- Sam się zmienił. Tak się dzieje, gdy nie robisz wciąż pasemek.

-To znaczy... - Położył dłoń na sercu. - Nie jesteś naturalną blondynką?

Czułam, że się rumienię - z powodu takiej głupiej rzeczy. I wszystkich innych kłamstewek, które mu naopowiadałam.

- Przykro mi, że cię rozczarowałam.

- Jakoś to przeboleję. Ładnie ci. - Zrzucił torbę na ramię. - W Hollywood jest już wystarczająco dużo blondynek.

-Ja... - Dłonie i kolana nadal mi drżały. Na usta cisnęło mi się miliony pytań, które chciałam mu zadać. „Dobrze się czujesz?” i „Wybaczysz mi?”, i „Rozumiesz, dlaczego wyjechałam, dlaczego musiałam wyjechać?” I, oczywiście: „Chcesz, żebym wróciła?”. Z tego wszystkiego udało mi się tylko wykrztusić: - Do miasta pojedziemy pociągiem.

- Nie. Pojedziemy z fasonem. Zamówiłem dla nas samochód z kierowcą.

- Naprawdę? - Chciałam go objąć, przytulić, wziąć za rękę, ale nie byłam pewna, czy mam prawo to zrobić i czy kiedykolwiek będę miała. Może ja wyglądałam inaczej, ale dla mnie Sam w ogóle się nie zmienił - opalony, silny, pewny siebie. - To miłe.

-Mnie nie dziękuj, podziękuj stacji telewizyjnej. Powiedziałem, że wpadnę przywitać się w lokalnym oddziale, a oni byli tacy zadowoleni, że zapłacili za podróż. Bilet na samolot, samochód z kierowcą, pokój w... - Przystanął, wyciągnął z tylnej kieszeni plik biletów i spojrzał na wetknięty pomiędzy nie świstek papieru. - Hotelu Rit-tenhouse. Wiesz, gdzie to jest?

Odetchnęłam głęboko.

- Bardzo blisko mojego mieszkania.

- Acha - powiedział

Wpatrywałam się w jego znajomą twarz i próbowałam wyczytać z niej, co czuje. „Złość” - pomyślałam i ukłuło mnie w sercu. „Boże, musi być na mnie wściekły. Stracić syna i żonę w przeciągu miesiąca...”

- Przepraszam - odezwałam się, świadoma, jak nieadekwatne było to słowo.

Wzruszył lekko ramionami. Jego oczy były matowe, nic się z nich nie dało wyczytać.

- Chcesz - zaczęłam, ale urwałam.

Zastanawiałam się, gdzie mieszkał. Czy wyprowadził się, czy też został w mieszkaniu, gdzie żył jego synek i gdzie umarł? Zrobiło mi się żal Sama. Jego, naszego synka, nas wszystkich.

Kierowca, w służbowym nakryciu głowy i czarnym płaszczu, trzymał tabliczkę z na-

pisem JAMES KIRK. Sam otworzył mi drzwi, wszedł za mną do samochodu i odjechaliśmy.

- Ładny pseudonim - powiedziałam.

Skinał głową.

- O co chciałaś mnie spytać?

Było tyle rzeczy, o które chciałam zapytać: „Czy zostaniesz ze mną” było na pierwszym miejscu, ale z moich ust wydobyło się:

- Kochasz mnie jeszcze?

- Och - westchnął. W jednej chwili znalazłam się w jego ramionach. Otaczał mnie zapach mydła i jego ciała, słyszałam bicie serca. - Och, Lia. - Wzięłam jego dłonie, chcąc czuć je w swoich rękach... i oczekując odpowiedzi. Wciąż nosił obrączkę. Czulałam ją pod palcami. Była tam. Przynajmniej tyle.

- Jesteś matką Caleba - powiedział. - Dlatego zawsze będę cię kochał. - Znow po gładził moje włosy. - A ta nowa fryzura jest podniecająca.

Całowałam jego policzki, usta, czoło, włosy wystające spod czapki. Przytulał mnie mocno.

- Więc znikasz na dziewięć miesięcy, potem kiwasz palcem, a ja już lecę? - mruknął. - Czy to jakiś radykalny sposób odgrywania kobiety trudnej do zdobycia?

Słowa cisnęły mi się na usta, ale je zatrzymałam. Usiadłam mu na kolanach i wciąż go całowałam.

Odsunął się, by na mnie spojrzeć.

- Wydaje mi się, że się stęskniłaś. - Z trudem łapał oddech. Czulałam, że drży. Nie kochaliśmy się od czasu śmierci Caleba. Spróbowaliśmy raz, pewnej nocy, gdy żadne nie mogło zasnąć, ale skończyło się na tym, że oboje płakaliśmy i straciliśmy ochotę.

- Tak bardzo mi ciebie brakowało - powiedziałam i nachyliłam się, żeby jeszcze raz go pocałować. - Tak bardzo.

Nacisnął guzik i pomiędzy nami a kierowcą pojawiła się przyciemniona tafla szkła.

- Żeby nie spowodował wypadku - powiedział, walcząc z moją kurtką, swetrem, szalikiem. - Ile tych ubrań! Mój Boże. Chłopcy ze Wschodniego Wybrzeża muszą mieć ciężko.

- Nie ma żadnych chłopców - szepnęłam. - Tylko ty. - Odchyliłam się i jednym ruchem ściągnęłam kurtkę i sweter przez głowę. Serce mi waliło, gdy na mnie spojrział.

- Dziękuję za pomoc - powiedział. - Teraz pozwól, że... - Drżącymi palcami rozpiął swoją koszulę. Jego ciało płonęło. - Chodź do mnie - powiedział, przyciągając mnie mocniej. - Chcę cię czuć.

Uniosłam się do góry na jego kolanach i ściągnęłam dzinsy i bieliznę. Jęknęłam, czując dotyk. Chciałam mu powiedzieć, jak bardzo na niego czekałam, jak o nim

wciąż myślałam, że nie było nikogo innego, ale trzymał mnie już w ramionach, jakbym była lekka jak piórko. Pasowaliśmy do siebie jak dwie części układanki. Zaczęliśmy kołysać się rytmicznie, najpierw powoli, potem coraz szybciej i szybciej...

- Proszę pana? - zabrzmiał głos kierowcy w interkomie. Wyrzałam przez okno i zobaczyłam drzewa, witryny sklepów i chodniki.

- Jesteśmy na miejscu - szepnęłam.

- Proszę się nie zatrzymywać! - wysapał Sam. Nie mogłam powstrzymać śmiechu. – Jedźmy... dokądkolwiek...

Samochód stanął, kierowca wrzucił wsteczny bieg i znów się toczyliśmy do przodu. Kołysałam się, obejmując Sama, patrząc mu prosto w oczy. Wolne z początku oddechy przyspieszały, aż szyby pokryły się parą.

- Och! - jęknął Sam. Powieki mu drżały - Och!

W ostatniej chwili, w ostatniej sekundzie, w której był jeszcze w stanie złapać oddech i zapanować nad sobą, zapytał:

- Jesteśmy bezpieczni?

Mogłam mu powiedzieć, że nic nie jest bezpieczne, niezależnie od tego, jak bardzo się uważa i jak bardzo się stara, bo zawsze może zdarzyć się wypadek - ukryta pułapka czy wnyki. Można zginąć w katastrofie lotniczej albo podczas przechodzenia przez ulicę. Małżeństwo może się rozpaść, mąż stracić pracę, dziecko zachorować albo umrzeć. Mogłam powiedzieć, że nic nie jest bezpieczne, że nasza planeta Ziemia - ładna i zrównoważona - kryje pod powierzchnią oceanów rowy tektoniczne i w każdej chwili może się zatrzęść. Nie wypowiedziałam na głos tych strasznych myśli. Szepnęłam mu do ucha krótkie słowo „tak”. Chwilę później mruknął coś, czego nie zrozumiałam. A potem wszystko ucichło, prócz naszych oddechów.

AYINDE

Właśnie minęły trzy tygodnie od powrotu Ayinde i Richarda z Julianem od kardiologa, kiedy do drzwi sypialni Ayinde zapukała Clara.

- Ktoś chce się z panią widzieć - powiedziała.

Ayinde spojrzała na nią zaciekawiona.

-Kto?

Clara wzruszyła ramionami i gestem pokazała wypięty brzuch.

- W ciąży - powiedziała po hiszpańsku.

„Ciężarna”. Ayinde czuła, jak włosy stają jej dęba na głowie. Wzięła Juliana na ręce i zeszła za Clarą na dół.

W drzwiach stała kobieta w biało-różowej opiętej sukience, zdecydowanie zbyt cienkiej jak na zimę w Filadelfii. Błede nogi znaczyły wypukłe, niebieskie żyły. Na stopach miała szpilki, palce zaciskała na drogiej, różowej torebce ze skóry. Twarz, którą Ayinde знаła z brukowców, okalały włosy koloru blond. Nie miała zimowego płaszcza, bo po co zimowy płaszcz w Phoenix?

Powietrze uszło z Ayinde jak z podziurawionej dętki.

- Claro, weź dziecko - powiedziała, podając Juliana gosposi. Kobieta, a raczej dziewczynka, stwierdziła Ayinde, stała na ganku i się trzęsła. - Czego chcesz? - spytała Ayinde, mierząc dziewczynę wzrokiem od stóp do głów. Wiedziała, że jest jej zimno, ale nie zamierzała się tym przejmować. - Richarda nie ma.

- Wiem. - Głos Tiffany był miękki i nosowy, przeciągała samogłoski. Ubranie, włosy i makijaż sprawiały, że wyglądała poważniej, ale głos miała dwunastolatki.

- Przyjechałam spotkać się z panią, Ayinde. - Wymówiła imię ostrożnie, jakby długo ćwiczyła.

- Po co?

Splotła ramiona i opuściła brodę do klatki piersiowej.

- Przyjechałam, żeby przeprosić za to, co zrobiłam. Ayinde zamrugła oczami. Przygotowywała się na szokujące wyznania, prośbę o więcej pieniędzy, ale chodziło o coś innego.

- Przykro mi - powiedziała dziewczyna.

-Jak się tu dostałaś?

-Tej nocy, gdy poznałam Richarda... - „Ładnie powiedziane” - pomyślała Ayinde.

- Zasnął, a ja przejrzałam jego telefon. Znalazłam numer do domu i w ten sposób odnalazłam adres. Pomyślałam, że przyda się, jeśli kiedyś będę go potrzebowała.

- Powiedziałabym że to było skuteczne posunięcie - stwierdziła Ayinde.

Dziewczyna przełknęła głośno ślinę.

- Więc miałam jego adres i potem... - Wzruszyła ramionami, rozpięła torebkę i wyjęła wydruk komputerowy. - Znalazłam w Internecie.

- Bystra jesteś - powiedziała chłodno Ayinde. - Rodzice muszą być z ciebie dumni.

Kobieta się trzęsła.

- Nie, proszę pani, nie są. - Uniosła brodę. - Pewnie mi pani nie uwierzy, ale nie wychowali mnie na... - Spojrzała na brzuch. - Na taką. Wstydzą się za mnie. - Znowu opuściła głowę, a słowa stały się ledwo słyszalne. - Mnie też jest wstyd.

Ayinde nie wierzyła w to, co robi, gdy otwierała szerzej drzwi.

- Wejdz, proszę.

Tiffany weszła, jakby jej nogi należały do kogoś innego i tylko wypożyczyła je na je-

den dzień. Brzuch kołysał się w rytm kroków, gdy szła za Ayinde do salonu. Usiadła na skraju kanapy. Kucharka przyniosła na tacy herbatę i ciasteczka, po czym szybko wyszła z pokoju z opuszczoną głową.

- Czego chcesz?

- Powiedzieć pani, że bardzo mi przykro - odezwała się. - Przykro mi z powodu problemów, jakie pani ma przeze mnie.

- Co ty możesz wiedzieć o moich problemach...

- Czytałam, że pani dziecko jest chore – powiedziała dziewczyna.

Ayinde przymknęła powieki. *NIEPOKÓJ O SERCE BERBECIA TOWNE'ÓW* - głosiły tytuły brukowców, a szpital przysłał list, obiecując, że zajmie się tym i znajdzie osobę, która naruszyła tajemnicę lekarską.

- Jakaś salowa straci pracę - powiedziała zrezygnowana Ayinde do Richarda. Stało się, ale przynajmniej nie było zdjęć. No i Julian był zdrowy.

- Chciałam tylko powiedzieć - zaczęła dziewczyna. Pochyliła się nad filiżanką, odstawiła spodek i potarła dłońmi o uda, zostawiając różowe ślady na skórze. - Wiem, że w moich ustach zabrzmiało to śmiesznie, ale pani mąż jest dobrym człowiekiem.

„Za to, ile będzie ci płacił, powinnaś chodzić Piątą Aleją z takim napisem na tablicy”

- pomyślała Ayinde.

- Zapytałam go, czy chciałby się jeszcze raz ze mną spotkać - wie pani, kiedy przyjechał z drużyną, ale odpowiedział: „Nie, Kocham moją żonę”. - Odchrząknęła i spojrzała na Ayinde. - Pomyślałam, że powinna pani to wiedzieć. Bardzo przepraszam za to, co zrobiłam. Chyba chciałam mieć to, co pani. Na tych zdjęciach z nim wyglądała pani na taką szczęśliwą.

Ayinde nie mogła wydobyć z siebie głosu.

- Ale on kocha panią i taka jest prawda - powiedziała Tiffany.

-Nie powstrzymałam go przed... - „Pieprzeniem” - chciała powiedzieć. - Przespaniem się z tobą.

- Wydaje mi się, że nie miał takiego zamiaru - stwierdziła Tiffany.

Ayinde poczuła narastający w gardle śmiech - dziki i piskliwy.

- Więc co? Tak wyszło?

-Mniej więcej - powiedziała ostrożnie dziewczyna. - I bardzo mi z tego powodu przykro. Przepraszam też, że rozmawiałam z dziennikarzami. To był błąd. Chyba woda sodowa uderzyła mi do głowy. - Potrząsnęła głową i znów potarła uda. - Moja matka tak mówi.

„Moja też” - pomyślała Ayinde.

-I bardzo przepraszam... - Tiffany splotła ręce i zaczęła kiwać się w przód i w tył. Ayinde patrzyła na nią i zastanawiała się, który to miesiąc i czy może spać w nocy,

czy też leży sama w łóżku i czuje ruchy dziecka. - Wiem, że popełniłam wielki błąd. Popełniłam mnóstwo błędów, ale chcę się poprawić, wie pani. Dla dziecka.

- Dla dziecka - powtórzyła Ayinde. Nie mogła uwierzyć, ale - czyżby? - współczuła kobiecie, która ją tak unieszczęśliwiła. Jej dziecko nie będzie miało łatwego życia - ni to czarne, ni to białe, na dodatek z samotną matką. Świat nie zmienił się zbyt od czasu, gdy rodzice Ayinde mówili jej, że jest pionierką. Zbyt wolno się zmieniał na lepsze.

Tiffany przetarła oczy.

- Wracam do szkoły - powiedziała słabym, drżącym głosem. - Sądzę, że z moimi umiejętnościami tanecznymi mogłabym zabłysnąć w Nowym Jorku albo Los Angeles, ale teraz... - Przycisnęła zgniecioną poduszkę do kolan. - Myślałam o socjologii? - Wypowiadane przez nią zdania intonacyjnie przypominały pytania. „Ma dwadzieścia jeden lat” - zapamiętała Ayinde.

- Myślę, że to dobry kierunek - powiedziała.

- Zastanawiałam się, czy... - Słowa wylewały się z ust Tiffany jak rwący potok. - Nie wiem, co pani o tym sądzi, ale chciałabym, żeby dziecko знаło ojca. I braciszka. Braciszka przyrodniego. Chcę, by wiedziało, że ma rodzeństwo.

Ayinde wzięła głęboki oddech.

- Czy mogłabym czasami zadzwonić? Gdy dziecko się już urodzi? Nie chcę zawracać głowy pani ani pani mężowi, ale...

Ayinde zamknęła oczy, by nie patrzeć na drżący różowy kształt, jakim była Tiffany. To zbyt wiele. Zbyt wiele, by wymagać tego od kobiety, wymagać od niej. Co powiedziałaby Lolo? Uniosłaby jedną z cieniutkich brwi, przechyliła głowę i mruknęła coś, co brzmiałoby uprzejmie, ale byłoby niszczące.

Ayinde słyszała oddech Tiffany, kanapę skrzypiącą, gdy przenosiła ciężar ciała. Przypomniała sobie nachylające się nad nią twarze rodziców, gdy leżała w osłoniętym baldachimem łóżku. Mówili jej, jaką jest szczęśliwą dziewczynką, że może tak dostatnio żyć, chodzić do takiej dobrej szkoły i jeździć na wakacje w piękne miejsca. I że jej obowiązkiem, jako szczęśliwej dziewczynki, jest być miłą dla tych, którzy nie mają tyle szczęścia. Pamiętała, jak uczyli ją, żeby zawsze miała w kieszeni kilka dolarów dla bezdomnych, śpiących pod ich budynkiem; żeby niedokończone jedzenie pakowała w pudełeczko i zostawiała przy metrze, bo zawsze znajdzie się ktoś biedny i głodny. „Musisz być dzielna, bo masz szczęście” - mówiła Lolo. Wciąż miała szczęście... ale czy umiała być dzielna?

- Przepraszam - powiedziała Tiffany, gdy milczenie przeciągało się zbyt długo. - Chyba nie powinnam była przyjeżdżać. Tylko... trochę się boję, chyba tego, że zostanę matką... Wiem, że powinnam pomyśleć o tym wcześniej... - Zamilkła. - Matka nie

chce ze mną rozmawiać - powiedziała spokojnie. - Mówi, że sama wpakowałam się w kłopoty i sama muszę się z nich wykaraskać. Mówi, że to wszystko moja wina... to, co zrobiłam.

Ayinde słyszała, jak dziewczyna z trudem przełyka ślinę. Słyszała Juliana gaworzącego na górze z Clara. Wydawał dźwięki, które czasami brzmiały jak prawdziwe słowa, niekiedy jak chińszczyzna, a jeszcze innym razem jak jego własny język. Serduszko Juliana ostatecznie się wyleczy, tak powiedzieli im lekarze. Ayinde nie mogła w to uwierzyć. „Można żyć normalnie z dziurą w sercu?” Doktor Myerson wrzucił drwiąco ramionami. „Byłaby pani zaskoczona, z czym ludzie mogą żyć” - powiedział.

- Tiffany?

- Tak? - odpowiedziała skwapliwie dziewczyna.

- Myślę, że czułabym się nieswojo, gdybyś tu przyjeżdżała.

- Domyślam się - powiedziała ze smutkiem. - Sama też bym się tak czuła.

- Ale mogłabyś mi dać swój numer telefonu - zaproponowała Ayinde. - Zadzwoń-labym.

- Naprawdę? Zadzwoń-laby pani do mnie?

- Zadzwoń - powiedziała. - Dbaj o siebie, dobrze? Dbaj o dziecko.

- Dziękuję! - odparła dziewczyna. - Tak bardzo pani dziękuję.

- Nie ma za co - powiedziała Ayinde.

Gdy Tiffany wyszła, Ayinde powoli wróciła na górę. Clara kołysała Juliana w ramionach. Podała go bez słowa matce. Ayinde kołysała go i całowała w policzki. - Będiesz miał przyrodniego braciszka albo siostrzyczkę - powiedziała. Zagruchał i złapał jej kolczyk. Zamknęła oczy. „Masz w życiu szczęście” - powtarzali rodzice. Stwierdziła, że to może być prawda.

BECKY

Przez kilka lat od ślubu Adrew i Becky, a także w czasie ich krótkiego rodzicielstwa, Mimi Breslow Levy i in. nigdy nie przysłała listu.

Telefony, owszem. E-maile - wiele z nich zatytułowanych PILNE i oznaczonych czerwonym wykrzyknikiem - jak najbardziej. Setki faksów, dziesiątki paczek dla A. Rabinowitz. Ale nigdy nie dostali od niej prawdziwego, napisanego piórem na papierze listu, aż do czwartkowego popołudnia, gdy Becky wróciła do domu i zastała Andrew siedzącego na kanapie i wpatrującego się ponuro w dwie gęsto zapisane kartki.

- Co to? - zapytała. „Złe wieści” - pomyślała, wnioskując z wyrazu jego twarzy.

- Od Mimi - powiedział niewyraźnie. - Wyrzeka się nas i postanowiła wydziedziczyć. Píše, że nie chce nas więcej widzieć.

Olbrzymim wysiłkiem Becky zdołała stłumić pierwszy odruch i powstrzymała się przed szaleńczymi płasami i zaśpiewaniem na całe gardło: „Powróciły szczęśliwe dni”.

- Co masz na myśli?

Bez słowa wziął Avę z jej ramion i wręczył Becky list. Usiadła na kanapie i zaczęła czytać.

Andrew/

Nie wiem, czy potrafię znaleźć słowa, by wyrazić, jak bardzo zraniło mnie Wasze postępowanie w ciągu ostatnich miesięcy. Najwyraźniej Ty i Twoja żona stwierdziliście, że nie chcecie, bym była częścią Waszego życia i bym spotykała się z moją wnuczką. Nie mam pojęcia, co takiego zrobiłam, że tak zadecydowaliście...

- No nie, proszę - mruknęła Becky i spojrzała ukradkiem, na Andrew, który siedział na kanapie i wyglądał, jakby stracił dużo krwi.

.. jednak od początku Waszego małżeństwa, a zwłaszcza od czasu, gdy urodziła się moja wnuczka, w uwłaczający sposób nie okazujecie mi za grosz szacunku.

Zawsze starałam się robić to, co dla Ciebie najlepsze, nawet jeśli nie było to łatwe albo odbywało się moim kosztem. Poświęciłam własne pragnienia, byś tylko miał to, czego chciałeś, czego potrzebowaleś.

„Co takiego poświęciła?” - zastanawiała się Becky. Z tego, co zdążyła zaobserwować w zachowaniu Mimi, to we wszystkich jej poczynaniach było ty ci-ty ci poświęcenia i bardzo dużo realizacji jej zachcianek, a wszystko przybrane niewypowiedzianym „zasługuję na szacunek” i ciągłym wywoływaniem poczucia winy u innych na deser.

Czytała dalej. *Twoje zachowanie jest najzwyczajniej w świecie haniebne. Rozczarowałeś mnie jako syn.*

-Andrew, to absurdalne! - powiedziała Becky. Zacisnął usta i milczał. - Jesteś wspaniałym synem! Jesteś dla niej taki dobry, cierpliwy, uprzejmy i szczodry. Jesteś znacznie lepszy, niż jakikolwiek inny człowiek byłby w takiej sytuacji. Byłeś miły, przytulałeś ją...

- Przeczytałaś do końca? - zapytał.

Becky pobieżnie przebiegła wzrokiem ostatnie akapity.

Wydziedziczam Was... prawnicy się skontaktują... odepchnęliście mnie... ośmieszycie Boże Narodzenie, które, powinieneś to wiedzieć, jest dla mnie bardzo ważne... Nie chcę mieć już nigdy do czynienia z żadnym z Was. Następne zdanie odebrała jak policzek: Odrzuciłeś mnie dla swojej żony i jej prostackiej rodziny, która nie wie jak

zachować się w dobrym towarzystwie...

Oj! Becky złożyła list, a Andrew się wyprostował.

- Wiesz co? - powiedział. - Może powinniśmy pozwolić jej odejść.

Mrugnęła oczami i otworzyła usta.

-Co?

Wstał i zaczął przechadzać się po pokoju, przyglądając włosy dłońmi.

- Masz rację. Jest okropna. Jest okropna dla mnie, dla ciebie, a gdy nie ma nas w pobliżu, pewnie dla Avy też. - Wyjął list z dłoni Becky i włożył go do koperty z taką siłą, że się rozerwała. - Chce nas wydziedziczyć? W porządku. Krzyżyk na drogę! Będzie nam lepiej bez niej.

Becky przymknęła oczy. Marzyła o tym, śniła i modliła się o to, a teraz miała wszystko podane na srebrnym półmisku. Dlaczego więc nie odczuwała triumfu?

- Andrew - powiedziała.

- Słucham? - odezwał się, składając kopertę i wpychając ją do kieszeni.

- Może powinniśmy to przemyśleć?

- O czym tu myśleć? - zapytał. - Jest wymagającą, zachłanną intrygantką...

- Ale jest babcią Avy - powiedziała Becky, niedowierzając, że te słowa płyną z jej ust. - I kimś jeszcze. - Poklepała się po brzuchu. - Jest także babcią tego dziecka.

Mąż wpatrywał się w nią, jakby wyrosła jej druga głowa.

- Stajesz w obronie Mimi?

- Nie, oczywiście, że nie. Masz rację. Zrobiła dużo złego, a mówienie, że rozczarowałeś ją jako syn, jest niewybaczalne. Ale... - „Dobry Boże” - pomyślała - „co ja robię?” - Żal mi jej - powiedziała. - Wyobraź sobie, jaka byłaby samotna, gdyby nie miała nas i nie mogła się nad nami pastwić.

Andrew zmrużył oczy

- Stałaś się masochistką?

Podala mu słuchawkę.

Zadzwoń do niej - powiedział. -Musimy to jakoś rozwiązać.

Mimi raczyła się zgodzić na spotkanie w niedzielne popołudnie. Trzy dni po otrzymaniu listu Becky i Andrew zostawili Avę z Lią i wybrali się do Merion, długą, krętą drogą, prowadzącą do pomniejszonej wersji Tary. Mimi nie zareagowała na dzwonek u drzwi, a gdy Andrew otworzył je swoim kluczem i weszli do środka, ujrzeli ją, siedzącą w delikatnym, złożonym fotelu, w kaszmirowej bluzce bez pleców i rękawów, z zadartą głową.

- Nie zamierzam - zaczęła, wskazując na Becky i unosząc nos, jakby wywąchała coś cuchnącego - rozmawiać z nią.

- Moja żona ma imię - powiedział Andrew.

Mimi patrzyła na niego, jakby przyglądała się robakowi pod mikroskopem.

- Nie mam nic do powiedzenia żadnemu z was. - Becky z trudem powstrzymywała śmiech. Królowa Mimi, wielka dama królestwa, które istniało tylko w jej wyobraźni. - Jedynym powodem, dla którego zgodziłam się z wami spotkać, jest chęć widywania się z moją wnuczką.

- Twoją wnuczką Avą - powiedział Andrew.

Becky ścisnęła go za kolano.

-Byłam znieważana - powiedziała Mimi, wysuwając w ich stronę jeden palec. - Zastraszana. Ośmieszana. Jestem dla was bardziej niż hojna - powtórzyła na wypadek, gdyby to umknęło im za pierwszym razem. - A za moją hojność odpłacacie mi niewdzięcznością. Zawiodłam się na tobie, synu - zakończyła tę część wypowiedzi. - A ty - dodała, przeszywając Becky wzrokiem i najwyraźniej zapominając, że nie miała jej nic do powiedzenia - nie miałaś prawa tak ze mną rozmawiać. To niewybaczalne, poniżej wszelkiej krytyki. - Wypowiadając te słowa, wstała.

- Powinam była upiec tę głupią szynkę - mruknęła Becky, po czym odezwała się głośnie: - Mimi, wróć tutaj. Usiądź. Mimi nie zwołała kroku. - Jeśli nie chcesz zrobić tego dla mnie ani dla Andrew, zrób to dla Avy - Becky przełknęła z trudem i zmusiła się do wypowiedzenia tych słów: - twojej wnuczki.

Cisza zdawała się ciągnąć w nieskończoność. Zakończył ją dźwięk wydany przez odwracającą się na pięcie Mimi.

- Co? - rzekła zimno.

Becky nie przygotowała mowy. Mogła tylko siedzieć cicho u boku Andrew.

- Pozwól mi mówić - zazwyczaj prosił przedtem jej mąż i ona się godziła, bo jedno było dla niej jasne - nie miała zielonego pojęcia, co się dzieje w głowie Mimi i co z tego można zrozumieć. Natomiast Andrew mógł sobie z nią poradzić, nawet wykorzystując wciąż tę samą, zużytą strategię: „Daj jej, czego chce”. Jednak w tej chwili Andrew nie mógł lub nie chciał mówić, co rozłożyło Becky na łopatki.

Spojrzała na znów siedzącą i wpatrującą się w nich Mimi. Kobieta, która zniszczyła ich wesele, znieważyla ją i jej rodzinę, traktowała lekceważąco matkę Becky, wpędzała w poczucie winy Andrew, ubierała wnuczkę jak małą ladacznicę. Wciągnęła głęboko powietrze. „Poczuj związek z każdą żywą, wzrastającą istotą” - przypomniała sobie, co mówiła Theresa podczas zajęć jogi, gdy wraz z przyjaciółkami oczekiwały na narodziny swoich dzieci. Oddychając powoli, starała się nie widzieć siedzącej przed nią kobiety z wystającymi kośćmi, czarnymi włosami, z jej groźbami, żądaniami i pretensjami. Zamiast tego wyobraziła sobie Mimi jako dziecko, Mimi wielkości Avy, stojącą w łóżeczku, płaczącą, małymi rączkami trzymającymi się kurczowo szcze-

belków. Zanosząc się płaczem, bo nikt nie przychodził, by ją wziąć na ręce i utulić.

Obraz stał się tak wyraźny, że Becky mogła niemal go dotknąć - przemoczonej pieluszki, mokrej piżamki, łez na twarzy Mimi - dziecka. Słyszała też płacz - pełen oburzenia i przekonania o własnej racji ton, do jakiego przyzwyczała ją Mimi... ale że był to ton płaczącego dziecka, odbierała go inaczej. Wyobraziła sobie zapłakaną twarz małej Mimi, drżące usteczka, chwilę ciszy, a po niej kolejne wybuchy płaczu. Płakała i płakała, lecz nikt nie przychodził z pomocą.

- Przykro mi - powiedziała Becky. I rzeczywiście było jej żal dziecka. Gdzie podzieli się jego rodzice? Andrew niewiele mówił o ojcu i matce Mimi. Umarli, nim on się urodził, gdy Mimi była nastolatką, na rok przed pierwszym z wielu jej małżeństw. Ojciec Mimi błyskawicznie odniósł ogromny sukces finansowy i równie szybko wszystko stracił - złe inwestycje, wspólnik, który go oszukał, jakieś malwersacje. I odsiadka w więzieniu. Ale czy dziadka, czy wspólnika? Tego Andrew nie był pewien. Matka Mimi była dziwna. „Jak to dziwna?” - zapytała Becky, a Andrew potrząsnął głową, wzruszył ramionami i powiedział, że Mimi z pewnością nie należy do tych, którzy potrafiliby to rzetelnie objaśnić, i że raczej nie będą wiedzieli, jak to naprawdę było. Mogli jedynie wnioskować, obserwując zasiadający przed nimi dowód, sugerujący dotkliwe szkody. Jak to ujęła Lia kilka miesięcy wcześniej: „Jest taka, jaka jest, bo ktoś ją skrzywdził”.

Becky uniosła wzrok.

- Przepraszam - powiedziała.

Mimi wpatrywała się w nią, gotowa do ataku.

- Co ty powiedziałaś? - zapytała piskliwie.

Becky patrzyła na nią, ale jej nie widziała. Przed oczami wciąż miała malutką dziewczynkę porzuconą w łóżeczku. „Chodź do mnie, malutka” - powiedziałyby do niej i wzięła ją w ramiona, tak jak robiła to tysiące razy z Avą. Przewinęłyby ją, przebrała, nakarmiła i uspokoiła, śpiewając: *Aaa, aaa, były sobie kołki dwa*.

Andrew tak mocno wbił palce w jej kolano, że była pewna, iż zrobi jej siniaki. Becky usiłowała wyobrazić sobie ptaki ze złamanymi skrzydłami, psy ze strzaskanymi łapkami i szlochające w łóżeczku dziecko, wołające rodziców, którzy nie przychodzili. Zastanawiała się, jak by to było dorastać bez poczucia, którego potrzebuje każde dziecko: „Gdy ktoś mnie skrzywdzi, gdy jest mi zimno albo się boję, ktoś przyjdzie i się mną zaopiekuje”. I w jaki sposób brak takiej pewności może sprawić, że masz ciągle pretensje do tych, których kochasz, i że za każdym razem, gdy chcesz się do nich zbliżyć, odpychasz ich. W tej chwili z pełną świadomością wypowiedziała słowa przeprosin:

- Przepraszam, jeśli zbyt emocjonalnie zareagowałam na sprawę Bożego Narodze-

nia - powiedziała. - Teraz widzę, że to dla ciebie bardzo ważne.

Mimi otwierała i zamykała usta jak ryba.

- Nie sędę, bym kiedykolwiek przyzwyczała się do choinki w swoim domu, ale w przyszłym roku z przyjemnością pomogę ci przygotować świąteczny obiad tutaj - stwierdziła. - Masz więcej miejsca. I dwie kuchenki.

-Ja... ty... i tak przegapiliśmy już pierwsze Boże Narodzenie mojej wnuczki - powiedziała Mimi. Ścisnęła zadbanymi dłońmi poręczę fotela. Wyglądała na zdezorientowaną, małą, starą i skrajnie nieszczęśliwą. - Odwiedziliście swoją matkę!

- Tak - powiedziała spokojnie Becky. - Ale to nie oznacza, że nie zależy nam na tobie. Ava może obchodzić swoje pierwsze Boże Narodzenie w przyszłym roku - proponowała. Podkurczyła palce u nóg i desperacko starała się wciąż mieć przed oczami obraz malutkiej Mimi, powtarzając sobie w myślach, że bardzo została w dzieciństwie skrzywdzona i nie wie, jak bardzo sama ich krzywdzi. - Andrew i ja wiemy, jak bardzo kochasz Avę - powiedziała. - Jest szczęściarą, że ma taką babcie.

Mimi schyliła głowę. Becky obserwowała dłonie kobiety zaciśnięte na poręczach. Chwilę później ujrzała coś, czego w życiu nie spodziewała się zobaczyć. Mimi zatrzepotała rękami. Uniosła jedną dłoń do twarzy i odsunęła ją, wpatrując się w kropelkę na palcu, jakby nie wiedziała, co to jest i skąd się wzięło. Becky zastanawiała się, jak dawno Mimi płakała ostatni raz naprawdę, a nie krokodylimi, teatralnymi łzami.

- Muszę poprawić makijaż - powiedziała pośpiesznie i zerwała się z fotela.

- Dobrze! - zawołała Becky za nią. - Szczęśliwego Nowego Roku! - A potem, żeby nie kusić losu, pociągnęła za sobą Andrew i wyszli.

Było zimno, ale słonecznie i chłodny wiatr owiewał policzki Becky, gdy szli po śliskiej werandzie do samochodu.

- Co to było? - zapytał Andrew. Był oszołomiony jak człowiek, który związany i zakneblowany oczekiwał serii z karabinu maszynowego, a tymczasem wyleciały z niego kule z gumy do żucia.

- Nie wiem. Dobroć serca? - uśmiechnęła się.

- Dobroć serca - powtórzył Andrew.

- Nie powinieneś być taki zaskoczony. Przecież wiesz, że mi jej żal. - Chwyła Andrew za ramię, by nie poślizgnąć się na łacie lodu. - Musi czuć się taka samotna. I pewnie nie ma zielonego pojęcia, jakie są małe dziewczynki i czego chcą, dlatego wciąż kupuje Avie te dziwaczne ubranka...

- Co takiego?

No nie.

- No wiesz, te ciuszki z napisami SEXY i różne takie.

- Pewnie myśli, że to jest modne.

- Żal mi jej, naprawdę - powiedziała Becky. Andrew otworzył drzwi i pomógł żonie usiąść na fotelu pasażera. - Chyba myślałam o moich przyjaciółkach. Jeśli Ayinde może wybaczyć Richardowi i rozmawiać z tą dziewczyną z Phoenix. A Lia... - Westchnęła i schyliła głowę. - Mamy całkiem nieźle, wiesz? - Ziewnęła i wyciągnęła się na fotelu. - Oczywiście nie krępuj się i przypominaj mi o tym za każdym razem, gdy zrobi coś skandalicznego. - Jednak nawet wypowiadając te słowa, nie była pewna, czy to się jeszcze kiedykolwiek wydarzy. Przypuszczała, a może nawet miała nadzieję, że cała ta walka zakończy sprawę nieporozumień z teściową.

A może było to zbyt piękne marzenie. Może pewnego dnia, albo w jakieś święto, znów zaczną nakręcać się spirala wzajemnych oskarżeń i złości. Być może Mimi będzie ich utrapieniem do dnia swojej śmierci. Becky doszła jednak do wniosku, że w tak szczęśliwym życiu odrobina utrapienia nie zaszkodzi. To było jak chrzan na świątecznym półmisku, gorycz uświadamiająca, jakie piękne potrafi być życie.

Andrew wjechał na autostradę.

- Więc zamierzasz w przyszłym roku przygotować obiad bożonarodzeniowy?

- Czemu nie? - odparła Becky. - Nie umrę od upieczenia szynki, jeśli tak bardzo jej na tym zależy. A jeśli chodzi o rzeczy, na których nam zależy, na przykład dokąd jedziemy na wakacje, gdzie mieszkamy, na co wydajemy pieniądze, jak nazywamy nasze dzieci...

- Co zrobimy? - zapytał. - Będziemy kłamać?

- Będziemy mówić to, co musi wiedzieć - powiedziała. - A potem zrobimy tak, jak chcemy. Najlepiej dla nas i dla Avy. - Poklepała się po brzuchu. - I dla fasolki.

- Dla fasolki. - Uśmiechnął się promiennie do Becky. - Kiedy powiemy jej, że spodziewamy się dziecka?

- Poczekajmy chwilę, dobrze? - Niezależnie od tego, jak zmienił się jej stosunek do Mimi, wiedziała, że pięć i półmiesiąca pytań o dietę, przyrost wagi i dlaczego jeszcze karmi, choć to niezdrowe, byłoby ponad jej siły.

- Uważam, że jesteś niesamowita - powiedział Andrew. Odchrząknął. - W dniu, gdy urodziła się Ava, myślałem, że już nigdy nie będę kochał cię mocniej niż wtedy, ale tak nie jest. - Przyniósł się do niej, dotknął twarzy i pocałował. - Zdziwiasz mnie.

- Ja też cię kocham - szepnęła. Odchyliła fotel i włączyła ciepły nadmuch na kolana. - Jestem taka zmęczona - powiedziała, ziewając.

- Prześpij się - zaproponował i jeszcze raz odchrząknął. - Dziękuję, gdybym później o tym zapomniał. Bardzo dziękuję.

- Nie ma za co - odparła. Złożyła dłonie na brzuchu i zamknęła oczy. Sama nie

wiedziała, kiedy zasnęła. Obudziła się, gdy Andrew parkował pod domem.

-Andrew?

-Tak? - zapytał, patrząc przez ramię do tyłu.

- Myślisz, że będziemy dobrymi rodzicami?

Zaparkował samochód i spojrzał na żonę.

- Uważam, że już jesteśmy.

KELLY

W dwudziestym trzecim dniu separacji Kelly otworzyła skrzynkę na listy i znalazła tam dwa rachunki, upomnienie z biblioteki i kopertę z egzemplarzem magazynu „Power”.

Poszła na górę i usiadła z pocztą na kolanach. W tym czasie Oliver raczkował po podłodze, ciągnąc za sobą piszczącą małpkę.

- Ba! - wołał. - Ba! - Odwrócił się, by na nią spojrzeć. Pomachała mu, zachęcając, by przyszedł do niej, i próbowała się uśmiechnąć. - Ba! - krzyknął i ruszył do przodu. Otworzyła kopertę. Pismo wyslizgnęło się i na okładce zobaczyła siebie, w obrzydliwym lawendowym sweterku, z pieluszką na ramieniu, stojącą przed szafką, po kolana w gruzowisku, które było jej życiem. Spod starannego makijażu i ułożonej fryzury przebijało oszołomienie. Oszołomienie i umęczenie. *Godzenie obowiązków?* - głosił napis na okładce. *Dlaczego pracująca kobieta nie ma szans.*

Przymknęła oczy i magazyn zsunął się na podłogę. Natychmiast pojawił się Oliver i chwycił go tłustą rączką. Złapała pismo, odsunęła i wyjęła z buzi Olivera formularz prenumeraty. Otworzyła na stronie zaznaczonej przez Amy Mayhew papierkiem. Zobaczyła przyklejoną wiadomość. *Droga Kelly! Dziękuję bardzo za pomoc przy artykule. Zdajesz sobie pewnie sprawę, że nie jest do końca laurką, jakiej spodziewali się wydawcy, ale uważam, że to, co w końcu napisałam, jest znacznie bardziej prawdziwe i szczerze, dzięki czemu może okazać się pomocne dla następnego pokolenia kobiet.*

- Pomocne - powiedziała i zaśmiała się z cicha. Posadziła dziecko w wysokim krzeselku, otworzyła słoiczek z płatkami owsianymi i brzoskwiniami dla niego i drugi dla siebie. Potem przeczytała pierwsze zdanie tekstu, poniżej pogrubionej linijki w cudzym słowie. Minęła chwila, nim zorientowała się, że to jej własne słowa: „JEST ZNACZNIE TRUDNIEJ, NIŻ KIEDYKOLWIEK PRZYPUSZCZAŁAM”.

Kelly poczuła, że jej oczy mimowolnie kierują się na szafkę kuchenną, w której trzymała wódkę i szkocką. Ładna szklaneczka napełniona mocnym alkoholem, a do tego na przykład lek przeciwbólowy, który został jej po cesarskim cięciu - nikomu nie

zaszkodzi. Zrobiła to pierwszego wieczoru po odejściu Steve'a, kiedy nie mogła dozwonić się do Ayinde, Becky ani Lii, a nie potrafiła przestać płakać. Jednak od wódki i silnych środków przeciwbólowych tylko jeden krok do burbona z colą. Bardzo nie chciała pójść tą drogą, ale zaczynała rozumieć, dlaczego jej matka tak skończyła. Gdy życie sprawia ci wielki zawód, kołowrót pracy i opieki nad dzieckiem kręci się coraz szybciej, a przy tobie nie ma nikogo, kto by cię kochał, kto powiedziałby, że dobrze sobie radzisz, burbon z colą z pewnością są kuszące.

Westchnęła i zaczęła czytać.

Wszystko wskazywało na to, że Kelly O'Hara Day będzie miała świat u swoich stóp.

- Tak powinno być - mruknęła Kelly, wkładając do ust łyżeczkę słodkiego przecieru.

- Giii! - krzyknął Oliver.

Dała mu trochę z jego słoiczka i czytała dalej.

Absolwentka ekonomii Uniwersytetu Pensylwanii. Obiecująca kariera w branży finansowej, potem sukcesy w organizowaniu ekskluzywnych przyjęć. Małżeństwo z młodym geniuszem z Wharton. jednak dziecko wszystko skomplikowało.

- Och, to nieprawda - powiedziała Kelly, podając Oliverowi porcję płatków owsianych z brzoskwiniami. - To nie twoja wina. Nawet tego nie czytaj, kochanie. Prasa kłamie.

O'Hara Day wróciła do pracy po dwunastu tygodniach urlopu macierzyńskiego. Na początku wszyscy byli podekscytowani - szefowa, klienci, sama Day, która zamierzała pracować i w tym samym czasie wychowywać synka, Olivera.

Jednak po trzech miesiącach od powrotu do pracy nic nie szło zgodnie z planem. Współpracownicy i klienci narzekają, że dwudziestosiedmioletnia O'Hara Day jest roztargniona i rozkojarzona, nieobecna duchem i trudno osiągalna.

Kelly zamknęła oczy. Wiedziała, że nie wykonuje swojej pracy doskonale, że opuściła zbyt wiele połączeń konferencyjnych z klientami lub uczestniczyła w nich, podczas gdy Oliver siedział w hopserze (co często kończyło się Oliverem na jej kolanach albo Oliverem płaczącym jej do ucha, próbującym obgryźć kabel od telefonu, ciągnącym ją za włosy lub robiącym obie rzeczy naraz). Było też oczywiście to pechowe przyjęcie u Dolores Wartz i mało uroczysta brudna pieluszka Olivera. Jednak nic nie bolało tak bardzo jak przeczytanie czarno na białym, co jej współpracownicy o niej myślą.

W kontakcie osobistym O'Hara Day, drobna, pełna werwy blondynka, jest miła i otwarta i po dziesięciu minutach rozmawiamy jak przyjaciółki. Jednak gdy przyrzuć się jej bliżej, wygląda jak kobieta na krawędzi załamania nerwowego - prze-

męczona i wyczerpana, zależna od opiekunki i męża, który siedzi w domu, by umożliwić jej powrót do pracy. „Jest znacznie trudniej, niż kiedykolwiek przypuszczałam” - mówi, siedząc w salonie, który swój doskonały wygląd zawdzięcza temu, że bałagan z kilku miesięcy został ukryty za drzwiami szafy. A jeśli O'Hara Day, z doświadczeniem zawodowym i dyplomem ukończenia jednego z najlepszych uniwersytetów w kraju, nie potrafi połączyć pracy z prowadzeniem domu, można przypuszczać, że podobnie jest w przypadku innych matek i że trzydzieści kilka lat po tak zwanej rewolucji feministycznej miejsca pracy nie stały się bardziej przyjazne dla kobiet, które pójdą w jej ślady.

Kelly wytarła Oliverowi brodę. Stwierdziła, że nie obchodzą ją kobiety, które pójdą w jej ślady. Nie obchodziło ją też, jak idiotycznie wygląda na zdjęciu i że jej współpracownicy naopowiadali Amy Mayhew niemiłych rzeczy na jej temat. Była zbyt wyczerpana, zbyt przepracowana i zbyt zmęczona, by się tym przejmować.

- Wiesz, o co powinny martwić się kobiety idące w moje ślady? - zapytała Olivera. - Że ich mężowie stracą pracę. - A o co chodziło z tymi bzdurami: „pełna werwy blondynka”? Jakby jakikolwiek mężczyzna w historii został w ten sposób opisany. I „rozmawiamy jak przyjaciółki”? „Chciałabyś, Amy Mayhew” - pomyślała. „Moje przyjaciółki nie wbijają mi noża w plecy”.

Następne półtorej godziny czuła się jak we mgle - wykąpała dziecko, ubrała je w piżamkę, przeczytała *Ciekawskiego George'a* (Oliver stukał w kartki i próbował zjeść okładkę), nakarmiła go, ukołysała, włożyła do łóżeczka, w którym przez dziesięć minut przeżył się i miotał, co stało się w ostatnim czasie jego zwyczajem, nim w końcu zasnął. Potem usiadła w bujanym fotelu i położyła stopy na dywanie z wizerunkiem postaci z bajki. Pościel w czerwono-białą kratkę pasowała do narzuty, abażuru i draperii z wymalowanym imieniem jej synka, kocyków i sweterków, poskładanych i schowanych. Wszystko wyglądało doskonale. Dokładnie tak, jak wyobrażała to sobie, gdy jeszcze będąc w ciąży, siedziała i bujała się w fotelu. Ale żart.

Nie mogła nadal pracować dla Eventives, to było jasne. Nie teraz, kiedy nazwali ją, jak to było? „Roztargniona i rozkojarzona”. Oczywiście anonimowo. Tchórze, nie mieli na tyle odwagi, by podpisać się pod tymi obelgami. Ale jeśli przestanie pracować, nie będą mogli zatrzymać tego mieszkania. Nawet jeżeli Elizabeth będzie chciała wypłacić jej odprawę i ekwiwalent za urlop, którego nigdy nie wykorzystywała, po opłaceniu ubezpieczenia zdrowotnego i kosztów związanych z samochodem w ciągu kilku miesięcy zabraknie na czynsz.

Więc się wyprowadzą. Znajdzie coś tańszego, a potem nową pracę. Pewnie na cały etat, bo wiadomo już było, że pół etatu to fikcja, a poza tym, jeśli miała sama utrzy-

mywać Olivera, i tak by nie wystarczyło.

Może Becky by ją zatrudniła, skoro Lia wraca do Los Angeles. Albo pomogła jej coś znaleźć. Mogłaby być konsultantem w branży restauracyjnej, tworzyć biznesplan, badać, jakie otoczenie jest odpowiednie dla danego typu lokalu. Kelly miała właśnie zamiar wstać z fotela i sięgnąć po notes, by zacząć zapisywać pomysły, ale stwierdziła, że nie może. Nie miała energii. Nie miała motywacji. Czuła się jak zabawka z wyladowanymi bateriami.

Z zamkniętymi oczami odszukała po omacku telefon i wykręciła z pamięci numer.

- Halo - odezwała się Mary. - Kelly, to ty? Co się stało?

Kelly kołysała się w przód i w tył.

-Tak.

Połączę się z dziewczynami - powiedziała Mary. Kelly usłyszała trzask w słuchawce. Po minucie były już w pięć - Doreen w New Jersey, Maureen w San Diego i Terry w Vermoncie.

- Co się dzieje? - zapytała Terry.

-Chodzi o Steve'a - odparła Kelly. - A w zasadzie o wszystko.

Po raz pierwszy jej siostry nie śmiały się z niej.

- Powiedz, co się stało - zaproponowała Mary.

- Steve odszedł. - Przerażająca cisza. - Stracił pracę.

- Wiedziałam! - zapiszczała Terry.

- Terry, to nie zmienia sytuacji - upomniała ją Doreen.

- Kiedy? - zapytała Terry.

- Nim Oliver się urodził - powiedziała Kelly.

Wszystkie jęknęły.

- Było mi bardzo ciężko - wyznała Kelly. - Pracowałam i jednocześnie zajmowałam się dzieckiem, a Steve... nawet nie wiem, co robił.

- Steve jest nieudacznikiem - stwierdziła Mary.

- Zabijmy go! - zaproponowała Terry.

- Terry, zamknij się - powiedziała Mary.

- Nie jest nieudacznikiem - odezwała się Kelly. Kołysała się jeszcze szybciej, wiedząc, że nie będzie łatwo. - Wydaje mi się, że po prostu nie jest stworzony do pracy w dużej firmie. Chyba chciał być nauczycielem, a ja mu nie pozwoliłam. - Ścisnęło ją w gardle. - Chciał pomagać mi przy Oliverze, ale też mu nie pozwalałam. Myślałam, że tylko ja potrafię się nim dobrze zajmować.

- Niemożliwe - powiedziała sarkastycznie Mary. - Nie ty.

- Proszę, nie śmieć się ze mnie - poprosiła Kelly, wycierając oczy. - Proszę.

-Przepraszam. - Słowom Mary towarzyszył dudniący śmiech. - Przepraszam.

Kelly ścisnęła mocno słuchawkę, starając się wyobrazić sobie twarze sióstr.

- To okropne. Byłam tak wściekła na Steve'a i taka zmęczona i... - zamknęła oczy.
- Myślałam, że wszystko dobrze zaplanowałam.
- Zawsze tak myślałaś - odparła Mary, ale w jej głosie nie było krytyki, jedynie smutek. - Potrzebujesz pieniędzy?
- A może chciałabyś na jakiś czas zamieszkać u nas, żeby odpocząć? Mamy pokój gościnny,
- Gdzie jest Steve? - zapytała Doreen.
- Wyjechał - powiedziała Kelly. - Zniknął.
- Więc go znajdziemy! I zabijemy! - powtórzyła Terry z zapalem.
- Kiepskie rozwiązanie, Terry, Oliver potrzebuje ojca - stwierdziła Doreen. Mary burknęła coś, podpisując się pod tym stwierdzeniem.
- Powinnaś do niego zadzwonić - powiedziała.
- Wiem - mruknęła Kelly. Nie chciała tego słyszeć, ale wiedziała, że tak powinna zrobić. - Zadzwonię, a potem co?
- Powiesz, że przepraszasz - poradziła Maureen.

Kelly poczuła, że narasta w niej złość. „Za co? Przepraszam, że nas utrzymywałam? Przepraszam, że płaciłam rachunki?”

- Musisz pozwolić ludziom być takimi, jakimi chcą być - powiedziała Terry. - Nawet jeśli jest to niezgodne z twoimi wyobrażeniami na ich temat.
- Głęboka myśl, Terry - stwierdziła Kelly.
- Wiem! - W głosie Terry brzmiało zadowolenie. - Tak jak wtedy w lecie, kiedy chciałaś, żebym pracowała z tobą w Scoops, a ja chciałam być wychowawczynią na obozie. Dokładnie tak!
- Mniej więcej - powiedziała Mary.
- Jeśli nas potrzebujesz, jesteśmy tu - oświadczyła Maureen. - Dla nas nie musisz być doskonała. - Przerwała. - Tylko w bajkach każde zakończenie jest takie samo: *Żyli długo i szczęśliwie Kay-Kay.*
- Ale muszę spróbować - powiedziała Kelly, wiedząc, że mówi nie tylko do sióstr, ale także do siebie. A Terry, najmłodsza z sióstr, odpowiedziała za wszystkie:
- Tak - stwierdziła. - Musisz spróbować.

Mary zgodziła się zaopiekować Oliverem w sobotnie popołudnie. Steve czekał przy drzwiach kawiarni, w której kiedyś pociła się i klęła nad kiepskim laptopem. Kelly

przeniosła się w myślach do czasów, gdy zobaczyła go po raz pierwszy, w niepasujących do miejsca i sytuacji garniturze i krawacie, nachylającego się nad nią przy barze. Zauważyła, że tego dnia nie założył garnitur. Miał na sobie niebieski sweter, którego nie rozpoznawała, spodnie khaki i ciężkie buty, całe oblepione śniegiem.

- Cześć - powiedziała.

Podniósł wzrok. Miał niezgłębiony wyraz twarzy.

- Cześć, Kelly. - Odchrząknął. - Dobrze wyglądasz.

„Wcale nie” - chciała powiedzieć. „Nic nie jest dobrze”.

Minęło pięć tygodni od chwili, gdy odszedł, a ona tak bardzo za nim tęskniła, że przez cały czas bolała ją głowa. Przez długie miesiące chciała, żeby zniknął, albo wymyślała sposób, jak by go zabić, żeby wyglądało to na wypadek przy goleniu. Nie musiałyby już zbierać brudnych naczyń, podnosić z podłogi butów i chować ich do szafki, mogłyby sprzątać tylko po Lemonie i Oliverze. Nie myślała wtedy o ciszy, jaka zapadała, gdy Oliver zasypiał. Nie spodziewała się, że w mieszkaniu słyhać będzie szelest papieru, gdy przerzucała stronicę zostawionej przez matkę Biblii.

„Spróbuj” - przypomniała sobie radę sióstr. „Musisz spróbować”.

- Wejźmy do środka. Jest zimno - powiedział, otwierając drzwi.

Nie ruszyła się z chodnika. Steve patrzył na nią z uniesionymi brwiami.

- Nie - odparła. - Najpierw muszę ci coś pokazać.

- Pokazać...

- Zrobimy sobie przejażdżkę.

Steve spotkał się z jej całą rodziną tylko raz, przed ślubem, w dniu ukończenia przez Kelly college'u. Skrupulatnie zaplanowała ten dzień. Kilka miesięcy wcześniej zarezerwowała miejsca w Hikaru, na Boże Narodzenie kupiła ojcu nową marynarkę i krawat, zaprosiła Terry i Doreen na sushi, gdy odwiedziły ją wiosną w kampusie. W tygodniu poprzedzającym uroczystość wykonała dziesiątki telefonów, musztrując rodzeństwo, w co mają się ubrać, przypominając Terry i Doreen, by ćwiczyły jedzenie pałeczkami. Po doświadczeniach ze Scottem Schiffem pragnęła, aby jej rodzina zachowywała się jak prawowici członkowie klasy średniej, a nie pomywacze, nałogowi palacze z byle jakiego miasteczka na wybrzeżu New Jersey.

Oczywiście długo wyczekiwany dzień okazał się katastrofą. Jej ojciec dźgał sashimi koniuszkiem pałeczki, podnosił plasterki węgorka i flądry, jakby były dowodami z miejsca zbrodni. Siostry chichotały i szeptały coś ponad miseczkami z kurczakiem teriyaki, potem wymknęły się na zewnątrz, by wypalić papierosa przy koszu na śmieci, a jej brat, Charlie, upił się zamówioną przez Kelly sake i zwymiotował, nim zdążył

dobiec do łazienki. Rodzice Steve'a patrzyli na nich, jakby byli stadem szczurów, a Kelly siedziała na początku stołu, z perłami kupionymi przez Steve'a z okazji ukończenia szkoły, uśmiechała się i kiwała głową, aż poczuła się jak szmaciana lalka. „Czym się pan zajmuje?” - zapytał Kenneth Day jej ojca, a Kelly wstrzymała oddech, póki nie wyrecytował słów, które mu przygotowała. „Pracuję dla rządu”.

- Roznosi pocztę - powiedziała Kelly, gdy wjeżdżali na płatną autostradę.

-Co?

- Mój ojciec - powiedziała. Zaciśnęła dłonie na kierownicy. Nie opowiadała Steve'owi zbyt wiele o swojej rodzinie i oczywiście nigdy nie zawiozła go do domu, w którym się wychowała. Jeśli jednak nadal mieli być mężem i żoną, musiał zrozumieć. Prawdę, całą prawdę i tylko prawdę.

- Kelly? Dokąd jedziemy?

- Do domu - powiedziała, wciskając mocno pedał gazu. - Jedziemy do domu.

Po godzinie i piętnastu minutach jazdy zaparkowali pod obskurnym domkiem jednorodzinym z werandą, na końcu ślepej uliczki. Chciała, by Steve przyjrzał się wszystkiemu z samochodu - zaniedbanemu trawnikowi, obłazącej farbie, rozpadającej się furgonetce na podjeździe i wyblakłym czarno-złotym naklejkom, tworzącym napis O'HARA na zielonej skrzynce na listy.

Patrzyła prosto przed siebie, nie zdejmując rąk z kierownicy.

- Nigdy nie byłam skautką - powiedziała. - Wiesz, dlaczego? Bo żeby być skautką, potrzebny jest mundurek, a moi rodzice nie mieli pieniędzy, by mi go kupić. Duma nie pozwalała im korzystać z cudzej pomocy.

- Och - jego głos zabrzmiał bardzo cicho w zbyt dużym samochodzie.

- Kiedy byliśmy zapraszani na przyjęcia urodzinowe innych dzieci, zanosiliśmy w prezencie jakiś drobiazg z taniego sklepu, zapakowany w komiks z sobotniej gazety, aż w końcu zaczęliśmy wymyślać powody, dla których nie mogliśmy przyjść. A w Boże Narodzenie... - Słowa utknęły jej w gardle. - Kobiety z kościoła przynosiły kosz z indykiem i zabawki, o które prosiliśmy. Wszystko, czego tylko zapragnęliśmy, pięknie zapakowane. Na kartkach był napis: *Od Mikołaja*, ale domyślaliśmy się, od kogo naprawdę wszystko było, i przestaliśmy prosić, gdyż wiedzieliśmy, że przyjmowanie jałmużny jest jeszcze gorsze niż być biednym.

Jej głos był bezbarwny. Ręce wyglądały potwornie - obgryzione paznokcie, pozadzierane, krwawiące skórki.

-Nienawidziłam tego domu. Wszystkiego, co go dotyczyło. Nienawidziłam nosić ubrań po innych dzieciach. Nie znosiłam przesiąkniętych dymem papierosowym przedmiotów i że nigdy nie było tam nic ładnego, nowego i... - Wytarła oczy. - Kiedy się pobraliśmy, przyrzekłam sobie, że jeśli będziemy mieli dziecko, będę kupowała

mu wszystko, czego zapragnie. Zawsze będzie bezpieczne. Nigdy nie będzie się czuło, jakby dorastało w domu przypominającym przeciekającą łódź, której dno w każdej chwili może odpaść. - Odwróciła się i spojrzała mężowi prosto w oczy. - Właśnie dlatego chciałam, byś znalazł pracę. Dlatego było to dla mnie takie ważne. Myśl, że wydalibyśmy wszystkie oszczędności, doprowadzała mnie do szaleństwa, bo... - Uniosła dłonie. - Co wtedy? - Spojrzała ponad jego ramieniem, przez okno na dom. - To?

- Kelly. - Wziął ją za rękę. - Nie miałem pojęcia. Gdybyś mi powiedziała...

- Nie mogłam. - Powstrzymała szloch. - Nie chciałam, żebyś wiedział, nie chciałam, byś to oglądał... - Wytarła łzy i znów spojrzała na niego. - Myślałam, że przestałbyś mnie kochać.

-Hej! - Przytulił ją, a ona położyła mu głowę na ramieniu. - Zawsze będę cię kochał. Zaopiekuję się tobą. I Oliverem. Tylko... - Odetchnęła głęboko. - Doszedłem do wniosku, że mamy pieniądze, że nie muszę się śpieszyć i mogę być w domu i zajmować się dzieckiem. - Potrząsnął żałośnie głową. - Nie mogłem zrozumieć, dlaczego doprowadza cię to do szału. - Podrapał się po twarzy. - Teraz wydaje mi się, że już rozumiem. I w przeciwieństwie do tego, co sobie myślałaś, nie miałem zamiaru spędzić reszty życia, leżąc na kanapie.

- Ale właśnie to robiłeś.

- Owszem, przez sześć miesięcy - przyznał. Zaszurał nogami po dywaniku w samochodzie. - Niezbyt dobrze zniosłem utratę pracy. Wytrąciło mnie to z równowagi, więc pomyślałem, że odpocznę trochę, dam sobie chwilę, pobędę z dzieckiem i powoli wrócę do równowagi. - Przerwał i wpatrywał się w świat za szybą. - Mojego ojca nigdy nie było w domu - powiedział. - Chciałem być innym tatą. - Uśmiechnął się krzywo. - Gdybym wiedział, gdybyś mi powiedziała, zaraz znalazłbym pracę. Nawet jeśli miałyby to oznaczać, że nie będę widywał Olivera. - Ściszył głos. - Jeżeli dzięki temu miałbym cię zatrzymać.

Oparła policzek na jego twarzy. Usłyszała pyknięcie stygnącego silnika i gdzieś w pobliżu matkę wołającą dzieci do domu.

-Myślałam, że ci mówiłam. Wiem, że próbowałam... - Jednak nawet gdy mówiła, zastanawiała się, co dokładnie powiedziała, a co tylko pomyślała.

Objął ją.

- Popelniliśmy błędy - powiedział. - Obydwoje. Ale teraz mamy małego synka, Kelly. Musimy wszystko naprawić.

Pociągnęła nosem.

-Żałuję, że nie wiedziałam - powiedziała. - Żałuję, że nie wiedziałam, jak wszystko się potoczy. Że nie wiedziałam, co się stanie...

- Hej! - odezwał się. - Nie zaglądaliśmy do szklanej kuli, ale wiem. Nie jestem

Scottem Schiffem ani twoim ojcem. - Pokazał na siebie, uśmiechając się szeroko. Przypomniała sobie, jak patrzyła na niego, pijana, z kupy liści w parku. Przyniósł jej frytki. Powiedział, że jest piękna. I uwierzyła mu.

- Widzisz? - zapytał, z dłonią wciąż skierowaną w swoją stronę. - Nie mam torby na listy, rozporek zapięty... - Sprawdził. - Zazwyczaj. Nawet jeśli będę uczył albo robił cokolwiek innego, zawsze będę dbał o ciebie i Olivera.

-Obiecujesz? - zapytała drżącym głosem. Nachylił się i dotknął jej policzka ustami.

- Uwierzysz mi, jeśli obiecuję?

Skinęła głową.

- Chcę, żeby wszystko się zmieniło - szepnęła głównie do siebie.

- Może być tak, jak zechcesz - powiedział Steve. Z zamkniętymi oczami przyłgnęła do niego, pozwalając dotykać swoich włosów, pozwalając, by się nią zaopiekował.

TLR

MARZEC

LIA

Siedziałam w parku z niebieską walizką mamy i zapakowanym przez Sarah lunchem. Wokół zebrały się moje przyjaciółki - Kelly z Oliverem w nowym czerwonym wózku, Becky z Avą w nosidełku na plecach i Ayinde, wysoka, poważna i piękna, jej twarz przypominała rzeźbę z wypalanej w piecu gliny, z Julianem w ramionach. Niebo było ciemnoszare, temperatura wciąż utrzymywała się poniżej zera, jednak wiatr był już dość ciepły. Zauważyłam, że na dereniach i wiśniach zawiązują się pączki, małe zielono-różowe kuleczki, pierwsza oznaka, że zbliża się wiosna. Sam wrócił do Kalifornii dwa tygodnie wcześniej, by urządzić dom, który dla nas znalazł, a ja zostałam w Filadelfii, żeby się spakować, opróżnić mieszkanie i się pożegnać. Sam miał przylecieć po południu i zabrać mnie do domu.

- Zdajesz sobie sprawę, że łamiesz serce Dashowi pomywaczowi? - zapytała Becky.

- Poradzi sobie - odparłam.

- Będzie nam ciebie brakowało - stwierdziła Kelly z żalem. - Naprawdę musisz tam wracać?

- Tam jest Sam - powiedziałam. - I praca, jeśli kiedykolwiek będę jeszcze pracowała. I... - Nie byłam pewna, czy mogę zaufać mojemu głosowi. - Tam pochowany jest Caleb. Myślę, że zawsze będę chciała mieszkać blisko, by go odwiedzać.

Wszystkie trzy skinęły głowami. Becky odchrząknęła.

- Mam nowinę - powiedziała.

- Dobrą? - zapytała Kelly.

- Tak myślę. Mam nadzieję. - Wzięła ubraną w różowy płaszcz i różowe spodenki Avę w ramiona i wyprostowała się. - Jestem. Hmm. W ciąży.

- O Boże, poważnie? - pisnęła Kelly. - Kochaliście się, tak?

- Nic się przed tobą nie ukryje - powiedziała Becky z uśmiechem.

- Kochaliście się, a teraz jesteście w ciąży!

- Kim jesteś, moją nauczycielką od biologii z ósmej klasy? - mruknęła Becky, ale nie przestawała się uśmiechać. Dokładniej rzecz biorąc, promienieć. - To trochę oszłamiające, ale jesteśmy szczęśliwi. - Spojrzała na Avę, która zmarszczyła nos i zaśmiała się. - Nie wiem, jak ona będzie się z tym czuła.

- Jak zareagowała Mimi? - zapytała Kelly.

Becky przewróciła oczami.

- Jeszcze jej nie powiedzieliśmy. Zawieszenie broni wciąż obowiązuje. Jednak tyle razy ugryzłam się już w język, że dziwię się, iż wciąż jest na miejscu. - Wzruszyła ramionami. - Cóż, nie mam innego wyjścia, jeśli chcę, by nasze małżeństwo funkcjonowało.

Wszystkie trzy bezwiednie spojrzaliśmy na Kelly i natychmiast odwróciłyśmy wzrok. Mimo to zauważyła.

- Myślę - powiedziała cicho, z głową nachyloną nad dzieckiem. - Myślę, że wszystko będzie dobrze. - Usiadła na ławce i nie przestawała jeździć wózkem w przód i w tył. - Wydaje mi się, że kiedy się pobieraliśmy, oboje ze Steve'em mieliśmy w głowach obraz przyszłości.

- To tak jak my wszystkie - powiedziała spokojnie Ayinde.

- Teraz wszystko się zmieni. Przeprowadzamy się do mniejszego mieszkania - oznajmiła Kelly i uśmiechnęła się. - Z prawdziwymi meblami. Steve weźmie zastępstwa i będzie się starał znaleźć pracę na cały etat od jesieni, a... - Odchrząknęła. - Wracam na uczelnię, na projektowanie wnętrz w Drexler. Mają tam wspaniały program. - Spojrzała na nas nieśmiało. - Podobał wam się pokój Olivera, prawda?

- Och, jest śliczny - powiedziała Becky. - To dla ciebie idealny kierunek!

Kelly wyjęła Olivera z czerwonego wózka i pocałowała go w czubek głowy.

- Nie zależy mi już, by wszystko było idealne. Wystarczy, że będzie dobre.

- Och, Kelly - odezwałam się. Położyłam dłoń na jej ramieniu i ścisnęłam ją, a potem, nie mogąc się powstrzymać, złapałam Olivera za udo. - Cześć, Oliver! - Czulałam pod palcami wałeczki, do których się przyzwyczaiłam - od kiedy go znałam, Oliver miał nóżki jak dorodne bochenki wiejskiego chleba - wyglądało jednak na to, że jedna lub dwie fałdki znikły. Przyjrzałam się uważnie dziecku. Wyciągnął się i twarz mu zeszczupełniała. Miał też więcej włosów. I nagle zdałam sobie sprawę, że z niemowlaka zmienia się w małego chłopca.

Mrugnęłam, by powstrzymać napływające do oczu łzy. Cała trójka tak bardzo się zmieniła. Ava miała już sześć zębów i, ku uciesze Mimi, wreszcie trochę włosów. Dziesięciomiesięczny Julian był wysoki i bystry, z poważnym wyrazem twarzy, jak bankier wyceniający hipotekę. Nie potrafiłam nie myśleć o Calebie i o tym, że nigdy nie zobaczę, jak rośnie, przybiera na wadze, nie doświadczę zamiany butelki na jedzenie ze słoiczków, a potem normalne posiłki, nie będę mogła obserwować, jak najpierw przewraca się z pleców na brzusek, potem raczkuje, wreszcie chodzi i biega.

- Dotknij - zaproponowała Kelly, a w jej głosie duma mieszała się z żalem. - Chudnie.

- Wyciąga się.

- To takie niesamowite - stwierdziła Kelly. - Wydaje mi się, że gdy było naprawdę źle, wiecie, kiedy Steve całe dni przesiadywał w domu, a ja się miotalam, myślałam, że zawsze tak będzie. Że zawsze będzie małym chłopcem. To znaczy dużym małym chłopcem. A jednak się zmienia - powiedziała, przytulając dziecko do piersi.

- Ja też.

- Wszystkie się zmieniłyśmy - odezwała się Becky. - Cud macierzyństwa. - Przewróciła oczami.

Kelly spojrzała na mnie.

-Ale przyjedziesz w lipcu, prawda? Na urodziny Avy i Olivera?

- A potem jesienią - dodała Becky. - Jak będę rodziła.

- Oczywiście, że przyjadę - odparłam.

Ayinde odchrząknęła.

-Lia - powiedziała. - Zdaje się, że przyjechała twoja mama.

Zobaczyłam Sama i mamę, idących ramię w ramię w naszym kierunku od strony Walnut Street. „A jednak cuda się zdarzają” - pomyślałam, wstając.

- Nie potrafię się żegnać - zaczęłam.

-Bzdury - stwierdziła Becky, obejmując mnie ramieniem. - Będziemy za tobą tęsknić.

- Ja za wami też — powiedziałam i me miałam zamiaru udawać, że nie płaczę. - Nawet nie wiecie... ale ocaliłyście mnie.

- Myślę, że wszystkie uratowałyśmy się wzajemnie - odparła Becky.

Przez moment obejmowałam ich wszystkich - Becky, Kelly, Ayinde, Olivera, Juliana i Avę.

- *Pa pa pa pa pa pa, mamusie* - zaśpiewałam.

- Dajcie spokój z tą cholerną piosenką - powiedziała Becky, ocierając łzy.

-*Papa pa pa pa pa, dzieci* - dokończyłam.

Ava patrzyła na mnie. Oliver z poważną miną ssał kciuk.

- Pa! - powiedział Julian, otwierając i zamykając rączkę. - Pa, pa, pa, pa.

- O Boże! - pisnęła Kelly z szeroko otwartymi ze zdziwienia oczami. - Słyszałyście?

- Pierwsze słowo! - powiedziała Becky. - Szybko, Ayinde, masz ze sobą pamiętnik z *Sukcesu dziecka!*, żeby to zapisać?

-Nie, został w domu, ja... nieważne.

-Panie - odezwał się Sam, witając moje przyjaciółki. - I panowie, oczywiście - powiedział do Olivera i Juliana.

Pa, pa, pa, pa, pa - gaworzył Julian i machał energicznie rączką.

- Chodźmy - powiedziałam - nim dam się ponieść emocjom. - I wzięłam męża za rękę.

- Lia?

- Mhmm - mruknęłam. Siedziałam przy oknie wtulona w Sama, z nogami przykrytymi kocem i policzkiem opartym o zimne szkło. Byliśmy gdzieś nad centralną czę-

ścią Ameryki. Niebo spowiły ciemne chmury, a ja na pół spałam.

- Chcesz się czegoś napić?

Potrząsnęłam głową, zamknęłam oczy i niemal natychmiast zaczął się mój stary sen, ten, który miałam od przyjazdu do Filadelfii. Stałam w dzieciennym pokoju z białą wykładziną, kremowymi ścianami i przezroczystą zasłoną wydymającą się przy otwartym oknie. Był to pokój mojego synka. Stapałam po podłodze gołymi stopami, a ciepły, delikatny wiatr, jak obietnica czegoś pięknego, owiewał moją twarz. Wiatr, który wieje tylko nocą w Kalifornii.

Jednak tym razem sen był inny. Tym razem z łóżeczka dobiegały dźwięki. Nie płacz, jak kiedyś na jawie, ale ciche gaworzenie, sylaby przypominające słowa: „La, la, la” i „Ba, ba, ba”. Dźwięki, jakie słyszałam nieraz, gdy opiekowałam się Avą i Oliverem.

- Cichutko, kochanie - powiedziałam, przyspieszając kroku. - Cii, jestem tutaj. - „Teraz spojrzę w dół i łóżeczko będzie puste” - pomyślałam i nachyliłam się, jak setki razy w setkach snów. Teraz spojrzę, a jego nie będzie.

Jednak łóżeczko nie było puste. Nachyliłam się, spojrzałam, a tam był Caleb, ubrany w niebieską piżamkę z kaczką. Caleb, jaki byłby w tym wieku - z jasnymi oczami, różową cerą i zarumienionymi policzkami, pulchnymi nóżkami i rączkami, rudobrązowymi włoskami. Nie wyglądał już jak wściekły, niedożywiony staruszek, ale jak dziecko. Moje dziecko.

- Caleb - szepnęłam, biorąc go na ręce, gdzie pasował jak ulał. Był mi dobrze znany, jak Ava, Oliver, Julian, ale zupełnie inny. Jak on sam. Mój. Moje dziecko. Mój synek.

W tej chwili byłam jednocześnie we śnie i poza nim; w pokoju dzieciennym i w samolocie. Wszystko widziałam, wszystko czułam - męża obok, jego ciepłą dłoń na moim kolanie, chłodną szybę smaganą wiatrem i obmywaną deszczem przy policzku i ciężar dziecka w ramionach.

Z popielnika na Wojtusia Iskiereczka mruga:

Chodź, opowiem ci bajeczkę,

Bajka będzie długa.

Była sobie raz królowna,

Pokochała grajka,

Król wyprawił im wesele

I skończona bajka.

- Caleb - powiedziałam. Pode mną świat rysował się jak patchworkowa kołdra, zie-

lone i brązowe skrawki zszyte przebaczeniem, nadzieją, miłością. Słyszałam wiatr wpadający przez okno do dzieciennego pokoju. Obok czułam nachylającego się nade mną męża, jego delikatny oddech na policzku, ciepłą dłoń na mojej ręce. We śnie, w moich ramionach, dziecko otworzyło oczy i uśmiechnęło się do mnie.

Podziękowania

Małe trzęsienia ziemi to utwór literacki, ale i ja tak jak Becky, Kelly i Ayinde miałam szczęście uczestniczyć w zajęciach jogi dla ciężarnych z grupą wspaniałych kobiet - przyjaciółek, które pomagały mi przez pierwszych dziewięć miesięcy życia mojej córki, które podzieliły się ze mną swoimi opowieściami o ciąży, porodzie, małżeństwie i wczesnym macierzyństwie, a także wspierały w mojej drodze. Podziękowania dla Gail Silver, Debbie Bilder i malutkiego Maksa, Alexy Hymowitz i Zacha, Carrie Coleman i Jamesa Rufusa, Jeanette Andersson i Filippy, Kate Mackey i Jacksona, a także Andrei Cipriani Mecchi, Anthony'ego i Lucii.

Za ciężką pracę oddaję cześć i kłaniam się w pas Joannie Pulcini, która ślęczała nad rękopisami tej książki w kawiarniach i pokojach hotelowych od Los Angeles po Nowy Jork. Jej skrupulatna, przemyślana i surowa redakcja, a także, od czasu do czasu, opieka nad dzieckiem były nieocenione. Mam szczęście, że jest moją agentką, a jeszcze większe, że przyjaciółką.

Moja redaktorka Greer Kessel Hendricks zasłużyła sobie na najwyższą nagrodę za wprawne przeczytanie i wyrozumiałość, a także setki mniejszych i większych przysług. Jestem również bardzo wdzięczna jej asystentce Suzanne O'Neill i wszystkim w Atria, a szczególnie Seale Ballenger, Benowi Brutonowi, Tommy'emu Semoshowi, Holly Bemiss, Shannonowi McKennie, Karen Mender i Judith Curr - współpracownikom, o jakich marzą wydawcy i pisarze.

Kyra Ryan wnikliwie przeczytała pierwszy szkic, a Alison Kolani pomogła wygładzić produkt końcowy. Jestem im obu ogromnie wdzięczna, a także Annie Marii Mendlow, która hojnością dla organizacji Świadome Rodzicielstwo Południowo-wschodniej Pensylwanii zdobędzie sobie miejsce w świadomości przyszłych pokoleń (o ile ta książka trafi do przyszłych pokoleń).

Jestem wdzięczna przyjaciółom z bliska i daleka: Susan Abrams Krevsky i Benowi

Krevsky'emu, Alanowi Promerowi i Sharon Fenick, Charliemu i Abby Glassenbergom, Ericowi i Becky Spratfordom, Clare Epstein i Philowi DiGenaro, Kim i Paulowi Niehausom, Steve'owi i Andrei Hasegawom, Ginny Durham, Lisie Maslankowski i Robertowi DiCicco, Craigowi, Elizabeth, Alice i Athurowi LaBanom, a szczególnie Melindzie McKibben Pedersen, jednej z najwspanialszych i najdzielniejszych kobiet, jakie znam.

Mamy z grupy Hall-Mercer podzieliły się ze mną swoimi opowieściami i wysłuchały mojej. Jestem bardzo szczęśliwa, że wraz z Lucy miałyśmy okazję spotkać Linde Derbyshire, Jamie Cohen i Mię; Amy Schildt i Natalie, Shane Siegel i Carly, a także Emily Birknes i Madeline.

Dziękuję doradcom laktacyjnym ze Szpitala Stanu Pensylwania za pomoc zarówno przy książkowych, jak i prawdziwych dzieciach, a także pracownikom Society Hill Cosi za darmową kawę i za to, że nigdy nie żalowali ani mnie, ani mojemu laptopowi stolika przy oknie i prądu.

Specjalne słowa uznania dla Jamie Seibert, która pojawiła się w moim życiu jak dar z niebios i cudownie opiekuje się Lucy, gdy ja piszę.

Nic nie byłoby możliwe bez mojej rodziny. Mąż Adam, mama Fran Frumin i moja babcia Faye Frumin, Jake, April, Olivia, Molly i Joe Weiner, Warren Bonin, Ebbie Bonin i Todd Bonin obdarzyli mnie miłością, dali wsparcie i materiał (a w przypadku Olivii używane ubrania). Moja córeczka Lucy Jane umożliwiła mi napisanie tej książki, a moje życie uczyniła pięknym. Zawsze będę ogromnie wdzięczna za wsparcie i miłość jednej z pierwszych moich redaktorek, przyjaciółce Lizie Nelligan, która zmarła zeszłej wiosny.

Nie sądzę, bym kiedykolwiek potrafiła wyrazić, jak bardzo wiara Lizy we mnie przyczyniła się do tego, że wciąż piszę, ale wierzę, że jej duch, uwielbienie dla śmiechu i dobrych historii żyją w tej książce i będą obecne w każdej następnej. Kołysanka, którą śpiewa Lia^{*5}, pochodzi z *Raitibabies*, jednej z książeczek, które Liza przysłała Lucy kilka dni po narodzinach. Wykorzystałam ją w tej książce w hołdzie Lizie.

⁵ * W wersji oryginalnej w polskiej zastąpiona utworem *Z popielnika na Wojtusia* (przyp. tłum.).